

Mark Twain

Życie na Missisipi

Rozdział I

## RZEKA I JEJ HISTORIA

Warto poczytać o Missisipi. Nie jest to pospolita rzeka, przeciwnie, pod każdym względem niezwykła. Wziąwszy Missouri za jej główną odnogę, jest to najdłuższa rzeka na świecie — cztery tysiące trzysta mil. Można śmiało powiedzieć, że jest również najbardziej krętą rzeką na świecie, ponieważ w pewnej części biegu zużywa tysiąc trzysta mil na przebycie tej samej przestrzeni, którą wrona przeleciałaby robiąc sześćset siedemdziesiąt pięć mil. Wyrzuca z siebie trzy razy tyle wód co rzeka św. Wawrzyńca, dwadzieścia pięć razy tyle co Ren, a trzysta trzydzieści osiem razy tyle co Tamiza. Żadna inna rzeka nie ma tak rozległego dorzecza: ściąga wody z dwudziestu ośmiu stanów i terytoriów, od Delaware nad wybrzeżem atlantyckim aż do Idaho na wyżynie nad Oceanem Spokojnym — z przestrzeni, która zajmuje czterdzieści pięć stopni długości geograficznej. Missisipi zbiera i niesie do zatoki wody pięćdziesięciu czterech mniejszych rzek, po których mogą pływać parowce, i około kilkuset innych rzek, po których mogą pływać lichtugi i barki. Obszar jej dorzecza jest tak wielki, jak Anglia, Walia, Szkocja, Irlandia, Francja, Hiszpania, Portugalia, Niemcy, Austria, Włochy i Turcja razem wzięte. Prawie cały ten rozległy szmat ziemi jest urodzajny. Właściwa dolina rzeki Missisipi odznacza się wyjątkową żyznością.

Jest to niezwykła rzeka, bo zwęża się przy ujściu zamiast rozszerzać — staje się węższa i głębsza. Od ujścia Ohio do punktu położonego w połowie drogi do morza przeciętna jej szerokość przy wysokiej wodzie wynosi jedną milę. Dalej, w kierunku morza, szerokość stale się zmniejsza, aż przy „przełomie” powyżej ujścia wynosi niewiele więcej niż pół mili. Przy ujściu Ohio głębokość Missisipi wynosi osiemdziesiąt siedem stóp, potem stopniowo się zwiększa i powyżej ujścia dochodzi do stu dwudziestu dziewięciu stóp.

Różnice między wysokim a niskim stanem wody są również niezwykle — nie w górnym, lecz w dolnym biegu rzeki. Przybór jest prawie jednakowy aż do Natchez (trzysta sześćdziesiąt mil powyżej ujścia), około pięćdziesięciu stóp. Ale przy Bayou La Fourche rzeka podnosi się tylko o dwadzieścia cztery stopy, przy Nowym Orleanie — tylko o piętnaście, a tuż powyżej ujścia — tylko o dwie i pół stopy.

Wedle artykułu w nowooreleańskim „Times-Democrat”, opartym na sprawozdaniach doświadczonych inżynierów, rzeka wyrzuca rocznie do Zatoki Meksykańskiej czterysta sześć milionów ton mułu, co przywodzi na myśl dosadne przewisko, które kapitan Marryat dał rzece Missisipi: „Wielki Rynsztok”. Gdyby muł ten osiadł i stwardniał, powstałaby z niego masa o powierzchni mili kwadratowej i wysokości dwustu czterdziestu i jednej stopy.

Pokłady mułu stopniowo powiększają łąd, ale tylko stopniowo: w przeciągu ostatnich dwustu lat, to znaczy, odkąd rzeka zajęła swe miejsce w historii, łądu przybyło niecałe pół mili. Uczeni przypuszczają, że ujście było kiedyś przy Baton Rouge, gdzie kończą się wzgórza, i że dwieście mil łądu pomiędzy tą miejscowością a Zatoką utworzyła rzeka. Możemy więc bez trudu obliczyć wiek tego kawałka ziemi: sto dwadzieścia tysięcy lat. A przecież jest to najmłodszy szmat ziemi spośród wszystkich naokoło.

Missisipi jest niezwykła jeszcze pod innym względem — ma skłonność do robienia nagle dziwnych skoków, przerywając się przez wąskie pasma łądu i w ten sposób prostując i skręcając bieg. Bywało, że jednym skokiem skręcała bieg o trzydzieści mil!

Te skróty miały nieraz ciekawe skutki: odrzuciła na przykład kilka miast leżących nad rzeką w głąb łądu i wzniosła przed nimi wysokie piaszczyste zapory i lasy. Miasto Delta

znajdowało się dawniej o trzy mile poniżej Vicksburga. Ostatni skrót zmienił zasadniczo położenie miasta Delta i obecnie znajduje się ono dwie mile powyżej Vicksburga.

Obydwa te nadbrzeżne miasta na skutek owego skrótłu odsunęły się w głąb kraju. Skrót taki sieje zniszczenie wśród linii granicznych i jurysdykcji, na przykład: mieszka sobie człowiek w stanie Missisipi — w nocy rzeka skręca swój bieg i następnego dnia człowiek wraz ze swą ziemią znajduje się po drugiej stronie, na terenie stanu Luizjana, i podlega jej prawom. Jeśli rzecz taka zdarzyła się w dawnych czasach w górnym biegu rzeki, mogła niewolnika z Missouri przenieść do Illinois i uczynić wolnym człowiekiem.

Missisipi zmienia swe położenie nie tylko przez skrótły: zmienia ciągle właściwe łozysko, przesuując je to w jedną lub w drugą stronę. Przy Hard Times, w stanie Luizjana, rzeka płynie dwie mile na zachód od obszaru, po którym płynęła dawniej.

Wskutek tego tereny tej osady nie znajdują się już w stanie Luizjana, ale po drugiej stronie rzeki, w stanie Missisipi. Niemal całe tysiąc trzysta mil biegu dawnej rzeki Missisipi, którą La Salle dwieście lat temu przepłynął w dół rzeki na czółnach, jest obecnie urodzajnym terenem. Rzeka płynie w niektórych miejscach na prawo od niego, w innych — na lewo.

Chociaż ład z mułu Missisipi przy ujściu narasta powoli, gdyż fale Zatoki przeszkadzają w tym procesie, na bardziej osłoniętych terenach praca ta posuwa się dość szybko. Na przykład trzydzieści lat temu Wyspa Proroka miała tylko tysiąc pięćset akrów, a od tego czasu rzeka dodała jej jeszcze siedemset.

Lecz dość już na teraz przykładów ekstrawagancji tej potężnej arterii wodnej — kilka innych przytoczę jeszcze w dalszych rozdziałach książki.

Porzucmy historię biegu Missisipi i rzeknijmy słowo o jej — jak by to powiedzieć — historii historycznej. W paru krótkich rozdziałach zerknijmy na jej pierwszą, jeszcze senną epokę; w kilku dalszych — na drugą epokę, rozbudzenia; w paru następnych — na epokę jej zupełnego rozbudzenia i największego rozkwitu, a potem, aż do końca książki, pomówmy o stosunkowo spokojnej obecnej epoce.

Świat i książki tak się przyzwyczyły używać i nadużywać słowa „nowy” w stosunku do naszego kraju, że od początku odnosiliśmy i wciąż jeszcze odnosimy wrażenie, że nie ma w nim nic starego. Wiemy, oczywiście, że w historii Ameryki jest kilka starych dat, lecz same liczby nie dają nam właściwego pojęcia ani nie pozwalają wyraźnie zdać sobie sprawy z okresu, jaki obejmują. Kiedy powiemy, że De Soto, pierwszy biały człowiek, który ujrzał rzekę Missisipi, ujrzał ją, w roku 1542, stwierdzamy pewien fakt, lecz go nie tłumaczymy. Jest to coś takiego jak określenie wspaniałości zachodu słońca za pomocą astronomicznych pomiarów, skatalogowanie jego kolorów i nadanie im naukowych nazw; wynikiem tego będzie stwierdzenie nagiego faktu zachodu słońca, ale nie ujrzanie go. Lepiej by było namalować jego obraz.

Data 1542 sama w sobie niewiele lub nic dla nas nie znaczy. Lecz jeśli zgrupować kilka sąsiadujących z nią dat i faktów historycznych, uzyskuje się perspektywę i koloryt i nabiera pojęcia o tym, że jest to jedna z godnych szacunku ze względu na swój wiek dat amerykańskich.

Na przykład, gdy biały człowiek po raz pierwszy ujrzał Missisipi, nie upłynęło jeszcze ćwierć wieku od klęski Franciszka I pod Pawią; od śmierci Rafaela; od śmierci Bayarda sans peur et sans reproche; od wypędzenia Rycerzy-Szpitalników z Rodos przez Turków i przybicia dziewięćdziesięciu pięciu tez, aktu, który rozpoczął Reformację. Gdy De Soto powiódł okiem po rzece, Ignacy Loyola był nieznanym człowiekiem; zakon jezuitów jeszcze nie miał roku; obraz Michała Anioła przedstawiający Sąd Ostateczny nie wysechł jeszcze w Kaplicy Sykstyńskiej; Maria, królowa szkocka, jeszcze się nie urodziła, lecz miała się urodzić przed końcem roku; Katarzyna de Medici była dzieckiem, Elżbieta angielska nie miała jeszcze dziesięciu lat; Kalwin, Benvenuto Cellini i cesarz Karol V byli u szczytu sławy i każdy z nich na swój sposób tworzył historię; Małgorzata z Nawarry pisała Heptamerona i kilka książek

religijnych, przy czym pierwsza z tych książek dotąd żyje, a następne poszły w zapomnienie, gdyż dowcip i niedelikatność lepiej na ogół konserwują literaturę niż świątobliwość. Rozwiązały obyczaje dworskie i do absurdu posunięta rycerskość były w pełni rozkwitu, a turnieje i gry rycerskie stanowiły często zabawę utytułowanych wielmożów, którzy walczyć umieli lepiej niż pisać, podczas gdy namiętnością ich dam była religia, a rozrywką — klasyfikowanie własnych latorośli na dzieci mające pełne prawa rodowe i dzieci nieprawe. Oczywiście kwitło wszystko, co dotyczyło religii: zwoływano sobór trydencki; hiszpańska Inkwizycja miała wolną rękę, by palić, piec żywcem, torturować; gdzie indziej na kontynencie mieczem i ogniem przekonywano narody, iż muszą żyć bogobojnie; w Anglii Henryk VII zgnębiwszy klasztory spalił Fishera i jeszcze paru biskupów i w ten sposób rozpoczął angielską reformację i założył harem. Gdy De Soto stanął nad brzegami Missisipi, było jeszcze dwa lata do śmierci Lutra, jedenaście lat do spalenia Serveta, trzydzieści lat do nocy św. Bartłomieja, Rabelais niczego jeszcze nie wydał, Don Kichot nie został jeszcze napisany, Szekspir miał się dopiero urodzić, długich sto lat miało upłynąć, nim Anglicy usłyszeli nazwisko Olivera Cromwella.

Bez wątpienia więc odkrycie Missisipi jest faktem dawnym, który w znacznym stopniu patynuje i odmienia lśniąca nowość naszego kraju, nadając mu szanowny wygląd zardzewiałej starodawności.

De Soto spojrział tylko na rzekę, a potem umarł i został pogrzebany przez swych kapłanów i żołnierzy. Można by przypuszczać, że kapłani i żołnierze pomnożywszy rozmiary rzeki przez dziesięć — wedle hiszpańskiego zwyczaju owych czasów — pobudzą od razu innych żądnych przygód podróżników do podjęcia nowych wypraw. Przeciwnie, opowiadania ich, gdy wrócili, nie wzbudzały wielkiej ciekawości. Nikt z białych nie odwiedził Missisipi przez długie lata, co w naszych pełnych dynamiki czasach wydaje się nie do wiary. Przerwę tę można sobie jakoś uzmysłowić, gdy się ją podzieli w sposób następujący; od chwili gdy De Soto spojrział na rzekę, upłynęło niespełna pół wieku i urodził się Szekspir. Żył nieco dłużej niż pół wieku i umarł, a kiedy już leżał w grobie dobre pół wieku, następny biały człowiek ujrzał Missisipi. W naszych czasach nie dopuszczamy do tego, aby pomiędzy jednym a drugim ujzieniem jakiegoś dziwu mogło upłynąć sto trzydzieści lat. Ilekroć ktoś odkryje jakiś strumyk w okręgu położonym tuż przy Biegunie Północnym, Europa i Ameryka wysyłają tam natychmiast piętnaście kosztownych ekspedycji: jedną dla zbadania strumyka, a czternaście dla poszukiwania się wzajemnego.

Ponad sto pięćdziesiąt lat znajdowały się osady białych na naszych atlantyckich wybrzeżach. Ludzie ci byli w stałych i bliskich stosunkach z Indianami. Na południu grabili ich Hiszpanie, zabijali, więzili i nawracali, nieco dalej Anglicy kupczyli z nimi sprzedając paciorki i koce, i na dodatek, for lagniappe, dorzucając cywilizację i whisky, a w Kanadzie Francuzi szkolili ich od podstaw, nawracając i ściągając całe plemiona do Quebec, a potem do Montrealu, by kupować od nich futra. Z konieczności więc te różne grupy białych musiały słyszeć o wielkiej rzece na dalekich Zachodzie. I rzeczywiście, coś o niej słyszały, ale tak niejasno i niedokładnie, że biegu jej, rozmiarów i położenia mogły się tylko domyślać. Sama tajemniczość tej sprawy powinna była rozpać ciekawość i skłonić do podejmowania wypraw, lecz tak się nie stało. Widać nikt nie chciał takiej rzeki, nikt jej nie potrzebował, nikt nie był jej ciekaw. Tak więc przez półtora wieku Missisipi płynęła sobie w spokoju, z dala od ruchu handlowego. Gdy De Soto natknął się na nią, wcale nie szukał rzeki, nie była mu na razie potrzebna, dlatego ani jej nie ocenił, ani nawet nie zwrócił na nią baczniejszej uwagi.

Wreszcie Francuz, La Salle, powziął myśl odszukania i zbadania rzeki. Zawsze się tak dzieje, że gdy ktoś zajmuje się jakąś zaniedbaną a ważną sprawą, natychmiast, jak spod ziemi, wyrastają inni zapaleni do tego samego pomysłu. Tak było i tutaj.

Nasuwa się oczywiście pytanie: dlaczego ci ludzie zapragnęli rzeki teraz, choć nikt jej przez pięć poprzednich pokoleń nie pragnął? Prawdopodobnie dlatego, że dopiero tak późno

odkryto sposób jej wykorzystania. Panowało bowiem przekonanie, że Missisipi wpada do Zatoki Kalifornijskiej i przez to stanowi skrót pomiędzy Kanadą a Chinami. Poprzednio przypuszczano, że wpada do Atlantyku lub morza Wirginii.

## Rozdział II

### RZKA I JEJ ODKRYWCY

La Salle sam prosił o pewne wysokie przywileje, których łaskawie udzielił mu wyolbrzymionej sławy Ludwik XIV. Najważniejszym z nich był przywilej badania rzeki jak długa i szeroka, budowy fortów, wyznaczania terenów i przekazywania ich królowi oraz pokrywania kosztów z własnej kieszeni w zamian za pewne drobne, takie czy inne korzyści, a wśród nich monopol na skóry bawole. La Salle stracił kilka lat i wydał wszystkie pieniądze na niebezpieczne i uciążliwe podróże pomiędzy Montrealem a zbudowanym przez siebie fortem nad rzeką Illinois, zanim udało mu się tak wyposażyć całą wyprawę, iż mógł się pokusić o Missisipi.

A tymczasem innym powiodło się lepiej. W 1673 kupiec Joliet i ksiądz Marquette, przemierzywszy cały kraj, dotarli do brzegów Missisipi. Podążyli przez Wielkie Jeziora, a od Green Bay płynęli na czółnach rzekami Fox i Wisconsin. Marquette podczas uczyty w dniu Niepokalanego Poczęcia przysiągł uroczyście, że o ile Najświętsza Panna pozwoli mu odkryć wielką rzekę, nazwie ją na jej cześć rzeką Niepokalanego Poczęcia. Dotrzymał słowa. W owych czasach wszyscy podróżnicy wyprawiali się w podróż z zastępem księży. De Soto miał ich dwudziestu czterech, La Salle także kilku. Wyprawom nieraz brakowało mięsa, marnie było z odzieniem, ale posiadały wszystkie sprzęty i przybory liturgiczne do odprawiania mszy. Odkrywczy byli zawsze przygotowani, jak to powiada jeden z ówczesnych barwnie piszących kronikarzy: „wyjaśniać dzikim, co to jest piekło”.

Dnia 17 czerwca 1673 roku czółna Joliet i Marquette'a z pięcioma ludźmi dotarły do miejsca, gdzie rzeka Wisconsin wpada do Missisipi. Parkman pisze: „Drogę przeciął im szeroki i szybki nurt u stóp wyniosłych wzgórz szczelnie otulonych w lasy”. I dalej: „Zwróciwszy się ku południowi powiosłowali w dół rzeki wśród samotności nie zmaconej najmniejszym śladem człowieka”.

Jakaś olbrzymia ryba zderzyła się z czółnem Marquette'a i napędziła mu strachu. I wcale nie bez racji, bo Indianie ostrzegali go, że podejmuje ryzykowną, a nawet niebezpieczną podróż, gdyż rzeka kryje w sobie demona, „którego ryk rozchodzi się daleko i który wciągnie ich w przepaść, gdzie sam mieszka”. Widziałem rybę z Missisipi, która miała więcej niż sześć stóp długości i ważyła dwieście pięćdziesiąt funtów. Jeżeli ryba Marquette'a była jej równa, miał zupełne prawo myśleć, że ukazał mu się ryczący demon rzeki.

Wreszcie zaczęły ukazywać się bizona pasące się wśród traw wielkiej prerii, która wtedy rozciągała się nad brzegami rzeki, i Marquette opisuje dziki i ogłupiały wzrok starych bizonów wpatrujących się w intruzów poprzez tak splątana grzywę, że prawie nic nie mogły widzieć.

Podróźni posuwali się ostrożnie:

Wychodzili na brzeg nocą i rozpalali ogień, aby ugotować wieczorny posiłek. Potem gasili ognisko, wsiadali do czółna, odpływali jeszcze kawałek i zakotwiczyli je na rzece zostawiając jednego człowieka na wachcie aż do rana.

Robili tak dzień po dniu i noc po nocy i przez dwa tygodnie nie widzieli ludzkiej istoty. Rzeka była wtedy straszliwym pustkowiem. Jest nim i dzisiaj w większej części swego biegu. Lecz po dwóch tygodniach napotkali w mule na zachodnim brzegu ślady stóp ludzkich — przeżycie Robinsona Kruzoa, które, nawet gdy się o nim czyta, wywołuje jeszcze i teraz przejmujący dreszcz. Ostrzegano ich, że nadrzeczni Indianie są równie dzicy i bezlitośni jak rzeczny demon i zabijają każdego przybysza, nie czekając na zaczepkę. Mimo to Joliet i

Marquette zapuścili się w głąb łądu w poszukiwaniu właścicieli owych śladów. Znaleźli ich niedaleko i zostali przez nich gościnnie przyjęci, jeżeli gościnnym przyjęciem można nazwać to, że wódz Indian, aby się lepiej zaprezentować, zdjął z siebie ostatni łańchman — i jeżeli gościnnym przyjęciem można nazwać obfity poczęstunek złożony z ryb, ryżu, zwierzyny, w tym także i psa, a wszystko to wpychano im wprost do ust gołymi, bez rękawiczek, rękami Indian. Rano wódz i sześciuset jego współplemieńców odprowadziło Francuzów do rzeki i pożegnało ich po przyjacielsku.

Na skałach nad obecnym miastem Alton znaleźli prymitywne fantastyczne indiańskie malowidła, które opisali. Nieco niżej „spieniony potok żółtego mułu przecinał z wściekłością spokojny, błękitny nurt Missisipi gotując się, pieniając i unosząc w swym biegu kłody, konary i drzewa z korzeniami”. Było to ujście Missouri, „owej dzikiej rzeki”, która „pędząc zamulonym nurtem przez rozległe, nieznanne, straszliwe ostępy wlewała mętne wody do łona łagodnej siostry”.

Wkrótce minęli ujście Ohio, minęli zarośla trzcin, walczyli z moskitami, płynęli dalej dzień po dniu wśród głębokiej ciszy i samotności rzeki, drzemiąc w skąpym cieniu dorywczo sporządzonych zasłon i piekąc się w żarze słonecznym. Napotkali drugą gromadę Indian i wymienili z nimi uprzejmości, aż wreszcie dotarli do ujścia Arkansas (prawie miesiąc po wyruszeniu), gdzie całe plemię dzikich, wydając okrzyki wojenne, wyroiło się na brzeg, aby zastąpić drogę i wymordować podróżników. Lecz oni poczęli błagać o pomoc Najświętszą Pannę, więc zamiast walki odbyła się uczta i było przy tym mnóstwo przyjemnej paplaniny i wesołych podrygów.

Stwierdzili z zadowoleniem, że Missisipi nie wpada do Zatoki Kalifornijskiej ani do Atlantyku. Przypuszczali, że wpada do Zatoki Meksykańskiej. Teraz więc zawrócili i zanieśli ową wielką nowinę do Kanady.

Ale przypuszczenie to jeszcze nie dowód. Dopiero La Salle miał dostarczyć tego dowodu. Napotykał na rozmaite groźne przeszkody, lecz wreszcie pod koniec 1681 roku zdołał przygotować wyprawę. Wśród głębokiej zimy on i jego podkomendny, Henryk de Tonty, syn Wawrzyńca Tonty (który wymyślił system rent, zwany tontyną), wyruszyli do Illinois z zastępem sprowadzonych z Nowej Anglii osiemnastu Indian i dwudziestu trzech Francuzów. Szli pieszo, szeregiem, po zamarznętej rzece, ciągnąc czółna na płozach.

Przy jeziorze Peoria doszli do nie zamarznętej wody, popłynęli do Missisipi i zwrócili dzioby swych łodzi ku południowi. Musieli przeorać całe pola kry lodowej aż poza ujście Missouri i znajdujące się niedaleko ujście Ohio. „Przemykając się wśród obszarów nadbrzeżnych bagien, dnia 24 lutego wylądowali w pobliżu Trzeciej Skały Chickasaw”, gdzie się zatrzymali i zbudowali Fort Prudhomme.

I znów — powiada Parkman — wsiedli do łodzi i z każdym dalszym etapem pełnej przygód wyprawy odstawiali tajemnicę tego rozległego nowego świata. Coraz dalej i dalej wkraczali w królestwo wiosny. Przymglone światło słoneczne, ciepłe i senne powietrze, delikatne listowie, rozwijające się kwiaty zwiastowały budzenie się życia w naturze.

Dzień za dniem przepływali wielkie zakręty rzeki w cieniu gęstych lasów i wreszcie przybyli do ujścia Arkansas. Z początku tubylcy powitali ich tak jak Marquette’a, waleniem w bębny wojenne i wywijaniem bronią. W wypadku Marquette’a załagodziła sprawę Najświętsza Panna, dla La Salle’a uczyniła to fajka pokoju. Biały i czerwony człowiek uściśnieli sobie ręce i zabawiali się przez trzy dni. Następnie ku zachwytowi dzikich — La Salle zatknął krzyż z godłem Francji i w imieniu króla objął wedle łagodnego zwyczaju owych czasów cały kraj w posiadanie, podczas gdy ksiądz odśpiewaniem hymnu nabożnie uświęcił rabunek. Dla zbawienia dzikich ksiądz „za pomocą znaków” wyjaśnił tajemnice wiary, dając im w ten sposób przypuszczalnie posiadłości w niebie jako ekwiwalent za niewątpliwe posiadłości na ziemi, z których ich właśnie ograbiono. Również za pomocą znaków La Salle wydobył z tych

prostodusznych dzieci lasu zgodę na oddanie się pod władzę Ludwika Zgniłka — hen, za morzami. Nikt się nawet nie uśmiechnął z tego straszliwego szyderstwa.

Przedstawienie to odbywało się na terenie przyszłego miasta Napoleon, w stanie Arkansas, i tam na brzegach wielkiej rzeki wzniesiono pierwszy krzyż na znak zaboru. Poprzednio na tym samym miejscu, na terenie przyszłego miasta Napoleon, zakończyła się też odkrywczą podróż Marquette'a i Jolieta. Kiedy De Sotto w owych zamierzonych czasach rzucił przelotne spojrzenie na rzekę, uczynił to właśnie z tego samego miejsca, z terenów przyszłego miasta Napoleon w stanie Arkansas. I tak trzy spośród czterech pamiętnych zdarzeń związanych z odkryciem i poznawaniem tej potężnej rzeki odbyły się przypadkowo w jednym i tym samym miejscu. Jest to jedno z najdziwniejszych wydarzeń, jeśli się człowiek nad tym zastanowi i dobrze rzecz rozważy. Francja ukradła ten rozległy szmat kraju właśnie tu, na miejscu przyszłego miasta Napoleon, a niebawem sam Napoleon miał oddać ten kraj z powrotem — co prawda już nie właścicielom, ale ich białym amerykańskim spadkobiercom.

Podróżnicy ruszyli dalej; zatrzymując się tu i tam „minęli tereny, które od tego czasu stały się historyczne, Vicksburg i Wielką Zatoką”, i złożyli wizytę wspaniałemu indiańskiemu wodzowi w krainie Teche, której stolicą było spore miasto zbudowane z wysuszonych na słońcu cegieł z gliny zmieszanej ze słomą — i miało lepsze domy niż te, które obecnie tu stoją. W domu wodza znajdowała się sala przyjęć o powierzchni czterdziestu stóp kwadratowych i tam to, w otoczeniu sześćdziesięciu starców w białych szatach, wódz przyjął uroczyste Henryka de Tonty. W mieście znajdowała się świątynia, której jedna ze ścian ulepiona była z mułu i ozdobiona czaszkami wrogów złożonych w ofierze słońcu.

Podróżnicy odwiedzili Indian z Natchez, niedaleko miejsca, gdzie obecnie leży miasto tej nazwy, i znaleźli tam „religijny i polityczny despotyzm, uprzywilejowaną kastę pochodzącą od słońca, świątynię i święty ogień”. Musiało im się chyba wydawać, że wrócili do swego kraju. I był to istotnie ich kraj rodzinny, z tą tylko przewagą, że nie panował w nim Ludwik XIV.

Upłynęło jeszcze kilka dni i La Salle stanął w cieniu krzyża zaboru przy zbiegu wód spływających z Delaware, Itasca i łańcuchów górskich w pobliżu Oceanu Spokojnego z wodami Zatoki Meksykańskiej — wypełnił zadanie, dokonał cudu. Parkman tak kończy swoją zachwycającą relację:

Owego dnia królestwo francuskie otrzymało na pergaminie zdumiewające zdobycze. Żyzne równiny Teksasu, rozległe dorzecze Missisipi od zamrzniętych północnych źródeł aż po parne wybrzeża Zatoki, od lesistych grzbietów Alleghanów do nagich szczytów Gór Skalistych, obszary stepowe i lesiste, spalone słońcem pustynie i zraszone tysiącem rzek porośnięte trawą prairie z tysiącem wojowniczych szczepów — przeszły pod berło Sułtana z Wersalu, a wszystko to stało się za sprawą jednego słabego głosu ludzkiego, którego z odległości pół mili nie można dosłyszeć.

### Rozdział III

#### FRESKI Z PRZESZŁOŚCI

Teraz już rzeka była pozornie gotowa, ażeby stać się arterią handlową. Lecz nie doszło do tego — osadnictwo wzdłuż jej brzegów posuwało się tak powoli, ostrożnie i pochłaniało tyle czasu, co samo odkrycie i zbadanie rzeki.

Upłynęło siedemdziesiąt lat od jej zbadania, zanim na brzegach osiedliło się tyle białej ludności, by warto było brać ją pod uwagę — i jeszcze prawie pięćdziesiąt, nim rzeka stała się arterią handlową. Pomiedzy „otwarcie rzeki” przez La Salle'a a czasem, gdy można było o niej powiedzieć, że stanowi regularny ożywiony szlak handlowy, siedmiu panujących zajmowało kolejno tron angielski, Ameryka stała się niepodległym państwem, Ludwik XIV i Ludwik XV przeżarci chorobami umarli, monarchia francuska zawałowała się podczas czerwonej burzy rewolucji i właśnie zaczynało mówić o Napoleonie.

Z początku transport odbywał się na wielkich barkach towarowych. Płynęły z prądem lub pod żaglami z górnego biegu rzeki do Nowego Orleanu, tam zmieniały ładunek i wracały, mozolnie przeciągane i popychane drągami. Taka podróż tam i z powrotem trwała niekiedy dziewięć miesięcy. Z czasem ruch towarowy wzmógł się i dał zatrudnienie gromadom nieokrzesanych, lecz śmiałych ludzi. Twardzi, nieuczenni, dzielni, z żeglarskim stoicyzmem znosili straszliwe trudy. Tęgie moczymordy, hulaki, swawolili w spelunkach takich, jakim było dolne Natchez w owym czasie; zażarte zabijaki; bezwzględni, w zabawie niezgrabni jak słonie, sprośni i bezbożni; rozrzutni, bankruci pod koniec każdego rejsu, gustujący w barbarzyńskich ozdobach, niebywałe samochwały, a jednak ludzie z gruntu uczciwi, rzetelni, wierni w spełnianiu obietnic i obowiązków, a często wspaniale wielkoduszni.

Niebawem wtargnął na rzekę parowiec. Mimo to ludzie ci przez piętnaście lub dwadzieścia lat prowadzili barki towarowe w dół rzeki, a cały ruch w górę rzeki odbywał się już na parowcach. Sprzedawali więc barki w Nowym Orleanie i wracali jako pasażerowie na pokładzie parowców.

Ale po pewnym czasie tak się zwiększyła ilość i szybkość parowców, że mogły one już zagarnąć cały ruch handlowy; wtedy to transport na barkach zamarł na zawsze. Barkarz stał się marynarzem pokładowym, oficerem lub pilotem na parowcu. A gdy zabrakło dla niego koi na parowcu, znajdował ją sobie na lichtudze pittsburskiej albo na sosnowej tratwie zbitej w lasach gdzieś u źródeł Missisipi.

W radosnych czasach pomyślnego rozwoju żeglugi parowej rzeka od końca do końca była upstrzona flotyllami węglowców i tratwami z budulcem, przy czym wszystkie poruszano ręcznie i zatrudniano na nich zastępy owych twardych ludzi, których starałem się opisać. Pamiętam coroczne korowody potężnych tratw sunących koło Hannibal, kiedy byłem chłopcem: około akra białych, przyjemnie pachnących desek na każdej tratwie, załoga składająca się z kilkunastu albo kilkudziesięciu ludzi, trzy albo cztery namioty rozrzucone na rozległej, równej powierzchni tratwy jako schronienie przed burzą. Pamiętam także szorstkie obejście i okropną gwarę eks-barkarzy i ich godnych następców, jako że nieraz przepływaliśmy wpływ ćwierć lub trzecią część mili, by dostać się na tratwę i przejechać się na niej.

Ażeby zilustrować ową gwarę i obyczaje oraz minione, a prawie zapomniane życie na tratwach, przytoczę tu jeden rozdział z książki, nad którą pracowałem dorywczo przez ostatnie pięć czy sześć lat i którą może skończę za pięć lub sześć lat. Książka ta jest szczegółową historią życia prostego wiejskiego chłopca Hucka Finna, syna znanego za moich czasów pijaka w owym mieście na dalekim Zachodzie. Chłopak uciekł od prześladowającego go ojca i od prześladowającej go poczciwej wdowy, która chciała zrobić z niego miłego, prawdomównego, układnego chłopca. Razem z nim uciekł również niewolnik owej wdowy. Znaleźli kawał tratwy do spławiania drzewa (woda była wysoka i martwy sezon letni) i płynęli nocami w dół rzeki, kryjąc się w ciągu dnia pod wierzbami i kierując się na Cairo, gdzie Murzyn miał szukać wolności w sercu wolnych stanów. Lecz podczas mgły minęli Cairo, wcale o tym nie wiedząc. Wkrótce poczuli domyślać się prawdy i Huck Finn, ażeby skończyć ponurą niepewność, postanowił podpłynąć do olbrzymiej tratwy, którą widzieli daleko przed sobą, wpełznąć na nią pod osłoną ciemności i podsłuchując zebrać potrzebne im wiadomości.

\* \* \*

Ale wiecie o tym, że młody, gdy się niecierpliwi i chce się czegoś dowiedzieć, czekać nie potrafi. Omówiliśmy całą sprawę i Jim orzekł, iż noc jest tak czarna, że bez żadnego ryzyka będzie można dopłynąć do wielkiej tratwy, wpełznąć na nią i posłuchać. Na pewno będą rozmawiali o Cairo, bo będą chcieli wyjść na brzeg i trochę pohulać albo wysłać na brzeg łodzie po whisky, świeże mięso lub coś podobnego. Jim miał jak na Murzyna doskonałą głowę i mógł zawsze, jeżeli było potrzeba, dać dobry pomysł.

Zerwałem się, zrzuciłem z siebie łachy i skoczyłem do rzeki, kierując się w stronę światła na tratwie. Gdy już się przybliżyłem, zacząłem płynąć wolno i ostrożnie. Ale wszystko było w porządku: przy sterze nie zauważyłem nikogo. Płynąłem więc wzdłuż tratwy, aż znalazłem się naprzeciw ogniska na środku, wśliznąłem się na pokład i ostrożnie przycupnąłem wśród stosu gontów po nawietrznej stronie ogniska. Było tam trzynastu ludzi — stanowili oczywiście wachtę pokładową. Diabło twarde chłopcy! Mieli dzban i cynowe czarki. Dzban ciągle był w obiegu. Jeden śpiewał — można powiedzieć ryczał — a nie była to wcale przyjemna piosenka, w każdym razie nie salonowa. Ryczał przez nos i bardzo długo przeciągał ostatni wyraz każdego wiersza. Gdy skończył, wszyscy przynieśli coś w rodzaju indiańskiego bębna wojennego i on znowu coś zaśpiewał. Piosenka zaczynała się tak:

Była tu sobie raz paniusia mała,  
Paniusia z miasta naszego,  
Co męża swego najczulej kochała,  
Lecz jeszcze czulej innego.  
Od rana sobie tra la la śpiewała,  
Aż do wieczora samego  
I męża swego najczulej kochała,  
Lecz jeszcze czulej innego.

I tak dalej — aż czternaście zwrotek. Ale wszystko to było bardzo nędzne i gdy miał zacząć następną zwrotek, jeden z nich mruknął, że od takiej śpiewki zdechła raz stara krowa, a drugi dorzucił: — Och, dałbyś wreszcie spokój. — Inny poradził mu, żeby się przeszedł. Wyśmiewali się z niego, aż się wściekł, skoczył na równe nogi, począł ich przeklinać i przysięgać, że okulawi po kolei każdego łobuza. Mieli już rzucić się na niego, aż tu wyskakuje najpotężniejszy zę wszystkich chłop i powiada:

— Panowie, siedźcie spokojnie! Zostawcie go mnie, to mój kasek!

Potem trzy razy podskoczył wysoko w górę stukając obcasami za każdym razem. Odrzucił obszytą frędzlą kurtę z kozłej skóry i zawołał: — Niech leży, póki się z nim nie załatwię! — Zerwał z głowy zdobny wstążkami kapelusz i krzyknął: — Niech leży, dopóki go nie położę na obie łopatki!

Następnie znów podskoczył wysoko, stuknął obcasami i zawołał:

— Hu! Ha! Jestem stary, prawdziwy żelaznoszczęki, mosiężnołuski, miedzianobrzuchy truporób z puszczy Arkansas! Spójrzcie! To mnie nazywają Nagłą Śmiercią i Powszechną Zagładą! Spłodził mnie huragan, a wydało na świat trzęsienie ziemi — jestem przyrodnym bratem cholery, a ze strony matki bliskim krewnym ospy. Spójrzcie na mnie! Kiedy jestem zdrow, zjadam, na śniadanie dziewiętnaście krokodyli i zapijam beczułką whisky, a jakem chory, zjadam korzec grzechotników i truposza! Jednym spojrzeniem rozłupię wieczyste skały, a jak się odezwę, zagłuszam piorun! Hu Ha! Odstąpcie i zróbcie miejsce odpowiednie do mojej siły! Krew jest mym codziennym napojem, a jęki umierających muzyką dla moich uszu! Przyjrzyjcie mi się, panowie! Przywarujcie i wstrzymajcie oddech, bo będę tańczył!

Przez cały czas, gdy wyrzucał to z siebie, potrząsał głową z dzikim wyrazem twarzy i w jakiś szczególnie sposób nadymał się krążąc w małym kółku, zakasując rękawy, od czasu do czasu prostując się, waląc pięścią w piersi i wołając: — Spójrzcie na mnie, panowie! — Po czym znów trzy razy podskoczył, stuknął obcasami i ryknął: — Hu! Ha! Jestem najkrwawszy syn najdzikszego na świecie kota!

Wtedy ten, który zaczął awanturę, nasunął stary kapelusz na prawe oko, schylił się i poszedł do przodu ze zgiętym grzbietem i wypiętym zadem, wywijając i wymachując pięściami, i tak obszedł trzy razy w kółko, nadęty i zasapany. Potem wyprostował się, podskoczył trzy razy, stuknął obcasami i znów zapalając się (ku ogólnej ucieście) zaczął wykrzykiwać:

— Hu! Ha! Zegnij kark, rozplaszcz się, bo nadchodzi królestwo smutku! Trzymajcie mnie, bo czuję, że moja siła idzie w ruch! Hu! Ha! Jestem dzieckiem grzechu, nie dopuśćcie, abym



zaczął działać! Hej tam, bierzcie wszyscy okopcone szkiełka! Nie ważcie się patrzeć na mnie gołym okiem, panowie! Kiedym wesół, biorę całe południki i równoleżniki, robię z nich sieć i przyciągam ją przez Ocean Atlantycki, żeby nałowić wielorybów! Gdy chcę się podrapać w głowę, biorę błyskawicę, a kiedy zasypiam, wydaję pomruki jak huczący grom! Gdy mi jest zimno, podgrzewam aż do wrzenia Zatokę Meksykańską i kąpię się w niej, gdy mi gorąco, wachluję się sztormem. Gdy chce mi się pić, wyciągam rękę i wysysam do sucha chmurę jak gąbkę; gdy spustoszę na ziemi plony, głód idzie w moje ślady! Hu! Ha! Zegnij kark i rozplaszcz się! Kładę rękę na twarzy słońca i na ziemi robi się noc. Odgryzam kawałek księżycy i przyspieszam pory roku, jak się otrząsam, zwałam góry. Przyglądajcie mi się przez lunetę, nie gołym okiem! Jestem człowiekiem o kamiennym sercu i żelaznych wnętrznościach! Rozrywka moją w wolnych chwilach jest wyrzynanie w pień zapadłych osiedli, o poważnym zadaniem mego życia — zagłada całych narodów! Bezgraniczne przestrzenie wielkiej amerykańskiej pustyni są moją wyłączną własnością, a swoich zmarłych grzebię w moich własnych włościach!

Podskoczył, stuknął trzy razy obcasami i zapalając się (znów ku ogólnej uciechu) stanął i wykrzyknął: — Hu! Ha! Zegnij kark i rozplaszcz się, bo nadchodzi Dziecko Klęski!

Wówczas ten pierwszy, którego nazywali Bob, począł krążyć i sapać. Potem Dziecko Klęski, zdawał się większy i potężniejszy, wystąpił znowu, aż wreszcie obaj ruszyli jednocześnie krążąc wokół siebie, wygrażając pięściami przed oczyma, wrzeszcząc i wymyślając sobie jak Indianie. Potem Bob obrzucił Dziecko wyzwiskami, a Dziecko Klęski odplacił mu się równą monetą, na co Bob chlusnął nań stekiem jeszcze gorszych wyzwisk, a Dziecko odplacił mu nie lepszymi wyrazami. Następnie Bob zrzucił Dziecku kapelusz, ale Dziecko podniósł go i odplacając pięknym za nadobne cisnął zdobny wstążkami kapelusz Boba na jakie sześć stóp w górę. Tym razem Bob podniósł kapelusz i rzekł, że i tak jeszcze nie koniec, bo on nigdy nie zapomina i nie przebacza, więc niech Dziecko lepiej ma się na baczności, bo przyjdzie czas — czego jest pewien tak samo, jak tego, że żyje — że mu za to odpowie i przeleje krew aż do ostatniej kropli. Dziecko odparł, że nikt bardziej od niego nie pragnie, aby czas taki przyszedł, i że teraz uczciwie ostrzega Boba, by mu więcej nie wchodził w drogę, bo wtedy nie spocznie, póki nie unurza się w jego krwi, gdyż taką już ma naturę, choć teraz go oszczędza ze względu na jego rodzinę, jeżeli ją w ogóle posiada.

Obaj cofali się w przeciwnych kierunkach warcząc, potrząsając głowami i nieustannie strasząc się tym, co to mają zamiar sobie zrobić, aż tu wyskakuje jakiś mały czarnowłosy frant i powiada: — Chodźcie no tu, wy tchórze o zajęczym sercu, wymłóć was obu!

Tak też i uczynił. Dopadł ich, rzucał nimi, jak chciał, co chwila dając im porządnego kopniaka, a wywracał ich szybciej, niż mogli stanąć na nogi. Nie upłynęły dwie minuty, a skamlali jak psy — reszta zaś wyła i zaśmiewała się klaszcząc przez cały czas i wołając: — Bierz go, truporobie! Cha, cha, cha, lej go, Dziecko Klęski! Dalej, mały Dawidzie! — Przez chwilę zrobiła się nie lada kotłowanina. Bob i Dziecko mieli czerwone nosy i podbite oczy. Mały Dawid kazał im przyznać, że są podłymi tchórzami i że ani jeden, ani drugi nie jest godzien jadać z psem ani pić z Murzynem. A potem Bob i Dziecko bardzo uroczyście uścisnęli sobie ręce i rzekli, że chcą puścić wszystko w niepamięć. Umyli więc twarze w rzece i właśnie wtedy dał się słyszeć donośny rozkaz, aby się przygotować do manewrowania, i niektórzy z nich pobiegli naprzód do wiosła, a reszta na rufę.

Leżałem cicho, czekając przez piętnaście minut, i zaciągnąłem się dymem z fajki, którą jeden z nich zostawił w moim zasięgu. Potem manewr się skończył i przyczłapali z powrotem, zapijając kolejno, wśród gadania i śpiewu. Następnie wydostali skądś stare skrzypce i jeden z nich począł grać, a drugi wystukiwać takt „juby”, reszta zaś puściła się w płasy, podskakując w staroświeckim marynarskim tańcu. Długo tak jednak tańczyć nie mogli, bo dostali zadyszki, więc znów zgromadzili się wokoło dzbana.

Śpiewali chórem „Wesoło płynie życie flisaka”, a potem zaczęli rozmawiać o różnicach pomiędzy świniami i o rozlicznych ich zwyczajach, potem o kobietach i ich figlach, potem o najlepszych sposobach gaszenia palącego się domu, potem, co należy zrobić z Indianami, następnie o tym, co król ma do roboty i ile dostaje, jak zmusić koty, żeby się na siebie rzuciły, co robić, jak ktoś ma padaczkę, a w końcu o różnicy pomiędzy rzekami o wodach czystych i zamulonych. Ten, którego zwali Ed, powiedział, że mulista woda Missisipi jest zdrowsza do picia niż czysta woda z Ohio; mówił, że jeśli się weźmie półkwartek tej żółtej wody z Missisipi i poczeka, aż się ustoi, to na dzień zbierze się, stosownie do stanu rzeki, od połowy do trzech czwartych cala osadu — ale wtedy ta woda nie jest lepsza niż woda z Ohio, więc należy ciągle ją wstrząsać. Jeżeli zaś stan rzeki jest niski, trzeba wziąć do ręki trochę mułu i zagaścić nim wodę, by była taka, jaka być powinna.

Dziecko Klęski powiedział, że tak jest istotnie, bo muł jest odżywczy, że kto pije wodę Missisipi, może, jeśli chce, siać w żołądku kukurydzę. Mówił: — Spójrzcie na cmentarze, a sami zobaczycie. Na cmentarzu w Cincinnati nie urośnie żadne przyzwoite drzewo, a na cmentarzu w St. Louis drzewa strzelają w górę na osiemset stóp. A zależy to od wody, którą ludzie pili, nim kipnęli. Truposz z Cincinnati wcale nie użyźnia ziemi.

A potem rozmawiali o tym, że wody Ohio nie lubią mieszać się z wodami Missisipi. Ed powiedział, że jeśli na Missisipi jest przybór, a na Ohio niski stan, po wschodniej stronie Missisipi aż do ujścia, na przestrzeni stu lub więcej mil, widać szeroki pas czystej wody, ale gdy odpłynąć ćwierć mili od brzegu i przekroczyć tę linię, woda jest gęsta i żółta aż do przeciwnego brzegu. Potem mówili o tytoniu i jak go uchronić przed stęchlizną. Z tego przeszli na duchy i opowiadali o wielu duchach, które widzieli inni, lecz Ed zapytał:

— Dlaczego nie mówicie o czymś, coście sami widzieli? Ja wam opowiem. Pięć lat temu pływałem na tratwie takiej samej jak ta. Była właśnie jasna księżycowa noc, ja trzymałem wachtę, przednie wiosło prawej burty, a jeden z moich kompanów nazywał się Dick Allbright. No i przychodzi on tam, gdzie siedziałem, staje przede mną, gapi się, przeciąga, potem przechyla się przez krawędź tratwy i myje sobie gębę w rzece, a później przychodzi i siada koło mnie, wyciąga fajkę, napycha ją, spogląda w górę i powiada:

„Słuchaj no — mówi — czy tam za tym zakrętem to nie jest owo miejsce Bucka Millera?”

„Tak — powiadam. — A bo co?”

Odłożył fajkę, oparł głowę na rękę i mówi:

„Myślałem, że jesteśmy już dalej”.

Na to ja:

„Ja też tak myślałem, jak schodziłem z wachty (dryfowaliśmy sześć godzin), ale chłopcy powiedzieli mi — mówię — że tratwa prawie się nie ruszyła przez ostatnią godzinę, choć teraz niezłe posuwa”.

Stęknął jakoś i powiada:

„Jużem widział, jak jedna tratwa robiła to samo na tym samym miejscu — mówi — zdaje się, że prąd za tym zakrętem stoi od dwóch lat”.

A potem dwa czy trzy razy wstawał i rozglądał się daleko po wodzie. Ja się też podniosłem. Zawsze robi się to samo co inni, choćby w tym nawet nie było sensu. Wkrótce ujrzałem coś czarnego płynącego od prawej burty i unoszącego się na wodzie poza nami. Widzę, że i on na to patrzy, więc pytam:

„Co to jest?”

A on na to trochę opryskliwie:

„Nic, tylko stara, pusta beczka”.

„Pusta beczka! — mówię. — Co? Luneta to grat przy twoich oczach. Skąd możesz wiedzieć, że to pusta beczka?”

A on powiada:

„Nie wiem. Wolałbym, żeby to nie była beczka, ale myślę, że może jest!”

„Tak — powiadam — może jest, a może nie. Z takiej odległości nikt tego nie rozpozna” — mówię.

Nie mieliśmy nic innego do roboty, więc przypatrywaliśmy się dalej. Po chwili powiadam:

„Spójrz no, Allbright, chyba się do nas zbliża”.

Nie odpowiedział. Przedmiot zbliżał się coraz bardziej, a ja orzekłem, że musi to być jakiś okrutnie zmęczony pies. Zaczęliśmy przecinać rzekę w poprzek, a ta rzecz przepłynęła przez jasną smugę światła księżycowego i — na Boga — to była beczka.

„Allbright, skąd się domyśliłeś, że to beczka, choć była stąd o pół mili?” — mówię.

A on na to:

„Nie wiem”.

„Odpowiedz, Dick Allbright” — mówię. A on na to:

„Ano, wiedziałem, że to beczka. Widziałem ją przedtem, wielu ją widziało, mówili, że to beczka-widmo”.

Zawołałem resztę wachty i wszyscy stali i patrzyli, a ja im opowiedziałem, co mówił Dick. Płynęła teraz razem z nami, ale się już nie zbliżała. Była w odległości około dwudziestu stóp. Kilku było za tym, żeby ją wciągnąć na tratwę, ale reszta nie chciała. Dick Allbright powiedział, że wszystkie tratwy, które z nią zadzierały, spotkało nieszczęście. Dowódca wachty rzekł, że w to nie wierzy. Powiedział, że uważa, iż beczka prześciga nas, bo płynie z trochę szybszym prądem niż my. Mówił, że wkrótce zniknie nam z oczu.

A więc zaczęliśmy rozmawiać o czym innym, zaśpiewaliśmy jakąś pieśń i zamilkliśmy. Potem dowódca wachty chciał, żebyśmy znów zaśpiewali, ale zaczęło się chmurzyć, beczka tkwiła wciąż w tym samym miejscu, a pieśń jakoś nie bardzo dodawała zapału, więc jej nie skończyliśmy. Nikt nie wydał wesołego okrzyku, przez minutę panowała zupełna cisza. Potem wszyscy naraz starali się mówić, a jeden wykrztusił nawet jakiś dowcip, ale na nic się to nie przydało, nikt się nie śmiał, i nawet ten, co powiedział dowcip, nie śmiał się wcale, a to nieczęsto się zdarza. Wszyscy siedzieliśmy jacyś nieswoi i niepewni i śledziliśmy beczkę. A ona, powiadam wam, sunie czarna i cicha, a tu wiatr zaczyna w koło jęczeć, a potem zaczynają przelatywać błyskawice i walić pioruny. I rozpętała się burza, a podczas niej ktoś z załogi przebiegał na rufę, potknął się, upadł i wykręcił nogę w kostce, tak że się musiał położyć, na co chłopcy kiwali głowami. Ile razy przeleciała błyskawica, w niebieskim migotliwym świetle widać było beczkę. Mieliśmy ją ciągle na oku. Po jakimś czasie, niedługo przed świtem, znikła. Kiedy zrobił się dzień, nigdzie nie można jej było dojrzeć, czego zresztą wcale nie żałowaliśmy.

Ale następnego wieczoru, około wpół do dziewiątej, gdyśmy śpiewali i zabawa odbywała się na całym, zjawiała się znowu i zajęła dawne miejsce przy prawej burcie. Zabawa ustała. Wszyscy spoważnieli, nikt nic nie mówił, nikt nie chciał nic robić. Wszyscy snuli się zamyśleni i gapili się na beczkę. Znowu zaczęło się chmurzyć. Po zmianie służby, wachta zluzowana, zamiast iść spać, została. Burza wyła i ryczała przez całą noc i znów ktoś się przewrócił, wykręcił nogę w kostce i musiał wycofać się ze służby. Beczka zniknęła nad ranem, lecz nikt nie widział, jak zniknęła.

Przez cały dzień wszyscy byli przygnębieni i mieli zasznurowane gęby. Nie idzie mi o ten rodzaj przygnębienia, który pochodzi stąd, że się nie wypilo nic mocniejszego — o, nie. Byli spokojni, pili więcej niż zwykle. Nie razem — pili sami, na osobności.

Gdy się ściemniło, zluzowana wachta nie odeszła, nikt nie śpiewał, nikt nie rozmawiał, chłopcy nie rozchodzili się, raczej trzymali się kupy na przodzie tratwy. Przez dwie godziny siedzieli w zupełnej ciszy patrząc uparcie w jednym kierunku i od czasu do czasu wzdychając. I nagle znów zjawiała się beczka. Zajmuje dawne miejsce i tkwi tam przez całą noc. Nikt się nie poruszył. Po północy znów przyszła burza. Zrobiło się strasznie ciemno, deszcz lał, grad ciął, grzmoty huczały, wyły, zerwał się huragan, na niebie rozpościerały się ogromną płachtą błyskawice ukazując tratwę dokładnie jak w dzień, rzeka bluzgała w górę, biała jak mleko,

gdzie okiem sięgnąć, milami, a beczka ciągle kołysała się tak samo. Kapitan wydał rozkaz, żeby wachta obsadziła wiosło rufowe, byśmy mogli przystąpić do manewrowania, ale nikt nie chciał iść — powiedzieli, że nie chcą łamać sobie nóg. Nawet się nie ruszą. I właśnie wtedy niebo pękło z trzaskiem i piorun zabił dwóch z wachty, a z dwóch następnych zrobił kaleki. Jak zrobił z nich kaleki? — pytacie. — Ano powykręcał im nogi w kostce!

Beczka zniknęła w ciemności, w przerwie pomiędzy błyskawicami, niedługo przed świtem. Tego ranka przy śniadaniu nikt nie tknął ani kęsa. Potem ludzie wałęsali się po dwóch, po trzech, rozmawiając cicho. Ale żaden nie podchodził do Dicka Allbrighta. Wszyscy przywitani go chłodno. Gdy zbliżał się do nich, rozstępowali się i odchodzili. Nie chcieli z nim stać przy wiosle. Kapitan kazał wciągnąć wszystkie łódki na tratwę koło swego wigwamu i nie pozwolił zawieźć zabitych na ląd i pochować. Nie wierzył, żeby ktokolwiek z nas, kto stanie na lądzie, mógł powrócić. I miał rację.

Kiedy nadeszła noc, wyraźnie już było widać, że jeżeli beczka powróci, będzie źle. Chodziły już o tym szept. Wielu chciało zabić Dicka Allbrighta, ponieważ widział beczkę w dawniejszych rejsach, a to pachniało czymś złym. Inni chcieli wysadzić go na ląd. A jeszcze inni mówili, że jeżeli beczka powróci, niech wszyscy kupą wysiadają na ląd.

Takie właśnie szept krążyły jeszcze wśród ludzi, którzy stłoczywszy się na przodzie wypatrywali beczki, kiedy — wyobraźcie tylko sobie — zjawia się znowu. Płynie wolno, wytrwale i zajmuje dawne miejsce. Można było ułuszczyć przelatującą muchę. Nareszcie przychodzi kapitan i powiada:

„Chłopcy, nie bądźcie dziećmi ani gromadą głupców. Nie chcę, żeby ta beczka ściagała nas przez całą drogę do Orleanu i wy też nie chcecie. Więc jakby ją można najlepiej zatrzymać? Spalić ją — ot co! Wciągnę ją na pokład” — powiada. I nim kto zdążył powiedzieć słowo, rzucił się w wodę.

Podpłynął do niej, a gdy zaczął ją popychać w kierunku tratwy, ludzie skupili się na jednej stronie. Ale on wciągnął ją na tratwę, rozłupał przez wierzch, a w środku było — dziecko! Tak, proszę was, golusienkie dziecko! Było to dziecko Dicka Allbrighta; przyznał się i powiedział:

„Tak — powiada schylając się nad nim — tak, to moje nieodżałowane dzieciątko, mój biedny, zmarły Karol William Allbright”. Umiał, jeśli mu się chciało, najokrutniejsze słowa w ludzkiej mowie wygładzić językiem i podać bez zająknięcia. Tak, przyznał się, że mieszkał tu kiedyś, na tym zakręcie, i pewnej nocy zadusił płaczące dziecko, nie mając zamiaru go zabijać — co prawdopodobnie było kłamstwem — a potem przestraszył się i ukrył je w beczce, nim żona wróciła do domu, po czym ruszył w świat północnym szlakiem i przystał do flisaków. A beczka ściaga go już trzeci rok. Mówił, że nieszczęście zawsze zaczynało się niewinnie i trwało, póki nie padło czterech ludzi, a potem beczka już się nie zjawiała. Mówił, że gdyby przetrzymali jeszcze jedną noc... i mówił coś jeszcze — ale oni mieli już tego dosyć. Poczeli spuszczać łódkę, żeby go przewieźć na ląd i zlinczować, on jednak nagle chwycił dziecko i zalany łzami, trzymając je w ramionach i tuląc do piersi, skoczył w wodę. I więcej już nie widzieliśmy ani owego nieszczęśnika, ani Karola Williama.

— Kto był zalany łzami? — pyta Bob. — Allbright czy dziecko?

— Jak to? Allbright, ma się rozumieć. Czy wam nie mówiłem, że dziecko nie żyło? Nie żyło od trzech lat, jakże mogło płakać?

— Mniejsza o to, jak mogło płakać, ale jak mogło przetrwać przez cały ten czas? — powiada Davy. — Na to mi odpowiedzcie.

— Nie wiem, jak to się stało — mówi Ed. — A jednak tak było. To wszystko, co o tym wiem.

— Powiedz, co zrobili z beczką? — pyta Dziecko Klęski.

— Ano, rzucili ją do wody i poszła na dno jak kawał ołowiu.

— Edward, czy dziecko wyglądało na uduszone? — odzywa się jeden.

— Czy miało rozdziałek we wosach? — pyta inny.  
— Jaki był znak na tej beczce, Eddy? — pyta jeden, którego nazywali Bill.  
— Czy masz jakieś dowody, Edmundzie? — mówi Jimmy.  
— Powiedz, Edwin, czy ty byłeś tym, którego zabił piorun? — powiada Davy.  
— On? O, nie! On był i jednym, i drugim — mówi Bob. I wszyscy zaczęli pytać jeden przez drugiego.

— Słuchaj no, Edwardzie, czy nie uważasz, żeś powinien wziąć jakie lekarstwo? Żle wyglądasz. Czy nie czujesz się kiepsko? — mówi Dziecko Klęski.

— No, dość tego, Eddy — powiada Jimmy. — Pokaż dowody. Musiałeś zachować jakiś kawałek tej beczki. Pokaż nam dziurę od szpuntu. Pokaż, to ci uwierzemy.

— Słuchajcie, chłopcy — mówi Bill. — Podzielmy się. Jest nas trzynastu. Ja mogę połknąć trzynastą część tej gadki, jeżeli wy zdołacie przełknąć resztę.

Ed zerwał się wściekły, krzyknął, że wszyscy mogą sobie iść gdzieś — przy czym miejsce to określił dosadnie — i odszedł klnąc pod nosem, a oni wyli, kpili z niego, ryczeli i tak się śmiali, że można ich było słyszeć o milę.

— Chłopcy, na cześć tego rozłupiemy sobie kawona — powiada Dziecko Klęski i zaczyna gmerać w ciemności pomiędzy stosami gontów, gdzie siedziałem, i kładzie rękę na mnie. Byłem ciepły, miękki i nagi, więc krzyknął: — O rety! — i odskoczył.

— Przynieście latarnię albo porządną głównię, chłopcy. Tu jest wąż wielki jak krowa. Więc przybiegli z latarnią i sfłoczeni patrzyli na mnie.

— Wyłaż stamtąd, nicponiu! — woła jeden.

— A coś ty za jeden? — woła drugi.

— Po coś tu wlaź? Mów prędko, bo pójdziesz za burtę.

— Wywleczcie go, chłopcy. Wyciągnijcie go za pięty.

Zacząłem błagać o litość i drżąc wyczołgałem się spośród gontów. Oglądano mnie ze zdumieniem, a Dziecko Klęski rzekł:

— Przeklęty złodziej! Weźcie go i wyrzucie za burtę!

— Nie — powiada Duży Bob. — Przynieście garnek z farbą i pomalujcie go całego na niebiesko od stóp do głów, a potem wyrzucie za burtę!

— Dobra! Świetnie. Idź po farbę, Jimmy!

Kiedy przynieśli farbę i Bob wziął pędzel i zabierał się do malowania, a inni zacierając ręce zaśmiewali się, rozplakałem się i to podziałało na Davy'ego, bo powiada:

— Dość tego! To przecie szczeniak. Zamaluję każdego, kto go tylko dotknie!

Więc rozejrzałem się wokoło, niektórzy mruczeli i burczeli, lecz Bob odłożył pędzel, a inni go nie podnieśli.

— Chodź tu do ognia, zobaczymy, coś ty za jeden — mówi Davy. — A teraz usiądź i gadaj wszystko o sobie. Jak długo tu jesteś?

— Nie ma i ćwierć minuty, proszę pana — mówię.

— Jak mogłeś tak prędko wyschnąć?

— Nie wiem, panie. Ja tak zawsze, przeważnie.

— O, zawsze, przeważnie... Jak się nazywasz?

Nie chciałem powiedzieć. Nie wiedziałem, co rzec, więc palnąłem :

— Karol William Allbright.

Wszyscy ryknęli śmiechem, a ja byłem bardzo rad, że tak powiedziałem, bo może śmiech wprawi ich w lepszy humor.

Kiedy przestali się śmiać, Davy powiada:

— Nic z tego, Karolu Williamie. Przez pięć lat nie mógłbyś tyle urosnąć, a wiesz, żeś był niemowlakiem, jakieś wyszedł z beczki, i do tego nieżywym. No, gadaj prawdę, a nikt ci nic nie zrobi, jeżeli nie miałeś złych zamiarów. Jak się nazywasz?

— Aleck Hopkins, panie. Aleck James Hopkins.

— A więc Aleck. Skądś się tu wziął?

— Z towarowej barki, stoi tam, za okrętem. Urodziłem się na niej. Tata pływał z ładunkiem w górę i w dół rzeki przez całe życie. To on mi kazał tu przypłynąć, bo jakście nas mijali, powiedział, że chciałby, żeby który z was porozmawiał z jednym panem Jonaszem Turnerem w Cairo i powiedział mu...

— Co, naprawdę?!

— Tak, panie, to święta prawda, tata powiedział...

— Czy babka?

Wszyscy roześmieli się, a ja znów próbowałem mówić, ale mi przerwali.

— Słuchaj no — powiada Davy — jesteś zastraszony i mówisz od rzeczy. Powiedz uczciwie, czy mieszkasz na barce, czy kłamiesz?

— Tak, panie, na towarowej barce. Stoi tam za okrętem. Ale się na niej nie urodziłem. To nasz pierwszy rejs.

— No, teraz to gadasz, jak się należy. Po coś tu wlaź? Żeby kraść?

— Nie, panie. Chciałem się tylko przejechać na tratwie. Wszyscy chłopcy tak robią.

— Wiem o tym. Ale dlaczegoś się schował?

— Czasami przepędzają chłopców.

— A tak, przepędzają. Mogą kraść. Słuchaj no, jeżeli tym razem cię puścimy, nie będą się ciebie więcej czepiały takie kawały?

— Nie, szefie, nigdy. Na pewno.

— Dobra. Jesteś niedaleko brzegu. Zmiataj stąd, a na drugi raz nie rób z siebie głupca. Do pioruna, chłopaku, inni flisacy spraliby cię na kwaśne jabłko!

Nie czekałem, aż mnie pocałują na pożegnanie, lecz skoczyłem za burtę i pomknąłem do brzegu. Gdy po chwili zjawił się Jim, wielka tratwa opłynąwszy zakręt zniknęła nam już z oczu. Kiedy znalazłem się znowu w łodzi, bardzo byłem rad, że jestem jak w domu.

\* \* \*

Chłopiec nie otrzymał informacji, po którą się wyprawił, ale jego przygoda wydobyła z mroku postać dawnego flisa i barkarza, którego chcę tu przedstawić.

Przechodzę teraz do tego okresu życia na rzece Missisipi, kiedy kwitła tam żegluga parowa, która, jak mi się wydaje, zdała w pełni egzamin z zadziwiającej sztuki nawigowania. Myślę, że czegoś podobnego nie było nigdzie w świecie.

## Rozdział IV

### CHŁOPIĘCA AMBICJA

Kiedy byłem chłopcem, moi koledzy w naszym małym osiedlu Hannibal w stanie Missouri na zachodnim brzegu rzeki Missisipi mieli jedną ambicję: zostać marynarzem na rzeczonym parowcu. Mieliśmy jeszcze inne ambicje, ale te były tylko przelotne. Gdy przyjeżdżał, a potem odjeżdżał cyrk, wszystkich nas ogarniała żądza zostania kłownami. Gdy po raz pierwszy zawitała do nas trupa wędrownych śpiewaków murzyńskich, wszyscy pragnęliśmy zakosztować takiego życia. Od czasu do czasu miewaliśmy nadzieję, że jeżeli będziemy żyć i będziemy grzeczni, Pan Bóg pozwoli nam zostać piratami. Ambicje te gasły jedna po drugiej, ale ambicja zostania marynarzem na rzeczonym statku parowym nie opuszczała nas nigdy.

Raz na dzień lichy, pretensjonalnie ozdobny statek pocztowo-pasażerski przybywał z górnego biegu rzeki z St. Louis, a drugi z dolnego — z Keokuk. Przed tymi dwoma wydarzeniami dzień był wspaniały już przez samo oczekiwanie, potem stawał się martwy i pusty. Czuli to nie tylko chłopcy, ale całe osiedle. Choć upłynęło już tyle lat, widzę dokładnie te dawne czasy, tak jakby to było dziś: białe miasteczko drzemie w słońcu letniego poranka, puste albo prawie puste ulice, przed każdym sklepem na Water Street siedzi jeden albo dwóch sprzedawców na dziurawych, opartych o ścianę krzesłach; śpi z brodą opuszczoną na piersi i z

kapeluszem zsuniętym na oczy wśród obficie rozsypanych wokoło wiórów gontowych, świadczących o tym, co ich zmożyło; maciora z prosiętami włóczy się po chodniku i robi spustoszenie wśród łupin i nasion kawonów; widać kilka samotnych palików wbitych na nabrzeżu; potem stos płóz na pochylni wybrukowanej kamieniami przystani i cuchnący, miasteczkowy pijak, który chrapie w ich cieniu; na końcu przystani jest kilka łodzi, ale nie ma nikogo, kto by słuchał spokojnego chlupotania fal uderzających o nie; wielka Missisipi, majestatyczna, wspaniała Missisipi toczy milowy, lśniący w słońcu nurt; daleko po drugiej stronie rozciąga się gęsty las; cypel przed miasteczkiem i cypel za nim ogranicza obszar rzeki i zmienia ją w coś w rodzaju morza i to bardzo spokojnego, połyskliwego i samotnego. Nagle ponad jednym z owych odległych cypli ukazuje się mgiełka ciemnego dymu. Natychmiast sławny z bystrego wzroku i donośnego głosu Murzyn-woźnica poczyna krzyczeć: — Sta-tek! Sta-tek! — i wszystko się zmienia. Pijak miasteczkowy usiłuje się dźwignąć, sprzedawcy budzą się, rozlega się wściekły turkot platform, z każdego domu i sklepu wylewa się tłum ludzi i w mgnieniu oka zamarte miasteczko ożywa i rusza się. Platformy, wozy, mężczyźni, chłopcy, wszyscy spieszą do wspólnego celu — przystani. Zbici w gromadę wlepiają oczy w zbliżający się statek, jakby to był jakiś dziw, który oglądają po raz pierwszy. A statek rzeczywiście pięknie się prezentuje. Jest długi, wysmukły, zgrabny i ładny. Ma dwa wysokie kominy zakończone jakimś pozłacanym fidrygałkiem zawieszonym między nimi, ozdobną sterówkę całą ze szkła i ze złoceniami, uczeponą na „teksaskim pokładzie” — wspaniałe osłony kół z obrazkiem albo złocnymi promieniami ponad nazwą statku; pokład maszynowy, pokład sztormowy i „górnny”, ogrodzone i ozdobione czystymi, białymi poręczami; z masztu dostojnie powiewa bandera. Drzwi paleniska są otwarte i ogień buzuje ochoczo. Górne pokłady aż czarne są od podróży. Kapitan stoi przy dużym dzwonie, spokojny, władczy, jest obiektem zazdrości wszystkich. Wielkie zwoje najczarniejszego dymu kłębią się i wydobywają z kominów — wspaniałość osiągnięta oszczędnie, za pomocą kawałka smolistej sosny, przed samym przybyciem do miasteczka. Załoga gromadzi się przy dziobówce. Szeroki pomost jest daleko wysunięty, a na końcu w malowniczej pozie stoi wzbudzający ogólną zazdrość marynarz ze zwojem lin w rękę. Zduszona para świszczę z zaworów. Kapitan podnosi rękę, dzwon dzwoni, koła stają. Potem obracają się wstecz zbijając wodę na pianę i parowiec uspokaja się. A potem wszczynają taki tumult przy dostawaniu się na statek i ze statku na brzeg, przy ładowaniu i wyładowywaniu towarów, a wszystko na raz! Jakie krzyki i przekleństwa, gdy marynarze starają się z tym wszystkim uporać! Po dziesięciu minutach parowiec jest znów w drodze, bez bandery na maszcie, bez czarnego dymu wydobywającego się z kominów. Jeszcze dziesięć minut i miasteczko znowu obumiera a pijak miasteczkowy znowu zapada w sen na pochylni.

Mój ojciec był sędzią pokoju, a ja wyobrażałem sobie, że posiada władzę nad życiem i śmiercią wszystkich ludzi i że może wieszać każdego, kto go obrazi. Była to w moich oczach dość zaszczytna funkcja, ale mimo wszystko wolałem zostać marynarzem na statku parowym. Najprzód chciałem być chłopcem okrętowym, żeby móc wychodzić na pokład w białym fartuchu i wytrząsać okruszki z obrusa za burłę, tak by mnie widzieli wszyscy koledzy. Potem myślałem, że będę raczej marynarzem pokładowym, który stoi na krawędzi pokładu ze zwojem lin w rękę, bo wtedy wszyscy mogą go widzieć doskonale. Ale cóż, były to tylko sny na jawie, zbyt niebiańskie, aby dało się je urzeczywistnić. Wkrótce jeden z naszych chłopców ulotnił się. Przez długi czas nic o nim nie słyszano. Wreszcie okazało się, że jest praktykantem-mechanikiem na statku parowym. Rzecz ta zachwiała w posadach wszystkim, czego się nauczyłem w niedzielnej szkółce. Chłopiec ten należał do znanych nicponiów, ja zaś byłem jego przeciwieństwem; on jednak został wyniesiony na takie wyżyny, podczas gdy ja pozostawałem w cieniu zapomnienia. A w całej tej jego wielkości nie było nic szlachetnego. Kiedy jego statek czekał w przystani naszego miasteczka, niegodziwiec ten zawsze starał się wynaleźć gdzieś zardzewiałą śrubę i jak miał wachtę na statku, siadał i

skrobał ją w takim miejscu, żeby wszyscy mogli go widzieć, zazdrościć mu i złorzeczyć. A kiedy statek był w remoncie, przychodził do domu i wałęsał się po miasteczku w najczarniejszym i najbardziej zatłuszczonym ubraniu, tak by nikt nie zapomniał, że jest marynarzem na statku parowym. W rozmowach sypał mnóstwem technicznych terminów dotyczących parowca, jakby był do nich tak przyzwyczajony, że nie jest w stanie pamiętać, iż zwyczajni ludzie tego nie rozumieją. Mówił o „bakborcie” konia w zwyczajny, naturalny sposób, który sprawiał, że rozmówca życzył mu, żeby padł trupem. O St. Louis mówił zawsze, jakby był starym mieszkańcem tego miasta. Wspominał od niechcenia, jak „przechodził właśnie przez Czwartą Ulicę” lub „mijał Dom Plantatora”, albo jak się paliło, a on prowadził statek wśród ławic „starej wielkiej Missouri”; potem gadał dalej i kłamał, ile to miast takich jak nasze spaliło się owego dnia. Przez długi czas uważaliśmy dwóch czy trzech chłopców spośród nas za znakomite osobistości tylko dlatego, że raz jeden byli w St. Louis i mieli jakieś takie pojęcie o jego cudach, ale teraz dzień ich chwały przeminął, zapadli w skromne milczenie i starali się zniknąć, jak tylko zbliżał się bezlitosny pomagier mechanika. Miał pieniądze, a także pomadę do włosów. Miał też zepsuty srebrny zegarek i okazały mosiężny łańcuch do zegarka. Nosił skórzany pas i nigdy nie używał szelek. Jeżeli kiedykolwiek jakiś młodzieniec był szczerze podziwiany, a zarazem nienawidzony przez kolegów — to właśnie on. Żadna dziewczyna nie mogła oprzeć się jego czarowi. „Wystawiał do wiatru” każdego chłopca w osiedlu. Gdy wreszcie jego statek wyleciał w powietrze, ogarnęło nas uczucie cichego zadowolenia, jakiego nie zazналиśmy od szeregu miesięcy. Ale gdy po tygodniu wrócił do domu żywy, okryty chwałą i zjawił się w kościele, cały obwiązany i zabandażowany, promieniejący bohater, którego oglądali i podziwiali wszyscy, wydawało nam się, że stronniczość Opatrzności wobec tego gada doszła do szczytu i musi być poddana krytyce.

Kariera owego nędznika mogła wywołać tylko jeden skutek, co też się niebawem stało. Jeden chłopiec za drugim starał się dostać na rzekę. Syn proboszcza został mechanikiem. Synowie doktora i kierownika poczty stali się pomocnikami klarka okrętowego. Syn hurtownika napojów wyskokowych był barmanem na statku. Czterech synów najbogatszego kupca i dwóch synów sędziego pracowało jako piloci. Stanowisko pilota było najwspanialsze ze wszystkich. Pilot, nawet w owych czasach nędznych zarobków, miał książęcą pensję, od stu pięćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, i bezpłatne wyżywienie. Dwumiesięczna taka pensja równała się rocznemu zarobkowi kaznodziei. Lecz niektórzy z nas byli niepokieszeni. Nie mogliśmy dostać się na rzekę — rodzice nam nie pozwalali.

A więc wkrótce uciekłem. Powiedziałem, że nie wrócę do domu, aż zostanę pilotem i będę mógł powrócić okryty chwałą. Ale jakoś nie mogłem tego dopiąć. Wchodziłem skromnie na pokład kilku statków, które stały stłoczone jak sardynki w rozległym porcie St. Louis, i bardzo pokornie zapytywałem, czy nie mógłbym zostać pilotem, ale w odpowiedzi starsi oficerowie i rachmistrze okrętowi tylko obojętnie wzruszali ramionami. Musiałem więc chwilowo pogodzić się z takim traktowaniem, lecz ciągle pocieszałem się śniąc na jawie o przyszłości, kiedy to zostanę wielkim i szanowanym pilotem, będę miał mnóstwo pieniędzy i będę mógł pozabijać tych wszystkich starszych oficerów i klarków i za to zapłacić!

## Rozdział V

### CHCĘ ZOSTAĆ POMOCNIKIEM PILOTA

W parę miesięcy później nadzieja moja zmarła naturalną śmiercią i stwierdziłem, że nie mam już żadnych ambicji. Ale wstydziłem się wracać do domu. Byłem w Cincinnati i zacząłem obmyślać plan nowej kariery. Czytałem o wyprawie odkrywczej, którą rząd wysłał nad Amazonkę. Pisano, że wyprawa ta wskutek wielu trudności nie zdołała zbadać dokładnie części kraju leżącego nad górnymi dopływami, jakieś cztery tysiące mil od ujścia rzeki. Od



Cincinnati do Nowego Orleanu, gdzie niewątpliwie mógłbym dostać się na statek, było około tysiąca pięciuset mil. Miałem jeszcze trzydzieści dolarów; pojedę i doprowadzę do końca odkrywanie Amazonki. Oto wszystkie myśli, jakie poświęciłem tej sprawie. Obmyślanie szczegółów nigdy nie było moją mocną stroną. Zapakowałem więc walizkę i wsiadłem na staroświecką łajbę zwaną „Paul Jones” płynącą do Nowego Orleanu. Za szesnaście dolarów mogłem niemalże wyłącznie rozporządzać całym jej salonem z popękаныmi i poplamionymi ozdobami, bo niewielu doświadczeńszych pasażerów chciało się na nią pokusić.

Gdyśmy wreszcie ruszyli i poczęli pruć szeroką Ohio, stałem się nowym człowiekiem i przedmiotem własnego podziwu. Byłem podróżnikiem! Nigdy jeszcze wyraz ten w mych ustach tak mi nie smakował. Miałem radosne uczucie, że wyruszam do tajemniczych lądów i odległych krain. Byłem w tak podniosłym nastroju, że opuściły mnie wszystkie niegodne uczucia i litowałem się nad tymi, co nie podróżują, ogarnęło mnie współczucie, nie mające w sobie cienia pogardy. A jednak, kiedy zatrzymywaliśmy się przy wioskach i tartakach, nie mogłem się oprzeć, żeby nie rozpierać się niedbale na relingu pokładu maszynowego i rozkoszować się zazdrością wiejskich chłopców na brzegu. Jeżeli nic nie wskazywało na to, że mnie zauważyli, kichałem, żeby zwrócić ich uwagę, albo przybierałem taką pozycję, że musieli mnie zobaczyć! A jak tylko przekonałem się, że już mnie widzą, zaczynałem ziewać, przeciągać się i na wszelkie sposoby demonstrować znudzenie podróżą.

Przez cały czas nie wkładałem kapelusza i wystawiałem się na wiatr i słońce, ponieważ chciałem nabrać wyglądu ogorzałego od słońca i wiatru starego podróżnika. Nim upłynęła połowa drugiego dnia podróży, doznałem radości, która napełniła mnie najczystsza błogością, ponieważ twarz i szyja spuchły mi i skóra zaczęła się łuszczyć. Jakże pragnąłem, żeby nasi chłopcy i dziewczęta mogli mnie teraz widzieć!

W oznaczonym czasie dojechaliśmy do Louisville, to znaczy w jego okolice. Utknęliśmy bowiem na skałach pośrodku rzeki i staliśmy tam cztery dni. Zaczynało mnie ogarniać silne poczucie przynależności do załogi statku niczym do rodziny, jakbym był najmłodszym synem kapitana, a młodszym bratem oficerów. Dumy, jaka mnie z tego powodu rozpierała, ani coraz większego przywiązania do tych ludzi nie da się nawet wyrazić. Nie mogłem wiedzieć, że władczy bosman pogardza tego rodzaju zarozumiałością u zwykłego szczura lądowego. A właśnie najbardziej pragnąłem ściągnąć na siebie choćby najlżejszy cień uwagi tego wielkiego, krzykliwego starszego oficera i czyhałem na sposobność wyświadczenia mu jakiejś przysługi. Nareszcie nadarzyła się. Właśnie w dziobówce rozpętała się gwałtowna sprzeczka o to, jak zamocować drzewce, więc zbiegłem tam i stanąłem w przejściu, aż nagle starszy oficer rycząc wydał rozkaz, aby ktoś przyniósł mu drogą kabestan. Jednym susem znalazłem się przy nim i zawołałem: — Ja przyniosę, niech pan tylko powie, gdzie jest!

Gdyby gałganiarz zaoferował się wykonać jakąś dyplomatyczną misję dla cara Rosji, monarcha nie mógłby zdumieć się bardziej niż ten oficer. Przestał nawet kłąć. Stał i wpatrywał się we mnie. Upłynęło kilka sekund, zanim przyszedł do siebie. Wtedy rzekł z naciskiem: — Co, czy to diabli nadali?! — i zabrał się do roboty z miną człowieka, który natknął się na zagadnienie zbyt zawiłe, aby je mógł rozwiązać.

Wycofałem się cichaczem i rzuciłem w objęcia samotności na całą resztę dnia. Nie poszedłem na obiad: wstrzymałem się od kolacji, póki wszyscy jej nie skończyli. Już się nie czułem takim członkiem załogi-rodziny jak przedtem. A jednak w miarę jak posuwaliśmy się w dół rzeki, humor stopniowo mi wracał. Przykro mi było, że nienawidzę starszego oficera, bo nie uwielbiać go było wbrew naturze ludzkiej (zwłaszcza młodej). Był olbrzymi i muskularny, miał brodę, bokobrody i wąsy, na prawym ramieniu, po obydwu stronach niebieskiej kotwicy z czerwoną liną, wytatuowaną czerwoną i niebieską kobietę, a co się tyczy przekleństw, nikt by go nie prześcignął. Kiedy wyładowywał towar na przystani, byłem zawsze tam, skąd mogłem go widzieć i słyszeć. Czuł cały majestat swego wysokiego stanowiska, dawał też odczuć to światu. Najzwyklejszy rozkaz wyrzucał z siebie z szybkością błyskawicy, a potem

posyłał długi, dudniący stek przekleństw, które grzmiały jak huk pioruna. Mimo woli porównywałem sposób, w jaki przeciętny szczur lądowy wydaje rozkazy i w jaki robi to ten marynarz. Gdyby szczur lądowy chciał, żeby przesunięto trap o jedną stopę naprzód, powiedziałby prawdopodobnie: „Jakubie czy Wiliamie, proszę, niech jeden z was popchnie trap ku przodowi!” Ale postawił tylko starszego oficera na jego miejscu, a ryknie: „Hej tam, jazda z tym trapem! Żywo! Co się gagicie! Brać go! Brać go! Już! No! Dalej! Dalej! Słyszycie? Żeby was cholera! Cóż to? Spisz? Pchaj mocno! Pchaj mocno, powiadam! Co, chcecie go zepchać na rufę? Gdzie lezicie z tą beczką? Naprzód, bo każę wam ją połknąć, prze-prze-prze- klęte nasienie szlamowego żółwia i kulawej, karawaniarskiej szkapy!”

Cóż bym dał za to, żeby tak umieć.

Gdy boleść po mojej przygodzie ze starszym oficerem nieco osłabła, zacząłem nieśmiało zbliżać się do najskromniejszego pracownika na statku — marynarza z nocnej wachty. Z początku odburknął na moje awanse, ale natychmiast ośmieliłem się ofiarować mu nową glinianą fajkę i to go udobruchało. A więc pozwolił mi siedzieć ze sobą przy wielkim dzwonie na sztormowym pokładzie, a z biegiem czasu tak stopniał, że nawet zaczął rozmawiać. Nie mógł się po prostu temu oprzeć, skoro z tak pokornym uwielbieniem przyjmowałem każde jego słowo i tak wyraźnie okazywałem, jak zaszczycony się czuję, iż raczył mnie zauważyć. Mówił mi nazwy zamglonych przylądków i cienistych wysp, gdy pod migocącymi gwiazdami przesuwaliśmy się koło nich wśród uroczystej ciszy nocnej, a potem zaczął mówić o sobie. Jak na człowieka, którego zarobek wynosi sześć dolarów tygodniowo, wydawał się zbyt sentymentalny — albo raczej mógł się takim wydawać komuś starszemu ode mnie. Ale ja piłem jego słowa spragniony i z wiarą, która, odpowiednio użyta, mogłaby przenosić góry. Cóż to dla mnie znaczyło, że był brudny, opuszczony i że cuchnął dżinem? Cóż to znaczyło, że gramatyka jego była zła, styl jeszcze gorszy, a przekleństwa tak pozbawione polotu, że stanowiły raczej element słabości niż mocy w jego mowie? Był człowiekiem skrzywdzonym, człowiekiem, który wie, co to przeciwności losu, i to mi wystarczało. Kiedy roztkliwiał się nad swoją żalną dolą, łzy kapały mu na latarnię na kolanach, a ja współczując mu płakałem także. Mówił, że był synem angielskiego szlachcica, hrabiego czy też barona, nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, ale przypuszczał, że był jednym i drugim. Ojciec, szlachcic, kochał go, ale matka nienawidziła go od kolebki i tak, kiedy był jeszcze małym chłopcem, został wysłany do jednego z tych „starych, odwiecznych college’ów” — nie mógł sobie przypomnieć do którego. Wkrótce ojciec umarł, a matka zagarnęła majątek i „osmyczyła go”, jak się wyraził.

Po tym jak go matka osmyczyła, kilku jego znajomych szlachciców użyło swego wpływu, ażeby uzyskać dla niego miejsce „chłopca okrętowego”. Od tego punktu swego opowiadania strażnik odrzucał wszelkie daty i miejsca i puszczał wodze opowieści najeżonej nieprawdopodobnymi przygodami — ociekającej krwią i tak pełnej karkołomnych ucieczek i najbardziej zaskakującej i nieoczekiwanej ludzkiej niegodziwości, że siedziałem oniemiały rozkoszując się, drżąc z trwogi, podziwu i uwielbienia.

Bolesnym ciosem było dla mnie, gdy się potem dowiedziałem, że to nędzny, nieokrzesany, ciemny, mazgajowaty oszust, półgłówek, mieszkaniac zapadłych puszczy Illinois, który wchłonawszy trochę podejrzaną literaturę, przystosował dziwy do siebie, aż z biegiem czasu, dorobiwszy niezwykle początki i zakończenia do tych banialuk, uplótł z nich całą opowieść, i póty opowiadał takim niewypierzonym młokosom jak ja, aż sam w nie uwierzył.

## Rozdział VI

### DOŚWIADCZENIA POMOCNIKA PILOTA

Na skutek czterodniowego utknięcia na skałach pod Louisville i różnych innych opóźnień biedna stara łajba „Paul Jones”, płynąc od Cincinnati do Nowego Orleanu, zmitrężyła około

dwóch tygodni. To dało mi sposobność poznania jednego pilota, który nauczył mnie kierować statkiem, a zarazem sprawił, że urok życia na rzece stał się dla mnie potężniejszy niż kiedykolwiek.

To również umożliwiło mi pożałowania godną znajomość z młodzieńcem, który podróżował jako pasażer pokładowy — najgorzej, jak można — ponieważ z łatwością pożyczył ode mnie sześć dolarów, obiecując wrócić na statek i oddać mi je następnego dnia po przybyciu na miejsce. Ale musiał widać umrzeć albo zapomnieć, bo nie zjawił się wcale. Stało się na pewno to pierwsze, gdyż mówił, że rodzice jego są bogaci, a podróżuje jako pasażer pokładowy tylko dlatego, że tam jest chłodniej.

Wkrótce odkryłem dwie rzeczy. Po pierwsze, nie wyglądało na to, żeby ten statek mógł dopłynąć do ujścia Amazonki wcześniej niż za dziesięć lub dwanaście lat — a po drugie — że owe dziewięć czy dziesięć dolarów, które zostały mi w kieszeni, nie wystarczą na tak wspaniałą wyprawę, jaką planowałem, nawet gdyby mnie było stać na czekanie na jakiś inny statek. Wynikało więc z tego, że muszę obmyślić nową karierę. „Paul Jones” płynął do St. Louis. Postanowiłem przypuścić szturm do mojego pilota i wreszcie po trzech ciężkich dniach poddał się. Zgodził się „nauczyć „mnie” rzeki Missisipi, od Nowego Orleanu do St. Louis, za pięćset dolarów płatnych z mojej pierwszej gaży, którą otrzymam po zakończeniu szkolenia. Rozpocząłem to małe przedsięwzięcie „nauczenia się” tysiąca dwustu czy tysiąca trzystu mil wielkiej rzeki Missisipi z beztroską ufnością młodzieńczego wieku. Gdybym naprawdę wiedział, jakie czekają mnie wysiłki, nie miałbym odwagi zaczynać. Wydawało mi się, że całym zadaniem pilota jest utrzymać statek na rzece i nawet przez myśl mi nie przeszło, że to wielka sztuka, bo przecież rzeka była taka szeroka.

Statek wyruszył z Nowego Orleanu o czwartej po południu i aż do ósmej była „nasza wachta”. Pan Bixby, mój szef, „naprostował statek”, przeprowadził go obok ruf innych statków, które stały przy nabrzeżu, a potem rzekł: — No, do roboty, skrobniij te parowce tak, jakbyś obierał jabłko ze skórki! — Wziąłem w rękę koło, a serce poczęło trzepotać się i bić jak szalone, bo zdawało mi się, że obszorujemy burty wszystkich statków stojących szeregiem, tak byliśmy blisko. Wstrzymałem dech i począłem wyciągać statek z niebezpieczeństwa. Miałem przy tym własne zdanie o pilocie, który nie ma lepszych pomysłów, tylko musi wpędzać nas w taką kabałę, ale byłem za mądry, by o tym mówić. W pół minuty miałem już szeroki pas wody bezpiecznie oddzielający „Paul Jonesa” od innych statków, ale w dziesięć sekund później zostałem z pogardą odepchnięty, a pan Bixby znów kusił niebezpieczeństwo i przeklinając moje tchórzostwo żywcem obdzierał mnie ze skóry. Byłem boleśnie dotknięty, lecz musiałem zarazem podziwiać beztroską pewność, z jaką mój szef przeskakiwał niedbale z jednej strony koła na drugą i tak blisko ocierał się o statki, że nieszczęście zdawało się nieuniknione. Kiedy trochę ochłonął, powiedział mi, że tuż przy brzegu jest spokojna woda, a prąd idzie środkiem i dlatego musimy trzymać się brzegu płynąc w górę rzeki, aby go wykorzystać, a płynąc w dół, musimy z tej samej przyczyny trzymać się środka. Co do mnie, postanowiłem być pilotem pływającym tylko z prądem, a pływanie pod prąd pozostawić ludziom głuchym na głos rozsądku.

Od czasu do czasu pan Bixby zwracał moją uwagę na pewne rzeczy. Mówił: — To jest znak sześciomilowy. — Godziłem się na to. Była to dość przyjemna wiadomość, ale nie mogłem zrozumieć jej zastosowania. Nie miałem poczucia, żeby to była jakaś sprawa, która mogłaby mnie w jakikolwiek sposób interesować.

Innym razem rzekł: — To jest znak dziewięćmilowy. — Potem znów: — To jest znak dwunastomilowy. — Wszystkie były prawie na poziomie wody, wszystkie wyglądały dla mnie tak samo, wszystkie jednakowo monotonne i niemalownicze. Miałem nadzieję, że pan Bixby zmieni temat. Ale nie, krążył koło jednego znaku, czule pieścąc brzeg, a potem mówił:

— Leniwa woda kończy się tutaj, za tą kępą chinowych drzew. Teraz musimy trochę lawirować. — I lawirował. Raz czy dwa razy dał mi koło, ale nie miałem szczęścia. Albo podpływałem za blisko wyszarpując brzeg plantacji trzciny cukrowej, albo wykolebałem się za daleko od brzegu i znów padałem w niełaszkę i sypały się pod moim adresem wyzwiska. Nareszcie wachta się skończyła, zjedliśmy kolację i poszliśmy spać. O północy zaświecił mi wprost w oczy blask latarni, a nocny strażnik zawołał:

— Wstawaj!

I odszedł. Nie mogłem zrozumieć tego niezwykłego postępowania, a więc przestałem się nad tym zastanawiać i z powrotem usnąłem. Niedługo strażnik znów się zjawił, ale tym razem jakiś ponury. Byłem zły i powiedziałem:

— Czego się pan włóczy po nocy? Teraz to już na pewno nie zasnę.

Strażnik burknął:

— Żebym tak zdrów był, że dobrze robię.

Wachta właśnie schodziła ze stanowisk i doleciał mnie jakiś brutalny śmiech i takie uwagi: — Hej tam, strażnik! Czy nowy szczeniak jeszcze nie wstał? Pewno za wielki delikacik! Daj mu cukru w gałganku i poślij po niańkę, żeby mu zaśpiewała „luli, luli”.

Właśnie wtedy ukazał się pan Bixby. Nie upłynęła minuta, a już biegłem do sterówki mając na sobie tylko część ubrania, a resztę pod pachą. Pan Bixby szedł tuż za mną robiąc uwagi. To coś nowego — wstawać w samym środku nocy i iść do pracy. Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi na myśl. Wiedziałem, że statki kursują przez całą noc, ale jakoś nie zastanawiałem się nad tym, że ktoś musi wstać z ciepłego łóżka i prowadzić je. Zaczynałem powątpiewać, czy to zajęcie jest tak romantyczne, jak sobie wyobrażałem; w tej nowej fazie okazywało się bardzo prozaiczne i pełne trudu.

Noc była dość mroczna, choć na niebie świeciło sporo gwiazd. Przy kole stał wielki starszy oficer. Skierował starą łajbę na gwiazdę polarną i trzymał ją ciągle w samym środku rzeki. Brzegi po obu stronach były od siebie odległe tylko o pół mili, ale wydawały się dziwnie dalekie, zamglone i niewyraźne. Oficer rzekł do Bixby'ego: — Mamy wylądować przy plantacji Jonesa. — Rozradował się we mnie duch zemsty. Powiedziałem sobie: „Życzę panu powodzenia, panie Bixby. Będziesz miał ładną zabawę, usiłując w taką noc znaleźć plantację Jonesa, i mam nadzieję, że póki żyjesz, nie znajdziesz jej.”

Pan Bixby zwrócił się do starszego oficera:

— Górny kraniec plantacji czy dolny?

— Górny.

— Nie da rady. Pnie w tym miejscu sterczą z wody. Niedaleko stąd do dolnego, więc musi to wystarczyć.

— Dobra. Nawet jak się to nie spodoba Jonesowi, to i tak musi się z tym pogodzić.

I oficer odszedł. Radość poczęła we mnie stygnąć, a rodził się podziw. Ten człowiek nie tylko ofiarowywał się znaleźć w taką noc plantację, lecz jeszcze wedle życzenia dowolne jej miejsce. Miałem straszną chęć zadać jedno pytanie, ale zafasowałem już tyle burkliwych odpowiedzi, że więcej moja ładownia nie mogła pomieścić, toteż siedziałem cicho. Chciałem tylko zadać panu Bixby jedno proste pytanie, czy rzeczywiście jest aż takim osłem, by wyobrazić sobie, że w taką noc znajdzie ową plantację, przecież wszystkie są podobne do siebie, wszystkie tego samego koloru. Ale wstrzymałem się. Miewałem czasem w owych dniach cudowne przebłyski roztropności.

Pan Bixby skręcił w stronę brzegu i drapnął go dokładnie tak samo, jak w jasny dzień. Ale to nie wszystko, robił to nućąc:

Ojcie na niebie, dzień kresu dobiega...

Wydawało mi się, że życie moje powierzyłem jakiemuś straszliwie lekkomyślnemu straceńcowi. Nagle odwrócił się i spytał:

— Jak się nazywa pierwszy znak za Nowym Orleanem?

Byłem uszczęśliwiony, że mogę odpowiedzieć natychmiast, i tak też uczyniłem. Odpowiedziałem, że nie wiem.

— Nie wiesz?

Sposób, w jaki to powiedział, wstrząsnął mną. W jednej chwili powalił mnie na obie łopatki. Lecz musiałem znów powtórzyć to samo, co przedtem.

— Ładny z ciebie numer! — rzekł pan Bixby. — Jak się nazywa następny znak?

Znów nie wiedziałem.

— No, to już przechodzi wszelkie pojęcie! Gadaj, jak się nazywają znaki i miejsca, o których ci mówiłem!

Myślałem chwilę, ale stwierdziłem, że nic z tego nie pamiętam.

— Słuchaj no! Skąd wyruszasz za dwunastomilowym znakiem, jeżeli chcesz lawirować?

— Ja... ja... nic nie wiem na pewno.

— Ty... ty... nie wiesz? — krzyczał przedrzeźniając moje jąkanie się. — A co ty wiesz?

— Ja., ja..., nic nie wiem na pewno.

— Na ducha Wielkiego Cezara, wierzę ci! Jesteś największym półgłówkiem, jakiego zdarzyło mi się widzieć i słyszeć, tak mi dopomóż, Mojżeszu! Też pomyśl, żebyś TY miał być pilotem — ty! Przecież nie umiałbyś nawet przeprowadzić krowy przez ścieżkę!

Ależ się wściekał! Był strasznie nerwowy, a teraz kręcił kołem z jednej strony w drugą tak, jakby go pokład parzył. Złość gotowała się w nim przez chwilę, a potem wybuchnął i znów mi zaczął dopiekać:

— Słuchaj no, jak myślisz, dlaczego mówiłem ci nazwy tych znaków?

Drżąc zastanawiałem się przez moment, a potem diabeł mnie skusił, ażeby powiedzieć:

— Dla... dla... zabawy... rozrywki.

Była to czerwona płachta na byka. Szalał i wściekał się tak (właśnie przepływał wtedy na drugą stronę rzeki), że go to zdaje się oślepiło, bo wpakował się na ster jakiejś przejeżdżającej krypy. Oczywiście ci z krypy posłali mu serię siarczystych przekleństw. Nikt chyba nie mógł być bardziej za nie wdzięczny, jak właśnie pan Bixby. Sam był nimi wypełniony po brzegi, a oto wreszcie napotoczyli się tacy, co mogli mu odpalić. Otworzył z trzaskiem okno, wychylił głowę i wylał z siebie taki potok przekleństw, jakich w życiu nie słyszałem. Im dalsze i słabsze były przekleństwa odpływających marynarzy, tym bardziej podnosił głos i tym soczystszych używał przymiotników. Kiedy zamknął okno, był już pusty. Gdyby teraz zapuścić w niego sieć, nie wyłowiłoby się dość przekleństw, aby przestraszyć własną matkę. Nagle zwrócił się do mnie najłagodniejszym w świecie tonem:

— Mój chłopcze, musisz mieć mały notesik i za każdym razem, jak ci coś powiem, zaraz w nim to zapisać. Jest tylko jeden sposób, by zostać pilotem, a mianowicie: nauczyć się całej rzeki na pamięć. Musisz ją tak umieć, jak abecadło.

Była to dla mnie ponura nowina, bo pamięć moją obciążały zawsze tylko głupstwa. Jednakże przygnębienie moje nie trwało długo. Uważałem, że trzeba zrobić jakieś ustępstwo, bo pan Bixby zmiękł wobec mnie. Nagle pociągnął linę i kilka razy uderzył w wielki dzwon. Gwiazdy już zgasły i noc była czarna jak atrament. Słyszałem, jak koła szorują o brzeg, ale nie byłem zupełnie pewien, czy go widzę. Głos niewidzialnego strażnika zawołał z pokładu sztormowego:

— Co to?

— Plantacja Jonesa.

— Powiedziałem sobie w duchu, że mógłbym się założyć, że tak nie jest. Ale siedziałem cicho. Czekałem. Pan Bixby dał kilka donków do maszyny i w przewidzianym czasie dziób statku dotknął lądu, na dziobie zapłonęła pochodnia, marynarz zeskoczył na brzeg, głos Murzyna na ładzie zagadał: „Ja weźmie bagaż pana Jones”, a po chwili znów spokojnie płynęliśmy w górę rzeki. Na moment zamyśliłem się głęboko, a potem powiedziałem, ale nie głośno: — No, znalezienie tej plantacji to był przypadek.

Nim zrobiliśmy siedemset czy osiemset mil w górę rzeki, stałem się już względnie odważnym pilotem, pływającym pod prąd podczas dnia, a gdy dotarliśmy do St. Louis, zrobiłem nieznaczne, ale tylko nieznaczne postępy także w pracy nocnej. Miałem notes, który jeżył się nazwami miast, znaków, brodów, wysp, zakrętów, okręgów etc., lecz wszystkie informacje znajdowały się tylko w notesie, w głowie nie było nic. Serce bolało mnie na myśl, że tylko połowę rzeki zdołałem zapisać, bo nasza wachta miała cztery godziny wolne, a cztery godziny służby, dzień i noc, i za każdym razem, gdy spałem, w notesie moim powstawała długa, czterogodzinna wyrwa.

Mój szef został zaangażowany na duży statek w Nowym Orleanie, a ja spakowałem torbę podróżną i poszedłem z nim. Statek był wspaniały. Gdy stanąłem w sterówce, znajdowałem się tak wysoko nad wodą, że wydawało mi się, iż stoję na wierzchołku góry, a pokłady pode mną rozciągały się tak daleko w przód i w tył, że sam się dziwiłem, jak mogłem uważać małego „Paul Jonesa” za dużą jednostkę. Zauważyłem także i inne różnice. Sterówka „Paul Jonesa” była nędzną, ciemną, pogruchotaną pułapką na szczury, z której na siłę zrobiono kajutę. Tutaj zaś była obszerna szklana świątynia; miejsca tyle, że można tańczyć, wspaniałe czerwone i złociste firanki, imponująca sofa, skórzane poduszki i oparcie przy wysokiej ławie, gdzie siadywali odwiedzający nas piloci, ażeby pogadać i „popatrzeć na rzekę”; błyszczące ozdobne spluwaczki zamiast szerokiej drewnianej skrzynki pełnej trocin, ładna nowa cerata na podłodze, gościnny wielki piec na zimę; bogato inkrustowane koło, tak wysokie, że sięgało mojej głowy, stalowy ciąg sterowy, błyszczące, mosiężne gałki do dzwonek i schludny, w białym fartuchu czarny steward z górnego pokładu przynoszący torty, lody i kawę podczas wachty w dzień i w nocy. To było naprawdę „do czegoś podobne” i zaczynałem znów nabierać otuchy i wierzyć, że pilotowanie jest mimo wszystko romantycznym zajęciem. Jak tylko ruszyliśmy, zacząłem łązić po wielkim statku i napawać się radością. Był czysty i wytworny jak pokój bawialny. Gdy spojrzałem w głąb długiego złożonego salonu, zdawało mi się, że patrzę przez wspaniały tunel. Na każdych drzwiach do kajut widniał obrazek olejny malowany przez jakiegoś utalentowanego malarza szyldów. Statek połyskiwał nieskończoną ilością kryształowych świeczników. Biuro kłarka było eleganckie, bar cudowny, a barman wygolony i wysztafirowany jak na bal. Pokład maszynowy to jest, można powiedzieć, drugie piętro statku wydawał mi się obszerny jak kościół — tak samo dziobówka. I nie było na nim owej politowania godnej garstki młodszych marynarzy, palaczy i pomagierów, ale cały batalion załogi. Ogień buzował na długim szeregu palenisk, a ponad nimi znajdowało się osiem olbrzymich kotłów! Była to nie dająca się wyrazić wspaniałość. Potężne maszyny... ale dość tego. Nigdy jeszcze nie czułem się tak dobrze. A gdy do tego okazało się, że cały zastęp schludnych służących mówi do mnie z szacunkiem „pan” — osiągnąłem pełne zadowolenie.

## Rozdział VII ŚMIAŁY CZYN

Gdy wróciłem do sterówki, St. Louis już znikło i czułem się zagubiony. Ten odcinek rzeki miałem zapisany w notesie, ale ani rusz nie mogłem się w niczym połapać: rozumiecie, wszystko na odwrót. Wprawdzie widziałem to płynąc w górę rzeki, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, jak to będzie wyglądało, gdy znajdzie się poza mną. Znów straciłem ducha, miałem przecież uczyć się tej nieznośnej rzeki, w obu kierunkach.

Sterówka była pełna pilotów jadących w dół rzeki, by „spojrzeć na rzekę”. To, co nazywa się „górną rzeką” (dwieście mil między St. Louis a Cairo, gdzie wpada Ohio), miało poziom niski, a że Missisipi nieustannie zmienia koryto, piloci zawsze starali się podjechać aż do Cairo i spojrzeć na rzekę, zwłaszcza gdy ich statki musiały przez tydzień stać w porcie, to znaczy, gdy poziom wody był niski. Często „patrzyli na rzekę” biedacy, którym rzadko

trafiała się robota i których jedyną nadzieją było dostać jakiś rejs — zastąpić znanego pilota w razie jego nagłej choroby czy jakiejś innej konieczności. Wielu z nich szwendało się w górę i w dół bez ustanku, przepatrując rzekę nie dlatego, żeby naprawdę mieli nadzieję dostać rejs, lecz dlatego (byli gośćmi na statku), że „patrzeć na rzekę” kosztowało taniej niż mieszkać na łodzi i płacić za utrzymanie. Z czasem ludzie ci nabrali wielkich wymagań i stali się plagą, zwłaszcza statków znanych z dobrego stołu. Wszyscy goście-piloci bywali jednak użyteczni, gdyż zawsze, zimą i latem, dniem i nocą, byli chętni i gotowi wypłynąć szalupą, by ustawić boję w korycie rzeki lub pomóc w czymkolwiek pilotowi. Byli też mile widziani, bowiem wszyscy piloci są niestrudzonymi gadułami, a ponieważ zawsze mówią o rzece, zawsze też znajdują zrozumienie i zainteresowanie. Prawdziwego pilota nie obchodzi nic poza rzeką, a ich duma zawodowa przerasta dumę królewską.

Podczas rejsu mieliśmy z tych inspektorów rzecznych przyjemne towarzystwo. Było ich ośmiu albo dziesięciu, a w naszej wielkiej sterówce nie brakło dla nich miejsca. Kilku miało lśniące cylindry, misternie związane krawaty, spięte brylantową szpilką, rękawiczki z kozłej skóry i lakierowane buty. Mówili wyszukaną angielszczyzną i nosili się godnie, jak przystało na ludzi o znacznych dochodach i ogromnej sławie. Inni byli ubrani mniej lub więcej niedbale, a na głowach mieli wysokie filcowe stożki przypominające czasy sprzed zjednoczenia stanów.

Byłem zerem w tej całej dostojnej kompanii i czułem się upokorzony, żeby nie powiedzieć — oszołomiony. Nawet niegodny byłem, by pomóc przy kole, kiedy należało prędko przełożyć ster. Gdy trafiała się taka okazja — a zdarzała się prawie ciągle, bo koryto było kręte i wody niewiele — robił to najbliższy stojący gość. Ja stałem w kącie, a rozmowa, której się przysłuchiwałem, odbierała mi resztę nadziei. Jeden z gości mówił do drugiego:

— Jim, jakże to przeszedłeś śliwkowy Cypel pod prąd?

— Była noc i płynąłem tak, jak mi poradził jeden z „Diany”. Zacząłem jakieś pięćdziesiąt jardów za stosem drzewa za mylnym cyplem i trzymałem kurs na chatę pod Śliwkowym Cyplem, aż przeszedłem ławicę na jeden i trzy czwarte. Potem wyprostowałem kurs na środkową ławicę, aż znalazłem się naprzeciw starej, obłamanej topoli na zakręcie. Ustawiłem się rufą na topolę, a dziobem na kotlinkę za cyplem i przepłynąłem śpiewająco dziewięć i pół.

— Diabło wąskie przejście!

— Tak, ale górną ławicę szybko się obsuwa.

Inny pilot wmieszał się w rozmowę:

— Ja miałem lepszą wodę i skręcałem niżej. Zacząłem od mylnego znaku — m-ar-k twain, marka dwa — wzięłem drugą rafę naprzeciw wielkiego garbu na zakręcie i miałem dwa bez ćwierci.

Jeden z dostojników zauważył:

— Nie chcę przymawiać waszym sondującym marynarzom, ale mnie się wydaje, że to coś za dużo wody jak na Śliwkowy Cypel.

Wszyscy skinęli potakująco głowami na tę spokojną połajankę samochwała, która go z miejsca osadziła. I tak gadali sobie dalej. A tymczasem mój umysł zaprzętała inna myśl: „Jeśli mnie uszy nie mylą, muszę umieć na pamięć nie tylko nazwy wszystkich miast, wysp, zakrętów itd., ale muszę jeszcze osobiście zaznajomić się z każdym starym garbem i obłamaną topolą, z każdym zapomnianym stosem drzewa, który zdobi brzegi rzeki na przestrzeni tysiąca dwustu mil, a do tego jeszcze wiedzieć, jak to wszystko wygląda w ciemności, chyba że ci goście są obdarzeni wzrokiem, który przebija dwie mile grubej czerni. Wolałbym całe to pilotowanie puścić w trąbę, obym był nigdy o nim nie pomyślał!”

O zmroku pan Bixby uderzył trzy razy w wielki dzwon (sygnał lądowania) i w drzwiach salonu ukazał się kapitan, przeszedł na przód górnego pokładu i spojrzał pytająco. Pan Bixby rzekł:

— Będziemy tu stali całą noc, kapitanie.

— W porządku, proszę pana.

I to wszystko. Statek dobił do brzegu i zacumowano go na noc. Wydało mi się to wspaniałe, że pilot może robić, co mu się podoba, i nie potrzebuje prosić o pozwolenie takiej wielkiej osoby jak kapitan. Zjadłem kolację i zgnębiony obserwacjami i doświadczeniami tego dnia natychmiast poszedłem się położyć. Notatki z mej ostatniej podróży były chaosem nazw bez znaczenia. Dostawałem kręčka, ilekroć spojrzałem na nie w ciągu dnia. Miałem nadzieję, że sen przyniesie mi wytchnienie, ale gdzie tam — męczące, utrapione zmory dręczyły mnie aż do świtu.

Następnego ranka byłem niemrawy i zgnębiony. Płynęliśmy ochoczo naprzód, ryzykując wiele razy, bo chcieliśmy „wyrwać się z rzeki” (co znaczy: wpaść do Cairo), nim noc nas zaskoczy. Ale współpracownik, inny pilot, nagle wpakował statek na mieliznę i tyle czasu straciliśmy, żeby go z niej ściągnąć, że stało się oczywiste, iż ciemność zaskoczy nas dobry kawał drogi przed ujściem. Było to wielkie nieszczęście, zwłaszcza dla niektórych z naszych gości-pilotów, których statki musiałyby czekać na ich powrót nie wiadomo jak długo. Fakt ten podziałał trzeźwiąco na rozmowy w sterówce. Płynąc w górę rzeki piloci nie zwracali uwagi na niską wodę ani na ciemność, nic by ich nie zdołało powstrzymać z wyjątkiem mgły. Ale płynąc w dół rzeki, to zupełnie inna sprawa. Jeżeli silny prąd prze z tyłu, statek jest prawie bezradny. Dlatego też utarł się zwyczaj, że nikt nie płynie w dół rzeki nocą przy niskiej wodzie.

Wydawało się jednak, że jest jeszcze jedna mała nadzieja: jeśliby udało nam się przed nocą przepłynąć skomplikowane i niebezpieczne przejście koło Kapeluszonej Wyspy, moglibyśmy zaryzykować resztę, bo wtedy mielibyśmy już łatwiejszą żeglugę i lepszą wodę. Ale szaleństwem byłoby atakować Kapeluszną Wyspę po nocy. Rozpoczęło się więc nieustanne spoglądanie na zegarki i ustawiczne obliczanie naszej szybkości. Kapeluszoza Wyspa była nieustającym tematem rozmów. Czasem nadzieja rosła, a czasem opuszczała nas, gdyśmy zwalniali na trudnym przejściu. Przez długie godziny wszyscy czuli na sobie brzemię powściąganego podniecenia. Udzieliło się ono nawet i mnie - i tak się zacząłem przejmować sprawą Kepeluszonej Wyspy, tak ogromny ciężar odpowiedzialności czułem na sobie, że chciałem się znaleźć chociaż na pięć minut na lądzie, by dobrze, głęboko i z ulgą odetchnąć, a potem zacząć od nowa. Nie trzymaliśmy żadnych normalnych wacht. Każdy z naszych pilotów pełnił służbę na tym samym odcinku, na którym prowadził statek płynąc w górę rzeki, dlatego że lepiej go znał; ale obaj pozostawali stale w sterówce.

Godzinę przed zachodem słońca pan Bixby stanął przy kole, a pan W. odstąpił na bok. Przez następne trzydzieści minut każdy, niespokojny, milczący i nieswój, trzymał w rękę zegarek. Wreszcie ktoś się odezwał wzdychając złowieszczo:

— Ano, tamta wyspa to już Kapeluszoza Wyspa i nie możemy jej zrobić.

Koperty zegarków zamknęły się z trzaskiem, wszyscy wzdychali i mruclili coś w rodzaju: „To źle, to źle... gdybyśmy tak znaleźli się tu o godzinę wcześniej!” Zapanowała ciężka atmosfera rozczarowania. Niektórzy zaczęli już schodzić, ale nie słysząc dzwonka na lądowanie, jeszcze się ociągali. Słońce zapadło za horyzont, statek płynął dalej. Goście zaczęli wymieniać między sobą pytające spojrzenia. Parliśmy wytrwale w kierunku zakrętu. Znow w milczeniu zamieniono spojrzenia, potakiwano głowami wyrażając zdumienie i podziw. Gdy niebo pociemniało i gdzieś ukazały się gwiazdy, wszyscy odruchowo skupili się za plecami pana Bixby. Martwa cisza i nastrój oczekiwania stały się przytłaczające. Pan Bixby pociągnął za linkę i w noc popłynęły dwa głębokie, miękkie tony wielkiego dzwonu. Patem, nastąpiła pauza i znow jedno uderzenie. Z pokładu sztormowego zabrzmiał głos strażnika:

— Sonda lewa burta! Sonda prawa burta!

Z oddali dobiegały głosy sondujących, a marynarze na sztormowym pokładzie podawali je chrapliwie z ust do ust:



— M-a-r-k three! Maa-a-r-k-a trzy!... Dwa i trzy czwarte!... Dwa i pół... Dwa i jedna czwarta!... M-a-r-k twain! Marka dwa!... Jeden i...

Pan Bixby pociągnął dwukrotnie linkę dzwonka. Z dołu z maszynowni odpowiedziało mu słabe, dalekie brzęczenie i szybkość nasza zmaląła. Z zaworów syknęła para. Słysząc było nieustanne krzyki sondujących, a nocą robi to zawsze niesamowite wrażenie. Wszyscy piloci, wyteżywszy wzrok, wpatrywali się w ciemność i rozmawiali szeptem. Jeden tylko pan Bixby był spokojny i beztrzeski. Obracał albo przytrzymywał koło, a gdy parowiec wszedł pomiędzy swoje (dla mnie) zupełnie niewidoczne znaki — wydawało się bowiem, że jesteśmy na środku jakiegoś szerokiego, ciemnego morza — prowadził i trzymał go na kursie. Ze szmeru niewyraźnych rozmów można było od czasu do czasu rozróżnić jakieś zdanie:

— No, przeszedł przez pierwszą rafę!

Za chwilę znów jakiś stłumiony głos:

— Do diaska! Rafa idzie w dół, akurat tak jak trzeba!

— Jest na kursie! Przechodzi!

Ktoś szepnął:

— Co za piękna robota! Piękna!

Nagle maszyny stanęły, dryfowaliśmy z prądem. Nie mogę powiedzieć, żebym widział to, bo przez ten czas wszystkie gwiazdy pogasły. Dryfowanie to najbardziej ponura robota: aż dech zapiera. Nagle wśród ciemności, która nas otaczała, wypatrzyłem jeszcze czarniejszą plamę. Był to cypel wyspy. Lecieliśmy wprost na nią. Weszliśmy w jej głęboki cień i zguba wydawała się tak nieunikniona, że prawie zaczynałem się dusić, a przecie miałem najgorętszą chęć uczynienia czegoś — wszystko jedno czego — żeby tylko uratować statek. Ale pan Bixby ciągle stał przy kole milczący, czujny jak kot, a wszyscy inni ramię przy ramieniu stali za jego plecami.

— Nie da rady! — szepnął ktoś.

Wedle tego, co wołali sondujący, woda stawała się teraz płytsza, aż doszło do:

— Osiem i pół!... O-siem stóp! O-siem stóp!... Siedem i..

Pan Bixby rzekł ostrzegawczo przez tubę do mechanika:

— Stawaj!

— Dobra, dobra!

— Siedem i pół! Siedem stóp! Sześć i...

Dotknęliśmy dna! Natychmiast pan Bixby dał mnóstwo dzwonków, krzyknął przez tubę: — Teraz! Daj całą parę! — A potem do swego pomocnika: — Ciągnij w dół! Trzymaj! Trzymaj! Statek torował sobie drogę szorując po piasku. Przez jeden straszliwy moment wisiał nad przepaścią zniszczenia, aż wreszcie — przeszedł! Nigdy jeszcze o dach sterówki nie uderzył taki krzyk, jaki teraz buchnął za plecami pana Bixby.

Potem skończyły się kłopoty. Pan Bixby był tej nocy bohaterem i niemało czasu upłynęło, nim o jego wyczynie przestano mówić na rzece.

Ażeby w pełni zrozumieć niesłychaną precyzję, jakiej wymaga na tych mrocznych obszarach prowadzenie wielkiego parowca wedle wytyczonego kursu, trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że statek musi nie tylko posuwać się po bardzo krętej drodze wśród garbów i podwodnych raf, a potem otrzeć się o cypel wyspy tak blisko, że rufą omiata zwisające listowie, ale że w jednym miejscu musi przepłynąć prawie na odległość ramienia obok zatopionego i niewidocznego wraku, który może przy uderzeniu wyrwać mu żebra z kadłuba i w pięć minut zniszczyć statek i ładunek wartości ćwierć miliona dolarów, oraz, być może, życie stu pięćdziesięciu istot ludzkich.

Ostatnie słowa, jakie usłyszałem tej nocy, to był komplement wypowiedziany z namaszczeniem przez jednego z gości pod adresem pana Bixby. Powiedział on:

— Niech mnie nagła śmierć, to ci pioruński pilot!

## Rozdział VIII UCIAŻLIWE LEKCJE

Po pewnym, jak mi się zdawało, nudnym okresie, zdołałem naładować głowę wyspami, miastami, mieliznami, cyplami i zakrętami. Jednakże, jeżeli zamknąwszy oczy udało mi się wydusić z siebie długi sznureczek tych nazw nie opuszczając więcej niż dziesięć mil rzeki na każde pięćdziesiąt, czułem, że byłbym zdolny przeprowadzić statek w dół do Nowego Orleanu, jeśli oczywiście mógłby przeskoczyć owe małe wyrwy. Zadowolony z siebie zacząłem odrobinę podnosić nos do góry, ale pan Bixby w mig obmyślił coś, żeby go spuścić z powrotem. Pewnego dnia wystrzelił do mnie nagle z takiej kolubryny:

— Jaki ma kształt Orzechowy Zakręt?

Równie dobrze mógł mnie zapytać, co moja babka sądziła o protoplazmie. Zastanowiłem się z szacunkiem, potem odpowiedziałem, że nie wiem, czy ma jakiś szczególny kształt. Mój ognisty szef naturalnie wybuchnął i przez dłuższy czas strzelał wywiskami, aż mu zabrakło przymiotników.

Wiedziałem od dawna, że wystrzeliwuje tylko pewną ilość amunicji, a gdy zabraknie mu pocisków, staje się zawsze bardzo ugodowym, starym nudziarzem, a nawet łagodnieje i wykazuje skruchę. Określenie „stary” jest zresztą czystą przesadą: nie miał więcej niż trzydzieści trzy lata. Czekałem. Po chwili rzekł:

— Mój chłopcze, musisz dokładnie znać kształt rzeki. To wszystko, co ci pozostaje, jeżeli masz prowadzić statek w ciemną noc. Wszystko inne zacierą się i znika. Ale pamiętaj, w nocy kształt jest inny niż w dzień.

— W takim razie, jakże, u licha, mam się go wreszcie nauczyć.

— A jak w domu przechodzisz przez hall po ciemku? Bo znasz jego kształt, choć go nie widzisz.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że muszę znać wybrzeże tej nie kończącej się rzeki ze wszystkimi szczegółami, tak samo jak znam kształt hallu we własnym domu?

— Na honor, musisz znać je lepiej, niżli ktokolwiek i kiedykolwiek znał kształt własnego hallu.

— Wolę już umrzeć!

— Nie chcę cię zniechęcać, ale...

— Niech pan mówi, wszystko mi jedno, dziś czy kiedy indziej.

— Widzisz, tego musisz się nauczyć. Jasna gwiazdzista noc rzuca tak głębokie cienie, że jeśli nie znasz dobrze kształtu wybrzeża, będziesz odskakiwać od każdej wiązki chrustu, bo nawet jej cień weźmiesz za coś stałego. Co kilka minut będziesz umierał ze strachu. Będziesz ciągle o pięćdziesiąt jardów od brzegu, choć powinienes być od niego o pięćdziesiąt stóp. Wśród takich cieni nie możesz dojrzeć garbu, ale będziesz dokładnie wiedział, gdzie on jest, a z kształtu rzeki poznasz, że się do niego zbliżasz. A poza tym, bywają noce ciemne, choć oko wykol. W taką noc rzeka ma zupełnie inny kształt niż przy księżycu. Brzeg wydaje się wtedy bardzo niewyraźną prostą linią. I rzeczywiście, mógłbyś trzymać kurs tak, jakby była prosta, gdybyś o tym nie wiedział. Śmiało prowadzisz statek wprost na to, co się wydaje twardą gładką ścianą (bo wiesz dobrze, że w rzeczywistości jest tam zakręt), a ściana rozstępuje się i robi ci drogę. A potem te szare mgły. Weź na przykład jedną z tych okropnych mglistych nocy, gdy brzeg nie ma żadnego określonego kształtu. Szara mgła może otumanić najstarszego człowieka na świecie. Także światło księżyca rozmaicie zmienia kształt rzeki. Widzisz więc...

— O niech pan już więcej nie mówi! Czy mam nauczyć się kształtu rzeki na te miliony sposobów? Jeśli spróbuję umieścić cały ten ładunek w głowie, szyja jej nie udźwignie.

— Nie! Nauczysz się tylko kształtu rzeki. I to tak, że zawsze będziesz mógł sterować wedle kształtu, który masz w głowie, a nie zwracać uwagi na ten, który zjawi się przed oczami.

— Dobrze, spróbuję. Ale jak się nauczę, czy będę mógł na tym polegać? Czy zawsze kształt pozostanie ten sam i nigdy nie będzie mnie zwodził?

Nim pan Bixby zdążył odpowiedzieć, wszedł pan W., żeby objąć wachtę, i rzekł:

— Bixby, będziesz musiał uważać na Wyspę Prezydenta i cały ten szmat za Kwoką i Kurczętami. Brzegi się wygięły i kształt ich zmienia się tak samo, jak wszystko dookoła. Wiesz, nie rozpoznalbyś już cypla za czterdziestką. Możesz teraz wleźć prosto za stary pień sykomorowy.

Oto była odpowiedź na moje pytanie. Całe mile brzegów zmieniały kształt. Znow straciłem ducha. Dwie rzeczy wydawały mi się oczywiste. Pierwszą było to, że, aby zostać pilotem, trzeba się uczyć więcej, niż człowiek w ogóle wiedzieć powinien, a drugą, że co dwadzieścia cztery godziny trzeba się uczyć wszystkiego na nowo.

Tej nocy mieliśmy wachtę do dwunastej. Starodawny zwyczaj rzeczny wymagał, aby przy zmianie wachty obaj piloci trochę z sobą pogadali. Gdy obejmujący wachtę naciągał rękawiczki i zapalał cygaro, schodzący z wachty mówił coś w tym rodzaju:

— Moim zdaniem, górna ławica trochę się obsuwa przy Cyplu Hale'a, miała dwa i ćwierć sążnia przy pierwszym sondowaniu, a marka dwa przy drugim.

— Tak i mnie się zdawało w ostatnim rejsie, że się obsuwa. Spotkałeś jakie statki?

— Spotkałem, jeden naprzeciw główki 21, ale był daleko. Trzymał się ławicy i nie mogłem go dokładnie rozpoznać. Zdawało mi się, że to „Sunny South” — nie miał świetlika przed kominami...

I tak dalej. A gdy pilot obejmujący wachtę brał za koło, schodzący mówił, że jesteśmy na tym a tym zakręcie, naprzeciw takiego a takiego tartaku czy plantacji. Była to uprzejmość, a ja myślałem, że to konieczność. Ale pan W. tej właśnie nocy przyszedł objąć wachtę o całe dwanaście minut za późno — okropny wyłom w etykietce, istotnie wśród pilotów grzech niewybaczalny. Toteż pan Bixby wcale go nie przywitał, lecz po prostu oddał mu koło i wyszedł ze sterówki bez słowa. Zdumiałem się. Noc była okropnie czarna, a my znajdowaliśmy się właśnie na bardzo szerokim i ciemnym odcinku rzeki, gdzie nic nie było widać i wydawało się nie do wiary, aby pan Bixby zostawił tak tego nieszczęśliwca, który, chcąc zorientować się, gdzie jest, może rozbić statek. Postanowiłem więc, że ja w każdym razie zostanę przy nim. Niech wie, że nie jest zupełnie sam. Stawałem więc to tu, to tam i czekałem, aż mnie zapyta, gdzie jesteśmy. Ale pan W. beztrąsko zanurzył się w grubą, czarną jak sadza ciemność, która zastępowała widnokrąg, i nie otworzył ust. „To dopiero zarozumialec — pomyślałem. — Ten szatan raczej woli zgubić nas wszystkich niż zaciągnąć jakieś zobowiązania względem mnie, bo nie należę jeszcze do tych, którzy są solą ziemi, mają przywilej łajania kapitanów i są na parowcu panami życia i śmierci”. Wlażłem więc zaraz na wysoką ławkę; uważałem, że niebezpiecznie byłoby spać, póki ten wariat ma wachtę.

Jednakże po pewnym czasie musiałem widać zasnąć, bo nagle uświadomiłem sobie, że dzień świta i pana W. już nie ma, a pan Bixby znow stoi przy kole. A więc była godzina czwarta i wszystko było w porządku, z wyjątkiem mnie; czułem się jak zbity pies, tak mnie wszystkie kości bolały.

Pan Bixby zapytał, co tu robię. Wyznałem, że miał to być dobry uczynek wyświadczony panu W., gdyby chciał się dowiedzieć, gdzie się znajduje. Uplłynęło jakieś pięć minut, nim cała niedorzeczność mego czynu dotarła do świadomości pana Bixby i widać wypełniła go całego po czubki włosów, bo obdarzył mnie nie byle jakim komplementem:

— No, biorąc z grubsza, zdaje mi się, że jesteś największym osłem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Cóżes ty przypuszczał, że on chce wiedzieć?

Odrzekłem, że przypuszczałem, iż mogę mu się przydać.

— Przydać się! Do pioruna! Czyżem ci nie mówił, że każdy musi znać rzekę w nocy tak jak swój własny hall?!

— Ale ja mogę przejść przez mój hall po ciemku, jeżeli wiem, że to jest mój hall, ale przypuścimy, że pan mnie po ciemku postawi w środku jakiegoś hallu i nie powie, jaki to hall, to skądże ja mam wiedzieć?

— Na rzece musisz!

— Dobrze. W takim razie jestem zadowolony, że nic nie powiedziałem panu W.

— No, myślę! Byłby cię wyrzucił przez okno i zniszczył kompletnie okno wartości stu dolarów.

Rad byłem, że nie doszło do tej szkody, bo naraziłbym się właścicielom: Nie znosili ludzi niedbałych którzy niszczyli rzeczy.

Zabrałem się teraz do pracy, by nauczyć się kształtu rzeki. Ze wszystkich nieuchwytnych i niepojętnych przedmiotów, które kiedykolwiek zaprzętały mi umysł, ten był najgłówniejszy. Wbijałem na przykład oczy w jakiś ostry, zadrzewiony cypel, który wrzynał się daleko w rzekę o kilka mil przede mną, i pracowicie zabierałem się do sfotografowania jego kształtu w mózgu. I właśnie gdy ku memu zadowoleniu zaczynało mi się to udawać, podpływałem bliżej i wystający cypel zaczynał się gdzieś roztopiać i usuwać w głąb brzegu. Jeżeli na samej krawędzi cypla znajdowało się jakieś z daleka widoczne, suche drzewo, przekonywałem się, że drzewo to niepostrzeżenie wtapia się w las, i gdy znalazłem się naprzeciw, stało w środku równego brzegu! Żaden pagórek nie zatrzymywał swego kształtu dość długo, bym mógł zdecydowanie zdać sobie sprawę, jaką naprawdę ma formę, lecz tak był niestały i zmienny jak góra masła w najgorętszym z krajów podzwrotnikowych. Wszystko wyglądało inaczej, zależnie od tego, czy płynąłem w dół rzeki, czy w górę. Wspominałem o tych trudnościach panu Bixby, na co rzekł:

— To jest właśnie największa zaleta. Gdyby kształty nie zmieniały się co sekunda, nie miałyby żadnej wartości. Weź na przykład to miejsce, gdzie jesteśmy. Dopóki tamten pagórek jest tylko jednym pagórkiem, mogę śpiewająco płynąć swoją drogą, ale jak tylko rozszczepi się i utworzy literę V, wiem, że muszę na gwałt wykrecać prawą burtą, bo rąbnę łbem o skałę. A kiedy jedno z ramion V zajdzie za drugie, muszę znów przeskoczyć na lewą burtę, bo grozi mi nieporozumienie z pniem, który wyrwie z parowca stępkę z taką łatwością jak srebrną monetę z ręki. Jeśliby ten pagórek nie zmieniał kształtu podczas ciemnych nocy, w przeciągu roku powstałby naokoło niego cmentarz parowców.

Było jasne, że muszę nauczyć się kształtu rzeki na wszelkie sposoby, jakie tylko mogą przyjść do głowy — do góry nogami i z powrotem, w górę i w dół, i w ogóle na wrywki, a poza tym wiedzieć, co robić w szare noce, kiedy w ogóle wszelkie kształty znikają. A więc zabrałem się do roboty. Z biegiem czasu umiałem już radzić sobie z tą zawiłą nauką i znów zadowolenie z siebie poczęło we mnie brać górę. Pan Bixby jednakże czuwał i zawsze był gotów pogrzebać mnie z powrotem. Atakował mnie na przykład w ten sposób:

— Ile wody mieliśmy na środkowym przejściu pod Dziurą w przedostatnim rejsie?

Uznałem to za obelgę i odpowiedziałem:

— Podczas każdego rejsu w górę i w dół rzeki marynarze sondujący wyśpiewują w tym trudnym miejscu przez trzy kwadransy na całej długości tego przejścia. Jak pan może wymagać ode mnie, żebym pamiętał taką płataninę?

— Mój chłopcze, musisz pamiętać... Musisz pamiętać dokładnie miejsce i znaki, między którymi znajdował się statek, gdy mieliśmy najpłytszą wodę w każdym z pięciuset płytkich miejsc między St. Louis a Nowym Orleanem. I nie możesz pomieszać poziomowi niskiej wody i znaków jednego rejsu z poziomem niskiej wody i znakami innego rejsu, bo rzadko się zdarza, żeby były takie same. Musisz zapamiętać je każde osobno.

Kiedy oprzytomniałem, rzekłem:

— Jeżeli kiedykolwiek zdołam to zrobić, zdołam także wskrzeszać umarłych i nie będę potrzebował prowadzić parowca, żeby zarobić na życie. Chcę się wycofać z tego interesu. Chcę wiadra i szczotki. Nadaję się tylko na pomywacza okrętowego. Mam za mało mózgu w

mózgownicy, żeby być pilotem. A gdybym nawet miał go dosyć, zabrakłoby mi siły, żeby go unieść, chyba żebym chodził o kulach.

— Dość tego! Jeżeli mówię, że kogoś nauczę rzeki, to nauczę. A ty musisz się z tym liczyć, że albo nauczę, albo zatłukę.

## Rozdział IX DALSZE KŁOPOTY

Nie warto było z kimś takim dyskutować. Zdobyłem się na tak wielki wysiłek pamięci, że wkrótce nawet płycizny i niezliczone znaki wodne utkwiły mi w głowie. Ale skutek był ten sam. Nigdy nie mogłem nauczyć się jednej zawiłej rzeczy, żeby nie nastęczała się druga. Często widywałem pilotów, jak patrzyli na wodę i udawali, że czytają z niej niby z książki. Ale mnie książka ta nic nie mówiła. Jednakże nadszedł czas, gdy pan Bixby uważał widać, że jestem dostatecznie zaawansowany, ażeby dać mi lekcję czytania z wody. Tak więc rozpoczął:

— Widzisz tę długą, poprzeczną linię na powierzchni wody? To rafa. Do tego urwista rafa. Jest tam pod spodem twarda piaszczysta ławica, prawie od początku do końca stroma jak ściana. Tuż przy niej jest mnóstwo wody, ale diablo mało na wierzchu. Gdybyś w nią uderzył, wyprułyś ze statku bebechy. Widzisz, jak się ta linia rozwidła w górnym końcu i zaczyna znikać?

— Tak, proszę pana.

— Tam właśnie rafa się obniża. Możesz tamtędy przejść bez szwanku. No, skręcaj i płyn tuż przy rafie. Woda jest w tym miejscu spokojna... nieduży prąd.

Płynąłem wzdłuż rafy, aż zbliżyłem się do rozwidlonego końca. Wtedy pan Bixby rzekł:

— Teraz bądź gotów. Czekaj, aż dam hasło. Nie będzie chciał wejść na rafę, statek nie znosi płytkiej wody. Stań! Czekaj... czekaj! Trzymaj go dobrze w garści. Teraz ściągaj w dół! Trzymaj! Trzymaj!

Chwycił drugą stronę koła i pomógł je obrócić, a wtedy przytrzymaliśmy je obaj. Statek opierał się, odmawiał przez chwilę posłuszeństwa, a potem ruszył szumiąc falą ku prawej burcie, wspiał się na rafę i od dziobu wypuścił długą, wzburzoną grzywę wody.

— Pilnuj go, pilnuj jak kot myszy, bo ci ucieknie! Gdy się rzuca, a sterownica ześliznąwszy się gwałtownie opadnie, popuść odrobinę. Pokazuje ci w ten sposób w nocy, że woda jest za płytka, ale pchaj go bokiem, po troszeczkę w kierunku cypla. Jesteś już nad ławicą. Pod każdym cyplem jest ławica, bo woda, która go opływa, tworzy wir i zatapia osad. Widzisz te piękne linie na powierzchni wody rozłożone jak żebra wachlarza? To są małe rafy. Musisz ominąć ich końce, ale przepłynąć tu obok. Uwaga! Uwaga! Nie pchaj się na to równe, jakby tłuste miejsce, tam nie ma nawet dziewięciu stóp — nie wytrzyma... Już zaczyna ją czuć. Uwaga, mówię. Do diabła! A toś się wpakował! Koło prawej burty stop! Prędko! Wstecz! Wstecz!

Rozległy się dzwonki, a maszyny natychmiast odpowiedziały strzelając wysoko z zaworów białymi słupami pary, ale było już za późno. Statek naprawdę „wyczuł” mieliznę. Pieniste grzywy jaśniejące u dziobu nagle znikły, wielka fala potoczyła się naprzód i rozlała szeroko, statek przechylił się na lewą burtę i ruszył pędem ku drugiemu brzegowi jakby w jakimś śmiertelnym popłochu. Gdy nareszcie zdołaliśmy go opanować, byliśmy o dobrą milę od miejsca, gdzieśmy być powinni.

Następnego dnia podczas popołudniowej wachty pan Bixby zapytał mnie, czy wiem, jak mam płynąć parę następnych mil. Odpowiedziałem:

— Iść w środek pierwszego garbu za cyplem, a na zewnątrz drugiego, zacząć od dolnego końca tartaku Higginsa, przejść w poprzek i...

— W porządku. Wróć, nim miniesz następny cypel.

Ale nie wrócił. Był jeszcze na dole, gdy okrążyłem znak i wszedłem na odcinek rzeki, co do którego miałem pewne obawy. Nie wiedziałem, że schował się za komin, żeby widzieć, jak sobie dają radę. Płynąłem wesoło naprzód, a duma rozpierała mnie coraz bardziej, bo nigdy jeszcze przez tyle czasu nie zostawił statku na mojej wyłącznej opiece. Zabrałem się nawet do „regulowania” go i całkowicie puszczać koło chełpliwie odwróciłem się plecami. Przyglądałem się znakom na rufie i nuciłem jakąś melodię jako wyraz beztroskiej obojętności, którą tak często podziwiałem u pana Bixby i innych znakomitych pilotów. Przyglądałem się raczej dość długo, bo gdy znów obróciłem się ku przodowi, serce skoczyło mi do gardła, i to tak gwałtownie, że gdybym nie był zacisnął mocno zębów, byłoby mi uciekło. Jedna ze straszliwych, urwistych raf rozciągała się całą swą śmiercionośną długością przed samym naszym dziobem. Straciłem głowę, nie wiedziałem, gdzie jestem, otworzyłem usta, lecz i nie mogłem złapać tchu. Szarpnąłem kołem z taką szybkością, że zawirowało tworząc jakby pajęczą sieć. Statek posłuchał i odwrócił się pod kątem prostym od rafy, ale rafa szła za nim. Uciekałem, a ona wciąż nas ściagała, leżąc ciągle przed samym naszym dziobem! Ani razu nie spojrzałem, dokąd płynę, tylko uciekałem. Straszliwe zderzenie było nieuniknione, czemuż ten łotr nie przychodzi?! Jeżeli popełnię zbrodnię i zadzwonię, mogą mnie wyrzucić za burzę. Ale lepsze to niż rozbić statek. A więc w ślepej rozpaczycy zacząłem dzwonić na taki alarm na dole, jaki chyba jeszcze nigdy nie postawił na nogi żadnego mechanika na świecie. Wśród dygotu dzwonek maszyny poczęły z wściekłością pracować wstecz całą mocą, a mnie widać pomieszało się w głowie — bo za chwilę mieliśmy się już roztrzaskać o zalesiony brzeg po drugiej stronie rzeki. Wtedy to, wychodząc spokojnie na pokład sztormowy, ukazał się pan Bixby. Moja dusza powitała go z wdzięcznością. Troska zniknęła. Gdyby na sztormowym pokładzie stał pan Bixby, czułbym się bezpiecznie nawet nad samą Niagarą. Łagodnie i miękko wyjął z ust wykałaczkę, wziął ją w palce jak cygaro — właśnie włączyliśmy na zwisające nad wodą drzewo, a pasażerowie jak szczury stoczyli się na rufie — i wciąż z tą samą łagodnością wydał mi rozkazy:

— Stop, prawa burta! Stop, lewa burta! W tył, obie burty!

Statek zawahał się, zatrzymał, przez krytyczną chwilę utknął dziobem wśród gałęzi, a potem niechętnie zaczął się cofać.

— Stop, lewa burta! Naprzód! Stop, prawa burta! Naprzód! Kieruj na ławicę!

Odpląnałem pełen spokoju jak letni poranek. Pan Bixby wszedł do sterówki i rzekł z udaną prostotą:

— Jeżeli cię wołają z brzegu, mój chłopcze, powinieneś przed lądowaniem zadzwonić trzy razy dużym dzwonem, żeby mechanicy mogli się przygotować.

Zaczerwieniłem się na to szyderstwo i odpowiedziałem, że nikt mnie nie wołał.

— Ach, więc to chodziło o drzewo? Oficer wachtowy zawsze ci powie, kiedy będzie chciał zaopatrzyć się w drzewo.

Połykając tę drugą gorzką pigułkę odrzekłem, że nie płynąłem po drzewo.

— Naprawdę? A czegoż w takim razie chciałeś tam na tym zakręcie? Czy słyszałeś kiedy o statku, który by na tym odcinku rzeki płynąc pod prąd robił zakręt?

— Nie, proszę pana, ja nie miałem zamiaru go robić. Uciekałem przed urwistą rafą.

— Nie, to nie była urwista rafa — nie ma takiej na przestrzeni trzech mil od miejsca, na którym byłeś.

— Ale ja ją widziałem. Była taka urwista, jak, o, tamta!

— Coś w tym rodzaju. Przepląń ją!

— Czy to ma być rozkaz?

— Tak, przepląń ją!

— Prędzej umrę, niż tamtędy przepląnę.

— W porządku. Biorę odpowiedzialność na siebie.

Jak przedtem chciałem statek uratować, tak teraz chciałem go roztrzaskać.

Wbiłem rozkaz w pamięć, żeby się nim posłużyć przy śledztwie, i ruszyłem prosto na rafę. Gdy zniknęła pod naszym dziobem, wstrzymałem oddech, ale prześliznęliśmy się nad nią gładko jak po maśle.

— No, widzisz różnicę? To nic innego, tylko wietrzna rafa. Tworzy ją wiatr.

— Widzę. Ale wygląda tak samo jak urwista rafa. Jakże je kiedykolwiek zdołam rozróżnić?

— Tego ci nie mogę powiedzieć. To instynkt. Z czasem będziesz po prostu wiedział, że jest taka, a nie inna, ale nigdy nie będziesz umiał wytłumaczyć, jak je rozróżniasz.

Okazało się, że to prawda. Powierzchnia wody stała się z czasem cudowną książką, książką, która dla nieświadomego pasażera była rzeczą martwą, ale która mnie mówiła o sobie wszystko bez zastrzeżeń, zwracając swe najskrytsze tajemnice tak przejmująco, jak gdyby umiała naprawdę mówić. A nie była to książka, którą czytało się raz, a potem odrzucało, bo co dzień miała do opowiedzenia coś nowego. Przez długie tysiąc dwieście mil nie było ani jednej stronicy nieciekawej, ani jednej, której by nie warto było przeczytać, ani jednej, którą by się chciało przeskoczyć z myślą, że w czym innym znaleźć można większą przyjemność. Człowiek nigdy nie napisał książki tak cudownej, tak zajmującej, tak krzepiącej, tak zaskakującej świeżością przy każdym kolejnym czytaniu. Pasażera, który nie umiał jej czytać, czarował jakiś szczególny rodzaj łagodnego wdzięku powierzchni wody (w rzadkich zresztą wypadkach, o ile go w ogóle zauważył), ale dla pilota był to cały rozdział, i to napisany kursywą, więcej nawet, była to legenda składająca się z samych największych liter z długim szeregiem wykrzykników na końcu — bo mówiła o tym, że w głębi spoczywa wrak albo skała, która z najsilniejszego statku potrafi wydrzeć życie. Jest to najciekawsza i najprostsza opowieść, jaką rzeka opowiada, a dla oka pilota, najokropniejsza. Istotnie, pasażer, który nie umie czytać tej książki, widzi tylko rozmaite ładne obrazki malowane słońcem lub ocienione chmurami, podczas gdy do doświadczonego oka nie są to wcale obrazki, lecz najbardziej posępna, śmiertelnie poważna lektura.

Teraz, gdy już opanowałem język wody i poznałem każdy najmniejszy szczegół brzegów wielkiej rzeki tak dokładnie jak litery alfabetu, przyswoiłem sobie rzecz bardzo cenną. Ale zarazem i coś utraciłem. Utraciłem coś, czego, póki żyję, nie będę już mógł odzyskać. Cały wdzięk, piękność, poezja uleciały z majestatycznej rzeki! Pamiętam do tej pory pewien cudowny zachód słońca, którego byłem świadkiem, gdy żegluga parowcem stanowiła dla mnie nowość. Rozległa przestrzeń rzeki zamieniła się w krew. W niezbyt wielkiej odległości czerwona barwa przechodziła w złoto, przez które płynęła samotna, czarna, wyraźnie widoczna kłoda. W jednym miejscu leżała na wodzie długa, ukośna, błyszcząca smuga, w innym powierzchnia łamała się w ruchliwe opalizujące kręgi. Tam, gdzie rudawy blask jaśniał najślabiej, było gładkie miejsce porysowane delikatnie pięknymi kołami i lśniącymi liniami. Lewy brzeg był gęsto zalesiony, a w ponurym cieniu rzucanym przez las w jednym miejscu migotała długa, pienista, błyszcząca jak srebro smuga! Wysoko nad leśną ścianą suche drzewo o wyraźnych konturach falowało jedyną pokrytą liśćmi gałęzią, która paliła się jak płomień na tle wspaniałej słonecznej poświaty. Było jeszcze wiele pięknych zakrętów, odbijających się w wodzie obrazów, lesistych wyniosłości, łagodnej dali. A nad tym wszystkim daleko i blisko płynęły rozproszone światła, wzbogacając co chwila obraz w nowe cuda kolorów.

Stałem jak zaczarowany. Wchłaniałem to w niemym zachwycie. Świat był dla mnie nowy; dopóki byłem w domu, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ale, jak już mówiłem, przyszedł dzień, gdy przestałem zauważać wspaniałości i dziwy, które księżyc, słońce i zmierzch wyczarowywały na powierzchni rzeki.

Przyszedł jeszcze inny dzień, gdy przestałem zauważać je w ogóle. I gdyby ów zachód słońca się powtórzył, patrzyłbym nań bez zachwyty, a w duchu komentowałbym go w ten sposób: takie słońce oznacza, że jutro będziemy mieć wiatr; płynąca kłoda oznacza, że poziom rzeki niestety się podnosi, poprzeczna smuga na wodzie to dowód, że pod spodem jest urwista rafa,

która jednej z najbliższych nocy - o ile w dalszym ciągu będę się w ten sam sposób rozciągać — rozpruje jakiś parowiec; skaczące „krażki” wskazują na ruchomą ławicę i zmieniające się w tym miejscu koryto; linie i koła na gładkiej wodzie tam dalej są ostrzeżeniem, że to trudne miejsce wydyma się niebezpiecznie; srebrna smuga w cieniu lasu to odbłask nowej skały podwodnej, która ulokowała się w najlepszym miejscu, jakie tylko mogła znaleźć, by czyhać na parowce; to wysokie, suche drzewo z jedyną żywą gałęzią nie postoi już długo, a wtedy jak człowiek będzie się mógł przedostać przez to ślepe miejsce po nocy, bez owego przyjacielskiego, starego drogowskazu?

Tak, cały romantyzm i piękno uleciały z rzeki. Każdy szczegół miał dla mnie tylko tę wartość, jak dalece był użyteczny do bezpiecznego prowadzenia parowca. Od tego czasu począłem z całego serca litować się nad lekarzami. Czymże jest dla lekarza śliczny rumieniec na policzku jakiejś pięknotki, jeśli nie pulsującym odbłaskiem śmiertelnej choroby! Czy wszystkie jej tak pełne czaru na zewnątrz wdzięki nie są przyprószone czymś, co dla niego jest oznaką i symbolem ukrytej zagłady? Czy w ogóle widzi jej piękność, czy nie patrzy na nią tylko z punktu widzenia swego zawodu, robiąc w duchu komentarze na temat jej słabości? I czy czasami zastanawia się nad tym, czy ucząc się swego zawodu wiele zyskał, czy też wiele utracił?

## Rozdział X

### ZAKOŃCZENIE MEJ EDUKACJI

Ktokolwiek uczynił mi zaszczyt i przeczytał poprzednie rozdziały, dziwi się może, że tak szczegółowo zajmuję się nawigacją jako nauką ścisłą. Był to istotnie główny cel tych rozdziałów, lecz zadania mego jeszcze nie wypełniłem. Chciałbym wykazać w sposób jak najbardziej dokładny i mozolny, jaka to wspaniała nauka. Na morskich torach wodnych wskazują drogę pławy i światła i dlatego stosunkowo łatwo jest nauczyć się pływać nimi. Rzeki słodkowodne z dnem żwirowym zmieniają koryto bardzo powoli i wystarczy nauczyć się ich tylko raz. Ale nawigacja staje się sprawą zupełnie inną, jeśli odbywa się na tak wielkich arteriach jak Missisipi i Missouri, których aluwialne brzegi wyginają się i zmieniają bez ustanku, skały i pnie podwodne ciągle szukają sobie nowego miejsca, piaszczyste mielizny też nigdy nie mogą zaznać spokoju, koryta wiecznie wykręcają się i kurczą, zaś przeszkody trzeba pokonywać nocami i w różną pogodę, bez pomocy choćby jednej latarni morskiej, choćby jednej pławy. Nie ma bowiem ani światła, ani pławy na przestrzeni całych tych trzech czy czterech tysięcy mil zdradzieckiej rzeki. Czuję, że mam prawo rozwodzić się nad tą wielką nauką, bo jestem pewien, że nikt, kto sam prowadził statek i przez to posiadał praktyczną znajomość przedmiotu, nie napisał jeszcze o tym jednego zdania. Jeśliby temat mój był oklepany, musiałbym się z czytelnikiem obchodzić ostrożnie, ale ponieważ jest zupełnie nowy, pozwoliłem sobie zająć nim sporo miejsca.

Kiedy nauczyłem się nazw i położenia każdego widocznego szczegółu na rzece, gdy tak opanowałem znajomość jej kształtu, że mogłem zamknąć oczy i wyznaczyć go od St. Louis do Nowego Orleanu, gdy nauczyłem się czytać z powierzchni wody, tak jak się czyta poranną gazetę, i wreszcie, kiedy wyćwiczyłem moją kiepską pamięć w zakresie nieskończonej ilości sondowań i znaków, uznałem, że moja edukacja jest skończona. A więc stojąc przy kole sterowym zacząłem przekrzywiać kapelusz na jedno ucho i trzymać w zębach wykałaczkę. Maniery te nie uszły oka pana Bixby. Pewnego dnia rzekł:

— Jaka jest wysokość tamtego brzegu przy Burgessie?

— Skądże mogę wiedzieć, proszę pana? Jest oddalony o trzy czwarte mili.

— Bardzo kiepskie oko... bardzo kiepskie. Weź lunetę!

Wziąłem lunetę i natychmiast rzekłem:

— Nie umiem powiedzieć. Przypuszczam, że ten brzeg ma około półtorej stopy wysokości.



— Półtorej stopy! Ten brzeg ma sześć stóp. A jaki był w ostatnim rejsie?

— Nie wiem, nie zauważyłem. ..

— Nie zauważyłeś? Odtąd musisz na to uważać.

— Dlaczego?

— Ponieważ musisz wiedzieć bardzo wiele rzeczy, których w ten sposób się dowiesz. Po pierwsze, dowiesz się o poziomie rzeki, dowiesz się, czy w rzece jest więcej wody, czy mniej niż podczas ostatniego rejsu.

— Powie mi to sondowanie. Myślałem, że mogę się nim posłużyć.

— Tak, ale przypuśćmy, że ci, co sondują, kłamią. Brzeg ci to powie, a potem będziesz mógł się trochę przekomarzać z tymi ludźmi. Podczas ostatniego rejsu brzeg ten miał dziesięć stóp wysokości, a teraz ma tylko sześć. Co to znaczy?

— Że poziom rzeki o cztery stopy wyższy niż podczas ostatniej podróży.

— Bardzo dobrze. Czy rzeka podnosi się, czy opada?

— Podnosi.

— Nie.

— Chyba mam rację. Tam płynie kawał drzewa w dół rzeki.

— Podnosząca się woda wprawia w ruch drzewo, ale później drzewo utrzymuje się samo na powierzchni, choć rzeka już się nie podnosi. Poczekaj, aż dopłyniesz do płytszego piaszczystego miejscar O, widzisz ten wąski pas pięknego osadu? Został tu naniesiony, gdy woda była wyższa. Widzisz, dryfujące drewno zaczyna też zbaczać do brzegu. Brzeg pomaga także i w inny sposób. Widzisz pniek na tym cyplu?

— Widzę.

— Woda sięga dokładnie do jego korzeni. Musisz to sobie zapamiętać.

— Czemu?

— Bo to oznacza, że przy progach 103 jest siedem stóp.

— Ale próg 103 jest jeszcze kawał drogi w górę rzeki.

— I na tym właśnie polega korzyść, którą daje brzeg. Teraz jest dość wody przy progach 103, ale gdy my tam będziemy, może jej nie być, a przy brzegu będziemy ciągle na prądzie. Płynąc w górę rzeki nie płynie się blisko progów, gdy rzeka opada, a płynąc w dół, wolno to robić tylko przy bardzo niewielu progach. Zabrania tego prawo Stanów Zjednoczonych. Zanim dopłyniemy do progów 103, woda może się podnieść i wtedy przepłyniemy. Jakie mamy zanurzenie?

— Sześć stóp na rufie, sześć i pół na dziobie.

— No, wydaje mi się, że coś niecoś wiesz.

— Naprawdę to chciałbym wiedzieć, czy będę musiał wiecznie mierzyć brzegi tej rzeki, całe tysiąc dwieście mil od źródeł do ujścia?

— Oczywiście.

Uczucie, które mnie opanowało, było zbyt głębokie, żeby się dało wyrazić w słowach. Wreszcie rzekłem:

— A co z tymi progami? Czy dużo ich jest?

— Raczej tak. Zdaje mi się, że w tym rejsie nie popłyniemy rzeką tak — jak by to powiedzieć — tak, jak to dotąd widywałem. Jeśli woda znów zacznie się podnosić, popłyniemy nad ławicami, które zawsze widywałeś, jak sterczały z rzeki wysokie i suche, niczym dach na domu. Przetniemy zagłębienia, których nawet nie zauważyłeś, w samym środku ławic rozciągających się na przestrzeni trzystu akrów rzeki. Przepłyniemy przez szczeliny, które zawsze brałeś za stały ląd, przedrzemy się przez lasy i pozostawimy po jednej stronie dwadzieścia pięć mil rzeki, zobaczymy zaplecze każdej wyspy od Nowego Orleanu do Cairo.

— W takim razie muszę zabrać się do roboty i nauczyć się jeszcze drugie tyle, ile już wiem.

— Ze dwa razy tyle, ile tylko możesz.

— Ano, ucz się, póki żyjesz. Myślę, że byłem głupcem, kiedy się zabrałem do tego interesu.

— Tak, to prawda. I wciąż nim jesteś. A przestaniesz być, jak się wszystkiego wyuczysz.

— Ach, nigdy się tego nie nauczę.

— Już ja cię dopilnuję.

Po chwili znów spytałem:

— Czy mam się tego uczyć tak samo jak dotychczas — kształtu i reszty — żebym mógł pływać w nocy?

— Tak. I musisz mieć dobre, pewne znaki od jednego końca rzeki do drugiego, za pomocą których brzeg powie ci, czy jest dość wody w tych niezliczonych miejscach — na przykład ten pień, który już znasz. Gdy woda zaczyna się podnosić, możesz przepłynąć takich pół tuzina; gdy podniesie się jeszcze o stopę, możesz przepłynąć cały tuzin; następna stopa doda jeszcze parę tuzinów i tak dalej. A więc widzisz, musisz znać swoje brzegi i znaki jak własną kieszeń i nigdy ich nie pomieszać, bo jak zaczniesz się przedzierać przez jedną z tych szczelin, nie ma już odwrotu, jak na otwartej rzece. Musisz się przedostać, bo jeśli woda opadnie, ugrzęzniesz na sześć miesięcy. Jest około pięćdziesięciu takich szczelin, przez które wcale nie można przepłynąć, chyba że rzeka jest pełna po brzegi.

— Ta nowa lekcja to wesoła perspektywa.

— Dość wesoła. A pamiętaj, com ci powiedział: jeśli wejdiesz w któreś z tych miejsc, musisz iść naprzód. Są za wąskie, żeby się obrócić, zanadto kręte, żeby się wycofać, a płytka woda jest zawsze u wejścia — nigdy gdzie indziej. I zawsze jest prawdopodobne, że rzeka nanieśie piasku do tych wejść, tak że znaki, po których poznajesz głębokość w tym sezonie, w następnym mogą się już nie przydać.

— A więc co roku trzeba uczyć się nowych?

— Właśnie. Wykręcaj na ławicę. Po co sterczysz na środku rzeki?

Następne kilka miesięcy ukazały mi wiele dziwnych rzeczy. Tego samego dnia, w którym przeprowadziliśmy powyższą rozmowę, spotkał nas wielki przybór wody idący w dół rzeki. Cała rozległa powierzchnia poczerniała od dryfujących kłód, połamanych konarów i wielkich drzew, które leżały w zatoczkach i które wypchnęła woda. Trzeba było najwyżej sztuki sterowania, żeby nawet w dzień utorować sobie drogę lawirując od jednego punktu do drugiego. W nocy zaś owe trudności potęgniały. Coraz to jakaś olbrzymia, głęboko zanurzona kłoda pędząca naprzód ukazywała się nagle tuż pod naszym dziobem. Starać się ją ominąć było bezcelowe. Mogliśmy tylko zatrzymać maszyny i wleźć jednym kołem na całą kłodę, podnosząc straszliwy hałas i chybocząc statkiem w sposób wielce nieprzyjemny dla pasażerów. Od czasu do czasu całą mocą uderzyliśmy z trzaskiem środkiem kadłuba w zatopioną kłodę, co powodowało taki wstrząs, jakby statek walnął o stały ląd. Czasami kłoda zatrzymywała się leżąc w poprzek naszego dziobu, jakby zagarniając przed sobą wody Missisipi. Musieliśmy wtedy trochę cofnąć się i odczepić od tej przeszkody. Często po ciemku uderzaliśmy w „białe kłody”, nie mogąc ich dojrzeć, póki nie siedliśmy na nich. Czarna kłoda jest w nocy dość wyraźna, ale biały pień, gdy dzień zgaśnie, to paskudna sprawa.

Z wielkim przyborem wód płynął też naturalnie w dół rzeki rój ładownych tratw, węglowych barek z Pittsburga, małych handlowych łodzi z różnych miejsc i krypt z „Okrętu Poseya” w stanie Indiana, naładowanych „owocem i półfabrykatami” — jak to głosiła zwykle używana formuła, choć w zwyczajnym języku ładunek w ten sposób wyszlachetniony stanowiły pręty na obręczę i dynie. Piloci czuli do tych statków śmiertelną nienawiść, odpłacaną zresztą z nawiązką. Prawo nakazywało, aby wszystkie te bezbronne kupieckie barki stale paliły światło, ale prawo często łamano. Zupełnie niespodziewanie, w ciemną noc, światło takie nagle wyskakiwało prawie pod samym naszym dziobem, a przerażony głos łajał soczyście:

— Gdzie leziesz... do cholery! Ślepy jesteś czy co, ty przekłeta barania głowo, złodzieju owiec, ty jednooki synu wypchanej mały!

Potem, gdy z gwizdem przepływaliśmy mimo, czerwony blask naszego paleniska jak błyskawica wydobywał na chwilę z ciemności barkę i gestykulującą postać mówcy i równocześnie nasi palacze i marynarze pokładowi ciskali i sami byli obrzucani całą zawieruchą pocisków i przekleństw, a jedno z naszych kół obracając się miażdżyło resztki ich sterowego wiosła. I znów nad wszystkim zapadała ciemność. A barkarz płynął potem do Nowego Orleanu i oskarżał nasz statek kłamiąc w żywe oczy, że przez cały czas miał zapalone światło, podczas gdy w rzeczywistości jego banda miała latarnię na dole, przy której piła, śpiewała, leżała i grała w karty, a na pokładzie nie było żadnej wachty. Pewnego razu w nocy, w jednej z tych zalesionych zatoczek (za wyspą), o których marynarze parowca powiadają, że „ciemno tu jak w krowim brzuchu”, bylibyśmy połknęli całą rodzinę z „Okręgu Poseya”, owoce, wszystkie graty, a tylko dlatego, że zachciało im się baraszkować na dole. Dźwięki muzyki usłyszeliśmy dopiero w ostatnim momencie, ledwie zdołaliśmy ich wyminąć, nie zrobiwszy im, niestety, żadnej poważniejszej krzywdy, choć mieliśmy na to wszelkie szanse. Ludzie ci wynieśli wtedy oczywiście latarnię na pokład, a kiedyśmy odpływali, zacna rodzina stała w świetle latarni — towarzystwo obu płci i różnego wieku — i przeklinała nas, na czym świat stoi. Pewnego razu jeden taki z węglarki, gdy w bardzo wąskim przejściu „pożyczyliśmy” sobie od niego wiosło sterowane, posłał nam kulkę, która przeszła przez naszą sterówkę.

## Rozdział XI

### RZEKA PRZYBIERA...

Podczas owego wielkiego przyboru wód drobny narybek łodzi i barek sprawiał nam nieznośne kłopoty. Przelatywaliśmy spadek za spadkiem — co dla mnie było całkiem nieznanym światem — a jeśli przy spadku było jakieś szczególnie skomplikowane przejście, to już nieuniknione było spotkanie z barką. A jeśli przypadkiem jej tam nie było, natykaliśmy się na nią w jeszcze gorszym miejscu, mianowicie przy wyjściu ze spadku, na płytkiej wodzie. A wtedy wymianie jak najsoczystszych serdeczności nie było końca.

Czasami na wielkiej rzece, gdy ostrożnie, po omacku staraliśmy się wyczuć drogę we mgle, głęboką ciszę przerwało nagle wycie i brzęk cynowych patelni i w jednej chwili wśród pajęczych welonów tuż przy nas ukazywała się zbita z kłód tratwa. Wtedy nie czekaliśmy już na walkę na noże, lecz targliśmy dzwonki do maszyn co sił i pełną parą usuwaliśmy się z drogi! Nikt bezkarnie nie wali parowcem w skałę ani w potężną, zbitą z kłód tratwę!

Trudno wam będzie w to uwierzyć, lecz w owych dawnych czasach wielu z załogi parowca zabierało ze sobą mnóstwo najrozmaitszych ksiązek religijnych. Naprawdę! Dwadzieścia razy na dzień kręciliśmy się wokoło jakiejś ławicy, a cały sznur tych łobuzów dryfował na samym zakręcie przed nami i za nami na przestrzeni kilku mil. Nagle od jednej z barek odskakiwała łódka, pracowicie torując sobie drogę przez wodną pustynię. Gdy wiosłarz znalazł się już w cieniu naszego dziobu, puściwszy wolno wiosła, zdyszany, wykrzykiwał: — Dajcie ga-ze-ty! — a tymczasem łódka szybko dryfowała ku rufie. Klark wyrzucał przez burtę cały stos nowoorleańskich dzienników. Jeżeli zostały przyjęte „bez komentarzy”, można było zaraz ujrzeć tuzin innych łódek dryfujących na nas w milczeniu. Rozumiecie, czekały, aby zobaczyć, jak będzie z wiosłarzem nr 1. Ponieważ nr 1 nie zrobił żadnych komentarzy, wszyscy inni pochylali się nad wiosłami i podpływali. Gdy się zbliżyli, klark wyrzucał przez burtę spore paczki religijnych traktatów przywiązanych do kamieni. Ile soczystych przekleństw potrafiło wywołać dwanaście paczek literatury religijnej, rozdzielonej sprawiedliwie pomiędzy dwanaście załóg flisackich, które, żeby ją dostać, wiosłowały na ciężkiej łodzi przez dwie mile w gorący dzień — po prostu trudno uwierzyć.

Jak już powiedziałem, wielki przybór wód otwierał przede mną nieznanne światy. Gdy rzeka wylewała się przez brzegi, porzucaliśmy nasze stare ścieżki i nie było godziny, byśmy nie

przepływali nad ławicami, które przedtem sterczały z wody wysoko na dziesięć stóp; ocieraliśmy się o najeżone pniami brzegi, na przykład o ten u podnóża Madryckiego Zakrętu, który zawsze przedtem z daleka omijaliśmy; przelatywaliśmy z łoskotem przez spadki, na przykład przez próg 82, gdzie przedtem utykaliśmy dziobnicą o nieprzebytą ścianę ściętych drzew. Niektóre z tych spadków były zupełnie bezładne. Gęsty, nietknięty las zwisał nad obydwu brzegami krętej małej zatoczki i naprawdę można było uwierzyć, że nigdy jeszcze nie stanęła tu stopa ludzka. Przemykając się tamtędy, mijaliśmy chwiejące się pędy winnej latorośli; trawiaste zakątki i dalekie pejzaże, pokryte kwieciami Pnącza, powiewające czerwonymi pąkami z wierzchołków suchych pni i całe rozrzutne bogactwo leśnego listowia, wszystko to w dzikiej zapadłej głuszy. Progi były miejscami, na których dobrze się sterowało; poza samym wejściem były głębokie, z łagodnym prądem. Pod „cyplami” woda była zupełnie nieruchoma, a niewidoczne brzegi tak urwiste, że w zwisających z nich miękkich gałązkach wierzbowych można było schować statek na całą szerokość i płynąć, a raczej chyba fruwać.

Za dalszymi wyspami napotykailiśmy nędzne małe osady i jeszcze nędzniejsze małe, zbite z kłód szałas. Na stopę lub dwie sterczały z wody mizerne ogrodzenia, a na nich jeden lub dwóch odzianych w drelichy, zziębniętych, żółtoliczych, nieszczęsnych mieszkańców, którzy siedzieli na najwyższym słupku ogrodzenia z łokciami na kolanach, z brodą opartą na rękach, żuli tytoń i wyrzucali zbędne resztki przez szczeliny pozostałe po utraconych zębach. Reszta zaś rodziny, a wraz z nią kilka zwierząt domowych, tłoczyła się w pustej, płaskiej łodzi przycumowanej tuż obok. W łodzi tej musieli gotować, jeść i spać przez ileś tam dni, (a może i tygodni), póki rzeka nie opadła o kilka stóp i pozwoliła im wrócić do szałasu i do zimna — przy czym to zimno było łaskawym darem wszechwiedzącej Opatrzności, gdyż umożliwiało im odbywanie ćwiczeń cielesnych bez zmęczenia. Ludzie ci musieli przechodzić taki wodny kamping parę razy doroku: podczas grudniowego przyboru wód na Ohio i czerwcowego na Missisipi. Mimo wszystko jednak były to błogosławione zrządzania losu, bo przynajmniej od czasu do czasu umożliwiało tym biedakom ocknięcie się z martwoty i spojrzenie na świat w postaci przejeżdżającego parowca. Oceniali też to błogosławieństwo, bo szeroko otwierali usta i oczy i cieszyli się, jak tylko mogli, z każdej takiej okazji.

Bo cóż innego te wygnane istoty mogły znaleźć, co by nie dało im umrzeć z melancholii podczas niskiej wody!

Pewnego razu, przepływając przez jeden z tych pięknych wyspiarskich spadków, ujrzeliśmy, że drogę całkowicie zatarasowało nam zwalone drzewo. Z tego widać, jak wąskie były niektóre spadki. Pasażerowie mieli godzinę wypoczynku w dziewiczej puszczy, a marynarze przerażali zaporę, ponieważ o zawróceniu, ma się rozumieć, nie było mowy.

Od Cairo do Baton Rouge, gdy rzeka wystąpi z brzegów, nie ma większych kłopotów w nocy, bo tysiącmilową ścianę gęstego lasu, który strzeże obu brzegów, tylko od czasu do czasu przerywa farma lub tartak, a więc zboczyć z rzeki jest równie niełatwo, jak zboczyć z ogrodzonej ścieżki. Ale z Baton Rouge do Nowego Orleanu to inna sprawa. Rzeka ma więcej niż milę szerokości i jest bardzo głęboka — w niektórych miejscach dochodzi do dwustu stóp. Oba brzegi przez dobre sto mil są ogołocone z drzew i pokryte nie kończącymi się plantacjami trzciny cukrowej, przerywanymi tylko gdzieniegdzie jakimś młodym drzewkiem lub szeregiem ozdobnych drzew chinowych. Na przestrzeni od dwóch do czterech mil za plantacjami las jest całkowicie wycięty. Gdy ma nadejść pierwszy mróz, plantatorzy w pośpiechu unoszą z pól zbiory. Gdy skończą mielenie trzciny, z resztek łodyg (które zwą bagasse) układają wielkie stosy i zapalają je; choć w innych krajach uprawiających trzcinę bagasse używa się jako opału w cukrowniach. Stosy wilgotnych bagasse palą się wolno i dymią niczym kuchnia diabelska.

Po obu stronach dolnego biegu Missisipi ciągnie się wał cofnięty od samego brzegu na przestrzeni od dziesięciu do około stu stóp. Jeśli cały ten obszar napełnić gęstym dymem z palących się stosów bagasse na przestrzeni stu mil, gdy rzeka przelewa się przez brzegi, i o

północy puścić swobodnie parowiec, zobaczysz, jak on będzie się czuł! I jak ty będziesz się czuł! Znajdziesz się w środku bezkresnego, zamglonego morza, które nie ma brzegów, które zatapia się w mrocznej dali, gdyż nie jesteś w stanie rozróżnić cienkiego żebra wałów i ciągle ci się zdaje, że widzisz samotne drzewo, choć tak nie jest. Dym przeistacza nawet plantacje, które wyglądają jak morze. Przez całą wachtę jesteś na torturach i przechodzisz męki krańcowej niepewności. Masz nadzieję, że trzymasz się szlaku rzecznoego, ale na pewno nie wiesz. Pewien jesteś jedynie tego, że możesz być o sześć stóp od brzegu i właśnie wtedy się rozbić, gdy ci się wydaje, że jesteś dobre pół miili od wybrzeża. Jesteś także pewien, że jeśli nagle uderzysz o wał i zwalisz kominy za burtę, będziesz miał tę niewielką pociechę, że stało się to, czego oczekiwałeś. Jeden z wielkich vicksburgskich statków pocztowych wdarł się pewnej nocy przy takiej pogodzie w środek plantacji trzciny cukrowej i musiał tam pozostać przez tydzień. Nie było to wszakże nic nowego — zdarzało się często i dawniej.

Myślałem, że już skończyłem ten rozdział, ale chcę jeszcze dodać jedną ciekawą rzecz, póki pamiętam. Tyczy się ona tematu tylko o tyle, że związana jest z pilotowaniem. Kiedyś pływał po rzece wspaniały pilot, pan X, który był lunatykiem. Mówiono, że gdy podczas snu umysł jego trapił niepokój o jakiś trudny odcinek rzeki, wstawał i chodząc we śnie, robił dziwne rzeczy. Był kiedyś zastępcą pilota George'a Ealera podczas jednego czy dwóch rejsów na wielkim nowoorleańskim statku pasażersko-pocztowym. Przez znaczną część pierwszego rejsu George był jakiś nieswój, ale przezwyciężył to po pewnym czasie, widząc że pan X spokojnie sypia w łóżku. Późną nocą statek zbliżał się do miasta Helena w stanie Arkansas. Woda była niska i przeprawa na drugą stronę przed miastem odbywała się w zupełnej ciemności i w trudnych warunkach.

X znał miejsce przeprawy tak jak i Ealer, a ponieważ noc była wyjątkowo dżdżysta, ponura i ciemna, Ealer rozważał właśnie, czy nie lepiej byłoby wezwać pana X do pomocy przy tej przeprawie, gdy drzwi się otworzyły i wszedł X. Podczas bardzo ciemnych nocy światło jest śmiertelnym wrogiem pilota. Wiadomo, że jeśli w taką noc staniesz w oświetlonym pokoju, nie zobaczysz nic na ulicy, ale jeśli zgasisz światło i staniesz w ciemności, możesz rozeznąć przedmioty na ulicy dość dobrze. A więc w bardzo ciemne noce piloci nie palą fajek. Nie pozwalają też na zapalenie pieca w sterówce, jeśli tylko ma szparę, przez którą mógłby się przedostać najmniejszy promyczek. Każą przykryć paleniska olbrzymimi płachtami brezentu i szczelnie zaciemniać świetliki. Wtedy żadne światło nie wydobędzie się ze statku. Niewyraźny kształt, który teraz wszedł do sterówki, miał głos pana X. Mówił:

— Daj mi ster, George. Ja też widziałem to miejsce, a takie jest kręte, że chyba łatwiej je sam przejdę, niż bym ci mógł wytłumaczyć, jak to zrobić.

— Bardzo to ładnie z twojej strony i przysięgam, że robię to chętnie. Jestem już zupełnie wykończony. Kręciłem kołem jak wariat. Tak ciemno, że sam nie wiem, w którą stronę jest położone, póki się nie odkręci jak bąk.

I Ealer dysząc siadł na ławce prawie bez tchu. Czarna zjawia nic nie mówiąc ujęła koło, jednym czy dwoma obrotami wyrównała roztańczony parowiec, a potem stanęła beztrudno popychając go po trochu to w tę, to w tamtą stronę, lekko i łagodnie, jak w biały dzień. Ealer przyglądając się temu majstersztykowi sterowania żałował poczynionych zwierzeń. Otwierał szeroko oczy, dziwił się, aż wreszcie rzekł:

— Ano, zdawało mi się, że umiem sterować parowcem, ale widać się pomyliłem.

X nic nie odpowiedział, lecz spokojnie pracował dalej. Zadzwoił, by sondowano; zadzwoił, żeby wolno zmniejszać parę; prowadził statek ostrożnie i dokładnie wśród niewidzialnych znaków, potem stanął pośrodku koła i spokojnie wpatrując się w kierunku dziobu i rufy, sprawdzał położenie. Ponieważ sondy coraz to bardziej utykały na mieliźnie, zatrzymał maszyny całkowicie, a gdy nadeszło najpłytsze miejsce, na statku zapanowała martwa cisza i wyczekiwanie „dryfowania”. Lecz on dodał pary, przeprowadził go ładnie górą, a potem ostrożnie zaczął wprowadzać w następny system znaków. A więc znów to samo cierpliwe,

baczne wykorzystanie sond i maszyn — i statek przemknął się nie dotknąwszy dna, i wszedł w trzecie i ostatnie zawile stadium przeprawy. Przebijał ciemność niepostrzeżenie, cał za całem wpełzał pomiędzy znaki, leniwie dryfował, póki nie zawołano, że przechodzą przez najpłytszą wodę, a potem pod ogromnym pióropuszem pary pohnęstawszy się nad rafą pomknął na głęboką bezpieczną wodę!

Ealer z ulgą wypuścił długo wstrzymywany oddech i rzekł:

— Najładniejsza robota, jaką kiedykolwiek widziała Missisipi. Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył na własne oczy.

Nie było odpowiedzi, więc dodał:

— Potrzymaj jeszcze, kolego, z pięć minut. Zbiegnę tylko na filiżankę kawy.

Minutę potem Ealer pożerał już ciastko na górnej nadbudodówce i raczył się kawą. Tak się zdarzyło, że wtedy właśnie wszedł tam strażnik nocny i miał już wyjść, gdy zauważył Ealera i wykrzyknął:

— Kto jest przy kole sterowym?

— X.

— Wal do sterówki, leć co sił w nogach!

W następnej chwili obaj pędzili do sterówki sadząc po trzy stopnie. Nie było tam nikogo! Wielki parowiec ślizgał się na środku rzeki, jak mu się żywnie podobało. Strażnik wypadł ze sterówki; Ealer chwycił koło, dał maszyną całą mocą wstecz i wstrzymał oddech, gdy statek opornie odsuwał się od holownika, którego miał już wepchnąć w sam środek Zatoki Meksykańskiej!

Niebawem strażnik powrócił i zapytał:

— Czy ten wariat nie powiedział panu, że przyszedł tu we śnie?

— Nie.

— We śnie. Widziałem, jak spacerował po relingu tak spokojnie, jak inni po chodniku. Położyłem go do łóżka, ale za minutę już był na rufie i znów tak samo jak przedtem chodził niby po jakiejś diabelskiej linie.

— Ano, myślę, że następnym razem, jak dostanie ataku, będę musiał z nim zostać. Przypuszczam, że będzie często wpadał. Trzeba ci było widzieć, jak prowadził statek przez przejście pod Heleną. Nigdy nie widziałem czegoś tak wspaniałego. A jeśli w głębokim śnie potrafi prowadzić statek na brylant — to czego potrafiłby dokonać jako nieboszczyk?!

## Rozdział XII

### SONDOWANIE

Gdy stan wody w rzece jest niski, a statek „ciągnie całą wodę”, która jest w korycie, jak to się nieraz w dawnych czasach zdarzało, trzeba prowadzić go niezmiernie ostrożnie. Przy bardzo niskim stanie wody miewaliśmy w każdym prawie rejse kilka szczególnie złych miejsc do sondowania.

Sonduje się w sposób następujący. Przed samym płytkim przejściem statek zacumowuje do brzegu. Pilot nie będący na wachcie bierze swego pomocnika albo sternika i wybraną część załogi (czasem i oficera) do łodzi wiosłowej — o ile statek nie posiada zbyt dobrej, rzadko zresztą spotykanej specjalnej łodzi do sondowania — i wyrusza na poszukiwanie najlepszej wody, pilot będący na służbie śledzi tymczasem jego ruchy przez lunetę i od czasu do czasu pomaga mu dając sygnały gwizdkami, które np. znaczą: „próbuj wyżej” albo „próbuj niżej” — powierzchnia wody bowiem jak obraz olejny jest bardziej wyrazista i zrozumiała, gdy się ją ogląda z pewnej odległości. Sygnały gwizdka bywają wszakże potrzebne rzadko, może nawet wcale, o ile wiatr nie zatrze znamienych zmarszczek na powierzchni. Gdy łódź dotrze do płycizny, zmniejsza szybkość, pilot poczyna dziesięcio- lub dwunastostopowym drągiem

sondować głębokość, a sternik wykonuje takie na przykład rozkazy: „Dawaj w prawo!”, „Skręć w lewo!” lub „Tak trzymaj, tak trzymaj!”

Gdy pomiary wykażą, że łódź zbliża się do naj płytszego miejsca ławicy, pada rozkaz: „Wiosła!” Wtedy załoga przestaje wiosłować, a czołno dryfuje z prądem. Następnym rozkazem jest: „Przygotuj boję!” Gdy łódź dotrze do naj płytszego miejsca, pilot woła: „Rzucaj boję!” — i boja zostaje spuszczone. Jeśli pilot nie jest jeszcze zadowolony, sonduje to miejsce po raz drugi. Jeśli wyżej czy niżej znajdzie lepszą wodę, przesuwa na to miejsce boję. Gdy wreszcie jest już zadowolony, daje rozkaz i cała załoga podnosi wiosła do góry w jednej linii. Przeciągły gwizdek z parowca oznacza, że sygnał dostrzeżono. Załoga zaczyna wiosłować, łódź ustępuje drogi, podchodzi do boi. Parowiec pełznąc powoli podpływa wprost do boi, zbiera siły do nadchodzącej walki i nagle w krytycznym momencie daje całą parę i zgrzytając i przewalając się nad boją i piaskiem dociera do głębokiej wody. Zdarza się wszakże, że nie dotrze, zdarza się, że zaczyna targać się i „tańczyć”. W takim razie musi marnować wiele godzin (lub dni), nim wreszcie zerwie się z uwięzi.

Czasem nie stawia się boi, lecz łódź rusza naprzód w poszukiwaniu najlepszej wody, a parowiec płynie w ślad za nią. Często się zdarza, że sondowanie przysparza sporo wesołości i podniecenia, zwłaszcza jeśli się odbywa w cudowny dzień letni albo podczas wietrznej nocy. Lecz zimą zimno i niebezpieczeństwo odbierają mu wszelką wesołość.

Boja nie jest niczym więcej, tylko deską długości czterech lub pięciu stóp, z jednym końcem wzniesionym do góry. Jest jakby odwróconą szkolną ławką tylko z jednym oparciem. Zakotwicza się ją na naj płytszym miejscu ławicy na linie z ciężkim kamieniem umocowanym u jej końca. Gdyby nie opór podniesionego w górę końca tej odwróconej ławki, prąd wciągnąłby boję pod wodę. W nocy na wierzchu boi pali się przymocowana do niej latarnia ze świecą w środku, którą widać na milę lub więcej jako małą migającą iskierkę w bezmiarze ciemności.

Nic nie sprawia większej przyjemności młodemu pomocnikowi pilota jak wyprawa na sondowanie. Jest w tym coś z przygody, często — niebezpieczeństwa. Jakże to wspaniale i bojowo siedzieć na rufie i sterować zwrotną łodzią. Jest coś pięknego w tym radosnym skoku łodzi, gdy doświadczona załoga wkłada w wiosła całą duszę. Jak to cudownie patrzeć na białą pianę uskakującą od dziobu. W pędzie wód jest muzyka. Jakaż to radosna uciecha sunąć latem przez wietrzne przestrzenie rzeki, gdy w słońcu tańczy bezmiar maleńkich falek. Jak to wspaniale, kiedy młodemu pomocnikowi trafi się sposobność wydania rozkazu. Pilot najczęściej mówi po prostu: „Naprzód!”, a resztę zostawia pomocnikowi, który natychmiast woła najurzędowszym tonem: „Prawa burta naprzód!” „Silnie lewa!”, „Prawa hamuj!”, „Żywo, chłopcy!” Pomocnik rozkoszuje się sondowaniem także dlatego, że oczy pasażerów uważnie śledzą wszystkie ruchy łodzi, jeśli to jest dzień; jeśli zaś noc, wie on dobrze, że te same pełne podziwu oczy są utkwione w wynurzającej się z ciemności i ginącej w bezkresnej dali latarni na łodzi.

Podczas jednego z rejsów piękna, szesnastoletnia dziewczyna podróżująca w towarzystwie wuja i ciotki spędzała co dzień wiele czasu w naszej sterówce. Zakochałem się w niej. Zakochał się w niej także pomocnik pana Thornburga, Tom G. Do tej pory Tom i ja byliśmy przyjaciółmi od serca, lecz teraz stosunki między nami zaczęły się oziębiać. Opowiadałem dziewczynie o wielu moich przygodach na rzece i przeważnie robiłem z siebie bohatera. Tom także usiłował robić z siebie bohatera, co mu się w pewnym stopniu udawało, jako że zawsze miał skłonności do kwiecistej mowy. Jednakże cnota jest nagrodą sama dla siebie, toteż nie bardzo wyprzedzałem go w tej walce, może o ledwie dostrzegalną odrobinę. Mniej więcej w tym czasie zdarzyło się coś, co rokowało mi piękne nadzieje: piloci postanowili sondować przejście przy cyplu 21. Miało się to odbywać około dziewiątej czy dziesiątej godziny wieczorem, gdy pasażerowie jeszcze nie będą spać, przy czym wachtę obejmie pan Thornburg, a więc sondować będzie mój szef. Mieliśmy łódź do sondowania — istne чудо —

długą, wąską, zgrabną, a szybką jak chart. Zabierała dwunastu wioślarzy. Posyłało się w niej zawsze jednego z oficerów, tylko do przekazywania rozkazów załodze, bo na naszym parowcu zachowywano dobre maniery. Zacumowaliśmy do brzegu powyżej cypla 21. Była paskudna noc, a rzeka w tym miejscu tak szeroka, że niewprawne oko szczura lądowego w takiej pomroce nie mogłoby nawet dostrzec przeciwległego brzegu. Pasażerowie byli podnieceni i zainteresowani, wszystko układało się doskonale. Gdy w malowniczym sztormowym ubraniu przebiegałem przez maszynownię, spotkałem Toma i nie mogłem się oprzeć, żeby nie powiedzieć złośliwie:

— Cieszysz się, że nie potrzebujesz wyruszać na sondowanie?

Tom mijał mnie właśnie, ale zawrócił i rzekł:

— Aha, w takim razie sam sobie znajdź drogę do sondowania. Szedłem po niego, ale teraz przedaj mi włosy na dłoni wyrosną, nim to zrobię.

— Kto ci kazał go przynosić? Ja nie. Jest w łodzi.

— Nie ma tam. Malowali go świeżo i był na górze przy damskich kajutach, sechł przez dwa dni.

Pomknąłem z powrotem i wpadłem w tłum przyglądających się i zdumionych pań w samą porę, żeby usłyszeć rozkaz:

— Załoga, naprzód!

Spojrzałem za burtę: wspaniała łódź do sondowania właśnie poczęła odpływać, przewrotny Tom urzędował przy sterze, a mój szef siedział obok niego z drągiem do sondowania, po który pobiegłem jak głupiec. Dziewczyna zwróciła się do mnie:

— Och, jak straszno wypłynąć w takiej małej łódeczce w taką noc! Myśli pan, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo?

Wolałbym dostać nożem w serce. Odszedłem pełen goryczy pomagać w sterówce. Wkrótce latarnia łodzi znikła, a po pewnym czasie w odległości mili zamigotała na powierzchni wody maleńka iskierka. Pan Thornburg dał gwizdkiem umówiony znak, cofnął nieco parowiec, a potem ruszył prosto na nią. Pędziliśmy przez chwilę, potem zmniejszyliśmy szybkość i ostrożnie sunęliśmy w kierunku iskierki. Nagle pan Thornburg zawołał:

— Halo, latarnia na boi zgasła!

Zatrzymał maszyny. Po chwili krzyknął:

— O, jest!

A więc znów wprawił w ruch maszyny i zadzwonił, by sondowano ręczną sondą. Stopniowo woda stawiała się coraz płytsza, a potem znów coraz głębsza. Pan Thornburg mruknął:

— Nic nie rozumiem. Myślę, że boja musiała zdryfować z rafy. Wydaje się trochę za daleko na lewo. Mniejsza o to, bardzo niebezpiecznie w każdym razie będzie przelecieć nad nią!

I tak w otchłani grubej ciemności poczęliśmy pełznąć w kierunku światła. Gdy dziób nasz już miał nad nim zawisnąć, pani Thornburg chwycił za linę, zadzwonił gwałtownie i wykrzyknął:

— Na Boga, to łódź do sondowania!

Nagły wybuch dzikiego krzyku rozległ się daleko w dole... pauza — a potem straszny trzask. Pan Thornburg wołał:

— Koło zmiażdżyło łódź na proszek! Biegiem! Zobaczcie, kto zabity!

W mgnieniu oka byłem na głównym pokładzie. Mój szef, trzeci oficer i prawie cała załoga byli uratowani. Zorientowali się w niebezpieczeństwie, ale nie zdążyli już zejść z drogi. Kiedy w chwilę potem zawisły nad nimi wielkie odbijacze, byli już przygotowani i wiedzieli, co robić: na rozkaz mego szefa w odpowiedniej chwili podpłynęli, chwycili za odbijacz i wciągnięto ich na statek. W następnym momencie łódź wpadła pod koło i została rozbita w drzazgi. Brakowało dwóch ludzi z załogi i Toma. Wieść ta rozniosła się po statku jak błyskawica. Pasażerowie tłoczyli się na przednim pomoście. Mieli przerażone oczy, pobladłe twarze i zatrwożonym głosem rozmawiali o strasznym wypadku. Słyszałem, jak powtarzali ciągle:



— Biedacy! Biedny chłopiec, biedny chłopiec!

W tym czasie wysłano łódź okrętową z załogą na poszukiwanie zaginionych. Daleko, z lewej strony, dało się słyszeć słabe wołanie. Łódź zniknęła w innym kierunku. Połowa ludzi pobiegła na jedną burtę, aby wołaniem dodawać pływacemu otuchy, druga połowa pobiegła na drugą burtę, aby krzykiem zawrócić łódź. Płynący zbliżał się wołając — ale niektórzy mówili, że jego słaby głos dowodzi, że opada z sił. Tłum stoczył się przy relingu pokładu maszynowego wychylając się i wpatrując w ciemność, a im słabsze było wołanie, tym więcej okrzyków wyrывało się z ust:

— Ach, biedak, biedaki Czyż nie ma sposobu, żeby go uratować?

Ale wołanie nie ustawało, a przeciwnie, zbliżało się, aż wreszcie odezwał się przerywany głos:

— Dam radę! Rzućcie linę!

Cóż za radosny okrzyk go powitał! Pierwszy oficer stanął w blasku pochodni trzymając w ręku zwój liny, a załoga zgromadziła się wkoło niego. W tej chwili w kręgu światła ukazała się twarz pływającego, a w następnej jej właściciel został wciągnięty na statek — kulejący i przemoczony. Był to ten nędznik, Tom!

Załoga łodzi szukała wszędzie dwóch zaginionych marynarzy, ale nie znalazła ich śladu. Może nie udało im się chwycić odbijacza i zsunawszy się zginęli uderzeni kołem. Tom wcale nie skakał do odbijacza, lecz rzucił się w rzekę głową w dół i zanurkował pod kołem. Nie było to znów nic wielkiego, bardzo łatwo mógłbym i ja to zrobić, o czym też mówiłem, lecz wszyscy w dalszym ciągu robili z tego osła nie wiadomo kogo, tak jakby naprawdę dokonał wielkiego wyczynu.

A co do tej dziewczyny, to zdawało się, że do końca rejsu nie miała nigdy dosyć owego, pozał się, Boże, „bohatera”, ale mnie to mało obchodziło — stała się dla mnie wstrętą.

Jeśli chodzi o to, w jaki sposób latarnię łodzi do sondowania wzięliśmy za światło na boi, to było tak: mój szef opowiadał, że po postawieniu boi cofnął się i obserwował ją, aż wydało mu się, że trzyma się zupełnie pewnie — wtedy zajął pozycję położoną o sto jardów niżej, trochę z boku od kursu parowca, ustawił łódź dziobem pod prąd i czekał. Ponieważ musiał czekać przez pewien czas, począł rozmawiać z oficerem. Gdy sądził, że parowiec zbliża się do rafy, spojrzał w górę i zobaczył, iż boja zniknęła, lecz przypuszczał że parowiec już nad nią przepłynął. Począł więc rozmawiać dalej, lecz zauważył, że parowiec podchodzi już bardzo blisko. Tak zresztą być powinno. Parowiec bowiem musiał się prawie o niego otrzeć, by tym łatwiej wciągnąć go na pokład. Do ostatniej chwili czekał, że parowiec uskoczy w tył, lecz wreszcie błysnęła mu myśl, że biorąc jego latarnię za światło boi, chce nad nim przepłynąć. Wykrzyknął więc co sił: — Załoga przygotować się do skoku na odbijacz! — W następnej chwili skoczyli.

## Rozdział XIII

### KWALIFIKACJE PILOTA

Odbiegam wszakże od tego, co zamierzałem uczynić, to jest dokładniej niż w poprzednich rozdziałach wyjaśnić kilka szczególnych wymagań w edukacji pilota. Przede wszystkim, jest jedna zdolność, którą pilot musi ustawicznie pielęgnować, póki nie doprowadzi jej do doskonałości. Tą zdolnością jest pamięć. Nie może poprzestać na tym, że myśli, iż dana rzecz jest taka i taka — musi i o tym wiedzieć, bo jest to istotnie jedna z nauk „ścisłych”. Z jakąż pogardą spoglądano na pilota w dawnych czasach, jeśli kiedykolwiek odważył się użyć owego nieudolnego powiedzenia „myślę” zamiast energicznego „wiem!” Niełatwo jest zdać sobie sprawę, co to za olbrzymia rzecz znać każdy najdrobniejszy szczegół tysiąca dwustu mil rzeki i do tego znać go z absolutną dokładnością. Jeżeli weźmiecie najdłuższą ulicę w Nowym Jorku i będziecie po niej tam i z powrotem, cierpliwie wędrować, ucząc się wszystkich

szczegółów, aż każdy dom, okno, każde drzwi, latarnię, każdy wielki czy mały szyld będziecie znać na pamięć — i to tak dokładnie, żeby je natychmiast opisać, gdy znajdziecie się tam zniemacka wśród czarnej jak atrament nocy — wówczas będziecie mieli jakieś takie pojęcie o zasięgu i dokładności wiedzy pilota, który w głowie nosi rzekę Missisipi. A dalej, jeśli już poznacie skrzyżowania ulic, rodzaj, wielkość i położenie kamieni przy przejściach i różną głębokość błota na każdym z tych niezliczonych miejsc, będziecie mieli pewne wyobrażenie o tym, co musi wiedzieć pilot, by uchronić od szkody parowiec na Missisipi. Następnie, jeśli weźmiecie połowę szyldów na tej długiej ulicy i będziecie zmieniać ich miejsce raz na miesiąc, a przecież w ciemną noc zdołacie dokładnie poznać ich nowe położenie i dacie sobie radę z tymi ciągłymi zmianami nie robiąc omyłek, zrozumiecie, czego kapryśna Missisipi wymaga od niezrównanej pamięci pilota.

Myślę, że pamięć pilota jest może najcudowniejszą rzeczą na świecie. Umieć na pamięć Stary i Nowy Testament i recytować go płynnie w przód i w tył albo też zacząć byle gdzie i recytować w obydwie strony i ani razu się nie potknąć ani nie pomylić, nie jest niczym nadzwyczajnym w porównaniu z ogromną ilością wiedzy o Missisipi i zadziwiającą łatwością posługiwania się nią. Porównanie to robię rozmyślnie i jestem przekonany, że nie wyolbrzymiam przez to prawdy. Wielu uzna to może za przesadę, ale nie piloci.

A jak łatwo i gładko pamięć pilota wykonywa swą pracę, jak spokojnie i, można powiedzieć, bez wysiłku, jak nieświadomie uzupełnia swe rozległe magazyny godzina za godziną, dzień po dniu i nigdy nie traci, nie gubi żadnego cennego drobiazgu! Weźmy przykład. Sondujący wołają: „Half twain! Cztery i pół! Cztery i pół! Cztery i pół! Cztery i pół! Cztery i pół!” aż się to staje monotonne jak tykanie zegara — a równocześnie rozmowa toczy się dalej i pilot bierze w niej udział, świadomie nie słuchając sondujących. Niech jednak w tym nie kończącym się szeregu czterech i pół zjawia się nie akcentowane quarter twain — dwa i jedna czwarta, a potem znów dalej cztery i pół, jak dotychczas, pilot ów po dwóch albo trzech tygodniach potrafi jak najdokładniej opisać położenie statku na rzece, gdy powiedziano dwa i jedna czwarta, i podać takie mnóstwo orientacyjnych znaków rozpoznawczych, dziobowych, rufowych i burtowych, że wy sami powinniście już umieć doprowadzić tam statek i ustawić go w tym samym miejscu! Wołanie „dwa i jedna czwarta” w rzeczywistości nie oderwało jego uwagi od rozmowy, lecz wyćwiczona pamięć natychmiast sfotografowała położenie, zauważyła zmianę głębokości i zanotowała ważne szczegóły do przyszłego użytku, bez udziału świadomości. Gdybyś przechadzał się i rozmawiał z przyjacielem, a drugi przyjaciel idąc obok ciebie przez parę ulic monotonicznie powtarzał samogłoskę A i nagle w środku wsunął w ten sposób! A,A,A,A,A,R,A,A,A, etc. i tego R nie zaakcentował — po dwóch czy trzech tygodniach nie byłbyś w stanie powiedzieć, koło czego przechodziłeś w danym momencie.

Lecz mógłbyś to zrobić, gdybyś cierpliwie i pilnie ćwiczył pamięć w dokonywaniu takich rzeczy mechanicznie.

Wystarczy, aby człowiek miał tylko przeciętną pamięć, a pilotowanie rozwija ją do olbrzymich rozmiarów. Ale tylko w sprawach, w których się ćwiczy codziennie. Dzięki tak wyrobionej zdolności spostrzegania, znaki i sondowania nie mogą już ująć uwagi pilota, a pamięć jego chwyta je jak imadło. Lecz jeśli tego samego człowieka zapytać, co jadł na śniadanie, dziewięć razy na dziesięć nie będzie umiał odpowiedzieć.

Zdumiewające rzeczy można robić z ludzką pamięcią, jeśli się ją nastawi tylko w jednym kierunku. Gdy na rzece Missouri podniosły się zarobki, szef mój, pan Bixby, przeniósł się na nią i z zadziwiającą łatwością i szybkością nauczył się ponad tysiąca mil tej rzeki. Jeżeli każdy jej odcinek ujrzał jeden raz w ciągu dnia i jeden raz w nocy, wykształcenie jego było prawie skończone, tak że mógł wziąć „dzienną licencję”. Po kilku rejsach brał już pełną licencję, prowadził statki w dzień i w nocy i zdobył kategorię A 1.

Pan Bixby umieścił mnie na pewien czas u pilota, którego wyczyny pamięci nieustannie wprawiały mnie w zdumienie. Myślę jednak, że jego pamięć była wrodzona, a nie wyrobiona mozolnie. Na przykład ktoś wspominał jakieś nazwisko. Pan Brown przerywał mu natychmiast:

— Znałem go. Smagły, rudy gość z małą szramą na szyi, jakby mu drzazga tkwiła pod skórą. Był tylko przez sześć miesięcy w Południowej Linii. Jakieś trzynaście lat temu. Robiłem z nim jeden rejs. W górnym biegu było wtedy pięć stóp. „Henry Blake” siadł na mieliźnie pod wyspą Tower z zanurzeniem cztery i pół. „George Eliot” urwał ster na wraku „Sunflower”.

— Jak to, „Sunflower” zatonął...

— Wiem, kiedy zatonął: trzy lata przedtem, 2 grudnia. Kapitanem był Asa Hardy, a brat jego John pierwszym klarkiem i odbywał pierwszy rejs na tym statku. Opowiadał mi o tym Tom Jones w tydzień później w Nowym Orleanie. Był pierwszym oficerem na „Sunflower”. Kapitan Hardy wbił sobie gwóźdź w stopę 6 lipca następnego roku i 15 umarł na tężec. Jego brat John umarł dwa lata później, 3 marca, na różę. Nigdy nie widziałem żadnego z Hardych — byli znad rzeki Alleghany, ale mówili mi to wszystko ludzie, którzy ich znali. Mówili jeszcze, że kapitan Hardy zimą i latem nosił wełniane skarpetki, a pierwsza jego żona nazywała się Jane Shook i pochodziła z Nowej Anglii, a druga umarła w szpitalu dla wariatów. Miała to już we krwi. Pochodziła z Lexington w stanie Kentucky. Jej panięńskie nazwisko było Horton.

I tak całymi godzinami potrafił obracać językiem. Nie mógł zapomnieć niczego. Było to po prostu niemożliwe. Najdrobniejsze szczegóły tkwiły tak wyraźnie i jasno w jego głowie, mimo że leżały tam latami, jakby to były najbardziej pamiętne wydarzenia. Pamięć jego nie była zwykłą pamięcią pilota; posiadała uniwersalny zasięg. Jeśli mówił o jakimś mało ważnym liście, który otrzymał przed siedmiu laty, prawie zawsze przytaczał cały tekst z pamięci. A potem, nie zdając sobie sprawy, że odbiega od tematu, opowiadał cały życiorys tego, kto ten list napisał. Miało się naprawdę szczęście, jeżeli nie zabrał się do jego krewnych i nie zaczął opowiadać także ich biografii.

Taka pamięć to wielkie nieszczęście. Wszelkie wydarzenia mają dla niej jednakowy wymiar. Posiadacz jej nie może rozróżnić okoliczności ważnych od mniej ważnych. Jako narrator z obowiązku obciąża swe opowiadanie nużącymi szczegółami i robi z siebie nudziarza nie do zniesienia. Poza tym nie umie trzymać się tematu. Podnosi każde najmniejsze ziarenko pamięci, które dostrzeże na swej drodze, i w ten sposób zbacza z głównego toru. Pan Brown mając najszczerze intencje zaczyna opowiadać ci anegdotkę o psie. Jest tak rozśmieszony, że trudno mu zacząć. Potem pamięć jego zaczyna zajmować się rasą psa i jego wyglądem, zbacza w historię jego właściciela i rodziny właściciela wraz z opisami wesel i pogrzebów, które się w tej rodzinie odbyły, oraz z recytacją wierszowanych życzeń i okolicznościowych utworów żałobnych. Następnie pamięć ta przypomina sobie, że jedno z tych zdarzeń odbywało się podczas pamiętnej „ciężkiej zimy” w roku takim a takim, przy czym następuje krótki opis owej zimy razem z nazwiskami zamarzniętych na śmierć ludzi i statystyką wysokich cen, do których doszła wówczas wieprzowina i siano. Wieprzowina i siano przywiodą na pamięć zboże i paszę; zboże i pasza — krowy i konie, krowy i konie przypomną cyrk i pewnych sławnych jeźdźców jeżdżących na oklep. Przejście z cyrku do menażerii jest łatwe i naturalne, a od słonia do podzwrotnikowej Afryki tylko jeden krok. Potem oczywiście dzicy poganie przywiodą na pamięć religię i po trzech lub czterech godzinach nudnej gadaniny wachta się zmienia i Brown wychodzi ze sterówki mrużąc wyjątki z kazań o skuteczności modlitwy jako środka do uzyskania łaski, które słyszał wiele lat temu. I tak po całym niecierpliwym oczekiwaniu jedyną rzeczą, jakiej się dowiesz o psie, będzie owa pierwsza, początkowa wzmianka.

Pilot musi mieć dobrą pamięć, ale musi też mieć jeszcze dwa inne rodzaje zdolności. A mianowicie, zdolność dobrej i szybkiej orientacji i decyzji oraz chłodną, spokojną odwagę,

której nie zachwieje żadne niebezpieczeństwo. Jeśli ktoś od początku, jeszcze nim zostanie pilotem, ma trochę odwagi, to potem żadne niebezpieczeństwo, w którym może znaleźć się statek, nie wytrąci go z równowagi. Nie można tego wszakże powiedzieć o orientacji. Orientacja to jest kwestia mózgu i człowiek musi zaczynać z dobrym zapasem tego towaru — inaczej nigdy nie będzie pilotem.

Podczas służby w sterówce przez cały czas odwaga wzrasta, lecz nie osiąga wysokiego i zadowalającego poziomu, póki młody pilot nie odbędzie sam „swojej wachty” uginając się pod ciężarem swojej wyłącznej odpowiedzialności. Zwykle, gdy praktykant zaznajomi się z rzeką dość dokładnie, kieruje parowcem w dzień i w nocy buńczucznie i śmiało, przekonany, że to własna odwaga dodaje mu ducha. Lecz niechaj tylko doświadczony pilot wyjdzie ze sterówki i pozostawi praktykanta samemu sobie, od razu przekonuje się, że odwagę swą zawdzięczał temu drugiemu człowiekowi. Przekonuje się, że tego towaru nie ma wcale w jego ładunku. Rzeka jeży się trudnościami, do których nie jest przygotowany. Nie wie, jak sobie z nimi poradzić. Cała jego wiedza zawodzi, przez piętnaście minut jest błąd jak płótno i śmiertelnie przerażony. Toteż piloci za pomocą różnych wybiegów strategicznych mądrze ćwiczą praktykantów, by spokojnie patrzyli w oczy niebezpieczeństwu. Bardzo często w takich wypadkach chwytają się przyjacielskich forteli.

Pan Bixby jeden raz nabrał mnie w ten sposób, lecz na myśl o tym przez wiele lat rumieniłem się nawet we śnie. Byłem już dobrym sternikiem, tak dobrym, że musiałem wykonywać całą pracę podczas naszej wachty, w dzień i w nocy. Pan Bixby rzadko robił mi jakieś uwagi. Niekiedy tylko w szczególnie złe noce lub przy szczególnie trudnych przeprawach sam brał za koło, dobijał w razie potrzeby do brzegu, a poza tym przez dziewięć dziesiątych wachty grał rolę nic nie robiącego dżentelmena i gromadził zarobki. Rzeka w dolnym biegu była prawie pełna po brzegi i gdyby ktokolwiek podał w wątpliwość moją umiejętność przepłynięcia któregośkolwiek z przejść pomiędzy Cairo a Nowym Orleanem bez pomocy lub wskazówki, czułbym się głęboko dotknięty. Sama możliwość obawy przed którymkolwiek z tych przejść za dnia była zbyt wielką niedorzecznością, żeby ją brać pod uwagę. W pewien niezwykle piękny letni dzień robiłem właśnie kolisty zakręt przed wyspą 66 i pełen zarozumiałości zadzierałem nosa wyżej niż żyrafa, gdy pan Bixby rzekł:

— Idę na chwilę na dół. Przypuszczam, że znasz następne przejścia?

Był to prawdziwy afront. Przejście należało do najprostszych na całej rzece. Nie mogło stać się nic złego — czy przepłynąć je dobrze, czy źle — a jeśli chodzi o głębokość, to nigdy nie można tu było dotknąć dna. O tym wszystkim wiedziałem doskonale.

— Czy znam? Mogę je przejść z zamkniętymi oczami.

— Ile tam wody?

— Dziwne pytanie. Nawet wieżą kościelną nie mógłbym dosięgnąć dna.

— Tak myślisz?

Zadał to pytanie takim tonem, że zachwiało moją pewność. Tego właśnie oczekiwał, pan Bixby. Wszedł, nie powiedziawszy nic więcej. Zacząłem wyobrażać sobie różne rzeczy. Pan Bixby, o czym oczywiście nie wiedziałem, posłał kogoś na dziób statku z jakimiś tajemniczymi wskazówkami dla sondujących, kogoś innego, żeby poszeptał z oficerami, a sam schował się za komin, skąd mógł obserwować rezultat swoich zabiegów. Najprzód na pokład sztormowy wszedł kapitan, następnie ukazał się pierwszy oficer, potem klark. Co chwila jakiś łazik dołączał się do moich widzów i zanim dopłynąłem do cypla wyspy, miałem już około dwudziestu ludzi zgromadzonych na dole lub pod samym moim nosem. Zacząłem się niepokoić. Zaraz na samym początku przeprawy kapitan spojrzał ku mnie w górę i rzekł z udanym niepokojem w głosie:

— Gdzie jest pan Bixby?

— Zszedł na dół, panie kapitanie.

Lecz to nie wystarczyło. Wyobraźnia poczęła z niczego tworzyć niebezpieczeństwa, które mnożyły się coraz szybciej. Nagle wyobraziłem sobie, że widzę przed sobą płytką wodę! Zalała mnie fala tchórzliwego przerażenia. Chwyciłem za linkę od dzwonu, puściłem ją zawstydzony, znów ją złapałem, puściłem raz jeszcze i znowu drżąc chwyciłem i pociągnąłem tak słabo, że ledwie usłyszałem dźwięk dzwonu. Kapitan i pierwszy oficer wykrzyknęli równocześnie:

— Sonda z prawej burty! Szybko!

Był to nowy wstrząs. Zacząłem skakać po kole jak wiewiórka, lecz zaledwie statek poszedł w lewo, już ujrzałem nowe niebezpieczeństwo po tej stronie, i szybko starałem się położyć go w prawo po to tylko, by ujrzyć niebezpieczeństwo grożące właśnie z prawej burty i po wariacku znów wykręcać na lewą. Wtedy ozwało się grobowe wołanie sondującego:

— Głę-bo-kość cztery.

Głębokość cztery podczas przejścia w miejscu bez dna! Przerażenie odebrało mi dech.

— Mark three! Marka trzy! Marka trzy... Dwa i trzy czwarte!... Dwa i pół!...

To było straszne! Chwyciłem za linki od dzwonek i zatrzymałem maszyny.

— Dwa i jedna czwarta! Dwa i jedna czwarta! Mark twain! Marka dwa!

Byłem bezradny. Nie miałem pojęcia, co robić. Dygotałem od stóp do głów. Wypatrywałem oczy, że o mało mi nie wyskoczyły.

— Jeden i trzy czwarte! Dziewięć i pół!

Mieliśmy zanurzenie dziewięć! Ręce latały mi nerwowo. Nie mogłem nawet porządnie zadzwonić. Rzuciłem się do rury głosowej i krzyknąłem do mechanika:

— Och, Ben, jeżeli jesteś moim przyjacielem, daj wstecz! Szybko, Ben! Och, wytrząś z niego bebechy, ale daj wstecz!

Usłyszałem, że drzwi zamknęły się cicho. Odwróciłem się. Pan Bixby stał uśmiechając się łagodnym, miłym uśmiechem. Wtedy widzowie na pokładzie sztormowym wybuchnęli huraganem upokarzającego dla mnie śmiechu. Teraz widziałem już wszystko i czułem się nędzniejszy od najnędzniejszego człowieka na świecie. Poleciałem przerwać sondowanie, ustawiłem statek pomiędzy znakami, maszyny ruszyły, a ja rzekłem:

— Ładny kawał zrobiliśmy sierocie, prawda? I chyba nigdy tego nie zrozumieć, jak mogłem być takim osłem, żeby sondować przy cyplu 66.

— Możliwe, że nie. Mam nadzieję, że nie, ale chciałbym, żeby cię to doświadczenie czegoś nauczyło. Czy nie wiedziałeś, że to przejście nie ma dna?

— Tak, wiedziałem.

— A więc, nie wolno ci było dopuścić, aby ktokolwiek zachwiał twoją pewnością. Wbij sobie to do głowy. I jeszcze druga rzecz: jeżeli znajdziesz się w miejscu niebezpiecznym, nie bądź tchórzem. To wcale nie pomaga sprawie.

Była to dobra lekcja, lecz dość twardo zaaplikowana. Najgorsze, że przez długie miesiące musiałem słyszeć zdanie, do którego czułem szczególnie wstręt. Brzmiało ono: „Och, Ben, jeżeli jesteś moim przyjacielem, daj wstecz!”

## Rozdział XIV

### RANGA I GODNOŚĆ PILOTOWANIA

W poprzednich rozdziałach, wchodząc w subtelności sztuki pilotowania, starałem się dokładnie zaznajomić z nią czytelnika, oraz pokazać mu, że jest to bardzo ciekawa i niezwykła sztuka. Kochałem mój zawód daleko bardziej niż jakikolwiek inny, którym się potem zajmowałem, i byłem z niego niezmiernie dumny. Przyczyna tego jest jasna: pilot w owych czasach był jedyną nieskrępowaną, zupełnie niezależną istotą ludzką na świecie. Królowie są tylko spętanymi sługami parlamentu i ludu; parlamenty trwają w okowach ukutych przez wyborców, wydawca pisma musi się zadowolić wypowiedzianiem tylko połowy

lub dwóch trzecich tego, co myśli; żaden duchowny nie jest wolnym człowiekiem i nie może mówić całej prawdy nie licząc się z opinią swej parafii; pisarze są zakutymi w kajdany sługami czytelników. Piszemy szczerze i odważnie, lecz przed wydrukowaniem „modyfikujemy”. Prawdę mówiąc, każdy mężczyzna, każda kobieta i dziecko mają swego pana i męczą się, i dręczą w niewoli. Lecz w czasach, o których piszę, pilot na Missisipi był wolny, kapitan mógł wprawdzie stanąć na sztormowym pokładzie i z całą pompą bardzo krótkotrwałej zresztą władzy dać mu kilka rozkazów, gdy statek cofając się wchodził na nurt, ale na tym kończyło się panowanie owego szypra. Z chwilą, gdy statek znalazł się już na rzece, był pod wyłączną i bezsporną władzą pilota. Mógł robić ze statkiem, co tylko chciał, pędzić, jak mu się podobało, lub zacumować do brzegu, jeśli uważał, że tak będzie najlepiej. Miał zupełną wolność, nie radził się nikogo, nikt mu nie dawał rozkazów, obrażał się z miejsca za najbardziej nieśmiałą radę. Samo nawet prawo Stanów Zjednoczonych zabraniało mu słuchać jakichkolwiek rozkazów czy rad w tym słusznym przekonaniu, że pilot lepiej wie, jak ma prowadzić statek, niż ten, kto mu doradza. A więc był to nowy król, który nie miał straży, samowładny monarcha, który nie w pustych słowach, ale naprawdę był samowładny.

Wiedziałem, jak osiemnastoletni chłopiec prowadził spokojnie wielki parowiec na — jak się zdawało — pewną zgubę, a starszy wiekiem kapitan, choć doskonale zdawał sobie sprawę z położenia, stał obok w milczeniu, nie mając prawa się wtrącać. Wtrącenie się jego w tym szczególnym wypadku byłoby zresztą wysoce wskazane — lecz mogłoby stworzyć niebezpieczny precedens. Zważywszy tę bezgraniczną władzę pilota łatwo można sobie wyobrazić, że za dawnych czasów żeglugi parowej był on osobistością nie lada. Kapitan traktował go z wyraźnymi względami, a wszyscy oficerowie i marynarze z prawdziwym uszanowaniem. Atmosfera owego uszanowania szybko udzielała się też pasażerom. Przypuszczam, że piloci to jedyni ze znanych mi ludzi, którzy nie okazywali zakłopotania w obecności podróżujących zagranicznych książy.

Wskutek długiego nawyku piloci nauczyli się ujmować wszystkie swoje życzenia w formie rozkazu. Do dnia dzisiejszego ciężko mi nadawać mej woli słaby kształt prośby, zamiast przekazywać ją szorstko jak rozkaz.

W owych czasach załadowanie statku w St. Louis, droga do Nowego Orleanu i z powrotem i wyładowanie towaru zabierało przeciętnie około dwudziestu pięciu dni. Siedem lub osiem z owych dni statek przebywał w portach St. Louis i Nowego Orleanu, przy czym, kto tylko żył na statku, ciężko pracował — z wyjątkiem dwóch pilotów. Oni nic nie robili, tylko odgrywali dżentelmenów włóczących się po mieście, otrzymując za to taką samą zapłatę, jakby byli na służbie. Z chwilą gdy statek dotknął przystani któregoś z tych miast, już wyskakiwali na ląd i nikt ich nie widział dopóty, dopóki nie zadzwonił ostatni dzwonek i wszystko było gotowe do następnego rejsu.

Jeśli kapitan dostał wielce cenionego pilota, zadawał sobie dużo trudu, by go zatrzymać. W czasach kiedy płacono na Górnej Missisipi czterysta dolarów miesięcznie, znałem kapitana, który w okresie, gdy rzeka była zamrznięta, trzymał takiego pilota bez żadnej roboty, na pełnej gaży, przez trzy miesiące. A trzeba pamiętać, że w owych tanich czasach czterysta dolarów to była wspaniała pensja. Niewielu ludzi na lądzie dostawało taką pensję. A jeśli nawet ją mieli, patrzono na nich z podziwem. Jeśli piloci z dolnego czy górnego biegu rzeki zawędrowali do naszej małej wioski nad Missouri, najpierwsi i najlepsi ubiegali się o ich względy i traktowali ich ze szczególnym szacunkiem. Wielu pilotów niezmiernie lubiło i ceniło stanie w porcie na pełnej gaży, zwłaszcza jeśli należeli do kompanii rzecznej Missouri w czasach największego handlowego rozkwitu (czasy Kansas) i otrzymywali za rejs dziewięćset dolarów, co wynosiło około tysiąca ośmiuset dolarów miesięcznie. Oto rozmowa z owych czasów. Pewien gość z małej starej łajby (z kołem na rufie) z rzeki Illinois podchodzi do paru wykwintnych i ozłacanych pilotów z rzeki Missouri.

— Panowie, mam świetny rejs w górę rzeki i potrzebowaliby panów na miesiąc. Ile by to kosztowało?

— Tysiąc osiemset dolarów od sztuki.

— Wielkie nieba! Zabierzcie mój statek, a dawajcie mi waszą pensję, a jeszcze się z wami podzielę.

Dodam na marginesie, że wszyscy należący do załogi parowców na Missisipi w oczach szczerów lądowych (a także w pewnym stopniu we własnych) byli ważnymi osobistościami to zależnie od godności statku, na jakim służyli. Zaszczycem na przykład było należeć do załogi tak dostojnego statku jak „Aleck Scott” lub „Grand Turk”. Palacze Murzyni, marynarze pokładowi i golarze na tych statkach mieli znakomitą pozycję życiową i wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Pewnego razu potężnie zbudowany Murzyn zadzierając nosa ubliżył innym na zabawie murzyńskiej w Nowym Orleanie. Wreszcie jeden z organizatorów zabawy przystąpił do niego i pyta:

— A kimże ty jesteś? Chciałbym wiedzieć!

Winowajca, ani odrobinę nie zmieszany, nadał się jeszcze bardziej i głosem, w którym wyczuwało się, że wie, co robi, wypalił:

— Kto ja jestem? Kto ja jestem? Zaraz się dowiecie, kto ja jestem. Chcę, żebyście wy, Murzyni, zrozumieli, że jestem palaczem przy środkowym palenisku na „Aleck Scott!”

To wystarczyło.

Golarz z „Grand Turk” był schludnym Murzynem, który pysznił się swoją ważnością w sposób ujmująco uprzejmy, i w kołach, w których się obracał, był wielce szanowany. Czarna młodzież Nowego Orleanu częstokroć flirtowała sobie o zmroku w zaułkach bocznych uliczek. Pewnego wieczoru w jednym z tych miejsc ktoś zobaczył i podsłuchał taką scenę: Murzynka w średnim wieku wysunawszy głowę przez rozbitą szybę wołała (pragnąc by sądziedzi słyszeli i zazdrościli): — Słuchaj no, Mario Anno, wracaj do domu w tej chwili! Czego tam wystajesz i dajesz zawracać sobie głowę temu łobuzowi golarzowi z „Grand Turk?”

To, co mówiłem przed chwilą, iż szczególne stanowisko pilota stawiało go poza zasięgiem krytyki lub rozkazu, przywodzi mi oczywiście na pamięć Stefana W. Był to zdolny pilot, dobry człowiek, niestrudzony gawędziarz, pełen zarówno rozsądku, jak i humoru. Nie robił sobie nic z dostojęństw, godności i największego bogactwa. Pracę miał zawsze, lecz nigdy nie zaoszczędził jednego pensa, był najbardziej przekonywającym dłużnikiem, miał długi u każdego pilota na rzece i prawie u wszystkich kapitanów. Potrafił zając się jakimś głupstwem i — niech diabli porwą pilotowanie — zrobić z tego rzecz wspaniałą, prawie urzekającą... choć nie dla wszystkich. Pewnego razu odbywał rejs z dobrym starym kapitanem Y, a kiedy statek zawinął do Nowego Orleanu, został zwolniony ze służby. Ktoś, słysząc o tej dymisji wyraził zdumienie. Kapitan Y, na samo wspomnienie Stefana, otrząsnął się. A potem cienkim, starczym głosem wybełkotał:

— Niech mnie Pan Bóg broni! Nie wziąłbym takiego dzikusa na statek za nic na świecie! Klnie, śpiewa, gwizdże, wyje — nie widziałem nigdy żadnego Indianina, który by tak wył. I to przez całe noce. Wył nie dlatego, żeby czegoś specjalnie chciał, ale po prostu napełniało go to jakimś diabelskim zadowoleniem. Nigdy nie mogłem spokojnie zasnąć, żeby tym swoim straszliwym wojennym wyciem nie poderwał mnie z łóżka oblanego zimnym potem. Dziwny stwór — bardzo dziwny stwór — nie szanujący nikogo ani niczego. Czasem nazywał mnie „Johnny”. Miał skrzypce i kota. Grał okropnie. Denerwowało to widać kota, więc się darł. Tam, gdzie był ten człowiek i jego rodzinka, nikt nie mógł zasnąć! A jaki lekkomyślny! Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Możesz pan wierzyć albo nie, ale tak jak tu siedzę — prowadził mój statek z przechyłem przez te straszne progi przy Chicot pod pełną parą, a wiatr dął jak wszyscy diabli! Opowiedzą to panu moi oficerowie. Sami widzieli. I, proszę pana, właśnie jak się przedzierał przez owe progi, a ja trząsałem się jak w febrze i odmawiałem

pacierze — jeśli łzę, niechaj mi język stanie kołkiem — wykrzywił gębę i zaczął gwizdać! Tak, proszę pana, gwizdać! „Hej tam, dziewczęta z Buffalo, czy przyjdziecie dzisiaj w nocy? Czy przyjdziecie dzisiaj w nocy? Czy przyjdziecie dzisiaj w nocy?”... — i to tak spokojnie, jakbyśmy byli na pogrzebie, nie będąc krewnymi nieboszczyka. Gdy mu to przedkładałem, uśmiechnął się do mnie jak do dziecka, kazał mi iść domu, być grzecznym i nie mieszać się do starszych!

Innym razem dość marny kapitan złapał Stefana w Nowym Orleanie bez pracy i jak zwykle bez pieniędzy. Urządził prawdziwe oblężenie Stefana, który znajdował się w sytuacji „bez wyjścia”, i wreszcie przekonał go, aby się zaangażował za sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, to jest za pół pensji, z tym, że kapitan godzi się zachować to w sekrecie, aby nie ściągnąć na biedaka pogardy wszystkich kompanów. Lecz nie upłynął jeszcze dzień, jak opuścił Nowy Orlean, a Stefan dowiedział się, że kapitan chełpi się swoją zdobyczą i że opowiedział o niej wszystkim oficerom. Stefan zatrzęsł się cały, lecz nic nie rzekł. Po południu kapitan wyszedł na pokład sztormowy, rozejrzał się wkoło i zdawał się być mocno zdziwiony. Spojrzał pytająco w górę na Stefana, ale Stefan zajęty pracą spokojnie gwizdał. Kapitan postać jakiś czas wyraźnie niezadowolony i przez chwilę wydawało się, że chce zrobić jakąś uwagę, lecz etykieta obowiązująca na rzece nauczyła go, by unikał tego rodzaju porywczosci. Opanował się więc i nic nie powiedział. Jeszcze kilka minut zżymał się i zdumiewał, aż wreszcie poszedł do swej kabiny. Lecz wkrótce znów wyszedł, najwidoczniej jeszcze bardziej zakłopotany. Nareszcie zdecydował się grzecznie zauważyć:

— Niezły poziom wody? Nieprawdaż?

— Myślę! Jeżeli sięga brzegu, to chyba nie najgorszy.

— Zdaje się, że prąd jest dość silny.

— Dość silny to nie jest właściwe określenie! Jest gorszy niż we młynie.

— Czy nie łatwiej płynąć bliżej brzegu niż tu na środku? '

— Tak, myślę, że tak, ale z parowcem nie można być za ostrożnym. Tutaj jest dość bezpiecznie, nie uderzy się przynajmniej o dno, tego można być pewnym.

Kapitan oddalił się, wyraźnie zgnębiony. Doszedł do wniosku, że jeśli będą dalej płynęli z taką szybkością, prawdopodobnie umrze ze starości, zanim statek dobrnie do St. Louis. Następnego dnia zjawił się na pokładzie i znów ujrzał Stefana uparcie trzymającego się środka rzeki, walczącego z całą ogromną siłą wód Missisipi i gwizdzącego tę samą wesołą melodyjkę. Sprawa stawała się poważna. Tuż przy brzegu szedł powolniejszy parowiec prując swobodnie spokojną wodą i zyskując stale na szybkości. Zaczął już kierować się na spadek koło wyspy, podczas gdy Stefan ciągle tkwił na środku rzeki. Wtedy wyrwało się kapitanowi:

— Panie W., czy ten spadek nie skraca znacznie odległości?

— Przypuszczam, że tak, ale nie wiem.

— Nie wie pan? Jak to? Czy nie ma tam dosyć wody, żeby przepłynąć?

— Możliwe, że jest, ale nie jestem pewien.

— Słowo daję, to niesłychane! Przecież piloci na tamtym statku mają zamiar próbować. Czy to znaczy, że wie pan mniej niż oni?

— Oni! Przecież oni dostają po dwieście pięćdziesiąt dolarów! Ale niech się pan nie niepokoi: wiem akurat tyle, ile wie każdy, kto zarabia sto dwadzieścia pięć dolarów.

Kapitan poddał się.

Po pięciu minutach Stefan walił przez spadek pokazując rywalizującemu parowcowi parę dwustu pięćdziesięciodolarowych pięt.

## Rozdział XV

### MONOPOL PILOTA



Pewnego dnia szef mój, pan Bixby, na pokładzie „Aleck Scotta” pełznął ostrożnie przez wąskie miejsce przy Kociej Wyspie, przy czym obydwie sondy były w ruchu, a wszyscy na statku wstrzymywali oddech. Kapitan, człowiek nerwowy i pobudliwy, milczał, póki mógł, wreszcie nie wytrzymał i stojąc na sztormowym pokładzie krzyknął:

— Na miłość boską, niech pan doda pary, panie Bixby! Niech pan doda pary! W ten sposób statek nigdy nie przejdzie rafy.

Jeśli sądzić po wyglądzie pana Bixby, uwaga ta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Ale po pięciu minutach, gdy niebezpieczeństwo minęło i sondy zostały już wyciągnięte, wpadł w niepohamowaną wściekłość i obrzucił kapitana najpiękniejszą serią przekleństw, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nie doszło do rozlewu krwi tylko dlatego, że pozycja kapitana nie należała do najmocniejszych, bo nie był to człowiek, który by w normalnych warunkach spokojnie przyjął takie wyzwiska.

Przedstawiwszy szczegółowo istotę szuki prowadzenia statku oraz opisawszy stanowisko, jakie zajmował pilot wśród braci marynarskiej, wydaje się obecnie rzeczą wskazaną powiedzieć parę słów o organizacji, którą kiedyś tworzyli piloci dla ochrony swego zawodu. Była ona ciekawa i godna uwagi dlatego, że stanowiła może najbardziej zwartą, najpełniejszą i najsilniejszą organizację handlową, jaką kiedykolwiek ludzie stworzyli.

Przez długi czas pensja pilota wynosiła dwieście pięćdziesiąt dolarów, lecz co ciekawe, w miarę jak parowce się mnożyły, a handel wzrastał, pensje zaczęły się z wolna obniżać. Łatwo można było odkryć tego przyczynę. „Wyprodukowano” za dużo pilotów. Przyjemnie było mieć pomocnika, który przez kilka lat robił całą czarną robotę gratis, podczas gdy mistrz siedział na wysokiej ławie i palił fajkę. Wszyscy piloci i kapitanowie mieli synów i siostrzeńców, którzy chcieli zostać pilotami. Wkrótce okazało się, że prawie każdy pilot na rzece ma pomocnika. Jeżeli pomocnik zrobił jakie takie postępy i zadowolili dwóch pilotów, mogli oni podpisawszy podanie do Inspektora Stanów Zjednoczonych uzyskać dla niego licencję pilota. Niczego więcej nie było potrzeba. Nie zadawano żadnych pytań, nie wymagano żadnych więcej dowodów świadczących o kwalifikacjach. I tak ten rosnący rój nowych pilotów, aby zdobyć posadę, zaczął podminowywać zarobki. Za późno widać spostrzegli swój błąd rycerze steru. Oczywiście, że coś trzeba uczynić i to szybko — ale co było najkonieczniejsze? Zwarta organizacja. Nic innego nie mogło tu pomóc. Lecz wykonanie tego zdawało się niemożliwe — a więc omawiano ów projekt, omawiano, aż wreszcie porzucono. Ktokolwiek zdecydował się zająć tą sprawę, z góry pewien był klęski. Lecz wreszcie około tuzina najodważniejszych, wśród których znajdowali się najlepsi piloci na rzece, zabrało się do tego przedsięwzięcia ponosząc całe ryzyko. Uzyskali specjalny statut o dużej mocy prawnej i związek swój nazwali Dobrowolnym Stowarzyszeniem Pilotów, wybrali władze, usprawnili organizację, uzyskali kapitał, ustanowili minimum płac w wysokości dwustu pięćdziesięciu dolarów i — wrócili do domu, gdyż wkrótce pozbawiono ich pracy. Ale w dodatkowych regulaminach statutu znajdowało się kilka nie zauważonych drobiazgów, które stały się twórczym nasieniem. Na przykład wszyscy nie zatrudnieni członkowie stowarzyszenia, zdadni do pracy, mieli prawo do zapomogi wynoszącej dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie.

To w martwym (letnim) sezonie zaczęło ściągać z szeregów świeżo upieczonych pilotów jednego „luzaka” za drugim. Lepiej mieć dwadzieścia pięć dolarów niż głodować. Wpisowe wynosiło tylko dwanaście dolarów, a składek z bezrobotnych nie ściągano.

Także wdowy po cieszących się dobrą sławą członkach stowarzyszenia mogły dostawać dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie oraz pewną sumę na każde dziecko, a zmarli chowani byli na koszt stowarzyszenia. Przywileje te na nowo przywracały życie wszystkim podeszłym wiekiem i zapomnianym pilotom w dolinie Missisipi. Przybywali z zagród wiejskich, z zapadłych puszczańskich osad, ze wszystkich stron. Przybywali na szczudłach, na wózkach, w ambulansach, wszystko jedno jak, byle dojechać. Wpłacali swoje dwanaście dolarów i od

razu zaczęli pobierać dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie i obliczać wydatki pogrzebowe.

Wkrótce członkami stowarzyszenia byli wszyscy bezużyteczni, opuszczeni piloci oraz zaledwie paru pierwszorzędnych pilotów, a reszta, dziewięć dziesiątych spośród najlepszych, nie zgłosiła się na członków i wyśmiała stowarzyszenie. Każdy drwił z regulaminu, według którego członkowie mieli wpłacać dziesięć procent zarobków miesięcznie do kasy na rzecz stowarzyszenia, a przy tym natychmiast wyrzucano ich z pracy jak zapowietrzonych i nikt ich nie chciał zatrudnić. Każdy szyderczo wyrażał swą wdzięczność stowarzyszeniu za usunięcie z drogi wszystkich bezwartościowych pilotów i pozostawienie całego pola doskonałym i pierwszorzędnym. A wdzięczny był nie tylko za to, ale i za skutek, a mianowicie, za stopniowe podwyższanie pensji, w miarę jak zbliżał się gorący sezon. Zarobki podniosły się od stu dolarów miesięcznie do stu dwudziestu pięciu, w niektórych wypadkach do stu pięćdziesięciu. Jakże zabawne było rozwodzić się nad tym., że tej wspaniałej rzeczy dokonał zespół ludzi, z których żaden nie miał z tego najmniejszego zysku. Niektórzy z kpiarzy wstępowali nawet do lokalu stowarzyszenia i zabawiali się żartując z członków i proponując im litościwie, że ich zabiorą jako pomocników na jeden rejs, ażeby mogli zobaczyć, jak rzeka w ogóle wygląda. A mimo wszystko stowarzyszenie było zadowolone — albo przynajmniej niczym nie objawiało, że jest inaczej. Od czasu do czasu przyciągało jakiegoś pilota, który „nie miał szczęścia”, i wpisywało go na listę. Owe późniejsze zapisy okazały się bardzo cenne, bo byli to dobrzy piloci. Wszyscy niekompetentni zostali wciągnięci już wcześniej. Jak ruch się ożywił, zarobki stopniowo podniosły się do dwustu pięćdziesięciu dolarów — to jest do stawki stowarzyszenia — i tak już zostały ustalone, chociaż ciągle bez udziału członków stowarzyszenia, gdyż w dalszym ciągu ich nie zatrudniano. Zabawa kosztem stowarzyszenia przeszła teraz wszelkie granice. Nie było końca żartom, które stowarzyszenie, biedny męczennik, musiało znosić.

Jednakże fortuna kołem się toczy. Zbliżała się zima, ruch podwajał się i potrajał, cała lawina statków z rzek Missouri, Illinois i Górnej Missisipi pędziła w dół, rzeki, aby skorzystać z wielkiego handlu w Nowym Oorleanie. Piloci stali się nagle bardzo poszukiwani, a było ich stosunkowo niewiele. Nadszedł czas zemsty. Gorzka to była pigułka przyjąć wreszcie pilotów należących do stowarzyszenia, ale kapitanowie i właściciele przyznali, że nie ma innego wyjścia. Lecz żaden z wyrzuconych nie zgłaszał się! A więc trzeba było połknąć jeszcze bardziej gorzką pigułkę: musieli ich wyszukiwać i prosić o usługi. Kapitan X był pierwszym człowiekiem, który uznał za konieczne przyjąć ten specyfik, a był to najgłośniejszy kpiarz i wydrwiwacz stowarzyszenia. Upolował jednego z najlepszych pilotów, który by członkiem stowarzyszenia i rzekł:

— Ano, chłopcy, teraz nas macie, a więc ustępuję, robię najlepszą minę, na jaką mnie stać. Przyszedłem pana zaangażować. Niech pan zaraz przeniesie swój bagaż na pokład. Chcę odpłynąć o dwunastej.

— Nic o tym nie wiem. Kto jest drugim pilotem?

— Zaangażowałem J. S. Bo co?

— Nie mogę z nim pływać. Nie należy do stowarzyszenia.

— Co?!

— To, co pan słyszy

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że nie ruszy kołem razem z jednym z najlepszych, najstarszych pilotów na rzece, ponieważ nie należy do waszego stowarzyszenia?

— Tak.

— No, niech mnie diabli, jeśli to nie jest zadzieranie nosa!

Przypuszczałem, że wyświadczam panu dobrodziejstwo, a okazuje się, że to ja proszę o łaskę. Czy pan działa według statutu?

— Tak.

— Proszę mi go pokazać.

Weszli więc do lokalu stowarzyszenia i sekretarz wkrótce zadośćuczynił woli kapitana, który rzekł:

— Cóż mam teraz zrobić? Zaangażowałem pana S. na cały sezon.

— Pomogę panu — odparł sekretarz. — Wybiorę pilota dla pana. Będzie na statku o godzinie dwunastej.

— Ale jeśli zwolnię pana S., zażąda ode mnie zapłaty za cały sezon.

— Oczywiście, to już sprawa pomiędzy panem a panem S., kapitanie. Nie możemy się mieszać w pańskie prywatne sprawy.

Kapitan oburzał się, ale nic to nie pomogło. W końcu musiał zwolnić S., wypłacić mu około tysiąca dolarów i na jego miejsce wziąć członka stowarzyszenia. Od tego czasu co dzień padała nowa ofiara. Co dzień jakiś rozwścieczony kapitan, lejąc łzy i bluźniąc, zwalniał niestowarzyszonego ulubieńca i na jego miejsce angażował znieawidzonego członka stowarzyszenia. W bardzo krótkim czasie namnożyło się sporo próżniących niestowarzyszonych, że handel był ożywiony, a usługi ich wielce pożądane. Śmiech najwyraźniej zmieniał swój przedmiot żartów. Ofiary zaś, zarówno kapitanowie jak i właściciele, w ogóle przestały się śmiać i poczęły grozić zemstą, jak tylko minie „szczyt” ruchu.

Wkrótce śmiali się tylko właściciele i załogi statków, którzy mieli dwóch niestowarzyszonych pilotów. Ale tryumf ich nie trwał długo. Otóż, stowarzyszenie surowo przestrzegało, aby członkowie nigdy, w żadnych okolicznościach, nie dawali informacji o rzece nikomu „z zewnątrz”. W owym czasie prawie połowa statków miała wyłącznie stowarzyszonych pilotów, a druga połowa wyłącznie niestowarzyszonych. Na pierwszy rzut oka można by przypuszczać, że jeśli chodziło o owe zabronione informacje o rzece, obydwie strony mogły uprawiać tę samą grę. Tak jednak nie było. Przy każdym większym mieście od jednego końca rzeki do drugiego zamiast nabrzeża czy pomostu znajdował się „statek-przystań” do cumowania. Składano na nim towary do dalszego transportu, czekający podróżni spali w jego kabinach. Na każdym z takich „statków-przystani” funkcjonariusze stowarzyszenia umieszczali mocną skrzynkę, zaopatrzoną w specjalny zamek, który dotychczas znajdował zastosowanie tylko dla poczty Stanów Zjednoczonych, to jest świętej, państwowej rzeczy. Na skutek wielu błagań i starań rząd dał się przekonać i pozwolił stowarzyszeniu używać tego zamka. Każdy członek stowarzyszenia nosił przy sobie klucz od skrzynki. Klucz ten, a raczej szczególny sposób trzymania go w rękę, jeśli ktoś obcy zapytał o informacje dotyczące rzeki — powodzenie bowiem stowarzyszenia w St. Louis i Nowym Orleanie stworzyło teraz dobrze prosperujące oddziały w kilkunastu sąsiednich przystaniach — był umówionym znakiem i dowodem przynależności do stowarzyszenia. I jeżeli ów obcy nie odpowiedział okazaniem takiego samego klucza i trzymaniem go w umówiony sposób, pytanie jego grzecznie ignorowano. Każdy z członków otrzymywał od sekretarza stowarzyszenia paczkę mniej lub więcej wspaniałych formularzy na ładnym papierze, porządnie poliniowanym, z wydrukowanym nagłówkiem jak na rachunku, który wyglądał mniej więcej tak:

Właściciel: John Smith

Piloci: John Jones i Thomas Brown

Przejścia

Sondowanie

Znaki

Uwagi

Formularze te były wypełniane codziennie podczas rejsu i składane w kilku skrzynkach na „statkach-przystaniach”. Na przykład, gdy po wyruszeniu z St. Louis zrobiono pierwsze przejście, szczegółły zapisywano na formularzu pod odpowiednimi nagłówkami.

„St. Louis. Dziewięć i pół (stóp). Rufa na budynek sądu, dziób na wyschnięte zarośla bawełny za tartakiem. Póki nie przejdziesz pierwszej rafy, płyn prosto”.

Następnie pod nagłówkiem „Uwagi”:

„Płyn tuż koło wraku — to ważne. Nowy pień pod wodą akurat w miejscu, gdzie robisz na właściwy kurs — idź górą”.

Pilot, który wkładał ten formularz do skrzynki w Cairo (dodawszy do niego jeszcze szczegóły każdego przejścia przez całą drogę z St. Louis), wyjmował i czytał ostatnie raporty (statków płynących w górę) dotyczące rzeki pomiędzy Cairo a Memphis, zapisywał je dokładnie w pamięci, wkładał znów do skrzynki i wracał na statek, zabezpieczywszy go w ten sposób przed wypadkiem i do tego stopnia, że, praktycznie biorąc, nie mógł go narazić na żadne niebezpieczeństwo, chyba że mu w tym pomogło jakieś wyjątkowe niedbalstwo. „

Wyobraźcie sobie dobrodziejstwo tak doskonałego systemu na rzece, mającej tysiąc dwieście lub tysiąc trzysta mil długości, której koryto codziennie się zmienia! Pilot, który poprzednio sam musiał dawać sobie radę, widząc płytkie miejsce na rzece, miał teraz setki bystrych oczu, które je dla niego badały, i mnóstwo rozsądnych mózgów, które mu radziły, jak je przebrnąć. Jego informacje były zawsze najświeższe, najwyżej z jednej doby. Jeśli raporty w ostatniej skrzynce wzbudzały w nim jakieś podejrzenie co do zdradliwego przejścia, miał na to lekarstwo. Gdy tylko ujrzał zbliżający się statek, gwizdkiem parowym dawał umówiony sygnał. Jeżeli pilot owego statku był członkiem stowarzyszenia, odpowiadał na gwizdek również w umówiony sposób i oba parowce płynąc obok siebie porozumiewały się, wyjaśniając wszelkie wątpliwości z najdrobniejszymi szczegółami.

Każdy pilot, gdy tylko dopłynął do Nowego Orleanu lub do St. Louis, musiał zawieźć swój ostatni szczególny raport do lokalu stowarzyszenia i tam go zawiesić. Potem już był wolny i mógł odwiedzić rodzinę. W lokalu stowarzyszenia było zawsze tłoczno, dyskutowano nad zmianami koryta rzeki, a jeśli wchodził ktoś nowy, wszyscy przestawali mówić, dopóki nowo przybyły nie opowiedział najnowszych wieści i nie wyjaśnił ostatnich wątpliwości. Ludzie innego zawodu mogą czasem „puścić w trąbę” swoją pracę i zająć się czym innym. Z pilotem jest inaczej: musi oddawać się zawodowi całą duszą i o niczym innym nie mówić, gdyż marna byłaby z niego pociecha, gdyby jednego dnia był pilotem doskonałym, a drugiego — wielce niedoskonałym. Jeśli chce utrzymać się na poziomie, nie ma czasu ani słów do stracenia.

Niestowarzyszeni przeżywali teraz ciężkie czasy. Nie mieli żadnego miejsca, gdzie by się mogli spotkać i wymienić doświadczenia, żadnego statku-przystani. W rezultacie zdarzało się, że pilot musiał przebywać czasem pięćset mil rzeki, opierając się na informacjach sprzed tygodnia lub dziesięciu dni. Przy dobrym stanie wody mogło się to udawać, ale gdy nadszedł czas niskiej wody, sytuacja stawała się groźna.

Często więc zdarzało się, że osadzali statki na mieliźnie albo nawet zatapiali je, podczas gdy od stowarzyszonych wypadki zdawały się stronić. Właściciele i kapitanowie, którzy zatrudniali na statkach wyłącznie niestowarzyszonych, nadrabiali miną i dowcipkowali, póki nie nadszedł ponury dzień, gdy każdy kapitan otrzymał formalny rozkaz natychmiastowego zwolnienia niestowarzyszonych i zaangażowanych na ich miejsce pilotów należących do stowarzyszenia. A któż był tak bezczelnie zuchwały, by tego zażądać? Niestety, wystąpiła z tym władza działająca spoza tronu, większa niż sam tron. Byli to agenci asekuracyjni!

Nie było czasu na ceregiele. Każdy niestowarzyszony musiał natychmiast zabrać swój kuferek na ląd. Przypuszczano, oczywiście, że pomiędzy stowarzyszeniem a agentami istnieje zmowa — lecz tak nie było! Ci ostatni zrozumieli wreszcie doskonałość systemu „raportów”, praktykowanego przez stowarzyszenie, i bezpieczeństwo, które ono zapewnia, i między sobą powzięli decyzję na czysto handlowych przesłankach.

Wśród niestowarzyszonych powstał płacz, jęk i zgrzytanie zębów. Lecz nic to nie pomogło. Pozostała im tylko jedna droga i poszli nią. Zjawiali się parami i grupami, wyciągali dwanaście dolarów i prosili o przyjęcie. Ze zdziwieniem dowiadywali się, że już dawno

wydano kilka dodatkowych przepisów. Na przykład wpisowe zostało podniesione do pięćdziesięciu dolarów. Suma ta musiała być wpłacona, a także dziesięć procent zarobków, które kandydat otrzymywał miesięcznie od czasu założenia stowarzyszenia. W wielu wypadkach dochodziło to do trzystu lub czterystu dolarów. Poza tym stowarzyszenie nie rozpatrywało podania, zanim nie wpłacono mu tej sumy. Lecz nawet i wtedy jeden głos sprzeciwu mógł odrzucić podanie. Każdy członek musiał głosować mówiąc „tak” lub „nie”, osobiście, w obecności świadków, a ponieważ wielu pilotów długo przebywało w rejsach, przyjęcie kandydata trwało wiele tygodni.

Jednakże skruszeni grzesznicy wysupływali oszczędności i jeden za drugim, po nudnej ceremonii głosowania, byli wpisywani na listę. Nadszedł wreszcie czas, gdy niestowarzyszonych było tylko około dziesięciu. Powiedzieli, że raczej umrą z głodu, a nie zgłoszą się. Próżnowali też przez długi czas, bo nikt oczywiście nie mógł ryzykować i zatrudnić ich.

W niedługim czasie stowarzyszenie ogłosiło uchwałę, podnoszącą od pewnej daty zarobki do pięciuset dolarów miesięcznie. Wszystkie oddziały stowarzyszenia wzmocniły się obecnie i oddział „Czerwona Rzeka” podniósł zarobki do siedmiuset dolarów miesięcznie. Wobec tego owych dziesięciu niestowarzyszonych poddało się wreszcie i złożyło podania. Przez ten czas wydano nowy przepis, według którego musieli zapłacić procenty nie tylko od wszystkich zarobków, które mieli od czasu założenia stowarzyszenia, ale także od tego, co mogli byli otrzymać, gdyby do czasu złożenia podania, zamiast wałęsać się, dąsać i próżnować nie przerywali pracy. Okazało się, że przyjęcie ich było sprawą trudną, lecz wreszcie zostało załatwione. Najzagorzalszemu grzesznikowi z tej paczki, który najdłużej pozostawał poza stowarzyszeniem, tak narosły „procenty”, że wnosząc podanie musiał wpłacić sześćset dwadzieścia pięć dolarów.

Stowarzyszenie miało teraz pokaźny rachunek w banku. Wydano przepis zabraniający przyjmowania jakichkolwiek pomocników czy praktykantów na przeciąg pięciu lat. Po upływie tego czasu miała być przyjęta pewna ograniczona ilość i to nie za pośrednictwem poszczególnych członków, lecz przez całe stowarzyszenie, na warunkach następujących: kandydat nie może mieć mniej niż osiemnaście lat, musi pochodzić z dobrej rodziny i mieć solidny charakter, musi zdać egzamin z posiadanych wiadomości, zapłacić naprzód tysiąc dolarów za przywilej zostania praktykantem i musi pozostawać pod komendą stowarzyszenia dopóty, dopóki większa część członków (zdaje się, więcej niż połowa) nie zgodzi się na podpisanie jego podania o licencję pilota.

Wszystkich poprzednio zapisanych praktykantów obecnie odebrano mistrzom; przejęło ich stowarzyszenie. Prezes i sekretarz przydzielali im służbę wedle woli na tym lub na innym statku i przenosili ich z jednego statku na drugi według pewnego regulaminu. Jeżeli któryś z pilotów okazał się słabego zdrowia i potrzebował pomocy, jeden z pomocników otrzymywał rozkaz, by mu towarzyszyć.

Lista wdów i sierot powiększała się, ale powiększały się również finansowe zasoby stowarzyszenia. Stowarzyszenie brało udział w uroczystych pogrzebach członków i pokrywało ich koszty. Jeśli było potrzeba, wysyłało swoich ludzi w dół rzeki na poszukiwanie ciał braci, którzy zginęli w wypadkach. Takie poszukiwanie kosztowało czasami tysiąc dolarów.

Stowarzyszenie sporządziło umowę najmu i zajęło się sprawą ubezpieczeń. Ubezpieczało nie tylko życie członków, lecz również podejmowało ryzyko ubezpieczenia statków. Organizacja wydawała się niezniszczalna. Był to najbardziej zwarty monopol na świecie. Według prawa Stanów Zjednoczonych nikt nie mógł zostać pilotem, o ile dwóch posiadających licencję pilotów nie podpisało jego podania. A teraz nikt spoza stowarzyszenia nie był dość kompetentny, żeby je podpisać. W rezultacie kreowanie nowych pilotów kończyło się. Co roku kilku umierało, a inni na skutek podeszłego wieku i niedołęstwa stawali się niezdolni do

pracy, nie było zaś nowych, którzy zajęliby ich miejsce. Z biegiem czasu stowarzyszenie mogło podnieść zarobki do dowolnej wysokości i jak długo prowadziłoby rozsądną politykę względem rządu, nie prowokując do zmiany systemu licencji, właściciele parowców musieliby mu się poddać.

Właściciele statków i kapitanowie byli jedyną przeszkodą między stowarzyszeniem a władzą absolutną — a w końcu i ona została usunięta. Choć może się to wydawać nie do wiary, właściciele i kapitanowie rozmyślnie uczynili to sami. Gdy stowarzyszenie pilotów ogłosiło na kilka miesięcy naprzód, że od pierwszego września 1861 roku zarobki zostaną podniesione do pięciuset dolarów miesięcznie, właściciele i kapitanowie natychmiast podnieśli o parę centów opłaty frachtowe i konieczność tego wytłumaczyli rolnikom mieszkającym nad rzeką, powołując się na przyszłą podwyżkę zarobków. Był to słaby argument, lecz rolnicy wydawali się tego nie dostrzegać. Uważali za usprawiedliwione w tych warunkach dodanie pięciu centów do opłaty frachtowej od korca zboża, a przeoczyli fakt, że podwyżka na ładunku czterdziestu tysięcy worków była o wiele wyższa niżli suma potrzebna do pokrycia nowych płac.

Zaraz potem kapitanowie i właściciele statków założyli swoje własne stowarzyszenie i zaproponowali podnieść zarobki kapitanów również do pięciuset dolarów i przygotować nową podwyżkę opłat frachtowych. Był to pomysł nowatorski, lecz co raz się udało, może się udać po raz drugi. Nowo stowarzyszeni uchwalili (bo działa się to wcześniej niż wszyscy niestowarzyszeni zostali przyjęci do stowarzyszenia pilotów), że jeśli jakiś kapitan zatrudni niestowarzyszonego pilota, będzie zmuszony go zwolnić i zapłacić karę w wysokości pięciuset dolarów. Ściągnięto kilka tych wysokich kar, zanim organizacja kapitanów wzmocniła się na tyle, by móc w pełni wykonywać władzę wobec członków. Lecz teraz wszystko to ustało. Kapitanowie starali się skłonić pilotów do podjęcia uchwały zabraniającej członkowi korporacji służenia pod niestowarzyszonym kapitanem. Lecz propozycja ta upadła. Piloci wiedzieli, że zarówno kapitanowie, jak i agenci asekuracyjni będą ich popierali w każdym przypadku i dlatego też przezornie uchylili się od wchodzenia w kłopotliwe związki.

Stowarzyszenie pilotów było teraz może najściślejszym monopolem na świecie i wydawało się niezniszczalne. A jednak dni jego chwały były już policzone. Po pierwsze, nowa kolej żelazna biegnąca przez stany Missisipi, Tennessee i Kentucky do północnych ośrodków kolejowych poczęła odbierać statkom pasażerów. Następnie przyszła wojna i na wiele lat zniszczyła żeglugę handlową, pozostawiając większość pilotów bez pracy, podczas gdy koszty utrzymania stale wzrastały. Do tego skarbnik stowarzyszenia z St. Louis miał lepkie ręce i uciekł zagarnawszy cały zasobny fundusz do ostatniego dolara. Wreszcie, gdy po wojnie koleje rozpanoszyły się wszędzie, dla parowców, oprócz przewozu towarów, mało zostało do roboty. Toteż zaraz jakiś geniusz z wybrzeża atlantyckiego podał projekt, aby kilka towarowych parowców przyczepić do ogona zwykłego małego holownika i zaciągnąć do Nowego Orleanu. I oto prawie w mgnieniu oka stowarzyszenie i szlachetna sztuka pilotowania należały już do minionej na zawsze i wzruszającej przeszłości.

## Rozdział XVI

### WYŚCIGI

Weszło już tak w zwyczaj, że z Nowego Orleanu statki odpływały pomiędzy czwartą a piątą godziną po południu. Od trzeciej zaczynały palić żywicę i smolistą sosnę (znak przygotowań), i a widok długiego na dwie, albo trzy mile szeregu wysokich, wzbijających się w górę kolumn czarnego jak smoła dymu, które podtrzymywały czarny dach utworzony ze wszystkich tych połączonych dymów, ciągnących się wysoko ponad miasto, był bardzo malowniczy. Na dziobie każdego wypływającego statku powiewała flaga, a czasem druga na rufie. Na

przestrzeni trzech mil oficerowie komenderowali i klęli z większym niż zwykle zapamię, niezliczone szeregi beczek i skrzyń toczyły się przez molo i przez pomost na pokład; zapóźnieni podróżni przeciskali się i przepychali wśród wszystkich tych zwirowanych rzeczy, pełni jednak wątpliwości, czy dotrą żywi do wejścia do dziobówki. Kobiety z torebkami i walizkami starały się dotrzymać kroku mężom obładowanym sakwożażami i płaczącymi dziećmi, co im się zresztą nie udawało, bo w zgiełku, krzyku i ogólnym zamieszaniu ; traciły głowę. Małe wózki i wozy turkotały jadąc w dzikim pędzie to w jedną, to w drugą stronę i coraz to wpadając na siebie zbijały się w kupę, tak przez moment widać było tylko jakąś bezładną skłębioną masę. Wszystkie windy nad wszystkimi lukami, od jednego końca długiego szeregu parowców do drugiego, nie przestawały wydawać ogłuszającego zgrzytu i gwizdu przy i spuszczeniu towarów do ładowni, a obsługujący je półnaczy, ociekający potem Murzyni podnieceni zgiełkiem i hałasem, który wszystkich doprowadzał do szału, ryczeli: — Następny worek! Następny! — W tym czasie pokłady sztormowe i pokłady maszynowe tak zapełniły się pasażerami, że aż było czarno. Na wszystkich statkach zaczynały dzwonić „ostatnie dzwonki”, co jeszcze bardziej wzmagало panujący tumult. W pewnej chwili rozległ się ostatni ostrzegawczy sygnał — jednocześnie uderzenie wszystkich chińskich gongów z okrzykiem: — Kto nie jedzie, na ląd! — i hałas potęgował się wielokrotnie. Ludzie pędzili na ląd przewracając tych, którzy próbowali przedostać się na pokład.

W chwilę potem wciągnano wszystkie pomosty, a na każdym, wedle zwyczaju, ostatni pasażer trzymał się jego końca zębami, pazurami i czym się dało, jak również, wedle zwyczaju, ostatni spóźnialski robił nad jego głową dziki skok w kierunku lądu.

Teraz kilka statków cofając się wpływa na rzekę i pozostawia po sobie szerokie wyrwy w szeregu pozostających parowców. Ludzie, aby lepiej widzieć, tłoczą się na pokładach statków, które zostają w porcie. Parowiec za parowcem rusza naprzód, zbiera wszystkie siły i z olbrzymią grzywą piany, powiewając banderą, wyrzucając czarny dym, kołyszając się przepływa mimo, podczas gdy cała gromada palaczy i marynarzy pokładowych (zwykle roślących Murzynów) tłoczy się na dziobie, a jeden z najlepszym „głosem”, wylazłszy na kołowrót, sterczy ponad nimi i powiewa kapeluszem lub flagą. Wszyscy ryczą potężnym chórem przy odgłosie pożegnalnych strzałów. Tłumy widzów zaś wymachują kapeluszami i wiwatują. Parowiec za parowcem ustawia się w linię i dostoyny korowód rozwijając skrzydła zabiera się do lotu w górę rzeki.

W dawnych czasach, ile razy dwa szybkobieżne statki stawały do wyścigu w obecności tłumu widzów, jakże potężne wrażenie robił śpiew załóg, zwłaszcza gdy zapadała noc i dziób statku gorzał od czerwonego żaru koszy z pochodniami! Wyścigi były zabawą królewską. Publiczność zawsze uważała wyścigi za niebezpieczne, choć w rzeczywistości było wprost przeciwnie, to znaczy, gdy prawo ograniczyło ilość funtów pary na cal kwadratowy dla każdego statku. Żaden mechanik nigdy nie był ospały ani nieuważny, jeśli wziął sobie naprawdę do serca te wyścigi. Czuwał nieustannie sprawdzając zawory i doglądając wszystkiego. Niebezpiecznie było tylko na statkach sunących powoli, na których mechanicy ciągle drzemali i dopuszczali do tego, że do pompy zasilającej dostawały się drzazgi i zamykały dostęp wody do kotłów.

W czasach rozkwitu żeglugi parowej wydarzeniem wielkiej wagi był wyścig pomiędzy dwoma znanymi z szybkości parowcami. Datę wyznaczono na kilka tygodni naprzód i do tego czasu cała dolina Missisipi trwała w stanie niesłychanego podniecenia. Ludzie przestawali mówić o polityce i o pogodzie. W miarę zbliżania się terminu, obydwaj parowce „zmieniały skórę” i przygotowywały się do zawodów. Usuwano każdy przedmiot, który dodawał ciężaru lub zwiększał powierzchnię oporu dla wiatru lub wody. Drzewca, a czasem nawet podtrzymujące je liny, wyrzucano na ląd, nie pozostawiając żadnej możliwości na wyciągnięcie statku, gdyby utknął na mieliźnie. Kiedy wiele lat temu parowce „Eclipse” i „A.

L. Shotwell” stawały do wielkiego wyścigu, podobno próbowano zeszkrobać złączenia z godła zawieszzonego między komiami „Eclipse” a kapitan na ten jeden rejs zostawił na lądzie rękawiczki i kazał sobie ogolić głowę. Ale ja nigdy nie chciałem w to uwierzyć.

Jeśli wiadano, że statek osiąga najlepszą szybkość z zanurzeniem pięciu i pół stóp na dziobie, a pięciu stóp na rufie, ładowano go dokładnie według tych liczb, po czym nie dodano by już ani jednej homeopatycznej pigułki. Pasażerów prawie nie zabierano, bo nie tylko stanowią niepotrzebny balast, ale nigdy nie umieją „trymować statku”. Gdy jest coś ciekawego do zobaczenia, biegną zawsze na jedną burtę, podczas gdy sumienny i doświadczony marynarz siedziałby nieruchomo na samym środku statku i nawet rozdziałek we włosach zrobiłby na środku poziomą.

Nie przyjmowano żadnych ładunków ani pasażerów do miejscowości położonych po drodze, bo „wyścig” miał się zatrzymywać tylko przy największych miastach i miało to być tylko „muśnięciem” brzegu. Barki z węglem i drewnem stale trzymano w pogotowiu, by na dany znak w biegu przetrzucić ładunek na pędzący statek. Załogę zabierano podwójną, by każde zadanie mogła szybko wykonać.

W oznaczonym dniu wszystko jest już gotowe, dwa wielkie parowce wypływają na rzekę i przez chwilę przywarowują jak myśliwskie psy, obserwując najlżejszy ruch przeciwnika. Flagi spuszczone, zamknięta para świszcze przez zawory bezpieczeństwa, dym kłębi się i wali z kominów zaciemniając powietrze.

Ludzie, wszędzie ludzie; wybrzeże, dachy domów, parowce, statki zatłoczone! Wiadomo, że odtąd brzegi całej szerokiej Missisipi przez całe tysiąc dwieście mil ku północy będą ugarniowane ludźmi witającymi ten wyścig.

Nagle wysokie słupy pary buchają z kranów obu parowców, dwa działa dają pożegnalną salwę, dwaj bohaterowie w czerwonych koszulach, stojąc na kołowrotach, powiewają małymi chorągiewkami ponad stłoczoną na dziobie załogą, przez parę sekund oczekiwania słychać w powietrzu dwa żalosne pojedyncze głosy syren, potem wybuchają dwa potężne chóry i oto odpływają. Orkiestra dęta grzmi „Niech żyje Columbia”, wiwat za wivatem bucha z brzegów, a wspaniałe okręty przepływają szumią jak wiatr.

Statki te nie zatrzymują się ani na chwilę między Nowym Orleanem a St. Louis, najwyżej na sekundę przy dużych miastach lub przy przetrzucaniu ładunku trzydziestu sążni drewna. Warto być na pokładzie, kiedy biorą parę takich barek z drewnem na hol i posyłają na każdą gromadę ludzi. Zanim przetrze się okulary i włoży je na nos, drewno znika i człowiek zachodzi w głowę, co się z nim stało.

Dwa dobrze dobrane parowce dzień za dniem nie tracą się nawzajem z oczu. Mogłyby nawet iść burta w burtę, gdyby nie to, że piloci nie wszyscy są jednakowi i wyścig wygrywają najlepsi. Jeżeli jeden ze statków ma pilota „jak błyskawica”, a partner jest od niego odrobinę gorszy, można się zorientować, który z nich ma wachtę, obserwując, czy statek podczas ostatnich czterech godzin nadrobił, czy stracił. Najbystrzejszy pilot, jeżeli nie jest prawdziwym geniuszem sterowania, może opóźnić statek. Sterowanie to wielka sztuka. Jeśli się chce szybko posuwać po rzece, nie można trzymać steru ustawionego hamująco w poprzek rufy.

Bywają oczywiście różne statki. Przez długi czas pływałem na tak powolnym statku, że zapominaliśmy, w którym roku wyruszyliśmy z portu. Ale to, naturalnie, zdarzało się rzadko. Promy traciły cenne kursy, gdyż ich pasażerowie czekając na nas starzeli się i umierali. To zdarzało się jeszcze rzadziej. Miałem na to dowody, ale gdzieś się zapodziały. Statek „John J. Roe” był tak powolny, że gdy nareszcie zatonął w Madryckiej Zatoce, właściciele dowiedzieli się o tym dopiero po pięciu latach. Dla mnie była to zawsze rzecz zdumiewająca, ale w każdym razie zgodna ze sprawozdaniem. Statek ten był przerażająco powolny, a przecież często miewaliśmy dość niezwykle przygody krążąc wśród wysp, tratw i tym podobnych. Jeden rejs jednakże udał się nam dobrze. Dopłynęliśmy do St. Louis w szesnaście dni.



Lecz nawet przy tej oszałamiającej szybkości zmienialiśmy, zdaje się, trzy razy wachnię na przestrzeni Fort Adams, która ma pięć mil długości. Jest to prosty odcinek rzeki, a w takich miejscach prąd jest oczywiście dość bystry.

Rejs ten z Nowego Orleanu do Wielkiej Zatoki odbyliśmy w przeciągu czterech dni (trzysta czterdzieści mil); „Eclipse” i „Shotwell” robiły go w jeden dzień. Do progu 63 (siedemset mil) płynęliśmy dziesięć dni; „Eclipse” i „Shotwell” przebywały tę drogę w dwa dni. Mniej więcej jedno pokolenie wstecz statek „J. W. White” szedł z Nowego Orleanu do Cairo trzy dni, sześć godzin i czterdzieści cztery minuty. W roku 1853 „Eclipse” odbył ten sam rejs w ciągu trzech dni, trzech godzin i dwudziestu minut. W r. 1870 „R. E. Lee” przepłynął tę odległość w ciągu trzech dni i jednej godziny. Ten ostatni rejs nazwano najszybszym. Postaram się wykazać, że nim nie był. Przyczyny są następujące: odległość między Nowym Orleanem a Cairo, gdy „J. M. White” odbywał rejs, wynosiła około tysiąc sto sześć mil. Z tego wynika, że przeciętna jego szybkość była trochę ponad czternaście mil na godzinę. W czasach gdy pływał „Eclipse”, odległość pomiędzy tymi dwoma portami zmniejszyła się do tysiąca osiemdziesięciu mil, a więc jego przeciętna szybkość wynosiła odrobinę mniej niż czternaście i trzy ósme mili na godzinę. W czasach gdy pływał „R. E. Lee”, odległość zmniejszyła się do około tysiąca trzydziestu mil, a więc jego przeciętna wynosiła około czternastu i jednej ósmej mili na godzinę. Z tego wynika, że czas statku „Eclipse” był najwidoczniej najkrótszym czasem, jaki kiedykolwiek osiągnięto.

## Rozdział XVII

### SKRÓTY I STEFAN

Te suche szczegóły są ważne zwłaszcza z jednego powodu. Dają mi sposobność przedstawienia jednej z najdziwniejszych właściwości Missisipi, to jest skracania od czasu do czasu długości. Jeżeli rzuci się za siebie długą, giętą łupinę od jabłka, prawie na pewno ułoży się w kształt przeciętnego odcinka rzeki Missisipi, to znaczy dziewięciuset lub tysiąca mil rozciągających się od Cairo w stanie Illinois w kierunku południowym do Nowego Orleanu, niesłychanie krętego, tu i tam z krótkimi, prostymi kawałkami w dużych od siebie odstępach. Dwustumilowy odcinek z Cairo ku północy do St. Louis nie jest jednakże tak kręty, gdyż znajduje się w kraju skalistym, przez który rzeka niełatwo się przeryna.

Woda żłobi w aluwialnych brzegach „dolnej” rzeki wielkie rozpadliny w kształcie podkowy — i to tak głębokie, że w niektórych miejscach, jeśli się wyjdzie na ląd na jednym końcu podkowy i przetnie na ukos wygięcie szyi, to jest pół lub trzy czwarte mili, trzeba potem sięść i odpoczywać kilka godzin, nim parowiec opłynie długie kolano z szybkością dziesięciu mil na godzinę i weźmie pasażera z powrotem na pokład. Gdy woda na rzece podnosi się szybko, spryciarz, którego plantacja jest odsunięta od rzeki i z tego powodu ma mniejszą wartość, czeka tylko okazji, by którejs nocy przekopać mały rów przez wąską szyję lądu i skierować doń wodę. I oto w niezwykle krótkim czasie następuje cud: mianowicie, ów mały rów bierze w posiadanie całą Missisipi i umieszcza plantację na swoim brzegu (zwiększając poczwornie jej wartość), a inna, przedtem wartościowa plantacja, znajduje się nagle daleko, na wielkiej wyspie. Dawny szlak wodny wokół niej szybko się zamuli, statki nie będą mogły się zbliżyć na odległość mniejszą niż dziesięć mil i wartość plantacji czterokrotnie spadnie. Na tych wąskich szyjach w krytycznym czasie czuwają warty i jeżeli się zdarzy, że złapią kogoś przekopującego przez nie rów — to już nigdy nie będzie miał sposobności wykopania drugiego rowu.

Przyjrzyjcie się, proszę, niektórym skutkom owego kopania rowów. Kiedyś naprzeciw portu Hudson w stanie Luizjana znajdowała się szyja mająca w najwęższym miejscu tylko pół mili szerokości. Można było ją przejść w ciągu piętnastu minut, lecz jeśli się chciało opłynąć

tratwą naokoło przylądka, aby się znaleźć w tym samym miejscu, należało przepłynąć trzydzieści pięć mil. W roku 1722 rzeka przerwała tę szyję, opuściła stare koryto i w ten sposób skróciła bieg o trzydzieści pięć mil. Tak samo w roku 1699 pod Cyplem Czarnego Kruka skróciła bieg o dwadzieścia pięć mil. Poniżej przystani nad Red River przekopano skrót Raccourci (zdaje się czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu). To skróciło rzekę o dwadzieścia pięć mil. W naszych czasach od skrótów najbardziej z tych trzech wysuniętego ku południowi do skrótów najbardziej wysuniętego ku północy płynie się tylko siedemdziesiąt mil. Sto siedemdziesiąt sześć lat temu, żeby przebyć tę samą przestrzeń, trzeba było płynąć sto pięćdziesiąt osiem mil! — a więc skrót o osiemdziesiąt mil na tak nieznacznej odległości. Kiedyś w zamierzchłej przeszłości były skrót pod Vidalią w stanie Luizjana, przy wyspie 92, przy wyspie 84 i przy Cyplu Hale'a. Skracały one rzekę ogółem biorąc o siedemdziesiąt siedem mil.

Od czasu jak sam pływałem po Missisipi, zrobiono skrót przy Huraganowej Wyspie, przy wyspie 100, przy mieście Napoleon w stanie Arkansas, przy Orzechowym Zakręcie i przy Zakręcie Obrad. Skróciły one rzekę, ogółem biorąc, o sześćdziesiąt siedem mil. W moich czasach zrobiono przekop przy Amerykańskim Zakręcie, który skrócił rzekę o dziesięć lub więcej mil.

A więc sto siedemdziesiąt sześć lat temu Missisipi między Cairo a Nowym Orleanem miała tysiąc dwieście piętnaście mil. Po skrócie z roku 1722 miała tysiąc sto osiemdziesiąt mil. Po skrócie przy Amerykańskim Zakręcie miała tysiąc czterdzieści, i od tego czasu straciła sześćdziesiąt siedem mil. A zatem jej długość wynosi obecnie tylko dziewięćset siedemdziesiąt trzy mile.

Gdybym tak chciał zostać jednym z tych poważnych naukowców i „puścić się” na dowodzenie tego, co się zdarzyło w zamierzchłej przeszłości za pomocą tego, co się zdarzyło w określonym czasie w niedawnej przeszłości albo co się zdarzy w dalekiej przyszłości za pomocą tego, co się zdarzyło w ostatnich latach, cóż by to była za sposobność! Geologia nigdy nie miała takiej możliwości ani tak dokładnych danych, z których by można wyciągnąć wnioski! Ani też „powstawanie gatunków!” Epoki lodowcowe to wielkie rzeczy, ale mgliste, bardzo mgliste.

Proszę wziąć pod uwagę :

Na przestrzeni stu siedemdziesięciu sześciu lat Dolna Missisipi skróciła bieg o dwieście czterdzieści dwie mile. Przeciętna roczna była zresztą nieznaczna: jedna i jedna trzecia mili. A więc każdy zrównoważony człowiek, jeśli nie jest ślepy i ma zdrowe zmysły, może wywnioskować, że w dawnym neolitycznym okresie sylurskim, od którego w przyszłym listopadzie upływa właśnie milion lat, Dolna Missisipi miała z górą milion trzysta tysięcy mili długości i sterczała z Zatoki Meksykańskiej jak wędka. Na tej samej podstawie każdy może również wywnioskować, że za siedemset czterdzieści dwa lata od obecnej chwili Dolna Missisipi będzie miała tylko jedną i trzy czwarte mili długości, a Cairo i Nowy Orlean połączą się ulicami i będą zgodnie wlokły swój żywot pod jednym burmistrzem i wspólną radą miejską. W nauce jest istotnie coś fascynującego. Z błahego stwierdzenia faktu można wysunąć mnóstwo tak wspaniałych uogólnień.

Kiedy woda zaczyna przepływać przez owe rowy, o których mówiłem, to najwyższy czas, aby okoliczni mieszkańcy co prędzej się wynosili. Woda odcina kawał łądy jak nożem; gdy szerokość rowu dojdzie do dwunastu lub piętnastu stóp, klęska jest nieuchronna, bo nie ma na świecie siły, która by ją wówczas zatrzymała. Gdy szerokość rowu dojdzie do stu jardów, brzegi zaczynają się obsuwać kawałami półakrowej wielkości. Prąd, który opływał cypel, miał poprzednio szybkość pięciu mil na godzinę. Teraz z powodu skrócenia odległości wzmógł się niesłychanie. Kiedyś znalazłem się na statku, który pierwszy próbował przepłynąć skrót pod Amerykańskim Zakrętem, ale na próżno. Było to około północy, noc straszna: grzmoty, błyskawice i potoki deszczu. Obliczono, że szybkość prądu w skrócie rzeki wynosi

piętnaście lub dwadzieścia mil na godzinę. Statek nasz mógł robić najwyżej dwanaście lub trzynaście, nawet przy dość spokojnej wodzie, więc może postąpiliśmy nierozsądnie, próbując przejść skrót. Pan Brown jednak miał swoją ambicję i nie przestawał próbować. Wiry biegnące wzdłuż brzegu pod cyplem były prawie tak szybkie jak prąd na środku rzeki, a więc przypuszczaliśmy, że przelecimy koło brzegu jak pociąg pospieszny, wypuścimy wielki kłęb pary i przeciąwszy nurt, który wirował pod cyplem, oprzemy się na fali. Ale wszystkie nasze przygotowania okazały się bezcelowe. Ledwie dotknął nas prąd, a już zakręcił nami jak zabawką, woda zalała dziób, a statek tak się przechylił, że trudno się było utrzymać na nogach. W następnej chwili byliśmy już daleko na rzece, wszelkimi siłami usiłując trzymać się z dala od nadbrzeżnych lasów. Próbowaliśmy cztery razy. Stałem na dziobie, aby wszystko widzieć. Przerazający był to widok, kiedy statek w momencie, gdy wynurzył się z wiru i prąd uderzył go w dziobnicę, nagle zaczynał kręcić się i obracać rufą naprzód. A towarzyszył temu taki huk i wstrząs, jakby statek z całą szybkością uderzył o piaszczysty brzeg. W blasku błyskawic pojawiały się szalasy na plantacjach i całe akry życiodajnej ziemi zapadające się w rzekę, a łoskot można by porównać do huku pioruna. Pewnego razu, w chwili takiego obrotu, ujraliśmy na moment dom, wysoki na jakieś dwadzieścia stóp, a w oknie palące się światło. W tejże sekundzie runął w przepaść. Nikt z nas nie mógł utrzymać się na dziobie; zalewały go potoki wody za każdym razem, gdy zanurzaliśmy się płynąc przeciw prądowi. Po koniec czwartej z kolei próby znaleźliśmy się wśród lasów o dwie mile poniżej skrót. Cała okolica była oczywiście zalana. Dzień lub dwa dni potem skrót miał już trzy czwarte mili szerokości, a statki przebywały go bez trudu, zaoszczędzając dziesięć mil drogi.

Stary skrót Raccourci zmniejszył długość rzeki o dwadzieścia osiem mil. Jest z nim związana pewna legenda. Mówiono, że jakiś statek przybył do tego miejsca w nocy, a ponieważ piloci nie wiedzieli, że powstał już skrót, opłynęli jak zwykle olbrzymie kolano. Była to dżdżysta, okropna noc i wszelkie kształty rozlewały się we mgle. Stary zakręt stawał się coraz płytszy i statek musiał uciekać przed tajemniczymi rafami, uderzając w nie od czasu do czasu. Zdezorientowani piloci poczęli kłąć i wreszcie wymknęło się im zupełnie niepotrzebne życzenie, oby już nigdy stąd nie wyszli. Jak to się zawsze zdarza w takich wypadkach, to właśnie życzenie zostało wysłuchane. I do dnia dzisiejszego parowiec-upiór tłucze się po opuszczonej rzece, próbując znaleźć drogę wyjścia. Niejeden godny zaufania marynarz przysięgał mi, że w dżdżyste, ponure noce, przepływając koło cypla wyspy, spozierał ze strachem na zapomnianą rzekę i widział słaby odbłask światła parowca dryfującego w mrocznej dali oraz słyszał stłumiony kaszel przewodów parowych i żałosne nawoływania sondujących marynarzy.

A teraz niech mi będzie wolno skończyć ten rozdział jeszcze jednym wspomnieniem o Stefanie.

Większość kapitanów i pilotów posiadała kwity Stefana na pożyczone sumy od dwustu pięćdziesięciu dolarów wzwyż. Stefan nigdy nie spłacił ani jednego z tych kwitów, ale zawsze gotów był przedłużyć je z wielką ochotą co rok.

Naturalnie nadszedł wreszcie czas, kiedy Stefan nie mógł już pożyczać od swoich dawnych wierzycieli — a więc musiał zastawiać sieci na nowych, którzy go jeszcze nie znali. Nową ofiarą stał się dobroduszny, łatwowierny młody Yates (używam tu fikcyjnego nazwiska, ale prawdziwe zaczynało się również na Y). Młody Yates zdobył licencję pilota, dostał pracę i po przepracowanym miesiącu poszedł do kasy, aby otrzymać swoje dwieście pięćdziesiąt dolarów w szeleszczących nowych banknotach. Stefan był już przy nim. Puścił w ruch swój obrotowy język i po bardzo krótkim czasie dwieście pięćdziesiąt dolarów Yatesa zmieniło właściciela. Wieść o tym fakcie szybko doszła do głównej kwatery pilotów, wzbudzając w dawnych wierzycielach wielkie zadowolenie i uciechę. A prostoduszny Yates nawet nie podejrzewał, by obietnica Stefana, że spłaci dług w końcu tygodnia, była tylko czczym

gadaniem. Yates w oznaczonym czasie przyszedł po pieniądze. Stefan ułagodził go i odłożył spłatę na tydzień. Zjawił się więc wedle umowy i znowu wyszedł obezwładniony słodkimi słówkami, lecz spłata znów została odłożona. I tak stale się powtarzało. Yates prześladował Stefana tydzień za tygodniem bez żadnego rezultatu, aż wreszcie przestał. A wtedy Stefan zaczął prześladować Yatesa. Gdziekolwiek zjawił się Yates, nieuchronnie był tam i Stefan. I nie tylko był, lecz promieniał czułością i wylewał strumienie przeprosin za to, że nie może zapłacić. Wkrótce, gdy tylko biedny Yates spostrzegł, że Stefan nadchodzi, zawracał i uciekał ciągnąc za sobą kolegów, jeśli był w towarzystwie. Ale na nic się to nie zdało: dłużnik biegł za nim i dopadał go w jakimś kącie. Dysząc, czerwony na twarzy i z błyszczącymi oczyma, tak potrząsał rękami Yatesa, że o mało mu ich nie wyrwał, i zaczynał:

— Ojej, a toś mi urządził wyścigi! Widziałem, żeś mnie nie zauważył, więc puściłem całą parą, bom się bał, że cię nie dogonię. No, ale jesteś! Stań no tylko, niech spojrzę na ciebie! Zawsze ta sama, szlachetna twarz! — (do przyjaciela Yatesa) — Spójrz tylko! Spójrz! Czyż nie jest przyjemnie popatrzeć na niego! O, na przykład teraz? Czyż to nie obrazek? Niektórzy nazywają go obrazkiem — ja go nazywam panoramą! Ale teraz, żebym nie zapomniał! O, gdybym tak spotkał cię godzinę wcześniej! Przez dwadzieścia cztery godziny trzymałem dla ciebie te dwieście pięćdziesiąt dolarów. Szukałem cię wszędzie. Czekałem wczoraj u Plantera od szóstej wieczór do drugiej nad ranem, bez jedzenia, bez odpoczynku. Żona mnie pyta: „Gdzieżeś, to był całą noc?” A ja jej mówię: „Dług ciąży mi na sercu”. A ona na to: „W życiu nie widziałam, żeby kto tak sobie brał dług do serca jak ty”. A ja jej mówię: „Już taką mam naturę, jakże ją mogę zmienić?” A ona: „Połóż się i odpocznij”. A ja: „Nie, dopiero wtedy, jak ten biedny, szlachetny młodzieniec otrzyma swoje pieniądze”. I tak siedziałem całą noc, a rano wyskoczyłem na miasto i pierwszy człowiek, na którego się natknął, powiada mi, żeś zaokrętował się na „Grand Turk” i odpłynął do Nowego Orleanu. Musiałem się oprzeć o ścianę i zapłakałem. Żebym tak zdrow był, nie mogłem się powstrzymać. Właściciel domu wyszedł ze ścierką i powiedział, że nie chce, żeby ludzie płakali pod jego domem, a wtedy wydało mi się, że cały świat jest przeciwko mnie i że nie warto żyć. Pograżony w żalu, o którym nikt nie ma pojęcia, godzinę temu spotkałem Jima Wilsona i wpłaciłem mu na rachunek te dwieście pięćdziesiąt dolarów.

I pomyśleć, że ty tu jesteś, a ja nie mam centa! Ale jak tu stoję na tym miejscu, na tej cegle... o, wykrobałem znaczek na cegle dla pamięci, pożyczę te pieniądze i zapłacę jutro punktualnie o godzinie dwunastej! A teraz stań tutaj. Niechże raz jeszcze na ciebie spojrzę!

I tak dalej. Życie zaczęło ciążyć Yatesowi. Nie mógł uciec od swego dłużnika i od jego strasznych cierpień spowodowanych niemożliwością oddania długu. Bał się pokazać na ulicy, aby nie natknąć się na Stefana czekającego na niego za węglem.

Sala bilardowa u Bogarta była w owych czasach znanym lokalem pilotów. Spotykali się tam zarówno po to, aby wymieniać wiadomości o rzece, jak i po to, aby grać. Pewnego ranka przyszedł Yates. Stefan był tam również, ale trzymał się z daleka. Po pewnym czasie, gdy zebrali się prawie wszyscy piloci przebywający w mieście, nagle wystąpił na środek i ruszył w stronę Yatesa, jakby ten był jego od dawna zaginionym bratem.

— Ach, jakże się cieszę, że cię widzę! Cóż to za radość dla moich oczu patrzeć na ciebie! Panowie, wszystkim wam winien jestem pieniądze, jestem wam może winien ze czterdzieści tysięcy dolarów. Chcę je spłacić. Mam szczerzy zamiar je spłacić — do ostatniego centa. Wiecie sami, bez mojego mówienia, co to za zmartwienie dla mnie mieć takie poważne zobowiązania względem tak cierpliwych i wspaniałomyślnych przyjaciół. Lecz najostrożniejszy ból, tak, najostrożniejszy, zadaje mi dług, jaki zaciągnąłem u tego szlachetnego młodzieńca i umyślnie dziś tu przyszedłem, ażeby oświadczyć, że nareszcie odkryłem metodę, za pomocą której będę mógł spłacić wszystkie moje długi! A zwłaszcza chodziło mi o to, żeby on tu był, gdy będę składał to oświadczenie. Tak, mój wierny przyjacielu, mój dobroczyńco, znalazłem

metodę! Znalazłem metodę zapłacenia wszystkich moich długów. Dostaniecie swoje pieniądze!

W oczach Yatesa zabłysła nadzieja. Wtedy Stefan promieniejąc i kładąc rękę na głowie Yatesa dodał:

— Będę je spłacał w porządku alfabetycznym!

Odwrócił się i zniknął. Przez kilka minut „metoda” Stefana nie docierała do świadomości zmieszanego i zamyślonego tłumy. Wreszcie Yates szepnął wzdychając:

— Ładną perspektywę ma moje Y! On nie dojdzie do C na tym świecie i mogę się założyć, że duży kawał wieczności upłynie na tamtym, a o mnie ciągle będą tam jeszcze mówili: „Ach, to ten biedny, obdarty pilot, który dawno temu zjawił się tutaj z St. Louis.

## Rozdział XVIII

### BIORĘ PARĘ DODATKOWYCH LEKCJI

Podczas dwóch czy dwóch i pół lat mego terminu służyłem pod wielu pilotami, poznałem wielu marynarzy i statków, bo panu Bixby nie zawsze było wygodnie mieć mnie przy sobie, a wtedy wysyłał mnie z kimś innym. Z doświadczeń owych korzystam do dnia dzisiejszego, gdyż podczas tego krótkiego, twardego szkolenia poznałem z bliska rozmaite typy ludzi, jakie znajduje się w powieściach, biografiiach i w historii. Co dzień na nowo uświadamiam sobie fakt, że przeciętna praca na lądzie wymaga co najmniej czterdziestu lat, by dać człowiekowi tego rodzaju wykształcenia. Kiedy powiadam, że ciągle jeszcze z tego korzystam, nie mam przez to na myśli, że stałem się sędzią moich bliźnich — o nie, nie stałem się nim wcale, bo sędzią „stać się” nie można — trzeba się nim urodzić. Korzyści z tego mam różne, drobne i wielkie — lecz rzeczą najbardziej dla mnie cenną jest zamięłowanie do lektury, które te wczesne doświadczenia we mnie rozwinęły. Jeśli w jakiejś powieści lub biografii natrafię na dobrze uchwycony charakter, zaczynam się nim gorąco interesować, ponieważ znałem go sam — spotkałem na i rzece.

Postacią, która najczęściej wyłania się przede mną z mroków minionych czasów, jest Brown z parowca „Pensylwania”, o którym mówiłem w poprzednim rozdziale, obdarzony ową doskonałą, lecz męczącą pamięcią. Był to człowiek w średnim wieku — wysoki, szczupły, kościsty, gładko wygolony, o końskiej twarzy, ograniczony, skąpy, uszczypliwy, sarkastyczny, złośliwy, robiący z igły widły, jednym słowem tyran. Doszło do tego, że zjawiałem się na wachcie z obawą w sercu. Żeby nie wiem jak się zabawiał na dole z wachtą, która zesłała ze służby, żeby nie wiem jak był wesół idąc na górę, z chwilą gdy się zbliżałem do sterówki, serce zaczynało mi ciężać jak ołów.

Do tej pory pamiętam, jak po raz pierwszy znalazłem się w obecności tego człowieka. Statek wypłynął właśnie z St. Louis i wchodził na właściwy kurs. Wkroczyłem do sterówki w najlepszym humorze, dumny, że mogę być na pół urzędowo członkiem, załogi tak szybkiego i sławetnego statku. Brown był przy kole sterowym. Stałem na środku kabiny cały sprężony do ukłonu, ale Brown nie obejrzał się. Zdawało mi się, że kątem oka rzucił na mnie przelotne spojrzenie, ale gdy się to nie powtórzyło, uznałem, że pewno się pomyliłem. Przez ten czas przeprowadzał statek pomiędzy niebezpiecznymi „dziurami” naprzeciw tartaków, a więc nie wypadało mu przeszkadzać, wobec czego po cichu podszedłem do wysokiej ławy i usiadłem. Przez dziesięć minut była cisza. Następnie mój nowy szef począł mierzyć mnie od stóp do głów, powoli i dokładnie przez — jak mi się zdawało — kwadrans. Potem odwrócił się do mnie tyłem, a następnie, robiąc zwrot w moją stronę, zadał pierwsze powitalne pytanie.

— Czy jesteś pomocnikiem Horacego Bixby?

— Tak, proszę pana.

Potem była pauza, a następnie dalsze badanie:

— Jak się nazywasz?

Powiedziałem nazwisko. Powtórzył je. Była to prawdopodobnie jedyna rzecz, o której zapomniał, bo chociaż byłem z nim przez wiele miesięcy, nigdy nie zwracał się do mnie inaczej niż „Ty tam!”, a dopiero potem wydawał rozkazy.

— Gdzieś się urodził?

— We Florydzie, w stanie Missouri.

Pauza. A potem:

— Lepiej ci było tam zostać.

Przy pomocy kilkunastu pytań, natury raczej intymnej, wypompał ze mnie historię mojej rodziny.

Rzucano właśnie sondy przy pierwszym przejściu. To przerwało badanie. Gdy sondy wyciągnięto, znowu zaczął:

— Jak długo byłeś na rzece?

Odpowiedziałem. Potem znów po pauzie:

— Skąd wzięłeś te pantofle?

Poinformowałem go co do tego.

— Podnieś stopę!

Zrobiłem tak. Cofnął się, pogardliwie, lecz dokładnie przyjrzał się pantoflowi, w zamyśleniu drapiąc się w głowę, przy czym dla ułatwienia tej operacji zsunął na nos kapelusz wysoki jak głowa cukru, wreszcie wykrzyknął:

— Niech mnie dunder świśnie! — i zawrócił do koła.

Dlaczego ów „dunder miał go świsnąć”, jest dla mnie do dziś tajemnicą. Upłynęło może z piętnaście minut — piętnaście minut nudnej, nostalgicznej ciszy, zanim ta długa końska twarz zwróciła się ku mnie — ale cóż za zmiana! Była czerwona jak upiór, a każdy jej muskuł drgał. Usłyszałem wrzask:

— Ty tam! Masz zamiar tak siedzieć przez cały dzień?

Ta niespodziewana gwałtowność zaskoczyła mnie i wyrzuciła na środek kabiny. Gdy tylko zdołałem wydobyć z siebie głos, rzekłem usprawiedliwiająco się:

— Nie miałem żadnych rozkazów, proszę pana.

— Nie miałeś żadnych rozkazów! Ładny z ciebie ptaszek. Musisz mieć rozkazy! Ojciec był szlachcicem — miał niewolników — chodziliśmy do szkoły. Tak, ja też jestem szlachcicem i muszę mieć rozkazy! Rozkazy, prawda? Chcesz roz-ka-zów! Niech mnie dunder świśnie! Ja cię tu nauczę nadymać się i rozprawiać o tych, niech ich dunder świśnie, rozkazach! Precz mi od koła!

(Nie wiedząc bowiem, co robię, zbliżyłem się do koła.)

Cofnąłem się o krok i stanąłem jak we śnie, ogłupiały od tego szalonego ataku.

— Czego tu stoisz? Weź ten dzbanek od lodu i zanieś na dół do bufetu na teksaskim, rusz się, a nie siedź tam cały dzień!

Jak tylko wróciłem do sterówki, Brown zawołał:

— Ty tam! Cóżeś robił przez tyle czasu?

— Nie mogłem znaleźć bufetu w górnej nadbudówce. Musiałem iść aż do spiżarni.

— Tere fere! Nałóż do pieca!

Zacząłem nakładać. Przyglądał mi się jak kot. Wreszcie krzyknął:

— Zostaw tę łopatę! Najtępsza pała, jaką widziałem! Nie ma; nawet tyle oleju w głowie, żeby nałożyć do pieca!

I tak przez całą wachtę. Następne wachty były podobne, i to przez szereg miesięcy. Jak już mówiłem, strach przed wachta wszedł mi w krew. Gdy tylko znalazłem się w obecności pilota, nawet w najciemniejszą noc czułem na sobie te żółte oczy i widziałem, że ich właściciel tylko czyha, by pod byle pretekstem plunąć na mnie jakimś jadem. Zaczynał w ten sposób:

— Ty tam, bierz koło! I

Po dwóch minutach:

— Dokąd, u diabła leziesz? Trzymaj! Cofaj! Cofaj!

I znów po chwili:

— Co? Będiesz go tak trzymał przez cały dzień? Wstrzymuj! Wstrzymuj!

Potem zeskakiwał z ławki, wyrywał mi koło i wylewając na mnie całą wściekłość wstrzymywał sam.

Pomocnikiem drugiego pilota był George Ritchie. Temu było dobrze, bo jego szef, George Ealer, był równie łagodny, jak Brown gwałtowny. Ritchie sterował z Brownem w poprzednim sezonie, a więc doskonale wiedział, jak zabawić się moim kosztem, a jednocześnie pognać mnie. Ile razy podczas wachty Ealera wziąłem za koło, Ritchie siadał z tyłu na ławce i udawał Browna wykrzykując bez końca: — Cofaj! Cofaj! Najgłupsze ciele, jakie widziałem! Ty tam! Gdzie leziesz? Chcesz wlecieć na ten pień? Cofaj! Słyszysz? Cofajże! No i wlaż! Akurat tak, jakem przypuszczał! Mówiłem, żebyś się nie pchał na rufę. Precz mi od koła!

I tak, niezależnie od tego, kto miał wachtę, ja cierpiałem zawsze, a czasem zdawało mi się nawet, że owo dobrotliwe przekomarzenie się Ritchie'ego było nie mniej dokuczliwe niż śmiertelnie poważne łajanie Browna.

Często miałem ochotę zabić Browna, lecz było to niemożliwe. Pomocnik musiał przyjmować od swego szefa wszystkie gwałtowne uwagi i krytyki. Wszyscy wiedzieliśmy, że w Stanach Zjednoczonych istnieje prawo, wedle którego uderzenie pilota lub grożenie mu podczas służby uważa się za wielkie przestępstwo. Mogłem wszakże wyobrazić sobie, że zabijam Browna. To nie było zabronione. Toteż czyniłem to zawsze, jak tylko znalazłem się w łóżku. W mej wyobraźni zamiast pływać po rzece, jak tego wymagał mój obowiązek, odrzucałem precz całą tę robotę, ot tak, dla przyjemności, i zabijałem Browna co noc, przez wiele miesięcy, i to nie w dawny, przestarzały, zwykły sposób, ale nowymi, efektownymi metodami. Czasem były to sposoby zdumiewające nowością i pomysłowością, jak też okropnością sytuacji i otoczenia.

Brown ciągle szukał pretekstu, ażeby coś zganić, a jeśli nie mógł nic znaleźć, sam coś wymyślał. Łajał cię za to, że szorowałeś po brzegu, i nie szorowałeś po nim, że ugrzązłeś na ławicy i że nie ugrzązłeś na ławicy, że dałeś „wstecz”, gdy cię o to nie proszono, i że nie dałeś „wstecz”, gdy cię o to nie proszono, że pleciałeś naprzód bez rozkazu i że czekałeś na rozkaz. Słowem, niezmienną jego zasadą było ganić wszystko, cokolwiek zrobiłeś, a drugą niezmienną jego zasadą było zwracać się do ciebie wyłącznie z obelgami.

Pewnego dnia, płynąc ciężko obładowani w dół rzeki, zbliżaliśmy się do Nowego Madrytu. Brown był po jednej stronie koła i sterował, ja zaś po drugiej i stałem przy sygnałach „wstecz” i „naprzód”. Od czasu do czasu rzucał na mnie przelotne spojrzenie. Od dawna wiedziałem, co to znaczy: starał się złapać mnie w pułapkę. Zastanawiałem się nad tym, jaką tym razem przybierze to formę. Wkrótce odsunął się od koła i jak zwykły i warknął:

— Ty tam! Zobaczę, czy masz dość sprytu, żeby obrócić statek!

Manewr ten musiał mu się udać, nic temu nie mogło przeszkodzić, bo nigdy dotąd nie pozwolił mi obrócić statku, a więc niezależnie od tego, jak bym to zrobił, zawsze doszuka się błędu. Stał z tyłu łypiąc na mnie łakomym okiem, a wynik był do przewidzenia. W ćwierć minuty straciłem głowę i nie wiedziałem, co mam właściwie robić. Zacząłem za prędko obracać statek, ale dostrzegłem zielony błysk radości w oku Browna i poprawiłem błąd. Zacząłem od początku, za wysoko, ale na czas zdążyłem poprawić. Zrobiłem kilka innych fałszywych posunięć i jeszcze zdołałem się uratować. Wreszcie tak mi się wszystko pomieszało i poplątało, że popełniłem największą ze wszystkich omyłek: nim zacząłem obracać statek, posunąłem się za daleko w dół. Teraz nadeszła chwila oczekiwana przez Browna.

Twarz poczerwieniała mu z pasji, zrobił obrót, jednym zamachem ramienia odrzucił mnie na drugą stronę kabiny, zakręcił kołem i zaczął wylewać na mnie strumień obelg, póki mu tchu

nie zabrakło. Obrzucał mnie najrozmaitszymi przezwiskami, jakie tylko przysły mu do głowy, a raz myślałem nawet, że będzie kłąć, choć tego nie robił nigdy. Nie zrobił tego i tym razem. Wśród całej tej obfitości wyzwisk odważył się tylko na „niech cię dunder świśnie!”, wychowano go bowiem w przezornym szacunku dla piekielnego ognia i siarki. Ciężka to była godzina, bo na sztormowym pokładzie stał właśnie wielki tłum słuchaczy. Gdy tego wieczora położyłem się do łóżka, zabijałem Browna na siedemnaście różnych sposobów a wszystkie były nowe.

## Rozdział XIX

### BROWN I JA WYMIENIAMY UPRZEJMOŚCI

Po drugim rejsie znalazłem się w poważnym kłopotcie. Sterował Brown, ja „cofałem”. Mój młodszy brat zjawił się na pokładzie sztormowym i krzyknął do Browna, żeby o milę dalej zacumował do którejś przystani. Brown nie dał żadnego znaku, że to usłyszał. Ale już taki miał zwyczaj: nigdy nie raczył zauważać podwładnego. Wiatr dął. Brown był głuchy (choć zawsze udawał, że nie jest), miałem więc wątpliwości, czy słyszał rozkaz. Gdybym miał dwie głowy, byłbym się odezwał, ale że miałem tylko jedną, wydawało się rozsądniej nie narażać jej, więc milczałem.

Niebawem, jak zresztą było do przewidzenia, gdy już mijaliśmy plantację, ukazał się na pokładzie kapitan Klinefelter i zawołał:

— Niech pan zakręca, niech pan zakręca! Czy Henryk nie powiedział panu, żeby tu zacumować?

— Nie, panie kapitanie.

— Specjalnie go po to posłałem.

— Przyszedł bałwan na górę i nic więcej! Niech go dunder świśnie, nic nie powiedział.

— A pan go nie słyszał? — zapytał kapitan zwracając się do mnie.

Nie chciałem się naturalnie mieszać do tej sprawy, ale nie było wyjścia, więc rzekłem:

— Tak, panie kapitanie.

Wiedziałem z góry, co powie Brown, zanim jeszcze otworzył usta. Krzyknął:

— Stul pysk! Nic nie słyszałeś.

Według rozkazu zamknąłem usta. Po godzinie, nie wiedząc o tym co zaszło, wszedł do sterówki Henryk. Był to bardzo spokojny chłopak, toteż gdy go ujrzałem, żal mi się zrobiło, bo wiedziałem, że Brown nie będzie miał nad nim litości. Zaczął też z punktu:

— Ty tam... dlaczegoś mi nie powiedział, że mamy cumować przy plantacji?

— Powiedziałem, proszę pana.

— Kłamiesz!

A na to ja:

— Pan sam kłamie. Powiedział panu.

Brown wytrzeszczył na mnie oczy w tępych osłupieniu, które na dobrą chwilę odebrało mu zupełną mowę. Wreszcie krzyknął:

— Zaraz się wezmę do ciebie! — A potem do Henryka: — A ty wynoś się ze sterówki, precz!

Było to prawo pilota i należało mu się poddać. Chłopiec zerwał się i już zrobił krok za drzwi, gdy Brown w nagłym napadzie wściekłości chwycił dziesięciofuntowy kawał węgla i skoczył za nim. Ale ja byłem już między nimi z ciężkim stołkiem w ręku i wymierzyłem Brownowi potężny cios, który zwalił go z nóg.

Popełniłem zbrodnię nad zbrodniami; podniosłem rękę na pilota na służbie! Wiedziałem, że i tak czeka mnie za to kara, postanowiłem więc skorzystać ze sposobności i uregulować moje długie rachunki z tym osobnikiem, toteż rzuciłem się na niego i okładałem pięściami przez dłuższy czas. Jak długo, nie wiem — możliwe, że pod wpływem doznawanej przyjemności, czas wydawał mi się dłuższy, niż był naprawdę, lecz wreszcie Brown wyswobodził się i



skoczył do koła sterowego. Była to troskliwość wielce wskazana, jako że przez cały ten czas parowiec pędził w dół rzeki z szybkością piętnastu mil na godzinę, a przy sterze nie było nikogo. Jednakże w owym czasie wysokiej wody Orli Zakręt miał dwie mile szerokości oraz odpowiednią długość i głębokość. Toteż parowiec szedł sam, środkiem, bez żadnego ryzyka. To zresztą szczęście, bo równie dobrze mógł był pędzić prosto na las.

Na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że „Pennsylvanii” nie grozi żadne niebezpieczeństwo, Brown chwycił ogromną lunetę i w wojowniczy sposób podniósł ją w górę, z hałasem większym niż Indianie z plemienia Kamanczów, kazał mi wyjść ze sterówki. Ale teraz ja się go już nie bałem. Zamiast więc wyjść, stałem ociągając się i krytykując poprawność jego języka. Przeinaczałem jego dziwaczną mowę nadając jej formę dobrej angielszczyzny i zwracając jego uwagę na wyższość czystego języka angielskiego nad bękarcią gwarą z pensylwańskich barek węglowych, na których się wychował. Mógł mi się oczywiście świetnie odwzajemnić, chociażby obrzucając mnie gradem wyzwisk, ale do tego rodzaju walki nie był odpowiednio przygotowany. A więc odłożył lunetę i burcząc, i potrząsając głową wziął w ręce koło, ja zaś cofnąłem się i usiadłem na ławce. Wrzawa sprowadziła na pokład sztormowy wszystkich, kto tylko był na statku, a gdy w środku tłumu ujrzałem starego kapitana, zadrzałem. Pomyślałem: „Jużem przepadł”. Chociaż bowiem kapitan traktował swoją marynarską rodzinę po ojcowsku, wyrozumiale i z wielką cierpliwością, jeśli szło o drobne niedociągnięcia, to przy grubszych przestępstwach potrafił być niezwykle surowy.

Usiłowałem sobie wyobrazić, co kapitan może zrobić pomocnikowi pilota, który popełnił zbrodnię na statku, ze względu na cenny ładunek specjalnie strzeżonym i pełnym pasażerów. Nasza wachta prawie się kończyła. Myślałem, że pójdę i schowam się gdzieś, póki nie uda mi się wysliznąć na ląd. Wymknąłem się więc ze sterówki, zbiegłem po trapie, dopadłem drzwi górnej nadbudówki i miałem się właśnie wśliznąć do środka, gdy stanął przede mną kapitan! Spuściłem głowę, a on stał nade mną przez chwilę w milczeniu, a potem z naciskiem rzekł:

— Chodź ze mną!

Szedłem za nim. Prowadził mnie do swego salonu na przednim końcu górnej nadbudówki. Byliśmy teraz sami. Zamknął drzwi zewnętrzne — potem powoli zamknął i wewnętrzne. Usiadł. Stałem przed nim. Patrzył na mnie przez chwilę, a potem odezwał się:

— A więc biłeś się z panem Brownem?

Odpowiedziałem cicho:

— Tak, panie kapitanie.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że statek pędził w dół rzeki przez całe pięć minut, a przy kole nie było nikogo?

— Tak, panie kapitanie.

— Czy uderzyłeś go pierwszy?

— Tak, panie kapitanie.

— Czym?

— Stołkiem, panie kapitanie.

— Mocno?

— Średnio, panie kapitanie.

— Czy to zważyło go z nóg?

— On... on upadł, panie kapitanie.

— Cóż dalej? Czy robiłeś coś dalej?

— Tak, panie kapitanie.

— Co robiłeś?

— Tłukłem go, panie kapitanie.

— Tłukłeś go?

— Tak, panie kapitanie.

— Czy bardzo go tłuksłeś? To jest, poważnie?

— Można by to tak nazwać, panie kapitanie... możliwe.

— Jestem diabło rad z tego. Tylko pamiętaj, nie puść pary z ust, że ci to mówiłem. Popeliłeś wielką zbrodnię! Żeby się to już nie powtórzyło więcej na tym statku. Ale czyhaj na niego na lądzie! Wymłóć go zdrowo, słyszysz? Ja pokryję koszty. A teraz idź i pamiętaj — nikomu ani słowa! Już cię nie ma! Popeliłeś wielką zbrodnię, ty smarkaczu!

Wypadłem szczęśliwy, że uniknąłem groźnego niebezpieczeństwa, i z uczuciem wielkiej ulgi. Gdy zamknąłem drzwi, słyszałem, jak śmiał się do siebie i klepał po grubych udach.

Kiedy Brown skończył wachtę, poszedł wprost do kapitana rozmawiającego z kilku pasażerami na pokładzie maszynowym i zażądał, aby w Nowym Orleanie wysadzić mnie na ląd, a potem dodał:

— Jeśli ten pomocnik zostanie, nie ruszę kołem.

Kapitan odpowiedział:

— Ale on nie potrzebuje przychodzić, gdy pan będzie miał wachtę.

— Nie chcę z nim być na tym samym statku. Jeden z nas musi zejść na ląd.

— Dobrze — rzekł kapitan. — W takim razie niech pan zejdzie. — I powrócił do rozmowy z pasażerami.

Do końca rejsu czułem się tak jak niewolnik, któremu dano wolność, bo sam byłem tym wyzwolonym niewolnikiem. Podczas postojów słyszałem, jak George Ealer grał na flecie lub czytał ze swoich dwóch Biblii, to jest Goldsmitha i Szekspira — albo też grałem z nim w szachy i byłbym go nawet czasem pobił, ale zawsze cofał ostatni ruch, a potem rozgrywał grę inaczej.

## Rozdział XX

### KATASTROFA

Staliśmy trzy dni w Nowym Orleanie, ale kapitanowi nie udało się znaleźć nowego pilota, więc zaproponował, żebym ja objął dzienne wachty, a nocne żeby zostawić George'owi Ealerowi. Ale ja się bałem: nigdy jeszcze nie byłem na żadnej wachcie sam i czułem, że przy progach wpadnę na pewno w jakieś tarapaty albo też robiąc skrót wpakuję statek na mieliznę. Brown więc został, ale nie chciał być ze mną na jednym statku. Kapitan dał mi polecenie do kapitana statku „A. T. Lacey” na rejs do St. Louis i powiedział, że tam znajdzie innego pilota, a ja będę mógł wtedy wrócić na swoje miejsce. „Lacey” miał odpłynąć w kilka dni po „Pensylwanii”.

W nocy, przed wyruszeniem „Pensylwanii”, siedziałem z Henrykiem na stosie towarów na molo i gadaliśmy aż do północy. Oczywiście wałkowaliśmy temat, któregośmy jak dotąd jeszcze nie wyczerpali — katastrof parowców. A tymczasem jedna z nich, choć tego nie podejrzewaliśmy, właśnie zbliżała się do nas. Woda, która miała posłużyć do wytworzenia pary — przyczyny katastrofy — w chwili gdy rozmawialiśmy, przepływała jeszcze koło jakiegoś cypla, tysiąc pięćset mil w górę rzeki, ale w odpowiednim czasie miała się znaleźć, niestety, w odpowiednim miejscu. Wątpiliśmy, czy w czasie katastrofy i nieodłącznej paniki osoby nie posiadające władzy mogą się na wiele przydać, choć właściwie na coś przydać się mogą. Zdecydowaliśmy więc, że jeżeli kiedykolwiek znajdziemy się w jakiejś katastrofie, będziemy uparcie trzymać się statku i wykonywać usługi, jakich w danym momencie będzie wymagała sytuacja. Henryk zapamiętał to sobie dobrze i gdy katastrofa nadeszła, postępował zgodnie z tym.

„Lacey” wyruszył w górę rzeki, w dwa dni po „Pensylwanii”. Po kilku dniach, ledwośmy zacumowali w Greenville, w stanie Missisipi, ktoś zawołał:

— „Pensylwania” wyleciała w powietrze przy Owczej Wyspie, zginęło sto pięćdziesiąt osób!

Tego samego wieczoru w Napoleonie, w stanie Arkansas, dostaliśmy dodatek nadzwyczajny gazety z Memphis z garścią szczegółów. Wymieniano mego brata i pisano, że nie jest ranny. Podczas dalszej drogi w górę rzeki dostaliśmy późniejszy dodatek. Znowu wymieniano mego brata, ale tym razem pisano, że jest ranny i że stan jego jest beznadziejny. Dopiero dotarłszy do Memphis dowiedzieliśmy się o wszystkich szczegółach katastrofy. Oto owa smutna historia:

Była godzina szósta rano letniego, gorącego dnia. „Pennsylvania” posuwała się połową mocy maszyn, pełnąc na północ od Owczej Wyspy około sześćdziesięciu mil poniżej Memphis, i ciągnęła za sobą barkę z drewnem, która miała być wkrótce wyładowana. W sterówce był George Ealer, zdaje się, sam; drugi mechanik i pomocnik mieli wachtę w maszynowni, drugi oficer miał wachtę na pokładzie. George Black, pan Wood, mój brat i klarkowie spali, tak jak i Brown, starszy mechanik, pierwszy oficer i jeden pomocnik. Kapitan Klinefelter siedział na krześle golarskim, a golarz zabierał się właśnie do roboty. Na statku znajdowało się bardzo dużo pasażerów takich, którzy zajmowali kabiny, i około czterystu pasażerów pokładowych — jak wtedy mówiono — ale nieomal wszyscy spali. Gdy prawie całe drewno wyładowano już z barki, Ealer dał sygnał „cała naprzód” i w następnej chwili rozległ się jakby huk pioruna — to wybuchały cztery spośród pięciu kotłów, a dziobowa, trzecia część statku wyleciała w powietrze. Główna część z kominami opadła na pokład w postaci góry połamanych, bezładnych szczątków, z których wkrótce buchnęły płomienie.

Wielu ludzi zostało wyrzuconych na znaczną odległość i wypadło do rzeki. Wśród nich znajdował się pan Wood, mój brat i cieśla. Cieśla jeszcze leżał wyciągnięty na materacu, gdy uderzył o wodę w odległości siedemdziesięciu pięciu stóp od statku. O Brownie, pilocie i George’u Blacku, głównym klarku, słuch po wybuchu zaginął. Krzesło golarza z kapitanem Klinefelterem, zresztą nie tkniętym, zawisło oparciem nad przepaścią. Wszystko, co znajdowało się przed nim, zniknęło razem z podłogą, a ogłupiały golarz, również nie tknięty, stał w tej samej pozycji, nad przepaścią, i w dalszym ciągu, bezmyślnie, w milczeniu, mieszał mydliny.

Gdy George Ealer zobaczył lecące w górę kominy, wiedział już, co się stało, wtulił więc twarz w klapy kurtki i przycisnął mocno obu rękami, aby para nie dostała mu się do ust ani do nosa. Miał dość czasu, żeby wykonać te czynności, gdy wylatywał w górę, a potem spadał. Ostatecznie wylądował na wierzchu kotła, który nie wybuchł, czterdzieści stóp pod była sterówką, razem ze swym kołem sterowym i innymi rzeczami, w chmurze straszliwie gorącej pary. Wszyscy, którzy oddychali tą parą, pomarli. Nie ocalał nikt. Lecz Ealer nią nie oddychał. Jak mógł najszybciej wydostał się na świeże powietrze, a kiedy para się rozviała, wrócił, wdrapał się z powrotem na kocioł i cierpliwie zaczął szukać swoich pionków szachowych oraz szczątków swego fletu.

Ogień zaczął się coraz bardziej rozprzestrzeniać. Krzyki i jęki napełniały powietrze. Mnóstwo osób zostało poparzonych, mnóstwo okaleczonych. Żelazny łom z całą siłą wybuchu przebił na wylot ciało jakiegoś mężczyzny — podobno księdza. Nie skonał od razu, strasznie cierpiał. Piętnastoletni kadet ze szkoły morskiej, syn francuskiego admirała, został okropnie poparzony, ale mężnie zniósł tortury. Obydwaj oficerowie też byli dotkliwie poparzeni, lecz pomimo tego trwali na stanowiskach. Przyciągnęli barkę z drewnem i razem z kapitanem siłą odpychali oszalałych z przerażenia osadników, póki bezpiecznie nie umieszczono na niej rannych.

Gdy pan Wood i Henryk wpadli do wody, poczęli przedzierać się do oddalonego tylko o kilkaset jardów brzegu, lecz Henryk stwierdziwszy nagle, że chyba nie jest ranny (cóż za nieobliczalna w skutkach omyłka!), popłynął z powrotem do statku, aby pomóc ratować rannych.

W tym czasie ogień parł dziko naprzód i wiele osób uwięzionych pod stosami rumowisk rozpaczliwie błagało o pomoc. Wszystkie wysiłki walczenia z ogniem okazały się bezowocne,

ciśnięto więc wiadra i oficerowie rzucili się z siekierami, próbując przerąbać drogę dla uwięzionych. Wśród nich był pewien młody marynarz. Wołał, że nie jest ranny, ale sam nie może się wydostać. Widząc, że ogień przybiera na sile i może odpędzić rębaczy, błagał, żeby ktoś go zastrzelił i w ten sposób ocalił od jeszcze straszliwszej śmierci. Ogień odpędził ich rzeczywiście i bezradnie musieli słuchać lamentów tego biedaka, dopóki płomień nie położyły kresu jego mękom.

Ogień zagnał do barki wszystkich, którzy się tylko mogli na niej zmieścić. Puszczono ją z prądem, podobnie jak płonący statek poczęła dryfować w dół rzeki, w kierunku Owczej Wyspy. Przy cyplu wyspy rozbitkowie zdołali ją zacumować i tam to bez żadnej osłony przed palącym słońcem, na pół nędzy, bez jedzenia i picia, bez opatrzenia ran, musieli pozostać do końca dnia. Wreszcie nadpłynął jakiś parowiec i zabrał nieszczęśników do Memphis, gdzie natychmiast udzielono im pomocy. Przez cały ten czas Henryk był nieprzytomny. Doktorzy zbadali go i stwierdzili, że rany jego są śmiertelne, zajęli się oczywiście pacjentami, których można było uratować.

Czterdziestu rannych umieszczono na pryczach i na podłodze w wielkiej publicznej sali. Wśród nich był Henryk. Codziennie przychodziły tam kobiety z miasta przynosząc kwiaty, owoce, słodycze i różne przysmaki i pielęgnowały rannych. Wszyscy lekarze i wszyscy studenci medycyny mieli przy nich dyżury, całe zaś miasto dostarczało pieniędzy i wszystkiego, co tylko było potrzeba. A Memphis umiało robić to dobrze, bo niejedna już katastrofa zdarzyła się u jego bram, nabyło więc większego niż inne nadbrzeże miasta doświadczenia w tym miłosiernym zawodzie Dobrego Samarytanina.

Widok, jaki ujrzałem wszedłszy do tej wielkiej sali, był dla mnie nowy i dziwny. Dwa długie szeregi leżących postaci — było ich ponad czterdziestu — a każda twarz i głowa jak bezkształtny zwój surowej bawełny. Ponury widok. Czuwałem tam przez sześć dni i nocy; ciężkie to były chwile. Szczególnie przygnębiające wrażenie robiło codzienne wynoszenie konającego do pokoju obok. A żeby widokiem przedśmiertnych mąk nie ranić boleśnie uczuć innych pacjentów, wynoszono skazańca możliwie jak najciszej, przy czym nosze zawsze zakrywała ściana pielęgniarzy. Lecz nic to nie pomagało: każdy wiedział, co znaczą te pochylone postacie, te ciche powolne kroki. Wszystkie oczy śledziły to uważnie i wszystkich przechodził dreszcz.

Widziałem, jak wielu biedaków wynoszono do „pokoju śmierci”, z którego nie wracali już nigdy. Widziałem wszakże, jak naszego starszego oficera wynoszono tam kilkakrotnie. Rany miał straszne, zwłaszcza oparzeliny. Od pasa był owinięty w bawełnę nasyoną olejem lnianym i kształtem wcale nie przypominał człowieka. Był często nieprzytomny, a wtedy szalał, krzyczał, a czasem wył z bólu. Potem następował okres wyczerpania, a kiedy minął, jego podniecona wyobraźnia zamieniała nagle wielką salę w dziób statku, a krzątający się tłum pielęgniarek — w załogę. Wtedy siadał na pryczy i wołał: — Zwijać się, zwijać się, wy bałwany, ślamazary, karawaniarze! Cóż to, cały dzień będziecie wyładowywać tę garstkę towaru? — Do tego wybuchu dorzucał jeszcze lawinę wielomilowych przekleństw, której nic nie zdołało zatrzymać, dopóki krater się nie wyczerpał. Niekiedy podczas takich napadów wyrwał garściami bawełnę z opatrunku, odsłaniając czerwone, jakby ugotowane ciało. To było straszne. Naturalnie owe hałasy i krzyki źle oddziaływały na innych pacjentów — więc doktorzy, żeby go uspokoić, dawali mu morfinę. Ale czy był przytomny, czy nie, nie chciał jej brać. Mówił, że ten zdradziecki specyfik zabił jego żonę i raczej umrze, a nie weźmie go. Podejrzewał, że doktorzy skrycie dodają morfiny do jego zwykłych lekarstw i do wody — toteż przestał przyjmować jedno i drugie. Pewnego razu, gdy przez dwa upalne dni był bez wody, wziął do ręki czerpaczkę i na widok przezroczyściego płynu ogarnęło go pragnienie nie do zniesienia — ale opanował się, odrzucił czerpaczkę i więcej nie pozwalał stawiać jej blisko siebie. Trzy razy widziałem, jak nieprzytomnego, prawie konającego wynosili go do pokoju

śmierci, ale za każdym razem odżywał, przeklinał pielęgniarzy i żądał, żeby go przyniesiono z powrotem. Wyżył i dalej pozostał oficerem na parowcu.

Był jedynym człowiekiem, który dostawszy się do „pokoju śmierci” wyszedł z niego żywy. Doktor Peyton, lekarz naczelny, człowiek pełen wszelkich przymiotów, które tworzą czysty, szlachetny charakter, uczynił dla Henryka wszystko, na co tylko pozwalała głęboka wiedza i długie doświadczenie, ale, tak jak na początku mówiły gazety, rany Henryka były nie do wyleczenia. Wieczorem szóstego dnia zmacony jego umysł zajęły jakieś odległe sprawy, a palce zacisnęły się na kołdrze. Godzina jego wybiła; zanieśliśmy go do pokoju śmierci! Biedny chłopiec!

## Rozdział XXI

### WYJĄTEK Z MOJEJ BIOGRAFII

W przewidzianym czasie otrzymałem licencję. Byłem teraz wypierzoną pilotem. Trafiały mi się przypadkowe zajęcia; nie było w tym żadnego nieszczęścia; dorywcza praca ustąpiła miejsca stanowiskom poważnym i długotrwałym. Czas upływał gładko i szybko i zdawało mi się — miałem wtedy nawet taką nadzieję — że do końca życia zostanę na rzece, a gdy misja moja się skończy, umrę przy kole sterowym. Lecz wkrótce przyszła wojna, handel został zahamowany, straciłem pracę.

Musiałem szukać innych środków do życia. Byłem więc górnikiem w kopalni srebra w Nevadzie, później reporterem, potem znów górnikiem w kopalni złota w Kalifornii, reporterem w San Francisco, specjalnym korespondentem na wyspach Sandwich, korespondentem wałęsającym się po Europie i Wschodzie, z kolei pochodnią nauki sięgając światło z katedry, aż wreszcie stałem się bazgraczem książek i nieruchomym obiektem wśród skał Nowej Anglii.

I tak, odkąd po raz ostatni patrzyłem przez okna sterówki, upłynęło, co prawda wolno, dwadzieścia jeden lat.

A teraz wracajmy znowu do sterówki.

## Rozdział XXII

### WRACAM DO MOICH OWIECZEK

Po dwudziestu jeden latach nieobecności poczułem silne pragnienie, aby znowu ujrzeć rzekę, parowce i marynarzy, którzy jeszcze zostali, a więc postanowiłem tam pojechać. Do towarzystwa wziąłem pewnego poetę i stenografa, żeby się trochę przewietrzyli i w połowie kwietnia wyruszyłem na zachód.

Ponieważ zamierzałem robić notatki z myślą o druku, począłem zastanawiać się, jaką obrać metodę. Doszedłem do wniosku, że gdyby poznano mnie na rzece, nie miałbym takiej swobody w poruszaniu się, rozmowie, wywiadach i węszeniu. Pamiętałem, że w dawnych czasach marynarze mieli zwyczaj ładować w nieświadomego rzeczy przybysza najbardziej efektowne i wspaniałe kłamstwo, a potem, otumanionego, zbijać z tropu błahymi i nieistotnymi faktami. Wobec tego zdecydowałem, że lepiej będzie dla sprawy, jeśli nasze towarzystwo przybierze fikcyjne nazwiska. Pomysł był na pewno dobry, lecz rodził nie kończące się kłopoty, bo chociaż Smith, Jones i Johnson są łatwymi do spamiętania nazwiskami, kiedy nie trzeba ich pamiętać — to wcale niełatwo je sobie przypomnieć, gdy są potrzebne. Co robią przestępcy, że tak świetnie potrafią pamiętać świeżo upieczone fałszywe nazwiska, to wielka tajemnica. Ja byłem niewinny, a przecież moje nowe nazwisko, gdy było potrzebne, rzadko przychodziło mi do głowy. A gdybym jeszcze miał na sumieniu zbrodnię — nigdy bym nowego nazwiska nie zdołał spamiętać.

Wyjechaliśmy koleją pensylwańską o godzinie 8 rano, 18 kwietnia.

*Wieczór. Jeśli idzie o stroje, w miarę oddalania się od Nowego Jorku zanika wdzięk i malowniczość.*

Znajdę takie zdanie wśród moich notatek. Niezależnie od tego, w jakim kierunku się udać, fakt pozostaje faktem. Wszystko jedno, czy pojedziesz na północ, południe, wschód czy też zachód: obudziwszy się rano, możesz się domyślić, jak daleko ujechałeś, tylko z tego, ile przez ten czas wdzięku i malowniczości ubyło w ubraniach nowych pasażerów. Nie mam tu na myśli wyłącznie kobiet — dotyczy to obu płci. Możliwe, że istotą tej sprawy jest sposób noszenia. Myślę, że tak, gdyż wiele pań i panów w miastach prowincjonalnych nosi ubrania uszyte przez najlepszych nowojorskich krawców i krawcowe. A jednak nie ma to widać wpływu na zasadniczy fakt: doświadczone oko nigdy nie weźmie tych ludzi za mieszkańców Nowego Jorku. Nie, kto się urodził i wychował w Nowym Jorku, ma w sobie jakiś szelmowski wdzięk i styl.

*19 kwiecień. Dziś rano wpadłem w tłum kozich bródek, czasem z wąsami, ale rzadko.*

Dziwnie było natrafić na tak obfity plon przestarzałej i niezbyt powabnej mody. To coś takiego, jak nagle natknąć się na dawno zapomnianego znajomego, którego od wieków uważało się za umarłego. Kozie bródki spotyka się na olbrzymiej pościeli kraju, a wraz z nimi mocną jak żelazo wiarę w Adama i podane przez Biblię stworzenie świata, których ataki uczonych wcale nie nadweryżyły.

*Popołudnie. Na stacjach kolejowych łaziki trzymają obie ręce w kieszeniach spodni. Dotąd widywało się ich tylko z jedną. Jest to ważny fakt z dziedziny geografii.*

Gdyby łaziki decydowały o charakterze kraju, byłby naturalnie jeszcze ważniejszy.

*Do tej pory często widywało się na stacjach łazików drapiących gołęń jednej nogi stopą drugiej. Tutaj brak nawet tych resztek aktywności. To daje do myślenia.*

Wkrótce wjechaliśmy w okolice żucia tytoniu. Pięćdziesiąt lat temu zasięg żucia tytoniu obejmował całe Stany. Teraz bardzo się zmniejszył.

Następnie zaczęły pojawiać się wysokie buty. Później, w dolnym biegu Missisipi, stały się już zjawiskiem powszechnym. Z innych okręgów Stanów zniknęły razem z błotem. Znikną bez wątpienia również z nadbrzeżnych wiosek, gdy wybrukują ulice!

Przyjechaliśmy do St. Louis o dziesiątej wieczorem. Przy biurze hotelowym, nieudolnie siląc się na beztruską swobodę, podałem jakieś naprędce wymyślone fikcyjne nazwisko. Urzędnik zawahał się i począł mi się przyglądać z politowaniem, tak jak się przygląda osobie, która znajdzie w dwuznacznej sytuacji! Potem rzekł:

— W porządku. Wiem, jakiego pokoju pan sobie życzy. Pracowałem w „St. James” w Nowym Jorku. i

Niezbyt obiecujący początek oszukańczej kariery! W jadalni spotkaliśmy dwóch mężczyzn skądś mi znanych. Jak to dziwnie i niesprawiedliwie: oszuści chodzą po świecie głosząc wykłady pod moim nom de guerre i nikt ich o nic nie podejrzewa. A kiedy uczciwy człowiek zabierze się do oszukaństwa, natychmias zostaje zdemaskowany.

Jedno było jasne: następnego dnia musimy wyruszyć w dół rzeki, jeżeli ludzie, których nie można oszukać, mają się plenić w tym tempie. Spotkał nas wielki zawód, jako że mieliśmy nadzieję spędzić tydzień w St. Louis. „The Southern” to dobry hotel i mogliśmy w nim przyjemnie posiedzieć jakiś czas. Jest duży i dobrze prowadzony, a nad jego upiększeniami nie trzeba płakać tak jak w ogromnym „Palmer House” w Chicago. Naprawdę, stoły

bilardowe pochodzą z dawnej epoki sylurskiej, a kije i kule, z późnopliocenińskiej. A jest w tym pewien urok, nie zaś niesmak, bo kontemplacja starożytności przynosi ukojenie i spokój. To, co najbardziej zwracało uwagę w sali bilardowej, to brak w niej człowieka rzeki. Jeżeli zaś ten człowiek tu był, zwinął swoją flagę — był jakby w przebraniu. Nie widziałem ani pompacyjnych min i gestów, ani ostentacyjnego rozrzucania pieniędzy i chełpliwego popisywania się nimi, co w dawnych czasach różniło tłum marynarzy od tłumu szczurów lądowych w zatłoczonych salach bilardowych w St. Louis. W owym czasie główne sale były zawsze pełne wodniaków; wśród pięćdziesięciu graczy trzydziestu lub trzydziestu pięciu było z rzeki. Podejrzywałem, że mieli teraz chude posadki i przestali być arystokracją. A przecież w moich czasach nazywali zawsze barmana Bill, Joe lub Tom i klepali go po ramieniu. Czekałem na to. Ale z tych ludzi żaden tego nie robił. Widocznie w ciągu dwudziestu jeden lat dawna świetność zniknęła.

Gdy poszedłem na górę do swego pokoju, zastałem tam młodzieńca, którego nazywano Rogers i który tonął we łzach. Nie było to jego prawdziwe nazwisko, ani też Jones, Brown, Dexter, Ferguson, Bascom czy Thompson, lecz w razie potrzeby odzywał się na każde z nich lub w ogóle na jakieś inne nazwisko, jeżeli doszedł do wniosku, że to o niego chodzi. Mówił:

— A co ma zrobić ten, kto chce się napić wody? Pić to błoto?

— A co, nie możesz pan wypić?

— Mógłbym, gdybym miał jeszcze trochę innej wody, żeby to spłukać.

Oto problem, który się nie zmienił! Powierzchnia tej wody była nadal jak skóra mulata i wcale nie zmieniła się przez dwadzieścia lat, ale pewnie i dwadzieścia wieków nic by tu nie pomogło. Pochodzi ze spienionej, złośliwej brzegi Missouri i każdy jej kubek zawiera blisko akr rozpuszczonego łądu.

Dowiedziałem się o tym od biskupa tej diecezji. Jeśli postawisz szklanekę na pół godziny, możesz oddzielić łąd od wody, z taką samą łatwością jak w Genesie, i przekonasz się, że jedno i drugie jest dobre — jedno do jedzenia, drugie do picia. łąd jest bardzo pożywny, woda jest naprawdę zdrowa. Pierwsze zaspokajają głód, drugie — pragnienie. Ale tubylcy nie połykają ich oddzielnie, lecz razem, tak jak je zmieszała przyroda. Gdy na dnie szklanki ujrzą cał mułu, mieszają go i połykają jak kleik. Przybyszowi trudno jest przyzwyczaić się do tej mieszanki, lecz gdy się raz przyzwyczai, woli ją od czystej wody. Oto; jak się sprawa przedstawia naprawdę. Woda jest dobra do żeglugi i dobra do picia, lecz do wszystkich innych celów, z wyjątkiem chrztu, jest bezużyteczna.

Następnego ranka padał deszcz, a my objeżdżaliśmy miasto. Wydawało się niewiele zmienione. W gruncie rzeczy było bardzo zmienione, lecz nie rzucało się to w oczy, ponieważ tak samo w St. Louis, jak w Londynie i Pittsburgu żadna nowa rzecz nie wyglądała nigdy na nową. Dym węglowy momentalnie zamieniał ją w zabytek starożytności. Od czasu jak tu mieszkalem, miasto prawie dwukrotnie się powiększyło i zamieszkuje tu teraz czterysta tysięcy ludzi — a przecież stateczna część handlowa wygląda prawie tak samo jak dawniej. Pewien jestem jednak, że w St. Louis nie ma teraz tyle dymu, co przedtem. Dawniej dym zbijał się nad miastem w gęsty, czarny; wyduły baldachim i zakrywał niebo. Zasłona ta stała się teraz znacznie cieńsza, choć dymu jest ciągle pod dostatkiem. Nie słyszałem jednak, żeby ktoś użalał się z tego powodu.

Na peryferiach wszakże były widoczne zmiany, zwłaszcza w architekturze domów mieszkalnych. Nowe domy są dostojne, piękne i nowoczesne. Stoją oddzielnie wśród zielonych trawników, podczas gdy dawniejsze są wciśnięte w bloki i wszystkie na jedno kopyto, z takimi samymi oknami, w łukowych, kamiennych framugach. Domy takie są tym ładniejsze, im trafiają się rzadziej.

Zastałem jeszcze inną zmianę — Park Leśny. To stanowiło dla mnie zupełną nowość. Jest piękny, bardzo rozległy i ma tę wspaniałą zaletę, że w przeważającej części jest tworem

natury. Są także inne parki, i to piękne, zwłaszcza Wieżowy Gaj i Ogród Botaniczny, bo miasto St. Louis interesowało się tego rodzaju inwestycjami wcześniej niż inne.

Kiedy po raz pierwszy ujrzałem St. Louis, mogłem je kupić za sześć milionów dolarów, i był to wielki błąd życia, że tego nie uczyniłem. Z przykrością patrzyłem teraz na tę wielką metropolię z kopułami i wieżami, z tą olbrzymią ilością cegieł i wapna rozciągającą się na wszystkie strony aż po przymgloną, zacierającą kontury dal. I pomyśleć tylko, że ominąłem taką sposobność! I to z powodu jakiegoś niemądrego, nie mającego już dziś wytłumaczenia widzimisię. A przecież istniały w owym czasie przyczyny usprawiedliwiające moje postępowanie.

Pewien Szkot, wielbny Charles Augustus Murray, napisał lat temu około pięćdziesięciu: „Ulice są wąskie, źle brukowane i źle oświetlone”. Ulice te do dzisiejszego dnia są oczywiście wąskie, wiele z nich jest dotychczas źle wybrukowanych, ale co do oświetlenia — zarzutu nie należy podtrzymywać. Nowy kościół katolicki był wtedy jedynym godnym uwagi budynkiem, a Murray miał poufne zlecenie podziwiania go „z jego greckim portykiem i z umieszczoną nad nim zbyt skromnych rozmiarów wieżą, oraz wznoszącymi się nad nią rozlicznymi ozdobami, których pozbawiony wyobraźni Szkot nie był w stanie opisać”, wobec czego wdzięczny był jakiemuś niemieckiemu turyście, który wybawił go z kłopotu okrzykiem: „Ależ one wyglądają jak słupki od łóżka!”. Teraz St. Louis jest wyposażone w okazałe i dostojne budynki użyteczności publicznej, a mały kościół, z którego kiedyś ludzie byli tak dumni, od dawna stracił znaczenie. Nie zdziwiłoby to jednak Murraya, gdyby mógł tu powrócić, bo z mocnym przekonaniem prorokował wielkość St. Louis.

Im dalej posuwaliśmy się, tym bardziej uświadamiałem sobie, jak miasto urosło od czasu, gdy je widziałem po raz ostatni. Zmiany w szczegółach stawały się coraz częstsze i bardziej widoczne niż na początku, a wszystkie świadczyły o postępie, energii i zamożności.

Ale dopiero w porcie były zmiany nad zmianami! Tym razem odstępstwo od zasady. Zaledwie kilka parowców głęboko uśpionych tam, gdzie dawniej były ich całe mile, i to w pełni życia! Wyglądało to smętnie i żałośnie. Brak wszędobylskiego, wesołego marynarza w sali bilardowej został teraz wyjaśniony. Nie było go tam, bo w ogóle go nie było. Zawód jego zniknął, stracił znaczenie, wchłonęła go pospolita trzoda, ostrzyżony, niepozorny Samson obraca swe żarna. Kilka martwych parowców, mila pustych nabrzeży, pijany Murzyn śpi rozciągnięty na ziemi wśród rozległej i głuchej pustki, gdzie kiedyś stały ciasnym szeregiem statki handlowe. Oto prawdziwa pustka!

A stare morze jak gdyby płakało,  
Podchodząc szepcze i liże brzeg gładki,  
I bijąc w pomost dziś opustoszały,  
Woła swe dawno zatopione statki,

Holownik i kolej żelazna zrobiły swoją robotę dobrze i dokładnie. Potężny most rozciągający się nad naszymi głowami wykonał swoją część rzezi i rabunku. Kilku niedobitków z dawnych wodniaków mówiło mi z pewnym zadowoleniem, że most się nie opłaci. Jednakże dla nieboszczyka nie jest dostateczną satysfakcją, jeżeli się dowie, że dynamit, od którego zginął, nie był w tak dobrym gatunku, jak przypuszczano.

Bruki na nadbrzeżu były nadal złe, chodniki nie naprawione, wszędzie mnóstwo błota. Wszystko to znaleźliśmy i witaliśmy z zadowoleniem, ale znikły gdzieś dawne armie wozów ciężarowych, tłumy pędzących ludzi i góry towarów, a zamiast tego panowała wieczna niedziela. Pozostały natomiast wszystkie te liche, cuchnące, niezapomniane knajpy, lecz ruch w nich był ospały. Gdzieś się podziały gromady Irlandczyków zalewających się wszystkimi truciznami, a miejsce ich zajęły grupki oberwańców, Murzynów, z których jedni pili, drudzy już byli pijani, niektórzy drzemali, a jeszcze inni spali. St. Louis jest wielkim, kwitnącym i



rozwijającym się miastem, lecz jego nabrzeże wydaje się tak martwe, że już nie może zmartwychwstać.

Żegluga parowa na rzece Missisipi narodziła się w 1812 roku. W ciągu lat trzydziestu wyrosła do potężnych rozmiarów, a nim upłynęło następne trzydzieści lat, zamarła! Dziwnie krótkie życie jak na tak wspaniały twór. Oczywiście nie jest całkowicie martwa, tak samo jak i kulawy, osiemdziesięcioletni starzec, który kiedyś potrafił skoczyć dwadzieścia dwie stopy w dal, ale w porównaniu z tym, czym była w okresie swej młodszej tężyzny, można ją teraz nazwać martwą.

Zabiła staromodny transport na barkach ograniczając czas rejsu do Nowego Orleanu do niespełna tygodnia. Kolej żelazna zabiła ruch pasażerski na parowcach wykonując w przeciągu dwóch, trzech dni to, na co parowce zużywały tydzień, a floty holowników zabiły tranzyt towarowy holując w dół rzeki ładunki sześciu lub siedmiu parowców na raz i to nieznacznym kosztem, że konkurencja parowców w ogóle nie mogła tu wchodzić w grę.

Parowcom pozostał jeszcze towarowy i pasażerski ruch lokalny. Jest on — na długości dwóch tysięcy mil rzeki, między St. Paul a Nowym Orleanem — w rękach dwóch lub trzech związanych ze sobą, dobrze uzbrojonych w kapitał towarzystw. Za pomocą sprawnego i ściśle handlowego systemu zarządzania wyciągają jeszcze sporo pieniędzy z resztek owej niegdyś ogromnej żeglugi parowej. Przypuszczam, że St. Louis i Nowy Orlean nie ucierpiały materialnie z powodu tej zmiany, ale biada drwalowi z tartaku!

Zaludniał on brzegi rzeki na całej jej długości. Jego ciasno ułożony towar zajmował przestrzeń od jednego nadbrzeżnego miasta do drugiego. Co roku sprzedawał niezliczone ilości drewna za żywą gotówkę. Teraz zaś wszystkie pozostałe statki palą węgiel, a najrzadszym widokiem na Missisipi jest stos drewna. Gdzież się podział dawny drwal z tartaku?

## Rozdział XXIII

### PODRÓŻ INCOGNITO

Miałem zamiar zatrzymać się na krótko w każdym mieście pomiędzy St. Louis a Nowym Orleanem. Ażeby to zrobić, trzeba było przepłynąć z jednego miejsca do drugiego statkiem krótkich linii pocztowych. Łatwo było wymyślić taki plan i łatwo go było wykonać dwadzieścia lat temu, ale nie teraz. Obecnie między kursami statków są długie przerwy.

Chciałem zacząć od ciekawych starych francuskich osiedli St. Genevieve i Kaskaskia, położonych sześćdziesiąt mil w dół od St. Louis. Na tym odcinku kursował tylko jeden statek pocztowy z Grand Tower. Ale jeden statek przecież wystarczy, więc poszliśmy go obejrzeć. Był to czcigodny grat i jedno wielkie oszukaństwo, bo udawał zwykłą ruchomość, podczas gdy solidny, autentyczny brud tak grubo go obrastał, że można by słusznie nałożyć nań podatek, jako na prawdziwą nieruchomość ziemską. Są miejscowości w Nowej Anglii, gdzie jego pokład spacerowy byłby wart sto pięćdziesiąt dolarów od akra. Gleba na dziobie była zupełnie dobra — ze szpar w osłoniętych miejscach puszczała się już młoda pszenica. Luki zejściowe do kabin były uwarstwione suchą, piaszczystą glebą i z nieznacznym dodatkiem próchnicy nadawałyby się doskonale pod winogrona. Gleba pokładu maszynowego, cienka i kamienista, doskonale nadawała się do wypasania bydła. Wachtę miał kolorowy marynarz, poza tym nikogo nie było widać. Dowiedzieliśmy się, że ten stateczny parowiec odejdzie według rozkładu, „jeżeli dostanie ładunek”, jeśli zaś nie dostanie, będzie czekać.

— Czy ma już jaki ładunek?

— Ale gdzie tam! Jeszcze nie wyładowany. Przybyliśmy dopiero dziś rano.

Nie był pewien, kiedy dostanie ładunek, ale przypuszczał, że może jutro albo pojutrze. To nam nie odpowiadało, więc musieliśmy zrezygnować z niezwyklej przejażdżki na owej farmie. Mieliśmy jeszcze jedną strzałę w kołczanie: „Gold Dust”, statek pocztowy z

Vicksburga, miał odejść o 5 po południu. Kupiliśmy bilet do Memphis, porzucając zamiar zatrzymania się po drodze. Statek był zgrabny, czysty i wygodny. Rozsiadliśmy się na pokładzie maszynowym i dla zabicia czasu kupiliśmy trochę taniej literatury. Sprzedawcą był czcigodny Irlandczyk o dobrotliwej twarzy i obrotnym języku, od którego dowiedzieliśmy się, że mieszka w St. Louis od trzydziestu czterech lat i przez cały ten czas ani razu nie był po drugiej stronie rzeki. Następnie przeszedł do bardzo płynnego wykładu, pełnego aluzji i nazwisk klasyków. Wydało się nam, że mówi to z jakąś niezwykłą swadą, ale potem okazało się, że nie po raz pierwszy, a nawet może nie po raz pięćdziesiąty wygłasza to przemówienie. Był interesujący i stanowił daleko lepsze urozmaicenie podróży niż soczysta literatura, którą sprzedawał. Przypadkowa uwaga łącząca Irlandczyków z piwem wydobyła z niego taki klejnocik informacji:

— Nie piją go, proszę pana. Nie mogą go pić, proszę pana. Dawaj Irlandczykowi piwa przez miesiąc, a będzie z nim koniec. Irlandczyk jest wyłożony miedzią, a piwo ją przeżera. Whisky za to poleruje miedź i konserwuje Irlandczyka, proszę pana.

Punktualnie o godzinie ósmej odbiliśmy i przepłynęliśmy na drugą stronę rzeki. Gdy zbliżaliśmy się do brzegu, wśród gęstej ciemności, z dziobu buchnęło nagle wspaniałe, oślepiające światło elektryczne i jarzącym blaskiem oblało wodę i magazyny. Oto nowa, wielka zmiana! Nie ma już pełgających, dymnych, ociekających smołą koszów z pochodniami — ich dni się skończyły. Poza tym, zamiast wzywać jak dawniej dwadzieścia rąk do pomocy, żeby wciągnąć pomost — teraz zaledwie paru ludzi i kłęb pary spuszczało go z pomocą żurawia przymasztowego, na którym był zawieszony, zdejmowało i kładło w odpowiednim miejscu, a cała rzecz kończyła się prędzej, niż w dawnych czasach marynarz zdążyłby puścić w ruch swój młyn z przekleństwami. Dlaczego tej nowej i prostej metody przenoszenia pomostów nie wymyślano wówczas, gdy budowano pierwszy parowiec, pozostaje tajemnicą, która pomaga człowiekowi uprzytomnić sobie, jak ograniczona jest istota ludzka.

O drugiej godzinie nad ranem byliśmy już daleko, a kiedy o szóstej wyszedłem na pokład, opływałem właśnie skalisty cypel, na którym znajdował się stary magazyn, a w każdym razie jego ruiny. Niedaleko, ukryte wśród zadrzewionych wzgórz, stało kilka zniszczonych domów mieszkalnych, ale nigdzie nie było widać śladu życia, ani człowieka, ani zwierzęcia. Zastanawiałem się, czy mogłem aż tak zapomnieć rzekę, bo zupełnie nie przypominałem sobie tego miejsca. Kształt rzeki również był mi nie znany. Byłem zdumiony, zawiedziony i zgnębiony.

Wysadziliśmy na brzeg kobietę i mężczyznę, elegancko ubranych, i dwie piękne ustrojone panienki, z walizkami różnego kształtu z cielej skóry. Dziwne miejsce dla takich ludzi! Nie czekał żaden powóz. Całe towarzystwo, jakby wcale nie oczekiwało na powóz, ruszyło piechotą i skręciło w wijącą się polaną drogę.

Tajemnica ta jednak wyjaśniła się, gdy ruszyliśmy. Cała rodzina widać udawała się do wielkiego miasta, które leżało zamknięte za „tow-head” (to jest nową wyspą) o dwie mile poniżej przystani. Nie mogłem przypomnieć sobie tego miasta, ani miejsca gdzie się znajduje, nie pamiętałem też jego nazwy. Zacząłem się trochę irytować. Przypuszczałem, że może to być St. Genevieve, i tak się też okazało. Patrzcie, co ta nieokiełzana rzeka miała za pomysł: zbudowała olbrzymią, bezużyteczną, piaskową górę akurat przed samym miastem, odcięła je od rzeki, obwałowała dokładnie i zrobiła z niego prowincjonalne miasteczko. A jest to piękne, stare osiedle i zasługiwało na lepszy los. Założyli je Francuzi i jest zabytkiem z czasów, gdy można było przepłynąć od ujścia Missisipi do Quebec i nadal przebywać na terytorium francuskim, podlegając francuskiemu prawu.

Wszedłem na pokład sztormowy i rzuciłem tęskne spojrzenie w kierunku sterówki.

## MOJE INCOGNITO ZOSTAJE ZDEMASKOWANE

Przyjrzawszy się bliżej twarzy pilota mającego wachtę, stwierdziłem z zadowoleniem, że nigdy go przedtem nie widziałem, wobec czego wszedłem na górę. Pilot zmierzył mnie od stóp do głów, a ja zmierzyłem pilota. Po tym tradycyjnym wstępie siadłem na wysokiej ławie, a on, odwróciwszy ode mnie głowę powrócił do swej pracy. Każdy szczegół sterówki był mi znany, z wyjątkiem jednego: szeroko otwartej rury przy nadburciu. Przez pewien czas patrzyłem na nią zdumiony, wreszcie porzuciwszy domysły, zapytałem, do czego służy.

— Żeby słyszeć dzwonki do maszyn.

Było to znów ulepszenie, które należało wynaleźć pół wieku wcześniej. Myślałem właśnie o tym, pilot zapytał:

— Czy wie pan, po co ta lina?

Udało mi się odpowiedzieć wymijająco i jakoś się nie zdradziłem.

— Czy pan jest po raz pierwszy w sterówce?

Wymknąłem się i tutaj.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Nowej Anglii.

— Czy po raz pierwszy jest pan na Zachodzie?

Prześliznąłem się i nad tym pytaniem.

— Jeżeli pana to interesuje, mogę panu powiedzieć, do czego służą te wszystkie rzeczy.

Powiedziałem, że bardzo byłbym rad.

— Ta — rzekł kładąc rękę na lince od dzwonka sygnalizującego „wstecz” — jest po to, żeby dzwonić na alarm w czasie pożaru. Ta — kładąc rękę na dzwonku sygnalizującym „naprzód” — jest po to, żeby wezwać bufetowego z „teksaskiego pokładu”. Tym znów — ciągnął wskazując na dźwignię gwiazdka — woła się kapitana. — I tak kolejno dotykał jednego przedmiotu po drugim i spokojnie rozwijał całą szpulę kłamstw.

Nigdy jeszcze tak się nie czułem pasażerem, jak wtedy. Dziękowałem mu ze wzruszeniem za każde nowe objaśnienie i skrzętnie zapisywałem w notesie. Pilota rozgrzała widać ta sytuacja, bo w dalszym ciągu faszerował mnie wiadomościami wypróbowanym sposobem. Czasem bałem się, że może się jakoś załamać w tym fantazjowaniu, lecz trzymał się dzielnie i uparcie ciągnął dalej. Stopniowo zapuścił się w odślanianie mi przedziwnych niezwykłości tej rzeki, popierając wszystko dość monstrualnymi przykładami, w rodzaju:

— Czy widzi pan ten mały otoczek sterczący tam z wody? Wie pan, kiedy pierwszy raz znalazłem się na rzece, była to potężna skała, miała więcej niż sześćdziesiąt stóp wysokości, a dwie mile długości. Wszystko poszło z wodą, z wyjątkiem tego kamienia. — Mówiąc to westchnął. Poczulem gwałtowne pragnienie, aby go zabić, ot tak po prostu, ale wydało mi się, że to stanowczo za mało.

Po chwili, gdy jakiś dość dziwnie wyglądający statek z wielkim czerpakiem do węgla, umieszczonym wysoko nad pokładem na końcu belki, dymił w pewnej od nas odległości, pilot wskazał nań od niechcienia, jak na rzecz tak zwykłą, że stała się aż męcząca, i bąknął, iż jest to „statek krokodylowy”.

— Statek krokodylowy? A co on robi?

— Odgarnia krokodyle.

— Czy jest ich aż tyle, że trzeba je odgarniać?

— Teraz już nie, bo rząd zabrał się do nich. Ale były. Nie wszędzie, miały przecież swoje ulubione miejsca, gdzie rzeka jest szeroka i płytka, na przykład Śliwkowy Cypel i Kopiasta Wyspa. Miejsca te nazywają się „krokodyle leżą”.

— Czy przeszkadzały w żegludze?

— Przed laty, tak, podczas niskiej wody. Wtedy nie było prawie rejsu, żebyśmy nie osiedli na krokodylach.

Zdawało mi się, że naprawdę będę musiał wyciągnąć tomahawk. Opanowałem się jednak i rzekłem:

— To musiało być okropne.

— Tak, była to jedna z największych trudności w nawigacji. Trudno było coś powiedzieć o wodzie — te przeklęte bestie tak się naokoło uwijały, nie uleżały spokojnie ani minuty. Można rozpoznać wietrzną rafę bez trudności, z samego wyglądu, można rozpoznać wyrwę, można rozpoznać piaszczystą ławicę, ale krokodylej rafy prawie wcale nie widać. Nie można się zorientować, gdzie jest woda — a jeśli się ją zobaczy, to zanim się człowiek tam znajdzie, już jej nie ma, tak ją te diabły przez ten czas zbełtały. Było, ma się rozumieć, kilku pilotów, którzy mogli rozpoznać krokodylą wodę bez trudności, ale do tego trzeba było mieć talent. Tego nie można się nauczyć, trzeba się z tym urodzić. Niechże pomyślę: takim był Ben Thornburg, Bec Jolly i Squire Bell, Horace Bixby, Major Downing, John Stevenson, Billy Gordon, Jim Brady, George Ealer i Billy Youngblood, wszyscy pierwszorzędni piloci krokoyłowi. Mogli rozpoznać krokodylą wodę tak samo, jak inny chrześcijanin rozpoznaje whisky. Co? Czy mogli ją odczytać? Jeszcze jak! Chciałbym mieć tyle dolarów, ile razy oni odczytali krokodylową wodę na półtorej mili naprzód. Tak, i opłacało się to, a jakże! Dobry krokodyli pilot mógł zawsze dostać tysiąc pięćset dolarów miesięcznie.

Przychodzi noc — inni siedzą w porcie z powodu krokodyli, ale oni nie, nigdy nie siedzieli z żadnego powodu, z wyjątkiem mgły. Podobno umieli wywachać najlepszą krokodylą wodę. Nie wiem, czy tak było, czy nie, ale myślę, że to, co się wie samemu, to i tak dosyć, bez chodzenia i wypytywania, co tam ludzie gadają, chociaż mnóstwo ludzi tak robi, jeżeli tylko może wyciągnąć coś ciekawego, by potem to opowiadać. Co prawda nie jest to wcale w stylu Roberta Stylesa, u którego prawda ma aż trzy sążnie głębokości, no, może ćwierć sążnia mniej.

(Co? Jestże to Rob Styles? Ten barczysty mężczyzna z wąsami? Taki szczupły chłopak za moich czasów! Jakże przez te dwadzieścia pięć lat wyprzystojniał i — wyrobił się w szlachetnej sztuce rozdymania faktów!) Po tych refleksjach powiedziałem głośno:

— Wydaje mi się, że odgarnianie krokodyli nie na wiele się przyda, bo przecież mogą wracać.

— Gdyby pan miał tyle doświadczenia z krokodylami co ja, to by pan tak nie mówił. Odgarnie się krokodyla raz i już jest gotów. Więcej o nim nie słyhać. Nie wróci, żeby nie wiem co. Jeżeli jeden krokodyl ustępuje w czym drugiemu, to tylko w tym, że został raz odgarnięty. Poza tym, nie tylko odgarniano je z drogi, większość wciągano na pokład, wrzucano do ładowni, a gdy trafił się rejs, zabierano je do Orleanu do fabryk państwowych.

— Po co?

— Ano, żeby z ich skóry robić buty dla żołnierzy. Wszystkie państwowe buty są ze skóry krokodylej. To najlepsze buty na świecie. Nosi się je pięć lat i nie przepuszczają wody. Łowienie krokodyli jest monopolem rządowym. Wszystkie krokodyle są własnością rządową, tak samo jak dęby. Jeżeli wytnie pan dąb, rząd każe panu zapłacić karę pięćdziesięciu dolarów, jeżeli zabije pan krokodyla, idzie pan siedzieć jak za zdradę stanu — dobrze, jeżeli pana nie powieszają. Ale powieszają, jeżeli jest pan demokratą. Myszołów jest świętym ptakiem na Południu i nie wolno go tknąć; krokodyl jest świętym ptakiem rządowym i trzeba zostawić go w spokoju.

— Czy teraz osiadacie kiedy na krokodylach?

— O, nie! Od wielu lat już się to nie zdarzyło.

— W takim razie po co trzymają jeszcze krokodylowe statki?

— One spełniają tylko służbę policyjną, nic więcej. Od czasu do czasu przepływają w górę i w dół rzeki. Obecne pokolenie krokodyli poznaje je z taką łatwością, jak włamywacz rewirowego. Gdy zobaczą, że któryś nadpływa, zwijają majdan i uciekają w lasy.

Wyłuszczywszy, wygładziwszy i wyczerpawszy sprawę krokodyli, z całą swobodą i swadą rzucił się w nurt historyczny i opowiedział kilka niesłychanych wyczynów paru dawnych, znanych mu parowców, zatrzymując się szczególnie długo nad pewnym niezwykłym czynem swego ulubieńca spośród tej całej zacnej flotylli — a potem dodał:

— Statkiem tym był „Cyclone”, odbywał ostatni rejs i podczas tego rejsu zatonął. Kapitanem był Tom Ballou, największy łgarz, jakiego kiedykolwiek znałem. Wydawało się, że on po prostu nie może powiedzieć jednego słowa prawdy. Najbezczelniejszy łgarz w świecie! Rzuciłem go wreszcie, nie mogłem tego wytrzymać. Przysłowie powiada: „Z jakim przestajesz, takim się stajesz”, więc jeśli przestajesz z takim człowiekiem, z całą pewnością ściągniesz wkrótce podejrzenie na siebie. Płacił pierwszorzędnie, ale ja powiedziałem sobie: „Co znaczą pieniądze, jeśli się naraża opinię?” A więc rzuciłem pieniądze i chwyciłem się opinii rękami i nogami. I nigdy tego nie żałowałem. Opinia to rzecz najcenniejsza, prawda? Takie jest moje zdanie. Miał w sobie więcej egoizmu niż siedmiu ludzi razem wziętych. Tyle tego egoizmu ulokowało mu się gdzieś w tyle głowy, że aż nos sterczał do góry. Ludzie myśleli, że to próżność, ale nie, to była złośliwość. Gdyby pan zobaczył jego stopę, wziąłby go pan za mężczyznę mającego dziewiętnaście stóp wysokości. Wszystko to dlatego, że stopa była nieproporcjonalna. Miałby dziewiętnaście stóp, bez żadnej wątpliwości, gdyby jego stopa została stworzona pierwsza, ale cóż, nie wyrósł, miał tylko pięć stóp i dziesięć cali. Oto jaki był i jakim pozostał. Jeśli wyjąć z niego kłamstwa, skurczy się do rozmiarów pańskiego kapelusza, jeśli wyjąć z niego złośliwość, w ogóle zniknie. Ten „Cyclone” to był gruchot, ale do sterowania najmilsza łajbka, jaka kiedykolwiek pływała po wodzie. Postaw ster w osi statku na wielkiej rzece i pozwól mu iść samemu — to wszystko, co masz z nim zrobić.

Będzie się trzymał na kursie przez całą noc, jeżeli pozwolisz mu płynąć samemu. Nie potrzebujesz nawet dotykać koła sterowego. Sterowanie nim nie wymagało większej pracy niż liczenie republikańskich głosów podczas wyborów w Południowej Karolinie. Pewnego ranka, o świcie, podczas ostatniego rejsu wciągnęli ster na pokład, do reperacji. Nic o tym nie wiedziałem. Wyprowadziłem go z przystani przy tartaku i beztrząsco pomknąłem w dół rzeki. Gdy przepłynąłem już dwadzieścia trzy mile i zrobiłem cztery straszliwe kręte przejścia...

— Bez steru?

— Tak. Stary kapitan Tom ukazał się na dachu kabiny i począł robić mi wymówek za to, że pędzę w tak ciemną noc...

— Ciemną noc? Jak to? Przecież pan powiedział...

— Mniejsza o to, co powiedziałem... Wtedy było ciemno jak teraz w Egipcie, choć wkrótce zaczął wschodzić księżyc i...

— Chyba słońce, ponieważ wyruszył pan o świcie. Zaraz! Czy było to przedtem, zanim pan opuścił kapitana z powodu jego łgarstw, czy też...

— Przedtem... o, na długo przedtem. Więc tak, jak mówiłem, on...

— Ale czy to był rejs, podczas którego zatonął, czy też...

— O, nie! Wiele miesięcy później. A co do owego kapitana, to...

— W takim razie statek zrobił dwa ostatnie rejsy, ponieważ pan mówił...

Cofnął się od koła sterowego ścierając strugi potu i rzekł:

— Słuchaj — i tu wymienił moje nazwisko — bierz koło i łżyj dalej, jesteś zręczniejszy do tego niż ja. Uduwać w ten sposób nic nie wiedzącego przybysza, niewiniątka! Poznałem cię, nim otworzyłeś usta, i postanowiłem się dowiedzieć, co znaczy ta gra. Chciałeś ze mnie wszystko wycisnąć. Pozwoliłem ci, prawda? A teraz bierz koło i kończ wachtę. Na drugi raz zachowuj się przyzwoicie, a nie będziesz musiał sam zapracowywać na przejazd.

Tak się skończyło z moim fikcyjnym nazwiskiem. A przecież nie upłynęło jeszcze sześć godzin, jakeśmy wyruszyli z St. Louis! Ale w każdym razie spotkała mnie nagroda, gdyż od samego początku swędziały mnie dłonie, tak mi się chciało położyć je na kole. Zdawało się, że zapomniałem rzekę, ale nie zapomniałem jak się steruje parowcem ani jak się tym cieszyć.

## Rozdział XXV OD CAIRO DO HICKMAN |

Krajobraz od St. Louis do Cairo — dwieście mil — jest urozmaicony i piękny. Wzgórza były teraz pokryte świeżym wiosennym listowiem i stanowiły wdzięczną i godną oprawę dla szerokiej, płynącej wśród nich rzeki. Nasz rejs zaczął się pomyślnie, w doskonały dzień, jeśli idzie o wiatr i słońce, a statek robił mili za milą z dobrą szybkością. W Chester, w stanie Illinois, natknęliśmy się na intruza — kolej żelazną. Chester ma teraz także i więzienie i w ogóle posuwa się naprzód. W Grand Tower też była kolej i w Cape Girardeau również. Pierwsze z tych miast wzięło swą nazwę od olbrzymiego, przysadzistego, skalnego słupa, który sterczy z wody od strony Missouri, fantastycznego dzieła przyrody i jednego z najbardziej malowniczych krajobrazów w tej okolicy. Dla bliższych i dalszych sąsiadów Tower nazywa się „Diabelski piec”, prawdopodobnie dlatego, że niczym nie przypomina pieca; jest także „Diabelski stół”, wielka skała, o gładkiej powierzchni, na zwężającej się nodze, jakby kieliszek do wina, zawieszona jakieś sześćdziesiąt stóp nad rzeką, obok kwiecistej i zarośniętej zielonymi girlandami przepaści, naprawdę podobna do stołu mogącego służyć zarówno diabłu jak i chrześcijaninowi. Dalej w dół rzeki mamy „Diabelski łokieć” i „Diabelski tor” i mnóstwo innych należących do niego przedmiotów, których teraz nie mogę już sobie przypomnieć.

Miasto Grand Tower było znacznie ruchliwsze niż w dawnych czasach, ale rzucało się w oczy, że tu i tam potrzebuje pewnych remontów oraz nowej szaty bielonych ścian. A przecież przyjemnie mi było raz jeszcze spojrzeć na starą szatę. „Wuj” Mumford nasz drugi oficer, mówił, że miasto ucierpiało na skutek wysokiej wody i dlatego teraz nie wygląda najlepiej. — Ale - mówił — nic dziwnego, że nie marnowało wapna dla siebie, bo tu robi się więcej wapna i w lepszym gatunku niżli gdziekolwiek na Zachodzie. I dodał: — Na farmie mleczarskiej nigdy nie można dostać mleka do kawy, a na plantacji cukru nie można dostać cukru, a więc nie ma sensu szukać bielonych ścian w mieście, które jest fabryką wapna. — Z własnego doświadczenia wiedziałem, że pierwsze dwa przypadki są prawdziwe, a także, że ludzie, którzy sprzedają słodycze, nie lubią słodyczy, a więc i ostatnia obserwacja Wuja Mumforda, że „ludzie, którzy robią wapno, więcej się garną do religii niż do bielienia ścian”, była również prawdopodobna. Wuj Mumford powiedział jeszcze, że Grand Tower jest wielkim centrum węglowym i zamożnym miastem.

Cape Girardeau leży na stoku wzgórza i wygląda pięknie. Na dole, nad rzeką, jest ogromna szkoła dla chłopców, prowadzona przez jezuitów. Wuj Mumford mówił, że ma tak samo dobrą opinię, jak każda inna podobna jej instytucja w Missouri. Wyżej, na wierzchołku wzgórza, była druga szkoła — jasny, nowy budynek, pełen malowniczych i niezwykłych wież i wieżyczek, przypominający olbrzymi komplet karafek na ocet i oliwę. Wuj Mumford mówił, że Cape Girardeau to Ateny stanu Missouri i że jest tam jeszcze kilka innych szkół oprócz wymienionych, a wszystkie związane z taką lub inną religią. Zwrócił moją uwagę na coś, co nazywał: „Na wskroś religijnym wyglądem miasta”, ale ja nie mogłem dojrzeć, żeby wyglądało bardziej religijnie niż inne miasta położone na wzgórzu o takim samym nachyleniu, zbudowane z takich samych cegieł. Stronniczość sprawia, że ludzie widzą więcej, niż naprawdę jest.

Wuj Mumford był już trzydzieści lat oficerem na rzece. To człowiek posiadający wiele zmysłu praktycznego i dobrą głowę. Dużo obserwował, ma doświadczenie, ma swój sąd w ujęciu przedmiotu, ma również ledwo dostrzegalny zmysł poetycki, łatwość mówienia, stłumioną wibrację głosu i parę przekleństw, gdy konieczności związane z jego stanowiskiem wymagają duchowego uniesienia. Jest to oficer z dawnych dobrych czasów, a jeśli jest jakaś praca na dziobie, chodzi klnąc ponuro, jak gdyby chciał serce byłego marynarza stopić z

rzewną, słodką tęsknotą za minionymi dniami, które już nie wrócą. — Na górę tam, wy! Czy to ma trwać cały dzień? Czemuście nie gadali, że macie kłody nie nogi, zanim was wzięli na statek?

W stosunku do załogi jest człowiekiem statecznym, dobrym i sprawiedliwym, ale stanowczym, a więc lubią go i chętnie z nim przebywają. Nosi dotąd niezgrabne ubranie dawnego pokolenia marynarzy, ale w następnym rejsie Linia Kotwiczna da mu mundur, schludny, granatowy, marynarski mundur z mosiężnymi guzikami, taki, jaki mają inni oficerowie tej linii, a wtedy będzie się prezentował zupełnie inaczej niż dzisiaj.

Mundury na Missisipi! Jest to tak zdumiewająca zmiana, że bije wszystkie inne. A przecież jest jeszcze inna zadziwiająca rzecz; że nie zostały wprowadzone pięćdziesiąt lat wcześniej. Jest to tak dalece rozsądne, że należało się spodziewać, iż wcześniej o tym pomyślą. Przez pięćdziesiąt lat nieświadomy, potrzebujący pomocy czy informacji pasażer brał oficera za kucharza, a kapitana za golarza, i nieraz dobrze mu się za to dostawało. Ale wreszcie te udreki się skończyły. A poza tym bardzo polepszył się wygląd załogi statku, co również jest osiągnięciem reformy ubraniowej.

Popłynęliśmy w dół rzeki za zakręt poniżej Cape Girardeau. Dawniej nazywano go Sterowniczym Zakrętem; normalna żegluga i mnóstwo wody — prawie jedyne miejsce w górnym biegu rzeki, gdzie nowemu pomocnikowi wolno było przy niskiej wodzie poprowadzić statek.

Teby na początku Wielkiego Łącucha i Commerce u jego końca były miastami łatwymi do zapamiętania, ponieważ nie zaszły w nich żadne widoczne zmiany. Nie zmienił się też łańcuch — jeśli idzie o jego charakter — jest to bowiem łańcuch zapadłych w wodę skał doskonale przystosowanych do chwytania i druzgotania statków podczas burzliwych nocy. Wiele już wraków leży pogrzebanych na tym odludziu. Między innymi mój pierwszy przyjaciel, „Paul Jones”, uderzywszy o skały wywalił dno i poszedł w dół jak kamień — tak mi opowiadał historyk, wuj Mumford. Mówił, że na pokładzie znajdowała się szara kobyła i kaznodzieja. Dla mnie stanowiło to dostateczną przyczynę katastrofy, tak samo oczywiście dla Mumforda, który dodał:

— Ale jest wielu półgłówków, którzy drwią z takich rzeczy i uważają to za przesąd. Lecz są to z reguły ludzie, którzy nigdy nie podróżowali z szarą kobyłą i kaznodzieją. Wyprawilem się kiedyś w takim towarzystwie w dół rzeki. Siedliśmy na mieliźnie przy Krwawej Wyspie, siedliśmy przy Wiszącym Psie, siedliśmy tuż za tymże Commerce, uderzyliśmy w Skałę Bobrów, opadliśmy na jeden z najgorszych występów skalnych na Cmentarzysku za Gęsią Wyspą, jeden z naszych ludzi został zabity podczas bójki, przepaliliśmy kocioł, złamaliśmy wał, zwaliliśmy komin — i wpłynęliśmy do Cairo mając w ładowni prawie dziewięć stóp wody. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Ludzie tracili głowy z przerażenia. Kiedy ujrzeli miasto, pomalowali kobyłę na niebiesko, a kaznodzieję wyrzucili za burtę — inaczej w ogóle nie bylibyśmy dopłynęli. Kaznodzieję potem wyłowiono i wyratowano. Sam przyznał, że była to jego wina. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj.

Że kombinacja kaznodziei i szarej kobyły przynosi nieszczęście, wydaje się dziwne i na pierwszy rzut oka nie do wiary, lecz fakt ten potwierdza tyle niezachwianych dowodów, że wątpić znaczyłoby ubliżać zdrowemu rozsądkowi. Sam pamiętam wypadek, kiedy wielu przyjaciół ostrzegało kapitana, żeby nie brał szarej kobyły i kaznodziei, lecz on upierał się przy swoim na przekór wszystkiemu, co mówiono, i tego samego dnia — a może następnego, jak mówią niektórzy, chociaż mnie się wydaje, że był to ten sam dzień — upił się, spadł do luku i zanieśono go do domu jako nieboszczyka. Jest to szczerą prawdą.

Z Kapeluszonej Wyspy nie pozostało ani śladu: rozmyło ją do ostatniej odrobiny. Nie pamiętam nawet, w której części rzeki się znajdowała, wiem tylko, że było to gdzieś pomiędzy St. Louis a Cairo. W dawnych czasach było to złe miejsce. Farmer, który mieszkał na brzegu od strony Illinois, mówił, że na przestrzeni, widocznej z jego domu, dwadzieścia

dziewięć parowców zostawiło pogruchotane szkielety. Między St. Louis a Cairo wraki parowców znajdują się przeciętnie jeden na milę — razem dwadzieścia wraków.

Od miasta Commerce w dół rzeki zauważyłem duże zmiany. Skała Bobrów znalazła się teraz na środku rzeki tworząc potężny występ. Dawniej znajdowała się tuż przy brzegu, a statki tonęły od zewnętrznej strony. Wielka wyspa, która niegdyś znajdowała się na środku rzeki, odsunęła się od brzegu Missouri i statki już koło niej nie przepływają. Wyspa zwana Nakrapianą Kurtką została obcięta, ma teraz kształt klina i jest przeznaczona na zagładę. Gęsia Wyspa znikła zupełnie z wyjątkiem małej łaszki wielkości parowca. Groźne Cmentarzysko ze swymi niezliczonymi wrakami, wśród których dawniej tak wolno i ostrożnie torowaliśmy sobie drogę, jest obecnie daleko od głównego koryta i nie straszy nikogo. Jedna z wysp zwanych Dwie Siostry znikła całkowicie, druga, która dawniej leżała tuż przy brzegu od strony Illinois, znalazła się teraz po stronie Missouri — milę dalej — jest mocno złączona z brzegiem i trzeba mieć bystre oko, żeby dojrzeć szew. Jednakże w dalszym ciągu należy do stanu Illinois i ludzie, którzy na niej mieszkają, muszą przepływać na drugą stronę, budować drogi w Illinois i płacić podatki; szczególnie stosunki!

Niedaleko ujścia rzeki brakowało kilku wysepek — zostały rozmyte. Ale Cairo jeszcze się tam znajdowało. Było łatwo widoczne poprzez długi płaski cypel i stało na dalszej jego krawędzi. Żeby się jednak do niego dostać, musieliśmy opłynąć dokoła całego kawała. Gdy wypłynęliśmy z „górnego rzeki” i spotkaliśmy nurty Ohio, noc już zapadała. Pędziliśmy naprzód bez trwogi, ponieważ ukryta skała, która dawniej leżała na samej drodze, przesunęła się w górę rzeki, duży kawał od głównego koryta — a raczej prawie cały cypel Missouri wszedł do rzeki, a cypel Cairo odpowiednio urósł rozszerzając długi język lądu. Missisipi jest rzeką sprawiedliwą i rzetelną, nigdy nie zagarnia w swe nurty farmy jednego człowieka, żeby nie wybudować nowej, zupełnie takiej samej farmy jego sąsiadowi. To tłumy wrogie uczucia. W drodze do Cairo o mało nie zakatrupiliśmy parowca, który nie zwracał uwagi na nasz gwizdek, a potem próbował przeciąć nam kurs przed dziobem. Daliśmy „cała wstecz” i uratowaliśmy go, co było zresztą wielką stratą, bo na ten temat mogłaby powstać dobra literatura.

Cairo jest wesołe, solidnie zbudowane i ma wygląd wielkiego miasta, co stanowi rażąco kontrast z jego dawną postacią z portretu pana Dickensa. A przecież, gdy je widziałem po raz ostatni, to znaczy kiedy pułkownik (obecnie generał) Grant po raz pierwszy wziął je pod swoją komendę, już budowano domy z cegły. Wuj Mumfrod powiada, że biblioteki i szkółki niedzielne zrobiły w Cairo dobrą robotę — tak samo jak i murarze. Cairo stanowi ośrodek handlu kolejowego i rzeczno-rzeczno, a jego położenie przy zbiegu dwóch wielkich rzek jest tak korzystne, że chcąc nie chcąc musi się rozwijać.

Gdy rano wyszedłem na pokład, mijaliśmy Columbus w stanie Kentucky i zbliżaliśmy się do Hickman, ładnego miasta położonego wysoko na pięknym wzgórzu. Hickman jest bogatym centrum tytoniowym, dawniej kwitł tu handel przynoszący ogromne dochody. Magazynowano tu tytoń z różnych stron kraju i rozsyłano statkami. Wuj Mumford powiada jednak, że dla jeszcze większego ułatwienia, miasto zbudowało kolej żelazną. Uważa jednak, że owo ułatwienie poszło w złym kierunku: „zagarnąwszy cały ruch kupiecki wzdłuż linii, a nie skupiwszy go u swoich bram”, wyrwało miastu z rąk sam trzon handlu.

## Rozdział XXVI W OGNIU

Zaczynano mówić o wojnie, bo zbliżaliśmy się właśnie do górnego krańca dawniejszego pola bitew. Columbus był tuż za nami, a więc dużo rozprawiano o sławnej bitwie pod Belmont. Kilku spośród oficerów na statku było w czynnej służbie w wojennej flocie na Missisipi. Zrozumiałem z ich opowiadań, że z początku byli przygnębieni swoim nowym zajęciem, lecz



potem przyzwyczajali się, pogodzili i mniej lub więcej otrzaskali. Jeden z naszych pilotów po raz pierwszy zetknął się z wojną podczas bitwy pod Belmont, jako pilot na okręcie w służbie Konfederatów. Nieraz byłem ciekaw, jak też się czuje nowicjusz podczas pierwszej bitwy, zawieszony sam jeden wysoko w sterówce, jak tarcza strzelecka dla Tomów, Dicków i Harry'ch, a obok nie ma nikogo, kto by go zawstydził, gdyby w gorącej i niebezpiecznej chwili obleciał go strach. Opowiadanie jego było więc dla mnie cenne, wypełniało lukę, której dotychczas wszystkie dzieła historyków nie potrafiły wypełnić.

Oto, co usłyszałem:

„Było to siódmego listopada. Bitwa zaczęła się o siódmej rano. Ja byłem na „R. H. W. Hill”. Zabraliśmy transport żołnierzy z Columbus. Wróciliśmy i zabraliśmy baterię artylerii. Mój towarzysz powiedział, że pójdzie przyjrzeć się bitwie, chciał, żebym z nim poszedł. Powiedziałem, nie — nie miałem ochoty — będę patrzył ze sterówki. Powiedział, że jestem tchórzem, i poszedł.

Bitwa przedstawiała straszny widok. Generał Cheatham kazał swoim ludziom zdjąć kurtki, rzucić je na kupę i krzyknął: »Za mną! Do piekła albo do zwycięstwa!« Słyszałem jego słowa ze sterówki, potem popędził naprzód na czele żołnierzy. Stary, siwowłosy generał Pillow dosiadł białego konia i też ruszył naprzód, prowadząc wojsko energicznie jak młody chłopak. Wkrótce wojska federalne przegnały buntowników — i oto nadbiegają! Pędzą, każdy myśli o sobie, a resztę niech diabli porwą! Zeskakują w dół, wydrapują się pod sam brzeg i chowają się pod nim. Siedziałem z nogami zwisającymi z okna sterówki. Nagle posłyszałem gwizd koło ucha. Pomyślałem, że to kula. Nie przestawałem w ogóle myśleć o różnych rzeczach, tylko odchyliwszy się, zeskoczyłem na podłogę. Kule przelatywały we wszystkie strony. Trzy kule armatnie przeszły przez komin, jedna oberwała róg sterówki, pociski warczały i pękały dookoła. Zrobiło się porządnie gorąco. Żałowałem, że się tu znalazłem. Leżałem na podłodze sterówki, a strzały rozlegały się coraz częściej. Wczołgałem się za wielki piec w środku sterówki. Nagle stożkowa kulka przeszła piec i musnęła mi głowę dziurawiąc kapelusz. Zdecydowałem, że już czas się stąd wynosić. Kapitan i rudy przystojny major z Memphis byli na dachu sterówki. Słyszałem, jak mówił, że chce stąd odpłynąć, ale »pilot został zabity«. Przyczołgałem się na prawą burzę, żeby dać dzwonkiem sygnał »Wstecz!« Uniosłem się, obejrzałem i zobaczyłem w szybach okiennych około piętnastu dziur od kul — przeleciały tak szybko, że ich nie zauważyłem. Spojrzałem na wodę: kule pryskały jak grad podczas burzy. Pomyślałem, że najlepiej będzie się stąd wydostać. Spuściłem się więc ze sterówki po linie, głową w dół — nie nogami, a zanim uderzyłem o pokład, kapitan powiedział, że musimy stąd uciekać. A więc wciągnąłem się po linie z powrotem i znów znalazłem się na podłodze. Przez ten czas chwycili mojego towarzysza i prowadzili go na górę, między dwoma żołnierzami. Ktoś powiedział, że zostałem zabity. Wsunął do środka głowę i zobaczył mnie na podłodze, jak starałem się dosięgnąć do dzwonka. Krzyknął: »Ależ do diabła! On nie jest zabity«, wyrwał się ludziom, którzy trzymali go za kołnierz, i zbiegł na dół. Byliśmy tam aż do trzeciej godziny po południu, a potem wydostaliśmy się szczęśliwie.

Kiedy następnym razem spotkałem mego towarzysza, zapytałem: »Słuchaj, powiedz mi prawdę, powiedz uczciwą prawdę, gdzieżeś ty poszedł przyglądać się bitwie?« A on mi na to: »Zszedłem do ładowni«.

Przez całą tę bitwę byłem śmiertelnie przerażony. Nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje, tak bardzo się bałem. Ale mówię panu, nikt o tym nie wiedział, tylko ja. Następnego dnia generał Polk posłał po mnie i pochwalił mnie za męstwo i dzielność. Nigdy nic o tym nie mówiłem, zostawiłem to własnemu losowi. Wiedziałem, że to nieprawda, ale nie moją rzeczą było sprzeciwiać się naczelnemu dowódcy.

Niedługo potem zachorowałem — byłem wycieńczony i musiałem pojechać do Hot Springs. Podczas mojego tam pobytu otrzymałem wiele listów od różnych dowódców wzywających

mnie z powrotem. Odmówiłem, bo nie czułem się na siłach, ale siedziałem cicho i zachowałem do dziś nabytą wtedy opinię”.

Zwyczajna historia, szczerze opowiedziana, lecz Mumford mówił mi, że ów pilot „miejscami wypiękniał ten swój strach” i że dowodem tego była jego dalsza kariera wojenna.

Przelecieliśmy przez próg koło wyspy 8, a ja zszedłem na dół i wdałem się w rozmowę z jednym z pasażerów, przystojnym mężczyzną o przyjemnym obejściu i inteligentnej twarzy. Zbliżaliśmy się właśnie do wyspy 10, tak sławnego miejsca w czasie Wojny. Dom tego dżentelmena znajdował się w pobliżu, na brzegu. Rozmawialiśmy o czasach wojennych. Ale szybko rozmowa przeszła na „zatargi rodzinne”, ponieważ w żadnej części Południa tak obficie nie kwitnie vendetta ani nie utrzymuje się dłużej pomiędzy poważnionymi rodzinami, jak właśnie w tej okolicy. Ów dżentelmen opowiadał:

„W dawnych czasach niejeden trwał tu zatarg, ale według mnie najgorszy zatarg był między Darnellami i Watsonami. Nikt już teraz nie wie, o co właściwie poszło — było to tak dawno temu! Darnellowie i Watsonowie też nie wiedzą, jeśli jeszcze ktokolwiek z nich żyje. Niektórzy mówią, że poszło o konia czy też krowę, w każdym razie była to drobna sprawa, jeśli idzie o pieniądze — nie miały tu one żadnego znaczenia, obie rodziny były bogate. Cała sprawa mogła być łatwo załatwiona, ale nie dało się. Padły ostre słowa — a potem już nic, tylko krew mogła wszystko załatwić. Ten koń czy krowa, wszystko jedno co to było, stały się przyczyną zabójstw i okaleczeń przez lat sześćdziesiąt. Co roku po jednej czy drugiej stronie ktoś padał od kuli, a jak tylko dorosło nowe pokolenie, synowie przejmowali zatarg i prowadzili go dalej. I właśnie, tak jak mówię, co drugi rok strzelali jeden do drugiego, czyniąc z tego — widzi pan — pewien rodzaj obrzędu religijnego, aż wreszcie zupełnie zapomnieli, o co to właściwie poszło. Gdziekolwiek któryś z Darnellów złapał któregoś z Watsonów albo też któryś z Watsonów złapał któregoś z Darnellów, jeden z nich musiał wyjść ranny — chodziło tylko o to, który będzie górą. Strzelali jeden do drugiego bez pardonu, w obecności rodziny. Nie polowali na siebie, ale jak się spotkali, wyciągali broń i zaczęli strzelać. Mężczyźni strzelali do chłopców, chłopcy do mężczyzn. Pewien mężczyzna zastrzelił dwunastoletniego chłopca. Zdarzyło się, że spotkał go w lesie i nie dał mu możliwości obrony. Gdyby mu ją dał, chłopiec zastrzeliłby jego. Obie rodziny należały do tego samego kościoła (wszyscy w tej okolicy są pobożni). Przez całe te pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat kłótni oba rody były co niedziela na nabożeństwie. Mieszkali po przeciwnych stronach granicy, a kościół znajdował się w miejscu zwanym »Ugoda«. Połowa kościoła i połowa nawy były w stanie Kentucky, a druga połowa w stanie Tennessee. W niedzielę widziało się, jak obie rodziny zajeżdżały przed kościół, wszyscy w odświętnych ubraniach, kobiety, mężczyźni i dzieci zapełniali nawy, siadali spokojnie i we właściwym porządku, jedni po stronie Tennessee, a drudzy po stronie Kentucky. Mężczyźni i chłopcy opierali fuzje o ściany — niech będą pod ręką — a potem wszystkie ręce składały się do modlitwy i pacierzy, choć powiadają, że jeden z mężczyzn w nawie nie klękał z resztą rodziny: stał jakby na warcie. Nie wiem, nigdy w życiu nie byłem w kościele, ale pamiętam, że tak mówiono.

Dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat temu jeden z mężczyzn z poważnionych rodzin złapał dziewiętnastoletniego młodzieńca i zabił go. Nie pamiętam, czy to chodziło o Darnellów i Watsonów, czy o inną z poważnionych rodzin, ale w każdym razie ten młody człowiek jechał konno do stojącego przy brzegu parowca i niespodzianie natknął się na bandę wrogów. Zeskoczył z konia za stosem drzewa, ale oni objechali naokoło, no i jak zaczęli... On się ostrzeliwuje, a oni galopują, rzucają się, wyją, walą co sił. Niech pan pomyśli — ranił kilku z nich, ale oni go otoczyli i zagnali do rzeki, a jak popłynął z prądem, biegli brzegiem i ciągle do niego strzelali, aż do brzegu dopłynął już trup. Mówił mi o tym Windy Marshall. Widział to. Był kapitanem statku.

Po wielu latach Darnellowie tak się przerzedzili, że stary Darnell i jego dwaj synowie zdecydowali się opuścić kraj. Mieli wsiąść na statek właśnie niedaleko wyspy 10, ale Watsonowie to przewąchali i znaleźli się tam akurat w chwili, gdy dwaj młodzi Darnellowie przechodzili przez pomost z żonami pod rękę. Zaczęła się walka i dalej już nie uszli — obaj polegli. Potem stary Darnell miał zatarg z przewoźnikiem, ale przewoźnik źle na tym wyszedł i został zabity. Jego przyjaciele jednakże przestrelili starego Darnella, podziurawili go na wylot, nadziali kulami i skończyli z nim.”

Dżentelmen ze wsi, który mi to opowiadał, był wychowany w dostatku i wygodzie, należał do dobrego towarzystwa i miał wyższe wykształcenie. Jego chaotyczna gramatyka nie wynikała z nieświadomości, ale z niechlujstwa. Nawyk ten wśród wykształconych ludzi na Zachodzie nie jest wprawdzie powszechny, ale często spotykany — zwłaszcza w miastach, nawet w dużych miastach, i to do tego stopnia, że nie można tego nie zauważyć i nie dziwić się. Słyszałem, jak człowiek z Zachodu, który mógł w każdym kraju uchodzić za wielce wykształconego, mówił:

„Mniejsza o to, to nie robi żadna różnica”. Obecna przy tym była mieszkanka tych okolic, lecz nie zrobiło to na niej wrażenia. Przypomniała sobie ten fakt później, gdy jej o tym wspomniano, lecz wyznała, że słowa te nie drażniły wówczas jej uszu. Jeżeli więc wykształceni ludzie mogą słuchać takich herezji gramatycznych i nie robi to na nich żadnego wrażenia, dowodzi to, że zbrodnia jest powszechna, tak powszechna, że ucho ogółu już stępieło, zatraciło wszelką wrażliwość na tego rodzaju zgrzyty.

Nikt na całym świecie nie mówi według nieskazitelnej gramatyki, nikt nigdy tak nie pisał, ani na tym świecie, ani w zaświatach (biorąc jako dowód Pismo święte). Wobec tego nie byłoby sprawiedliwe wymagać doskonałości gramatycznej od ludów zamieszkujących Dolinę — ale tak od nich, jak i od wszystkich innych ludów można słusznie żądać, by powstrzymały się od świadomej i celowej rozpusty gramatycznej.

Przy wyspie 10 znalazłem duże zmiany na rzece. Wyspa, którą pamiętałem, miała jakieś trzy mile długości i ćwierć mili szerokości była mocno zadrzewiona i leżała blisko brzegu Kentucky, w odległości, powiedziałbym, dwustu sążni. Teraz trzeba na nią polować lornetą. Nie zostało z niej prawie nic, oprócz niepozornej, małej kępy i to nie w pobliżu Kentucky, ale właśnie koło przeciwnego, odległego o milę brzegu. Podczas wojny wyspa stanowiła ważny punkt, ponieważ górowała nad okolicą, a że do tego była silnie ufortyfikowana, nie można było koło niej przemknąć. Leżała pomiędzy stacjonującymi w górze i w dole rzeki oddziałami Stanów Zjednoczonych i stale je rozdzielała, aż wreszcie uzyskano połączenie przez wąską szyję łądu od strony Missouri. A ponieważ obecnie wyspa połączyła się z tą szyją, na szerokiej rzece nie ma już żadnych przeszkód.

W tej okolicy rzeka przechodzi ze stanu Kentucky do Tennessee, z powrotem do Missouri, a potem znów do Kentucky, skąd znowu przechodzi do Tennessee. A więc część łądu Missouri, mila albo dwie, wbija się w stan Tennessee.

Miasto Nowy Madryt wyglądało bardzo mizernie, ale poza tym nic się nie zmieniło. Szeregi drewnianych domów, wciąż jeszcze skupiały się na tej samej równinie, otoczone tymi samymi lasami. Miasto było tak ciche jak dawniej i widać ani się nie rozrosło, ani nie skurczyło. Mówiono, że ostatnio, podczas przyboru wód, woda wdarła się do miasta i bardzo je zniszczyła. Była to dziwna wiadomość, gdyż podczas niskiej wody brzeg rzeki jest tam bardzo wysoki (pięćdziesiąt stóp) i za moich czasów zawsze uważano, że wylew jest niemożliwy. Powódź z roku 1882 będzie więc niewątpliwie sławna przez kilka pokoleń, nim nadejdzie drugi potop. Woda zalała całą, niczym nie zabezpieczoną nizinę od Cairo aż do ujścia. W wielu miejscach po obu stronach rzeki przerwała groble, a w niektórych południowych okręgach podczas największego nasilenia powodzi Missisipi miała siedemdziesiąt mil szerokości! Zginęło niemało ludzi, zniszczenie było straszne. Zasiewy przepadły, domy zabrała woda, a bezdomni ludzie i bydło starali się znaleźć schronienie na

rozrzuconych po polu i lesie wzniesieniach. Tam czekali w niebezpieczeństwie i udřece, aż statki wysłane przez miejscowe i rządowe władze będą mogły do nich dotrzeć i przynieść ratunek. Całe ich mienie było pod wodą przez wiele miesięcy, a biedni ludzie pomarliiby z głodu, gdyby pomoc nie przybyła tak szybko. Woda już dawno opadła, a jednak ciągle jeszcze napotykaliliśmy zalane brzegi.

## Rozdział XXVII NIEKTÓRE TOWARY IMPORTOWANE

W Nowym Mardycie spotkaliśmy dwa parowce. Dwa parowce naraz! Nieczęsty to widok na pustej obecnie Missisipi. Samotność tego wspaniałego, olbrzymiego obszaru wód jest przejmująca i przygnębiająca. Mila za milą i znowu mila za milą płynie ciemny, czekoladowy nurt, pomiędzy zwartymi ścianami lasów i prawie bezludnymi brzegami. Rzadko tylko żagiel lub jakikolwiek poruszający się przedmiot maści powierzchnię i monotonię pustej wodnej głuszy. I tak przechodzi dzień, nadchodzi noc i znowu dzień — i znowu to samo, noc za nocą, dzień za dniem — majestatyczna, niezmienna jednostajność spokoju, odpoczynku, ciszy, letargu, pustki, symbol wieczności, niebo, o którym mówią księża i prorocy, a za którym tęsknią dobrzy i bezmyślni!

Natychmiast po wojnie roku 1812 zaczęli do Ameryki napływać turyści z Anglii. Z początku pojedyncze osoby, a potem cała procesja — procesja, która nie przerywała swego mozolnego, cierpliwego marszu przez kraj w ciągu wielu, wielu lat. Każdy turysta robił notatki, wracał do kraju i wydawał książkę — książkę, która zwykle była spokojna, prawdomówna, rozsądna, życzliwa, lecz która wydawała się przeciwieństwem tego, czym byli nasi niedoświadczeni, pionierscy przodkowie. Spojrzenie na owe książki turystów pokazuje nam, że jeśli chodzi o pewne widoki, Missisipi nie uległa żadnym zmianom, odkąd ci cudzoziemcy ją zwiedzali, do dziś pozostała taką, jaką była wówczas. Wzruszenia, jakie wywoływały jej widoki w cudzoziemcach, nie były oczywiście jednakowe. Musiały być różne — po pierwsze dlatego, że wcześniejsi turyści byli zmuszeni dać początek owym wzruszeniom, podczas gdy w starszych krajach można zawsze pożyczyć wzruszenie od poprzednika. A pamiętajcie — wzruszenie należy do najtrudniejszych rzeczy do sfabrykowania i łatwiej sfabrykować siedem faktów niż jedno wzruszenie. Kapitan Basil Hall, z Marynarki Królewskiej, pisząc pięćdziesiąt pięć lat temu, powiada:

*Oto po raz pierwszy spojrzałem na coś, co chciałem zobaczyć od tak dawna, i poczułem w tej chwili, że opłaca mi to w pełni wszelkie trudy, które podjąłem wybierając się w tak daleką podróż. Stałem patrząc na płynącą rzekę, póki nie zrobiło się tak ciemno, że nie można było nic rozróżnić. Ale dopiero kiedy kilkanaście razy odwiedziłem to samo miejsce, zrozumiałem w pełni wspaniałość tego widoku.*

Oto wzruszenia pani Trollope. Pisze je parę miesięcy później, w tym samym 1827 roku, zbliżając się do ujścia Missisipi:

Pierwszą oznaką naszego zbliżania się do lądu były muliste zwały wód tej potężnej rzeki topniejące w głębokim błękitcie Zatoki Meksykańskiej. Nigdy nie widziałam czegoś tak bezbrzeżnie ponurego jak ujście Missisipi. Gdyby Dante był je widział, może by stworzył obraz nowego kręgu piekła. Tylko jeden przedmiot wznosi się ponad wirującymi wodami: jest to maszt okrętu, który rozbił się kiedyś próbując przepłynąć ławicę. Stoi dotychczas, ponury świadek dawnej zagłady i złowróżbny prorok nowej, która ma nadejść.

Wzruszenia wielbego Charlesa Augustusa Murraya (nieдалеко St. Louis) w siedem lat później:

Dopiero kiedy wpłyniesz na potężny nurt i przebędziesz pięćdziesiąt lub sto mil, a oprócz naturalnego oka użyjesz oka wyobraźni, zaczniesz pojmować całą potęgę i majestat tego nurtu, ujrzysz, jak użyźnia nieogarnioną dolinę, niosąc w biegu trofea tysięcy zwycięstw nad strzaskanym lasem — tu zabierając olbrzymie masy ziemi razem z rosnącą na niej roślinnością, tam tworząc wyspy przeznaczone w jakimś późniejszym okresie na osiedla ludzkie. I kiedy pogrążony jesteś w rozmyślaniach nad tym, czas się zastanowić i uświadomić sobie, że ten prąd przed tobą przepłynął już dwa albo trzy tysiące mil i zanim osiągnie swego oceanicznego przeznaczenia, musi jeszcze przebyć tysiąc trzysta mil.

A teraz posłuchajcie wzruszeń kapitana Murraya z Królewskiej Marynarki, autora opowiadań moskich, piszącego w roku 1837, trzy lata po Murrayu:

Nigdy może w dziejach narodów nie było stulecia pełnego takich nieustannych i niepokromionych zbrodni, jakich dostarcza historia gwałtownej i splamionej krwią Missisipi. Sam nurt wodny wydaje się przystosowany do czynów, które popełniła. Nie jest to rzeka jak większość rzek, piękna dla oka i niosąca z sobą błogosławieństwo urodzaju — ani taka, na której spokojnej fali oko spoczywa z przyjemnością. Nie można też wędrować jej brzegami ani zaufać, bez narażania się na niebezpieczeństwo, jej prądowi. Jest to wściekły, gwałtowny, niszczycielski olbrzymi strumień, niosący aluwialną glebę, i niewielu z tych, którzy dostaną się w jego nurty, może się z nich wydostać albo utrzymać na powierzchni bez pomocy jakiejś zbawczej kłody. Ma najgorsze, najmniej jadalne ryby, takie na przykład jak suma, gdy popłyniesz w dół ujrzysz, że brzegi opanował cuchnący krokodyl, a na samej krawędzi, w gęstwinie trzcin, prawie niewidoczna dla człowieka wygrzewa się pantera. Pędząc wzburzone wody poprzez dzikie szlaki osłonięte drzewami o małej wartości, zdatnymi tylko na opał — zabiera ze sobą całe lasy, które, zniknąwszy w gwałtownym wirze, zostają z powrotem wyrzucone prądem niosącym masy ziemi, która przedtem żywiła ich korzenie, i skupiając się blokują i zmieniają na jakiś czas koryto rzeki, zaś ona, jakby rozgniewana oporem, zalewa i niszczy całą okolicę. A jak tylko wywalczy sobie drogę do dawnego koryta, roznosi we wszystkich kierunkach władców leśnych wyrwanych z korzeniami (na gałęziach, których już nigdy nie będzie wspinać się szop, opos czy wiewiórka) tworząc zasadzki na odważnych nawigatorów, którzy prują jej wody na parowcach. Zniesieni prądem na owe ukryte niebezpieczne drzewa dziurawiące im statki nie mają często czasu przełożyć steru, aby je wyminąć, i idą na dno. Nie ma przyjemnych skojarzeń związanych z tym wielkim, wspólnym ryszotkiem Zachodniej. Ameryki, który wlewa swe błoto w Zatokę Meksykańską zanieczyszczając czyste błękitne morze na wiele mil poza ujściem. Jest to rzeka spustoszenia i zamiast — jak inne piękne rzeki — przypominać anioła, który zstąpił jako błogosławieństwo człowieka, wyobrażasz ją sobie jako szatana, którego zapędy zdołała pokonać jedynie cudowna siła pary.

Dla człowieka pióra jest to dość surowa literatura, jednakże jako panorama wzruszeń, w których nurzała się pierś znakomitego gościa, ma swoją wartość. Wartość obniżoną przez niedokładności statystyczne — ponieważ suma jest zupełnie dobrą rybą, a niewidocznych dla człowieka panter — nie ma.

Następnie jest jeszcze Aleksander Mackay z Middle Temple, adwokat, obdarzony lepszymi organami trawienia, który będąc na statku nie jadł na obiad suma. Oto jego uczucia:

Missisipi! Gdy po raz pierwszy znalazłem się na jej wodach, ogarnęło mnie nieopisane wzruszenie. Jakże często w uczniowskich snach, a potem w marzeniach na jawie widziałem oczyma wyobraźni obraz majestatycznej rzeki toczącej skłębione nurty przez nieogarnione

obszary, którym dała swe imię, i zbierającej w biegu do oceanu wody ze wszystkich prawie szerokości geograficznych umiarkowanej strefy! I oto jest w całości okazałości, a ja nareszcie płynę parowcem przeciw prądowi. Patrzyłem na nią z takim szacunkiem, z jakim każdy musi patrzeć na wielkie dzieło przyrody.

Tyle o wynurzeniach. Turyści zwracają uwagę na głęboką, pełną zadumy samotność i opuszczenie ogromnej rzeki. Kapitan Bazyli Hall, który widział rzekę podczas wylewu, mówi:

Czasem przebywaliśmy duże odległości dwudziestu lub trzydziestu mil nie widząc ani jednego domostwa. Artysta szukający motywów do namalowania potopu znalazłby je tu w obfitości.

Pierwsi będą ostatnimi etc. Dokładnie dwadzieścia lat temu stary, naprawdę pierwszy i najznakomitszy ze wszystkich obcych turystów, przodownik całej procesji, zakończył swą męczącą i nudną podróż odkrywczą nad wspaniałymi roztoczami wielkiej rzeki. Był to La Salle, którego imię będzie żyło tak długo, jak sama rzeka. Cytujemy z Parkmana:

A teraz zbliżali się do kresu wędrówki. Szóstego kwietnia rzeka rozdzieliła się na trzy szerokie koryta. La Salle popłynął zachodnim, D'Autray wschodnim, Tonty zaś ruszył środkowym. Kiedy wartki nurt niósł go pomiędzy niskimi i bagnistymi brzegami, słonawa woda zmieniła się w morską, a wiatr przyniósł świeży wiew od morza. Wtedy roztoczyły się przed jego oczyma szerokie ramiona Zatoki, po której biegały niespokojne fale — bezkresnej, cichej, samotnej Zatoki, jakby dopiero co urodzonej z chaosu, bez żagla, bez śladu życia.

Potem, na kawałku twardego lądu La Salle postawił słup „noszący godło Francji. Francuzi stanęli pod bronią i podczas gdy Indianie z Nowej Anglii i ich kobiety patrzyli w niemym zdumieniu, Francuzi zaintonowali Te Deum, Exaudiat i Domine, salvum fac regem”.

Następnie, gdy ozwała się salwa z muszkietów i wybuchnęły radosne okrzyki, zwycięski odkrywca osadził słup i głośno odczytał proklamację w imieniu króla, biorąc formalnie w posiadanie rzekę i rozległe obszary przez nią nawadniane.

Na słupie widniał napis:

LOUIS LE GRAND, ROY DE FRANCE ET DE NAVARRE, REGNE;  
LE NEUVIEME AVRIL 1812

Nowy Orlean chciał godnie uczcić obecny rok, dwuchsetną rocznicę tego sławnego wydarzenia — ale gdy nadszedł odpowiedni czas, cała jego energia i zbywające pieniądze okazały się potrzebne do innych celów, ponieważ w kraju były wszędzie zniszczenia i klęski powodzi.

## Rozdział XXVIII

### WUJ MUMFORD SIĘ ZWIERZA

Przez cały dzień płynęliśmy swobodnie w dół rzeki, mając ją prawie zupełnie do własnego rozporządzenia. Dawniej przy takiej wodzie musielibyśmy przedzierać się przez akry tratwy i tuziny barek węglowych, mijalibyśmy handlowe szkuty krążące od farmy do farmy z rodziną domokrażcy na pokładzie, a może czasem i sztukę wiozącą jakiegoś skromnego Hamleta z kompanią na dramatyczną wędrówkę. Ale obecnie nie było nikogo. Wiele godzin minęło, nim ujrzeliśmy jeden parowiec — tylko jeden. Odpoczywał w cieniu przy zalesionym ujściu rzeki Ohio. Lornetka odkryła fakt, że nazwano go moim imieniem. Ponieważ po raz pierwszy spotkał mnie tego rodzaju zaszczyt, można mi chyba wybaczyć, iż o tym wspominam, a zarazem zwracam uwagę władz na fakt, iż dowiaduję się o tym tak późno.

Przy wyspie 21 zauważyłem wielką zmianę na rzece. Bardzo wielka wyspa, która leżała dawniej prawie na środku rzeki, teraz jest mocno spojona z lądem i jako wyspa przestała istnieć.

Gdy zbliżyliśmy się do sławnego i groźnego Śliwkowego Cypla, zapadła ciemność, ale w tych nowych czasach nie było to nic straszego. Teraz bowiem rząd federalny zmienił Missisipi na ciągnące się przez dwa tysiące mil procesję z pochodniami. Przed każdym trudniejszym przejściem i za nim rząd umieścił jasno palącą się latarnię. Nigdy już nie jest się w zupełnej ciemności; zawsze widać jakąś latarnię, na przodzie, z tyłu lub w jednej linii. Można by powiedzieć, że jest tu nawet nadmiar latarni. Oświetlono mnóstwo przejść — które od czasu, jak zostały stworzone, nie miały mielizn — przejść tak łatwych i prostych, że parowiec, o ile raz je przepłynął, przepłynie je zawsze bez żadnej pomocy. Latarnie w takich miejscach nie są oczywiście bezużyteczne: daleko wygodniej i przyjemniej jest dla pilota kierować się na nie niż na jakąś czarną, bezkształtną masę, która się rusza, a zarazem parowiec zaoszczędza sporo pieniędzy, gdyż ze sterem ustawionym w osi statku może oczywiście zrobić więcej mil, niż kiedy jest on położony w poprzek rufy i działa hamująco.

Odebrało to jednak pilotowaniu dużo romantycznego uroku. Na przykład niebezpieczeństwo sterczących z wody drzew nie jest już teraz tym, czym było kiedyś. W tych trzeźwych czasach specjalne rządowe statki patrolują rzekę w dół i w górę i wyrrywają jej zęby; wyrwały już z korzeniami wszystkie stare skupiska drzew — i nie dają gromadzić się nowym. Dawniej, gdy w ciemną noc statek wymknął ci się z ręki i popędził w lasy, przeżywałeś ciężkie chwile. Tak samo, gdy na wąskich progach wymacywałeś drogę wśród zbitej ciemności. Teraz wszystko się zmieniło: zapalasz elektryczne światło, w mgnieniu oka zamieniasz noc w dzień i oto koniec niebezpieczeństw i obaw. Horace Bixby i George Ritchie nakreślili przejścia na mapie i oznaczyli kursy według kompasu. Wynaleźli latarnię jako uzupełnienie mapy i wszystko razem opatentowali. Z taką pomocą można teraz zapuszczać się nawet we mgle mając poczucie pewności i bezpieczeństwa, które dawniej było nieznanne.

Z tymi licznymi latarniami, z wytrzebieniem zatopionych drzew, z obfitością światła, które można zapalić, kiedy potrzeba, z mapą i kompasem do walki z mgłą — prowadzenie statku przy dobrym stanie wody jest obecnie prawie tak bezpieczne i proste jak jazda dyliżansem pocztowym, ale niewiele więcej romantyczne.

Teraz także, w tych nowych czasach nie kończących się zmian, Linia Kotwiczna przez podwyższenie pensji wyniosła kapitana ponad pilota. Była to daleko idąca zmiana, lecz na niej nie poprzestano, wydano rozporządzenie, że pilot ma pozostawać na służbie i odbywać wachtę przez cały czas niezależnie od tego, czy statek jest w ruchu, czy też jest zacumowany do brzegu. My, którzy kiedyś byliśmy arystokracją rzeki, nie możemy jak dawniej położyć się i spać, podczas gdy na statek ładują setki ton towaru; nie — musimy siedzieć w sterówce i czuwać. Zaiste, traktują nas jak zgraję oficerów pokładowych i mechaników. Rząd odebrał naszemu powołaniu romantyczny urok. Towarzystwo odebrało stanowisko i godność.

Śliwkowy Cypel wyglądał tak, jak zawsze wygląda nocą, z tą tylko różnicą, że teraz znaki nawigacyjne wyznaczały przejścia i że wzdłuż brzegu było mnóstwo innych świateł. Te ostatnie błyskały z flotylii Towarzystwa Rzecznego Stanów Zjednoczonych i z wioski, którą na biura i mieszkania wybudowały na lądzie władze. Wojskowi inżynierowie Towarzystwa wzięli na swoje barki zadanie wskrzeszenia Missisipi — zadanie, którego ogrom przewyższa jedynie samo jej stworzenie. Budują tu i tam boczne tamy, ażeby odchylić prąd wody, i groble, by w węższych zakrętach ją zamknąć, oraz inne groble, by ją tam zatrzymać. Na przestrzeni niezliczonych mil wzdłuż Missisipi zwalają drzewa na pięćdziesiąt jardów w głąb łądu, aby ściąć brzegi ukośnie niby dach domu i obłożyć je kamieniami, w wielu miejscach rozsypujące się brzegi zabezpieczają całymi rzędami pali. Jednakże każdy, kto zna Missisipi, natychmiast zaręczy, nie mówiąc zresztą głośno, że dziesięć tysięcy Towarzystw Rzecznych z wszelkimi, jakie są na świecie środkami nie potrafi oswoić tej nieujarzmionej rzeki, nie może

poskromić jej ani uwięzić, nie może powiedzieć jej „Idź tu!” albo „Idź tam!” i zmusić jej do posłuszeństwa; nie może ocalić brzegu, który ona skazała na zagładę; nie może zagrozić jej drogi przeszkoda, której ona nie zerwie, nie przeskoczy albo nie wyśmieje. Ale dyskretny człowiek nie będzie o tym mówił, bo inżynierowie z West Point nie mają nad sobą żadnych zwierzchników, wiedzą wszystko, co tylko można wiedzieć o swej zawilej nauce, a więc jeżeli uważają, że mogą spętać rzekę, skuć ją w kajdany, opanować — ze strony nieuczonego najroztropniej będzie siedzieć cicho, przywarować i czekać, aż to zrobią. A przecież kapitan Eads ze swymi groblami u ujścia Missisipi wykonał pracę, która wydawała się zupełnie nieprawdopodobna; a więc teraz nie czujemy się już tak pewni, aby źle wróżyć podobnym nieprawdopodobieństwom. Inaczej można by sobie na to gwizdać i mówić, że Towarzystwo mogłoby również dobrze straszyć komety biegnące po swych szlakach i nakazać im posłuszeństwo, jak zmusić Missisipi do grzeszności i potulności.

Co do tych i podobnych spraw zasięgałem opinii wuja Mumforda i podaję tu wyniki zapisane stylem stenograficznym, a więc zasługującym na wiarę jako całkowite i ściśle — poza tym, że tu i tam opuściłem uwagi skierowane do ludzi na statku, w rodzaju: „Gdzie, do jasnej cholery, leziesz tam z tą beczką?”, które zdawały się przerywać bieg zapisywanego oświadczenia nie dając w zamian nowych informacji czy też większej przejrzystości. Nie znaczy to, żebym się odważył wyrzucić wszystkie takie wykrzykniki — usunąłem tylko te, które były wyraźnie niestosowne. Jeżeli trafił się jakiś, co do którego miałem wątpliwości, uważałem, że będzie najbezpieczniej go zostawić.

#### WRAŻENIA WUJA MUMFORDA

Wuj Mumford mówił:

— Przez cały czas, jak byłem oficerem na parowcu, to jest przez trzydzieści lat, przyglądałem się rzece i studiowałem ją. Może mógłbym nauczyć się o niej więcej w West Point, a jeśli tak myślę, to znaczy chciałbym, żeby tak było. „Czego tak ssiesz te paluchy? Jazda stąd z tymi pazurami!” Cztery lata w West Point, mnóstwo książek i ślęczenia nauczą człowieka dużo, myślę, ale nie nauczą go rzeki. Niech no pan weźmie jedną z tych małych europejskich rzek i da ją Towarzystwu — rzekę z twardym dnem i czystą wodą, a niedzielną rozrywką będzie dla nich obwałować ją, spiętrzyć, otoczyć groblami, obłaskawić, opanować, zrobić z niej to, co chcą, kazać jej być tam, gdzie chcą, i zawsze robić to, czego od niej wymagają. Ale to nie taka rzeka. Zabrali się do tego z wielką pewnością siebie i najlepszymi na świecie intencjami, ale się zawiodą. Co to powiada Eklezjasta w rozdziale VII, wiersz 13? To, co powiada, wystarczy, żeby ich oblać zimną wodą, prawda? A teraz niech pan przyjrzy się ich metodom. Tam, pod Diabelską Wyspą w górnym biegu rzeki chcieli, żeby woda szła w jedną stronę, a woda chciała iść w drugą. Więc postawili kamienny mur. Ale co sobie rzeka robi z kamiennego muru? Gdy był gotów, po prostu przerwała go. Możliwe, że mogą zbudować drugi, który się oprze wodzie — to znaczy w górnym biegu rzeki wbijają jakieś tam pale, żeby odsunąć wodę od brzegu i nie dać jej go obrywać. Ano dobrze — i cóż ona robi? Czyż od razu ich nie zalewa, nie obrywa brzegu komuś innemu? Ma się rozumieć. Czy mają zamiar przybić palami wszystkie brzegi? Taniej by im wypadło kupić ziemi i zrobić sobie nową Missisipi. Wbijają teraz pale w Bulletin Tow-head. Na nic się to nie przyda, pale czy nie pale, jeżeli rzeka ma na tej wyspie swój zastaw i uzna go za przepaść. Tam znowu, w dole rzeki, wbili dwa rzędy pali przez sam środek suchej ławicy długości pół mili, która przy niskiej wodzie sterczy na czterdzieści stóp. Jak pan myśli, po co to jest? Jeśli ja wiem, niech... „Rusze się, ty skurwysynu! Bierzesz tę naftę czy nie? Żywo!” A niech pan tylko spojrzy, co próbują zrobić przy Milliken’s Bend. Zrobił się tam skrót i Vicksburg został się na lodzie. Teraz to prowincjonalna miejscina. Rzeka ją odcięła i żaden statek tam nie dojedzie, chyba przy wysokiej wodzie. A oni chcą wybudować na zakręcie, naprzeciw brzegu wyspy 103,



boczne tamy i przerzucić przez nie wodę do starego koryta, którym rzeka płynęła w zamierzchłych czasach, i myślą, że w ten sposób przekonają wodę i ona pójdzie jak dawniej wyżej Vicksburga i z powrotem odda to miasto światu. To znaczy, że chcą wziąć całą Missisipi i zapleść ją w kółko, i kazać jej przez kilka mil płynąć przeciw prądowi. Ano, trzeba podziwiać ludzi, którzy mają pomysły o tak wielkich rozmiarach i obnoszą się z nimi nie skręciwszy karku — ale nie można uwierzyć, żeby mogli te cuda wykonać, prawda? Ale przecież nie można z całą pewnością powiedzieć, że nie mogą. Uważam, że najprzezorniej byłoby, jeśli kogo na to stać, założyć się, że rzecz się nie uda — a równocześnie kupić tyle gruntu w Vicksburgu, aby się zabezpieczyć na wypadek, gdyby wygrali. Państwo robi teraz bardzo dużo dla Missisipi. Wydaje na nią masę pieniędzy. Kiedy było cztery tysiące parowców i dziesięć tysięcy akrów barek węglowych, tratw i szkut handlowych, od St. Paul do Nowego Orleanu nie było ani jednej latarni, a drzewa sterczały spod wody gęściej niż szczecina na grzbiecie świni — a teraz, kiedy jest kilkadziesiąt parowców, a barki czy tratwy trudno uświadczyc, państwo powyciągało wszystkie sterczące drzewa i oświetliło brzegi jak Broadway, a statek jest na rzece tak samo bezpieczny jak w porcie. I mogę się założyć, że nim ostatni statek zniknie z rzeki, Towarzystwo całą naszą staruszkę dokładnie zreorganizuje, wyczyści, ogrodzi, uporządkuje do takiego stopnia, że żegluga stanie się po prostu doskonałą, absolutnie pewna i wygodna — wszystkie dni będą niedzielami, a wszyscy marynarze uczniami szkoły niedzielnej i... „Co tam, u ciężkiego licha, wy skurwysyny, diable nasienie! Rok będziecie toczyli tę beczkę na brzeg czy co?”

Podczas naszej podróży do Nowego Orleanu i z powrotem rozmawialiśmy dużo z wodniakami, plantatorami, dziennikarzami i urzędnikami Towarzystwa Rzecznego. Rezultaty tych rozmów były sprzeczne i niejasne. Mianowicie:

1. Niektórzy uważali, że słuszne są plany Towarzystwa, aby gruntownie i trwale zwięzić (przez to pogłębić) koryto, zabezpieczyć zagrożone brzegi etc.
2. Niektórzy uważali, że fundusze Towarzystwa powinny być zużyte jedynie na wybudowanie i naprawę wielkiego systemu wałów regulacyjnych.
3. Niektórzy uważali, że im wyżej buduje się wał, tym bardziej podnosi się dno rzeki i że wobec tego system wałów jest nieporozumieniem.
4. Niektórzy uważali, że dobry jest projekt odciążania rzeki w czasie powodzi przez odprowadzenie nadmiernej ilości wód do jeziora Borgne etc.
5. Niektórzy uważali, że słuszny jest projekt wybudowania północnych zbiorników na jeziorach, aby podczas okresów niskiej wody podnosić poziom Missisipi.

Gdziekolwiek spotkasz człowieka, który wierzy w jedną z tych teorii, możesz zawsze zwrócić się do następnego i oprzeć całą rozmowę na hipotezie, że nie wierzy w tę teorię. A gdy już nabierzesz pod tym względem doświadczenia, nie będziesz już stosował swego procederu z powątpiewaniem lub wahaniem, lecz z pełną wiarą umierającego mordercy — mam na myśli — nawróconego. Z głęboką i niewzruszoną pewnością będziesz się musiał przekonać, że gdy nie spotkasz dwóch ludzi, jednego po drugim, chorych na tę samą teorię. Nie — zawsze pomiędzy nimi znajdzie się jeden lub dwóch z inną chorobą. A w miarę, jak będziesz postępował dalej, dowiesz się jeszcze niejednej rzeczy. Dowiesz się, że każda z tych chorób jest zaraźliwa i że nie możesz pójść tam, gdzie jest ta choroba, i nie zarazić się. Możesz się szczepić przeciwko niej odstrasżającymi faktami, ile ci się tylko podoba — na nic się to nie przyda, będzie się zdawało, że pomaga, ale nie pomoże. Z chwilą gdy się otrzesz o jednego z tych teoretyków, powiedz sobie, że nadszedł czas, aby wywiesić żółtą flagę.

Tak, nie ma wątpliwości, że stałeś się jego ofiarą. A jednak nie całe jego działanie obraca się na twoją zgubę — tylko jego część, gdyż podobny jest do domowego lekarza, który przychodzi i leczy świnkę, a zostawia po sobie szkarlatynę. Jeżeli twój rozmówca jest na przykład teoretykiem planu zbiornika na jeziorze Borgne, zionie na ciebie chmurą śmiertelnie

nudnych faktów i liczb statycznych, które na pewno przyprawiają cię o tę chorobę; lecz równocześnie wyleczy cię z każdej z innych pięciu teorii, które mogły już wcześniej dostać się do twego organizmu.

Miałem je wszystkie pięć — i to groźne — ale nie pytajcie mnie ponurym tonem, która dokuczyła mi najbardziej albo która miała najdłuższą listę chorych, bo nie wiem. Naprawdę, nikt nie potrafi odpowiedzieć na to ostatnie pytanie. Uregulowanie Missisipi jest tam najważniejszym tematem. Każdy mieszkaniec brzegów rzeki na południu od Cairo mówi o tym co dzień, w chwilach kiedy przestaje mówić o wojnie; i każda z kilku głównych teorii ma swój zastęp gorących zwolenników, ale — jak już powiedziałem — niemożliwe jest określić, która sprawa liczy najwięcej obrońców.

Wszyscy zgadzali się co do jednego punktu: jeżeli Kongres przyzna wystarczające środki, można osiągnąć olbrzymie korzyści. Doskonale, od tego czasu środki zostały przyznane, prawdopodobnie wystarczające, choć na pewno nie za duże. Miejmy nadzieję, że prorocstwo spełni się całkowicie.

Jedną rzecz czytelnik przyzna z łatwością, że zdanie pana Edwarda Atkinsona w każdej wielkiej, narodowej, handlowej sprawie jest prawie tak poważne, jak prawo, jak zresztą zdanie każdego osobnika w Stanach.

Czasem kilka liczb potrafi oświetlić jak błyskawica znaczenie jakiegoś tematu, który mimo dziesięciu tysięcy mozolnych słów wypowiedzianych w tym samym celu, pozostał niejasny i niepewny. Oto sprawa tego rodzaju, notatka z „Cincinnati Commercial”:

Holownik „Jos. B. Williams” jest w drodze do Nowego Orleanu z pociągiem holowniczym złożonym z trzydziestu dwóch barek zawierających sześćset tysięcy buszli (siedemdziesiąt sześć funtów na buszel) węgla poza własnym paliwem, co jest największym pociągiem holowniczym, jaki kiedykolwiek załadowano do Nowego Orleanu i gdziekolwiek na świecie. Opłata frachtowa 3 centy za buszel wynosi 18 000 dolarów. Ażeby przetransportować ten węgiel, potrzeba by było tysiąc osiemset wagonów, licząc trzysta trzydzieści trzy buszle na wagon. Płacąc po 10 dolarów za tonę albo 100 dolarów za wagon, co byłoby normalną ceną za tę odległość, cena transportu koleją wynosiłaby o 180 000 lub 162 000 dolarów więcej niż wodą. Holowanie od Pittsburga do Nowego Orleanu trwa czternaście lub piętnaście dni. Trzeba by stu pociągów o osiemnastu wagonach, ażeby przetransportować ten jeden ładunek pociągu holowniczego o sześciuset tysiącach buszli węgla, i nawet przy szybkości pociągów pośpiesznych transport koleją zająłby całe lato.

Jeżeli na rzece przy dobrym jej stanie można zaoszczędzić 162 000 dolarów i czas całego lata na jednym transporcie, roztropność podjęcia środków do utrzymania rzeki w dobrym stanie nawet dla niehandlowego umysłu staje się oczywista.

## Rozdział XXIX

### PARĘ SZCZEGÓLNYCH TYPÓW

Przepełniliśmy przez okolice Ślikowego Cypla, okrążyliśmy Cypel Craighead i przesunęliśmy się bezpiecznie koło groźnego kiedyś Fort Pillow, miejsca pamiętnej masakry podczas wojny. Historia chrześcijańskich narodów jest często upstrzona masakrami, ale w amerykańskiej historii można powiedzieć, że chyba ta jedna dorasta swoimi rozmiarami do tego wielkiego ponurego słowa. Mamy „masakrę bostońską”, gdzie zabitych zostało dwóch czy trzech ludzi; ale musimy dopiero docześcić historię anglosaską, by znaleźć tragedię równą tragedii pod Fort Pillow — i nawet wtedy, by cel nasz osiągnąć, będziemy musieli niewątpliwie zawędrować aż do czasów i wyczynów Ryszarda Lwie Serce, owego pięknego „bohatera”.

Jeszcze o kapryсах rzeki. W dawnych czasach koryto szło powyżej wyspy 37, koło Brandywine Bar, a dalej w dół, w kierunku wyspy 39. Potem zmieniło bieg i wiodło od

Brandywine w dół przez progi Vogelmana na Diabelskim Łokciu do wyspy 39 przy czym część szła dawną drogą, a rzeka przez cztery czy pięć mil płynęła w górę zamiast w dół, robiąc przez to skrót około piętnastomilowy. Był to rok 1876. Cała ta okolica nazywa się teraz Stuletnią Wyspą.

Istnieje tradycja, że wyspa 37 była jedną z kryjówek sławnej kiedyś „bandy Murela”. Było to ogromne zbiorowisko rozbójników, koniakradów, porywaczy Murzynów, fałszerzy operujących wzdłuż rzeki jakieś sześćdziesiąt lat temu. W czasie naszej podróży przez okolice St. Louis nie było końca opowiadaniom o Jesse Jamesie i jego niebywałej historii, bo właśnie został ujęty przez agenta gubernatora Missouri i w związku z tym dużo się o nim pisało w prasie. Tanie opowiadania o nim sprzedawali chłopcy po pociągach. Według tych opowiadań był on najbardziej zdumiewającym ciemnym typem, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Ale tu popełniono omyłkę. Murel był mu równy odwagą — równy w śmiałości, drapieżności, okrucieństwie, brutalności, bezwzględności, podstępnie i w ogóle we wszelkiej podłości i bezwstydzie, a pod wielu względami znacznie go przewyższał James był łotrzykiem na drobnej skale, Murel na wielką. Skromny talent Jamesa nie marzył o wznioślejszych przedsięwzięciach jak planowanie napadów na pociągi, dyliżanse i prowincjonalne banki — Murel planował powstanie Murzynów i opanowanie Nowego Orleanu, a poza tym, gdy się trafiła okazja, ten sam Murel mógł stanąć na kazalnicy i być zbudowaniem wiernych. Czymże jest James i jego pół tuzina pospolitych łotrzyków w porównaniu ze wspaniałym, dawnym rozbójnikiem i jego kazaniami, planowanymi powstaniem i opanowaniem miast oraz majestatycznym orszakiem tysiąca ludzi zaprzysiężonych i oddanych jego złej mocy!

Oto parę wyjątków dotyczących tego wielkiego działacza z zapomnianej dziś książki, którą wydano pół wieku temu:

Wydaje się, że był to najzręczniejszy i najwytrwalszy łotr. Gdy podróżował, używał zwykle przebrania wędrownego kaznodziei i mówią, że jego kazania były do głębi „wzruszające”, a tak zaciekawiały słuchaczy, że zapominali o koniach, które, gdy Murel mówił, uprowadzali jego współnicy. Ale kradzież koni w jednym stanie, a sprzedaż ich w drugim, to tylko znikoma część ich działalności. Najkorzystniejsze było namawianie niewolników do uciekania od panów, aby ich potem sprzedać w innej okolicy. Organizowano to w sposób następujący: wmawiali Murzynowi, że jeżeli ucieknie od swego pana i pozwoli sobie sprzedać, otrzyma część pieniędzy, które za niego dostaną, a jeżeli po raz drugi do nich powróci, pošlą go do wolnego stanu, gdzie już będzie bezpieczny. Biedni nieszczęśnicy godzili się na tę propozycję w nadziei, że zdobędą pieniądze i wolność. Sprzedawano ich innemu panu, a oni znów uciekali do swych patronów. Czasem sprzedawali ich w ten sposób trzy albo cztery razy, póki nie zarobili trzech lub czterech tysięcy dolarów. Ponieważ jednak potem bali się, że ich odkryją, starali się pozbyć jedyne świadka, który mógł przeciwko nim świadczyć, a więc mordowali Murzyna i wrzucali jego ciało do Missisipi. Jeżeli nawet, zanim został zamordowany, wykryło się, że ukradli Murzyna, byli zawsze przygotowani na to, aby uniknąć kary. Trzymali w ukryciu Murzyna, który uciekł, póki nie ukazały się ogłoszenia i nie wyznaczono za niego nagrody. Ogłoszenie tego rodzaju zabezpiecza osobę, która bierze zbiega w posiadanie. Wtedy Murzyn staje się własnością powierzoną. Kiedy więc sprzedawali Murzyna, było to tylko zawiedzeniem zaufania, a nie kradzieżą. Za zawiedzenie zaufania zaś właściciel może tylko otrzymać odszkodowanie na drodze cywilnej, co jest bezskuteczne, ponieważ za szkody nic nigdy nie płacono. Można by zapytać, jak to się stało, że w takim stanie rzeczy Murel uniknął linczu? Łatwo to zrozumieć, jeżeli się zważy, że miał ponad tysiąc zaprzysiężonych towarzyszy, gotowych na wezwanie dać natychmiast pomoc którejkolwiek z band, jeśli znalazła się w niebezpieczeństwie. O nazwiskach wszystkich co ważniejszych towarzyszy Murela dowiedziano się od niego samego w sposób, który zaraz wyjaśnię. Banda składała się z dwóch części. Jedną część stanowili naczelnicy lub Rada, jak

ich nazywano, którzy planowali i radzili, lecz rzadko działali — było ich około czterystu. Drugą część stanowili czynni członkowie, zwani napastnikami, których liczba dochodziła do około sześciuset pięćdziesięciu. Byli oni narzędziem w ręku pierwszych: narażali się na wszelkie niebezpieczeństwa i dostawali tylko małą część pieniędzy — byli w mocy. przewodników bandy, którzy zawsze gotowi byli ich poświęcić, oddając w ręce sprawiedliwości lub topiąc ich ciała w Missisipi. Głównym miejscem spotkań tej bandy opryszków był brzeg rzeki od strony Arkansas, gdzie ukrywali swoich Murzynów w bagnach i trzcinowych zaroślach.

Grabieże tej bandy obejmowały coraz to szerszy zasięg i dawały się dotkliwie odczuć — ale plany ich były tak doskonale obmyślane, że chociaż Murela, który zawsze był czynny, podejrzewano często, nie można było zdobyć żadnego dowodu. Jednakże zdarzyło się, że pewien młody człowiek nazwiskiem Stewart, który szukał dwóch niewolników zwabionych przez Murela, zetknął się z nim, zdobyli jego zaufanie, złożył przysięgę i został przyjęty do bandy. W ten sposób wszystko zostało odkryte. Stewart bowiem okazał się zdrajcą, mimo że złożył przysięgę, i uzyskawszy wszelkie informacje wydał całe stowarzyszenie, nazwiska wszystkich członków, a wreszcie udało mu się uzyskać dość dowodów przeciw Murelowi, by go ujęto i osadzono w więzieniu. (Murel został skazany na czternaście lat więzienia). Tak wielu ludzi, których poczytywano za uczciwych i którzy nosili szanowane nazwiska w różnych Stanach, znalazło się na liście Naczelnej Rady, ogłoszonej przez Stewarta, że robiono wszystko, aby podważyć jego zeznania, szkalowano go i niejednokrotnie usiłowano aresztować. Wreszcie musiał opuścić Południowe Stany. Teraz jednakże jest już dowiedzione, że wszystko to było prawdą, i chociaż niektórzy ganią Stewarta za złamanie przysięgi, nie usiłują już zaprzeczać, że jego odkrycia były prawdziwe. Przytoczę tutaj parę wyjątków z wyznań Murela czynionych Stewartowi podczas ich wspólnej podróży. Powiniennem być dodać, że dalsze zamiary Murela i jego towarzyszy były — według jego własnych słów — bardzo rozległe, gdyż, ni mniej, ni więcej, miał w planie podburzenie czarnych przeciw białym, opanowanie i złupienie Nowego Orleanu i zawładnięcia tymi obszarami. Oto parę wyjątków:

Zebrałem wszystkich mych przyjaciół koło Nowego Orleanu w domu jednego z naszych przyjaciół i radziliśmy przez trzy dni, nim ustaliliśmy wszystkie nasze plany. Postanowiliśmy wzniecić bunt za wszelką cenę i zyskać dla tej sprawy jak najwięcej przyjaciół. Jako, że każdy miał określony plan działania, ja wyruszyłem piechotą do Natchez, sprzedawszy uprzednio konia w Nowym Orleanie, a drugiego miałem zamiar ukraść po drodze. Szedłem cztery dni i nie nadarzyła mi się żadna sposobność. Piątego dnia około godziny dwunastej poczułem zmęczenie i zatrzymałem się przy rzece, aby napić się wody i trochę odpocząć. Gdy tak siedziałem na kłodzie patrząc na drogę, którą tu przyszedłem, ukazał się jakiś jeździec na pięknym koniu. Postanowiłem, że jeśli jeździec będzie ubrany jak podróżny, zdobędą jego konia. Podjechał ku mnie i okazało się, że jest podróżnym. Wstałem, wyciągnąłem ku niemu pistolet i kazałem mu zejść z konia. Uczynił to, a ja wziąłem konia za uzdę i wskazawszy kierunek w dół rzeczki kazałem mu iść przede mną. Szedł paręset jardów i stanął. Uwiązałem konia i kazałem podróżnemu rozebrać się i odwrócić do mnie tyłem. Rzekł: — Jeśli chcesz mnie zabić, daj mi trochę czasu, abym mógł się przed śmiercią pomodlić. — Powiedziałem mu, że nie mam czasu słuchać, jak się modli. Odwrócił się, upadł na kolana, a ja strzeliłem mu w tył głowy. Potem rozprułem brzuch, wyjąłem wnętrzności i wrzuciłem go do rzeki. Przeszukałem kieszenie i znalazłem czterysta dolarów i trzydzieści siedem centów i jakieś papiery, których nie miałem czasu oglądać. Rzuciłem notes, papiery i kapelusz do rzeki. Buty miał nowusienkie i na mnie jak ulał. Włożyłem je, a stare wrzuciłem do wody. Zwinąłem jego ubranie i włożyłem do sakwy, jako że było nowiutkie i w najlepszym gatunku.

Wskoczyłem na najpiękniejszego konia, jakiego kiedykolwiek dosiadałem, i lepiej wyekwipowany niż przez ostatnie pięć dni, skierowałem się do Natchez.

Ja i mój towarzysz nazwiskiem Crenshaw zabraliśmy cztery dobre konie i wyruszyliśmy do Georgii. Właśnie gdy zbliżaliśmy się do góry Cumberland, spotkaliśmy młodego mieszkańca Południowej Karoliny i Crenshaw wkrótce wiedział o nim już wszystko. Był w Tennessee, ażeby kupić kilka świń, ale gdy tam przybył, okazało się, że wieprzowina jest droższa, niż myślał, i zrezygnował z kupna. Zdecydowaliśmy, że jest to dla nas dobry kąsek. Crenshaw skinął na mnie; wiedziałem, o co chodzi. Crenshaw znał tę drogę, ale ja tu nigdy nie byłem. Przejechaliśmy już kilka mil po stoku góry i właśnie mijaliśmy wielką przepaść. Crenshaw poprosił mnie o bicz, który miał funt ołowiu w rękojeści. Podałem mu, a on podjechał do Karolińczyka, wymierzył mu z boku cios w głowę i zrzucił z konia. Zeskoczyliśmy z koni i przeszukaliśmy jego kieszenie — znaleźliśmy tysiąc dwieście sześćdziesiąt dolarów. Crenshaw powiedział, że zna miejsce, gdzie można go ukryć, wziął go za ręce, a ja za nogi, zanieśliśmy do głębokiej rozpadliny w ścianie przepaści i tam go wrzuciliśmy. Potem wskoczyliśmy na jego konia, który wart był dwieście dolarów.

Zatrzymaliśmy się parę dni, a w tym czasie nasz przyjaciel poszedł do małej wioski w sąsiedztwie i zobaczył, że wywieszono ogłoszenie w sprawie Murzyna, którego mieliśmy u siebie, z rysopisem dwóch mężczyzn, od których został kupiony. Na nich rzucano podejrzenie. Nadchodziła więc dość niebezpieczna burza, przed którą nie było schronienia. Tej nocy zaprowadziliśmy Murzyna na brzeg rzeki koło farmy naszego przyjaciela i Crenshaw strzelił mu w głowę. Wyjęliśmy z niego wnętrzności i wrzuciliśmy go do rzeki.

Sprzedął drugiego Murzyna po raz trzeci nad rzeką Arkansas za pięćset dolarów, a potem wykradł go i oddał w ręce swego przyjaciela, który zaprowadził go na trzęsawisko, tak ukrywając tragiczną scenę, i dostał ostatni plon i święte przyrzeczenie tajemnicy, albowiem gra tego rodzaju nie uda się, o ile nie jest tajemnicą dla wszystkich, z wyjątkiem stowarzyszonych. Sprzedał Murzyna po raz pierwszy i ostatni za prawie dwa tysiące dolarów, a potem umieścił go poza zasięgiem wszelkich prześladowań; a oni nic mu nie mogą zrobić, o ile nie znajdą Murzyna. A znaleźć nie mogą, bo trup jego od dawna pasie żółwie i sumy, a żaby całymi dniami śpiewają wieczny odpoczynek jego szkieletowi.

Zbliżaliśmy się do Memphis, przed którym to miastem w oczach jednego mieszkańca, została stoczona najślawniejsza z bitew rzecznych w czasie Wojny Domowej. Dwóch ludzi, pod którymi służyłem w czasach, gdy byłem na rzece, brało w niej udział: pan Bixby, główny pilot floty Unionistów, i Montgomery, komandor floty Konfederatów. Obaj byli długo w czynnej służbie podczas wojny, a odwagą i zdolnościami zdobyli sławę.

Zbliżając się do Memphis, zaczęliśmy szukać wymówek, ażeby zostać na „Grand Dust” aż do końca podróży — do Vicksburga. Było nam tak przyjemnie, że nie chcieliśmy zmiany. Miałem do wypełnienia dość ważne polecenie w Napoleonie, w stanie Arkansas, ale może uda mi się je załatwić nie opuszczając „Gold Dust”.

Statek miał stać do godziny dziesiątej rano w Memphis. Jest to piękne miasto, dostojnie rozłożone na wysokim wzniesieniu nad rzeką. Ulice są proste i przestronne, choć bruki nie wzbudzają zachwytu. Nie, zachwyt trzeba zachować dla systemu kanalizacyjnego, który nazywają doskonałym — jest to jednak reforma niedawna, bo jeszcze kilka lat temu było zupełnie inaczej; reforma będąca wynikiem lekcji, którą dały zgubne odwiedziny żółtej febry. W tych okropnych czasach zmiatało ludzi setkami, tysiącami; a ubytek ludności, spowodowany ucieczką i śmiercią, dochodził do trzech czwartych, i tak przez pewien czas pozostało. Handel prawie zamarł — a ulice były puste jak w niedzielę.

Oto obraz Memphis w tym strasliwym czasie narysowany przez niemieckiego podróżnika, który prawdopodobnie był świadkiem opisywanych przez siebie scen. Jest to wyjątek z

rozdziału VII opublikowanej w Lipsku książki „Missisipi-Fahrten” Ernesta von Hesse-Wartegga:

W sierpniu żółta febra dosięgła kulminacyjnego punktu. Co dzień setki ludzi padały ofiarą strasznej epidemii. Miasto stało się olbrzymim cmentarzem, dwie trzecie ludności uciekło, pozostali tylko biedni, starzy i chorzy, pewny łup podstępного wroga. Domy były zamknięte, przed wieloma palily się małe lampki — znak, że tu weszła śmierć. Często w jednym domu było kilka trupów — z okien zwieszała się czarna krepa. Sklepy były pozamykane, bo ich właściele uciekli albo umarli.

Strasliwa zaraza! W mgnieniu oka napadała i zabierała najbardziej żywotną istotę. Mała niedyspozycja, potem godzina gorączki i okropne delirium — wreszcie żółta śmierć! Na rogach ulic i na placach leżeli chorzy nagle obezwładnieni chorobą — nawet powykrzywiane i sztywne trupy. Brakowało jedzenia. Mięso w cuchnącym, zatrutym powietrzu psuło się w przeciągu paru godzin i czerniało.

Przeraźliwe jęki dochodziły z wielu domów. Po pewnym czasie ustawały i zapadała cisza. Szlachetni, pełni poświęcenia ludzie przychodzili z trumną, zabijali ją gwoździami i wynosili na cmentarz. W nocy panowała cisza. Na ulicach widać było tylko lekarzy i wozy pogrzebowe. A z daleka, co jakiś czas dochodził stłumiony huk pociągu, który z szybkością wiatru, jakby ścigany przez furie, przelatował przez zarażone miasto bez zatrzymania.

Teraz jednak dość jest życia w Memphis. Ludność dochodzi do czterdziestu tysięcy i ciągle wzrasta, handel kwitnie. Jeździliśmy po mieście, zwiedziliśmy park z całą hordą towarzyskich wiewiórek, oglądaliśmy piękne, oplecione różami rezydencje i dostaliśmy dobre śniadanie w hotelu.

Zasobne jest teraz to dobre samarytańskie miasto nad Missisipi; ma wielki handel hurtowy, odlewnie, warsztaty mechaniczne, fabryki wagonów i wozów, tłoczarnie oleju bawełnianego, a wkrótce ma mieć przędzalnię i elewatory.

Ilość sprzedanej bawełny sięgała w zeszłym roku pięciuset tysięcy bel — o sześćdziesiąt tysięcy więcej niż w poprzednim.!

Z tego zdrowego handlowego centrum rozchodzi się pięć linii kolejowych, a szósta jest w robocie.

Jest to zupełnie inne Memphis niż to, które dawno minioną i zapomnianą procesją turystów przedstawiała w swych książkach. W czasach obecnie zapomnianej, lecz kiedyś znanej i mocno znieawidzonej pani Trollope, Memphis zdawało się posiadać tylko jedną długą ulicę o domach zbudowanych z kłód oraz szałasach rozrzuconych za nimi w kierunku lasów; od czasu do czasu trafiała się świnia, a poza tym bezkresne błoto. Tak było pięćdziesiąt lat temu. Pani Trollope zatrzymała się w hotelu. Na pewno nie był to ten, w którym dano nam śniadanie. Mówi ona:

Stół był nakryty na pięćdziesiąt osób. Goście jedli w głębokim milczeniu i z tak zdumiewającą szybkością, że skończyli obiad, zanim myśmy zaczęli — jedynym dźwiękiem był stuk noży i widelcy zmieszany z nieustającym chórem kaszlu etc...

„Kaszlu etc...” To „etc” zastępuje tu bardzo nieprzyjemny wyraz, wyraz, który autorka nie zawsze litościwie ukrywa, lecz czasem drukuje. Można go znaleźć w następującym opisie obiadu, który jadła na statku w towarzystwie wielu arystokratycznych plantatorów. Byli to bogaci, dobrze urodzeni, głupi, nadęci zarozumialcy, nadziani pospolitymi wojskowymi i prawniczymi tytułami z owych dawnych czasów, pełni taniej elegancji i pustej pretensjonalności.

Ogólny brak zwykłej uprzejmości przy stole; łapczywość, z jaką chwymano i pożerano mięsiwo; dziwaczne, nieokrzeseane zwroty i wymowa, obrzydliwe plucie — od którego to plugastwa nie mogliśmy ochronić naszych sukien — strasliwy sposób jedzenia nożem, aż

całe ostrze zdawało się wchodzić do ust, i jeszcze straszliwszy sposób dłubania potem scyzorykiem w zębach — wszystko to uświadomiło nam wkrótce, że nie jesteśmy w otoczeniu generałów, pułkowników i majorów dawnego świata i że godzina obiadowa jest raczej wszystkim innym, tylko nie godziną przyjemności.

### Rozdział XXX POBIEŻNE SZKICE

Poniżej Memphis rzeka była olbrzymia; woda wszędzie sięgała brzegów, a często poza brzegi, wylewała się na ląd zatapiając lasy i pola całymi milami w głąb kraju, w niektórych miejscach na piętnaście stóp głębokości. Naokoło ślady ciężkiej pracy ludzkiej, która poszła na marne i musi się ją zaczynać od początku, przy zmniejszonych środkach i osłabionej energii. Melancholijny jednostajny widok — i tak setki mil! Czasem, na brzegu gęstych lasów, które rozciągały się całymi milami bez jednej farmy, tartaku, polany czy jakiegokolwiek innej przerwy, stała zanurzona na trzy stopy w wodzie latarnia. Oznaczało to, że dozorca owej latarni, ażeby wykonać swoje zadanie, musiał przypluć łódką z wielkiej odległości, często w straszliwą pogodę. A jednak mówiono mi, że praca ta jest wykonywana uczciwie, niezależnie od pogody, czasem i przez kobiety, o ile mężczyzna jest chory czy wyjechał. Państwo daje naftę i płaci dziesięć do piętnastu dolarów miesięcznie za zapalenie i czuwanie nad latarnią. Rządowy statek rozdziela naftę i płaci miesięczne zarobki.

Okolice Owczej Wyspy były tak samo lesiste i bezludne jak zawsze. Wyspa przestała być wyspą, złączyła się całkowicie z lądem i tam, gdzie dawniej pływały parowce, obecnie jeżdżą wozy. Nie ma żadnych śladów wraka „Pensylwanii”. Pewnego dnia może jakiś farmer wyorze pługiem jej szkielet i stanie zdumiony.

Płynęliśmy teraz w dół rzeki wśród okolic koczujących Murzynów. Kiedy byli niewolnikami, nigdy nie mogli podróżować, biedacy, a więc teraz chcą sobie to powetować. Pozostają na plantacji, póki nie ogarnie ich żądza wędrówki, a wtedy pakują się, dają znak parowcowi i odpływają. Nie do jakiegoś określonego miejsca, nie, prawie każde miejsce jest dobre — chcą się tylko ruszać. Ilość posiadanych w ręku pieniędzy to cały sekret tej zagadki. Jeśli wystarczy na pięćdziesiąt mil, niech będzie i pięćdziesiąt. Jeżeli nie — krótsza przejażdżka też będzie dobra!

W ciągu kilku dni kilka razy zatrzymywaliśmy się na takie wezwania. Czasami było to wśród paru uszkodzonych przez wodę, zapadniętych szop, zaludnionych przez czarną ludność, przy czym nigdzie nie widać było białych — tu i tam kawał suchego, nawet trawą nie porośniętego gruntu, kilka zwalonych drzew i przypominające szkielety bydło, muły i konie, które skubały liście i korę, jako że w zniszczonym powodzią kraju nie było dla nich innego pożywienia. Od czasu do czasu trafiała się jakaś samotna przystań, na której stała czarna rodzina, dając nam znaki; mali i duzi, starzy i młodzi siedzieli na kupie nędznych sprzętów domowych, takich jak zardzewiała strzelba, niepowleczone pościel, cynowe naczynia, stołki, stłuczone lustro, czcigodny fotel. Najczęściej towarzyszyło im jeszcze sześć lub osiem zwykłych i ospałych kundli trzymany na sznurku. Muszą mieć psy, nie mogą się ruszyć bez psów. Jednakże psy nigdy nie chcą iść, opierają się zawsze — a więc jednego po drugim, śmieszny procesję, wciągają na statek. Wszystkie cztery sztywne łapy ślizgają się po pomoście, głowa wydaje się odpadać, ale holujący psa maszeruje zdecydowanie naprzód zginając się od wysiłku, ze sznurem przerzuconym przez ramię, by łatwiej było ciągnąć. Czasami zapominają o dziecku i zostawiają je na brzegu — o psie nie zapomną nigdy.

W sterówce jak zawsze gawęda o rzece; wyspa 63 — mająca za dawnych czasów śliczny próg lub przejście z tyłu. Opowiadają, że Jesse Jamieson na „Skylark” miał ze sobą podczas rejsu gościa pilota, starego, złamanego życiem wysłużonego biedaka i zostawił go przy kole przy wyspie 63, ażeby dokończył wachty. Stary marynarz przepłynął przez próg, potem w dół

rzeki, a potem znów przez próg, i znów w dół rzeki, i tak znowu, i znowu, i oddał statek zmieniającemu go pilotowi po trzech godzinach szczerych wysiłków w tym samym miejscu, w którym stanął przy sterze! Pewien czarny, widząc z brzegu, jak statek przepływa już po raz trzynasty, rzekł: — O rety! chyba tych „Skylark” jest cała flota!

Anegdota ilustrująca wpływ opinii na zmianę zdania. „Eclipse” był znany z szybkości. Pewnego dnia, kiedy przepływał niedaleko lądu, czarny starzec na brzegu, zajęty własnymi sprawami, nie zauważył, co to za statek. Nagle ktoś zapytał:

— Czy szedł jaki statek?

— Tak, sir.

— Czy prędko szedł?

— Och, tak sobie, tak sobie, ledwo się włókł.

— A wiesz, co to za statek?

— Nie, sir.

— Ano, staruszkule, to był „Eclipse”.

— Co! Naprawdę? Tak, to musiał być on, bo przeleciał jak błyskawica.

A oto fragment opowiadania ilustrującego gwałtowność zachowania się niektórych tutejszych mieszkańców. W pierwszych tygodniach wysokiej wody słupki z ogrodzenia sąsiada A zostały wymyte i rzucone w dół na grunta sąsiada B, a słupki sąsiada B zostały również wymyte i dostały się w wir wodny, który je zaniósł na grunta sąsiada A. A rzekł: — Niech już tak zostanie, ja będę używał twoich słupków, a ty moich. — Ale B sprzeciwił się. Pewnego dnia A poszedł do B, żeby zabrać swoje słupki. B rzekł: — Zabiję cię! — i ruszył na niego z rewolwerem. A odpowiedział: — Nie mam broni. — Więc B, który miał wielkie poczucie sprawiedliwości, rzucił rewolwer, wyciągnął nóż, po czym przeciął sąsiadowi szyję prawie naokoło, głównie jednak na przodzie, przez co nie uszkodził mu gardła. A, szamocąc się, zdołał dosięgnąć ręką porzuconego rewolweru i zastrzelił nim sąsiada B, sam zaś wyleczył się z ran.

I tak opowiadano sobie różne ploteczki, potem wszyscy zeszli na dół na popołudniową kawę, a mnie zostawili samego przy sterze. Wkrótce przypomniawszy mi się nasza ostatnia godzina w St. Louis, którą spędziłem na sztormowym pokładzie tego statku. Przyłączył się do mnie jakiś nieznajomy i wdał się w rozmowę — był to bystry młody człowiek, który mówił, że urodził się w miejscowości położonej w głębi stanu Wisconsin i dopiero tydzień temu po raz pierwszy w życiu ujrzał parowiec. Powiedział jeszcze, że w drodze z La Crosse obejrzał i zbadał statek tak dokładnie i z takim gwałtownym zainteresowaniem, że opanował całą rzecz od dziobu do pióra sterowego. Pytał mnie, skąd pochodzę. Odpowiedziałem, że z Nowej Anglii. „O, Jankes!” — rzekł i paplał w dalszym ciągu, nie czekając na moje potwierdzenie czy zaprzeczenie. Natychmiast zaproponował, że oprowadzi mnie po całym statku, poda mi nazwy różnych części i pouczy, do czego służą. Zanim zdążyłem zaprotestować czy wymówić się, już gładko ruszył z kopyta ze swoim dobroczynnym dziełem. Zorientowałem się, że podaje fałszywe nazwy i niegościnnie bawi się kosztem nieświadomego przybysza z dalekiego kraju, ale pozwoliłem mu mówić. Dał mi mnóstwo fałszywych informacji, a im dalej się zapędzał, tym bardziej ponosiła go wyobraźnia i tym bardziej się tym rozkoszował. Czasami, poczęstowawszy mnie jakimś szczególnie nieprawdopodobnym i oburzającym kłamstwem, tak „pękał ze śmiechu”, że na chwilę musiał pod takim czy innym pretekstem usuwać się na bok, aby nie wzbudzić we mnie podejrzeń. Dotrzymałem mu wiernie kroku do końca tej komedii. Wreszcie napomknął, że podjął się „nauczyć mnie” wszystkiego o statku i że wykonał to, ale jeśli coś przeoczył, prosi, bym go zapytał, a uzupełni. Powiedziałem, iż dobrze, i odszedłem. Zniknąłem, ale potem obserwowałem go z innej strony, tak żeby nie mógł mnie widzieć. Był sam i prawie pokładał się ze śmiechu. Musiał chyba z tego zachorować, bo przez kilka dni nigdzie nie było go widać. Przez ten czas epizod ów wypadł mi z pamięci.



I teraz, gdy sam stałem przy kole sterowym, zobaczyłem tego młodego człowieka w drzwiach sterówki z ręką na gałce drzwi, który milcząco i poważnie mi się przypatrywał. Nie pamiętałem, kiedy widziałem kogoś, kto wyglądał tak urażony jak on. Nie mówił nic, tylko stał i patrzył, patrzył z wyrzutem i zamyśleniem. Wreszcie zamknął drzwi i odszedł — na chwilę zatrzymał się na pokładzie — wolno wrócił z powrotem i znów stanął w drzwiach ze smutnym wyrazem twarzy, patrzył na mnie przez chwilę z łagodną naganą i rzekł:

— To pan pozwolił, abym go uczył wszystkiego na statku, prawda?

— Tak — wyznałem.

— Tak, to pan, prawda?

— Tak!

— Pan jest tym gościem, który... który...

Nie mógł mówić. Pauza — bezskutecznie usiłuje znaleźć słowa — potem daje za wygraną, wyrzuca zduszone przekleństwo i odchodzi na dobre. Później podczas podróży widziałem go kilkakrotnie na dole, ale był lodowaty — nie chciał na mnie patrzeć... głupiec, gdyby na początku nie był w takim ferworze, żeby ze mnie zakpić w tak niedowcipny, ciężki sposób, byłbym zwrócił jego myśli w innym kierunku i zaoszczędził mu tej bezcelowej i niemądrej niegrzeczności.

Kazałem się budzić razem z wachtą obejmującą służbę o czwartej rano, bo nigdy nie dosyć jest oglądania wschodów słońca na Missisipi. Są urzekające. Wokół panuje głęboka cisza. Ogarnia człowieka jakieś czarowne poczucie samotności, opuszczenia, oddalenia od kłopotów i zgiełku świata! Świt wślizguje się bezszelestnie, jednolite ściany czarnego boru szarzeją; z cienia wyłaniają się i ukazują wielkie tafle rzeki, woda jest gładka jak lustro, znad którego podnoszą się zwiewne, małe wianuszki białej mgły — ani tchnienia wiatru, ni poruszenia liścia — głęboki i nieskończenie kojący spokój. Nagle gwizdnie ptak, potem drugi i wkrótce gwizdanie przechodzi w radosną wrzawę. Nie widzisz żadnego ptaka, poruszasz się po prostu w śpiewnej atmosferze, która sama wydaje się śpiewać. Gdy światło wzmoże się nieco, roztacza się przed tobą jeden z najpiękniejszych i najbardziej kojących widoków, jakie możesz sobie wyobrazić. Tuż obok masz soczystą zieleń gęstego, zbitego listowia — widzisz je przed sobą, wyłaniające się z cienia, na następnym przylądku, odległym o milę lub więcej, barwa ta jaśnieje, aż do delikatnej wiosennej zieleni. Dalszy przylądek prawie stracił kolor, a najdalszy, oddalony o wiele mil na horyzoncie, śpi na wodzie jako przyśmiona mgiełka i prawie nie daje odróżnić się od nieba, które go okala. A cała ta roztocz rzeczna jest zwierciadłem, w którym odbijają się zamglone zarysy liściastych drzew, postrzępionych brzegów i coraz dalej odsuwających się przylądków. Tak, wszystko jest piękne, kojące i bogate, a kiedy słońce wejdzie wysoko, w górę, i sypnie tu różowy rumieniec, tam złoty pył, lub rzuci purpurową mgiełkę w miejsce, gdzie woda błyszczy najpiękniej, możesz być pewien, że widziałeś coś, co warto zapamiętać.

Wczesnym rankiem przepływaliśmy przez Zakręt Kentucky — miejsce, w którym niegdyś zdarzył się dziwny i tragiczny wypadek. Kapitan Poe miał mały stateczek z kołem napędowym na rufie, który przez wiele lat jemu i jego żonie zastępował dom. Pewnej nocy stateczek uderzył o sterczące z wody drzewo pod Zakrętem Kentucky i zaczął tonąć z przerażającą szybkością. Woda była już wysoko nad podłogą kabiny, gdy kapitan rzucił się ku rufie. Zaczął wyrąbywać otwór do kabiny żony. Spała w górnej koi, a że dach był słabszy, niż przypuszczał, pierwsze uderzenie zmiażdżyło spróchniałe deski, a jej rozplatało czaszkę. Zakręt ten jest teraz pełen wody na skutek skrótu. Tenże skrót odsunął Orzechowy Zakręt, jeden z największych i najbardziej uczęszczanych zakrętów, w głąb kraju, „w pustkę” — z dala od szlaku przepływających parowców.

Zwiedziliśmy Helene, a także miasto, o którym przedtem nie słyszałem, gdyż powstało niedawno — Arkansas City. Zrodziło się z kolei żelaznej. Little Rock, rzeka Missisipi i kolej teksaska spotykają się nad rzeką. Zapytaliśmy podróżnego, który stamtąd pochodził, co to za

miasto. „Ano — powiedział po namyśle, z miną człowieka, który chce mieć czas i być dokładny — to piekło, nie miasto”. Opis jest dokładny jak fotografia. Oprócz szeregu nędznych baraków miasto posiada zapas błota wystarczający do zaopatrzenia miasta — w razie braku tego artykułu — na sto lat, powódź bowiem ustąpiła dopiero niedawno. Na ulicach tu i ówdzie stoją jeziora, a kilka zwykłych kryp porozrzucanych naokoło tkwi w tym samym miejscu, gdzie je zostawiła woda. Ludzie znowu zaczęli odwiedzać się i robić zakupy; na piechotę. A przecież jest to dobrze rozwijające się miasto, z bogatą okolicą, z elewatozem, a także z ładną dużą fabryką wyrabiającą olej bawełniany.

Nasienie bawełny za moich czasów prawie nie miało wartości — teraz tona kosztuje 12 do 13 dolarów i nic się nie wyrzuca. Olej bawełniany jest bezbarwny, bez smaku i prawie bez zapachu. Panuje przekonanie, że poddany odpowiedniemu działaniu może upodobnić się i zastąpić każdy inny olej, a produkcja jego może być tańsza od innych olejów. Sprytni przedsiębiorcy przesyłali go do Włoch, mieszały, naklejali etykiety i przywozili z powrotem jako oliwę. Ten proceder tak się rozwinął, że Włochy musiały wydać odpowiedni zakaz, by uchronić od poważnej szkody własną produkcję oliwy.

Helena jest jedną z najpiękniej położonych miejscowości nad Missisipi, leży na ostatnim zgrupowaniu wzgórz, najbardziej wysuniętym ku południowi. W normalnych warunkach jest ładnym miastem — lecz powódź (lub może przesączenie się wody) zniszczyła je ostatnio, całe ulice zostały zalane mulistą wodą, a na zewnątrz domów widać było jeszcze szeroki brudny pas idący od fundamentów w górę. Wszędzie leżały wyrzucone na brzeg krypy. Ciągłe jeszcze stały wysokie chodniki z bali, leżące na ziemi chodniki z desek były poodrywane i zniszczone. Gdyby dwóch ludzi biegło przez nie truchtem, ślepy pomyślałby, że jest to szarża kawalerii. Błoto było wszędzie czarne i głębokie, a w wielu miejscach widniały malaryczne bajory stojącej wody. Wylew Missisipi jest po ogniu najbardziej niszczycielską i straszną klęską.

W tę słoneczną niedzielę mieliśmy tu trochę przyjemności; dwie pełne godziny swobody na łądzie, podczas gdy statek wyładowywał towar. W bocznych uliczkach widać było bardzo mało białych, za to mnóstwo czarnych — zwłaszcza kobiet i dziewcząt — prawie wszystkie wystrojone w barwne, nowe, bufiaste suknie wyszukanego kroju; jaskrawy i śmieszny kontrast z ponurym błotem i zadumanymi kałużami.

Helena jest w Arkansas drugim miastem co do ilości mieszkańców, których liczba dochodzi do pięciu tysięcy. Okolica jest wyjątkowo bogata. Helena ma dobrze rozwinięty przemysł bawełniany; dostarcza od czterdziestu do sześćdziesięciu tysięcy bel rocznie, ma wielki handel drzewny i zbożowy, hutę, fabrykę oleju, warsztaty mechaniczne i fabrykę wagonów — krótko mówiąc ma w przemyśle zainwestowanych milion dolarów. Posiada również dwie linie kolejowe i stanowi centrum handlowe rozległej i bogatej okolicy. „Times Democrat” z Nowego Orleanu ocenia ogólny roczny dochód Heleny na cztery miliony dolarów.

## Rozdział XXXI

### ODCISK PALCA I CO Z TEGO WYNIKŁO

Zbliżaliśmy się do miasta Napoleon, w stanie Arkansas. A więc zacząłem rozmyślać nad poleceniem, które miałem tam wypełnić. Było akurat jasne i słoneczne południe. To źle, w każdym razie nie najlepiej, bo tego polecenia nie należało wypełniać w południe. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej fakt ten stawał się jasny: czy rozsądnie jest wypełniać zlecenie w dzień, jeżeli przy niewielkim wyrzeczeniu się wygody i przyjemności można mieć na to noc, bez żadnych ciekawych oczu? To zdecydowało. Krótko i jasno postawione pytanie i krótka i jasna odpowiedź jest najlepszym wyjściem z bardzo wielu trudności.

Zgromadziłem przyjaciół w mojej kabinie i powiedziałem im, że przykro mi, jeżeli sprawię im kłopot i zawód, lecz po namyśle wydaje mi się, iż będzie najlepiej, jeżeli bagaż

wyładujemy na ląd i zatrzymamy się w Napoleon. Sprzeciwili się natychmiast, głośno i gwałtownie zaprotestowali: „Ale przecież pan postanowił nie schodzić z tego statku, etc.” Tak jakby postanowiwszy jakąś jedną niemądrą rzecz, nadal trzeba było trwać przy tym postanowieniu, popełniając tym samym dwie niemądre rzeczy. Zacząłem ich łagodnie przekonywać, wreszcie wzmogłem wysiłki i aby wykazać, że to nie ja wydałem to uciążliwe polecenie i że nie mnie za to należy ganić, zapuściłem się nagle w historię, która w głównych zarysach przedstawia się następująco:

Pod koniec zeszłego roku spędziłem parę miesięcy w Monachium, w Bawarii. W listopadzie mieszkałem w pensjonacie Fräulein Dahlweiner przy Karlstrasse 1a, lecz moje właściwe miejsce zamieszkania było w odległym o milę domu pewnej wdowy, która utrzymywała się z wynajmowania pokojów. I ona, i dwoje jej nieletnich dzieci na moją prośbę, często zachodzili do mnie rano, żeby porozmawiać po niemiecku. Pewnego dnia podczas wędrowki po mieście zwiedziłem jeden z dwu zakładów, gdzie państwo przechowuje i obserwuje nieboszczyków, dopóki lekarze nie zdecydują, że naprawdę są nieżywi, a nie w letargu. Ta obszerna izba wyglądała przerażająco. Było tam trzydzieści sześć trupów, które leżały na wznak na trochę nachylonych deskach, w trzech długich rzędach. Wszyscy mieli białe jak wosk, zastygłe twarze i wszyscy byli zawinięci w białe prześcieradła. Po bokach izby znajdowały się głębokie wnęki, jakby framugi okienne, a w każdej z nich leżało kilkoro dzieci o marmurowych twarzyczkach. Były całkowicie przykryte i zasypane pękami kwiatów, tak że widać było tylko twarzyczki i skrzyżowane rączki. Na palcu każdej z tych pięćdziesięciu zastygłych postaci, tak dużych, jak i małych, tkwił pierścionek, a od pierścionka szedł drut do sufitu, stamtąd zaś do dzwonka w stróżówce, gdzie dzień i noc siedział stróż gotów zawsze zerwać się i biec na pomoc każdej z tych białych postaci. Najmniejszy bowiem ruch poruszał drut i uderzał w ów okropny dzwon. Wyobrażałem sobie, że sam jestem owym stróżem śmierci drzemiącym samotnie wśród ciągnącej się bez końca straszliwej, pełnej jęków nocy i że nagły dźwięk tego okropnego wezwania w mgnieniu oka zamienia moje ciało w trzęsącą się galarete! Zacząłem więc dopytywać się bliżej o tę sprawę. Jeżeli stróż umierał, to czy ożywiony trup przychodził do niego i czynił wszystko, co mógł, by mu ulżyć w ostatnich chwilach? Ale ofuknięto mnie za tę chęć zaspokojenia pustej ciekawości w tak poważnym i żałobnym miejscu, więc zbity z tropu poszedłem w swoją drogę.

Następnego ranka opowiadałem wdowie o mojej przygodzie, a ona wykrzyknęła:

— Niech pan pójdzie ze mną! Mam lokatora, który powie panu wszystko, co tylko pan zechce. Był tam stróżem.

Człowiek ten, chociaż należał do żywych, nie wyglądał na to. Leżał w łóżku z głową opartą wysoko na poduszkach, twarz miał zniszczoną i bladą, oczy głęboko zapadłe i zamknięte, ręka leżąca na piersi była podobna do szponów — tak długie i kościste miał palce. Wdowa przedstawiła mnie. Oczy jego otworzyły się powoli i zamigotały złośliwie w cieniu oczodołów, zmarszczył groźnie czoło, podniósł chudą rękę i dał znak, żebyśmy natychmiast wyszli. Ale wdowa nie ustępowała, wreszcie powiedziała, że jestem cudzoziemcem i Amerykaninem. Twarz tego człowieka zmieniła się momentalnie, rozjaśniła się nagle zainteresowaniem — i w następnej chwili byłem już z nim sam na sam. Zacząłem mówić niezdatną niemczyzną, odpowiedział dość gładko po angielsku, wkrótce daliśmy więc sobie spokój z niemieckim. W niedługim czasie staliśmy się przyjaciółmi. Odwiedzałem go co dzień i rozmawialiśmy o wszystkim. O wszystkim, tylko nie o żonach i dzieciach. Na wzmiankę o czyjejkolwiek żonie lub czyimkolwiek dziecku przez chwilę w oczach jego migotała iskierka największego uczucia i tklivości, po czym znikwała, a na jej miejsce zjawiał się ów okropny wyraz, który palił się w jego oczach, gdy go po raz pierwszy ujrzałem. Potem już się nie odzywał do końca dnia. Leżał w milczeniu, oderwany od świata i pograżony w myślach. Widać było, że nie słyszał, co mówię, nie zwracał uwagi na moje „do widzenia” i na pewno nie widział i nie słyszał, kiedy wychodziłem z pokoju.

Przez dwa miesiące byłem codziennym i jedynym powiernikiem owego Karola Rittera, aż pewnego dnia rzekł nagle:

— Opowiem panu moją historię.

## SPOWIEDŹ UMIERAJĄCEGO

Nigdy dotąd nie poddawałem się. Ale teraz poddaję się. Umrę. Zeszłej nocy postanowiłem, że musi się to stać, i to bardzo szybko. Pan powiada, że przy najbliższej sposobności ma pan zamiar odwiedzić swoją rzekę. Dobrze. Fakt ten, jak i pewne dziwne doświadczenie, które było moim udziałem zeszłej nocy, skłaniają mnie do opowiedzenia panu mojej historii, bo pan zobaczy miasto Napoleon w stanie Arkansas — ze względu na mnie pan się tam zatrzyma i załatwi tam dla mnie pewną rzecz — na pewno chętnie to pan uczyni, gdy posłyszysz moje opowiadanie.

Skróćmy historię, gdzie się tylko da, bo jest długa. Pan już wie, jak to się stało, że znalazłem się w Ameryce i że osiedliłem się w samotnej okolicy na południu. Ale pan nie wie, że miałem żonę. Moja żona była młoda, piękna, kochająca i — och! — tak niebiańsko dobra, niewinna i łagodna! A nasza mała dziewczeczka była miniaturą swojej matki. Rodzina nasza należała do najszcześliwszych.

Pewnej nocy — działo się to pod koniec wojny — obudziłem się z głębokiego bezwładu i ujrzałem, że jestem skrępowany, usta mam zakneblowane, a w powietrzu poczułem chloroform. Zobaczyłem w pokoju dwóch mężczyzn — jeden mówił do drugiego ochryplym szeptem:

— Mówiłem jej, że to zrobię, jeżeli się odezwie, a co do dziecka...

Drugi przerwał mu cichym, na pół płaczliwym głosem:

— Mówiłeś, że ich tylko zakneblujemy i ograbimy, ale że nic nie zrobimy, inaczej nie poszedłbym z tobą.

— Stul pysk, dość tego skamlania! Musiałem zmienić plan, jak się obudzili. Zrobiłeś, co mogłeś, żeby ich oszczędzić, niech ci to wystarczy, chodź, pomożesz mi pomyszkować.

Obaj byli w maskach i mieli na sobie nędzne, podarte ubrania. Przy świetle ich ślepej latarki zauważyłem, że ten łagodniejszy z rozbójników nie miał wielkiego palca u prawej ręki. Przetrzęsali moją biedną izbę przez chwilę, a potem główny bandyta rzekł scenicznym szeptem:

— Szkoda czasu, on powie, gdzie to jest schowane. Wyjmij knebel i otrzeźw go!

Drugi odrzekł:

— Dobrze, ale bez pałki!

— Niech będzie bez pałki, jeżeli nie narobi hałasu.

Zbliżyli się do mnie, w tej samej chwili dały się słyszeć jakieś głosy na dworze — rozmowy i stukot podków. Rozbójnicy wstrzymali oddech i słuchali. Głosy wolno zbliżały się, były coraz bliżej i bliżej, potem dało się słyszeć wołanie:

— Halo, wy tam! Zapalcie światło, chcemy wody!

— Głos kapitana, do diaska! — szepnął łotr mówiący scenicznym szeptem i obaj rozbójnicy uciekli tylnymi drzwiami, zgasiwszy w biegu latarnię.

Nieznajomi wołali jeszcze kilka razy, potem odjechali. Wydawało się, że było kilkanaście koni. Potem nie słyszałem już nic.

Starłem się uwolnić z więzów, lecz nadaremno. Próbowałem krzyknąć, ale knebel tkwił mocno, nie mogłem wydać żadnego dźwięku. Wsłuchiwałem się w głos mojej żony i dziecka — słuchałem długo i w napięciu, ale z drugiego końca izby, gdzie było ich łóżko, dochodziła tylko cisza, która stawała się coraz straszniejsza, z każdą chwilą coraz bardziej złowroźna. Czy mógłby pan znieść godzinę takiej ciszy? Jak pan myśli? Niechże więc pan sobie wyobrazi, że ja musiałem znieść trzy takie godziny. Trzy godziny! Były to całe wieki! Ile razy

uderzał zegar, wydawało mi się, że od ostatniego uderzenia upłynęły lata. Przez cały ten czas starałem się wyswobodzić z więzów i wreszcie uwolniłem się o świcie. Wstałem i rozprostowałem zeszywniałe członki. Mogłem już dość dobrze rozróżnić poszczególne przedmioty. Na podłodze leżały rzeczy, które rozbójnicy porzucali szukając moich oszczędności. Od razu zwróciłem uwagę na pewien mój dokument, który — jak sam widziałem — okrutniejszy z rozbójników odrzucił. Była na nim krew! Powlokłem się do drugiego rogu izby. Och, bezradne, niewinne biedactwa — leżały tam! Cierpienia ich się skończyły, moje się zaczęły.

Czy się zwracałem do prawa? Ja? Czy żebrak ugasi swe pragnienie, jeżeli król wypije za niego? Och, nie, nie, nie chciałem natrętnej interwencji prawa. Ani prawo, ani galery nie mogły nm spłacić długu! Niech prawo zostawi tę sprawę w moich rękach i nie obawia się: znajdę dłużnika i odbiorę dług. Jak to wykonać, pyta pan? Jak to wykonać i mieć pewność, kiedy ani nie widziałem twarzy rozbójników, ani nie słyszałem ich prawdziwych głosów, ani nie miałem pojęcia, kim mogli być? Mimo wszystko byłem pewny. Miałem dowód, którego pan by nie ocenił, który by nawet nie bardzo pomógł detektywowi, ponieważ nie znałby tajemnicy, jak się nim posłużyć. Wrócę do tego za chwilę. A teraz idźmy dalej, przedstawiając rzeczy w ich kolejnym porządku. A więc, ci dwaj rozbójnicy byli to na pewno żołnierze w przebraniu włóczęgów, przy czym nie nowicjusze w służbie wojskowej, lecz starzy żołnierze, może nawet zawodowi. Takiej postawy wojskowej, ruchów, sposobu zachowania nie nauczyli się ani w ciągu jednego dnia, ani miesiąca, ani roku. Tak myślałem, ale nic nie mówiłem. A jeden z nich przecież powiedział: „Głos kapitana, do diaska!” — i to tego chciałbym dostać w swe ręce. W odległości dwóch mil rozłożyło obozy kilka pułków i dwie kompanie konnicy. Kiedy dowiedziałem się, że to kapitan Blakely z kompanii C przejeżdżał z eskortą koło nas owej nocy, postanowiłem szukać owego człowieka w tej kompanii. W rozmowie uparcie opisywałem rozbójników jako włóczęgów wlokących się za obozami i wśród tej kategorii ludzi robiono bezskuteczne poszukiwania, lecz nikt prócz mnie najpodjezrewał, że byli to żołnierze.

Pracując cierpliwie po nocach w moim opustoszałym domu, z różnych kawałków i resztek odzienia zrobiłem sobie przebranie — w najbliższej wiosce kupiłem niebieskie okulary. W krótkim czasie, kiedy zwinięto wojskowy obóz, a kompania C otrzymała rozkaz udania się sto mil na północ, do miasta Napoleon, wybrałem się w drogę nocą ukrywając trochę pieniędzy w pasie. Gdy kompania C przybyła do Napoleon, byłem już na miejscu. Tak, byłem tam mając nowy zawód: wróżbiarza. Ażeby nie wydawać się stroniczy, zaprzyjaźniłem się i wróżyłem we wszystkich kompaniach tam stojących, ale kompanii C poświęcałem lwią część moich względów. Specjalnie dla tych ludzi byłem bezgranicznie oddany. Nie było usługi, której bym dla nich nie zrobił, nie było ryzyka, na które bym się nie naraził. Stałem się dobrowolnym obiektem ich żartów, co ugruntowało moją popularność — stałem się ich ulubieńcem.

Dawno już zauważyłem żołnierza, który nie miał wielkiego palca — cóż to była dla mnie za radość! A kiedy przekonałem się, że on jeden z całej kompanii stracił wielki palec, wszelkie wątpliwości zniknęły; byłem pewien, że jestem na właściwym tropie. Nazywał się Krüger, był Niemcem. W kompanii znajdowało się dziewięciu Niemców. Przyglądałem się czujnie chcąc wiedzieć, z kim się przyjaźni, ale wydawał się nie mieć bliższych przyjaciół. Ja za to zostałem jego przyjacielem i starałem się, by przyjaźń nasza się umocniła. Czasem czułem taki głód zemsty, że ledwie mogłem się powstrzymać, żeby nie paść na kolana i nie błagać go o wskazanie człowieka, który zamordował moją żonę i dziecko, ale udało mi się utrzymać język za zębami. Czekałem i w dalszym ciągu, w miarę następczących się sposobności, wróżyłem. Moje narzędzia pracy były proste: trochę czerwonej farby i kawałek białego papieru. Malowałem każdemu klientowi poduszczkę wielkiego palca, brałem jego odcisk na papierze, studiowałem go przez noc i następnego dnia odsłaniałem mu jego przyszłość. Jaki miałem w tym celu? Otóż, kiedy byłem młodzieńcem, znałem pewnego starego Francuza, który przez

trzydzieści lat był strażnikiem więziennym, i on mi powiedział, że jest jedna rzecz, która się nigdy w człowieku nie zmienia od kolebki do grobu: linie na poduszczyce wielkiego palca. Powiedział jeszcze, że linie te nigdy nie są dokładnie takie same na palcach jakichkolwiek dwóch istot ludzkich. Obecnie fotografujemy każdego nowego przestępcę i zawieszamy jego podobiznę w Galerii Zbrodniarzy do przyszłego użytku, ale ten Francuz w owych czasach zawsze brał odcisk wielkiego palca od każdego nowego więźnia. Twierdził zawsze, że fotografie nie mają znaczenia, bowiem na skutek przebrania mogą być zupełnie bezużyteczne. „Wielki palec jest jedyną pewną rzeczą — mówił — nie można go zmienić.” I dowodził swojej teorii na mych przyjaciółach i znajomych, co mu się zawsze udawało.

Wróżyłem dalej. Co noc zamykałem się i szkłem powiększającym badałem zebrane w ciągu dnia odciski palców. Niech pan sobie wyobrazi drapieżność, z jaką wpatrywałem się w te poplątane czerwone linie, porównując je z dokumentem, na którym były ślady wielkiego i innych palców mordercy, odcisnięte najdroższą krwią — dla mnie — jaką kiedykolwiek rozlano na tym świecie! I wiele, wiele razy musiałem powtarzać to samo, pełne gorczy pytanie: „Czyż nigdy nie zdołam odnaleźć?”

Ale nareszcie doczekałem się nagrody. Był to odcisk wielkiego palca żołnierza nazwiskiem Franz Adler z kompanii C, który miał wtedy czterdzieści trzy lata. Przed godziną nie znałem nazwiska mordercy ani jego głosu, ani postawy, ani twarzy czy narodowości — teraz znałem już wszystko! Miałem pewność, ponieważ wielokrotne doświadczenia Francuza były doskonałą rękojmnią. Ale przecież istniał jeszcze sposób na to, żeby się całkowicie upewnić. Miałem odcisk wielkiego palca lewej ręki Krugera. Rano, gdy nie miał służby, wziąłem go na bok i kiedy znaleźliśmy się w miejscu, gdzie nikt nie mógł nas widzieć ani słyszeć, odezwałem się z naciskiem:

— Twoja przyszłość jest tak groźna, że uważałem, iż lepiej będzie dla ciebie, jeżeli nie powiem jej publicznie. Ty i drugi człowiek, Adler, którego przyszłość badałem zeszłej nocy — zamordowaliście kobietę i dziecko. Jesteście śledzeni, w ciągu pięciu dni aresztują was obu.

Rzucił się na kolana tracąc zmysły z przerażenia i przez pięć minut jak pomyłony powtarzał te same słowa, w ten sam na pół płaczliwy sposób, jaki pamiętałem z owej strasznej nocy w moim domu.

— Ja tego nie zrobiłem, na moją duszę, ja tego nie zrobiłem; starałem się jego powstrzymać, Bóg mi świadkiem, on sam to zrobił.

Było to wszystko, czego chciałem. Starałem się pozbyć głupca, ale przywarł do mnie błagając, abym go ocalił od aresztowania. Mówił:

— Mam pieniądze, dziesięć tysięcy dolarów schowanych, owoc grabieży, ocal mnie, powiedz, co mam robić, a będziesz miał wszystko — do ostatniego centa. Dwie trzecie należą do mego kuzyna, Adlera, ale możesz wziąć wszystko. Schowaliśmy to zaraz, jak tu przyszliśmy. Ale wczoraj przenieśliśmy to w inne miejsce i nic mu nie powiedziałem i nie powiem. Miałem zamiar zdezerterować i uciec z tym wszystkim. Jest to złoto, za ciężkie do niesienia, gdy się biegnie, ale jedna kobieta, która przepłynęła się przez rzekę dwa dni temu, żeby mi przygotować ucieczkę, miała to nieść za mną. A gdybym nie miał możliwości opisania jej kryjówki, wtedy umówiliśmy się, że wsunę jej w rękę mój srebrny zegarek albo też pošnę przez kogoś, a będzie wszystko wiedziała. Pod kopertą zegarka jest kawałek papieru, gdzie wszystko jest napisane. Masz, weź zegarek — powiedz, co mam robić!

Zaczął nalegać, abym wziął zegarek. Wyciągnął papier i wyjaśniał mi to wszystko, gdy nagle w odległości kilku kroków ukazał się Adler. Powiedziałem do biednego Krugera:

— Weź swój zegarek, nie chcę go. Nic ci się nie stanie. Teraz idź. Muszę powiedzieć Adlerowi jego przyszłość. Niedługo powiem ci, jak się uchronić przed aresztowaniem; przedtem będę musiał jeszcze raz zbadać odcisk twojego wielkiego palca. Nic nie mów o tym Adlerowi, nie mów nic nikomu.

Odszedł nieszczęśnik pełen strachu i wdzięczności. Zacząłem Adlerowi mówić długo o jego przyszłości — naumyślnie tak długo, żebym nie mógł skończyć. Obiecałem przyjść do niego w nocy, jak będzie na warcie, i powiedzieć mu najważniejszą jej część, tragiczną jej część, a więc nikt nie może tego podsłuchiwać. Trzymano zawsze pikietę poza miastem — ze względu tylko na regulamin i ceremonie — bo wokoło nie było wroga.

Około północy zaopatrzony w hasło skierowałem się tam, gdzie Adler miał stać na warcie. Było tak ciemno, że ledwie zdążyłem wyrzec słowa ostrzeżenia, a już wpadłem na majaczącą postać. Strażnik wyrzekł hasło, ja odpowiedziałem, wszystko w jednej i tej samej chwili. Dodałem: — To ja, wróżbiarz. — Potem prześliznąłem się koło tego diabła, stanąłem z boku i bez słowa wpackowałem mu puginał w serce „Jawohl” — zaśmiałem się, była to naprawdę tragiczna część jego losów! Kiedy spadał z konia, chwycił mnie przez chwilę i moje niebieskie okulary zostały mu w rękę. Nagle zwierzę zerwało się i popędziło ciągnąc go za sobą z nogą w strzemieniu.

Musiałem uciekać lasami, gdyż oskarżające mnie okulary zostały w rękę zabitego.

Było to prawie szesnaście lat temu. Od tej pory wędrowałem bez celu po świecie, czasem pracowałem, czasem próżnowałem. Raz miałem pieniądze, innym razem nie. Zmęczony życiem pragnąłem umrzeć, jako że misja moja zakończyła się owej nocy, a jedyną przyjemnością, pociechą, zadowoleniem, które miałem podczas tych nudnych lat, było codzienne stwierdzenie: „Zabiłem go!”

Cztery lata temu zacząłem podupadać na zdrowiu. W bezcelowych wędrówkach zawędrowałem do Monachium. Nie mając pieniędzy szukałem pracy i znalazłem. Wykonywałem uczciwie swoje obowiązki przez rok, a potem dostałem posadę nocnego stróża tam, w tym domu śmierci, który pan niedawno zwiedził. Miejsce to odpowiadało memu nastrojowi. Lubiłem je. Lubiłem być z umarłymi — lubiłem być z nimi sam. Często wędrowałem pomiędzy tymi sztywnymi trupami i godzinami wpatrywałem się w ich surowe twarze. Im późniejsza była pora, tym większe robiło to wrażenie. Wołałem późną porą. Czasem przygaszałem światło — to dawało perspektywę, widzi pan, i mogła działać wyobraźnia: przyćmione, zapadające w mrok szeregi umarłych nasuwały człowiekowi dziwaczne, fascynujące myśli. Dwa lata temu — pracowałem tam już od roku — w okropną zimową noc siedziałem sam jeden w stróżówce zziębnięty, zdrętwiały, opuszczony, drzemiąc i stopniowo tracąc świadomość; szlochanie wiatru i trzaskanie dalekich okiennic coraz słabiej i słabiej dochodziło do mych przytępionych uszu, gdy nagle ostro i gwałtownie odezwał się nad moją głową dzwon umarłych, alarm ścinający krew w żyłach! Wstrząs ten prawie mnie sparaliżował, gdyż usłyszałem go po raz pierwszy.

Zebrałem się w sobie i pędem pobiegłem do trupiarni. Prawie w połowie pierwszego szeregu siedziała postać owinięta w prześcieradło, kiwając wolno głową z boku na bok — okropny widok. Zwrócona była do mnie bokiem. Pospieszyłem do niej i spojrzałem w twarz. Boże! To był Adler.

Czy pan zgadnie, jaka była moja pierwsza myśl? „Wymknąłeś mi się raz, tym razem już mi nie ujdiesz”.

Widać było, że opanował go niewypowiedziany strach. Niech pan tylko pomyśli. Obudzić się w głuchej ciszy i zobaczyć to ponure zgromadzenie umarłych! Cóż za wdzięczność zabłysła na tej kościstej białej twarzy, gdy ujrzał przed sobą żywego człowieka! A wdzięczność rosła, gdy oczy jego padły na życiodajne kordiały, które trzymałem w rękach! Niech pan sobie wyobrazi przerażenie, które się odbiło na tej wychudłej twarzy, gdy schowałem kordiały za plecami i rzekłem drwiąco:

— Odezwijsię, Adlerze, wołaj tych umarłych. Z pewnością usłyszą i zlitują się, ale nikt inny się tu nie zlituje!

Starał się coś powiedzieć, ale część całunu, która ścisnęła mu szczęki, trzymała się mocno i nie pozwalała mu otworzyć ust. Starał się podnieść błagalnie ręce, ale były skrzyżowane na piersi i przywiązane. Mówiłem dalej:

— Wołaj, Adlerze! Spraw, aby ludzie, śpiący daleko w swoich domach usłyszeli ciebie i przyszedli z pomocą. Wołaj, nie trać czasu, bo mało już go zostało. Co, nie możesz? To szkoda, ale mniejsza o to, to nie zawsze pomaga. Kiedy ty i twój kuzyn mordowaliście bezbronną kobietę i dziecko w Arkansas — to była moja żona i moje dziecko — one też wołały o pomoc, pamiętasz? Ale to nie pomogło. Pamiętasz, że nie pomogło, pamiętasz, prawda? Zęby ci szczękają, to dlatego nie możesz wołać? Rozluźnij rękami bandażę, wtedy będziesz mógł. Ach tak, masz przywiązane ręce, nie mogę ci pomóc. Jak dziwnie po wielu latach historia się powtarza, bo moje ręce były związane tej, nocy, pamiętasz? Tak, tak związane jak twoje teraz... jakie to dziwne. Nie mogłem się wyswobodzić. Nie przyszło ci na myśl, żeby mnie rozwiązać, a mnie teraz nie przychodzi na myśl, żeby rozwiązać ciebie. Cyt...! to spóźniony przechodzień. Idzie w tę stronę. Słuchaj, już jest blisko! Można policzyć kroki, jeden, dwa, trzy! Tak, są tuż. Teraz nadeszła chwila! Wołaj, człowieku, wołaj! To ostatnia dla ciebie szansa przed wiecznością. Ach, widzisz, zwlekalesz zbyt długo, przeszedł. O, już kroki cichną. Odszedł! — Pomyśl o tym, zastanów się, słyszałeś kroki ludzkie po raz ostatni. Jak to musi być ciekawie słuchać tak pospolitego odgłosu jak ten i wiedzieć, że nigdy nie usłyszysz się go więcej.

Och, przyjacielu, rozpacz tej obandażowanej twarzy wprawiała mnie w ekstazę! Pomyślałem o nowej torturze i zastosowałem ją — pomagając sobie trochę kłamliwym wymysłem:

— Ten biedny Kruger starał się ocalić moją żonę i dziecko, a ja w odpowiedniej chwili odwdziczyłem mu się za to. Namówiłem go, żeby cię obrabował i razem z jedną kobietą pomogłem mu zdezerterować i bezpiecznie go wyprowadziłem.

Wyraz zdziwienia i triumfu zamigotał niewyraźnie na zrozpaczonej twarzy mej ofiary. Zmieszałem się, zaniepokoiłem. Spytałem:

— Cóż to, nie uciekł?

Przeczące kiwnięcie głową.

— Nie? Cóż się stało w takim razie?

Zadowolenie na obandażowanej twarzy stało się jeszcze wyraźniejsze. Chciał wymamrotać jakieś słowo, ale nie mógł, chciał coś wyrazić skrępowanymi rękami, lecz mu się to nie udało — przestał na chwilę, a potem w znaczący sposób przechylił głowę do najbliższej leżącego trupa.

— Nie żyje? — zapytałem. — Nie udało mu się uciec? Złapany i zabity?

Przeczący ruch głowy.

— Więc co?

Znów chciał coś pokazać rękami. Przypatrywałem się pilnie ale nie mogłem się domyślić, o co mu chodziło. Schyliłem się i jeszcze uważniej popatrzyłem. Wyplątał jakoś wielki palec i z trudem starał się dotknąć nim piersi.

— Ach, zasztyletowany, chcesz powiedzieć?

Potakujące kiwnięcie razem z upiornym, tak straszliwie szatańskim uśmiechem, że nagle błysk zrozumienia przeszył mój otępiały umysł. Krzyknąłem:

— Czy to ja go przebiłem, biorąc go za ciebie? Cios był przeznaczony tylko dla ciebie.

Potakujący gest umierającego po raz drugi łotra był tak radosny, jak tylko pozwoliły na to opuszczające go siły.

— Och, ja nieszczęsny, nieszczęsny! Zabić litościwą duszę, przyjazną moim ukochanym, gdy były bezbronne! Byłby je wyratował, gdyby mógł! Och, ja nieszczęsny, nieszczęsny!

Wydawało mi się, że słyszę zduszony spazm drwiącego śmiechu. Podniosłem twarz dotąd ukrytą w dłoniach i ujrzałem mego wroga, jak opadał na pochyłą deskę.



Konał wystarczająco długo. Miał nadzwyczajną żywotność, zdumiewający organizm. Wziąłem krzesło i gazetę, usiadłem przy nim i czytałem. Od czasu do czasu pociągałem łyk wódki, bo było tam okropnie zimno. Ale po części robiłem to też dlatego, ponieważ widziałem, że ilekroć sięgałem po butelkę, myślał, że dam mu trochę. Czytałem głośno: przeważnie zmyślane sprawozdania o ludziach ocalonych na progu śmierci i przywróconych do życia i sił za pomocą paru łyżeczek trunku i ciepłej kąpieli. Tak, miał przez to długie i ciężkie konanie — trzy godziny i sześć minut, od czasu jak zadzwonił.

Panuje mniemanie, że przez całe te osiemnaście lat, które upłynęły, odkąd założono ową instytucję czuwania nad trupami, żaden z owiniętych w całun mieszkańców bawarskich domów umarłych nigdy nie zadzwonił. Ano, jest to mniemanie nieszkodliwe. Niechaj trwa dalej.

Zimno trupiarni weszło mi w kości. Odezwała się choroba, która mnie trapiła, lecz która aż do tej nocy stopniowo ustępowała. Ten człowiek zamordował moją żonę i dziecko, a w trzy dni mógł być dodać i mnie do tej listy. Mniejsza o to. O, Boże! Cóż za rozkoszne wspomnienie! Złapałem go, jak wymykał się z grobu, i wrzuciłem go tam z powrotem.

Po tej nocy przez tydzień byłem przykuty do łóżka, ale jak tylko mogłem się ruszyć, poszedłem zajrzeć do ksiąg domu umarłych i znalazłem numer domu, w którym umarł Adler. Był to nędzny przytułek. Przypuszczałem, że będąc kuzynem Krugera musiał zabrać jego rzeczy, i chciałem, jeśli to możliwe, dostać zegarek Krugera. Ale w czasie gdy byłem chory, rzeczy Adlera zostały sprzedane z wyjątkiem paru starych listów i kilku bezwartościowych drobiazgów. Z listów tych jednakże dowiedziałem się, że Kruger zostawił syna, jedynego członka rodziny. Ma teraz trzydzieści lat, z zawodu jest szewcem i mieszka w Mannheim przy Königstrasse 14. Owdowiał, zostało mu kilkoro małych dzieci. Bez podawania powodów przesyłałem mu odtąd sporą sumę na utrzymanie.

A teraz co do zegarka. Niech pan pomyśli, jak dziwnie się zdarza! Szukałem go po całych Niemczech przeszło rok wkładając w to niemało pieniędzy i trudów i wreszcie znalazłem. Znalazłem go i byłem niewymownie szczęśliwy. Otworzyłem, ale nic w nim nie było. Przecież mogłem się domyślić, że ten kawałek papieru nie zostanie tam przez cały ten czas. Oczywiście porzuciłem wtedy myśl o tych dziesięciu tysiącach dolarów, z największym zresztą smutkiem, bo chciałem je dać synowi Krugera.

Zeszłej nocy, gdy wreszcie pogodziłem się z tym, że muszę umrzeć, zacząłem się przygotowywać. Zabrałem się do spalenia wszystkich niepotrzebnych papierów i oto, z listów Adlera, które tylko pobieżnie wtedy przejrzałem, wypadł ów upragniony świstek. Poznałem go od razu. Oto jest, przetłumaczę go:

Murowana stajnia — kamienne fundamenty — środek miasta — i róg Orleans i Market. Róg od strony sądu. Trzeci kamień — rząd czwarty. Zostaw tam wiadomość, ilu ma przyjść.

Niech pan to weźmie i zachowa. Kroger mówił, że ten kamień jest ruchomy i że jest w północnej ścianie fundamentów, czwarty rząd od góry i trzeci kamień od zachodu. Za nim są schowane pieniądze. Mówił, że ostatnie zdanie jest dla zmylenia tropu, w razie gdyby papier dostał się w niepowołane ręce. Prawdopodobnie spełniło ono swe zadanie względem Adlera.

A teraz chciałem prosić, aby w czasie zamierzonej podróży w dół rzeki poszukał pan tych ukrytych pieniędzy i odesłał je Adamowi Krugerowi do Mannheim. To uczyni go bogatym człowiekiem, a ja będę spokojniej spał w grobie wiedząc, że zrobiłem, co mogłem, dla syna człowieka, który starał się ocalić moją żonę i dziecko, i chociaż moja nieświadoma ręka zabiła go, w głębi serca pragnąłem bronić go i osłaniać.

## Rozdział XXXII

### PRZEZNACZENIE KOPALNI ŻŁOTA

— Takie było opowiadanie Ritтера — powiedziałem do moich przyjaciół. Przez długi czas trwała głęboka, przejmująca cisza, potem obaj przeszli do ataku wyrzucając z siebie grad wykrzykników z podniecenia i zachwytu nad dziwnymi wypadkami owej historii.

Po chwili zapadli w milczenie i przepastną zadumę. Przez dziesięć minut panowała cisza, po czym Rogers odezwał się rozmarzony:

— Dziesięć tysięcy dolarów.

I dodał po dłuższej padzie: — Dziesięć tysięcy. Kupa pieniędzy.

Następny zapytał poeta:

— Czy pan ma zamiar przestać mu je zaraz?

— Tak — odparłem. — Dziwne pytanie.

Brak odpowiedzi. Po chwili z wahaniem zapytał Rogers:

— Wszystko?... To jest... mam na myśli...

— Oczywiście, że wszystko.

Chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale wstrzymałem się. Przyszła mi do głowy nowa myśl. Thompson o czymś rozprawiał, lecz ja błądziłem myślami gdzie indziej i nie rozumiałem, co mówi. Posłyszałem jednak odpowiedź Rogersa.

— Tak, i mnie się tak wydaje. Powinno zupełnie wystarczyć, bo wcale nie widzę, żeby on się czymś zasłużył.

Teraz odezwał się poeta:

— Jak się nad tym dobrze zastanowić, to jest więcej niż wystarczające. Spójrzcie tylko, pięć tysięcy dolarów! Przecież nie zdoła ich wydać przez całe życie! Może mu to nawet zrobić krzywdę, może go zrujnować, trzeba mieć to na względzie. Wkrótce wyda wszystko, zamknie sklep, prawdopodobnie zacznie pić, znęcać się nad dziećmi sierotami, wpadnie w inne nałogi, i tak będzie staczał się coraz niżej...

— Tak, właśnie — przerwał z zapalem Rogers — widziałem takie rzeczy setki razy. Dać pieniądze do ręki takiemu człowiekowi, to znaczy chcieć go zniszczyć. Tylko dać mu pieniądze, nic więcej nie potrzeba! Jeżeli go to nie pogrąży, nie zabije w nim pracowitości, godności własnej i wszystkiego, to ja się nie znam na ludziach, prawda, Thompson? Nawet gdybyśmy mu dali trzecią część, to nie minie sześć miesięcy, a...

— Sześć tygodni, niech pan lepiej powie — wtrąciłem podniecony. — Gdyby te trzy tysiące dolarów nie były w pewnych rękach, żeby ich nie mógł tknąć, nie upłynęłoby i sześć tygodni, a...

— Ma się rozumieć, że tak — rzekł Thompson. — Wydawałem książki tego rodzaju ludzi, i ledwie tylko wzięli honorarium, które wynosiło około dwóch, trzech tysięcy...

— Co ma wspólnego ten szewc z owymi dwoma tysiącami dolarów, chciałbym wiedzieć? — przerwał z powagą Rogers. — Człowiek może siedzi sobie teraz zupełnie z losu zadowolony tam w Mannheim, otoczony ludźmi swojej klasy, spożywa chleb z apetytem, jaki tylko dać może skrzętna pracowitość, cieszy się swym skromnym życiem, jest uczciwy, rzetelny, czystego serca i błogosławiony! Tak, powiadam, błogosławiony! Błogosławiony w stosunku do owych milionów, co chodzą w jedwabiach i kręcą się w pustym wyszukany tańcu społecznej głupoty, a wy podsuwacie mu tę pokusę! Właśnie wy kładzicie owe tysiąc pięćset dolarów przed takim człowiekiem i mówicie...

— Tysiąc pięćset diabłów! — krzyknąłem. — Pięćset zepsuje jego zasady, sparaliżuje pracowitość, zaciągnie do knajpy, stamtąd do rysztoła, do przytułku, do...

— Po co brać na siebie tę zbrodnię, panowie? — przerwał poważnie i przekonywająco poeta.

— Jest szczęśliwy tam, gdzie jest, i z tym, jak mu jest. Wszelkie poczucie honoru, wszelkie poczucie miłosierdzia, wszelkie poczucie wzniosłej i świętej ludzkiej dobroci ostrzega nas, błaga nas i każe nam zostawić go w spokoju. To jest prawdziwa przyjaźń. Moglibyśmy wprowadzić użyć innych sposobów, które byłyby bardziej efektywne, ale żaden nie jest tak naprawdę życzliwy i mądry, wierzcie mi.

Z dalszej rozmowy okazało się, że każdy z nas w głębi serca miał pewne zastrzeżenia co do takiego załatwienia sprawy. Wszyscy czuliśmy, iż należało biednemu szewcowi coś posłać! Rozwinęła się na ten temat długa i poważna dyskusja, aż wreszcie zdecydowaliśmy posłać mu barwny oleodruk.

A przecież, gdy już wszystko zdawało się załatwione ku zadowoleniu wszystkich, zjawił się nowy kłopot: okazało się, że ci dwaj spodziewali się równego podziału ze mną. Nie było to po mojej myśli. Powiedziałem, że jeżeli dostaną połowę na dwóch mogą się uważać za szczęśliwych. Rogers rzekł:

— Gdyby nie ja, kto by tu w ogóle miał cokolwiek? Ja pierwszy rzuciłem tę myśl... gdyby nie ja, wszystko dostałby szewc.

Thompson odparł, że on myślał tak samo, akurat w tym momencie, gdy Rogers zaczął mówić. Zaprotestowałem mówiąc, że pomysł ten przyszedł mi wcześniej do głowy. Jestem powolny w myśleniu — możliwe — ale to był mój pomysł, jestem tego pewien.

Sprawa tak się zaogniła, że aż doszło do kłótni, potem do bójki, każdy został porządnie poturbowany. Jak tylko poprawiłem na sobie ubranie, żeby jako tako wyglądać, w dość kwaśnym humorze wszedłem na pokład sztormowy. Spotkałem tam kapitana McCorda i powiedziałem tak uprzejmie, jak tylko mi na to pozwalał zły humor.

— Przyszedłem pożegnać się, kapitanie. Chcę wysiąść w Napoleon.

— Wysiąść gdzie?

— W Napoleon.

Kapitan roześmiał się, ale widząc, że nie jestem w wesołym nastroju, przestał się śmiać i rzekł:

— Czy pan mówi poważnie?

— Poważnie? Oczywiście.

Kapitan spojrzał na sterówkę i rzekł:

— On chce wysiąść w Napoleon.

— W Napoleon?

— Tak powiada.

— O, duchu wielkiego Cezara!

Wuj Mumford zbliżył się do nas.

— Wuju, pana przyjaciel chce wysiąść w Napoleon.

— Ależ...

Spytałem:

— Co to wszystko znaczy? Czy pasażer nie może wysiąść w Napoleon, jeżeli mu się tak podoba?

— Jak to, do diabła, nie wie pan? Nie ma żadnego Napoleon. Nie ma już od wielu, wielu lat. Rzeka Arkansas wdarła się w miasto, rozerwała je na strzępy i wrzuciła do Missisipi.

— Rozniosła całe miasto? Banki, kościoły, więzienia, redakcje dzienników, sąd, teatr, straż pożarną, stajnie, wszystko?

— Wszystko, i to zaledwie w kilkanaście minut. Nie zostawiła ani żdźbła, ani kamyczka z wyjątkiem drewnianej rudery i murowanego komina. Statek nasz płynie właśnie teraz przez miejsce, gdzie było centrum miasta. O, tam jest komin, to wszystko, co zostało po mieście Napoleon. Te gęste lasy na lewo były dawniej milę za miastem. Niech pan się obejrzy w górę rzeki, teraz zaczyna pan poznawać okolicę, prawda?

— Tak, teraz ją poznaję. Jest to najdziwniejsza rzecz, o jakiej słyszałem, słowo daję, najdziwniejsza i... nieoczekiwana.

Przez ten czas przyszli panowie Thompson i Rogers z sakwożażami i parasolami i w milczeniu słuchali nowin kapitana. Thompson włożył mi pół dolara do ręki i rzekł cicho

— Moja część na barwny oleodruk.

Następnie zrobił to samo Rogers.

Tak, to zdumiewające widzieć Missisipi toczącą wody wśród bezludnych brzegów właśnie na tym samym miejscu, gdzie dwadzieścia lat temu widziałem duże, zasobne, zadowolone z siebie miasto. Miasto, które było ośrodkiem wielkiego i ważnego okręgu, miasto z wielkim szpitalem dla marynarzy, miasto niezliczonych bójek — co dzień sprawa sądowa — miasto, w którym kiedyś znałem najładniejszą i najbardziej wykształconą dziewczynę w całej dolinie Missisipi; miasto, w którym dostaliśmy pierwszą drukowaną wiadomość o „Pennsylvanii”, wstrząsającej katastrofie ćwierć wieku temu... Nie ma już miasta, zostało połknięte, zniknęło, stało się żerem dla ryb. Nie pozostało nic, tylko szczątek drewnianej rudery i rozsypujący się murowany komin.

### Rozdział XXXIII ZAKĄSKI I ETYKA

Mówiąc o wyspie 74, która znajduje się niedaleko od dawnego Napoleon, trzeba stwierdzić, że kaprys rzeki złośliwie pogmatwał prawa ludzkie, zażartował, zrobił z nich pośmiewisko. Gdy Arkansas stało się stanem, władza jego sięgała „do środka rzeki”, tj. do linii, której nie daje się określić. Stan Missisipi rościł sobie prawa „do koryta”, tj. drugiej chwiejnej i niestałej linii. Wyspa 74 należała do Arkansas. W niedługim czasie skrót wodny odrzucił tę wielką wyspę od Arkansas, ale nie do strefy Missisipi. „Środek rzeki” był po jednej stronie, a „koryto” po drugiej. Tak przynajmniej ja to rozumiem. Czy szczegóły, które znam, są prawdziwe, czy nieprawdziwe, fakt pozostaje faktem: wielka, niezmiernie cenna, mająca cztery tysiące akrów wyspa została na lodzie i nie należy ani do jednego, ani do drugiego stanu, żadnemu nie płaci podatków, nie ma zobowiązań względem żadnego. Jeden człowiek jest właścicielem całej wyspy i słusznie można go nazwać „człowiekiem bez ojczyzny”.

Wyspa 92 należy do Arkansas. Rzeka przesunęła ją i złączyła ze stanem Missisipi. Pewien spryciarz założył sobie na niej sklep z wódką nie mając koncesji Missisipi i z bogacił się na klientach Missisipi, pozostając pod opieką Arkansas (gdzie w owych czasach koncesji nie wymagano).

Płynęliśmy w dół rzeki ciągle w samotności, rzadko spotykaliśmy parowiec lub jakąkolwiek inną jednostkę. Krajobraz zawsze ten sam: po obu stronach rzeki nieprzerwanie ciągnące się lasy, zapadła głusza. Tu i tam, na małych polankach, na szarych, nie porośniętych trawą brzegach stały chaty, które dawniej znajdowały się o pół mili bliżej, a teraz stopniowo przesuwane są coraz dalej i dalej, w miarę jak woda wrzyna się w łąd. Na przykład przy Cyplu Pilchera w przeciągu trzech miesięcy chaty zostały odsunięte o trzysta jardów, ale wyżłobione brzegi znów pod nie podeszły i trzeba je ponownie przenosić dalej w głąb łąd.

W dawnych czasach miasto Napoleon nie miało w wielkim poważaniu miasta Greenville w stanie Missisipi, a teraz spójrzcie: Napoleon stało się pokarmem dla sumów, a Greenville, pełne ruchu i życia, pięknie rozkwita w dolinie, ma, jak powiadają, trzy tysiące mieszkańców i rocznie dwa i pół miliona dolarów obrotu z handlu. I stale się rozwija.

Dużo mówiono na statku o Calhoun Land Company, przedsiębiorstwie, po którym spodziewano się zbawiennych osiągnięć. Pułkownik Calhoun, wnuk męża stanu, udał się do Bostonu i stworzył syndykat, który zakupił wielki szmat ziemi, jakieś dziesięć tysięcy akrów nad rzeką w okręgu Chicot w stanie Arkansas — na uprawę bawełny. Dążeniem jego jest pracować systemem gotówkowym, kupować z pierwszej ręki i samemu sprzedawać własne produkty, zaopatrywać murzyńskich robotników w żywność i najkonieczniejsze artykuły z minimalnym zyskiem — powiedzmy, osiem do dziesięciu procent — dać im wygodne mieszkania, etc. i zachęcać do oszczędzania pieniędzy i pozostawiania na miejscu. Jeżeli przedsięwzięcie okaże się finansowo pomyślne co wydaje się zupełnie pewne — proponują założyć w Greenville bank i dawać pożyczki na niewysoki procent, przypuścmy sześć od sta.

Dotychczasowa trudność tkwiła w tym — przytaczam uwagi plantatorów i marynarzy — że plantatorzy, choć posiadali grunt, nie mieli gotówki; musieli zastawiać tak grunt, jak i zbiory, aby móc prowadzić przedsiębiorstwo. Dlatego agent, który dostarcza pieniędzy, ponosi pewne ryzyko i żąda wysokiego procentu, zwykle dziesięć procent — oraz dwa i pół procent za pertraktacje pożyczkowe. Plantator musi również robić wszelkie zakupy przez tegoż agenta, płacąc prowizję i procent. Następnie, jeżeli zbiory wysyła statkiem, agent znów dodaje prowizję, ubezpieczenie etc. A więc od początku do końca, biorąc z grubsza, udział agenta w dochodzie wynosi około dwadzieścia pięć procent.

Oto kosztorys przeciętnych dochodów plantatora bawełny w tym okręgu: jeden robotnik i muł uprawia dziesięć akrów bawełny, dających dziesięć bel bawełny, wartości około pięciuset dolarów.

Koszt produkcji przyjmijmy na trzysta pięćdziesiąt dolarów, dochód netto sto pięćdziesiąt lub piętnaście dolarów z akra. Obecnie daje również dochód nasienie bawełny, które poprzednio miało małą wartość, a tam, gdzie trzeba było je transportować — żadną. W tysiącu sześciuset funtach surowej bawełny, czterysta to szarpie, wartości, przyjmijmy, dziesięciu centów za funt, i tysiąc dwieście funtów nasienia, wartości dwunastu lub trzynastu dolarów za tonę. Może w przyszłości nie będzie się wyrzucało nawet łądyg. Edward Atkinson mówi, że każda bela bawełny odpowiada tysiącu pięciuset funtom łądyg, które obfitują w fosfat wapnia i potas, i że zmielone i zmieszane z kiszonkami lub mączką z nasienia bawełny (która jest zbyt esencjonalna jako pasza w większych ilościach) są doskonałą paszą obfitującą we wszystkie składniki potrzebne do produkcji mleka, mięsa i kości. Dotychczas łądygi uważano za niepotrzebne odpady.

Słysząc skargi, że plantator po wojnie jest w dalszym ciągu zły dla dawnego niewolnika, utrzymuje z nim jedynie chłodne urzędowe stosunki, nie chce sobie zadać nawet tyle trudu, aby skłaniać go i zachęcać do pozostania na miejscu, ale przekazuje ten przywilej jakiemuś sprytnemu Izraelicie, który namawia lekkomyślnego Murzyna i jego żonę na kupno różnych rzeczy, bez których mogą się obejść, kupno na kredyt, miesiąc za miesiącem, po wysokich cenach, kredyt oparty na udziale Murzyna w jeszcze rosnących zbiorach. W końcu sezonu udział Murzyna należy już do Izraelity; poza tym Murzyn jest w długach, zniechęcony, zawiedziony, niespokojny — i tak on, jak i plantator są poszkodowani; ponieważ Murzyn siada na statek i emigruje, plantator musi na jego miejsce brać nowego, i znowu nie dba o swego niewolnika, który przez jeden sezon tuczy Izraelitę — a potem dzieje się z nim tak samo jak z jego poprzednikiem.

Jest nadzieja, że Calhoun Company przez swój ludzki i opiekuńczy stosunek do robotników pokaże, iż metoda ta jest najkorzystniejsza tak dla plantatora, jak i Murzyna; przypuszcza się też, że zostanie ogólnie przyjęta.

Gdzie tyłu rozprawia, czyż nie powinien odezwać się także i barman? Jest przezorny, spostrzegawczy, nie pije nigdy — stara się zarobić na swojej pensji i zarobiłby, gdyby miał dosyć klientów. Powiada, że tu w stanie Missisipi i Luizjana ludzie wolą raczej posyłać po jarzyny w górę rzeki, niżeli je hodować, i że na przystaniach wchodzą na statek, kupują owoce od barmana. Uważa, że „o niczym innym nie myślą, tylko o bawełnie”, jest przekonany, że nie wiedzą, jak się hoduje jarzyny i owoce, „przynajmniej większość”. Powiada: „Murzyn pójdzie do H. po kawon” (H. to jest wszystko, co znajduję w zapiskach stenografa — oznacza prawdopodobnie Halifax — choć to spory kawał drogi, żeby się wyprawić po kawon). Barman kupuje kawony w górze rzeki po pięć centów, przywozi je w dół rzeki i sprzedaje po pięćdziesiąt. „Dlaczego miesza takie wyszukane i kolorowe napoje dla Murzynów na statku?” Bo nie chcą innych. „Chcą porządnego trunku: wszystko jedno, z czego zrobić go dla nich — chcą, żeby był wart ich pieniędzy. Jeżeli Murzynowi dać ćwiartkę półdolarowej czystej brandy za pięć centów — czy jej dotknie? Nie. Za mała. Ale jeżeli dasz pół kwarty wszelkiego świństwa i dolejesz czegoś czerwonego, żeby ładnie wyglądało —

grunt, żeby było czerwone — nie odstawi takiej szklanki, nawet gdyby przez to nie poszedł do cyrku”. Wszystkie bary Kotwicznej Linii dzierżawi i posiada jedna firma. Dostarcza trunków z własnego przedsiębiorstwa i zatrudnia barmanów płacąc im „pensję”. Dobre trunki? Tak, na niektórych statkach, gdzie są pasażerowie, którzy takich żądają i mogą za nie zapłacić. A na innych statkach? Nie, tam nikt nie pije, tylko marynarze pokładowi i palacze. „Brandy?! Tak, mam pełno brandy, ale pan jej nie tknie, chyba że pan już zrobił testament”. Dawniej tak nie było. Wtedy wszyscy pili, jeden częstował drugiego. „Teraz prawie wszyscy podróżują koleją, a reszta nie pije”. Dawniej barman był właścicielem baru, był wesoły, dowcipny, rozmowny, cały obwieszony biżuterią, i był największym arystokratą na statku — zwykle na jednym rejsie zarabiał dwa tysiące dolarów. Ojciec, który zostawiał synowi bar na parowcu, zostawiał mu fortunę. Teraz zostawia mu lokum i utrzymanie; tak, i pranie — jeżeli jedna koszula wystarczy na cały rejs. Tak, tak, czasy się zmieniły. A czy wiecie, że na statkach głównej linii żeglugowej w Górnej Missisipi nie ma wcale baru? Brzmi to jak bajka, a to szczerza prawda!

## Rozdział XXXIV SROGIE OPOWIEŚCI

Kopiasta Wyspa. Pamiętałem Kopiastą Wyspę, także jezioro Providence, w stanie Luizjana — pierwsze miasto o wyraźnie południowym charakterze, do którego się przybywa płynąc w dół rzeki. Położone jest nisko i płasko, cieniste drzewa obieszane są szarymi brodami hiszpańskiego mchu, „spokojny, zadumany, niedzielny wygląd miasta” — mówi z uczuciem wuj Mumford. I mówi prawdę.

Niejaki pan H. opowiedział mi kilka drobnych szczegółów i faktów dotyczących tego okręgu, w które raczej bym nie uwierzył, gdybym nie wiedział, że jest oficerem na parowcu. Był naszym pasażerem, mieszkał w Arkansas City i teraz udawał się do Vicksburga, by tam sięść na swój statek, mały transportowiec „Sunflower”. Był to człowiek surowy i mówiono o nim, że jest wyjątkowo, jak na wodniaka, nietowarzyski. Między innymi mówił, że Arkansas doznało szkody wskutek wyolbrzymiania przez wiele pokoleń sprawy moskitów. Można się śmiać i bagatelizować sprawę, poczytując ją za drobiazg, lecz kiedy się przyjrzeć jej skutkom, chociażby osłabieniu imigracji i obniżeniu wartości gruntów — nie jest to wcale taki drobiazg, z którego można by sobie pokpiwać. Moskity uparcie przedstawiano jako groźne i nieujarzmione, podczas gdy „naprawdę są słabe, maleńkie, niezmiernie bojaźliwe, wrażliwe” i tak dalej. Myślałby kto, że mówi o swojej rodzinie. Ale, o ile był czuły dla moskitów z Arkansas, o tyle srogi dla moskitów z jeziora Providence, „tych olbrzymów z jeziora Providence”, jak je w końcu nazwał. Mówił, że dwa takie moskity potrafią wygarbować skórę psu, a cztery powalą człowieka, i o ile nie przyjdzie pomoc, zabiją go, „zarąbią”, jak się wyraził. Wspomniał mimochodem, a jednak znacząco, o fakcie, że „w jeziorze Providence oprócz zwykłego ubezpieczenia na życie biorą jeszcze za ubezpieczenie od moskitów”. Opowiadał o tych nieujarzmionych owadach wiele niezwykłych rzeczy. Między innymi, że widział, jak próbowały głosować. Zauważywszy, że pewno już trochę przeholował, zmienił to nieco: powiedział, że może myli się co do tego, ale jest pewien, że widział, jak „agitowały” koło urn wyborczych.

Był jeszcze drugi pasażer, przyjaciel pana H., który poparł surowe oskarżenie wniesione przeciw moskitom i opowiedział szczegółowo kilka wstrząsających przygód z moskitami. Historie te były niezbyt długie, jednak pan H. ciągle je przerywał zimnym, nieubłaganym: „Poczekaj, odrzuć z tego dwadzieścia pięć procent i mów dalej!” albo „Poczekaj, wyolbrzymiasz to, ujmij trochę, ujmij — ubierasz swoje opowiadanie w strojne szatki — fakty trzeba zawsze ubierać w trykoty, nigdy w bufiaste kostiumy!”, albo „Przepraszam cię jeszcze raz, jeżeli dorzucisz coś do tego opowiadania, będziesz musiał sprowadzić parę

lichtug, a resztę holować, bo wypiera już całą wodę z rzeki. Trzymaj się faktów, po prostu trzymaj się nagich faktów, ci panowie potrzebują do książki rzetelnej prawdy, prawda, panowie?” Wyjaśnił nam potem, że trzeba było koniecznie pilnować tego człowieka przez cały czas i trzymać go w ryzach. Nie należało zaniedbywać tej ostrożności! Mówił: „Nie chcę panów oszukiwać, powiedział mi kiedyś takie straszliwe kłamstwo, że spuchło mi lewe ucho i takie było olbrzymie, że nic poza nim nie widziałem. Trwało to przez wiele miesięcy i ludzie przychodzili z daleka, żeby zobaczyć, jak się nim wachluje”.

## Rozdział XXXV

### VICKSBURG W OPAŁACH

Dawniej, płynąc w dół rzeki, mijaliśmy położone wysoko na Wzgórzu miasto Vicksburg — teraz już tego nie możemy zrobić. Skrót rzeczny uczynił z niego zapadłe miasteczko, jak Osceola, St. Genevieve i kilka innych. Obecnie pod Vicksburgiem woda jest stojąca i znajduje się tam wielka wyspa. Trzeba płynąć w dół rzeki po drugiej stronie wyspy, a potem zawracać do miasta. Tak jest podczas wielkiej wody; podczas niskiej nie można płynąć w górę — trzeba zatrzymać się w pewnej od niego odległości.

Do tej pory pozostały ślady i znaki, jako pamiątki straszliwych doświadczeń wojennych Vicksburga: okopy, drzewa pokiereszowane armatnimi kulami, jamy w gliniastych zboczach służące jako schrony. Jamy te oddały wielkie usługi podczas sześciotygodniowego bombardowania miasta od 18 maja do 4 lipca 1863 r. Służyły jako schronienie bezbronnej ludności, zwłaszcza kobietom i dzieciom. Były to po prostu dziury lub korytarze wywiercone w pionowym, gliniastym brzegu, rozwidlające się w środku wzgórza w kształt litery Y. Życie w Vicksburgu, podczas tych sześciu tygodni było może... — lecz poczekajcie. Oto jest trochę materiału, z którego można to odtworzyć:

Ludność składała się z dwudziestu siedmiu tysięcy żołnierzy i trzech tysięcy cywilów. Miasto było całkowicie odcięte od świata, solidnie ufortyfikowane — od przodu za pomocą kanonierek, a od tyłu bateriami i żołnierzami. Dlatego też nie było żadnego sprzedawania, kupowania i kontaktu ze światem zewnętrznym, żadnego chodzenia tam i z powrotem, zegnania odchodzącego gościa ani witania przybywającego — żadnych drukowanych wiadomości ze świata do czytania przy śniadaniu. Nie było już biegania na brzeg, aby zobaczyć w oddali dym przepływających statków. Rzeka leżała pusta i niezmacona. Żadnego ruchu ani zgiełku na stacji kolejowej, żadnego przedzierania się przez tłumy pasażerów, przez hałaśliwe grupki woźniców — wszędzie panował spokój. Mąka dwieście dolarów beczułka, cukier — trzydzieści, zboże — dziesięć dolarów buszel, bekon — pięć dolarów funt, rum — sto dolarów galon itd. Stąd żadnego stuku ani turkotu wozów i pojazdów pędzących przez ulice. Nie miały nic do roboty wśród garści wysupłanych z pieniędzy cywilów. O trzeciej rano cisza — taka martwa cisza, że miarowy krok wartownika słychać, zda się, na kilka mil dokoła. Poza tym samotnym odgłosem panuje absolutna cisza. Nagle rozlega się wstrząsający grzmot artylerii, niebo zasnuwa pajęczyna krzyżujących się czerwonych ogni, które tryskają z rozpędzonych pocisków, a na miasto spada deszcz żelaznych odłamków. Spada na puste ulice, ulice, które w mgnieniu oka zapełniają się skłębionym tłumem niewyraźnych postaci, przerażonych kobiet i dzieci uciekających z domów i łóżek do jam-schronów. Popędzają je żołnierze, wołając z ponurym humorem: „Szczury do dziury” i śmieją się.

Grzmot kanonady szaleje, pociski wyją, nad głową trzaski, deszcz żelaza leje się z nieba przez godzinę, dwie, trzy, może sześć, a potem ustaje. Następuje cisza, ale ulice ciągle są puste. Cisza trwa. Po jakimś czasie tu i tam z jamy wychyla się głowa i ostrożnie rozgląda się — w trwającej ciągle ciszy. Za głowami ukazują się całe postaci i znużone, na pół żywe istoty gromadzą się, rozprostowują pokurczone członki, wciągają w płuca głębokie hausty

ożywczego, świeżego powietrza, gawędzą z sąsiadami z najbliższej jamy, może rozchodzą się wprost do domów albo okrężną drogą przez miasto, o ile cisza trwa jeszcze — a za chwilę, gdy burza wojny rozpęta się na nowo, znów popędzą do pieczar.

Ponieważ w pieczarach gromadziło się tylko trzy tysiące mieszkańców — tyle co ludność jednej wioski — po dwóch tygodniach wszyscy dobrze się znali. Tak dobrze, że powodzenie czy niepowodzenie jednego interesowało wszystkich.

To są materiały, które dostarczyła historia. Prawie każdy mógłby sobie z nich odtworzyć życie Vicksburga w owym czasie. Czy wy, którzyście tego nie doświadczyli, moglibyście lepiej je odtworzyć niż mieszkaniec Vicksburga, który tam był, i przekazać drugiemu, który tam nie był? To się wydaje niemożliwe, a jednak czasem tak bywa. Kiedy ktoś po raz pierwszy płynie okrętem, jest to doświadczenie, które aż jeży się od nowych wrażeń, wrażeń, które stanowią tak ostry kontrast z wszystkim, co dotychczas doświadczył, że wydają się doszczętnie opanowywać jego umysł i wyobraźnię. Językiem lub piórem może on zmusić szczura lądowego, aby razem z nim przeżył ową dziwną i podniecającą podróż, aby wszystko widział i wszystko odczuł. Ale jeżeli czeka? Jeżeli odbędzie dziesięć podróży jedna po drugiej, co wtedy? Rzecz traci już barwę, chwyt, niezwykłość, staje się normalna. Nic nie będzie miał do powiedzenia, co by przyspieszyło puls szczura lądowego.

Wiele lat temu rozmawiałem z pewnym małżeństwem z Vicksburga. Gdy przyszło im opowiadać swoje dzieje, mówili bez zapału, prawie bez zainteresowania.

Z pewnością, gdyby mieli opowiedzieć tylko jeden tydzień tego niezwykłego życia, byłiby bardziej wymowni, ale mieli aż sześć tygodni. Przyzwyczaili się do uciekania z domu przed bombardowaniem i chowania się w jamach — wszystko im spowszedniało. A oto co opowiadał mężczyzna:

— Przez cały czas była niedziela. Mieliśmy w każdym razie siedem niedziel w tygodniu. Nie było nic do roboty, a czas włókł się ospale. Siedem niedziel, które w dzień i w nocy zakłócała straszliwa burza ognia, huk i grad pocisków. Z początku włączyliśmy do jam natychmiast, później już nie spieszyliśmy się tak bardzo. Pierwszy raz zapomniałem o dzieciach i Maria je ciągnęła ze sobą. Gdy znalazła się już w schronie, zemdłała. Po dwóch czy trzech tygodniach, gdy pewnego rana biegła do schronu wśród deszczu pocisków, jeden rozerwał się tuż koło niej, zasypał całą kurzem, a odłamek żelaza zdmuchnął jej z tyłu głowy treskę. Nim pobiegła dalej, zatrzymała się, żeby ją znaleźć! Widzi pan, już się zaczęła przyzwyczajać. Wszyscyśmy się przyzwyczaili i mogliśmy już dużo powiedzieć o pociskach, a poza tym, jeżeli było lekkie bombardowanie, to nawet nie zawsze wchodziliśmy do schronu. My, mężczyźni, spacerowaliśmy sobie i rozmawiali. Jeden na przykład mówił: „O, leci!”, a słysząc warkot pocisku wymieniał jego kaliber — i rozmawiał dalej, jeżeli nie było niebezpieczeństwa. Jeżeli pocisk wybuchał tuż nad nami przestawaliśmy rozmawiać i zatrzymywaliśmy się bez ruchu, bo ruszać się było niebezpiecznie. Gdy przeszło, gawędziliśmy dalej, o ile nikt nie był ranny. Mówiliśmy na przykład: „Ależ to rozpruwacz!” lub coś podobnego i znów podejmowaliśmy rozmowę. Albo widzieliśmy, jak wysoko w powietrzu, nad naszymi głowami pocisk nagle wypada ze swej drogi. Wówczas każdy bąkał krótkie: „Do widzenia, panowie!” i zmykał. Bardzo często widywałem grupki pań przechadzających się beztrąsko po ulicach, które zerkając w górę śledziły bieg pocisków. Stawały nieruchomo, jeśli nie były pewne, co pocisk ma zamiar uczynić — a potem wolno szły dalej lub szukały schronienia, zależnie od sytuacji. Na ulicach niektórych miast leżą całe stosy papieru i różnych innych odpadków, u nas były za to stosy żelastwa. Czasem ktoś zebrał wszystkie odłamki i niewypały leżące w sąsiedztwie i ułożył z nich w ogródku, przed domem, rodzaj pomnika — nieraz całą tonę. Potłukło się wszystko szkło. Puste okna w domach wyglądały jak oczodoły w czaszce. Cała szybka była taką rzadkością jak świeże wiadomości.

W niedzielę mieliśmy nabożeństwo. Z początku przychodziło niewiele ludzi, ale potem zupełnie spora gromadka. Czasem przerywano je na chwilę, wtedy każdy siedział



nieruchomo, w milczeniu, zupełnie jak na pogrzebie, a nad głowami rozlegał się straszliwy huk i trzask. Lecz zaraz, jak tylko można było usłyszeć czyjś głos, nabożeństwo odbywało się dalej. Organy i śpiew kościelny, zmieszany z bombardowaniem, to potężna, dziwaczna kombinacja, przynajmniej z początku. Wychodząc pewnego ranka z kościoła mieliśmy wypadek, jedyny, jaki zdarzył się przy mnie w niedzielę. Właśnie witałem się serdecznie potrząsając dłoń jednego z moich przyjaciół, którego od dawna nie widziałem, i mówiłem: „Wpadnij do naszej jamy dziś wieczór, po bombardowaniu, mamy pół kwarty pierwszorzędnej wh...”, chciałem, wie pan, powiedzieć „whisky”, ale przeszkodził mi pocisk. Odłamek odrąbał mu ramię i zostawił je dyndające w moim ręku.

A wie pan, co najdłużej zostało mi w pamięci, dłużej niż wszystko inne, daję słowo, to ta podła myśl, która wtedy przyszła mi do głowy: „whisky uratowana!” Ale wtedy, wie pan, można to było wybaczyć, bo whisky była taką rzadkością jak brylanty. Nie dotknąłem jej zresztą więcej podczas całego oblężenia.

Czasami jamy były rozpaczliwie zatłoczone, zawsze gorące i duszne. Niekiedy w jednej siedziało ściśniętych dwadzieścia, dwadzieści pięć osób — ani się gdzie obrócić, powietrze ciężkie. W takim powietrzu nawet nie mógłby pan zapalić świecy. Pewnej nocy w jednej z jam urodziło się dziecko. Niech pan pomyśli, to tak, jakby urodziło się w kufrze.

Mieliśmy jamę na osiem osób, ale dwa razy było w niej szesnaścioro, a tak przeważnie po dwanaścioro ludzi. Głód, nędza, choroby, strach, smutek i inne nieszczęścia tak się naraz zwały, że po oblężeniu nikt już nie był naprawdę sobą. Z wyjątkiem nas trojga; w przeciągu paru lat wszyscy poumierali. Pewnej nocy pocisk wybuchł przed jedną z jam, zawałił ją i zabarykadował wyjście. Mieli sporo roboty, nim nas odkopali. O mało co się nie podusiliśmy. Potem robiliśmy już dwa otwory — należało o tym pomyśleć od początku.

Mięso mułów? Nie, tak nisko upadliśmy dopiero ostatniego czy przedostatniego dnia. Ma się rozumieć, że było dobre; wszystko jest dobre, gdy się umiera z głodu.

Czy człowiek ten prowadził dziennik przez sześć tygodni? Nie, tylko przez pierwsze sześć dni. Pierwszego dnia — osiem bitych stron, drugiego — pięć, trzeciego — jedną, rzadko zapisaną, czwartego — trzy czy cztery linie; jedną linię czy dwie — piątego i szóstego dnia; siódmego dnia porzucił dziennik: życie w straszliwym Vicksburgu stało się teraz chlebem powszednim.

Historia wojenna Vicksburga jest bardziej interesująca dla przeciętnego czytelnika niż historia któregośkolwiek innego nadbrzeżnego miasta. Jest pełna urozmaiconych wydarzeń i malowniczości. Vicksburg trzymał się dłużej niż inne miasta nadbrzeżne i widział poszczególne koleje wojenne we wszelkich ich fazach, na lądzie i na wodzie: oblężenie, zakładanie min, atak, odparcie, bombardowanie, choroby, niewolę, głód.

Najpiękniejszy ze wszystkich narodowych cmentarzy znajduje się tutaj. Nad wielką bramą widnieje napis:

TU SPOCZYWA W POKOJU 16 000  
TYCH KTÓRZY POLEGLI ZA OJCZYZNĘ  
W LATACH 1861 — 1865

Cmentarz jest pięknie, wysoko położony, z widokiem na pola i rzekę. Rozplanowano go ciekawie, tworząc szerokie tarasy z krętymi alejkami i ścieżkami bogato przyozdobione podzwrotnikowymi krzewami i kwiatami. W jednej jego części pozostawiono kawałek nietkniętego, naturalnego, dzikiego lasu, który rośnie sobie swobodnie i przez to posiada nieodparty urok. We wszystkim na tym cmentarzu widać rękę rządu. To, co robi rząd, jest zawsze znakomite, solidne i rzetelnie wykonane. Bo po pierwsze, rząd to, co robi, robi dobrze, a potem jeszcze troszczy się o swoje dzieło.

Krętymi drogami, tak głęboko nieraz wydrążonymi w pionowych ścianach, że tworzyły nieomal tunele bez dachu, pojechaliśmy parę mil, aby obejrzeć pomnik, który stoi w miejscu,

gdzie generał Pemberton podpisał akt o kapitulacji i oddał Vicksburg generałowi Grantowi. Zrobiony jest z metalu, co ochroni go od szram i obłupań, które tak pokiereszowały jego marmurowego poprzednika, ale murowane fundamenty rozsypują się i niedługo pomnik się zawali. Stoi wysoko, ponad malowniczą okolicą zalesionych wzgórz i przepaści — sam również malowniczy, jako że zakrywają go kwitnące chwasty. Pogruchotany szczątek marmurowego pomnika przeniesiono na Cmentarz Narodowy.

Na drodze, ćwierć mili w kierunku miasta, czarny starzec pokazał nam z dumą niewypała, który leżał na jego podwórzu od czasu oblężenia.

— Ja stać tutaj, a pies stać tutaj, pies iść do pocisk, ale ja nie — ja mówię: „Bądź tu jak w domu, leż spokojnie, tam gdzie leżysz, albo wybuchnij i wszystko na kawałki, jak chcesz, ale ja muszę do lasu, ja tam mieć robotę!”

Vicksburg jest miastem o bogatych, handlowych ulicach i przyjemnych domach mieszkalnych. Opanowało ono handel na rzekach Yazoo i Sunflower, buduje koleje w różnych kierunkach przez żyzne, rolnicze okolice i ma przed sobą obiecującą, pełną dobrobytu i znaczenia przyszłość.

W ogóle prawie wszystkie wielkie czy małe miasta, położone nad rzeką postanowiły szukać bogactwa w kolejach. Wszystko przemawia za tym, że następne dwadzieścia lat przyniosą godne uwagi zmiany w dolinie, pod względem wzrostu ludności, bogactwa, postępu intelektualnego oraz idącej z nim w parze swobody myślenia. A jednak sądząc po przeszłości, nadbrzeżne miasta nie omieszkają skorzystać tu i tam ze sposobności, aby okuliwić i opóźnić postęp. Za czasów panowania żeglugi parowej miasta te pozostawały w tyle z powodu systemu opłat portowych, tak niemądrze rozłożonych, że hamowały to, co można by nazwać detalicznym ruchem towarów i pasażerów. Statki obciążono tak wysokimi opłatami portowymi, że nie stać ich było na to, by wysadzać na ląd jednego lub dwóch pasażerów albo wyładowywać lekki ładunek. Zamiast zachęcać handel do rozwoju, miasta stale i skutecznie go hamowały. Mogły być mieć dużo statków i niskie stawki, ale wolały mieć mało statków i wysokie stawki. Była to polityka, która sięgała i sięga od Nowego Orleanu do St. Paul.

Mieliśmy wielką ochotę zrobić wycieczkę w górę rzeki Yazoo i Sunflower, w okolicę ciekawą zawsze, ale teraz tym ciekawszą, że w górze owych rzek można było jeszcze dotąd oglądać wielką powódź. Ale ponieważ musielibyśmy czekać dzień albo i więcej na statek z Nowego Orleanu, zrezygnowaliśmy z tego projektu.

Przekażę teraz czytelnikom moim opowiadanie, które usłyszałem na statku owego wieczora. Zamieszczam je tutaj tylko dlatego, że jest to dobre opowiadanie, a nie dlatego, żeby się wiązało z treścią książki. Opowiadał tę historię pasażer, profesor college’u, a wy płynęła w ciągu ogólnej gawędy, która zaczęła się rozmową o koniach, potem zбочzyła na astronomię, na zlinchowanie szulera w Vicksburgu pół wieku temu, wreszcie na sny i przesady, a skończyła się o północy dyskusją na temat wolnego; handlu i ceł ochronnych.

## Rozdział XXXVI

### OPOWIADANIE PROFESORA

Działo się to w dawnych czasach. Nie byłem wtedy jeszcze profesorem w college’u. Jako skromny, młody geometra miałem przed sobą cały świat do zmierzenia, gdyby ktoś tego zażądał. Zawarłem kontrakt na wymierzenie drogi do wielkiej kopalni w Kalifornii i wybrałem się tam drogą morską — około czterech tygodni podróży. Na statku było mnóstwo pasażerów, lecz ja miałem im bardzo mało do powiedzenia. Pasjami lubiłem czytać i marzyć i żeby się móc temu oddawać, unikałem rozmowy. Było tam trzech zawodowych graczy — gburowatych, odpychających ludzi. Nigdy z nimi nie rozmawiałem, ale nie mogłem ich nie widywać, ponieważ dzień i noc grali w jednej kabinie na górnym pokładzie. Spacerując często widziałem ich przez lekko uchylone drzwi, które otwierano, by wypuścić nadmiar

tytoniowego dymu i przekleństw. Było to złe, odpychające towarzystwo, lecz musiałem się z tym naturalnie pogodzić.

Podróżował z nami jeszcze inny pasażer, który mi się często nawijał przed oczy, bo zdawało się, że postanowił zaprzyjaźnić się ze mną, a ja nie mogłem się go pozbyć nie uraziwszy jego uczuć. A wolałem tego uniknąć. Poza tym, w swej wiejskiej prostocie i promieniującej dobroduszością miał coś ujmującego. Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Johna Backusa, z powierzchowności wyglądał mi na jakiegoś hodowcę bydła czy farmera z głębokich lasów w którymś z zachodnich stanów, niewątpliwie w Ohio. Potem, kiedy zaczął opowiadać mi swoje dzieje i dowiedziałem się, że jest hodowcą bydła ze środkowego Ohio, byłem tak zadowolony z własnej przenikliwości, że zapalałem do niego sympatią za to, że potwierdził moje przeczucia.

A więc co dzień po śniadaniu zjawiał się, by mi towarzyszyć w spacerze — i tak, z biegiem czasu jego ruchliwy język opowiedział mi wszystko o jego zawodzie, planach, rodzinie, krewnych, zapatrywaniach politycznych, o wszystkim, co dotyczyło żywego czy umarłego Backusa. Przez ten czas, zdaje się, zdołał wyciągnąć ze mnie wszystko, co mogłem mu powiedzieć o moim zawodzie, rodowodzie, zamiarach, planach i o mnie samym. Był to geniusz łagodności i perswazji i tu się to właśnie okazało, bo ja niełatwo dawałem się skłonić do zwierzeń. Pewnego razu wspomniałem coś o triangulacji. Uroczysty wyraz spodobał mu się, zapytał, co znaczy — wyjaśniłem; odtąd z całym spokojem i beztrząsą przechodził do porządku dziennego nad moim nazwiskiem i zawsze nazywał mnie Triangle.

Cóż to był za entuzjasta bydła! Na samą wzmiankę o byku czy krowie oczy poczynały mu błyszczeć, a wymowny język zaczynał się obracać. Przez cały czas, jak spacerowaliśmy, on mówił. Znał wszystkie rasy bydła, kochał je wszystkie i czule o nich mówił. Kroczyłem obok niego w niemym przygnębieniu, podczas gdy on roztrząsał zagadnienia dotyczące bydła. Kiedy już nie wytrzymałem, wplątałem zgrabnie w rozmowę jakiś temat naukowy. Wtedy zapalały się moje oczy, a jego gasły; mój język stawał się obrotny, jego zamierał; dla mnie życie było radością, dla niego smutkiem.

Pewnego dnia powiedział z lekkim wahaniem i nieśmiałością:

— Triangle, czy nie zechciałby pan zejść do mojej kabiny na chwilę i porozmawiać o pewnej sprawie?

Poszedłem natychmiast. Kiedyśmy przyszli, wysunął głowę za drzwi, rozejrzał się ostrożnie po całej kabinie, potem zamknął drzwi i przekręcił klucz. Usiedliśmy na sofie, a on zaczął:

— Chciałbym zrobić panu małą propozycję. Jeśli się panu spodoba, będzie to niegorsza rzecz dla nas obu. Pan przecież nie wybrał się do Kalifornii dla przyjemności ani ja, ale dla interesu, prawda? A więc pan może mi oddać przysługę, a ja panu, jeśli się zgodzimy. Ładne parę lat ciulałem, zbierałem, oszczędzałem, i wszystko to mam tutaj.

Otworzył kluczem stary, obity skórą kufer, odrzucił na bok jakieś nędzne odzienie i wyciągnął na chwilę gruby, pękaty worek; po czym schował go z powrotem i zamknął kufer na klucz. Zniżając ostrożnie głos do szeptu mówił dalej: — Wszystko jest tutaj, okrągłe dziesięć tysięcy dolarów, w żółtych kóleczkach, a oto mój mały projekcik. Nie ma takiej rzeczy, której bym nie wiedział o hodowli bydła, a jeśli jest, to nic niewarta. Można na bydle zarobić w Kalifornii kopalnię pieniędzy. Ja wiem i pan wie, że wzdłuż linii, którą się wymierza, zostają małe kawałki ziemi, zwane „różkami”, które geometra otrzymuje za darmo. Wszystko, co by pan miał do zrobienia ze swojej strony, to wymierzać w taki sposób, żeby „różki” wypadły na dobrą, tłustą ziemię. Potem pan by mi je oddawał, ja bym hodował na nich bydło — i gotóweczka leci — wykładam panu część regularnie, w dolarach, jak się należy, i...

Przykro mi było gasić ten gorący entuzjazm, ale nie było innej rady. Przerwałem, mówiąc surowo:

— Nie jestem geometrą tego typu, zmieńmy więc temat, panie Backus.

Litość brała patrzeć na jego zmieszanie i słuchać niezgrabnych i nieśmiałych przeprosin. Byłem tak samo przygnębiony jak on, zwłaszcza że wydawało się, iż nawet nie podejrzewał, żeby w jego propozycji było coś niewłaściwego. Wobec tego zacząłem go zaraz pocieszać i żeby zapomniał o swoim niepowodzeniu, znowu wciągnąłem go w rozprawy o bydle i uboju. Staliśmy w Acapulco. Kiedy wyszliśmy na pokład, akurat załoga zaczynała wciągać na statek parę krów na postronku. Melancholia Backusa zniknęła natychmiast, a z nią i pamięć ostatniej porażki.

— Niech no pan tylko popatrzy! — krzyknął. — O Boże, panie Triangle, co by na to powiedzieli w Ohio? Czy by im wylazły ze zdziwienia, co tu robią z bydłem! Co? Może nie? Wszyscy pasażerowie byli na pokładzie, żeby się przyglądać — nawet gracze — a Backus znał wszystkich i wszystkich zaraził swym ulubionym tematem. Odchodząc widziałem, jak zagadnął go jeden z graczy — potem drugi, trzeci. Zatrzymałem się, by ich obserwować; rozmowa między czterema mężczyznami toczyła się dalej; stała się poważna. Backus stopniowo wycofywał się — gracze szli tuż za nim. Byłem niespokojny. Jednakże, kiedy mnie mijali, usłyszałem, jak Backus mówił strapionym tonem:

— Nic z tego nie będzie, panowie — powtarzam jeszcze raz, co już wam nieraz mówiłem, że nie znam się na tym i nie mam zamiaru ryzykować.

Poczułem ulgę. „Rozsądek będzie dla niego dostateczną obroną” — rzekłem do siebie.

W ciągu dwóch tygodni podróży od Acapulco do San Francisco kilka razy widziałem graczy rozmawiających poważnie z Backusem i raz próbowałem go łagodnie ostrzec. Zachichotał z zadowoleniem i odparł:

— O tak, krążą koło mnie niezgorzej. Chcą, żebym zagrał troszeczkę — tylko dla zabawy, powiadają — ale niechaj zginę, jeżeli moi ziomkowie nie mówili, żeby uważać na takie bydło — mówili mi tysiące razy, daję słowo.

I tak powoli zbliżaliśmy się do San Francisco. Noc była czarna i ponura, wiał silny wicher przy niezbyt wysokiej fali. Stałem na pokładzie sam. Około godziny dziesiątej zszedłem na dół. Z jaskini graczy wyłoniła się jakaś postać i zniknęła w ciemności. Doznałem wstrząsu, gdyż byłem pewien, że to Backus. Zbiegłem w dół po trapie, szukałem go, nie mogłem znaleźć i wróciwszy na pokład zobaczyłem, jak właśnie wracał do tego przeklętego gniazda łotrostwa. Czyżby się wreszcie poddał? Obawiałem się tego. Po co chodził na dół? Po worek z pieniędzmi? Możliwe. Pełen złych przeczuć przysunąłem się bliżej drzwi. Były uchylone, zerknąłem do środka i ujrzałem widok, który sprawił, iż gorzko pożałowałem, że, zamiast czytać i marnować czas na marzenia, nie zająłem się raczej ocaleniem mego biednego przyjaciela, hodowcy bydła. Grał. Gorzej, wlał w niego szampana i już widać było tego skutki. Chwalił „jabłecznik”, jak go nazywał, i mówił, że teraz, gdy poznał jego smak, jest prawie pewien, iż napiłby się go, nawet żeby to był alkohol, bo taki jest dobry i jeszcze nigdy w życiu takiego nie pił. Ukradkowe uśmiechy pojawiły się na twarzach łotrów — napełnili wszystkie kieliszki i podczas gdy Backus uczciwie wypróżnił swój do dna — oni tylko udawali, że to robią, wylewając wino za siebie.

Nie mogłem znieść tego widoku, więc poszedłem dalej i starałem się zająć morzem i szumem wiatru. Lecz wszystko to na nic — niepokój co kwadrans ściągał mnie tam z powrotem i ciągle widziałem Backusa pijącego wino, uczciwie i dokładnie, a innych wylewających je za siebie. Była to najbardziej męcząca noc, jaką przeżyłem.

Miałem tylko nadzieję, że wkrótce zawiniemy do portu i to przerwie grę. Pomagałem statkowi, jak tylko mogłem, modłami. Wreszcie przepłynęliśmy śpiewająco przez Złociste Wrota i serce zaczęło mi skakać z radości. Pobiegłem do owych drzwi i spojrzałem do środka. Niestety, mała nadzieja. Oczy Backusa były znużone i nabiegłe krwią, twarz spocona, purpurowa, mowa niewyraźna i chrapliwa, cały kiwał się pijacko razem z chwiejnym kołysaniem statku. Znow wychylił do dna kieliszek, gdy rozdano karty. Wziął swoje karty,

spojrzał na nie i zamglone oczy zabłyśły na chwilę. Gracze zauważyli to i ledwie dostrzegalnym znakiem wyrazili zadowolenie.

— Ile kart?

Niegodziwiec nazwiskiem Hank Wiley odłożył jedną kartę, inni po trzy. Zaczęła się licytacja. Do tej pory stawki były niewysokie — po dolarze lub po dwa — ale Backus rzucił teraz monetę dziesięciodolarową. Wiley zawahał się przez chwilę, potem „przyjął” i dodał jeszcze dziesięć dolarów. Dwaj pozostali spasowali. Backus dodał dwadzieścia. Wiley rzekł:

— Przyjmuję i stawiam sto! — potem uśmiechnął się i sięgnął po pieniądze.

— Stoi — powiedział Backus z pijacką powagą.

— Co? Chce pan przez to powiedzieć, że pan to przyjmuje?

— Przyjmuję? Ano, przyjmuję i kładę drugą setkę!

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął potrzebną sumę.

— Aha, tak pan zagrał? Widzę, że pan podnosi, to ja podniosę do pięciuset! — rzekł Wiley.

— Jeszcze pięćset! — wykrzyknął głupi poganiacz bydła, wyciągnął pieniądze i rzucił je na stos. Trzej spiskowcy już prawie wcale nie starali się ukryć rozradowania. Odrzucono całą dyplomację i udawanie i coraz to rozlegały się szybkie i ostre okrzyki, a żółta piramida rosła i rosła. Wreszcie leżało na niej dziesięć tysięcy dolarów. Wiley rzucił wór pieniędzy na stół i rzekł z drwiącą dobroduszością:

— Pięć tysięcy dolarów, mój wiejski przyjacielu, i co ty na to?

— Odkrywaj! — rzekł Backus, kładąc ciężko worek ze złotem na stosie. — Co masz?

— Cztery króle, ty przeklęty głupcze! — Wiley rzucił karty i otoczył ramionami stawki.

— Cztery asy, ty ośle — zagrzmiał Backus, wymierzając w niego odbezpieczony rewolwer:

— Jestem sam zawodowym graczem i grałem przed wami durnia całą drogę!

Kotwica poszła w dół... rum, bum, bum i długa wędrówka skończona.

Ano, świat jest ponury. Jeden z trzech graczy był „kumplem” Backusa. To on rozdawał fatalne karty. Wedle porozumienia z dwoma ofiarami powinien był dać Backusowi cztery damy, lecz niestety tego nie zrobił.

Po tygodniu natknąłem się na Backusa wystrojonego według ostatniej mody na Montgomery Street. Gdyśmy się zegnali, powiedział wesoło:

— Ach, nawiasem mówiąc, nie potrzebuje pan zawracać sobie głowy tymi „różkami”. Nie znam się wcale na bydło, chyba tylko tyle, ile zdążyłem się nauczyć podczas tygodniowego terminu w Jersey, tuż przed podróżą. Moja znajomość hodowli i entuzjazm dla bydła zrobiły swoje — nie będę ich już więcej potrzebował.

Następnego dnia z żalem pożegnaliśmy „Gold Dust” i jego oficerów w nadziei, że kiedyś znów spotkamy ten statek i wszystkich oficerów. Lecz los sprawił inaczej!

## Rozdział XXXVII

### KONIEC GOLD DUST

Po trzech miesiącach, 8 sierpnia, gdy właśnie pisałem jeden z poprzednich rozdziałów, gazety w New Yorku zamieściły następujący telegram:

#### STRASZNA KATASTROFA

Siedemnaście osób zabitych wskutek wybuchu kotłów na parowcu Gold Dust.

Nashville, 7 sierpnia, depesza z Hickman, stan Kentucky, donosi:

Na parowcu Gold Dust dziś o godzinie trzeciej, zaraz po wyruszeniu z Hickman, wybuchły kotły. Czterdzieści siedem osób zostało poparzonych, siedemnaście zaginęło. Statek pędzony wirem dobił do brzegu tuż pod miastem i dzięki pomocy mieszkańców ranni pasażerowie, oficerowie oraz część załogi zostali przeniesieni na ląd i umieszczeni w szpitalach oraz domach prywatnych. Dwudziestu czterech rannych leży w magazynach towarów łokciowych

firmy Holcomb, gdzie znaleźli opiekę, zanim zostaną przeniesieni do wygodniejszych pomieszczeń.

Następowała lista nazwisk, z której okazało się, że pomiędzy siedemnastoma zabitymi znajdował się barman, a pomiędzy czterdziestu siedmiu rannymi był kapitan, starszy oficer, drugi oficer oraz drugi i trzeci klark, a także Lem. S. Gray, pilot i kilku członków załogi.

Z odpowiedzi na nasz prywatny telegram dowiedzieliśmy się, że żaden z nich nie był ciężko ranny, z wyjątkiem Graya. Listy, które później nadeszły, potwierdziły tę wiadomość i donosiły, że Gray czuje się lepiej i powoli wraca do zdrowia. Późniejsze listy wyrażały mniej nadziei, aż wreszcie nadeszło zawiadomienie o jego śmierci. Był dobry, koleżeński, uczynny — wart był lepszego losu.

## Rozdział XXXVIII

### NAJPIĘKNIEJSZY DOM

Do Nowego Orleanu płynęliśmy statkiem z Cincinnati albo na statku z Cincinnati — pierwszej formy używają na wschodzie, drugiej na zachodzie.

Pan Dickens nie godził się z tym, żeby parowce na Missisipi były „wspaniałe” albo żeby były „pływającymi pałacami”, jak je zawsze nazywano, choć nazwy te wcale nie wyolbrzymiały podziwu, z jakim ludzie na nie patrzyli.

Stanowisko pana Dickensa było być może uzasadnione, natomiast stanowisko ludzi było na pewno uzasadnione. Jeżeli Dickens porównywał te statki z klejnotami koronnymi albo z Taj, albo z Matterhornem, albo z jakąś inną bezcenną lub nadzwyczajną rzeczą, którą widział — nie były aż tak wspaniałe, miał więc słuszość. Ludzie porównywali je z tym, co sami widzieli, i dlatego w ich oczach statki były wspaniałe. Zarówno więc ludzie, jak i pan Dickens mieli rację. Parowce były piękniejsze niż cokolwiek na lądzie. W porównaniu z najlepszymi spośród domów mieszkalnych i z pierwszorzędnymi hotelami w Dolinie Missisipi mogły uchodzić za „pałace”. Dla garstki ludzi mieszkających w Nowym Orleanie i St. Louis nie były może pałacami, ale dla większości mieszkańców tych miast i dla całej ludności rozrzuconej po obydwóch brzegach, między Baton Rouge a St. Louis, były pałacami. Tak właśnie ludzie owi wyobrażali sobie wspaniałość.

Każde miasto i wioska na rozległej przestrzeni obydwóch brzegów rzeki miało jakiś najlepszy, najpiękniejszy dom, siedzibę najzamożniejszego i najznakomitszego obywatela. Łatwo dom taki opisać: duże, porośnięte trawą podwórze z porządnym ogrodzeniem ze słupków pomalowanych na biało, od bramy do drzwi wejściowych chodnik z cegły; wielki kwadratowy dwupiętrowy dom z „pruskiego muru”, bielony, z portykiem jak grecka świątynia, z tą tylko różnicą, że majestatyczne, żłobkowane kolumny i korynckie kapitele były wzruszającym oszukaństwem, jako że zrobiono je z białej sosny i pomalowano. Żelazna kołatka, mosiężna gałka u drzwi — bez koloru, bo nie czyszczona. W środku przedsionek z heblowanymi deskami, bez dywanu, wiodący do pokoju wielkości piętnaście na piętnaście stóp, czasem nawet o pięć lub dziesięć stóp większego. Dywan z kolorowej wełny, na środku stół mahoniowy, na nim lampa z zielonym abażurem stojąca na czymś w rodzaju rusztu, który młode panie zrobiły z kolorowej przędzy i nazwały patarafką; trochę książek, gromadzonych i używanych z żelazną dokładnością wedle odziedziczonego, niezmiennego planu; wśród nich Tupper z wielu ołówkowymi uwagami — także „Ofiara przyjaźni” i „Wieniec miłości” ze swoją czczą banalnością, ilustrowane wyblakłymi miedziorytami; poza tym Ossian; „Alonzo i Melissa”; może „Ivanhoe”; także „Album”, oryginalnej „poezji” w rodzaju: „O ty, który zraniłeś duszę, co cię ukochała”; dwa lub trzy świętoszkowate dzieła w rodzaju „Pasterz z równiny Salisbury” etc; ostatni numer niewinnej i nieszkodliwej „Księgi dla pań” Godeya, zawierający kolorową kartę mody z kobietami jak figury woskowe, o jednakich ustach, i powiekach tej samej wielkości co usta, przy czym spod sukni każdej kobiety mającej pięć

stóp wysokości wystawał dwucalowy klin i zakrywał połowę jej stopy. Polerowany szczelny piec (nowy, zabójczy wynalazek) z rurą przechodzącą przez deskę, która zakrywa pogardzony, dobry, stary kominek. Na obu końcach drewnianego gzymsu nad kominkiem wielki kosz brzoskwiń lub innych owoców, naturalnej wielkości, niezgrabnie ulepionych z gipsu lub wosku i pomalowanych, żeby były podobne do prawdziwych — co im się zresztą nie udawało. Pośrodku nad gzymsem drzeworyt: „Przeprawa Waszyngtona przez Delaware”, na ścianie przy drzwiach jego straszliwa kopia wykonana włóczką przez jedną z młodych pań — dzieło sztuki, które mogłoby w duszy Waszyngtona, gdyby był zdołał przewidzieć, jak nadużyją jego czynu — obudzić wahanie, czy w ogóle ma się przeprowadzić. Fortepian — przebrany kocioł — ze stosem leżących na nim i na stojaku obok oprawionych i nie oprawionych nut: „Bitwa praska”, „Walc ptaków”, „Podróżny z Arkansas” „Grajcie skrzypki”, „Marsylianka”, „Na samotnej pustej wyspie” (Św. Helena), „Zerwane ostatnie więzy”, „Na skroni miała wieniec róż, gdyśmy spotkali się po raz ostatni”, „Odejdź, zapomnij o mnie!”, „Czemuż na skroń tę smutek cień ma rzucić?”, „Pamiętne, dawno minione godziny”, „Dni opuszczenia”, „Życie na fali oceanu, dom na ruchomej wód głębinie”, „Ptak na morzu” oraz otwarte na pulpicie, gdzie płacziwa śpiewaczka je zostawiła, „Płyn, ach płyn, srebrny księżycu, i wskazuj drogę we-ę- -drow-cowi etc.” O fortepian oparta w zamyśleniu gitara, — gitara, która, gdyby wziąć ją w rękę, sama mogłaby zagrać hiszpańskie Fandango. Na ścianie oszalałymi dzieła sztuki: pobożne motto miejscowego wyrobu, czasem wyszyte kolorową włóczką, czasem ułożone z zasuszonych trawek; protoplasta naszego nowoczesnego „Boże, błogosław naszemu domowi!” używanego w handlu. Oprawione w czarne ramki inne dzieła sztuki poczęte i popołnione na miejscu przez młode panie — ponure, czarno-białe ołówkowe rysunki, przeważnie krajobrazy; jezioro, samotna łódź żaglowa, skamieniałe chmury, przedpotopowe drzewa na brzegu — czarna jak antracyt przepaść, w rogu wyraźne nazwisko winowajczyni. Litografia: „Napoleon przekraczający Alpy”. Litografia: „Grób na wyspie Św. Heleny”. Staloryty Trumbulla: „Bitwa pod wzgórzem Bunker” i „Sally z Gibraltaru”. Miedzioryty: „Mojżesz uderzający w skałę” i „Powrót Syna Marnotrawnego”. W wielkiej złoczonej ramie olejny paszkwil na całą rodzinę: tatuś trzymający książkę („Konstytucja Stanów Zjednoczonych”), gitara z niebieskimi wstążeczkami powiewającymi przy szyjce, oparta o mamusię, młode panny jako dzieci w pantofelkach i długich majteczkach w zębki, jedna obejmująca wypchanego konia, druga kłębkami włóczki wabiąca kotka, przy czym obie mdło uśmiechające się do mamy, która również mdło uśmiecha się do nich. Wszystkie te osoby świeże, surowe i czerwone, prawdopodobnie odarte ze skóry. Naprzeciw, w złoczonej ramach dziadek i babcia, kiedy on miał trzydzieści, a ona dwadzieścia dwa lata — sztywni, staromodni, z wysokimi kołnierzeniami, bufiastymi rękawami mającymi bladą na tle ciemnej, egipskiej nocy. Pod szklanym kloszem od francuskiego zegara wielki bukiet sztywnych kwiatów zrobionych z trupiobiałego wosku. W rogu stożkowata etażerka, której półki zalegają najrozmaitsze rupiecie owych czasów jak najkorzystniej ustawione: muszla, z wydrapanym na niej „Ojciec nasz”, inna muszla, wąska, owalna, z prostym otworem długości trzech cali, z wyrzeźbionym od jednego końca do drugiego portretem Waszyngtona, nieudanym. Na muszli były pierwotnie tylko usta Waszyngtona — artysta powinien był trzymać się tego. Obie są pamiątkami z dawnej, poślubnej podróży do Nowego Orleanu i do French Market. Inne rupiecie: „próbki” kwarcu z Kalifornii ze złotymi brodawkami; stary medalion z dukatowego złota z loczkiem jakiegoś przodka; indiańskie, krzemienne ostrza strzał; para mokasynów wyszywanych paciorkami po wuju, który przebrnął przez prerie; trzy „ałunowe” koszyczki różnych kolorów ze szkieletem z drutu, pokrytym kryształkami ałunu, jakby krystalicznego cukru, dzieło sztuki, które wykonały młode panie. Kopie i duplikaty tych dzieł można znaleźć na wszystkich etażerkach całego kraju. Kolekcja zasuszonych pluskw i motyli przypinanych szpilkami do kartonu; malowany pies-zabawka, siedzący na miechu — przyściśnięty, opuszcza dolną szczękę i

piszczy; zajaczek z cukru, członki i zarysy ciała niewyraźne, zalane; cynowy medal z prezydenckiej kampanii; miniaturowy, tekturowy tracz przymocowany do rury od pieca, poruszany gorącym powietrzem; mały Napoleon z wosku; porozkładane niewyraźne dagerotypy dzieci, rodziców, kuzynów, ciotek i przyjaciół we wszelkich pozach, z wyjątkiem naturalnych, jeszcze nie na tle świątyni z kolumnami albo namalowanego krajobrazu rozciągającego się w oddali — to przyszło później, razem z fotografią. Wszystkie te niewyraźne postacie strojne w łańcuszki i pierścionki, przy czym metal uwypulono i zabezpieczono przed zrodzeniem się jakiejś wątpliwości za pomocą kresek i kropek jaskrawego, złotawego brązu — wszyscy zbyt starannie uczesani, zbyt wysztafirowani i wszyscy czujący się nieswojo w niewygodnych, odświętnych ubraniach skrojonych w taki sposób, że widz ani rusz nie może uwierzyć, aby kiedykolwiek mogły być modne. Mąż i żona zwykle tworzą grupę, mąż siedzi, żona stoi z ręką na jego ramieniu, przy czym, mimo że tyle lat zacierało ich rysy, na obojgu widać jeszcze skutki nagłego wezwania dagerotypisty: „Teraz, proszę państwa, proszę się uśmiechnąć”.

Na etażerce, w szczególnie uświęconym miejscu, ohyda namalowana akwarelą przez młodą siostrzenicę, która przed laty przybyła w odwiedziny i umarła. Szkoda, bo z czasem mogła była poczuć żal za to, co popełniła. Krzesła kryte włosiem końskim, sofa kryta włosiem, końskim, która nieustannie wyslizguje się spod siedzącego. Zasłony na oknach z ceraty, z pasterkami i ruinami zamków w krzyczących kolorach. Lambrekiny zwisające z ozdobnych karniszy z kutego cynku, na wierzchu pozłacanych. Sypialnie z dywanikami z gałganków, łóżka z rodzaju „sznurowych”, zapadnięte w środku, ponieważ sznury wymagają podciągnięcia; nasiąknięta tabaką pierzyna, nie dość często wietrzona; krzesła z trzciniowym siedzeniem, fotel bujający z wyplatany siedzeniem; na ścianie lustro wielkości szkolnej małej tabliczki, w fornirowanej ramce; odziedziczona po przodkach komoda; prawdopodobnie miednica i dzbanek, ale nie na pewno; mosiężny lichtarz, łojowa świeca, szczytce — poza tym niczego więcej nie ma w pokoju. W domu nie ma łazienki i trudno oczekiwać gościa, który by ją kiedykolwiek widział.

Taka była siedziba najznakomitszego obywatela na całej przestrzeni od Nowego Orleanu do granicy miasta St. Louis. Gdy wstępował na pokład pięknego parowca, wchodził w nowy, cudowny świat: szczyty kominów wycięte w taki sposób, że wyobrażały pęk powiewających piór, może nawet pomalowane na czerwono; sterówka, pokład spacerowy, pokład maszynowy, wszystko przyozdobione białą, drewnianą balustradą w różne fantastyczne wzory; na końcach żurawi przymasztowych złożone żołędzie; nad wielkim dzwonem złożone rogi jelenie; prawdopodobnie na osłonie koła napędowego wspaniały, symboliczny obraz; wielki, przestronny pokład maszynowy pomalowany na niebiesko i wyposażony w windsorskie fotele; w środku obszerny, śnieżnobiały salon; porcelanowa gałka i obrazek olejny na każdych drzwiach do kabin; górą rzeźbione ornamenty, tu i tam pozłacane, biegnące aż do samego końca perspektywy; w niewielkich odstępach ogromne świeczniki, a każdy jak kwietniowa ulewa błyszczących, szklanych kropel; piękne, tęcze światło, które pada wszędzie z rozmigotanych wszelkimi kolorami świetlików. Całość; długi, wspaniały tunel, zdumiewający i zachwycający widok! W kabinie dla pań, różowo-biały wiltoński dywan, miękki jak mech, ozdobiony ślicznym wzorem z ogromnych kwiatów. Następnie komnata weselna — potwór, który miał taki pomysł, żył jeszcze w owym czasie i nie wisiał — komnata weselna, której pretensjonalna pompa musiała jeszcze bardziej przerażać i tak już w owej chwili zachwiany umysł śpiewającego hosanna oblubieńca. Każda kabina miała dwie wygodne, czyste koje, może i lustro, oraz pakowną szafkę; czasem była nawet miednica i dzbanek oraz kawałek ręcznika, który tylko specjalista mógł odróżnić od siatki na moskity, chociaż zwykle rzeczy tych nie było, a pasażerowie zdjąwszy surduty myli się w umocowanych rzędem miskach w golarni, gdzie również znajdowały się ręczniki, grzebienie i mydło do ogólnego użytku.



Parowiec, który właśnie opisałem, jest w najlepszym, najpiękniejszym, najkorzystniejszym, najwygodniejszym i najdoskonalszym stanie. Jeśli zaś obłoży się go warstwą zastarzałego i nieustępliwego brudu, będzie to parowiec z Cincinnati, o którym poprzednio wspominałem. Nie cały, tylko w środku, ponieważ wszystkie stanowiska na statku były obsadzone przez odpowiednich ludzi, z wyjątkiem stanowiska stewarda.

Gdyby jednak statek ten umyć i odmalować, mógłby współzawodniczyć z najbardziej wychwalanym statkiem z dawnych czasów rozkwitu, ponieważ na Zachodzie ani budowa statków, ani ich umeblowanie i przyozdobienie nie ulegały żadnym zmianom.

## Rozdział XXXIX

### WYROBY I FAŁSZERZE

Rzeka, która w okolicy Vicksburga była dawniej kręta jak korkociąg, obecnie, dzięki skrótowi, jest prawie prosta; poprzednia odległość siedemdziesięciu mil zmalała do trzydziestu pięciu. Jest to zmiana, która sąsiadkę Vicksburga, miasto Deltę w stanie Luizjana, rzuciła w głąb kraju i zakończyła jej karierę jako miasta nadbrzeżnego. Obecnie front miasta zwrócony ku rzece zajmuje ogromna, piaszczysta ławica, gęsto porośnięta młodziakiem, który wkrótce wyrośnie w gęsty las i zupełnie zakryje wygnane miasto.

W przewidzianym czasie mineliśmy Wielką Zatokę i Rodney, sławne od czasu wojny, i przybyliśmy do Natchez, ostatniego z pięknych miast położonych na wzgórzach, gdyż znajdujące się trochę dalej Baton Rouge nie jest wzgórzem, lecz tylko wzniesieniem. Sławne, dolne Natchez, w ciągu dwudziestu lat wiele się nie zmieniło; zewnętrzny wygląd — sądząc z dawnych opisów cudzoziemskich turystów — nie zmienił się wcale w ciągu lat siedemdziesięciu, gdyż ciągle miasteczko jest małe, rozrzucone i obdrapane. W dawnych czasach żeglugi na barkach i wczesnych parowcach miało pod względem moralności bardzo złą opinię; ciągle pijaństwo, hulanki, bijatyki i zabójstwa wśród mieszkających wówczas nad rzeką szumowin. Lecz górne Natchez jest pociągające — zawsze było pociągające. Nawet pani Trollope (1827) musiała uznać jego uroki:

W kilku miejscach męcząca, pozioma linia przerywają „bluffs”, jak tu nazywają dość wysokie wzniesienia, które urozmaicają monotonię. Miasto Natchez jest pięknie położone na jednym z tych wyniosłych wzgórz. Kontrast jasnozielonego pagórka z ponurą linią czarnego lasu, który rozciąga się na wszystkie strony, bujnie rosnące drzewo pawpaw, palmy i pomarańcze<sup>^</sup> obfita różnorodność pachnących kwiatów, wszystko to sprawia, iż wygląda jak oaza w pustyni. Natchez jest najdalszym punktem wysuniętym ku północy, w którym pomarańcze dojrzewają na wolnym powietrzu i przetrzymują zimy bez zabezpieczenia. Z wyjątkiem tego miłego zakątka, wszystkie małe miasteczka i wioski, które mijaliśmy, były do najwyższego stopnia godne pożałowania.

Natchez tak jak jego bliscy i dalsi sąsiedzi ma obecnie wiele linii kolejowych i ciągle je rozbudowuje, przeciągając je to tu, to tam, w głąb bogatych okolic, które są jego naturalnym lennem. Podobnie jak Vicksburg i Nowy Orlean Natchez ma fabrykę lodu — produkuje trzydzieści ton lodu dziennie. W moich czasach lód w Vicksburgu i Natchez był na wagę złota; tylko bogaci mogli sobie na niego pozwolić. Teraz może go mieć każdy pod dostatkiem. Zwiedziłem jedną z fabryk lodu w Nowym Orleanie, gdyż chciałem zobaczyć, jak też wyglądają polarne okolice przyciągnięte na skraj strefy tropikalnej. Ale w wyglądzie jej nie znalazłem nic uderzającego. Był to po prostu obszerny budynek z jakąś niewinną parową maszyną w jednym końcu i jakimiś porcelanowymi rurami przebiegającymi w różnych kierunkach. Nie były one jednak porcelanowe — jak mi się z początku wydawało — tylko żelazne, lecz amoniak, który przez nie przepuszczano, okrył je warstwą mlecznobiałego lodu grubości ręki. Powinien był się stopić, gdyż w takiej atmosferze nie potrzeba zimowego ubrania, ale wewnątrz rury było za zimne.

W podłogę wpuszczono niezliczone cynowe skrzynki, mające jedną stopę szerokości, a dwie długości, od góry otwarte. Były pełne czystej wody, a każda skrzynka obłożona solą i innymi niezbędnymi chemikaliami — to, że gazy amoniakalne wywierają taki wpływ na wodę, pozostanie dla mnie na zawsze tajemnicą, bo procesu owego nie byłem w stanie zrozumieć.

Podczas gdy woda w skrzynkach stopniowo zamarzała, robotnicy od czasu do czasu poruszali ją kijem, aby — jak sądzę — wypuścić bańki powietrza. Inni ciągle wyjmowali skrzynki, których zawartość była dobrze zamarznięta. Zanurzali skrzynkę jeden raz w kadzi z gotującą wodą, ażeby przez stopienie górnej warstwy uwolnić blok lodu z cynowej trumny, potem wyrzucali blok na platformę wozu i był już gotów na rynek. Te duże bloki były twarde, mocne i czyste jak kryształ. W niektórych z nich znajdowały się zamrożone wielkie bukiety świeżych, wspaniałych, tropikalnych kwiatów, w innych piękne, ubrane w jedwabne suknie lalki francuskie lub jakieś inne ładne przedmioty. Bloki te stawiano w misach na środku stołu podczas obiadu, ażeby chłodzić tropikalne powietrze, a także jako ozdobę, ponieważ uwięzione w nich kwiaty i inne przedmioty widać było jak gdyby przez szklaną szybę. Mówiono mi, że fabryka ta mogła rozprowadzać lód wagonami po całym Nowym Orleanie i sprzedawać go nawet w najmniejszych ilościach dla domowego użytku po sześć lub siedem dolarów za tonę, osiągając przy tym wystarczający zysk. Z tego widać, że także na północy fabryki lodu mogłyby dobrze zarabiać, gdyż tam — o ile bierze się mniej niż trzysta pięćdziesiąt funtów na raz — nie można dostać lodu po tej cenie.

Przędzalnia „The Rosalie” w Natchez ma 6000 wrzecion, 160 krosien i zatrudnia 100 robotników. Przedsiębiorstwo Przędzalni Bawełny zaczęło działać cztery lata temu w dwupiętrowym budynku wielkości 50X90 stóp z 4000 wrzecion i 128 krosnami, z kapitałem 105 000 dolarów zebranych na terenie miasta. Po dwóch latach ci sami udziałowcy podnieśli kapitał do 225 000 dolarów, dobudowali trzecie piętro w przędzalni, podłżyli ją do 317 stóp, dokupili maszyn, aby podnieść jej zdolność produkcyjną do 10 300 wrzecion i 304 krosien. Przedsiębiorstwo zatrudnia teraz 250 robotników, z których wielu jest mieszkańcami Natchez. Przędzalnia produkuje rocznie 5000 bel i najlepsze gatunki brązowego materiału na koszule, materiału na prześcieradła i drelichu w ilości 5 000 000 jardów rocznie. Ścisłe zamknięta organizacja: wkład za jedną akcję wynosi 5 000 dolarów, lecz na rynku nie ma ich wcale.

Zmiany nad rzeką Missisipi są wielkie i zdumiewające, a jednak można ich było oczekiwać; lecz nigdy nie przypuszczałem, że za mego życia ujrę, jak Natchez i inne nadbrzeżne miasta stają się twierdzami przemysłu i centrami kolejowymi.

Kiedy mówię o przemyśle, przypomina mi się pewna rozmowa na ten temat, którą przypadkowo podsłuchałem na pokładzie statku z Cincinnati. Z niespokojnego snu obudził mnie jakiś przytłumiony zgiełk głosów. Rozmawiało dwóch mężczyzn: tematem była najwidoczniej wielka powódź. Wyjrzałem przez otwarty iluminator. Dwaj mężczyźni siedząc naprzeciw siebie jedli późne śniadanie. Sprawę powodzi zamknęli w kilku słowach posłużwszy się nią najwidoczniej tylko w celu przełamania lodów i zawarcia znajomości, a potem przeszli do interesów. Szybko okazało się, że są handlowcami, jeden z Cincinnati, drugi z Nowego Orleanu. Dziarscy ludzie, energiczni w ruchach i w mowie; dolar był ich bogiem, a zdobywanie go religią.

— Ten artykuł — mówił Cincinnati zapuszczając nóż w masło i wysuwając kawałek na ostrzu do przodu — jest z naszej firmy; niech no pan spojrzy, powącha, skosztuje. Niech pan je podda, jakiej pan chce, próbie i jak długo pan chce — nie ma pośpiechu — niech pan to zrobi dokładnie. No, i cóż pan powie? Masło, prawda? Ale gdzież tam — to margaryna! Tak, proszę pana, to jest margaryna. Nie może je pan odróżnić od masła, daję słowo, nie potrafi tego zrobić nawet fachowiec. Pochodzi z naszej firmy. Zaopatrujemy większość statków na Zachodzie, ani na jednym nie ma nawet funta masła. Niedługo opanujemy całą żeglugę. A nawet i hotele. Zobacz pan, przyjdzie wkrótce dzień, kiedy nie znajdzie pan ani odrobiny masła nawet na lekarstwo w żadnym hotelu w dolinach Missisipi i Ohio, oczywiście poza

największymi miastami. Przecież już teraz wyrabiamy tysiące ton margaryny. A sprzedawać możemy ją tak śmiesznie tanio, że cały kraj musi ją brać, nie może się bez niej obejść, widzi pan. Masło nie może jej dorównać, nie ma żadnej szansy konkurowania. Masło też kiedyś przeżywało okres prosperity. Na margarynie można więcej zarobić. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie robimy interesy. Zatrzymałem się w każdym mieście od Cincinnati do Natchez i z każdego wysyłałem wielkie zamówienia.

I tak rozprawiał z tym samym zapałem jeszcze przez dziesięć minut. Wreszcie Nowy Orlean przerwał mu:

— Tak, to pierwszorzędna imitacja, z pewnością, ale nie ona jedna jest pierwszorzędna. Na przykład oliwę robią obecnie z nasion bawełny tak doskonale, że nie można jej odróżnić od prawdziwej.

— Tak, to prawda — odparł Cincinnati — i przez pewien czas był to interes pierwsza klasa. Posyłali ją do Europy i przywozili z powrotem z Francji i Włoch ze znakami celnymi Stanów Zjednoczonych, żeby uchodziła za oryginalną, i robili na niej grubą forszę. Ale Francja i Włochy zepsuły zabawę, co było oczywiście do przewidzenia. Nałożyły tak druzgocące cła, że oliwa z nasion bawełny nie mogła ich wytrzymać i musiano zarzucić jej produkcję.

— Czyżby? Niech pan chwileczkę poczeka.

Poszedł do swej kabiny, przyniósł dwie wąskie butelki, odkorkował je i powiada:

— Niech pan powącha, skosztuje, przyjrzy się butelkom, sprawdzi nalepki. Jedna z nich pochodzi z Europy, druga nigdy nie opuszczała kraju. Jedna to europejska oliwa, druga amerykańska oliwa z nasion bawełny. Czy może je pan rozróżnić? Oczywiście nie. Nikt nie może. Kto chce, może narażać się na koszt i kłopoty i przysyłać oliwę statkami do Europy i z powrotem — to jego sprawa — lecz nasza firma zna sposób wart sześć razy tyle. Załatwimy całą rzecz nie używając nawet słowa „wysyłka” w naszej fabryce w Nowym Orleanie; nalepki, butelki, oliwę, wszystko. Właściwie nie nalepki, nie: kupujemy je tam za bezcen. Widzi pan, w galonie oliwy z nasion bawełny jest tylko maleńka odrobina esencji czy czegoś tam, która nadaje pewien zapach, czy smak, czy coś takiego — jeśli ją usunąć, wszystko jest w porządku, można z zupełną łatwością zrobić z tej oliwy oliwę, jaką się chce, i nikt nie może rozróżnić prawdziwej od fałszowanej. A my znamy sposób usunięcia tej odrobiny — i jesteśmy jedyną firmą, która go zna. Wyrabiamy oliwę po prostu doskonałą — nie dającą się odróżnić od prawdziwej! Robimy wspaniałe interesy, mogę panu tego z łatwością dowieść, pokazując książkę zamówień z tego rejsu. Możliwe, że wy wkrótce będziecie każdemu smarować chleb swoim masłem, ale my będziemy polewać sałatę oliwą z nasion bawełny od Zatoki aż do Kanady, to murowane.

Cincinnati promieniał i rozpływał się z podziwu. Dwaj krętacze wymienili karty z nazwami swoich firm i wstali. Gdy odchodzili od stołu, Cincinnati rzekł:

— Ale przecież musicie mieć znaki celne, prawda? Jak to robicie?

Nie dosłyszałem odpowiedzi.

Minęliśmy port Hudson, gdzie rozegrały się dwa najstraszniejsze epizody wojny: nocna bitwa pomiędzy flotą Farraguta i bateriami lądowymi Konfederatów, 14 kwietnia 1863 roku, i w dwa miesiące później pamiętna bitwa lądowa, która trwała osiem godzin — osiem godzin wyjątkowo zaciętej i zażartej walki i wreszcie zakończyła się krwawym odparciem wojsk Północy.

## Rozdział XL

### ZAMKI I KULTURA

Baton Bouge było ubrane kwiatami jak panna młoda czy też jak cieplarnia. Znajdowaliśmy się teraz bowiem na samym Południu. Drzewa magnolii na terenach Kapitolu ze swoim gęstym listowiem i olbrzymimi jak kule śnieżne kwiatami były śliczne i pachnące. Zapach

tych kwiatów jest bardzo przyjemny, ale z pewnej odległości, bo taki jest silny. Nie są to kwiaty dobre do sypialni — śpiący mógłby się udusić. Jesteśmy już wreszcie na pewno na Południu, gdyż tu zaczyna się kraina trzciny cukrowej i plantacji. Ukazały się rozległe, zielone wzgórza, a wśród nich cukrownie i stłoczone przy nich chaty murzyńskie. Nad głową zaś tropikalne słońce, a w powietrzu tropikalny upał.

Tutaj także zaczyna się raj pilota: szeroka rzeka hen, daleko, aż do Nowego Orleanu, żadnych ławic, pni, traczy czy wraków po drodze.

Za Kapitol jest chyba odpowiedzialny Sir Walter Scott, ten mały falsyfikat zamku nigdy by nie powstał, gdyby kilka pokoleń temu ludzie nie oszaleli na punkcie średniowiecznych romansów. Południe jeszcze nie wyzdrowiało z obezwładniającego wpływu jego książek. Ciągłe trwa tu uwielbienie dla jego fantastycznych bohaterów, ich groteskowych „rycerskich” czynów i romantycznej dziecinady, choć w atmosferze tej czuć zdrowy, praktyczny, dziewiętnastowieczny zapach fabryk bawełny i lokomotyw. A jednak ciągle jeszcze napotyka się na ślady napuszonej mowy i innych banialuk. W ogóle smutna to sprawa, że na tym skądinąd szanownym miejscu wybudowano pobielony zamek z wieżyczkami i ozdóbkami — przy czym wszystko, tak z zewnątrz, jak i wewnątrz, nieprawdziwe, udające coś, czym wcale nie jest. Ale jeszcze o wiele smutniejsze jest to, jak się widzi, że ów architektoniczny falsyfikat w naszych czasach odbudowuje się i umacnia na wieki, kiedy wystarczyłoby, aby dynamit wykończył to, co już zaczął litościwy ogień, a fundusze na odbudowę przeznaczyć na wzniesienie czegoś autentycznego.

Jednakże Baton Rouge nie ma wyłącznego patentu ani monopolu na falsyfikaty zamków. Oto wyjątek z ogłoszenia „Instytutu Żeńskiego” w Columbii, w stanie Tennessee:

Budynek Instytutu znany jest od dawna jako obiekt uderzająco pięknej architektury. Zwiedzający oczarowani są jego podobieństwem do starych, opiewanych w pieśniach i powieściach zamków z wieżami, murami zdobnymi w wieżyczki i portykami oplecionymi bluszczem.

Prowadzić szkołę w zamku to bardzo romantycznie, tak samo romantycznie, jak prowadzić w zamku hotel.

Sama imitacja zamku jest bez wątpienia nieszkodliwa i dość dobra, ale jako symbol uprawiania i podtrzymywania marzycielskiego, średniowiecznego romantyzmu tutaj i to w połowie najtrzeźwiejszego, najbardziej wielkiego, najbardziej wartościowego spośród wszystkich stuleci, jakie tylko świat widział — musi być rzeczą szkodliwą i pomyłką.

Oto wyjątek z prospektu „Żeńskiego College’u” z Kentucky:

Dyrektor jest południowcem z urodzenia, wychowania, wykształcenia i przekonań — wszyscy nauczyciele są południowcami, oprócz tych, co się urodzili w Europie. Ponieważ cywilizację południową uważamy za najwyższą formę cywilizacji na świecie, młode damy wychowuje się według południowych zasad delikatności, elegancji, kobiecości, religii i dobrego tonu. Dlatego też polecamy naszą pierwszorzędną szkołę dla południowych okręgów, skąd oczekujemy poparcia.

Ho, ho, strażniku! Kto potrafi z takim zadowoleniem z siebie wytrąbić taką fanfarę, zapewne trąbi ją w zamku!

Od Baton Rouge do Nowego Orleanu wielkie plantacje trzciny cukrowej rozłożyły się szeroko po obu brzegach rzeki sięgając wielomilowymi polami aż do przymglonych ścian leśnych, które na horyzoncie tworzą brodate cyprysy. Brzegi nie są już puste. Po obu stronach, przez całą drogę mnóstwo domostw stoi tuż: obok siebie na wielkich przestrzeniach, tak że szeroka rzeka leżąca między ich dwoma rzędami staje się jakby ogromną ulicą. Okolica ta wygląda wyjątkowo swojsko i szczęśliwie. Tu i tam, wśród wysokich drzew, widzi się wielki dwór z portykami i kolumnami. Oto świadectwo jednej z wielu procesji obcych turystów, którzy przyciągali tędy pół wieku temu. Pani Trollope powiada :

Przez wiele mil przed Nowym Orleanem ciągnęły się niezmiennie, nieprzerwanie płaskie brzegi Missisipi. Wszędzie widać było wdzięczne, bogate palmy, ciemne, szlachetne korkodęby i jasne pomarańcze. Wiele dni upłynęło, zanim znużyły nam się te widoki.

A oto co mówi kapitan Basil Hall:

Połąć kraju granicząca z Missisipi w dolnych okolicach Luizjany jest wszędzie gęsto zaludniona przez plantatorów trzciny cukrowej, których okazałe domy z wesołymi werandami, starannie utrzymane ogrody i liczne wioski niewolników, czyste i porządne, nadają brzegom rzeki niezwykle dostatni wygląd.

Wszystkie inne procesje turystów odmalowują ów pociągający obraz w ten sam sposób. W opisach sprzed pięćdziesięciu lat nie trzeba zmieniać ani słowa, jeśli się chce dokładnie przedstawić tę okolicę tak, jak wygląda dzisiaj, z wyjątkiem „starannego utrzymania domów”. Z chat murzyńskich opadł tynk, a i prawie wszystkie wielkie dwory, które kiedyś tak jaśniały białością, poszarzały i wyglądają zaniedbane. To niszczące skutki wojny. Dwadzieścia jeden lat temu wszystko wzdłuż brzegu było czyste, jasne i błyszczące, tak samo jak w roku 1827, jak to opisują turyści.

Nieszczęśni turyści! Ludzie tumanili ich niemądrymi, bezdusznymi kłamstwami, a potem śmiali się z nich, ponieważ turyści wierzyli w to wszystko i drukowali. Na przykład powiedzieli pani Trollope, że aligatory — czy krokodyle, jak ona je nazywa — to straszne potwory, i poparli owo twierdzenie mrozącym krew w żyłach opowiadaniem o tym, jak jeden z owych gadów pewnej nocy wpełznął do chaty i pożarł kobietę i pięcioro dzieci. Sama kobieta niewątpliwie zadowoliliby każdego zwykłego aligatora — ale nie dosyć tego, ci kłamcy kazali mu jeszcze połknąć pięcioro dzieci. Nie można sobie wyobrazić, aby ci dowcipnisie, z natury szorstcy, mogli być tak wrażliwi — a jednak byli. Po dziś dzień trudno zrozumieć i niczym nie da się usprawiedliwić przyjęcia, jakiego doznała książka tego poważnego, uczciwego, inteligentnego, dobrodusznego, dzielnego, litościwego i pełnego najlepszych intencji kapitana Basila Halla.

## Rozdział XLI

### STOLICA POŁUDNIA

Okolica przed Nowym Orleanem była mi znana; ogólny widok nie zmienił się. Kiedy przejeżdża się przez Londyn koleją ponad wysokimi wiaduktami, można całymi milami zaglądać przez otwarte okna do pokoiów sypialnych na górnych piętrach, lecz dolna część domów jest niewidoczna. Podobnie jest w okolicy Nowego Orleanu, gdy stan wody podnosi się wysoko. Sięga ona wtedy do samego szczytu wału ochronnego, a za nim nisko rozciąga się płaszczyna, niby dno półmiska. Toteż kiedy statek płynie, gdy jest wysoka woda, na domy patrzy się z góry i zagląda w górne okna. Nikły paseczek ziemi dzieli ludzi od zagłady. Stare, murowane magazyny soli, skupione w górnym końcu miasta, doświadczyły podobnej; a jednak, od czasu gdy je widziałem, doświadczyły podobnej przygody jak lampa Aladyna. Pewnej nocy, kiedy wybuchła wojna, właściciel magazynów poszedł spać pozostawiając je naładowane tysiącami worków zwykłej soli, po parę dolarów worka, a obudziwszy się rano ujrzał górę soli zamienioną — można powiedzieć — w górę złota, albowiem wojna tak gwałtownie podwyższyła cenę tego artykułu.

Rozległy obszar drewnianych nabrzeży pozostał niezmienny i jak zawsze stało tam mnóstwo statków; ale ciągnące się długim szeregiem parowce prawie całkowicie zniknęły.

Na pierwszy rzut oka samo miasto się nie zmieniło. Rozrosło się tylko pod względem obszaru i ludności. Na ulicach ciągle jeszcze piętrzyły się stosy śmieci i papierów. Głębokie jak koryta rynsztoki wzdłuż krawężników ciągle do połowy napełniała brudna woda, chodniki — jako że

to kraj cukru i bekonu — zawalone były beczkami i antałkami, wielkie bloki odpychających brzydkich domów handlowych wyglądały tak samo zakurzone jak zawsze.

Canal Street była teraz piękniejsza, bardziej atrakcyjna i ruchliwsza niż dawniej — tłumy przechodniów snuły się tam i z powrotem, po jezdni mknęły pojazdy, a pod wieczór na wszystkich balkonach stały gromady pań i panów ubranych według ostatniej mody.

Nie można powiedzieć, żeby na Canal Street była jakaś „architektura”. Prawdę powiedziawszy, w Nowym Orleanie nie ma żadnej architektury z wyjątkiem cmentarzy. Dziwne się to może wydawać, gdy się mówi o tak bogatym, z dalekimi perspektywami i żywotnymi mieście, które posiada ćwierć miliona mieszkańców. Jest tam ogromny, granitowy Urząd Celny — dość kosztowny i oryginalny, ale wcale nie dekoracyjny. Wygląda jak więzienie. Został jednak wybudowany przed wojną. O architekturze w Ameryce można powiedzieć, że urodziła się po wojnie. Nowy Orlean miał, zdaje się, szczęście — a w pewnym sensie, nieszczęście — że nie było w nim w ostatnich latach wielkiego pożaru. Inaczej bowiem można by — myślę — poznać „spalone dzielnice” po bardziej nowoczesnej architekturze. Tak jest w Bostonie i Chicago. „Spalona dzielnica” w Bostonie była przed pożarem całkiem zwyczajna; teraz zaś żadna dzielnica handlowa jakiegokolwiek miasta na świecie nie może jej dorównać pod względem piękności, elegancji i smaku.

A przecież Nowy Orlean zaczął działać właśnie, można by powiedzieć, w tej chwili. Kiedy skończą nową Giełdę Bawełny, będzie to piękny, okazały budynek: solidny, obszerny, pełen uroku architektonicznego, bez żadnych fidrygałków, fałszywych pretensji czy brzydoty.

Dla miasta będzie miał wartość wiele razy przewyższającą jego koszt, da bowiem początek następnym. Do tej pory brakowało właśnie modelu dla budownictwa, czegoś, co by kształciło oko i smak, jakiegoś, jeśli tak można powiedzieć, inspiratora.

Miasto ma wielu postępowych ludzi — myślących i mądrych. Kontrast między duchem miasta i jego architekturą przypomina kontrast między czuwaniem a snem. We wszystkim najwidoczniej panuje wysoka koniunktura z wyjątkiem tego martwego punktu. Woda w rynsztokach dawniej stojąca, wylęgarnia wszelkich chorób obecnie kilka razy dziennie jest odprowadzana za pomocą potężnego urządzenia maszynowego. W wielu rynsztokach przeprowadzono ścieki. Poczyniono także inne ulepszenia sanitarne i to z tak dobrym skutkiem, że Nowy Orlean rości sobie prawo (podczas długich przerw pomiędzy sporadycznymi atakami żółtej febry) do jednego z najzdrowszych miast w Stanach. Lodu obecnie jest w mieście pod dostatkiem. Pod względem handlowym jest to miasto kwitnące, ma wielką rzekę, ocean i koleje żelazne!

W czasie gdybyśmy je odwiedzili, było to najlepiej oświetlone miasto, jeśli idzie o elektryczność. W Nowym Orleanie było więcej latarni elektrycznych niż w Nowym Jorku — i do tego daleko lepszych. Było prawie tak jasno jak w południe nie tylko na Canal Street i innych sąsiednich głównych ulicach, ale na przestrzeni pięciu mil rzecznej nadbrzeża. Są obecnie w mieście dobre kluby — niektóre z nich świeżo założone — dostarczające wielu nowoczesnych rozrywek. Wszędzie są telefony. Ale największy postęp daje się zauważyć w prasie. Tak jak ja pamiętam, gazety dawniej nie były szczególnie interesujące. Teraz są. Nie żałuje się na nie pieniędzy. Zdobywają wiadomości, nie bacząc na koszty. Artykuły nie są pustą gadaniną, lecz literaturą. Jako przykład dziennikarskiego osiągnięcia w Nowym Orleanie można wymienić fakt, iż „Times Democrat” z 26 sierpnia 1882 roku zawierał sprawozdanie z całorocznej handlowej działalności miast położonych w dolinie Missisipi od Nowego Orleanu aż do St. Paul — dwa tysiące mil. Ten numer czasopisma składał się z czterdziestu stron, przy czym na każdej stronie było siedem kolumn, ogółem dwieście osiemdziesiąt kolumn, w każdej kolumnie tysiąc pięćset wyrazów, jest to ogółem czterysta dwadzieścia tysięcy wyrazów. A więc prawie trzy razy tyle co w książce. Jakże żałośnie wyjdzie na tym porównaniu architektura Nowego Orleanu!

Mówiłem tylko o architekturze budynków użyteczności publicznej. Architektura domów prywatnych w Nowym Orleanie pozostała taka jak dawniej. Wszystkie domy mieszkalne w amerykańskiej części miasta są drewniane i wszystkie wyglądają dostatnio. Te, które znajdują się w bogatej dzielnicy, są obszerne, zwykle pomalowane na kolor śnieżnobiały i przeważnie mają szerokie, czasem bardzo szerokie balkony na ozdobionych kolumnach. Domy owe stoją pośrodku wielkiego terenu i oplecione różami wynurzają się z ogromnej masy błyszczącego, zielonego listowia i różnokolorowego kwiecica. Żadne inne domy nie mogłyby lepiej harmonizować z otoczeniem i cieszyć oczu ani też wyglądać tak swojsko i przytulnie.

Można się wreszcie pogodzić z cysterną. Jest to potężna, na zielono pomalowana beczka, czasem na parę piętér wysoka, oparta na szrudłach o róg domu. Ma się wrażenie jakiejś kombinacji domu i browaru, która wydaje się z początku bardzo niedorzeczną. Ludzie jednak nie mogą mieć studzien, więc łapią deszczówkę. Nie mogą także mieć wygodnych piwnic ani grobów, ponieważ miasto zostało zbudowane na sztucznym gruncie, a więc obywają się bez jednego i drugiego i mało kto z żywych na to się uskarża, a z nieżywych — nikt.

## Rozdział XLII

### HIGIENA I SENTYMENT

Zmarłych chowają w grobowcach, nad powierzchnią ziemi. Grobowce podobne są do domów, czasem do świątyń. Zbudowane zwykle z marmuru, są szlachetne i kształtne, zwrócone frontem do dróg i ścieżek. Jest tych grobowców około tysiąca, a gdy się tak wśród nich wędruje i widzi ich białe dachy i ściany ciągnące się daleko w przestrzeń po obu stronach, powiedzenie „miasto umarłych” nagle nabiera znaczenia. Wiele cmentarzy jest pięknych i doskonale utrzymanych. Kiedy się idzie na cmentarz od strony wałów lub pobliskiej dzielnicy handlowej, samo nasuwa się spostrzeżenie, że gdyby ich mieszkańcy mogli tak porządnie mieszkać za życia, jak po śmierci, mieliby z tego wiele korzyści, a poza tym dzielnica ich byłaby przedmiotem podziwu i zdumienia całego handlowego świata. Przy portalach wielu grobowców w wazonach napełnionych wodą widać co dzień zmieniane świeże kwiaty, włożone nabożnymi rękami osieroconych rodziców, dzieci, mężów i żon. Łagodniejsza forma smutku znajduje tani i trwały wyraz z pospolitym i brzydkim, ale niezniszczalnym nieśmiertelnikiem — to jest w wieńcu lub krzyżu, lub innym emblemacie zrobionym w czarnych, płóciennych różyczek, przetykanych czasem przy łączeniu ramion krzyża żółtą różyczką niby żałobną broszą. Nieśmiertelnik nie wymaga pielęgnacji, po prostu się go wiesza i koniec. Po prostu zostawiasz go, a on już zajmie się zamiast ciebie twoim smutkiem i będzie lepiej od ciebie o nim pamiętał — doskonale znosi wszelką pogodę, a trwały jest jak żelazo.

W słoneczne dni małe, ładne kameleony — najwdzięczniejsze z płazów posiadających nogi — pełzają po margurowych grobowcach i łapią muchy. Zmiany barw — jeśli idzie o ich różnorodność — nie odpowiadają powszechnej opinii o tych stworzeniach. Zmieniają barwę, gdy ktoś podchodzi i zawiesza nieśmiertelnik, ale to nic nie znaczy, każdy przyzwoity płaz by ta uczynił.

Niebawem porzucę już temat cmentarzy. Staralem się, jak mogłem, potraktować to uczuciowo, ale jakoś mi się to nie udało. Myślę, że nie wchodzi tu w grę uczucie. Wszystko to jest groteskowe, straszliwe, okropne. Cmentarze można było usprawiedliwić w minionych wiekach, gdy nikt nie wiedział o tym, że za każde pogrzebane ciało, które napełnia ziemię, korzenie roślin, powietrze zarazkami, musi przedwcześnie umrzeć pięć, pięćdziesiąt, a może i sto osób. Teraz jednak, gdy nawet dziecko wie, że umarły święty z chwilą, gdy ziemia zamknie się nad jego ciałem, wkracza na cały wiek na drogę morderstwa, trudno usprawiedliwić istnienie cmentarzy. Relikwie świętej Anny w Kanadzie po tysiąc dziewięciuset latach zaczęły uzdrawiać chorych. Ale nie ulega wątpliwości, że te same

relikwie po śmierci i pogrzebie św. Anny przez całe pokolenie powodowały choroby kilku tysięcy ludzi. Dlatego też owo czynienie cudów jest tylko rekompensatą. Prawdę mówiąc św. Anna jak na świętą jest płatniczką opieszalą, lepiej jednak, gdy przedawniony dług zostanie spłacony po tysiącu dziewięciuset latach, niż gdyby nie spłacono go wcale, a większość rycerzy aureoli jest niewypłacalna. Jeśli się znajdzie taki, który płaci — jak św. Anna — stu pięćdziesięciu korzysta z przedawnienia. A nikt z nich nie zapłaci więcej, ponad zasadniczą sumę, którą jest winien — nie płacą żadnego procentu, ani zwykłego, ani składanego. Święty nigdy jednak nie może zwrócić całej sumy, bo jego zwłoki zabijają ludzi, podczas gdy jego relikwie tylko uzdrawiają — umarłym zaś nigdy nie przywracają życia. Ta część rachunku pozostają więc nie uregulowana.

Dr. F. Julius le Moyné, po pięćdziesięciu latach praktyki lekarskiej, pisze:

Exhumacja zmarłych na choroby zakaźne powoduje nieustanne nasycenie atmosfery i zatrucie wody nie tylko zarazkami, które powstają ze zwykłego gnicia, ale również specjalnymi zarazkami chorób, które spowodowały zgon.

Gazy (z pogrzebanych ciał) wydostają się na powierzchnię przez warstwę żwiru grubości ośmiu do dziesięciu stóp — tak samo jak gaz węglowy — a siła ulatniania się nie ma właściwie żadnych granic.

Podczas epidemii w Nowym Orleanie w roku 1853 dr E. H. Barton donosił, że w Czwartej Dzielnicy śmiertelność wynosiła czterysta pięćdziesiąt dwa na tysiąc, więcej niż dwa razy tyle co w każdej innej. W dzielnicy tej były trzy wielkie cmentarze, na których w poprzednim roku pochowano ponad trzy tysiące ciał. W innych dzielnicach bliskość cmentarzy wydawała się wzmacniać zarazę.

W roku 1828 profesor Bianchi wykazał, że straszliwy powrót zarazy w Modenie był spowodowany przekopywaniem terenu, na którym przed trzystu laty chowano jej ofiary. Pan Cooper, wyjaśniając przyczyny pewnych epidemii, zauważa, że otwarcie terenów, na których chowano zarazonych w Eyam, było powodem natychmiastowego wybuchu epidemii.

„North American Review” N. 3. vol. 135.

W przemówieniu propagującym spalanie zwłok, wygłoszonym w Towarzystwie Medycznym w Chicago, dr Charles W. Purdy, ażeby wykazać, jaki ciężar wkłada na społeczeństwo grzebanie zmarłych, poczynił kilka wstrząsających porównań:

Jeden i jedna czwarta razy więcej pieniędzy wydaje się rocznie na pogrzeby w Stanach Zjednoczonych, niż wydaje państwo na cele szkolnictwa. Pogrzeby kosztowały kraj w r. 1880 tyle pieniędzy, że można by nimi zapłacić należności za wszystkie krachy handlowe w Stanach Zjednoczonych w ciągu tegoż roku, a każdemu bankrutowi dać kapitał 8 630 dolarów, z którym mógłby wznowić działalność przedsiębiorstwa. Pogrzeby kosztują rocznie więcej, niżeli wynosiła łączna wartość produkcji złota i srebra w Stanach Zjednoczonych w r. 1880! Cyfry te nie obejmują sum włożonych w cmentarze i wydanych na grobowce i pomniki ani też strat pochodzących z obniżenia wartości terenów położonych w pobliżu cmentarzy.

Dla bogatych spalenie ciała może zastąpić pogrzeb, ponieważ ceremonie z tym związane mogą być równie kosztowne i okazałe, jak hinduskie suttee (Dobrowolne całopalenie wdowy razem z ciałem męża), dla biednych zaś palenie byłoby lepsze od pogrzebu, ponieważ jest tanie — dopóki jednak biedni nie zaczęliby naśladować bogatych, co zresztą uczyniliby wkrótce. Przyjęcie systemu palenia zwłok wyzwoliłoby nas od steku wyświechtanych konceptów, lecz z drugiej strony wskrzesiłoby mnóstwo zapleśniałych, starych dowcipów na temat spalania, które przez dwa tysiące lat spoczywały w pokoju.

Mam znajomego Murzyna, który zarabia na życie ciężką, mozolną, fizyczną pracą. Nigdy nie zarabia więcej niż czterysta dolarów rocznie, a ponieważ ma żonę i kilkoro małych dzieci, musi jak najskrupulatniej liczyć się z każdym groszem, żeby dobrnąć do końca roku bez długu. Pogrzeb dla takiego człowieka jest olbrzymią katastrofą finansową. W czasie gdy pisałem jeden z poprzednich rozdziałów, człowiek ten stracił małe dziecko. Przewędrował z



przyjacielem całe miasto w poszukiwaniu trumny w dostępnej dla niego cenie. Kupił najtańszą, jaką mógł znaleźć — zwyczajne, zabejcowane drewno. Kosztowało go dwadzieścia sześć dolarów. Kosztowałoby prawdopodobnie mniej niż cztery, gdyby ją zrobiono na coś użyteczniejszego. Człowiek ten i cała jego rodzina będą czuli ten wydatek przez długie miesiące.

## Rozdział XLIII

### SZTUKA GRZEBANIA ZMARŁYCH

Mniej więcej w tym samym czasie spotkałem na ulicy pewnego człowieka, którego nie widziałem chyba z siedem lat. Rozmowa nasza wyglądała mniej więcej tak:

— Dawniej — rzekłem — wyglądał pan przygnębiony i postarzały. Skądże pan wziął tę całą młodość? Może poda mi pan adres?

Zachichotał uradowany, zdjął z głowy świecący cylinder, wskazał na małą karteczkę z jakimś napisem, przyklejoną do ronda, i począł dalej chichotać. Na karteczce widniał napis: „J. B. przedsiębiorca pogrzebowy”. Potem nałożył energicznie kapelusz, zsunawszy go swawolnie na kark, i wykrzyknął:

— Ot, jak się sprawa przedstawia! Tak, to były ciężkie czasy dla mnie, kiedy mnie pan poznał. Bo taki agent towarzystwa ubezpieczeń, wie pan, to okropnie niestałe zajęcie. Jak jest wielki pożar, w porządku; świetne interesy przez dziesięć dni, póki ludzie są nastraszeni, potem nudne borykanie się z polisami aż do następnego pożaru. W takich miastach, jak to, nie ma dość pożarów, tyle jest przeważnie martwych tygodni, że się wszystkiego odechciewa. Ale muszę panu powiedzieć, że to jest interes! Ludzie stale umierają. Tak, panie kochany, wyciągają nogi jak należy. W zawodzie przedsiębiorcy pogrzebowego nie ma martwych sezonów. Zacząłem sobie na początek z paroma starymi trumnami i z wynajętym karawanem, a teraz niech pan popatrzy! Rozwinąłem tak interes, że zadowoliliby każdego. Pięć lat temu mieszkałem na poddaszu, teraz mieszkam w obszernym domu z mansardami i wszystkimi nowoczesnymi niewygodami.

— Czy trumna tak drogo kosztuje? Czy dużo się zarabia na trumnie?

— A, idźże pan! Co też pan mówi? — Potem z porozumiewawczym skinieniem, zniżając głos i wymownie położywszy mi rękę na ramieniu ciągnął: — Widzi pan, jest jedna rzecz na świecie, o którą nikt się z panem nie będzie targował. To trumna. Jest jedna rzecz na świecie, co do której nikt nie powie: „Jeszcze trochę poszukam, a jeśli nie znajdę nic lepszego, wrócę po tę”. To trumna. Jest jedna rzecz na świecie, której człowiek nie weźmie z sosny, jeżeli może mieć z orzecha, nie weźmie orzechowej, jeżeli może mieć mahoniową, nie weźmie mahoniowej, jeżeli może sobie pozwolić na żelazną ze srebrną tabliczką z nazwiskiem i okuciami z brązu. To trumna. I jest jedna rzecz na świecie, o którą nie trzeba się kłopotać ani zabiegać, żeby za nią zapłacono. To trumna. Przedsiębiorstwo pogrzebowe? Przecież to najpewniejszy — jak śmierć — interes; i najszlachetniejszy.

— Niechże się pan tylko przypatrzy. Bogaty będzie chciał tylko to, co ma pan najlepszego. Można mu więc wepchnąć wszystko, co się ma na składzie, i ani piśnie. A jeżeli ma pan do czynienia z biednym, to jednym wydatkiem można go zrujnować kompletnie. A zwłaszcza kobietę. Na przykład: wchodzi pani O’Flaherty, wdowa, ociera oczy, jękliwie zawodząc. Odsłania jedno oko, łzawo toczy nim po całym składzie i powiada:

— A ileż by pan chciał za tamtą trumnę?

— Trzydzieści dziewięć dolarów, szanowna pani — mówię.

— Ładna cena, nie ma co mówić, ale Pat musi być pochowany jak dżentelmen, bo nim był, choćbym sobie miała urobić ręce do łokci. Wezmę tę trumnę.

— Tak, szanowna pani — mówię — to bardzo porządna trumna, niedroga, ma się rozumieć, ale w tym życiu tak krawiec kraje, jak materii staje, jak to powiadają. — A kiedy ma już wychodzić, wtrącam mimochodem:

— Ta z białą ałłasową podszewką jest piękna, ale obawiam się, że sześćdziesiąt pięć dolarów, to dosyć... dosyć... Ale mniejsza o to, czułem się w obowiązku powiedzieć pani O'Shaughnessy.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że Bridget O'Shaughnessy kupiła taką ozdobną szkatułkę, żeby w niej posłać swego zapijaczonego łajdaka do czyścica?

— Tak, szanowna pani.

— W takim razie Pat pójdzie do nieba w takiej samej, choćby O'Flaherty'owie musieli na to wydać ostatniego centa. Niech pan pamięta wetknąć tam jeszcze kilka ozdóbek, a dodam panu dolara.

Kiedy zacząłem się rozwodzić nad końmi i karawanami, nie omieszkałem oczywiście wspomnieć, że pani O'Shaughnessy wynajęła zaprzęg za pięćdziesiąt cztery dolary i wyprawiła Dennisowi wspaniały pogrzeb, jak gdyby był księciem albo mordercą. Pani O'Flaherty, ma się rozumieć, zagalopowała się i aby prześcignąć O'Shaughnessy wynajęła cztery konie i omnibus. Tak było, ale teraz wszystko to przebrzmiało, w naszym zwłaszcza mieście. Irlandczycy wynajmowali na pogrzeby tyle koni, że po pogrzebie przez dwa lata byli głodni i obdarci, aż wreszcie wdał się w to ksiądz i pomieszał nasze szyki. Teraz nie pozwala im mieć więcej koni niż dwa, a czasem tylko jednego.

— Wobec tego — mówię — jeżeli pan jest taki wesół i zadowolony w normalnych czasach, to jaki musi pan być w czasie epidemii?

Potrząsnął głową.

— Nie, nie trafił pan. Nie lubimy epidemii. Epidemia nie opłaca się. To znaczy, nie mówię, żeby zupełnie, ale w stosunku do normalnego czasu. Nie opłaca się. Czy nie domyśla się pan; dlaczego?

— Nie.

— Niech pan pomyśli.

— Nie mam pojęcia. Dlaczego?

— Chodzi tylko o dwie rzeczy.

— Jakież to rzeczy?

— Po pierwsze balsamowanie.

— A po drugie?

— Lód.

— Jak to?

— Ano, w normalnym czasie, gdy ktoś umrze, kładziemy go na jeden dzień lub dwa, czasem na trzy dni na lodzie, żeby przyjaciele mogli go odwiedzić. Trzeba na to masę lodu — topi się szybko. Za ten lód bierzemy zawrotne ceny, a za czuwanie bajońskie sumy. No, a kiedy jest epidemia, rozumie pan, porywają ludzi na cmentarz, ledwie przestaną oddychać. W czasie epidemii nie ma zbytu na lód. To samo z balsamowaniem. Niech pan znajdzie rodzinę, którą stać na balsamowanie, a rzecz idzie jak po maśle. Może pan wymienić szesnaście różnych sposobów balsamowania — chociaż w gruncie rzeczy jest tylko jeden lub dwa — a zawsze wybiorą najdroższy. Taka jest natura ludzka — natura ludzka w nieszczęściu. Bo widzi pan, człowiek wtedy nie myśli rozsądnie. O terażniejszość nie dba ani krzty. Chce tylko fizycznej nieśmiertelności zmarłego i chętnie za to płaci. A panu nie pozostaje nic innego do roboty, jak tylko mocno się trzymać, a na pewno zapłacać. Człowieku, bierzesz nieboszczyka bez żadnej wartości, przynosisz swoje przybory do balsamowania, zaczynasz robotę i po paru godzinach wart jest okrągłe sześćset dolarów! Tak, nic z tym się nie da porównać, chyba że sprzedaż szcurków za diamenty w czasie głodu. Ale widzi pan, w czasie epidemii ludzie nie czekają na balsamowanie. Nie, nie czekają — a to diabelnie psuje cały interes. No, muszę już iść. Niech

pan wstąpi do mnie, jeśli pan będzie potrzebował jakieś... to znaczy, jeśli pan kiedyś będzie koło mnie przechodził.

Jeśli w tym wszystkim jest przesada, on sam dopuścił się jej w swym wesołym podnieceniu. Ja tu nic nie wyolbrzymałem.

Powyższymi krótkimi uwagami o grzebaniu zmarłych zakończymy ten temat. Co do mnie, mam nadzieję, że będę spalony.

Kiedyś wspomniałem o tym memu proboszczowi, który odpowiedział znacząco:

— Na pana miejscu nie trafiłbym się o to.

Chociaż i miał rację — cała rodzina jest temu przeciwna.

## Rodział XLIV

### MIEJSKIE WIDOKI

Stara francuska dzielnica Nowego Orleanu — dawniej hiszpańska — nie jest wcale podobna do amerykańskiej, która znajduje się za leżącym pomiędzy nimi murowanym centrum handlowym. Domy, stłoczone w bloki, są proste i pełne godności — jednakowe w rysunku, tu i tam urozmaicone jakimś przyjemnym szczegółem. Wszystkie są z zewnątrz tynkowane i prawie wszystkie mają długie, biegnące wzdłuż wielu pięter balkony z żelaznymi balustradami. Piękność ich polega głównie na mocnym, ciepłym, różnokolorowym zabarwieniu, którym czas i pogoda wzbogaciły tynki. Harmonizuje ono z całym otoczeniem i stało się tak naturalną jego częścią, jak o zachodzie blask słońca na chmurach.

Uroczej tej ozdoby nie da się z powodzeniem naśladować, nigdzie też więcej nie można jej spotkać w Ameryce.

Żelazne balustrady są również swego rodzaju specjalnością. Rysunek ich jest często niezwykle lekki, misterny, delikatny, z jakąś wielką literą lub monogramem w środku — zwiewna pajęczyna krzyżujących się, zawitych form wykutych ze stali. Stare balustrady są kute ręcznie i obecnie dość rzadkie, a więc i odpowiednio cenne. Należą już do osobliwości.

Spotkał nas zaszczyt, bo mogliśmy powłóczyć się po tej starej dzielnicy Nowego Orleanu z największym literackim geniuszem Południa, autorem „The Grandissimes”. Południe znalazło w nim mistrzowskiego odtwórcę swego wewnętrznego życia i historii. Istotnie, przekonałem się, że niewprawne oko i chaotyczny umysł może lepiej poznać Południe i wyrobić sobie o nim jaśniejszy pogląd z jego książek niż przez osobisty kontakt z samym krajem.

Włóczęga po starej dzielnicy z panem Cable, który za ciebie patrzy, opisuje, tłumaczy i objaśnia, to prawdziwa przyjemność. Masz poczucie, że naprawdę widzisz rzeczy niewidoczne lub niewyraźne, widzisz je jak żywe, mimo że są przymglone i ciemne. Wyobraźnia dostrzega tylko to, co najbardziej rzuca się w oczy, często wtedy traci się piękne szczegóły lub widzi się je niewyraźnie. To tak, jak gdyby nie znający kraju krótkowidz przekraczał krawędź górską, za którą roztacza się panorama przymglonych szczytów alpejskich, a ju jego boku stał zapalony, doświadczony dalekowzroczny tubylec.

Zwiedziliśmy stary, zajęty obecnie przez urząd miejski „St. Louis Hotel”. Nie ma w nim nic specjalnie uderzającego, lecz można o nim powiedzieć to samo, co o Akademii Muzycznej w Nowym Jorku, a więc, że jeżeli kiedykolwiek używano tam miotły czy śmietniczki, nie ma na to żadnego konkretnego dowodu. Dziwne, że w Akademii Muzycznej nie rośnie kapusta i trawa — musi się do tego bez wątpienia przyczyniać brak światła, które zasłaniają ławki, oraz to, że kopać można tylko w przejściach. Fakt, że woźni hodują kwiaty do butonierek w lokalu Akademii, dowodzi, ile można byłoby zrobić, gdyby na czele instytucji stał prezes z wykształceniem rolniczym.

Zwiedziliśmy również czcigodną Katedrę i piękny plac przed nią. Katedra przyćmiona jest mistycznym światłem, plac błyszczący światowym blaskiem, zdobny jest w drzewa pomarańczowe i krzaki okryte kwieciami. Następnie przejechaliśmy w gorącym słońcu przez

całą dżunglę domów i wydostaliśmy się na szeroką równinę, gdzie znajdują się wille, koła wodne do drenowania miasta i pastwiska pełne krów i dzieci. Kiedy mijaliśmy stary cmentarz, mówiono nam, że leżą tam prochy dawnego rozbójnika, ale uwierziliśmy na słowo i nie odwiedziliśmy go. Był to rozbójnik o straszliwej i krwawej przeszłości. Póki trzymał się z dala, nie rozpoznany, godność jego imienia i wielkiego dawnego jego powołania wzbudzały szacunek i uznanie u wielkich i małych. Ale gdy wreszcie upadł tak nisko, że zajął się polityką i został mizernym rajcą miejskim, ludzie porzucili go, odwrócili się od niego i zapłakali z żalu. Gdy umarł, postawili mu pomnik i z wolna znów zaczął odzyskiwać dawny szacunek — ale był to szacunek dla rozbójnika, a nie dla rajcy. Dzisiaj wierni i wspaniałomyślni pamiętają jedynie o tym, kim był kiedyś, litościwie zapominając, kim się stał potem.

Stamtąd po wybrukowanej muszlami grobli przejechaliśmy kilka mil przez bagna. Po jednej stronie był kanał, po drugiej gęsty las; tu i tam sterczał w oddali postrzępiony, sztywny, obrosły brodami mchu, ostro odcinający się na tle nieba cyprys tak dziwacznej kształtu, jak jabłonie na japońskich obrazkach. Taka była nasza droga i jej otoczenie. Od czasu do czasu po kanale przepływał leniwie krokodyl, od czasu do czasu na brzegu ukazywał się człowiek łowiący ryby, którego nieruchoma kolorowa postać odbijała się malowniczo w spokojnej wodzie.

W niedługim czasie dojechaliśmy do West End, skupiska hoteli, takich jakie bywają zwykle w letnich kurortach, z szerokimi werandami wokoło, których progi lizały fale błękitnego jeziora Pontchartrain. Obiad jedliśmy na parterowej werandzie nad wodą, przy czym głównym daniem była sławna ryba zwana - „pompano”, tak smakowita i nęcąca, jak grzech śmiertelny. Tysiąc ludzi przyjeżdża co wieczór koleją lub powozami do West End i Spanish Fort, jedzą tam obiad, słuchają orkiestry, przechadzają się na wolnym powietrzu pod latarniami, pływają po jeziorze i zabawiają się na różne inne sposoby.

Mieliśmy jeszcze okazję spróbować ryby „pompano” innego dnia i w innym miejscu, a mianowicie, na dziennikarskim obiedzie w jednym z klubów w mieście. Podano ją w sposób niezwykle wyszukany, co usprawiedliwiło jej sławę. Otaczała ją wysoka piramida szkarłatnych raków, tych wielkich, jak duży palec — delikatnych, smacznych, apetycznych. Prócz tego suto przyprawione śledziki i krewetki najlepszego gatunku oraz półmisek małych homarków z miękką skorupką najwyższej klasy. Inne dania były takie, jakie można tylko dostać u „Delmonika” albo w Pałacu Buckingham; te, o których mówiłem, równie wspaniałe, można chyba znaleźć tylko w Nowym Orleanie.

Na Zachodzie i Południu mają teraz nową instytucję — Brygadę Miotły. Składa się ona z młodych dam, które ubierają się w mundur i przechodzą musztrę piechoty z miotłą zamiast muszkietu. Powiedziałbym, że bardzo to przyjemny widok. Wyobrażam sobie, jakie piękne i olśniewające musi to być widowisko, kiedy dają przedstawienie w teatrze na scenie w blasku kolorowych ogni. Widziałem, jak skomplikowaną musztrę odbywały z wdziękiem, zapałem i podziwu godną dokładnością. Widziałem, jak z miotłą robiły wszystko, co ludzka istota jest w stanie z nią zrobić, z wyjątkiem zmiatania. Nie widziałem, żeby zmiatały. Wiem jednak, że mogłyby się nauczyć. Dowodzi tego wszystko, czego się już nauczyły. A gdyby się nauczyły i weszły na ścieżkę wojenną ulicy Tchoupitoulas lub innych pobliskich ulic, arterie te w przeciągu niewielu minut nabrałyby znacznie lepszego wyglądu. Ale same dziewczęta tego nie uczynią, a więc w końcu nie osiągnie się właściwie niczego.

Musztra odbywała się w budynku Waszyngtońskiej Artylerii. W budynku tym natrafiliśmy na wiele ciekawych pamiątek z wojny. Także na piękny obraz olejny przedstawiający ostatnią rozmowę Stonewall Jacksona z generałem Lee. Obaj mężczyźni są na koniach. Jackson właśnie podjechał i zwraca się do Lee. Obraz jest cenny ze względu na portrety postaci historycznych, które są autentyczne. Ale tak jak wiele historycznych obrazów nie znaczy nic bez podpisu. Obraz ten może być opatrzony na przykład podpisem w takich wariantach:

Pierwsza rozmowa Lee z Jacksonem.

Ostatnia rozmowa Lee z Jacksonem.

Jakson przedstawia się Lee.

Jakson przyjmuje zaproszenie Lee na obiad.

Jakson z podziękowaniem odmawia Lee przybycia na obiad.

Jakson usprawiedliwia się z ciężkiej klęski.

Jakson zawiadamia o wielkim zwycięstwie.

Jakson prosi Lee o zapałkę.

Obraz mówi j e d n ą r z e c z i t o r z e c z n a j w a ż n i e j s z ą — mówi bowiem zupełnie jasno i wyraźnie: „Tutaj jest Lee i Jackson”. Artysta chciałby wyrazić, że jest to ostatnia rozmowa Lee z Jacksonem, ale nie mógł. Nie mógł, bo nie było na to sposobu. Dobry, czytelny podpis jest zwykle dla obrazu historycznego wart jako informacja tyle, co tona znaczących póz i wyrazów twarzy. W Rzymie ludzie o miękkich, współczujących sercach stoją i zalewają się łzami przed sławnym: „Beatrice Cenci na dzień przed egzekucją”. To najlepszy dowód, co może zrobić podpis. Gdyby nie znali obrazu, oglądaliby go bez wzruszenia mówiąc: „Młoda dziewczyna mająca katar; młoda dziewczyna z głową w worku”.

Na pół zapomniana południowa intonacja i skróty były dla mego ucha tak przyjemne, jak dawniej. Mowa Południowca to muzyka. Przynajmniej dla mnie jest muzyką, ale przecież ja urodziłem się na Południu. Południowiec nie używa „r”, o ile nie znajduje się ono na początku wyrazu.

Upolowaliśmy jeden wspaniały wyraz, po który warto wybrać się do Nowego Orleanu — giętki, wyrazisty, zręczny wyraz: lagniappe. Wymawiają go „lanny-yap”. Mówią, że jest hiszpański. Odkryliśmy go pierwszego dnia w nagłówku kolumny rozmaitości w „Picayune”. Drugiego dnia słyszeliśmy, jak go użyło dwudziestu ludzi. Trzeciego zapytaliśmy, co oznacza. Czwartego przyswoiliśmy go sobie i nabyliśmy łatwości szermowania nim. Znaczenie ma ograniczone, ale myślę, że ludzie rozszerzają je wedle woli. Jest to równoznacznik trzynastej bułki dodanej do tuzina. Jest to coś dorzuconego gratis dla dobrej wagi. Zwyczaj ten powstał w hiszpańskiej dzielnicy miasta. Gdy dziecko lub służący kupuje coś w sklepie, ba, nawet burmistrz lub gubernator — o ile wiem — kończą kupno słowami: — Dajcie mi coś na lagniappe. !

Właściciel sklepu nie odmawia nigdy; dziecku daje kawałek lukrecji, służącemu tanie cygaro lub szpulkę nici, gubernatorowi — nie wiem, co dają gubernatorowi — prawdopodobnie poparcie.

Jeżeli jesteś zaproszony, żeby się czego napić — a to od czasu do czasu zdarza się w Nowym Orleanie — i zapytasz: „Co? Jeszcze? Nie, mam już dosyć”, drugi odpowiada: „Tylko ten ostatni raz, na lagniappe”. Gdy elegant wyczyta z twarzy młodej damy, że zanadto spiętrza swoje komplementy i lepiej już nic nie dodawać — zamiast powiedzieć: „Przepraszam, nie miałem nic złego na myśli”, ujmuje to w krótszą formę: „Och, to na lagniappe”. Jeżeli w restauracji kelner potknie się i wyleje ci kwaterkę kawy za kołnierz, mówi: „Na lagniappe, sir!” i drugą filiżankę przynosi ci za darmo.

## Rozdział XLV

### SPORT NA POŁUDNIU

Na Północy w rozmowie towarzyskiej słyszy się wzmianki o wojnie raz na miesiąc, czasami raz na tydzień, jednak dawno już przestała być zasadniczym tematem rozmowy. Dzieje się tak nie bez powodu. Jeżeli do obiadu zasiądzie dzisiaj sześciu dżentelmenów, przeważnie tak się zdarza, że czterech z nich, może pięciu, wcale nie było na froncie. Są więc szanse cztery do dwóch lub pięć do jednego, że w ciągu całego wieczora nie będzie mowy o wojnie, a jeżeli już, to poprzestaną na krótkiej wzmiance. Jeżeli dodać do tego towarzystwa jeszcze sześć pań,

doda się sześć osób, które tak mało widziały okropności wojny, że już od wielu lat porzuciły ten temat, a jeśli zdarzy się, że ktoś go poruszy, natychmiast są tym znużone.

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia na Południu. Tam każdy, kogo tylko spotkasz, był na wojnie i każda dama, którą spotkasz, widziała wojnę. Wojna jest głównym i ważnym tematem rozmów. Zainteresowanie nią jest żywe i nieustanne, zainteresowanie innymi tematami przejściowe. Wzmianka o wojnie obudzi ośpałe towarzystwo i wprawi w ruch języki, a prawie każdy inny temat by zawiódł. Na Południu wojna jest tym, czym gdzie indziej A. D. Liczą od niej czas. Przez cały dzień słyszysz o rzeczach wedle niej datowanych, to jest, że zdarzały się po wojnie lub podczas wojny albo przed wojną czy też po wojnie — także dwa lata, pięć lub dziesięć lat przed wojną albo po wojnie. Dowodzi to, jak głęboko i osobiście ów okropny incydent dotknął każdego człowieka z osobna. Daje też niedoświadczonemu przybyszowi daleko lepsze pojęcie o tym, jak wielką i niebywałą klęską jest inwazja, niżeli mógłby je sobie kiedykolwiek wyrobić czytając książki przy kominku.

Pewnego wieczoru w klubie zwrócił się do mnie jakiś dżentelmen i rzekł „na stronie”:

— Pan, oczywiście, zauważył, że prawie wszyscy mówimy o wojnie. Nie dlatego, żebyśmy nie mieli o czym mówić, ale dlatego, że nic nas tak nie interesuje. Jest jeszcze i inna przyczyna: podczas wojny każdy z nas wiele doświadczył. Skutek jest taki, że wystarczy poruszyć jakikolwiek bądź najbłaższy temat, żeby natychmiast przypomniało się któremuś słuchaczowi o czymś, co się zdarzyło podczas wojny. Oczywiście zawraca to całą rozmowę z powrotem ku wojnie. Może pan próbować utrzymać jakiś inny temat, ile pan chce, my się możemy do tego przyłączyć i pomagać, ale rezultat może być tylko jeden: najbardziej przypadkowy temat naładuje każdego wspomnieniami wojennymi i zamknie mu usta. Rozmowa prawdopodobnie ustanie, bo nie można mówić o mdłych przypuszczeniach, gdy się ma w głowie jaskrawy fakt lub wyobrażenie i człek aż pali się, żeby je wypowiedzieć.

Poeta siedział w pewnym oddaleniu i nagle zaczął mówić — o księżycu.

Dżentelmen, który ze mną rozmawiał, bąknął na stronie: — Cóż, księżyc jest dość daleko od terenu wojennego, ale zobaczy pan, że komuś przypomni coś o wojnie. Za dziesięć minut księżyc przestanie być głównym tematem rozmowy.

Poeta mówił, że zauważył coś, co było dla niego niespodzianką: miał wrażenie, że tutaj, bliżej równika, światło księżyca jest znacznie silniejsze i jaśniejsze niż na Północy — miał wrażenie, że gdy wiele lat temu był w Nowym Orleanie, księżyc...

Ktoś z drugiego końca pokoju przerwał:

— Spróbuję to wytłumaczyć. Przypomina mi to pewną anegdotę. Wszystko się zmieniło od czasu wojny, na lepsze czy na gorsze, ale ludzie tutejsi to urodzone zrędy: nie widzą żadnej zmiany, prócz zmiany na gorsze. Taką właśnie była kiedyś pewna stara Murzynka. Młody nowojorczyk powiedział w jej obecności: „Jakiż tu macie cudowny księżyc!” Westchnęła i rzekła: „Ach, gdybyś był, kochaneczku, widział ten księżyc przed wojną...!”

Zdawało się, że temat o księżycu się zakończył, ale poeta wskrzesił go i zaczął od nowa.

Nastąpiła krótka dysputa o tym, czy różnica między światłem księżyca na Północy i na Południu istniała naprawdę, czy też było to tylko przywidzenie. Rozmowa o świetle księżyca zбочzyła łatwo na sztuczne metody rozpraszania ciemności. Potem ktoś przypomniał, że jak Farragut podczas ciemnej nocy zbliżał się do Port Hudson, a nie chciał posłużyć za cel strzelcom Konfederackim, nie zapalił latarń, lecz pomalował na biało pokłady swych okrętów i stworzył w ten sposób przyćmione, lecz cenne światło, które umożliwiło jego ludziom odnajdywanie właściwej drogi. I tak znów na placu znalazła się wojna, choć owe dziesięć minut jeszcze nie upłynęło.

Nie martwiłem się tym, bo rozmowa o wojnie prowadzona przez ludzi, którzy na niej byli, jest zawsze ciekawa, podczas gdy rozmowa o księżycu prowadzona przez poetę, który na nim nie był, bywa zwykle nudna.

Pewnego sobotniego popołudnia poszliśmy w Nowym Orleanie na walkę kogutów. Byli tam mężczyźni i chłopcy różnego wieku i koloru skóry, różnych narodowości i języków. Zauważyłem jedną zupełnie wyraźną i zdumiewającą rzecz: brak ordynarnych twarzy. Gdyby nie odbywała się walka kogutów, można by wmówić przybyszowi, że jest to pobożne zebranie dla wspólnej modlitwy, a gdyby się zaczęła, a przybyszowi zawiązało się oczy — że zebranie odbywa się na cześć wielkiego odrodzenia religijnego, wrzask bowiem był potworny.

Na ringu był jeden Murzyn i jeden biały. Koguty przyniesiona w workach. Gdy rozległ się sygnał, obaj poganiacze wyjęli koguty, pogłazdili, popieścili, pchnęli jednego ku drugiemu i wreszcie puścili. Wielki czarny kogut wczepił się momentalnie w małego, szarego koguta i ostrogą walnął go po głowie. Szary odpowiedział z energią. Wtedy zrobiła się wieża Babel, buchnęły wielojęzyczne okrzyki, nie ustające odtąd ani na moment. Po krótkiej chwili walki myślałem, że koguty natychmiast padną trupem, gdyż oba były ślepe, czerwone od krwi i tak wyczerpane, że co chwila padały na ziemię. A przecież nie przestawały walczyć ani nie padały trupem, Murzyn i biały co kilka sekund podnosili je, ocierali, opryskiwali zimną wodą, wkładali w usta ich głowy i trzymali je tam przez chwilę, prawdopodobnie dlatego, aby odychać gasnące życie — nie wiem. Postawione z powrotem na ziemi, już prawie umierające, powłóczące skrzydłami, zaczynały znowu szukać jeden drugiego i wreszcie zadawszy na ślepo kilka ciosów padały wyczerpane.

Końca walki nie widziałem. Starłem się wytrzymać póki mogłem, ale zbyt żalosny to był widok. Przyznałem się do tego otwarcie i wyszliśmy. Słyszałem potem, że czarny kogut zginął na ringu walcząc do końca.

Widocznie „sport” ów ma wiele uroku dla tych, którzy są już z nim obeznani. Nigdy nie widziałem ludzi tak rozkoszujących się czymkolwiek, jak owo zgromadzenie rozkoszowało się tą walką. I to zarówno siwowłosi starcy, jak dziesięcioletni chłopcy. Zapamiętywali się w szale zachwytu. Walka kogutów jest nieludzką formą rozrywki, nie ma co do tego wątpliwości, a przecież wydaje się znacznie szlachetniejsza i dlatego mniej okrutna niż polowanie na zające, bo koguty lubią walkę — przy czym nie tylko dostarczają przyjemności, ale i same jej doznają, czego nie można powiedzieć o zającach.

Pewnego dnia uczestniczyliśmy w wyścigach mułów. Zdaje mi się, że rozkoszowałem się tymi zawodami więcej niż same muły. Więcej niż jakimikolwiek innymi wyścigami zwierząt. Trybuna była zapełniona kwiatem piękności i rycerstwa Nowego Orleanu. Zdanie to nie jest moje, pochodzi od reportera z Południa. Używa go od dwóch pokoleń. Używa go dwadzieścia razy na dzień albo dwadzieścia tysięcy razy na dzień, albo milion razy na dzień, zależnie od zapotrzebowania. Musi używać go milion razy dziennie, jeśli tak często ma okazję mówienia o przyzwoitych, godnych szacunku mężczyznach i kobietach, gdyż nie ma na to żadnego innego określenia, tylko to jedno. I nigdy nie jest nim znudzony, zawsze mu dźwięczy przyjemnie. Jest w tym zdaniu jakiś rodzaj średniowiecznej władczości i blasku, który podoba się jego barbarzyńskiej, żadnej błyskotek duszy. Gdyby był w dawnych czasach w Palestynie, nie mielibyśmy pochodzących od niego wzmianek o „mnogich rzeszach”, lecz powiedziałby „kwiat piękności i rycerstwa Galilei” zgromadził się, ażeby wysłuchać Kazania na Górze. Możliwe, że mężczyźni i kobiety Południa mają obecnie dosyć tego powiedzenia i chcieliby jakiejś zmiany, ale nie wygląda na to, żeby się jej szybko doczekali.

Nowoorleański redaktor ma styl mocny, zwarty, jasny i prosty, nie marnuje słów, nie wybucha. Inaczej z jego przeciętnymi korespondentami. A oto przykład:

W kwietniu „Times Democrat” wysłał parowiec do jednej z zatoczek. Parowiec dobił do pewnej osady, a kapitan zaprosił kilka pań z osady na krótką wycieczkę. Przyjęły zaproszenie, weszły na pokład i parowiec wypłynął na zatokę. To było wszystko, co by o tym powiedział redaktor „Times Democrat”. Nic by tu nie było poza statystyką. Może nawet gwoli przejrzystości albo gwoli oszczędności miejsca ująłby to w tabelę. Lecz specjalny

korespondent zna inne metody przekazywania statystyki. Po prostu odrzuca wszelkie hamulce i używa, jak może:

W sobotę, wczesnym rankiem kwiat piękności owego miasta zaszczycił nasze kabiny, a dumny ze swego dorodnego ładunku nasz dzielny, mały stateczek posuwiście ruszył na zatokę.

Tyle słów po to, by powiedzieć, że panie weszły na pokład i statek wypłynął na zatokę, jest zwykłym marnotrawstwem słów, przy czym działa destrukcyjnie na zawartość odniesienia.

Przyczyną kłopotów z reporterem z Południa są — kobiety. One zbijają go z tropu, one wyprowadzają go z równowagi. Jest do rzeczy, mówi jasno i zrozumiale, dopóki na widowni nie ukaże się kobieta. Wtedy cały się załamuje; umysł mu się miesza, mowa jego staje się kwiecista i bezsensowna. Przeczytawszy powyższy wyjątek można by przypuszczać, że ten uczeń sir Waltera Scotta to dopiero praktykant i prawie wcale nie umie władać piórem. A jednak tak nie jest, w swym długim liście daje mnóstwo dowodów na to, że dobrze wie, jak władać piórem, o ile nie ma przy nim kobiet przyprawiających go o chorobliwą sztuczność. Na przykład:

O czwartej na południowym wschodzie poczęły zbierać się groźne chmury i nagle znad zatoki wionął podmuch wiatru, którego siła wzmagająca się z każdą chwilą. Niebezpiecznie było opuszczać przystań i należało przeczekać. Porywy wichru strząsały z dębów długie warkocze omszałych bród, a zatoczka, jak gdyby szydząc z wielkich wód, dumnie okryła się maleńkimi falkami. Chwilowa cisza umożliwiła nam start, więc ruszyliśmy w kierunku domu, wśród nowych, ciężkich uderzeń wichru, z czarnym jak atrament niebem nad głową. Gdy zapadła ciemność, niewielu było takich na pokładzie, którzy by nie chcieli znaleźć się bliżej domu.

Nic temu nie można zarzucić. Opis jest dobry i zwięzły. A jednak była tu wielka pokusa, żeby wpaść w ponury ton opowiadania.

Ale wróćmy do mułów. Od czasu, jak je opuściłem, myszkowałem, gdzie mogłem, i znalazłem całe sprawozdanie o wyścigach. Znalazłem w nim potwierdzenie teorii, którą właśnie wytoczyłem, a mianowicie, że przyczyną kłopotów z reporterem z Południa są kobiety — kobiety wspierane przez Waltera Scotta i jego rycerzy, kwiat piękności, dworności i tak dalej. Jest to doskonale sprawozdanie, dopóki nie pojawiają się w nim kobiety. Lecz kiedy wtargną, mamy taki oto nieprzytomny rezultat:

***Nieprędko chyba się zdarzy, żeby trybuna pań przedstawiała takie morze zwiewnej niby piana piękności, jak wczoraj. Kobiety w Nowym Orleanie są zawsze czarujące, ale nigdy tak bardzo jak o tej porze roku, gdy w wytwornych, wiosennych strojach wnoszą z sobą oddech balsamicznej świeżości oraz woń świętości niewystowionej. Trybuna była nimi tak zatłoczona, że, przechadzając się u ich stóp i nie widząc możliwości zbliżenia się, niejeden mężczyzna pojmował jak nigdy uczucia Peri, wzgardzonej istoty u Bram Raju, i zachodził w głowę, jaka bezcenna łaska mogłaby go dopuścić przed anielskie oblicza. Na spowitych w biel piersiach i ramionach mieniły się kolory ich ulubionych rycerzy i gdyby nie okoliczność, że dzielni bohaterowie ukazali się na nieromantycznych mułach, można by myśleć, że jest to jeden z galowych dni króla Artura.***

W pierwszym biegu brało udział trzynaście mułów; były to muły wszelakiego rodzaju, wszelakiej maści, temperamentu, sposobu chodzenia, wyglądu. Niektóre były ładne, inne nie; niektóre beztraskie i swawolne, inne złośliwe i pełne wszelkich przywar. Wnioskując z ich wyglądu, niektóre myślały, że jest to wojna, inne, że zabawa, a reszta brała to za jakieś nabożeństwo. Każdy zaś muł postępował wedle własnego przekonania. Wynikiem tego był brak wszelkiej harmonii, zadośćuczynieniem zaś niesłychana różnorodność — różnorodność malownicza i zabawna.

Wszyscy jeźdźcy byli młodymi dżentelmenami z eleganckiego towarzystwa. Jeżeli czytelnik dziwił się, dlaczego damy z Nowego Orleanu uczęszczają na tak skromne rozrywki jak



wyścigi mułów, rzecz się już wyjaśniła. To kaprys mody; wszyscy biorący w nich udział należą do eleganckiego świata.

Jest to wielka, szczerze lubiana zabawa. Wyścigi mułów są jednym z ważniejszych dorocznych wydarzeń. Wyłoniły kilka szybko biegających mułów. Jednego z nich musieli w ogóle usunąć, gdyż był tak szybki, że obracał całą rzecz w zawody jednego muła, odbierając im jedną z najlepszych cech — rozmaitość. Ale coraz to ktoś wprowadza go z powrotem na tor pod przybranym imieniem i przybraną maścią.

Jeźdźcy mają na sobie normalne dżokejskie kostiumy z kolorowego jedwabiu, aksamitu lub aksamitu.

Trzyście mułów po paru falstartach ruszyło zwartą grupą i popędziło z ogromnym temperamentem. Ponieważ każdy muł i każdy jeździec miał własny, zdecydowany pogląd na to, jak wyścigi powinny się odbywać, która strona toru jest w pewnych okolicznościach najlepsza, jak często należy przecinać tor, kiedy należy dopuścić do zderzenia, a kiedy go unikać — owe dwadzieścia sześć sprzecznych poglądów stworzyło najbardziej fantastyczne i malownicze zamieszanie, a komizm końcowej sceny był wprost nieprawdopodobny.

Bieg na jedną milę; czas 2,22. Osiem z trzynastu mułów zdystansowanych. Postawiłem na muła, który na pewno by wygrał, gdyby kolejność była odwrotna. Drugi bieg był świetną zabawą, tak samo następny: „wyścig pocieszenia pobitych mułów” — okazało się, że najlepiej wypadł pierwszy bieg.

Myślę, że najprzyjemniejsze ze wszystkich wyścigów są wyścigi parowców, ale zaraz po nich stawiam beztraskie, zabawne biegi mułów. Dwa rozgorączkowane parowce, pędząc łeb w łeb, wyteżają każdy nerw, to znaczy każdą szprychę w kołach, dygocą, trzęsą się, jęczą od dziobu do rufy, plują białą parą z rur, wyrzucają czarny dym z kominów, wypuszczają deszcz iskier, przecinają rzekę długimi pasami syczącej piany — jest to sport, który sprawia, że w człowieku serce aż skacze z radości. W porównaniu z tym wyścigi konne są łagodne i bezbarwne. A przecież wyścigi konne na swój sposób mogłyby być ciekawe, gdyby nie te męczące falstarty. Ale za to nikt się nie zabija. Przynajmniej gdy ja bywałem na wyścigach, nikt się nigdy nie zabił. Byli pokaleczeni, co prawda, lecz to już nie jest ważne.

## Rozdział XLVI

### CZARY I CZARODZIEJE

Największym dorocznym wydarzeniem w Nowym Orleanie jest uroczystość karnawałowa Mardi-Gras, ale przyjechawszy zbyt późno nie mogliśmy jej już zobaczyć. Dwadzieścia cztery lata temu widziałem tam pochód mistycznego orszaku Camusa, z rycerzami, notablami i tak dalej, w jedwabnych i złotych wspaniałych strojach, zrobionych w Paryżu, zaprojektowanych i kupionych na użytek tej jednej nocy, a za nimi wszelkiego rodzaju olbrzymy, karły, potwory i inne groteskowe pokraki. Było to zdumiewające i wspaniałe widowisko, gdy uroczysty, milczący pochód posuwał się ulicami w świetle dymiących i migocących pochodni. Powiadają jednak, że w ostatnich czasach, jeśli idzie o koszty, splendor i urozmaicenie, widowisko jest jeszcze wspanialsze. Główną osobą jest Rex i jeśli dobrze pamiętam, ani owego króla, ani nikogo z jego wielkiej świty nie zna nikt z nie wtajemniczonych. Wszyscy spośród nich są na stanowiskach, posiadają w mieście duże znaczenie; przynależność do owej organizacji jest rzeczą chlubną, a więc tajemnica, którą się okrywają, zachowywana jest tylko gwoli romantyzmu, a nie ze względu na policję.

Mardi-Gras jest oczywiście pozostałością po okupacji francuskiej i hiszpańskiej, ale wydaje mi się, że obecnie nie ma już nic z charakteru religijnego. Sir Walter zdobył przewagę nad dżentelmenem w kapturze mnisim i z różańcem. Jego średniowieczne widowisko z potworami, diabłami i miłymi zjawami z krainy czarów jest przyjemniejsze do oglądania niż ubogie twory fantazji i widowiska rozwydrzonego pospólstwa z czasów panowania kleru, i

może równie dobrze służyć do podkreślenia ważności dnia, jak i przypomnienia ludziom, że doszli do granicy światowych uciech i świętości.

Do niedawna karnawałowa parada Mardi-Gras była wyłączną własnością Nowego Orleanu. Teraz jednakże dotarła do Memphis, St. Louis i Baltimore. Prawdopodobnie doszła już do własnych granic. Taka parada nie mogłaby mieć miejsca na praktycznej Północy, z pewnością trwałaby bardzo krótko, tak krótko jak w Londynie. Bo duszą tego widowiska są romantyczność, wesołość i groteska. Jeśli się zabierze romantyczną tajemniczość, królów, rycerzy i pompatyczne tytuły, Mardi-Gras zamrze na Południu. Właśnie to, co utrzymuje ów zwyczaj przy życiu na Południu — podlotkowaty romans — na Północy i w Londynie zniszczyłoby go zupełnie. „Puck”, „Punch” i cała prasa światowa natychmiast by się rzuciła, wyśmiała niemiłosiernie i pierwszy występ byłby zarazem ostatni.

Zbrodniom francuskiej rewolucji i Bonapartego można przeciwstawić dwa równoważne dobrodziejstwa: rewolucja zerwała więzy ancien régime i Kościoła, a z narodu nędznych niewolników uczyniła naród ludzi wolnych. Bonaparte wyniósł zasługi nad urodzenie i tak dokładnie odarł królewskość z boskości, że podczas gdy dawniej koronowane głowy w Europie były bogami, teraz stały się tylko ludźmi i nigdy więcej nie będą bogami, lecz tylko figurantami, tak samo odpowiadającymi za swoje czyny, jak ludzie ze zwykłej gliny. Takie dobrodziejstwa są zadośćuczynieniem za chwilowe szkody, które wyrządził Bonaparte i rewolucja, a świat jest im dłużny za owe wielkie i trwałe usługi, jakie wyświadczyli wolności, ludzkości i postępowi.

Potem przychodzi sir Walter Scott ze swymi czarami i sam jeden zatrzymuje falę postępu, a nawet ją zawraca. Rozkochuje świat w snach i duchach, w zmurszałych i ohydnych formach religijnych, w zmurszałych i zarzuconych systemach rządzenia, w głupocie i pustocie, udanej wielkości i blasku, udanej rycerskości bezmyślnego, bezwartościowego społeczeństwa, które dawno zniknęło. Wyrządził niepowetowaną szkodę, szkodę może bardziej rzeczywistą i trwałą niżeli ktokolwiek z piszących. Obecnie większość świata otrząsnęła się już z owej szkody, lecz na naszym Południu spustoszenie jest nadal żywe i świeże. Może nie jest tak silne jak pół pokolenia temu, ale przecież dość silne. Prawdziwa i zdrowa dziewiętnastowieczna cywilizacja jest tam ciekawie splątana i zmieszana ze średniowieczną, fikcyjną cywilizacją Waltera Scotta. I tak praktyczne, rozsądne, postępowe poglądy i postępowe przedsięwzięcia są pomieszane z pojedyńkiem, napuszoną mową i czcym romantyzmem absurdałnej przeszłości, która umarła i z samego miłosierdzia powinna być pogrzebana. Gdyby nie choroba sir Waltera, charakter Południowca byłby całkowicie nowoczesny, a nie zmieszany ze średniowiecznym, a Południe byłoby bardziej postępowe o całe pokolenie. To sir Walter uczynił każdego dżentelmena na Południu — majorem, pułkownikiem, generałem lub sędzią przed wojną. To on również sprawił, że owi dżentelmeni cenią sobie te przybrane tytuły. On bowiem stworzył na Południu stopnie i kasty, on przyczynił się, że ludzie są z nich dumni i darzą je poszanowaniem. Co do niewolnictwa jest ono już i tak dość obciążone, żeby mu jeszcze przypisywać pochodzenie od owych pomysłów i darów sir Waltera.

Sir Walter tak bardzo przyłożył ręki do ukształtowania przedwojennego charakteru Południowca, że w wielkiej mierze jest odpowiedzialny za wojnę. Wydaje się zbyt surowe mówić o sir Walterze, nieżyjącym już człowieku, że gdyby nie on, wcale nie mielibyśmy wojny, a jednak na poparcie tego dziwnego twierdzenia można by przytoczyć argument nie pozbawiony racji. Południowiec z Amerykańskiej Rewolucji posiadał niewolników, tak samo jak Południowiec z Wojny Domowej, lecz pierwszy podobny jest do drugiego tak, jak Anglik do Francuza. Te zmiany można raczej przypisać wpływowi sir Waltera niż jakiegokolwiek innej osobie czy rzeczy.

Jak głęboko sięgnął ten wpływ i jak mocno się utrzymuje, można zaobserwować na kilku przykładach. Jeżeli wziąć do ręki północny lub południowy literacki periodyk sprzed

czterdziestu czy pięćdziesięciu lat, okaże się, iż pełen jest wielosłownej, czczej, kwiecistej „elokwencji”, romantyzmu, sentymentalności naśladowanej sir Waltera, w gruncie rzeczy nieudolnej trawestacji jego stylu i metod. Ponieważ ten rodzaj literatury był modny w obu częściach kraju, zjawiała się możliwość najszlachetniejszego współzawodnictwa. W rezultacie Południe było w stanie wysunąć tyleż sławnych literackich nazwisk, co Północ.

Ale nastąpiła zmiana i nie ma już możliwości szlachetnego współzawodnictwa między Północą a Południem. Północ bowiem odrzuciła ów stary, napuszony styl, podczas gdy pisarz południowy trzyma się go ciągle i dlatego ma ograniczony rynek zbytu na swoje towary. Na Południu jest teraz tyleż literackich talentów co dawniej, ale nie mogą liczyć na dużą popularność. Autorzy piszą dla przeszłości, ale nie dla teraźniejszości, używają przestarzałych form i martwego języka. Jeśli jednak jakiś geniusz-Południowiec pisze współczesną angielszczyznę, książka jego nie chodzi o kulach, ale leci na skrzydłach, a one niosą ją szybko po całej Ameryce i Anglii i do wielkich angielskich firm wydawniczych w Niemczech. Przykładem są tu doświadczenia pana Cable i Wuja Remusa, dwóch z bardzo niewielu południowych autorów, którzy nie piszą południowym stylem. Zamiast trzech czy czterech ogólnie znanych nazwisk literackich Południe powinno mieć ich kilkanaście lub kilkadziesiąt i będzie je miało, gdy tylko skończą się czasy sir Waltera.

Ciekawym przykładem dobrej lub złej potęgi jednej książki jest wpływ wywarty przez Don Kichota i przez Ivanhoe. Pierwsza zmiotła ze świata podziw dla głupoty średniowiecznego rycerstwa, druga to przywróciła. O ile idzie o nasze Południe, dobra robota Cervantesa stała się już prawie martwą literą, tak skutecznie podminowała ją zgubna robota Scotta.

## Rozdział XLVII

### „WUJ REMUS” I PAN CABLE

Pan Joel Chandler Harris (Wuj Remus) miał przybyć z Atlanty w niedzielę, o siódmej rano, a więc wstaliśmy, żeby go powitać. Łatwo było go rozpoznać wśród tłumu przybyszów stojących na dole w hotelu, gdyż wygląd jego zgadzał się z opisem, który otrzymaliśmy z wiarygodnego źródła. Powiedziano nam, że wzrostu jest mniej niż średniego, trochę piegowaty i ma rude włosy. Był jedynym człowiekiem z całej grupy, którego wygląd zgadzał się z owym opisem. Mówiono nam, że jest bardzo nieśmiały. Rzeczywiście, jest człowiekiem nieśmiałym. Nie ma co do tego wątpliwości, tylko że tego nie widać na zewnątrz. Po wielu dniach bliższej znajomości widzi się ze zdumieniem, że jednak ciągle nie pozbywa się tej nieśmiałości. Ukrywa się pod nią delikatna i piękna natura — o czym wszyscy wiedzą, którzy czytali książkę Wuja Remusa — oraz szlachetny geniusz, co również wiedzą wszyscy na podstawie tego samego źródła. Zdaje mi się, że mówię o tym zupełnie swobodnie, bo mówiąc do czytelników mówię przecież tylko do jego przyjaciół, a między przyjaciółmi rzeczy te są dopuszczalne.

Sprawił on głęboki zawód gromadzie dzieci, które zbiegły się ochoczo do domu pana Cable, by choć przez chwilę ujrzeć sławnego starca, wieszczą dzieciennych pokojów w całym kraju. Powiedziały:

— Och, on jest biały?!

Były tym mocno zmartwione. Na pociechę przyniesiono książkę, aby mogły usłyszeć opowiadanie Wuja Remusa o „Smoluchu” z ust samego Wuja Remusa lub tego, co w ich zawiedzionych oczach z niego pozostało. Okazało się jednak, że nigdy nie czytał głośno publicznie, a zbyt był nieśmiały, by się na to teraz odważyć. Cable i ja czytaliśmy więc ze swoich książek, aby mu pokazać, że to nic trudnego, lecz jego wieczna nieśmiałość oparła się nawet tej przemyślnej strategii i musieliśmy sami czytać o „kuzynie Króliku”.

Pan Harris powinien był czytać dialekt murzyński lepiej niż ktokolwiek inny, gdyż w piśmie jest jedynym mistrzem, jakiego wydał kraj. Pan Cable jest jedynym mistrzem, jakiego wydał

kraj, w pisaniu francuskimi dialektami, i czyta je też doskonała Słuchać, jak czyta o Jean-ah Poquelin i Innerarity oraz swoją sławną parodię przedstawiającą „Louisihannę (Luizjanę) odmawiającą wstąpienia do Zjednoczenia”, oraz rozdziały ładnie stonowanego niemieckiego dialektu z powieści będącej jeszcze w rękopisie — to prawdziwa uczta.

W czasie rozmowy okazało się, że w dwóch różnych przypadkach pan Cable wpadł w groteskowe kłopoty używszy w swych książkach nieprawdopodobnych, zdawało się, francuskich nazwisk, które jednakże nosili, jak się okazało, żyjący obywatele Nowego Orleanu. Nazwiska owe albo wymyślił, albo zapożyczył z dawnej, zamierzchłej przeszłości, nie pamiętam już teraz jakiej — a tymczasem, okazało się, że noszą je żyjący ludzie, którzy czują się mocno dotknięci, że zwrócono na nich i na ich sprawy publiczną uwagę, i to w tak ostentacyjny sposób.

Pan Warner i ja doświadczyliśmy podobnej przygody, gdy napisaliśmy książkę pod tytułem *The Gilded Age*. Występuje tam osobnik, który nazywa się Sellers. Nie pamiętam, jakie było jego imię, ale w każdym razie panu Warnerowi się nie podobało i chciał je zmienić. Zapytał mnie, czy mogę sobie wyobrazić człowieka, który się nazywa Eschol Sellers. Odparłem oczywiście, że bez środków podniecających nie mogę. Powiedział mi na to, że na dalekim Zachodzie spotkał raz człowieka, któremu dobrze się przyjrzał, a nawet uścisnął mu rękę, a który nosił właśnie to nieprawdopodobne imię — „Eschol Sellers”. Dodał:

— Było to dwadzieścia lat temu, jego imię prawdopodobnie już go wykończyło, a jeśli nie, to i tak na pewno nigdy nie zobaczy tej książki. Skonfiskujemy mu imię. Nazwisko, które pan używa, jest bardzo pospolite i dlatego niebezpieczne, może je nosić tysiąc Sellersów i zwali się na nas cała ich horda, a Eschol Sellers jest pewne jak mur. A więc pożyczylimy to imię.

W tydzień po ukazaniu się książki zjawił się jeden z najwspanialszych, najprzystojniejszych i najbardziej arystokratycznie wyglądających białych, jacy kiedykolwiek chodzili po świecie. Miał w kieszeni najgroźniejszą skargę, jaką kiedykolwiek... no i krótko mówiąc, otrzymaliśmy jego pozwolenie na wycofanie całego nakładu dziesięciu tysięcy egzemplarzy, z tym że w następnych wydaniach zmienimy owo imię na Mulberry Sellers.

## Rozdział XLVIII CUKIER I POCZTA

Pewnego dnia spotkałem na ulicy człowieka, którego ze wszystkich ludzi najbardziej chciałem zobaczyć — Horacego Bixby. Dawniej był pilotem pode mną lub raczej nade mną, obecnie jest kapitanem wielkiego parowca „City of Baton Rouge”, najnowszego i najszybszego statku Linii Kotwicznej. Ta sama szczupła figura, te same gęste loki, ten sam sprężysty krok, ta sama żywość i zdecydowanie w oczach, tak samo zdecydowane ruchy ręki, ta sama prosta wojskowa postawa, ani jednej uncji więcej czy mniej wagi, ani jednego siwego włosa. Ciekawa rzecz, opuścić trzydziestopięcioletniego człowieka, a po dwudziestu jeden latach znaleźć go wciąż jeszcze trzydziestopięcioletnim. Chyba nigdy dotąd nie miałem podobnego doświadczenia. Miał wprawdzie pod oczami trochę zmarszczek, ale to się nie liczy, jako że były niewidoczne.

Jego statek właśnie zacumował. Od kilku dni czekałem na niego zamierzając powrócić nim do St. Louis. Kapitan i ja przyłączyliśmy się do towarzystwa kilku pań i panów, gości majora Wooda, i popłynęliśmy pięćdziesiąt cztery mile w dół rzeki na szybkim holowniku do plantacji trzciny cukrowej eks-gubernatora Warmotha. Poniżej miasta stały szeregiem zniszczone, rozklekotane, przestarzałego typu parowce, których dawniej nie widziałem. Zbudowano je wszystkie, zużyto i wyrzucono później już po mojej tu bytności. Można więc sobie wyobrazić, jak kruche są statki na Missisipi i jak krótki jest ich żywot.

Sześć mil poniżej miasta sterczał ponad magnoliami i dębami gruby, poszczerbiony komin, jak gdyby pomnik, który wdzięczny naród postawił dla uczczenia bitwy pod Nowym

Orleanem, zwycięstwa Jacksona nad Brytyjczykami 8 stycznia 1815 roku. Wojna się skończyła, oba narody żyły w pokoju, ale wiadomość o tym nie dotarła jeszcze do Nowego Orleanu. Gdybyśmy w owych czasach mieli kablony telegraf, nie byłoby rozlewu krwi, nie zmarnowano by tyle istnień ludzkich, a co najważniejsze, Jackson może nigdy nie byłby prezydentem. Naprawiliśmy już straty wyrządzone nam przez wojnę 1812 roku, ale wielu z tych, które wyrządziła nam prezydentura Jacksona, jeszcze nie zdołaliśmy naprawić.

Plantacja Warmotha zajmuje rozległe tereny, a dom jego jest nadal znany z gościnności. Tutaj po raz pierwszy ujrzeliśmy pługi parowe przy pracy. Ciągnik porusza się na kołach, aż dojdzie do właściwego miejsca, potem staje i za pomocą drutu przyciąga ku sobie z odległości dwustu lub trzystu jardów olbrzymi pług przez pole, pomiędzy rzędami trzciny. Wrzyna się on w czarną ziemię na głębokość półtorej stopy. Pług wygląda jak kołowrót parowca z rzeki Hudson. Gdy Murzyn-sternik usiądzie na jednym jego końcu, koniec ten sięga prawie ziemi, drugi zaś sterczy wysoko w powietrzu. Ta wielka huśtawka toczy się kołysząc i bujając jak okręt na morzu i nie każdy cyrkowiec mógłby się na niej utrzymać.

Plantacja Warmotha zajmuje dwa tysiące sześćset akrów. Sześćset pięćdziesiąt jest przeznaczonych pod uprawę trzciny cukrowej. Jest tam również gaj pomarańczowy składający się z pięciu tysięcy drzew. Trzcinę hoduje się wedle nowoczesnej, skomplikowanej, naukowej metody, zbyt wymyślnej i zawikłanej, bym ją próbował opisywać, wiem tyle tylko, że w zeszłym roku przyniosła stratę czterdziestu tysięcy dolarów. O innych szczegółach zapomniałem. Jednakże zbiór tegoroczny wyniesie tysiąc lub tysiąc dwieście ton cukru, wobec czego zeszłoroczna strata nie odegra roli. Te uciążliwe i kosztowne metody naukowe dają zbiór od półtorej do dwóch ton z akra, to znaczy trzy lub cztery razy więcej niż zbiór z akra za moich czasów.

Rowy nawadniające roiły się wszędzie od małych krabów, tak zwanych mrugaczy. Gdy tylko usłyszały jakiś niepokojący hałas, zmykały we wszystkich kierunkach. Kosztowna plaga te kraby, wwiercają się bowiem w groble i niszczą je.

Wielka cukrownia była płataniną beczek, zbiorników, kadzi, filtrów, pomp, rur i wszelkiej maszynierii. Proces fabrykacji cukru jest niezmiernie interesujący. Najprzód wrzuca się trzcinę do wirówek i wyciska sok. Potem przepuszcza się go przez parownicę, żeby oddzielić włókna, następnie przez filtr kostny, by usunąć alkohol, potem przez zbiornik do klarowania, ażeby wydzielić melasę, następnie przez rurę granulacyjną dla zgęszczenia, wreszcie przez warnik, by usunąć próżnię. Teraz jest już cukier gotów na sprzedaż. Wyłuszczyłem te szczegóły z pamięci. Rzecz wydaje się prosta i łatwa. Ale tylko pozornie. Wyprodukować cukier to naprawdę jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie. A wyprodukować go dobrze to prawie niemożliwe. Jeżeli przez szereg lat od czasu do czasu przyjrzeć się własnemu zapasowi cukru i zapisywać wyniki, okaże się, że spośród dwudziestu ludzi nawet dwóch nie umie wyprodukować cukru bez dostania się doń piasku.

Mogliśmy popłynąć aż do ujścia rzeki i zobaczyć wielkie dzieło kapitana Eadsa, zwane „jetties” (groble), gdzie rzeka została wciśnięta w dwie ściany i w ten sposób pogłębiona do dwudziestu sześciu stóp, ale projekt ten przegłosowano jako bezcelowy, gdyż przy tym stanie wody wszystko byłoby nią pokryte i niewidoczne.

Mogliśmy zwiedzić owo staromodne i niezwykle miasteczko, „Miasto pilotów”, stojące — jak mówią — na palach w wodzie, gdzie cała komunikacja, z weselami i pogrzebami włącznie, odbywa się w łodziach i czółnach i gdzie mali chłopcy i dziewczęta umieją tak zręcznie władać wiosłami, jak dzieci na lądzie welocypedami.

Mogliśmy zobaczyć jeszcze wiele innych rzeczy, ale z powodu ograniczonego czasu zawróciliśmy do domu. Płynąc w górę sfalowanej wiatrem, migotliwej rzeki byłoby czarującym przeżyciem, sentymentalnym i romantycznym, gdyby nie zakłócała tego nastroju oswojona papuga trzymana na holowniku, której niestrudzone komentarze na temat widoków i gości były zawsze przyziemne, a często wręcz nieprzyzwoite. Poza tym tkwił w niej jakiś

nadmiar nieopanowanego, rażącego uszy metalicznego śmiechu, charakterystycznego zresztą dla tego gatunku papug. Był to sztuczny śmiech, śmiech Frankensteina, śmiech bezduszny. Stosowała go przy każdej sentymentalnej uwadze, przy każdej wzruszającej pieśni. Wybuchła nim z bezecną energią po pieśni: „Do domu, z brzegu obcego, do domu!” i mówiła: „Nie warte plunięcia, takie świństwo!” Romatyczność i sentyment nie mogą długo wytrzymać tego rodzaju zaskoczenia, wobec tego śpiew i rozmowa natychmiast ustawały, co tak radowało papugę, że z uciechy sypała przekleństwami, póki nie ochrypła.

Potem męskie towarzystwo przeniosło się na dziób statku, by palić i gawędzić. Było tam kilku starych marynarzy z parowców; Dowiedziałem się od nich dużo o tym, co się działo podczas mojej długiej nieobecności z mymi dawnymi, rzeczonymi przyjaciółmi. Dowiedziałem się, że pewien pilot, z którym sterowałem, stał się spirytualistą i już ponad piętnaście lat otrzymuje co tydzień list od umarłego krewniaka za pośrednictwem medium z Nowego Jorku, nazwiskiem Manchester. Opłata pocztowa zależna od odległości: od miejscowego urzędu pocztowego w Raju do Nowego Jorku 2 dolary, od Nowego Jorku do St. Louis — trzy centy. Pana Manchestera pamiętam bardzo dobrze. Pewnego razu, dziesięć lat temu, poszedłem do niego z kilku przyjaciółmi, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś o zmarłym wuju. Wuj ten zginął przed sześciu laty w szczególnie gwałtowny i niezwykły sposób: cyklon niósł go około trzech mil i razem z nim powalił drzewo mające cztery stopy średnicy i sześćdziesiąt pięć stóp wysokości. Nie przeżył tego trymfu. Podczas wspomnianego seansu przyjaciel mój zadawał pytania zmarłemu wujowi za pośrednictwem pana Manchestera, a zmarły wuj pisał odpowiedzi, używając do tego ręki i ołówka pana Manchestera. To, co następuje, jest wiarygodnym przykładem zadawanych pytań, a także nieudolnego bredzenia w odpowiedziach dawanych przez Manchestera, pod pozorem, że pochodzą od ducha. Jeśli ten człowiek nie jest najędźniejszym oszustem na świecie, winien mu jestem przeprosiny.

Pytanie: Gdzie przebywałeś?

Odpowiedź: W świecie duchów.

P.: Czy jesteś szczęśliwy?

O.: Bardzo szczęśliwy, zupełnie szczęśliwy.

P.: Jakie masz rozrywki?

O.: Rozmowy z przyjaciółmi i z innymi duchami.

P.: Cóż jeszcze?

O.: Nic. Nic więcej mi nie potrzeba.

P.: O czym rozmawiacie?

O.: O tym, jak jesteśmy szczęśliwi, i o przyjaciółach, których pozostawiliśmy na ziemi, i jak na nich wpłynąć, żeby im to wyszło na dobre.

P.: A kiedy wszyscy twoi ziemscy przyjaciele znajdą się w świecie duchów, o czym będziecie rozmawiać? O niczym innym, tylko o tym, jak jesteście szczęśliwi?

Brak odpowiedzi. Następuje wyjaśnienie, że duchy nie chcą odpowiadać na błahę pytania.

P.: Dlaczego duchy, które są zadowolone spędzając całą wieczność na błahych rozrywkach i uważają to za szczęście, są tak drażliwe na błahę pytania dotyczące tego przedmiotu?

Brak odpowiedzi.

P.: Czy chciałbyś wrócić?

O.: Nie.

P.: Czy mógłbyś na to przysiąc?

O.: Tak.

P.: Co tam jecie?

O.: Nie jemy.

P.: Co pijecie?

O.: Nie pijemy.

P.: Co palicie?

O.: Nie palimy.

P.: Co czytacie?

O.: Nie czytamy.

P.: Czy wszyscy dobrzy ludzie idą tam, gdzie wy?

O.: Tak.

P.: Znasz mój sposób życia. Czy możesz mi coś poradzić, na przykład jakąś zbrodnię czy coś w tym rodzaju, dzięki czemu miałbym pewność, że pójdę gdzie indziej?

Brak odpowiedzi.

P.: Kiedy umarłeś?

O.: Nie umarłem, przeminąłem.

P.: Dobrze więc, kiedy przeminąłeś? Jak długo jesteś w świecie duchów?

O.: Nie mamy tu miary czasu.

P.: Chociaż teraz, w twoich obecnych warunkach i otoczeniu możesz być obojętny na daty i czas, nie ma to nic wspólnego z twymi dawnymi warunkami. Wtedy miałeś daty. Pytam właśnie o jedną z nich. Odszedłeś przecież określonego dnia i roku Czy nie tak?

O.: Tak.

P.: W takim razie wymień dzień miesiąca.

(Medium wykonuje dużo niezdarnych ruchów ołówkiem i przez pewien krótki czas gwałtownie rzuca głową i całym ciałem. Wreszcie następuje wyjaśnienie, że duchy często zapominają dat, gdyż takie rzeczy nie mają dla nich znaczenia.)

P.: A więc ten właśnie duch zapomniał daty przeniesienia się w świat duchów?

Stwierdzenie, że rzecz tak się ma istotnie.

P.: To bardzo dziwne. W takim razie, w jakim to było roku?

(Znowu niezdarne ruchy, podrzucania, idiotyczne wstrząsy medium. Wreszcie wyjaśnienie, że duch zapomniał roku.)

P.: Naprawdę, to zupełnie zdumiewające. Pozwól mi zadać ci jeszcze jedno pytanie, ostatnie pytanie, zanim się rozstaniemy na zawsze, bo nawet jeżeli nie uda mi się uniknąć twego azylu, spotkanie tam nie będzie żadnym spotkaniem, gdyż przez ten czas z łatwością zapomnisz o mnie. Czy umarłeś śmiercią naturalną, czy też zginąłeś w jakiejś katastrofie?

O.: (po długim wahaniu, mękach i wstrząsach) Śmiercią naturalną.

To zakończyło rozmowę. Mój przyjaciel powiedział medium, że kiedy jego krewny przebywał na tym padole, obdarzony był niezwykle inteligentem i niezawodną pamięcią. Toteż wydaje się rzeczą godną pożałowania, że w krainie wiecznego zadowolenia nie pozwolono mu zachować choćby ich części dla własnej przyjemności oraz dla przyjemności i podziwu reszty tamtejszych mieszkańców.

Pan Manchester miał mnóstwo klientów; ma ich mnóstwo do tej pory. Otrzymuje listy od duchów zamieszkałych we wszystkich częściach świata duchów i rozsyła je pocztą Stanów Zjednoczonych. Listy te pełne są rad, rad od „duchów”, które nie wiedzą nawet tyle, co kijanka, a do rad tych adresaci stosują się z nabożeństwem. Jednym z tych klientów był człowiek, którego duchy (jeżeli można ową liczbą mnogą określać pomysłowego Manchстера) uczyły, jak wymyślić ulepszone koło wagonu kolejowego. Jest to przyziemne zajęcie jak na ducha, ale szczytniejsze i zdrowsze niż ciągła gadanina o tym, „jacy jesteśmy szczęśliwi”.

## Rozdział XLIX

### EPIZODY Z ŻYCIA PILOTA

Podczas gawędy na holowniku okazało się, na każdym pięciu moich dawnych przyjaciół, którzy opuścili rzekę, czterech wybrało pracę na roli. Oczywiście nie dlatego, że byli specjalnie uzdolnieni do rolnictwa i że z tego powodu miało się im jako rolnikom lepiej

powodzić niżeli w innych zawodach. Przyczyny ich wyboru trzeba szukać u innego źródła. Niewątpliwie wybrali pracę na roli dlatego, że życie na niej jest swobodne i zabezpieczone przed wtargnięciem niepożądanych intruzów, podobnie jak pustelnia sterówki. Bez wątpienia wybrali ją także dlatego, że podczas tysięcy burzliwych i niebezpiecznych nocy widywali migające światełka samotnych wiejskich domostw, które mijał miotany wichrem statek, i wyobrażali sobie pogodę, bezpieczeństwo i zaciszę w takim schronieniu. I zaczęli myśleć o tym odosobnionym, spokojnym życiu jako jedynej, upragnionej rzeczy, do której się tęskni, dąży, którą się zdobywa, i wreszcie, którą się cieszy.

Nie słyszałem jednakże, żeby któryś z tych pilotów-farmerów zadziwił kogokolwiek swym powodzeniem. Farmy ich nie utrzymują; oni utrzymują farmy. Pilot-farmer co roku z nastaniem wiosny znika z rzeki i nikt go nie widzi aż do nadejścia mrozu. Wtedy zjawia się znowu w zniszczonym, samodzielnym odzieniu, wyczesuje z włosów nasiona trawy i zajmuje na zimę miejsce w sterówce. W ten sposób spłaca długi, które zaciągnął w lecie podczas pracy na roli. A więc jego więzy z rzeką są zerwane tylko do połowy, jest ciągle niewolnikiem rzeki podczas najcięższej połowy roku.

Jeden z tych ludzi kupił farmę, ale nie zamieszkał na niej. Użył fortelu, który był wart tyle, co dwie farmy. Nie zamierzał zubożyć swej farmy, pracując na niej sam ze swoją nieznamościami rzeczy. Otóż oddał farmę w ręce doświadczonego rolnika, który miał pracować na zasadzie udziałów: z każdych trzech miar zboża miał dostać dwie, a pilot trzecią. W końcu sezonu jednak pilot wcale nie otrzymał zboża. Specjalista wytłumaczył mu, że jego udział nie został wyprodukowany. Farma dała tylko dwie miary.

Niektórzy ze znajomych pilotów mieli różne przygody, jedne kończyły się dobrze, inne źle. Kapitan Montgomery, pod którym sterowałem, kiedy był jeszcze pilotem, dowodził flotą Konfederatów w wielkiej bitwie pod Memphis. Gdy statek jego poszedł na dno, popłynął wpław do brzegu, przedarł się walcząc przez oddział żołnierzy i z trudem zdołał szczęśliwie uciec. Był zawsze opanowany, nic nie mogło zamącić jego spokoju. Pewnego razu, kiedy był kapitanem „Crescent City”, wprowadzałem statek do portu w Nowym Orleanie i oczekiwałem lada chwila rozkazu z pokładu sztormowego. Zatrzymałem więc koła napędowe i tu skończyła się moja władza i odpowiedzialność. Był wieczór — przymglony półmrok — kapelusz kapitana wisiał wysoko, na wielkim dzwonie. Przypuszczałem więc, że i siedziba intelektu kapitańskiego znajduje się pod nim. Ponieważ kapitan był bardzo surowy, nie śmiałem dotknąć dzwona bez rozkazu. Moim obowiązkiem było trzymać statek dokładnie na nieszczęsnym kursie i nie dbać o konsekwencje, co też czyniłem. Sunęliśmy więc na rufy parowców coraz bliżej i bliżej. Zderzenie zdawało się nieuniknione, a ten kapelusz przez cały czas nawet nie drgnął, ponieważ niestety kapitan uciął sobie drzemkę na pokładzie... Rzecz stawała się niesłychanie denerwująca i nieprzyjemna. Wydawało mi się, że kapitan nie zjawi się na czas, aby zobaczyć tę zabawę. Ale zjawił się właśnie w chwili, gdy wjeżdżaliśmy na rufę jakiegoś parowca, wyszedł na pokład i rzekł z niebiańską pogodą: „cała wstecz!”, co też uczyniłem.

Jednakże odrobinę za późno, gdyż w następnej chwili ze straszliwym trzaskiem wbiliśmy się w słabe, zewnętrzne poszycie innego statku. Kapitan nie powiedział mi potem ani słowa, zauważył tylko, że postępowałem prawidłowo i że ma nadzieję, iż w podobnych okolicznościach nie zawaham się postąpić w ten sam sposób.

Jeden znów z pilotów zginął śmiercią bohaterską. Statek jego się zapalił, a on nie odszedł od koła sterowego, dopóki nie doprowadził go bezpiecznie do brzegu. Wtedy dopiero, w płonącym ubraniu, wybiegł na osłonę koła napędowego i na ląd dostał się ostatni. Po dwóch czy trzech godzinach zmarł z ran i był jedynym, który w wypadku tym utracił życie.

Historia pilotażu na Missisipi daje sześć czy siedem przykładów podobnego męczeństwa i około pół setki przykładów uniknięcia w ostatniej prawie sekundzie fatalnego losu, ale nie ma takiego przykładu, żeby pilot opuścił swoje stanowisko dla ratowania własnego życia, jeśli



przez pozostanie mógł ocalić życie innych. Ten szlachetny fakt warto dobitnie podkreślić, warto go też napisać kursywą.

Pomocnika pilota wcześniej już przyuczają do pogardzania wszelkimi niebezpieczeństwami związanymi z jego powołaniem, tak aby wolał każdy rodzaj śmierci niż głęboką hańbę opuszczenia swego stanowiska, jeśli istnieje choć najmniejsza możliwość, aby trwając na nim mógł być użyteczny. Nauka ta tak jest skutecznie wpajana, że nawet na bardzo młodych i jeszcze mało doświadczonych pilotach można polegać, iż nie odejdą od koła i jeśli będzie potrzeba, oddadzą przy nim życie. Na cmentarzu w Memphis jest pochowany młodzieniec, który dla ocalenia życia innym zginął wiele lat temu przy kole sterowym na White River. Mówił kapitanowi, że jeżeli ogień da mu czas, aby doprowadzić statek do piaszczystej ławicy, znajdującej się w pewnej odległości, wszyscy mogą być uratowani; dobiecie do lądu przy stromym brzegu przyprawi o pewną śmierć wielu ludzi. Dopłynął do ławicy i osadził statek na płytkiej wodzie, ale przez ten czas płomień zwarły się nad nim, a kiedy starał się przez nie przedrzeć, został śmiertelnie poparzony. Przynaglano go, by uciekał wcześniej, ale odpowiedział, jak przystało na pilota:

— Nie odejdę. Jeżeli odejdę, nikt się nie uratuje — jeżeli zostanę, nikt nie zginie prócz mnie. Zostanę.

Na pokładzie było dwieście osób i z wyjątkiem pilota wszyscy ocaleli. Na cmentarzu w Memphis wystawiono temu młodzieńcowi pomnik. Kiedy w powrotnej drodze zatrzymaliśmy się w Memphis, szukałem jego grobu, ale mieliśmy tak mało czasu, że musiałem zawrócić.

Z gawęd na holowniku dowiedziałem się, że Dick Kennet nie żyje, zginął podczas wybuchu na statku niedaleko Memphis, że kilku innych znajomych pilotów zginęło na wojnie — jeden czy dwóch zostało zabitych przy kole — że jeden z mych bardzo bliskich przyjaciół, pod którym sterowałem podczas wielu rejsów, pewnej nocy, wiele lat temu, wyszedł ze swego domu w Nowym Orleanie, aby odebrać jakieś pieniądze w odległej części miasta, i więcej go nie widziano. Mówiono, że został zamordowany i wrzucony do rzeki, że Ben Thomburgh dawno umarł, tak jak i jego niesforny pomocnik, z którym się zawsze przez całą dzienną wachtę wyklócałem. Był to nieujarzmiony, lekkomyślny, w gorącej wodzie kąpany narwaniec. Pewnego razu pasażer z Arkansas wiozł na pokładzie olbrzymiego niedźwiedzia i przywiązał go łańcuchem do łodzi ratunkowej na pokładzie spacerowym. Pomocnik Thomburgha nie miał spokoju, póki nie poszedł i nie odwiązał niedźwiedzia, ażeby „zobaczyć co też on zrobi”. Życzenie jego zostało natychmiast spełnione. Niedźwiedź zaczął gonić go w kółko po pokładzie, a przez barierę przyglądała się publiczność, dwieście roześmianych twarzy, aż wreszcie wyrwał chłopcu kawał kurtki z tyłu i poszedł na pokład teksaski, żeby przeżuwać zdobycz. Wolna wachta wycofała się szybko zostawiając niedźwiedzia samego. Ale on poczuł się samotnie i wyruszył na poszukiwanie rozrywek. Zwiedził cały statek, zajrzał do każdego kąta mając przed sobą przednią straż uciekających przed nim ludzi, a za sobą martwą pustkę. A kiedy wreszcie ujął go właściciel, byli we dwóch jedynymi widzialnymi istotami, wszyscy bowiem pochowali się, cały statek opustoszał.

Powiedziano mi, że jeden z mych przyjaciół pilotów w r. 1869 umarł przy kole sterowym na atak serca. Kapitan był właśnie na dachu sterówki. Zobaczył, że statek zbacza do brzegu, zawołał, ale nie otrzymał odpowiedzi. Pobiegł i znalazł pilota martwego na podłodze.

Na statku pana Bixby w Zatoce Madryckiej był wybuch; jemu nic się nie stało, ale drugi pilot zginął.

George Ritchle przeżył wybuch niedaleko Memphis, który porwał go od koła, rzucił do rzeki i pokaleczył. Woda była bardzo zimna, przywarł więc do beli bawełny i tak utrzymywał się na powierzchni. Zupełnie wyczerpanego wyratowali go marynarze pokładowi, którzy znajdowali się na szczątku wraka. Rozdarli belę bawełny, wcisnęli go do środka, gdzie ciepło przywróciło mu życie, i przyciągnęli bezpiecznie do Memphis. Obecnie jest jednym z pilotów pana Bixby na „Baton Rouge”.

W życie pewnego, nie żyjącego obecnie klarka na parowcu wsączyło się trochę romantyczności, może trochę groteskowej, ale romantyczności. Był to lekkomyślny, młody utracjusz, zadzierzasty, dobrego serca, pełen beztrioskiej szczodrobliwości i dość wyraźnie zapowiadał, że wcześniej zmarnuje swoje możliwości i nie dojdzie w życiu do niczego. W jednym z miast na Zachodzie mieszkał bogaty, bezdzietny, stary cudzoziemiec z żoną. W rodzinie ich znajdowała się przystojna, młoda dziewczyna, trochę przyjaciółka, a trochę służąca. Młody klark, o którym mówiłem, a który nie nazywał się George Johnson, lecz którego w tym opowiadaniu będziemy nazywać George'em Johnsonem, poznał tę młodą dziewczynę i doszło do grzechu. Stary cudzoziemiec dowiedział się o tym i robił im wyrzuty. Zawstydzeni skłamali i powiedzieli, że wzięli ślub w tajemnicy. To ułagodziło starego cudzoziemca; przebaczył im i pobłogosławił. Potem mogli już nie kryjąc się grzeszyć dalej. W krótkim czasie umarła żona cudzoziemca, a niedługo i on poszedł za nią. Przyjaciele rodziny zgromadzili się na stypę, a wśród nich siedziało dwoje młodych grzeszników. Otwarto i uroczystie odczytano testament. Cały wielki majątek starca, do ostatniego pensa, został zapisany pani Johnson.

A takiej osoby w ogóle nie było. Młodzi grzesznicy wybiegli natychmiast i zrobili rzecz bardzo niemądrą: wzięli ślub, który im dał jakiś nieznany sędzia pokoju, i skłonili go do antydatowania dokumentu. Nic dobrego jednakże z tego nie wyszło. Wdali się w to dalecy krewni, szybko i łatwo odkryli oszukańczą datę i zabrali całą fortunę pozostawiając Johnsonów formalnie i nieodwołalnie przykutych do siebie uczciwym związkiem małżeńskim, ale bez grosza przy duszy. Oto są prawdziwe fakty, a nie wszystkie powieści opierają się na podstawie tak zdumiewającej sytuacji.

## Rozdział L

### „PRAWDZIWIY JACOBS”

Rozmawialiśmy trochę o zmarłym przed wielu laty kapitanie Izaaku Sellersie. Był to piękny człowiek, wielkoduszny człowiek, szanowany zarówno na lądzie, jak i na rzece — wysoki, dobrze zbudowany i przystojny. W starszym wieku — jak go pamiętam — włosy miał czarne jak Indianin, a sąd tak jasny i decyzje tak stanowcze jak mało kto, młody czy stary, wśród pilotowej braci. Był patriarchą zawodu. Przed okresem parowców pływał jako pilot na barce, a pilotem na parowcu został chyba jako jeden z pierwszych. Stąd też koledzy otaczali go czcią, którą zawsze współtowarzysze darzą sławnych weteranów minionych dni. Wiedział, jak jest poważany, i fakt ten dodawał może jeszcze odrobinę sztywności jego przyrodzonej godności, która i tak, w swej pierwotnej postaci, była dość sztywna.

Pozostawił po sobie dziennik, lecz widocznie nie sięgał on aż do jego pierwszego rejsu na parowcu, który odbył podobno w r. 1811, to jest wówczas, gdy pierwszy parowiec zamącił wody Missisipi. Po śmierci Sellersa pewien korespondent „St. Louis Republican” wybrał z jego dziennika następujące urywki:

*W lutym 1825 r. zamustrował na parowiec „Romber” w Florence, stan Alabama, i w ciągu tego roku zrobił trzy rejsy do Nowego Orleanu i z powrotem, poza tym, na „General Carrol” rejs z Nashville do Nowego Orleanu. Na tym to statku wprowadził zwyczaj uderzania w dzwon, jako sygnał rozpoczęcia sondowania, nie tak jak do tej pory, że pilot dawał ludziom na dole ustne rozkazy, kiedy mają rzucić sondę. Bliskość dziobu względem sterówki czyniła to niewątpliwie rzeczą łatwą, ale jakże inaczej jest teraz na każdym z naszych obecnych pałaców!*

*W 1827 r. znajdujemy go na pokładzie „President”, statku o dwustu osiemdziesięciu pięciu tonach nośności, kursującym pomiędzy Smithland a Nowym Orleanem. Następnie w r. 1828 przeszedł na „Jubilee” i na tym statku był po raz pierwszy pilotem na linii St. Louis, przy czym pierwsza jego wachta trwała od Herculanum do St. Genevieve. Dnia 26 maja 1836*

roku prowadził do Pittsburga i z powrotem parowiec nośności czterysta ton „Prorie”, pierwszy parowiec posiadający kabinę-salon. W r. 1857 wprowadził przy spotkaniu się statków sygnał, który z niewielką zmianą jest po dzień dzisiejszy powszechnie używany, a nawet ustawą kongresową uznany za obowiązkowy.

Jako ogólne przyczynki do historii rzeki cytujemy następujące marginesowe uwagi z jego dziennika:

*W marcu 1825 roku generał Lafayette odpłynął z Nowego Orleanu do St. Louis na parowcu „Natchez”.*

*W styczniu 1828 roku dwadzieścia jeden parowców odbiło od nabrzeża Nowego Orleanu, ażeby uczcić wizytę generała Jacksona złożoną miastu.*

*W roku 1830 „North American” odbył rejs z Nowego Orleanu do Memphis w ciągu sześciu dni, najlepszy rekordowy wtedy czas. Dziś wynosi on dwa dni i dziesięć godzin.*

*W roku 1831 powstał skrót Red River.*

*W roku 1832 parowiec „Hudson” odbył rejs z White River do Heleny, odległość siedemdziesięciu pięciu mil, w dwadzieścia godzin. Dało to powód do wielu dyskusji i domysłów wśród kół bezpośrednio zainteresowanych.*

*W roku 1839 powstał skrót Wielka Podkowa.*

Opierając się na dzienniku Sellersa stwierdzamy, że do dnia dzisiejszego, to jest w okresie trzydziestu pięciu lat, odbył on czterysta sześćdziesiąt rejsów tam i z powrotem do Nowego Orleanu, co oznaczają odległość jednego miliona stu czterech tysięcy mil lub przeciętnie osiemdziesiąt sześć mil dziennie.

Ileokroć kapitan Sellers zbliżał się do grupy rozprawiających pilotów, owiewał ich chłód i rozmowa ustawała. Przyczyna była następująca: ile razy zebrano się sześciu pilotów, zawsze znalazł się wśród nich jeden lub dwóch świeżo upieczonych, a starsi „zadzierali nosa” wobec tych biedaków i rozwodząc się szeroko i chełpliwie o dawnych doświadczeniach na rzece dawali im boleśnie odczuć, jacy są jeszcze nieopierzeni, jak krótkotrwała jest ich godność i jak skromne ich stanowisko. Nigdy przy tym nie omieszkali dawać wszystkiemu jak najodleglejszych dat, ażeby nowicjusze boleśnie odczuli swoje nowicjuszostwo i odpowiednio zazdrościli starym wygom. A jak ci łysi zarozumiałcy dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat temu potrafili się nadymać, przechwalać, łągać i antydatować, a jak się rozkoszowali wrażeniem, jakie to wszystko robiło na pełnych podziwu i zazdrości młodzikach!

I może właśnie w najszcześniejszym momencie owego proceduru wkraczała uroczyście dostojna postać kapitana Izaaka Sellersa, prawdziwego i autentycznego Syna Przeszłości. Wyobraźcie sobie, jaka cisza zapadała natychmiast. Wyobraźcie sobie uczucia owych łysych pałek i podniecenie ich niedawnych słuchaczy, gdy stary kapitan począł rzucać przypadkowe, nawiasowe uwagi, coś w rodzaju wspomnień o wyspach, które zniknęły, o skrótach, które powstały o całe pokolenie wcześniej, niż najstarsza łysa pała w tym towarzystwie dotknęła stopą sterówki.

Wiele, wiele razy stary marynarz wkraczał w ten sposób na scenę i siał wokoło klęskę i poniżenie. Jeżeli wierzyć pilotom, wspom swoim zawsze nadawał daty drzemiące gdzieś w mrocznych początkach historii rzeki, a nigdy nie wymieniał tej samej wyspy dwa razy, nigdy wyspy, która jeszcze istniała, nigdy też nie nadawał jej nazwy, którą by ktokolwiek z obecnych ze względu na swój wiek mógł już kiedyś słyszeć. Jeżeli można wierzyć pilotom, był zawsze sumiennie dokładny co do najdrobniejszych szczegółów. Na przykład nigdy nie mówił o „stanie Missisipi” inaczej, jak „kiedy stan Missisipi był tam, gdzie jest teraz Arkansas”. Nigdy nie mówił o Luizjanie lub Missouri w sposób ogólny i nie zostawiał w czymś umyśle mylnego wrażenia, o nie! Mówił: „kiedy Luizjana znajdowała się dalej w górę rzeki” lub „kiedy stan Missouri znajdował się po stronie Illinois”.

Stary dżentelmen nie miał ani skłonności, ani zdolności literackich, ale notował krótkie, zwykle praktyczne wiadomości o rzece, podpisywał je „Mark Twain” i posyłał do nowooreleńskiego „Picayune”. Tyczyły one stanu rzeki i warunków na niej, były dokładne i cenne i w tych granicach nie miały w sobie trucizny. Ale kiedy kapitan mówił o obecnym stanie rzeki w danym miejscu, pozwalał sobie często na wtrącanie małej uwagi o tym, że tak wysoką lub tak niską wodę w tym miejscu widzi po raz pierwszy od czterdziestu dziewięciu lat. Od czasu do czasu wspominał też taką a taką wyspę i mówił o niej ciągle nawiasowo, dodając jakąś tego rodzaju uwagę: „jeżeli dobrze pamiętam, zniknęła w roku 1807”. W takich dygresjach o zamierzchłej przeszłości tkwiła trucizna i gorycz dla innych starych pilotów, nie omieszkali też ze sprawozdań „Marka Twaina” drwić bez pamięci.

Tak się zdarzyło, że jedno z tych sprawozdań stało się tematem mego pierwszego dziennikarskiego artykułu. Zrobiłem z niego parodię, wielką parodię, wysilając mą fantazję aż do ośmiuset czy też tysiąca wyrazów. Byłem wówczas pomocnikiem pilota. Pokazałem mój elaborat kilku pilotom, a oni skwapliwie, natychmiast wydrukowali go w „True Delta”. Bardzo źle się stało, gdyż nikomu nie przyniosło to pożytku, a dobremu człowiekowi zadało głęboki cios w serce.

W bazgraninie mojej nie było złości, ale drwiny z kapitana; drwiny z człowieka, dla którego było to rzeczą nową, dziwną i okropną. Nie widziałem wówczas, że żadne cierpienie nie da się porównać z cierpieniem, jakie odczuwa skromny człowiek wystawiony po raz pierwszy pod pręgierz druku.

Kapitan Sellers od tego dnia zaszczycił mnie swą głęboką nienawiścią. Kiedy mówię: „zaszczycił mnie”, nie używam pustych słów... Był to prawdziwy zaszczyt zajmować myśli tak wielkiego człowieka jak kapitan Sellers, a dość miałem rozsądku, ażeby to ocenić i być z tego dumnym. Być przez takiego człowieka kochanym, było wyróżnieniem, ale być przez niego nienawidzonym, było znacznie większym wyróżnieniem, ponieważ kochał on dziesiątki ludzi, a nienawidził tylko mnie i nienawiść ta spędzała mu sen z powiek.

Nigdy już do końca życia nie wydrukował żadnego sprawozdania i nigdy nie podpisał niczego „Mark Twain”. Gdy nadeszła telegraficzna wiadomość o jego śmierci, znajdowałem się na wybrzeżu Pacyfiku. Byłem świeżo upieczonym dziennikarzem i potrzebowałem jakiegoś *nom de guerre*, skonfiskowałem więc owo porzucone przez starego marynarza i robiłem wszystko, co mogłem, by pozostało tym, czym było w jego rękach: znakiem, symbolem i gwarancją tego, że na wszystko, pod czym jest podpisane, może stawiać jako na najczystszą prawdę. Jak mi się to udawało, nie mnie sądzić.

Kapitan darzył stałą miłością swój zawód, rozpierała go szlachetna duma. Przed śmiercią zamówił dla siebie pomnik i trzymał go przy sobie aż do śmierci. Obecnie stoi na jego grobie, na cmentarzu Bellefontaine w St. Louis. Jest to wykuta w marmurze jego postać stojąca przy kole sterowym, na służbie. Godzien jest tak stać i stawić czoła wszelkiej krytyce, gdyż przedstawia człowieka, który za życia, gdyby tego wymagał obowiązek, nie ruszyłby się od koła, choćby się miał spalić na popiół.

Podczas całej naszej wycieczki po Missisipi najpiękniejszą rzeczą, jaką ujrzeliśmy zbliżając się na parowym holowniku do Nowego Orleanu, był wygięty zarys półkolistego miasta, oświetlony białym blaskiem latarni elektrycznych ciągnących się na przestrzeń pięciu mil. Był to niezwykły i piękny widok.

## Rozdział LI WSPOMNIENIA

Pewnego pięknego, gorącego dnia wyruszyliśmy na „City of Baton Rouge” do St. Louis, ale główny cel mych odwiedzin osiągnąłem tylko częściowo. Miałem nadzieję, że upoluję i wciągnę w rozmowę przynajmniej stu marynarzy z parowców, lecz zostałem sam tak

przyjemnie wciągnięty w życie towarzyskie miasta, że nie zdobyłem niczego więcej poza pięciominutową rozmową z kilkudziesięcioma marynarzami.

Siedziałem właśnie na ławce sterówki, gdy cofaliśmy się i prostowaliśmy kurs wyruszając w drogę — statek po dawnemu przystawał na „gotów”, a czarny dym w ten sam co dawniej sposób buchał z kominów. Potem zaczęliśmy zbierać siły i wkrótce weszliśmy pięknie na kurs i ruszyliśmy naprzód. Wszystko to było tak naturalne i znane — tak samo zresztą jak nadbrzeżne widoki — jak gdyby życie na rzece nie doznało żadnej przerwy. Na statku znajdował się pomocnik pilota — więc uważałem, że teraz powinien stanąć przy kole — co też i uczynił. Kapitan Bixby wszedł do sterówki. Pomocnik mijał właśnie rząd parowców. Denerwował mnie, bo pomiędzy naszym statkiem a tamtymi zostawiał za dużo wody. Wiedziałem doskonale, co może się stać, gdyż wystarczyło cofnąć się do mego dawnego życia i przejrzeć jego kronikę. Kapitan przyglądał się chwilę w milczeniu, potem sam ujął koło i skierował statek bliżej, tak aby między nim a innymi statkami pozostała tylko odległość dłoni. Była to dokładnie taka sama przysługa, jaką wyświadczył mi na tym samym miejscu ćwierć wieku temu, kiedy po raz pierwszy wypływałem na parowcu z Nowego Orleanu. Z prawdziwą przyjemnością ujrzałem to jeszcze raz, zwłaszcza że ktoś inny był ofiarą.

Do Natchez (trzysta mil) płynęliśmy dwadzieścia dwie i pół godziny — najszybszy rejs, jaki kiedykolwiek zrobiłem na tym odcinku rzeki.

Następnego ranka wyszedłem na pokład o czwartej razem z wachtą i widziałem, jak Ritchie z powodzeniem wykonał pół tuzina zwrotów we mgle, opierając się na wypracowanej i opatentowanej przez siebie i Bixby’ego mapie. Potwierdziło to w pełni wielką jej wartość.

Wkrótce, gdy mgła zaczęła rzednąć, zauważyłem, że odbicie drzewa na gładkiej wodzie odległego o sześćset jardów od zalanego brzegu było wyraźniejsze i czarniejsze niż samo zamglone drzewo. Te słabo rysujące się we mgle zjawy drzew tworzyły bardzo piękny widok. W Natchez spotkała nas straszna burza, następna w Vicksburgu i jeszcze jedna około pięćdziesiąt mil za Memphis. Szalały one z dawną gwałtownością, jakiej przez długi czas nie oglądałem. Trzeciej burzy towarzyszyła straszliwa wichura. Gdy ujrzałyśmy zbliżającą się nawałnicę, przywarliśmy do brzegu i wszyscy z wyjątkiem mnie opuścili sterówkę. Wiatr gwałtownie młócił młode drzewa odsłaniając podszewkę ich liści. Uderzenia wichury następowały raz za razem, gwałtownie młóćąc gałęzie to w dół, to w górę, to w tę, to w inną stronę, tworząc szybkie fale, i na przemian zielone i białe, zależnie od tego, którą stroną były odwrócone liście. Fale te gonily jedną drugą jak na polu fale wichrem miotane owsa. Żadna barwa, na którą się spojrzano, nie była naturalna — wszystkie nasycił ołowiany odcień ciężkiej pokrywy chmur wiszącej nad głową. Rzeka była z ołowiu, tak jak i cały horyzont — nawet biegnące w dal szeregi białych grzyw przyćmiewała gęsta, ponura ciemność, wśród której roily się ich zastępy. Ogłuszające huki piorunów nie ustawały: grzmot walił za grzmotem, z nieznacznymi tylko przerwami, a odgłosy ich stawały się coraz ostrzejsze, wyższe w tonacji i przeraźliwsze dla ucha. Błyskawice nie ustępowały grzmotom, dając zachwycające efekty dla oczu i gwałtownym wstrząsem podziwu zmieszanego z trwogą wprawiając każdy nerw w nieustanne drzenie. Deszcz lał strumieniami — huki piorunów, rodzierające uszy, zbliżały się coraz bardziej — wściekłość wichru jeszcze się wzmożła, tak że zaczął obrywać gałęzie i wierzchołki drzew i rzucał je z rozmachem w przestrzeń. Sterówka zaczęła się kołysać, prężyć, trzeszczeć i wzdymać, zszedłem więc na dół, żeby zobaczyć, która godzina.

Ludzie dużo mówią o burzach w Alpach — ale burze, które ja miałem szczęście oglądać w Alpach, nie umywały się do tych, jakie widziałem w dolinie Missisipi. Możliwe, oczywiście, że nie widziałem wszystkiego, co Alpy potrafią, ale jeżeli pod tym względem mogą pobić Missisipi — nie mam ochoty tego oglądać.

Podczas owego rejsu w górę rzeki zobaczyłem małą wysepkę „towhead” (płową czuprynę) długości pół mili, która powstała podczas ostatnich dziewiętnastu lat. Jeżeli dość było czasu, by poświęcić dziewiętnaście lat na budowę takiej małej wysepki, po cóż było tak pędzić ze

stworzeniem całego świata w przeciągu sześciu dni? Prawdopodobnie, gdyby zużyto na to więcej czasu, świat zostałby dobrze stworzony i obecnie nie trzeba by było nieustannie ulepszać go i naprawiać. Ale jeśli z budową świata czy domu komuś się spieszy, można być prawie pewnym, że wkrótce okaże się, iż zapomniano o jakiejś wysepce czy o schowanku na miotły, albo o jakimś innym małym udogodnieniu, które koniecznie trzeba uzupełnić bez względu na związane z tym wydatki i kłopoty.

Gdyśmy płynęli w górę rzeki, często podczas czarnych nocy dobijaliśmy do brzegu zalewając drzewa silnym światłem elektrycznym. Obserwowaliśmy wtedy ciekawe zjawisko: z gęstwiny świecącego, zielonego listowia naitychmiast zrywały się ptaki i poczynwały śmigać wśród jasnych promieni światła, często odzywał się też jakiś śpiewający ptak i wyciągał swe trele. Uważaliśmy, że ten wspaniały sztuczny dzień biorą, widać, za prawdziwy.

Podróż na tym dobrze urządzonej parowcu była wspianiała i żalowaliśmy, że się tak prędko skończyła. Dzięki wytrwałości udało nam się zebrać wieści o prawie wszystkich starych przyjaciółach. Jednego wszakże zabrakło; dwa lata temu poszedł po dobrą czy złą nagrodę. Dowiedziałem się jednak o nim wszystkiego. Historia jego życia uświadomiła mi, jak długotrwałe skutki może mieć nieraz błahe zdarzenie. Kiedy był terminatorem u kowala w naszej wiosce, a ja byłem uczniakiem, przyjechało do miasta na krótki pobyt kilku młodych Anglików. Pewnego dnia przebrali się w tanie królewskie kostiumy i z zapalczą energią i niezmierną bufonadą odegrali przed wioskowymi chłopcami walkę na miecze z „Ryszarda III”. Pomocnik kowala znajdował się tam również i połknął bakcyła teatru. Tępego, ciężkiego, głupiego, zakutego cymbała opętała scena i nie było na to lekarstwa. Ulotnił się i wkrótce objawił się w St. Louis.

Niebawem natknąłem się tam na niego. Stał zadumany na rogu ulicy, z lewą ręką na pośladku, a wielkim palcem prawej ręki pod brodą, z pochyloną i zmarszczoną twarzą, w zsuniętym na czoło kapeluszu, i wyobrażał sobie, że jest Otellem lub jakimś innym bohaterem i że tłum przechodniów obserwuje jego tragiczne pozy i przejmują się nimi.

Podszedłem do niego i starałem się ściągnąć go z obłoków, lecz bezskutecznie. Jednakże poinformował mnie od razu mimochodem, że należy do trupy z teatru „Walnut Street”. Starał się mówić o tym obojętnie, ale spoza owej obojętności wyczierała ogromna radość. Mówił, że tego wieczoru ma rolę w „Juliuszu Cezarze” i jeżeli przyjdę, zobaczę go. Jeżeli przyjdę! Powiedziałem, że nie omieszkałbym przyjść, gdybym nawet umarł.

Oddaliłem się oszołomiony i zdumiony mówiąc do siebie: „Jakie to dziwne! My zawsze uważaliśmy go za głupka, a jednak, jak tylko znalazł się w wielkim mieście, gdzie tyle jest inteligencji i gdzie potrafią ocenić człowieka, natychmiast odkryto utajony pod nędzną powłoką talent, powitano go i uczczono”.

Ale owego wieczoru wyszedłem z teatru zawiedziony i urażony, gdyż nigdzie nie widziałem mego bohatera, a nazwiska jego nie było w programie. Następnego rana spotkałem go na ulicy i zanim zdążyłem się odezwać, zapytał:

— Widziałeś mnie?

— Nie, bo cię nie było.

Spojrzał zdumiony i zawiedziony i rzekł:

— Byłem. Naprawdę byłem. Byłem rzymskim żołnierzem.

— Którym?

— Jak to, nie widziałeś rzymskich żołnierzy, co stali tam w tyle, w szeregu, a czasem maszerowali wokoło sceny?

— Czy masz na myśli rzymskie wojsko? Owych sześciu tragarzy w koszulach nocnych i w sandałach z tarczami i hełmami, którzy maszerowali w kółko deptając sobie po piętach pod wodzą tak samo ubranego, pajęczonogiego chudzielca?

— Właśnie! Właśnie! Byłem jednym z tych rzymskich żołnierzy. Przedostatnim. Pół roku temu byłem jeszcze ostatnim, ale awansowałem.

Tak, mówiono mi, że ten biedak był rzymskim żołnierzem do końca życia, to znaczy przez jakieś trzydzieści cztery lata. Czasami dawali mu rolę „mówioną”, ale niezbyt skomplikowaną. Można mu było zaufać, że wyjdzie i powie: „Jaśnie panie, powóz czeka”. — Ale jeżeliby odważono się dodać do tego jeszcze jedno lub dwa zdania, byłby to zbyt wielki wysiłek dla jego pamięci. A jednak biedaczysko przez z górą trzydzieści lat cierpliwie uczył się roli Hamleta i żył, i umarł wierząc, że pewnego dnia zaproszą go, by ją zagrał.

Oto, co wynikło z przelotnej wizyty owych młodych Anglików w naszej wiosce całe wieki temu! Gdyby nie ci Anglicy, jakież udane podkowy mógłby ten człowiek tworzyć, a jakże nieudanego żołnierza rzymskiego stworzył na scenie!

Dzień czy dwa po naszym przybyciu do St. Louis, gdy szedłem Fourth Street, jakiś szpakowaty mężczyzna mijając mnie nagle zatrzymał się, zawrócił, przyjrzał mi się spod oka, wreszcie zagadnął ostro:

— Słuchaj no, dostałeś wreszcie ten napitek?

„Wariat” — pomyślałem z początku. Lecz nagle, jak gdyby w olśnieniu, poznałem go.

Zrobiłem wysiłek, żeby się zarumienić, i odpowiedziałem tak słodko i ujmująco, jak tylko umiałem:

— Trochę się spóźniłem, ale zaraz, w tej minucie pójdę tam, gdzie go trzymają. Wstąp ze mną i pomóż mi.

Złagodniał, powiedział, że godzi się na butelkę szampana, i zrobił się rozmowny. Mówił, że zobaczył moje nazwisko w gazetach i że odłożył na bok wszystkie swoje sprawy, gdyż postanowił znaleźć mnie lub umrzeć. Mówił, że zmusi mnie, abym odpowiedział na to pytanie, jak się należy, albo mnie zabije. Ostrość jego słów była jednak raczej udana niż prawdziwa.

Spotkanie to przywiodło mi z powrotem na pamięć rozruchy w St. Louis sprzed koło trzydziestu lat. W owym czasie spędziłem tam tydzień w pewnym pensjonacie, a ten młodzieniec był mym sąsiadem z drugiej strony hallu. Widzieliśmy kilka potyczek i śmiertelnych walk i wkrótce pewnego wieczoru poszliśmy do arsenału, gdzie na wezwanie stawilo się dwustu młodych ludzi, aby się uzbroić i pod komendą pewnego wojskowego wyruszyć przeciw wicherzycielom. Ćwiczyliśmy się prawie do dziesiątej godziny wieczorem. Wtedy nadeszła wieść, że w niższym krańcu miasta motłoch ma wielkie siły i pustoszy wszystko przed sobą. Oddział nasz ruszył natychmiast. Noc była gorąca, a muszkiet mój bardzo ciężki. Maszerowaliśmy i maszerowali, a im bardziej zbliżaliśmy się do ogniska wojny, tym było mi gorącej i tym bardziej chciało mi się pić. Szedłem za moim przyjacielem i wreszcie poprosiłem go, żeby pottrzymał mi muszkiet, a ja wybiegnę i czegoś się napiję. Potem zboczyłem z drogi i wróciłem do domu. Nie martwiłem się o niego naturalnie, bo wiedziałem, że jest teraz tak dobrze uzbrojony, że sam sobie doskonale poradzi. Gdybym miał jakieś wątpliwości, co do tego, pożyczylbym dla niego jeszcze jeden muszkiet. Następnego dnia wczesnym rankiem opuściłem miasto i gdyby ten szpakowaty człowiek nie natknął się na moje nazwisko w gazetach przed paru dniami w St. Louis i nie postanowił mnie odszukać, zabrałbym ze sobą do grobu dręczącą niepewność, czy udało mu się wyjść cało z rozruchów, czy też zginął. Powinienem był zatroszczyć się o to trzydzieści lat temu. Wiem o tym. I byłbym się zatroszczył, gdybym posiadał muszkiety, ale w istniejącym stanie rzeczy on zdawał się lepiej ode mnie wyposażony do czynienia dochodzeń.

Pewnego poniedziałku, niedługo przed naszą wizytą w St. Louis, „Globe Democrat” wyszedł z kilku stronami niedzielnej statystyki, z której okazało się, że dnia poprzedniego 119 448 mieszkańców St. Louis wzięło udział w porannym i wieczornym nabożeństwie w kościele, a 23 102 dzieci było w szkole niedzielnej. A więc 142 550 osób z całej 400 tysięcznej ludności obchodziło święto religijne. Znalazłem tę statystykę w skróconej formie w telegramie Associated Press i zachowałem ją. Wykazuje ona, że St. Louis było teraz w wyższym stanie łaski, niż za moich czasów mogło się poszczycić. Po bliższym przyjrzeniu się cyfrom

zaczynam jednak podejrzewać, że telegraf je zniekształcił. W mieście nie może być więcej niż 150 000 katolików, dalsze 250 000 trzeba zaliczyć do protestantów. Z tych 250 000 wedle podejrzanego telegramu tylko 26 362 było w kościele i w szkole niedzielnej, podczas gdy ze 150 000 katolików 116 188 poszło do kościoła i do szkoły niedzielnej.

## Rozdział LII PALĄCE PIĘTNO

Nagle przyszła mi do głowy myśl: „Nie odszukałem pana Browna”.

W tym miejscu chcę zboczyć z prostej linii mego opowiadania i zrobić małą dygresję. Pragnę odkryć pewną tajemnicę, z którą nosiłem się przez dziewięć lat i która poczęła mi już ciążyć. Przy pewnej okazji, dziewięć lat temu, powiedziałem z głębokim uczuciem: „Jeśli kiedykolwiek zobaczę jeszcze St. Louis, odszukam pana Browna, wielkiego kupca zboża, i poproszę go o zaszczyt uściśnięcia mu dłoni”.

Okazja i okoliczności były następujące: Pewien duchowny, mój przyjaciel, przyszedł do mnie jednego wieczoru i rzekł:

— Mam bardzo niezwykły list, który chciałem panu przeczytać, o ile wzruszenie pozwoli mi na to. Muszę jednak przedtem coś wyjaśnić. List jest napisany przez byłego złodzieja, włóczęgę najniższego pochodzenia i najpodlejszej kondycji, człowieka po wielokroć splamionego zbrodnią i pogrążonego w ciemnocie, ale dzięki Bogu — jak się pan sam przekona — złotego człowieka. List ten pisał do pewnego włamywacza, nazwiskiem Williams, który w więzieniu jednego ze Stanów odsiaduje dziewięcioletnią karę za włamanie. Williams był niezwykle śmiałym włamywaczem i uprawiał to rzemiosło przez wiele lat, lecz wreszcie został ujęty, uwięziony i czeka na proces w mieście, gdzie z bronią w ręku włamał się nocą do jakiegoś domu i zmusił właściciela, ażeby dał mu 8000 dolarów w obligacjach państwowych. Williams to nie żaden prostak z gminu, to absolwent Harvard College pochodzący z dobrej rodziny z Nowej Anglii. Ojciec jego był duchownym. W więzieniu począł zapadać na zdrowiu i groziły mu suchoty. Fakt ten oraz zupełne odosobnienie, nastrożające możliwość rozmyślań, miały naturalny skutek. Począł myśleć poważnie, dawniejsze wychowanie odezwało się w nim z całą siłą i mocno podziałało na jego umysł i serce. Porzucił dotychczasowe życie i stał się prawdziwym chrześcijaninem. Usłyszało o tym kilka pań w mieście. Odwiedziły go i pełnymi otuchy słowami starały się utwierdzić w dobrych postanowieniach i dodać siły, by nie ustawał w drodze do nowego życia.

Proces, jak już mówiłem, zakończył się skazaniem go na dziewięć lat więzienia. W więzieniu poznał biednego nieszczęśnika, o którym wspomniałem na początku mego opowiadania, nazwiskiem Jack Hunt, autora listu, który mam zamiar przeczytać. Zobaczy pan, jak owocna była ta znajomość dla Hunta. Gdy Hunt odsiedział karę, powędrował do St. Louis i stamtąd napisał ten list do Williamsa. List naturalnie utknął w biurze więziennym: więźniom rzadko wolno otrzymywać listy z zewnątrz. Władze więzienne przeczytały list, lecz go nie zniszczyły. Nie miały serca tego zrobić. Przeczytały go kilku osobom i wreszcie dostał się do rąk owych pań, o których mówiłem przed chwilą. Parę dni temu spotkałem mego starego przyjaciela, duchownego, który widział ten list i był nim ogromnie poruszony. Już samo wspomnienie o nim tak go wzruszyło, że gdy mówił, głos mu się załamywał. Obiecał dostarczyć mi kopię. Oto ona — dokładna kopia z zachowaniem wszystkich usterek oryginału. Ma wiele wyrazów gwarowych, złodziejskiego „żargonu”, ale znaczenie ich władze więzienne wpisały w nawiasach

St. Louis, 9 czerwca 1872 r.

Panie W. — przyjacielu Charlie, jeżeli wolno mi tak cię nazywać — wiem, dziwisz się, żeś dostał list ode mnie ale mam nadzieję że nie będziesz zły że piszę do ciebie. Chcę ci podziękować za to w jaki sposób mówiłeś do mnie, gdy byłem w więzieniu, bo to mnie



skłoniło, żeby spróbować zostać lepszym człowiekiem — myślałeś może że nie zwracam uwagi na to co mówisz, z początku tak było - ale wiedziałem że ty jesteś człowiekiem który robił wielkie dzieła z dobrymi ludźmi, a nie żaden chłystek od zawracania głowy wszyscy o tym wiedzieli.

Rozmyślałem po nocach nad tym co mówiłeś o dlatego przestałem kłąć 5 miesięcy przed tym nim się mój czas skończył, bo wiedziałem że nic z tego dobrego nie wychodzi — a tego dnia kiedy się mój czas skończył powiedziałeś mi że jeżeli rzucę robotę (przestanę kraść) przez 3 miesiące będę żył uczciwie będzie to najlepszy czyn w moim życiu. Urzędnik dał mi bilet do tego miejsca i w pociągu myślałem jeszcze o tym coś mi powiedział ale nic nie postanowiłem. Jak przyjechalśmy do Chicago wyciągnąłem jednej starej kobiecie skóreczkę (ukradł jej portmonetkę), ledwo ją wyciągnąłem już poczułem że wolałbym tego nie robić bo chwilę przed tym postanowiłem być uczciwym przez 3 miesiące — jak mówiłeś — ale zapomniałem o tym jak zobaczyłem skóreczkę jak na talerzu (łatwą do wyciągnięcia) ale trzymałem się blisko — kiedy ta kobieta wyszła z pociągu podchodzę z boku i powiadam do niej — proszę pani czy pani co zgubiła? Ona zwąchała (spozstrzegła) że skóreczka wysiadła (zniknęła) czy to ta? powiadam podając ją — ależ z pana uczciwy człowiek mówi ale nie miałem czasu tego słuchać prędko uciekłem. Kiedy tu przyjechałem miałem jeszcze 1 dolara i 25 centów. Przez 3 dni nie dostałem pracy bo nie byłem taki silny żeby się zaciągnąć na parowiec (jako marynarz pokładowy). Po południu trzeciego dnia wydałem ostatnie 10 centów na 2 księżycy (duże okrągłe suchary) i ser i czułem się dość nieswojo. Myślałem, że znów będę musiał iść do roboty (kraść) ale pomyślałem o tym co kiedyś mówiłeś żeby w nieszczęściu wezwać na pomoc Pana Boga i pomyślałem że w każdym razie jeden raz spróbuję — ale kiedy chciałem to zrobić utknąłem zaraz na początku i nic innego nie mogłem ułożyć tylko Panie Boże pozwól biednemu człowiekowi przeżyć w uczciwości 3 miesiące w imię Jezusa Chrystusa Amen. Myślałem o tym ciągle i ciągle chodząc po ulicach i za jakąś godzinę jak byłem na Fourth Street coś się zdarzyło i to jest powodem że tu jestem gdzie jestem teraz i o czym ci opowiem nim skończę to pisanie. Kiedy tak szedłem usłyszałem wielki hałas i zobaczyłem rozjeżdżonego konia z powozem i dwojgiem dzieci we środku i porwałem z chodnika kawałek wieka od skrzyni i rzuciłem się na środek ulicy a jak koń nadbiegł łupnąłem go w łeb tak mocno jak tylko mogłem i deska rozleciała się na kawałki. Koń stanął na chwilę a ja chwyciłem lejce i ściągnąłem mu łeb w dół aż się zatrzymał i dżentelmen, który był jego właścicielem przybiegł i jak zobaczył że dzieciom nic się nie stało zaczął ścisnąć mi ręce i dał mi całych 50 dolarów. Przyszło mi do głowy że prosiłem Pana Boga o pomoc i jakby we mnie piorun strzelił nie mogłem puścić cugli ani nic powiedzieć — on widział że coś nie w porządku i wrócił znów do mnie i mówi mój człowieku możeś ranny? wtedy przyszło mi do głowy żeby go poprosić o pracę i poprosiłem go żeby wziął z powrotem papierek i dał mi zajęcie a on na to wskakuj no tutaj pomówimy o tym ale zatrzymaj pieniądze. Pytał mnie, czy bym umiał chodzić koło koni więc powiedziałem że tak bo zawsze się kręciłem koło stajni z końmi do wynajęcia i często pomagałem czyścić konie i powozić — powiedział mi że potrzebuje człowieka do takiej roboty i że mi da 16 dolarów miesięcznie i utrzymanie. Domyślasz się że wziąłem to od razu — tej nocy w małym pokoiku nad stajnią siedziałem długo rozmyślając nad moim dawnym życiem i nad tym co się teraz przydarzyło i padłem na kolana i podziękowałem Panu Bogu za zajęcie i pomoc w uczciwym życiu a ciebie błogosławiłem żeś mnie do tego namówił. Następnego rana jeszcze raz to powtórzyłem i kupiłem sobie nowe łachy (ubranie) i biblię bo postanowiłem po tym co Pan Bóg dla mnie zrobił że będę co dzień czytał biblię. A wieczorem i rano będę go prosił żeby czuwał nade mną. Kiedy byłem tam już prawie tydzień pan Brown (tak się nazywa) jednego wieczora przyszedł do mojego pokoju i zobaczył że czytam biblię. Zapytał mnie czy jestem chrześcijaninem powiedziałem mu że nie a on zapytał jak się to dzieje że czytam biblię zamiast gazet i książek. Wiesz Charlie pomyślałem że lepiej zaraz na początku walić całą

prawdę więc mu opowiedziałem wszystko o tym że byłem w więzieniu i o tobie i jak już prawie przestałem szukać pracy i jak Pan Bóg dał mi zajęcie kiedy go poprosiłem i że jedynym sposobem odpłacenia mu za to jest czytać biblię no i być uczciwym. Prosiłem go żeby mi dał możliwość pracować 3 miesiące mówił do mnie jak ojciec przez długi czas powiedział że mogę zostać a wtedy zrobiło mi się lepiej niż kiedykolwiek w życiu bo zagrałem z panem Brownem w otwarte karty i nie bałem się że mi kto podstawi nogę (odkrywając jego przeszłość) i wyszczuje z zajęcia — następnego rana zawołał mnie do biblioteki i znów ze mną długo rozmawiał i radził mi uczyć się po trochu codziennie i że mi będzie pomagał godzinę albo 2 godziny co wieczór i dał mi arytmetykę książkę do czytania geografii i zeszyt i przepytuje mnie co wieczór i pozwala mi przychodzić do domu na modlitwę każdego rana. Zapisał mnie na kurs biblijny w szkole niedzielnej co mi się bardzo podoba bo to mi pomaga lepiej zrozumieć biblię.

A teraz Charlie 3 miesiące uczciwości skończyły się 2 miesiące temu i jak powiedziałeś to jest najlepszy czyn mojego życia i zaraz zacząłem znów od początku a czy to potrwa przez całe życie zależy tylko od Bożej pomocy — Charlie piszę ten list żeby ci powiedzieć że naprawdę myślę że Pan Bóg przebaczył mi grzechy i wysłuchał twoje modlitwy boś mi powiedział że będziesz się za mnie modlił — z radością czytam jego słowa i mówię mu o wszystkich moich kłopotach. Pomaga mi wiem o tym, bo mnóstwo mam sposobności do kradzieży ale już nie jestem taki jak kiedyś i teraz robi mi większą przyjemność pójść do kościoła niż do teatru tak nie było dawniej. Nasz pastor i inni często ze mną rozmawiają i miesiąc temu chcieli żebym przyłączył się do kościoła ale powiedziałem nie — nie teraz, mogę się mylić co do moich uczuć i poczekam trochę ale teraz czuję że Pan Bóg mnie wzywa i w pierwszą niedzielę lipca przyłączę się do kościoła — drogi przyjacielu chciałbym ci opisać co czuję ale jeszcze nie mogę — wiesz że nauczyłem się czytać i pisać w więzieniu i jeszcze nie umiem na tyle żebym mógł wypisać co bym chciał powiedzieć — wiem, że w tym liście nie wszystkie wyrazy dobrze napisałem i dużo jest innych błędów ale mi to wybacz wiem o tym bo wiesz że byłem wychowany w biednym domu aż nie uciekłem i że nigdy nie wiedziałem kto jest moim ojcem i matką i nie znam mojego prawdziwego nazwiska a mam nadzieję że nie będziesz na mnie zły ale mam takie samo prawo do takiego nazwiska jak do innego i wziąłem twoje nazwisko bo wiem że go nie będziesz używał jak wyjdiesz. Jesteś człowiekiem którego najbardziej szanuję na całym świecie więc myślę że nie będziesz zły — powodzi mi się dobrze co miesiąc odkładam w banku 10 dolarów do 25 z tych 50 dolarów — jeżeli kiedyś będziesz potrzebował trochę czy wszystko daj mi znać będzie twoje — chciałbym żebyś mi pozwolił posłać ci trochę teraz — posyłam ci razem z tym listem roczny abonament na „Życie Pobożne” — nie wiedziałem co byś chciał i powiedziałem panu Brownowi i powiedział że myśli że będzie ci się podobało — chciałbym być bliżej ciebie to bym ci mógł posłać trochę wałówek (prowianty) na święto — przy tej pogodzie wszystko by się popsuło z tak daleka ale pošlę ci paczkę na następne święto dziękczynienia — w każdym razie w przyszłym tygodniu pan Brown bierze mnie do swego składu jako tragarza i da mi awans jak tylko się trochę poduczę — ma wielki skład zboża hurtowy — zapomniałem ci powiedzieć o mojej szkole misyjnej klasie szkoły niedzielnej — szkoła odbywa się w niedzielę po południu zwerbowałem siedmiu szczeniaków (małych chłopców) żeby przychodzili — dwóch z nich wiedziało tyle co ja i wpakowałem ich na kurs gdzie się mogą czegoś nauczyć — sam dużo nie umiem ale ponieważ te szczeniaki nie umieją czytać dają sobie z nimi dobrze radę. Żeby być pewnym że przyjdą co niedzielę chodzę za nimi 1/2 godziny przed rozpoczęciem szkoły — namówiłem także 4 dziewczyny żeby przychodziły — opowiedz Maćkowi i Harryemu o mnie jeżeli przyjdą tutaj kiedy czas ich się skończy znajdę im zaraz zajęcie — mam nadzieję że mi wybaczysz ten długi list i wszystkie błędy chciałbym cię zobaczyć bo nie umiem tego wypisać co bym chciał powiedzieć — mam nadzieję że ciepła pogoda dobrze ci zrobi na płuca bałem się jak miałeś krwotok że umrzesz — kłaniaj się

wszystkim kolegom i opowiedz im jak się powodzi — powodzi mi się dobrze i wszyscy tutaj traktują mnie jak mogą najlepiej pan Brown ma zamiar kiedyś do ciebie napisać mam nadzieję że którego dnia do mnie napiszesz — ten list jest od twojego bardzo wiernego przyjaciela

C — W —

którego znasz jako Jacka Hunta

Posyłam ci kartę pana Browna — pošlij mu mój list.

Oto prawdziwa elokwencja, nieodparta elokwencja bez pomocy chociażby jednej sztuczki czy ozdoby. Rzadko coś napisanego zdołało mnie tak głęboko poruszyć. Czytający list zatrzymywał się przez cały czas, gdyż głos mu się łamał co chwila, jednakże starał się opanować wzruszenie czytając list kilkakrotnie w samotności, zanim odważył się odczytać go w towarzystwie. Robił doświadczenie ze mną, aby się przekonać, czy jest nadzieja, iż będzie w stanie odczytać ten dokument na zebraniu w kole modlitwy w sposób choć jako tako opanowany. Rezultat nie był obiecujący. Jednakże postanowił zaryzykować i zaryzykował. Przebrnął dość możliwie, ale audytorium załamało się wcześniej i pozostało już w tym stanie aż do końca.

Sława listu rozeszła się po mieście. Jakiś pastor pożyczył rękopis, włączył go w całości do swego niedzielnego kazania, wygłosił kazanie do tysiąca dwustu wiernych. List pogrążył ich w potokach łez. Następnie mój przyjaciel włączył list do swego kazania i stanął z nim przed wiernymi w niedzielę rano. Znowu tryumf. Wszyscy płakali jak jeden mąż.

Przyjaciel mój pojechał na letnie wakacje, na tereny rybne naszych północnych, brytyjskich sąsiadów i zabrał ze sobą to kazanie, ponieważ mogło się zdarzyć, iż będzie mu potrzebne. Pewnego dnia poproszono go, żeby je wygłosił. Mały kościółek był pełny. Wśród obecnych znajdował się nieżyjący już pan Seymour z „New York Times”, pan Page, filantrop i szermierz trzeźwości, oraz, zdaje się, senator Frye z Maine. Cudowny list dokonał pożądanego dzieła; wszyscy byli wzruszeni, wszyscy płakali, łzy spływały nieustającym strumieniem po policzkach doktora Hollanda; prawie to samo można powiedzieć o wszystkich obecnych. Pan Page, pełen entuzjazmu dla listu, powiedział, iż nie spocznie, dopóki nie odbędzie pielgrzymki do owego więzienia i nie porozmawia z człowiekiem, który potrafi natchnąć towarzysza niedoli do napisania tak bezcennego traktatu.

Ach, nieszczęsny Page! I ten drugi! Gdyby mogli byli jeszcze być w Jerycho, list ów dźwięczałby już po całym świecie i wzruszał wszystkie serca wszystkich narodów przez całe przyszłe tysiące lat i nikt by się nigdy nie dowiedział, że było to najpodlejsze, najbezcenniejsze, najbardziej wyrafinowane oszukaństwo i kpina, jakie kiedykolwiek wykoncypowano dla otumanienia biednych, łatwowiernych śmiertelników!

List był zwykłym szwindlem — oto cała prawda. I na ogół biorąc niedoścignionym szwindlem. Był doskonały, wykończony, symetryczny, kompletny, wspaniały!

Czytelnik dowiaduje się o tym teraz, ale my dowiedzieliśmy się dopiero o kilka mil od miejsca akcji i w kilka tygodni później. Mój przyjaciel powrócił z lasów i razem z innymi duchownymi i świeckimi misjonarzami poczęli znowu zalewać słuchaczy własnymi łzami oraz łzami tychże słuchaczy. Prosiłem usilnie, aby mi pozwolono wydrukować list w czasopiśmie i opowiedzieć tę łzawą historię jego tryumfów. Mnóstwo ludzi posiadało kopie listu i pozwolenie na rozpowszechnianie ręcznych, ale nie drukowanych odpisów. Kopie zostały wysłane na wyspy Sandwich i do innych odległych okolic.

Pewnego dnia, podczas odczytywania i opłakiwania wyblakłego listu, znajdował się w kościele Charles Dudley Warner. Potem, u drzwi kościelnych, oblał pastora zimną wodą zadawszy mu pytanie:

— Czy wasza wielebność wie, że ten list jest nieprawdziwy?

Było to pierwsze podejrzenie, ale miało ów zatruwający wpływ, jaki zawsze miewają pierwsze podejrzenia rzucone na czyjegoś bożka. Nastąpiła dalsza rozmowa:

— Jak to? Na jakiej podstawie mówi pan, że nie jest prawdziwy?

— Nie mogę powiedzieć nic pewnego, tyle tylko, że jest jakiś zanadto ozdobny, zwięzły i płynny i za ładnie ułożony, jak na kogoś nieuczzonego. Mnie się wydaje, że napisał go człowiek wykształcony.

Artysta literat odkrył mechanizm literacki. Jeżeli teraz spojrzycie na list, sami odkryjecie ów mechanizm, widać go w każdym wierszu.

Duchowny z kielkującym w umyśle ziarnem podejrzenia natychmiast odszedł i napisał list do pastora mieszkającego w owym mieście, gdzie Williams był w więzieniu i nawrócił się. Prosił o wyjaśnienie i pytał, czy ktoś ze sfer literackich (mając na myśli mnie) mógłby wydrukować list i opowiedzieć całą historię. Wkrótce otrzymał następującą odpowiedź:

*Drogi Przyjacielu! Co się tyczy owego „listu skazańca”, nie może być żadnej wątpliwości co do jego autentyczności. Williams, do którego był pisany, to nasz więzień, który oświadczył, że się nawrócił, a wielebny... kapelan więzienny uwierzył mocno w prawdziwość tej zmiany, zresztą uwierzyłby każdy na jego miejscu.*

*List został wysłany do jednej z naszych pań, która jest nauczycielką w szkole niedzielnej. Wysłał go sam Williams albo kapelan więzienia stanowego. Było jej bardzo przykro, że nabral takiego rozgłosu, gdyż mogło się to wydawać zawiedzeniem zaufania albo też wyrządzić krzywdę Williamsowi. Co się tyczy ogłoszenia go drukiem, nie mogę dać na to pozwolenia, chociaż jeżeli zostaną opuszczone nazwiska i miejscowości, a zwłaszcza jeżeli zostanie wysłany poza granice kraju, myślę, że możesz to uczynić przyjmując na siebie całą odpowiedzialność.*

*Jest to wspaniały list, którego żaden chrześcijański geniusz, a zwłaszcza nie wyświęcony, nie mógłby napisać. Ukazując działanie łaski w sercu ludzkim, i to bardzo poniżonego i złego człowieka, sam dowodzi swego pochodzenia i przywraca naszej słabej wierze siłę zmagania się z wszelkimi formami zła.*

*Pan Brown z St. Louis pochodzi podobno z Hartford. Czy wszyscy, których przysyłaś z Hartford, tak dobrze służą swemu Panu?*

*P.S. Williams ciągle jeszcze przebywa w więzieniu stanowym, odsiadując karę, zdaje się, dziewięciu lat. Był chory i zagrożony suchotami, ale ostatnio nie dowiadywałem się o niego. Pani, o której pisałem, koresponduje z nim, przypuszczam, i na pewno będzie się nim opiekować.*

List ten przyszedł w parę dni po napisaniu i akcje pana Williamsa znów poszły w górę. Uwłaczające podejrzenie pana Warnera zostało pogrzebane w zimnym grobie. Było to podejrzenie oparte w każdym razie tylko na wewnętrznym dowodzie, a wewnętrzne dowody to szerokie pole i wielka podwójna gra; jako świadek może występować drugi wewnętrzny dowód, odkryty przez autora wyżej wymienionej uwagi, że „jest to niezwykły list, którego żaden chrześcijański geniusz, a zwłaszcza nie wyświęcony, nie mógłby nigdy napisać”.

Miałem teraz pozwolenie na druk, o ile pominę nazwiska i miejscowości i wyślę moje opowiadanie poza granice kraju. Wybrałem więc do tego celu pewien australijski tygodnik, jako że znajdował się dość daleko od kraju, i zabrałem się do pisania artykułu. A duchowni znów puścili w ruch całą maszynę, której główną sprężyną był list.

Tymczasem jednak brat Page działał. Nie odwiedził sam więzienia, lecz przesłał kopię sławnego listu do kapelana owej instytucji, dołączając do niego kilka pytań. Otrzymał odpowiedź datowaną o cztery dni później niż ów uspokajający list innego brata, która zawędrowała do moich rąk, zanim skończyłem artykuł. Oryginał leży obecnie przede mną i podaję go poniżej. Jest dobrze naładowany wewnętrznymi dowodami nie byle jakiego kalibru:

*Więzienie Stanowe — Biuro Kapelana 11 lipiec 1873 r.*

*Drogi Bracie Page!*

*Zwracam łaskawie mi pożyczony list. Obawiam się, że nie da się ustalić jego prawdziwości. Wynika z niego, że był jakoby adresowany do któregoś z naszych więźniów. List taki jednak nigdy nie przyszedł do żadnego z więźniów. Wszystkie listy, zanim dojdą do rąk więźniów, są dokładnie czytane przez urzędników, a o takim liście nie mogliby zapomnieć. Poza tym Charles Williams nie jest bynajmniej dobrym chrześcijaninem, ale wyuzdanym, przebiegłym rozpustnikiem, którego ojciec jest kapłanem. Nazwisko jego jest przybrane. Cieszę się z zawarcia naszej znajomości. Przygotuję wykład o życiu widzianym przez kraty więzienne i chciałbym go wygłosić w waszej okolicy.*

I tak skończył się mały dramat. Mój biedny artykuł poszedł do pieca, bo chociaż materiały do niego były teraz obszerniejsze i nieporównanie bogatsze niż przedtem, potworzyły się wkoło mnie grupy, które, mimo iż dawniej pragnęły rozgłosu, w obecnym stanie rzeczy opowiadały się jednogłośnie za przyciszeniem i zaprzestaniem całej zabawy. Mówiono: „Poczekaj, rana jest jeszcze za świeża”. Wszystkie kopie sławnego listu, z wyjątkiem mojej, nagle zniknęły i od tego czasu znów zapanowała po kościołach dawna posucha. Prawie wszyscy w mieście śmieli się teraz z tego, ale były i takie miejsca, gdzie uśmiech nie pojawiał się wcale i gdzie niebezpiecznie było wspominać o liście eks-skazańca.

Okazało się, że „Jack Hunt”, rzekomy autor listu, był osobą zmyśloną. Włamywacz Williams, absolwent Harvardu, syn pastora, napisał ten list sam do siebie, wysłał go ukradkiem z więzienia i przekazał osobom, które podtrzymywały go i zachęcały w drodze do nawrócenia. Wiedział, że staną się wówczas dwie rzeczy: prawdziwość listu nie będzie podana w wątpliwość ani badana, a jego myśl przewodnia zostanie zauważona i przyczyni się do darowania kary panu Williamsowi i wypuszczenia go z więzienia.

Owa „kwintesencja” jest tak zgrabnie, tak nawiasowo napomkniona i natychmiast, bez żadnych dalszych wyjaśnień, na samym końcu listu pozostawiona, że przeciętny czytelnik jeżeli w ogóle to zauważy, nigdy nie poweźmie podejrzenia, iż jest to samo jądło, sam rdzeń listu:

„Mam nadzieję, że ciepła pogoda dobrze ci zrobi na płuca bałem się jak miałeś krwotok że umrzesz pozdrów; ode mnie etc.”

I to wszystko — po prostu lekkie dotknięcie, bez rozwodzenia się. A jednak było ono przeznaczone dla oka, dla bystrego oka, które potrafi je dojrzeć. Miało poruszyć jakieś dobre serce, które usiłowałoby zwolnić nawróconego, oczyszczonego i pozostającego w okrutnych szponach suchot nieszczęśnika.

Gdy po raz pierwszy, dziewięć lat temu, słyszałem, jak czytano mi ten list, miałem uczucie, że jest to najniezwyklejszy list, z jakim się kiedykolwiek spotkałem. Obudził on we mnie tak gorące uczucie do pana Browna z St. Louis, że powiedziałem sobie, iż jeżeli kiedykolwiek znów odwiedzę to miasto, wyszukam owego wspaniałego człowieka i ucałuję kraj jego szaty, jeżeli będzie nowa. No i znalazłem się w St. Louis, ale nie puściłem się na poszukiwania pana Browna — niestety! — dawno przeprowadzone badania dowiodły, że dobrotliwy Brown, podobnie jak Jack Hunt, nie był rzeczywistą osobą, lecz jedynie wytworem fantazji utalentowanego hultaja, Williamsa, włamywacza absolwenta Harvardu, syna duchownego.

Rozdział LIII

DOM MEGO DZIECIŃSTWA

Wsiedliśmy na jeden z pośpiesznych statków St. Louis i St. Paul Packet Company zdążający w górę rzeki.

Gdy po raz pierwszy jako chłopiec ujrzałem ujście rzeki Missouri, znajdowało się ono wedle obliczeń pilotów o dwadzieścia dwie czy dwadzieścia trzy mile od St. Louis w górę rzeki. Obsuwanie się i przemieszczanie brzegów przesunęło je od tego czasu o osiem mil w dół

rzeki, a piloci powiadają, że w przeciągu pięciu lat rzeka uczyni przełom i przesunie ujście jeszcze o pięć mil w dół, skutkiem czego znajdzie się w odległości dziesięciu mil od St. Louis.

Niedługo przed zapadnięciem nocy mineliśmy wielkie, kwitnące miasto Alton w stanie Illinois, a następnego ranka przed świtem miasto Luizjana w stanie Missouri, które za moich czasów było senną wioską, a obecnie jest ożywionym węzłem kolejowym, chociaż właściwie wszystkie miasta w tej okolicy są obecnie węzłami kolejowymi. Nie mogłem dobrze rozpoznać tego miejsca. Wydawało mi się to dziwne, bo kiedy w 1861 roku wycofywałem się z armii powstańczej, wycofałem się z Luizjany w należyтым porządku, przynajmniej należyтым porządku dla kogoś, kto się jeszcze nie nauczył, jak to się wycofuje wedle praw wojennych, i musiał zaufać tylko przyrodzonemu talentowi. Wydawało mi się, że jak na pierwszy raz wycofanie udało się nie najgorzej. Podczas całej kampanii nie zrobiłem żadnego szczęśliwego posunięcia, które by w ogóle mogło się z nim równać.

Most kolejowy przecinał rzekę gęsto usianą jarzącymi się światłami. Był to bardzo piękny widok.

O siódmej rano przybyliśmy do miasta Hannibal, w stanie Missouri, gdzie spędziłem lata chłopięce. Piętnaście lat temu widziałem go przelotnie, a sześć lat przedtem również przelotnie, ale obydwie razy tak krótko, że się to prawie nie liczy. Miałem jednak w pamięci obraz tego miasta sprzed lat dwudziestu dziewięciu, kiedy opuszczałem je po raz pierwszy. Obraz ten ciągle jeszcze był dla mnie jasny i żywy jak fotografia. Wyszedłem na ląd z uczuciem kogoś, kto powraca z dawno wymarłego pokolenia. Rozumiałem, co musieli czuć więźniowie Bastylli, gdy po latach niewoli wychodzili na wolność i idąc ulicami Paryża widzieli, jak dziwnie mieszają się przed nimi rzeczy znane i nieznane. Widziałem nowe domy, widziałem je zupełnie wyraźnie, ale nie miało to żadnego wpływu na dawny obraz w moim umyśle, bo poprzez ich masywne cegły i wapno widziałem z całkowitą dokładnością domy, które dawniej stały na tym miejscu.

Była to niedziela rano i wszyscy jeszcze spali. Szedłem więc przez puste ulice widząc ciągle miasto takim, jakim było, a nie takim, jakim jest, rozpoznając i symbolicznie ściskając ręce setkom znanych przedmiotów, które już nie istniały, aż wreszcie wszedłem na Święteczne Wzgórze. Całe miasto leżało teraz u moich stóp i mogłem odnaleźć i określić każde miejsce, z najdrobniejszymi szczegółami. Byłem oczywiście bardzo wzruszony. „Wielu ludzi, których kiedyś znałem w tym spokojnym schronieniu mych lat chłopięcych — rzekłem — jest teraz w niebie; niektórzy wszakże są w innym miejscu”.

Rzeczy, znajdujące się koło mnie i przede mną, sprawiały, że czułem się znowu chłopcem; przekonywały mnie, że jestem chłopcem i że po prostu miałem sen, niezwykle długi sen, ale głębsze zastanowienie się psuło mi wszystko, gdyż kazało mi mówić: „Widzę tam daleko pięćdziesiąt starych domów i do każdego z nich mógłbym wejść i znaleźć mężczyznę czy kobietę, która była niemowlęciem lub jeszcze się nie urodziła, kiedy ja po raz ostatni widziałem te domy, albo babunię, która w owym czasie była pulchną, młodą narzeczoną”.

Z owej wyniosłości rozciągał się rozległy widok w górę i w dół rzeki i na dalekie zalesione obszary Illinois. Myślę, iż jest to jeden z najpiękniejszych widoków nad Missisipi, co jest jednak stwierdzeniem ryzykownym, bo całe osiemset mil rzeki między St. Louis a St. Paul to jedno nieprzerwane pasmo ślicznych widoków. Możliwe, że uczucie, jakie mnie łączy z tymi miejscami, wpływa na mój dodatni sąd o nich, tego nie mogę rozstrzygnąć. Mniejsza o to, widok ten był dla mnie wystarczająco piękny i miał tę przewagę nad przyjaciółmi, których miałem powitać, że nie uległ zmianie, był młody, świeży, miły i wdzięczny jak zawsze, podczas gdy twarze tamtych będą postarzałe, poznaczone smutkiem i klęskami i nie przyczynią się do podniesienia mnie na duchu.

Jakiś starszy pan, który odbywał ranną przechadzkę, podszedł do mnie i zaczęliśmy rozmawiać o pogodzie, a potem zбочyliśmy na inne tematy. Nie mogłem przypomnieć sobie

jego twarzy. Mówił, że mieszka tu od dwudziestu ośmiu lat. A więc przybył tu potem, jak ja stąd wyjechałem. Zadawałem mu różne pytania. Między innymi spytałem o jednego kolegę ze szkoły niedzielnej, czy wie, co się z nim stało?

— Pozdawał zaszczytne egzaminy w college'u na wschodzie kraju i wywędrował w świat, ale nic mu się nie udawało, od wielu lat ludzie o nim zapomnieli i zdaje się zszedł na psy.

— Jako chłopiec był bystry i dobrze się zapowiadał.

— Tak, ale nic z tego wszystkiego nie wyszło.

Zapytałem o innego młodzieńca, najzdolniejszego ze wszystkich w naszej wiejskiej szkole, gdy ja byłem chłopcem.

— On również pozdawał zaszczytne egzaminy w jakimś college'u na wschodzie, ale życie smagało go srodze i przed wielu laty złamany umarł w jednym z Terytoriów.

Zapytałem o jeszcze innego, też zdolnego chłopca.

— Dobrze mu się powodzi, zawsze dobrze mu się powodziło i przypuszczam, że zawsze będzie mu się dobrze powodzić.

Zapytałem o młodzieńca, który przybył do miasta, ażeby uczyć się zawodu, gdy byłem jeszcze chłopcem.

— Łapał się różnych rzeczy, zanim wypłynął — przerzucał się od medycyny do prawa i od prawa do medycyny, a potem znów chwycił się czegoś innego. Wyjechał na rok i wrócił z młodą żoną. Zaczął pić, a potem ukradkiem grał w karty, wreszcie zawiózł żonę i dwoje małych dzieci do jej ojca, a sam wyjechał do Meksyku. Ze złego staczał się w coraz gorsze i wreszcie umarł nie mając centa na pochówek i przyjaciela, który by poszedł za jego pogrzebem.

— Szkoda, bo był to młodzieniec najlepszego serca, najweselszy i rokujący najlepsze nadzieje.

Wymieniłem innego chłopca.

— Ach! on ma się dobrze. Mieszka tu jeszcze, ma żonę i dzieci i nieźle mu się powodzi.

Ten sam sąd o innych chłopcach.

Wymieniłem trzy uczennice.

Pierwsze dwie mieszkają tutaj; wyszły za mąż i mają dzieci; trzecia, niezamężna, dawno umarła.

Wymieniłem ze wzruszeniem jedną z moich sympatii.

— Ma się dobrze. Wychodziła za mąż trzy razy, pochowała dwóch mężów, rozwiodła się z trzecim i, jak słyszę, znów ma zamiar poślubić jakiegoś starego pryka z Kolorado. Ma dzieci porozsiewane tu i tam — wszędzie.

Odpowiedź na kilka innych pytań była krótka i prosta.

— Zginął na wojnie...

Wymieniłem innego chłopca.

— O, jego historia jest naprawdę ciekawa! Nie było w mieście człowieka, który by nie wiedział, że ten chłopak to kapuściana głowa, zupełny bałwan, po prostu głupi osioł, jak się to mówi. Każdy o tym wiedział, każdy o tym mówił. A teraz, jeżeli ten chłopak nie jest najlepszym prawnikiem w stanie Missouri, to ja jestem demokratą!

— Naprawdę?

— Z całą pewnością. Mówię panu prawdę.

— Jak to pan wytłumaczy?

— Wytłumaczyć? Nie ma tu żadnego wytłumaczenia, z wyjątkiem tego, że jeśli się pośle patentowanego głupca do St. Louis i nie powie im, że to patentowany głupiec, o n i nigdy tego nie odkryją. Jedna rzecz jest pewna: gdybym ja miał patentowanego głupca, wiedziałbym, co z nim zrobić. Wsadziłbym go na statek do St. Louis — to najlepszy na świecie targ na tego rodzaju towar. Tak, jeżeli pan rozpatrzy to ze wszystkich stron, zastanowi się nad tym i przemyśli, czyliż nie przewyższy to wszystkiego, cokolwiek pan słyszał?

— No tak, tak się wydaje. Ale czy pan nie przypuszcza, że może to mieszkańcy Hannibalu mylili się co do chłopca, a nie mieszkańcy St. Louis.

— Nonsens! Tutejsi ludzie znali go od kolebki, znali go sto razy lepiej, niż mogli go znać idioci z St. Louis. Jeżeli pan będzie miał jakichś patentowanych głupców, których chciałby pan wymienić na złoto, niech pan posłucha mojej rady i pośle ich do St. Louis.

Wspomniałem jeszcze o wielu ludziach, których dawniej znałem. Jedni umarli, drudzy wyjechali, innym powodziło się dobrze, inni znów stracili wszystko, ale co do większości, odpowiedź była pocieszająca. Mają się dobrze, mieszkają tu jeszcze, miasto roi się od ich dzieci.

Zapytałem o pannę X...

— Umarła w szpitalu dla wariatów cztery lata temu. Od czasu, jak się tam znalazła, nigdy już stamtąd nie wyszła, cierpiała ciągle, nie odzyskała ani odrobiny rozumu.

Jeżeli mówił prawdę, była to rzeczywiście wielka tragedia. Trzydzieści sześć lat w szpitalu wariatów, oto rezultat zabawy kilku młodych gęsi! Byłem wówczas małym chłopcem i widziałem, jak te lekkomyślne młode panny wchodziły na palcach o północy do pokoju, w którym siedziała panna X czytając przy lampie. Dziewczyna, będąca na czele orszaku, miała na sobie całun i maskę z ciasta, wśliznęła się do swej ofiary od tyłu i dotknęła jej ramienia. Ta spojrzała w górę i krzyknęła, a potem dostała konwulsji. Nie wyleczyła się już z tego przestרחu i zwariowała. Dziś wydaje się nie do wiary, że tak niedawno temu ludzie wierzyli jeszcze w duchy — a jednak wierzyli.

Zapytawszy o innych ludzi, których mogłem sobie przypomnieć, zapytałem wreszcie o siebie.

— Och, powiodło mu się dość dobrze — jeszcze jeden przypadek patentowanego głupca. Gdyby go byli posłali od razu do St. Louis, wcześniej zaczęłoby mu się powodzić!

Z wielkim zadowoleniem stwierdziłem, jak mądrze zrobiłem mówiąc temu szczeremu dżentelmenowi na początku naszej rozmowy, że nazywam się Smith.

## Rozdział LIV

### PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Pozostawszy sam na szczycie wzgórza, zacząłem wypatrywać w oddalonym mieście stare domy i przywoływać z zamierzchłej przeszłości ich dawnych mieszkańców. Wśród innych domów od razu rozpoznałem dom ojca Lema Hacketta (nazwisko fikcyjne). Przeniosło mnie to momentalnie wstecz więcej niż o jedno pokolenie, do czasów, gdy wydarzenia życiowe nie były naturalnym i logicznym wynikiem wielkich ogólnych praw, ale raczej wynikiem doraźnych rozkazów i to wydanych w dokładnie określonym celu — częściowo dla ukarania, częściowo dla nagany — a zwykle do zastosowania na miejscu.

Kiedy byłem małym chłopcem, pewnej niedzieli utonął Lem Hackett. Wypadł z pustej barki podczas zabawy. Obciążony grzechami poszedł na dno jak worek piasku. On jeden ze wszystkich chłopców spał tej nocy. My czuwaliliśmy skruszeni. Nie potrzebowaliśmy zawiadomienia, które tego wieczoru zostało ogłoszone z kazalnicy, że sprawa Lema wymaga specjalnego sądu — i wiedzieliśmy już o tym. W nocy była gwałtowna burza, którą szalała bez przerwy prawie do świtu. Wicher dał, okna trzaskały, deszcz zalewał dach potokami! Na króciutką chwilę atramentowa czarność nocy zniknęła, domy wyłaniały się na jedną rozedrganą chwilę, rozjaśnione oślepiającym blaskiem, i znów zapadała gęsta ciemność, po czym następował trzask i huk pioruna, który zdawał się rozdzierać wszystko wokół na drobne kawałki i drzazgi. Siedziałem na łóżku drżąc, dygocąc i czekając na koniec świata, którego się spodziewałem. Dla mnie nie było w tym nic dziwnego ani niezrozumiałego, że niebo podnosi taką wrzawę z powodu Lema Hacketta. Było to widać słuszne i zasłużone. Nie miałem żadnej wątpliwości co do tego, że aniołowie, zebrawszy się, omawiają teraz sprawę tego chłopca i z zadowoleniem i aprobatą przyglądają się straszному bombardowaniu naszej



nędznej, małej wioski. Jedna tylko rzecz niepokoiła mnie bardzo, a mianowicie myśl, że takie zainteresowanie niebios naszą wioską nie omieszką zwrócić uwagi obserwujących na niektórych spośród nas, którzy w innym wypadku mogliby ująć uwagi, i to przez długie lata. Czułem, że nie tylko jestem jednym z nich, ale właśnie tym, którego najprawdopodobniej odkryją. Odkrycie to mogło mieć tylko jeden skutek: będę w ogniu razem z Lemem, dopóki nie wyjdzie z niego rzeczny ziąb. Wiedziałem, że byłoby to sprawiedliwe i słuszne. A ponieważ sam zwiększałem jeszcze szanse przeciwko sobie, czułem względem Lema ukrytą niechęć za to, że ściągnął na mnie owe fatalne zainteresowanie — ale nic na to nie mogłem poradzić — i grzeszna myśl pomimo mej woli wciąż zatruwała mi duszę. Za każdą błyskawicą powstrzymywałem oddech i myślałem, że już nie żyję. W przerażeniu i niedoli zacząłem podle wysuwać innych chłopców i wywlekać ich czyny, które były gorsze od moich i szczególnie zasługiwały na karę — i starałem się udawać przed samym sobą, że robię to tylko mimochodem, że wcale nie mam zamiaru zwracać na nich uwagi Niebios, aby odwrócić ją od siebie. Z głęboką roztropnością ubrałem owe wzmianki w formę smętnych wspominków i udanych pobożnych modłów, aby grzechy tych chłopców mogły pozostać nie zauważone. „Może będą za nie żałować”. „To prawda, że Jim Smith rozbił szybę i skłamał, że jej nie rozbił, ale może nie miał nic złego na myśli. Chociaż Tom Homes mówi więcej brzydkich słów niż jakikolwiek inny chłopiec we wsi, może ma zamiar tego żałować — co prawda nigdy o tym nie mówił. A mimo iż faktem jest, że John Jones łapał ryby w niedzielę, ale naprawdę złapał tylko jedną małą, bezużyteczną płotkę; i może nie byłoby to takie okropne, gdyby ją wrzucił z powrotem — jak mówi — ale on tego nie zrobił. Wszystko to jest godne ubolewania, lecz oni mogą za te straszne czyny jeszcze żałować, i może jeszcze to uczynią.”

Ale podczas gdy tak bezwstydnie starałem się zwrócić uwagę na tych biedaków, którzy niewątpliwie w tej samej chwili usiłovali skierować niebieską uwagę na mnie — nieopatrznie pozostawiłem palącą się świecę. Czas nie sprzyjał jakimkolwiek nieostrożnościom. Trudno o lepszy sposób na to, aby zwrócić na mnie uwagę, więc zgasilem świecę.

Była to dla mnie długa noc i może najstraszniejsza ze wszystkich, jakie przeżyłem. Przechodziłem męki z powodu wyrzutów sumienia za grzechy, o których wiedziałem, że je popełniłem, i za inne, co do których nie miałem pewności. Ale byłem przekonany, że anioł, który był mądrzejszy ode mnie i w tak ważnych sprawach nie ufał pamięci, wciągnął już je do księgi jako oskarżenie przeciwko mnie. Uderzyło mnie wkrótce, że pod jednym względem popełniam najgłupszą i najfatalniejszą pomyłkę. Skierowując uwagę na tych chłopców, niewątpliwie działałem na własną zgubę, a ich już chyba zgubiłem! Na pewno piorun pozabijał ich wszystkich w łózkach. Ta myśl wprawiła mnie w takie męczarnie i przerażenie, iż poprzednie przeżycia wydały się błahostką.

Rzecz stawała się naprawdę poważna. Postanowiłem natychmiast zacząć nowe życie; postanowiłem również, że następnego dnia, o ile przeżyję i ujrzę światło dzienne, wejdę w ścisły związek z kościołem. Postanowiłem stronić od grzechu i zawsze prowadzić szlachetne, nieskazitelne życie. Będę przychodził punktualnie do kościoła i do szkoły niedzielnej, będę odwiedzał chorych, nosił kosze żywności biednym (tylko dlatego, aby się stało zadość formalnościom, choć wiedziałem, że wśród nas nie mamy nikogo tak biednego, który za moje trudy nie wpakowałby mi kosza na głowę aż po same uszy; będę uczył dobrego innych chłopców i potulnie znosił od nich szturchańce, będę żył wyłącznie bogobojnymi rozważaniami, będę nachodził traktiernie i przestrzegał pijaków — i wreszcie, jeśli uniknę losu tych, którzy wcześniej stają się zbyt dobrzy, aby żyć na tym świecie — wyruszę na misję! Burza uciszyła się o świecie, a ja zapadłem w sen z poczuciem zobowiązania wobec Lema Hacketta za to, że w tak nagły sposób poszedł na wieczne męki i przez to zapobiegł o wiele straszniejszemu nieszczęściu — mojej własnej śmierci.

Ale gdy potem wstałem odświeżony i stwierdziłem, że inni chłopcy jeszcze żyją, uświadomiłem sobie niejasno, że był to tylko fałszywy alarm; że przyczyną całego

zamieszania nie był nikt inny, tylko Lem. Świat wyglądał tak jasno i bezpiecznie, iż wydawało się, że nie ma powodu zaczynać nowego życia. Tego dnia, a może i następnego byłem trochę przygnębiony. Postanowienie owej zamierzonej zmiany powoli przechodziło w niepamięć i znów żyłem sobie spokojnie i wesoło aż do następnej burzy.

Burza przyszła po około trzech tygodniach i była dla mnie najbardziej nieprawdopodobna, jaką kiedykolwiek przeżyłem — bo tego dnia po południu utopił się Dutchy. Dutchy chodził do szkoły niedzielnej. Był to Niemiec, chłopak, który nie umiał zliczyć do trzech, ale był irytująco dobry i obdarzony wspaniałą pamięcią. Pewnej niedzieli wzbudził zazdrość całej młodzieży i stał się przedmiotem pełnych podziwu rozmów całej wioski, gdyż wyrecytował trzy tysiące wierszy z Biblii nie opuściwszy ani słowa. A następnego dnia poszedł i utopił się. Okoliczności przydały jego śmierci szczególnej grozy. Kąpaliśmy się wszyscy w zamulonej zatoczce, która miała głęboki dół. W dole tym, na głębokości jakichś dwunastu stóp, bednarze zatopili do nasiąknięcia stos zielonych, orzechowych pali. Nurkowaliśmy próbując, kto najdłużej wytrzyma pod wodą. Trzymając się pali udawało nam się dość długo pod nią przebywać. Wysiłki Dutchy'ego były tak opłakane, że za każdym razem, gdy głowa jego ukazywała się nad wodą, witaliśmy go śmiechem i drwinami. Wreszcie poczuł się widać urażony tymi szyderstwami i poprosił, żebyśmy stali spokojnie na brzegu, byli względem niego sprawiedliwi i uczciwie liczyli, „żebyśmy ten jeden raz zachowali się po koleżeńsku i naumyślnie źle nie liczyli po to, żeby się zabawić i wyśmiewać z niego”. Wymieniwszy między sobą porozumiewawcze znaki, odpowiedzieliśmy: „Dobra, Dutchy, zaczynaj, będziemy grali uczciwie”.

Dutchy wskoczył do wody, ale chłopcy, zamiast liczyć, pod przewodnictwem jednego rozbiegli się i pochowali za rosnącymi w pobliżu krzakami jeżyn. Wyobrażali sobie upokorzenie Dutchy'ego, gdy po nadludzkim wysiłku wynurzy się z wody i zobaczy, że brzeg jest pusty, głuchy i nikt go nie oklaskuje. Pękali ze śmiechu na samą myśl o tym i ciągle wybuchali zduszonym chichotem. Czas płynął, aż nagle jeden z wyglądających zza krzaków odezwał się zdziwiony:

— Co? Jeszcze go nie ma?

Śmiech ustał.

— Ale nurek! — rzekł któryś.

— Wszystko jedno — dorzucił inny — tym lepszy będzie kawał.

Jeszcze kilku coś powiedziało, a potem zapadło milczenie. Rozmowa ustała, wszyscy zaczęli wyglądać zza gałęzi. Wkrótce na twarzach chłopców ukazała niepewność, potem niepokój, wreszcie strach. Na spokojnej wodzie nie było ciągle żadnego drgnienia. Serca zaczęły bić szybko, a twarze pobladły. W milczeniu wszyscy wyleźliśmy zza krzaków i stali na brzegu wodząc przerażonymi oczami na przemian to po naszych twarzach, to po wodzie.

— Któryś musi skoczyć i zobaczyć!

Tak, to było jasne, ale nikt nie chciał się podjąć tego ponurego zadania.

— Ciągnąć słomki!

Tak uczyniliśmy, ale ręce nam się trzęsły i prawie nie wiedzieliśmy, co robimy. Los padł na mnie. Skoczyłem do wody. Woda była tak zamulona, że nic nie widziałem, szukałem tylko omackiem wśród pali i nagle chwyciłem za bezwładną rękę, która nie zareagowała na moje dotknięcie, a gdyby nawet było inaczej, nie zdołałbym zauważyć, w przerażeniu bowiem natychmiast ją puściłem.

Chłopiec wpadł pomiędzy pale i ugrzązł wśród nich bez ratunku. Wypląnałem na powierzchnię i powiedziałem okropną nowinę. Niektórzy z nas wiedzieli, że gdyby natychmiast wyciągnąć chłopca, może dałoby się go uratować, ale nikt o tym nie pomyślał. Nie myśleliśmy o niczym, nie wiedzieliśmy, co robić, a więc nie robiliśmy nic. Mniejsi chłopcy płakali żałośnie, my zaś gwałtownie i nieprzytomnie zaczęliśmy wciągać na siebie ubrania, nakładając wszystko, co się trafiło pod ręką, swoje czy nie swoje, na lewą stronę i do

góry nogami. Potem wybiegliśmy stamtąd i podnieśliśmy alarm, ale nikt z nas nie wrócił, by zobaczyć tę tragedię do końca. Mieliśmy znacznie ważniejszą rzecz na głowie: uciekliśmy wszyscy do domu i pilnie przygotowaliśmy się do rozpoczęcia lepszego życia.

Noc właśnie zapadła. A wtedy przyszła owa straszliwa i zupełnie niesamowita burza. Byłem całkowicie oszołomiony. Nie mogłem tego zrozumieć. Wydawało mi się, że musiała tu zajść jakaś pomyłka. Rozpętały się żywioły, grzmiały, walały, oślepiały w najwyższym zapamiętaniu i szale. Serce mi zamarło, opuściła wszelka nadzieja, a po głowie krążyła uparcie ponura myśl: „Jeżeli nie wystarczyło, aby chłopiec umiał na pamięć trzy tysiące wierszy, to jakie szanse ma ten, który nawet i tego nie umie?”

Nie wątpiłem naturalnie ani na chwilę, że burza przyszła z powodu Dutchy’ego albo że on czy jakiś inny niepozorny stwór miałby być niegodny takiej majestatycznej demonstracji niebios. Trapił mnie tylko wyciągnięty z tego wniosek: skoro Dutchy z wszystkimi swoimi doskonałościami nie spodobał się tam, w niebie, nie ma sensu, żebym ja zaczynał nowe życie, bo choćbym nie wiem jak się starał, i tak nie zdołałbym dorównać temu chłopcu. A mimo to zacząłem nowe życie, zmusił mnie do tego wyolbrzymiony strach. Ale nastąpiły dni pełne wesołości i słońca. W ciągu miesiąca znów się cofnąłem do dawnego i znów byłem bez troski i zadowolony.

Dumałem nad tymi wspomnieniami i przypomiinałem sobie owe dawne zdarzenia, aż zbliżyła się pora śniadania, przeniósłem się więc znów w teraźniejszość i zszedłem ze wzgórze.

Idąc przez miasto w kierunku hotelu, zobaczyłem dom, w którym mieszkałem będąc chłopcem. Ludzie, którzy obecnie go zajmują, według dzisiejszych cen, nie mają większej wartości ode mnie, ale w moich czasach, byłiby warci nie mniej niż pięćset dolarów sztuka. Są czarni.

Po śniadaniu znów wyszedłem samotnie, aby poszukać kilku szkół niedzielnych i zobaczyć, jak też obecne pokolenie uczniów może wyglądać w zestawieniu z ich przodkami, którzy siadywali tu ze mną i może brali mnie za wzór, chociaż obecnie sobie tego nie przypominam. Za moich czasów na miejskim placu stał nędzny, mały, murowany kościółek, zwany „Starym okrętem Syjonu” do którego chodziłem jako uczeń szkoły niedzielnej. Miejsce to znalazłem dość łatwo, ale stary kościół zniknął, a zamiast niego stał ozdobny i wesoły nowy budynek. Uczniowie mieli lepsze ubrania i lepiej wyglądali niż za moich czasów. Nie przypominali niczym swoich przodków, w twarzach ich nie znalazłem nic dla mnie znajomego. A przecież przypatrywałem się im z głębokim zainteresowaniem i bolesną uwagą. Dziewczyna na moim miejscu płakałaby, ze wzruszenia, bo przecież byli oni potomkami, reprezentowali i zajmowali miejsce chłopców i dziewcząt, wśród których byli tacy, których gorąco kochałem, i tacy, których gorąco nienawidziłem. Wszyscy jednak, z tej czy innej przyczyny, byli mi drodzy tyle lat temu! Ach, Boże, gdzie oni są teraz!

Tak się wzruszyłem, że byłbym wdzięczny, gdyby mnie pozostawiono w spokoju i pozwolono napatrzeć się do woli, ale łysawy superintendent, który w młodości był moim płowowłosym kolegą w tejże szkole niedzielnej, poznał mnie. Zacząłem więc opowiadać tym dzieciom nieprawdopodobne bzdury po to tylko, żeby ukryć własne myśli. Nie mogłem przecież zdradzić wzruszenia, uznano by to za niezgodne z moim charakterem.

Nie mam daru wygłaszania mów bez przygotowania, toteż przy nowej sposobności byłem zdecydowany jakoś się wymówić. Ale w następnej większej szkole niedzielnej znalazłem się w tyle, za wszystkimi, i miałem wielką ochotę wejść na chwilę na podium, ażeby dobrze przyjrzeć się uczniom. W owym momencie nie mogłem sobie przypomnieć od razu żadnego z dawnych bezsensownych przemówień, które goście ku memu oburzeniu wygłaszali, gdy byłem uczniem. Bardzo tego żałowałem, gdyż wówczas miałbym czas i okazję, żeby tam dłużej pozostać i napatrzeć się do woli temu, co, mogę szczerze powiedzieć, było uosobieniem młodego, świeżego wdzięku. Żadna inna niedziela szkolna nie mogła jej pod tym względem dorównać. Gdy więc mówiłem tylko po to, żeby móc się przyglądać, i

wymyślałem byle jakie bzdury, żeby owo przyglądanie się przedłużyć, doszedłem do przekonania, że jedyną przyzwoitą rzeczą byłoby przyznać się do owych niskich motywów, co też i uczyniłem.

Jeżeli w którejś z tych szkół niedzielnych był prymus, ja go nie widziałem. Prymus za moich czasów — a mieliśmy tylko jednego — był pod każdym względem doskonały: doskonały w sposobie bycia i ubierania, doskonały w zachowaniu i szacunku dla rodziców, doskonały w zewnętrznej pobożności, ale w gruncie rzeczy był to zarozumialec, a co do zawartości jego mózgowicy, równała się zawartości tortu. Jego zachowanie bez zarzutu było przyczyną ciągłych zarzutów w stosunku do innych, chłopców w wiosce. Wzbudzał podziw wszystkich matek, a niechęć ich synów. Opowiadano mi o jego dalszych losach, ale ponieważ spotkał mnie tu zawód, nie będę zagłębiał się w szczegóły. Miał w życiu powodzenie.

## Rozdział LV

### VENDETTA I INNE RZECZY

Podczas mego trzydniowego pobytu w mieście co rano budziłem się z uczuciem, że jestem chłopcem, bo w moich snach wszystkie twarze były znów młode i wyglądały tak, jak za dawnych czasów, ale wieczorem szedłem spać jako stuletni starzec, ponieważ w ciągu dnia oglądałem owe twarze takie, jakie były w rzeczywistości.

Naturalnie z początku, zanim przystosowałem się do zmienionego stanu rzeczy, doznawałem rozczarowań. Spotkałem młode panie, które, zdawało się, nie zmieniły się zupełnie, ale okazało się, że są to córki owych młodych pań, które pozostały mi w pamięci, a czasem nawet ich wnuczki. Kiedy się usłyszy, że jakaś nieznajoma pięćdziesięcioletnia osoba jest babką, nie ma w tym nic zdumiewającego, ale jeżeli jest to osoba, którą się znało jako małą dziewczynkę, wydaje się to niemożliwe. Człowiek pyta sam siebie: „Jak mała dziewczynka może być babką?” Trzeba trochę czasu, ażeby przyjąć i zrozumieć fakt, że wtedy, kiedy człowiek sam się starzał, inni również pod tym względem nie stali na miejscu.

Największe, najbardziej wyraźne zmiany zauważyłem u kobiet, nie u mężczyzn. Widziałem mężczyzn, którzy po trzydziestu latach bardzo niewiele się zmienili, natomiast żony ich mocno się postarzały. Były to dobre kobiety; człowiek zużywa się, kiedy jest dobry.

Był pewien siodlarz, którego chciałem zobaczyć, ale coś się z nim stało. Mówili, że umarł przed wielu laty. Raz albo dwa razy na tydzień siodlarz pędził przez ulicę, naciągając w biegu kurtkę, i wtedy każdy wiedział, że zbliża się parowiec. Każdy również wiedział, że John Stavely nie oczekuje nikogo ze statku ani też żadnej przesyłki. Stavely musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wszyscy o tym wiedzą, ale nie robiło mu to różnicy. Lubił wyobrazić sobie, że czeka na sto tysięcy ton sioła, które wiezie ten statek, i robił to przez całe życie, ciesząc się, że jest zawsze pod ręką, aby przyjąć i pokwitować owe siodła, gdyby jakimś cudem nadeszły. Pewna złośliwa gazeta w Quincy, mówiąc o tym mieście, zawsze nazywała je urągliwie „Przystanią Stavely’ a”. Stavely był jednym z moich najwcześniejszych ideałów. Zazdrościłem mu impetu w owym fikcyjnym przedsiębiorstwie i powagi, jaką umiał mu nadać wśród innych ludzi, kiedy pędził ulicą walcząc z rozwianą kurtką.

Głównym moim bohaterem był cieśla, potężny łgarz, o czym ja oczywiście nie wiedziałem. Wierzyłem wszystkiemu, co mówił. Był to romantyczny, sentymentalny, melodramatyczny blagier, lecz zachowanie jego napawało mnie niemym podziwem. Żywo pozostała mi w pamięci chwila, gdy obdarzył mnie zaufaniem po raz pierwszy. Heblował wtedy deskę i coraz to ustawał i wzdychał głęboko, od czasu do czasu szepcząc urywane, splątane i niezrozumiałe zdania. Z tej plątaniny wrywał się co jakiś czas jakiś okrzyk, który napełniał mnie drżeniem, ale i uczuciem zadowolenia. Jeden z nich brzmiał: „O Boże! To jego krew!” Siedziałem na skrzyni z narzędziami i pokornie, choć trzęsąc się, podziwiałem go, gdyż sądziłem, że ma jakieś zbrodnicze zamiary. Wreszcie odezwał się cichym głosem:

— Mój mały przyjacielu, czy umiesz dochować tajemnicy?

Odpowiedziałem z zapalem, że umiem.

— Ponurej i straszliwej?

Zapewniłem go żarliwie.

— W takim razie opowiem ci coś z mego życia, ponieważ — ach — muszę zrzucić z mej duszy ciężar, inaczej umrę!

Jeszcze raz ostrzegł mnie, „żebym milczał jak grób”, a potem powiedział mi, iż jest „mordercą o krwawych rękach”. Odłożył hebel, wyciągnął przed siebie ręce, przyjrzał się im ze smutkiem i rzekł:

— Spójrz, tymi rękami pozbawiłem życia trzydzieści istot ludzkich!

Wrażenie jakie to na mnie wywarło, stało się jego natchnieniem i zaczął interesująco i z energią rozwodzić się na ten temat. Od rzeczy ogólnych przeszedł do szczegółów, już przy pierwszym morderstwie. Opisał je, opowiedział, jakie przedsiębrał środki, ażeby uniknąć podejrzeń, następnie przeszedł do drugiego zabójstwa, trzeciego, czwartego i tak dalej. Zawsze mordował za pomocą składanego noża. Wszystkie włosy stanęły mi dęba, gdy nagle wyciągnął ten nóż, żeby mi pokazać.

Po tym pierwszym seansie poszedłem do domu obładowany sześcioro jego strasznymi tajemnicami i przekonałem się, że przyczyniły się do ożywienia mych snów, które od jakiegoś czasu były leniwe. Wyszukiwałem zawsze owego cieślę w wolne dni sobotnie, prawdę mówiąc spędziłem z nim lato, całe lato tak dla mnie cenne. Urok jego nie malał nigdy, bo do każdego następnego morderstwa dorzucał jakąś nową, przejmującą okropność. Podawał zawsze nazwiska, daty, miejsca, wszystko. Po pewnym czasie zdołałem zauważyć dwie rzeczy: że zabijał swe ofiary we wszystkich częściach świata i że ofiary zawsze nazywały się Lynch. Mordowanie Lynchów szło więc rażno naprzód sobota za sobotą, aż pierwotna trzydziestka wzrosła do sześćdziesiątki, a należało spodziewać się jeszcze więcej. Wreszcie ciekawość wzięła górę nad nieśmiałością i odważyłem się zapytać, jak to się mogło stać, że wszystkie owe sprawiedliwie ukarane osdby nosiły to samo nazwisko.

Bohater mój odpowiedział, że dotąd żadnej istocie ludzkiej nie zdradził tej ponurej tajemnicy, lecz czuje, że mnie można zaufać i dlatego odkryje przede mną historię swego smutnego i zmarnowanego życia. Kochał dziewczynę „zbyt piękną dla świata”, która odwzajemniała mu jego miłość „z całą czułością czystej i szlachetnej natury”. Lecz miał rywala, „podłego najemnika” nazwiskiem Archibald Lynch, który powiedział, że dziewczyna musi należeć do niego, inaczej „ubroczy ręce w krwi samego jej serca”. Cieśla „niewinny i szczęśliwy w młodzieńczym śnie miłości” nie przywiązywał wagi do tych grózb, poprowadził swą „złotowłosą ukochaną do ołtarza” i tam oboje zostali „złączeni w jedno”. Tam również, właśnie w chwili gdy kapłan wyciągał ręce błogosławiąc ich głowy, został dokonany okrutny czyn za pomocą noża i oblubienica padła martwa u stóp męża. A cóż zrobił ów mąż? Wyciągnął nóż i padłszy na kolana przy ciele tej, którą utracił, przysiągł „wytępić wszystkie ludzkie szumowiny, które noszą znienawidzone nazwisko Lynch, i temu poświęcić życie”.

Oto jak się rzecz miała. Począwszy od tego dnia aż do dziś przez dwadzieścia lat ścigał ich i zabijał. Używał do tego zawsze owego poświęconego noża. Zamordował nim wielu Lynchów, a na czole każdej ze swych ofiar pozostawiał szczególny znak — głęboko wycięty krzyż. Mówił:

— Znak Tajemniczego Mściciela znany jest w całej Europie, Ameryce, w Chinach, Syjamie, w krajach tropikalnych, na morzach podbiegunowych i na pustyniach azjatyckich, na całym świecie. Gdziekolwiek w najdalszym zakątku świata znalazł się Lynch, tam ukazywał się tajemniczy krzyż, a ci, co go widzieli, mówili z drzeniem: „To jest jego znak, on był tutaj”. Usłyszałeś więc o Tajemniczym Mścicielu, teraz spójrz na niego, bo stoi przed tobą on sam! Ale strzeż się, nie piśnij nikomu ani słowa. Milcz i czekaj. Pewnego ranka całe miasto przerażone pobiegnie zobaczyć krwawego trupa. Na jego ciele będzie widniał straszliwy

znak, a ludzie drząc będą szeptali: „Był tutaj, to znak Tajemniczego Mściciela!” A kiedy tu przyjdiesz, mnie już nie będzie, nie zobaczysz mnie już nigdy.

Osiół ten czytał niewątpliwie „Jibbenainosay czyli Ducha Puszczy” i to przewróciło mu w jego biednej romantycznej głowie. Ale ponieważ ja nie znałem jeszcze wówczas tej książki, brałem jego fantazje za prawdę nie podejrzewając w nim plagiatora.

A jednak w naszym mieście mieliśmy jednego Lyncha. Im dłużej rozmyślałem nad czekającym go losem, tym dłużej nie mogłem zasnąć. Wydawało mi się, iż moim świętym obowiązkiem jest go ocalić, a jeszcze świętszym i ważniejszym obowiązkiem względem siebie jest odzyskać trochę snu, więc wreszcie odważyłem się wybrać do pana Lyncha i pod największym sekretem powiedziałem mu, co go czeka. Radziłem mu „wiał” i oczekiwałem, iż na pewno to zrobi. Ale wyśmiał mnie, nie poprzestając zresztą na tym. Zaprowadził mnie do warsztatu cieśli, dał mu za jego głupie żarty dobrą, pełną pogardy i szyderstwa nauczkę, wymierzył mu policzek, kazał mu paść na kolana i błagać o przebaczenie. Wreszcie odszedł pozostawiając mnie, abym się napatrzył owej nędznej i żałosnej ruinie tego, który w moich oczach; jeszcze tak niedawno był wielkim, niezrównanym bohaterem. Cieśla ryknął, wyciągnął nóż i swym zwykłym, wulkanicznym stylem zaczął przeklinać tego Lyncha, ani trochę nie hamując potoku złowieszczych słów. Lecz na daremno: nie był już dla mnie bohaterem, tylko biednym, niemądrym, wystawionym na pośmiewisko łgarzem. Wstydzilem się za niego, wstydzilem się samego siebie, przestałem się nim interesować i nigdy więcej nie zaszedłem do jego warsztatu. Był to dla mnie ciężki cios, ponieważ uważałem cieślę za największego bohatera w moim życiu. A przecież musiał chłop mieć trochę talentu, bo niektóre ze zmyślonych morderstw tak żywo i dramatycznie mi opisywał, że dotąd pamiętam je ze szczegółami.

Ludzie w Hannibalu może nie więcej się zmienili niż samo miasto. Nie jest to już wioska, ale miasto z burmistrzem, radą miejską, wodociągami i prawdopodobnie obciążone długami. Ma piętnaście tysięcy mieszkańców, rozwija się coraz bardziej, jest ruchliwe, a wybrukowane tak samo, jak cała reszta Zachodu i Południa, gdzie dobrze wybrukowana ulica i dobry chodnik są taką rzadkością, że jeśli się je napotka, trudno oczom uwierzyć. Hannibal jest obecnie ważnym węzłem kolejowym, ma też nowy dworzec, który kosztował sto tysięcy dolarów. Za moich czasów miasto nie miało żadnej specjalności ani znaczenia handlowego. Codzienny statek pocztowy wysadzał na ląd jednego pasażera i kilka paczuszek, teraz zaś rozwinął się olbrzymi handel drzewem, co między innymi pociągnęło za sobą rozwój wielkiego, różnorodnego handlu. Mnóstwo pieniędzy przechodzi tam teraz z rąk do rąk.

Niedźwiedzia Zatoka zwana tak może dlatego, ponieważ zawsze była pozbawiona właśnie niedźwiedzi, jest obecnie zakryta wyspami i całymi kontynentami nagromadzonego drewna i nikt z nie wtajemniczonych nie może jej odnaleźć. Topiłem się w niej regularnie każdego lata i zawsze jakiś przypadkowo przechodzący wróg wyciągał mnie, napompowywał powietrzem i puszczał w ruch. Teraz nie ma tam nawet tyle wolnego miejsca, żeby się można utopić. Była to swego czasu sławna wylęgarnia febry. Pamiętam któregoś lata jednocześnie całe miasto zachorowało na tę chorobę. Wiele kominów się rozleciało, a wszystkie domy były tak roztrzęsione, że trzeba było je odbudowywać. I dlatego uczeni mylą się twierdząc, że rozpadlina czy parów pomiędzy Skokiem Kochanków a wzgórzem leżącym na zachodzie powstała na skutek ruchu lodowców.

Milę lub dwie poniżej miasta Hannibal wśród stromizn nadbrzeżnych znajduje się ciekawa pieczara. Miałem ochotę znów ją odwiedzić, ale zabrakło mi czasu. Kiedy byłem chłopcem, właściciel pieczary zamienił ją na mauzoleum swej czternastoletniej córki. Ciało biednego dziecka zostało włożone do miedzianego napełnionego alkoholem cylindra, który zawieszono w jednym z ponurych korytarzy pieczary. Pokrywa cylindra była ruchoma i mówiono, że podłej turyści mieli zwyczaj wyciągać twarz zmarłej na światło, przyglądać się jej i robić uwagi na jej temat.

## Rozdział LVI ZAGADNIENIE PRAWNE

Rzeźnia znajdująca się u wejścia do Niedźwiedziej Zatoki zniknęła tak samo jak i małe więzienie („Kryminał”), które kiedyś stało w jej pobliżu. Jeden z mieszkańców zapytał: „Czy pan pamięta, jak Jimmy Finn, największy pijak w mieście, spalił się na śmierć w kryminale?” Warto się przyjrzeć, jak skutkiem upływu czasu i złej pamięci ludzkiej zniekształca się historię. Jimmy Finn nie spalił się w kryminale, lecz umarł naturalną śmiercią w garbarskiej kadzi na delirium tremens, połączonym ze spontaniczną manią całopalenia. Kiedy mówię „naturalną śmiercią”, mam na myśli śmierć, która jest naturalna dla Jimma Finna. Ofiarą kryminału nie był mieszkaniec miasta — ale biedny, nieznany, nieszkodliwy, zapijaczony włóczęga. Znam jego historię lepiej niż ktokolwiek. W owych czasach znałem ją za dobrze, by mieć ochotę o niej mówić.

Pewnego zimowego wieczoru włóczęga ów włókł się ulicami z fajką w zębach i prosił o zapalną. Nie dostał zapalną, ani nie zaznał niczyjej uprzejmości. Przeciwnie, gromada złych, małych chłopaków szła za nim krok w krok i zabawiała się dokuczając mu i wyśmiewając się z niego. Szedłem z nimi, ale w końcu, gdy wędrowiec poprosił, żeby przestali, i wzruszająco napomknął o swoim beznadziejnym i samotnym położeniu, poruszył we mnie poczucie wstydu i resztki dobrych uczuć. Poszedłem i przyniosłem mu kilka zapalek, a następnie z obciążonym sumieniem, upadły na duchu, pospieszyłem do domu, do łóżka. W godzinę czy dwie potem człowieka tego aresztowano i zamknął go w kryminale marszałek — wspaniały tytuł jak na policjanta — ale tak go nazywano. O drugiej nad ranem dzwony kościelne zaczęły bić na trwogę. Wszyscy oczywiście zerwali się i ja też. Włóczęga użył swoich zapalek jak najniebezpieczniej; zapalił słomę na łóżku, a płomień objął całą izbę. Gdy znalazłem się na miejscu, dwustu ludzi — mężczyźni, kobiety i dzieci — stało zbitą gromadą i z przerażeniem wpatrywało się w zakratowane okna więzienia. Za żelaznymi kratami szarpiać je rozpaczliwie i wołać o pomoc, stał włóczęga. Zdawał się być jakimś czarnym przedmiotem na tle słońca, tak jasno i silnie płonął za nim ogień. Nie można było znaleźć owego marszałka, a on jeden miał klucz. Ustawiono szybko improwizowany taran, a grzmot jego uderzeń o drzwi brzmiał tak obiecująco, że widzowie wydali okrzyk dzikiej radości przekonani, że bitwa miłosierdzia została wygrana. Ale nie została. Belki były za silne, nie ustąpiły. Mówiono, że człowiek ten już po śmierci trzymał się jeszcze kurczowo krat i że płomień ogarnęły go i strawiły w tej pozycji. Czy tak było, nie wiem. Rozpoznałem jego twarz błagającą przez kraty i potem już nie widziałem nic, widzieli inni.

Tę twarz, w tej samej pozycji, miałem potem przez długi czas przed oczami i czułem się winny śmierci tego człowieka, tak jakbym naumyślnie dał mu zapalną, ażeby się spalił. Nie miałem wątpliwości, że gdyby mój związek z tą tragedią wyszedł na jaw, na pewno by mnie powieszono. Zdarzenia i przeżycia owego czasu wyrwały się ogniem w mej pamięci i studiowanie ich obecnie zajmuje mnie w tym samym stopniu, w jakim wówczas były dla mnie utrapieniem. Jeżeli ktokolwiek zaczął mówić o tej okropnej sprawie, momentalnie cały zamieniałem się w słuch, by nie uronić słowa, bo zawsze ze strachem czekałem, że się dowiem, iż jestem podejrzany. A moje nieczyste sumienie było tak wrażliwe, iż często najniewinniejsza uwaga, spojrzenie, gest, wyraz oczu, które nic nie oznaczały, wprawiały mnie jednak w tak paniczny lęk, że trzęsąc się uciekałem. Jakże zgnębiony się czułem, gdy ktoś zupełnie przypadkowo i bez żadnych intencji rzucił uwagę, że „mord i tak wyjdzie na jaw!” Jak na dziesięcioletniego chłopca, dźwigałem ciężar nie lada!

Przez cały ten czas zapominałem szczęśliwie o jednym, o tym, że mam zwyczaj mówienia we śnie. Lecz pewnej nocy obudziłem się i ujrzałem mego młodszego brata, z którym razem spałem.

Siedział na łóżku i przy świetle księżycy wpatrywał się we mnie. Zapytałem:

— Co się stało?

— Tak dużo mówisz, że nie mogę spać.

Natychmiast usiadłem na łóżku z bijącym sercem, a włosy stanęły mi dęba.

— Co powiedziałem? Prędko, gadaj, co powiedziałem?

— Nic takiego.

— Kłamiesz, wiesz wszystko.

— Wszystko? Ale co?

— Wiesz doskonale. Wszystko o tym.

— O czym? Nie wiem, o czym mówisz. Zdaje mi się, że jesteś chory albo pomyłony, albo coś w tym rodzaju. Ale w każdym razie obudziłeś się, więc skrzystam ze sposobności i zasnę.

Zasnął, a ja leżałem w zimnych potach, ten nowy strach zaś chodził mi po głowie, a raczej wirował w chaosie. Najbardziej ciążyła mi myśl: „Ile wygadałem? Ile on wie?” Jakaż męką jest ta niepewność! Po pewnym czasie przyszła mi do głowy nowa myśl: obudzę brata i wybadam go opowiadając o jakimś przypuszczalnym wypadku, potrząsnąłem nim, posadziłem i zapytałem:

— Wyobraź sobie, że przychodzi do ciebie pijany...

— To bzdura, nigdy nie byłem pijany...

— Nie mówię o tobie, idioto, mówię o jakimś człowieku. Więc wyobraź sobie, że przychodzi do ciebi pijany i pożycza nóż, tomahawk lub pistolet, a ty zapominasz mu powiedzieć, że jest nabyty, i...

— Jak możesz nabić tomahawk?

— Nie miałem na myśli tomahawka, nie powiedziałem tomahawk, powiedziałem pistolet. Nie przerywaj mi, bo to poważna sprawa. Pewien człowiek został zabity.

— Co? W tym mieście?

— Tak, w tym mieście.

— Opowiadaj, nie powiem już ani słowa.

— A więc wyobraź sobie, że zapomniałeś powiedzieć mu, żeby uważał, bo pistolet jest nabyty, a on poszedł i zastrzelił się tym pistoletem. Bawił się nim... wiesz... i ponieważ był pijany, zrobił to przypadkowo. Czy to byłoby morderstwo?

— Nie, samobójstwo.

— Nie, nie, nie idzie mi o jego czyn, tylko o twój. Czy przez to, że dałeś mu pistolet, byłbyś mordercą?

Po głębokim namyśle odpowiedział:

— No, w każdym razie uważałbym, że jestem winien, może morderstwa, tak, prawdopodobnie morderstwa, ale na pewno nie wiem...

Zaniepokoiło mnie to mocno. Jednakże nie był to wyrok zdecydowany. Będę musiał przedstawić prawdziwy wypadek; wydawało się, że nie ma innego wyjścia. Ale zrobię to ostrożnie i będę pilnie uważał, jakie robi na nim wrażenie. Rzekłem:

— Podałem ci przypuszczalny wypadek, ale teraz przechodzę do prawdziwego. Czy wiesz, jak to się stało, że ten człowiek spalił się w kryminale?

— Nie wiem.

— Nie masz najmniejszego pojęcia?

— Najmniejszego.

— Czy chciałbyś paść tu trupem na miejscu, gdybyś je miał?

— Chciałbym paść trupem na miejscu.

— To posłuchaj: ten człowiek chciał zapalek, żeby zapalić fajkę. Pewien chłopiec dał mu kilka zapalek. Człowiek ten podpalił kryminał tymi zapalkami i spalił się sam.

— Naprawdę?

— Tak. A teraz powiedz, czy myślisz, że ten chłopiec jest mordercą?



— Poczekaj. Czy ten człowiek był pijany?

— Tak, był pijany.

— Bardzo pijany?

— Tak.

— Czy ten chłopiec o tym wiedział?

— Tak, wiedział.

Nastąpiła długa pauza, a potem surowy wyrok:

— Jeśli ten człowiek był pijany, a chłopiec o tym wiedział, chłopiec go zamordował. To jest pewne.

Przez ciało moje przeleciał jakiś obezwładniający prąd. Teraz już wiedziałem, jak czuje się ktoś, kto słyszy odczytywany na siebie wyrok śmierci. Czekałem, co dalej powie mój brat. Zdawało mi się, że wiem, co powie, i nie myliłem się. Rzecz:

— Znam tego chłopca.

Nie miałem nic do powiedzenia i milczałem. Po prostu drżałem. Wtedy dodał:

— Tak, zanim doszedłeś do połowy opowiadania, już wiedziałem doskonale, kim jest ten chłopiec: to Ben Coontz!

Ocknąłem się, jakbym się budził z letargu. Powiedziałem z podziwem:

— Ale skąd ci to przyszło do głowy?

— Tyś to powiedział we śnie.

Pomyślałem: „Wspaniale! Zwyczaj ten należy pielęgnować”.

Brat mój paplał niewinnie dalej:

— Kiedy mówiłeś we śnie, mruzczałeś coś ciągle o zapalkach, czego nie mogłem zrozumieć. Ale teraz, jak zacząłeś mi opowiadać o tym człowieku, o kryminale i o zapalkach, przypomniałem sobie, że we śnie kilka razy wspomniałeś o Benie Coontzu, a więc zestawiłem jedno z drugim, widzisz, i wiedziałem już na pewno, że to Ben spalił tego człowieka.

Pochwaliłem wylewnie jego spostrzegawczość. Nagle zapytał:

— Czy masz zamiar oddać go w ręce sprawiedliwości?

— Nie — odparłem — zdaje mi się, że ma już dobrą nauczkę. Będę go naturalnie miał na oku, bo tak trzeba, ale jeżeli nie zrobi nic więcej i poprawi się, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że ja go zdradziłem.

— Jakiś ty dobry!

— Staram się. To wszystko, co można zrobić na tym naszym świecie.

Teraz, kiedy mój ciężar został już przeniesiony na inne barki, strachy szybko mnie opuściły.

Dzień przed wyjazdem z Hannibalu zauważyłem ciekawą rzecz — zdumiewającą rozciągliwość czasu. Dowiedziałem się o tym od jednego z najbardziej niepozornych ludzi, czarnego woźnicy mojego przyjaciela, który mieszka trzy mile od miasta. Miał on wstąpić do mnie do „Park Hotel” o godzinie 7.30 po południu. Spóźnił się jednak znacznie, przyjechał dopiero o dziesiątej. Usprawiedliwiał się w sposób następujący:

— Czas idzie na wsi jakieś półtorej godziny wolniej niżeli w mieście — będzie pan jeszcze miał kupę czasu. Niekiedy w niedzielę wyjeżdżamy wcześniej do kościoła, a przyjeżdżamy jak obszył w samym środku kazania. Różnica w czasie. Nie można się w tym połapać.

Straciłem dwie i pół godziny, ale dowiedziałem się o fackie, wartym czterech godzin.

## Rozdział LVII ARCHANIOŁ

Na północ od St. Louis wszędzie widać żywe dowody tego, że mieszka tu czynna, energiczna, inteligentna, zamożna, praktyczna dziewiętnastowieczna ludność. Ludzie nie marzą, ale pracują. Pomyślnie tego wyniki rzucają się w oczy, gdy się patrzy na dostatni wygląd wszystkiego wokoło i objawiające się we wszystkim oznaki zdrowego i wygodnego życia.

Quincy jest tego znamienym przykładem — wesołe, ładne, dobrze utrzymane miasto — interesujące się tak teraz, jak i dawniej, sztuką, nauką i innymi wzniosłymi rzeczami.

Ale Marion City jest tu wyjątkiem. Marion City cofnęło się w sposób zupełnie nieprzewidywany. Stolica ta tak się dobrze zapowiadała, że jej założyciele od samego początku z pełnym zaufaniem przyłączyli do jej nazwy wyraz „City”. Był to jednak zły omen. Gdy po raz pierwszy, przed trzydziestu pięciu laty, ujrzałem Marion City, była tam tylko jedna ulica i nie więcej niż sześć domów. Obecnie jest tam jeden dom i to w ruinie, gotowy, aby za przykładem poprzednich pięciu pójść do rzeki.

Niewątpliwie Marion City znajdowało się za blisko Quincy. Miało jeszcze i drugą przeszkodę — stało na płaskim, mulistym gruncie położonym poniżej najwyższego poziomu wody, podczas gdy Quincy stoi wysoko na skłonie wzgórza.

Quincy od początku miało wygląd i atmosferę wzorowego miasta Nowej Anglii i zatrzymało to do dnia dzisiejszego: szerokie czyste ulice, ładne, schludne domy mieszkalne i trawniki, piękne wille, okazałe budynki handlowe. Poza tym są tam obszerne place targowe, dobrze utrzymany park i wiele wspaniałych szos, biblioteka, czytelnia, kilka college'ów, parę pięknych i kosztownych kościołów i ogromny budynek sądowy otoczony wielkim, niby plac terenem. Ludność miasta wynosi trzydzieści tysięcy. Jest tu kilka sporych fabryk i kwitnie wszelkiego rodzaju przemysł.

La Grange i Canton też się dobrze rozwijają, ale nie widziałem Aleksandrii. Mówiono mi, że jest pod wodą, lecz latem wynurzy się i rozkwitnie.

Keokuk można było łatwo rozpoznać. Mieszkałem tam w roku 1857 — w roku szczególnym, jeśli idzie o nieruchomości. Ruch był po prostu niesłychany. Każdy kupował, sprzedawał, z wyjątkiem wdów i księży — ci zawsze trzymają się mocno, a gdy fala opadnie, pozostają na miejscu. Wszystko, co choćby trochę przypominało tereny budowlane, bez względu na miejsce położenia, było na sprzedaż i to za cenę, która, gdyby nawet cały teren zasłano dolarowymi banknotami, jeszcze byłaby za wysoka.

Miasto ma obecnie piętnaście tysięcy ludności, zdrowo rozwijając się postępuje naprzód. Była noc, więc niewiele mogliśmy zobaczyć, a żalowaliśmy bardzo, bo Keokuk ma opinię pięknego miasta. Już wiele lat temu było tu przyjemnie mieszkać, a teraz na pewno jeszcze przyjemniej niż przedtem.

Potężne dzieło, które za moich czasów było w robocie, jest już obecnie skończone. Jest to kanał przez Rapids. Ma osiem mil długości, trzysta stóp szerokości i sześć stóp głębokości. Obmurowanie jego należy do tych monumentalnych robót, które zwykle wykonuje Departament Wojny, i będzie trwałe jak rzymskie akwedukty. Dzieło to kosztowało cztery czy pięć milionów.

Po spędzeniu dwóch godzin ze starymi przyjaciółmi znów ruszyliśmy w górę rzeki. Keokuk było kiedyś czasowym miejscem postoju owego koczującego geniusza, Henry Clay Deana. Zdaje się, że widziałem go tylko raz — ale gdy tam mieszkałem, dużo o nim mówiono. Oto, co znam z opowiadania:

Zaczynał życie jako biedak, bez szkoły. Ale kształcił się sam, na kamiennych krawężnikach Keokuku. Siadał na krawężniku z książką w rękę i nie zwracając na nic uwagi, nie słuchając zgiełku handlowej ulicy i stukotu nóg licznych przechodniów zagłębiał się godzinami w studiach. Nie zmieniał nigdy pozycji, chyba po to, by od czasu do czasu podciągnąć kolana i przepuścić przejeżdżającą platformę. Kiedy zaś skończył książkę, treść jej, choćby nie wiadomo jak zawiała, zostawała mu na wieki w pamięci. W ten sposób zdobył spory zapas wiedzy i ukrył ją w szufladkach mózgu, gdzie zawsze w razie potrzeby mógł po nią sięgnąć.

Ubranie jego nie różniło się niczym od odzienia „szczurów portowych”, chyba tylko tym, że było bardziej obszarpane i dobrane przypadkowo (a przez to bardziej ekstrawaganckie), no i bogatsze o kilka pokładów brudu. Nikt nie mógłby się domyślić, że taka powłoka kryje umysł mistrza.

Był mówcą z natury, ale poza tym doskonalił się przez ciągłe ćwiczenia i praktyki. Kiedy brał udział w agitacji wyborczej, nazwisko jego było magnesem, który do jego mównicy ściągał farmerów z obszaru pięćdziesięciu mil. Tematem jego była zawsze polityka. Nie używał notatek, taki „wulkan” ich nie potrzebuje. W r. 1862 syn jednego ze zmarłych wybitnych obywateli Keokuku, pan Claggett, opowiedział mi zdarzenie związane z osobą Deana:

Nastroje wojenne opanowały właśnie Keokuk (w roku ..61) i pewnego dnia miało się odbyć w nowym „Atheneum” wielkie masowe zebranie. Przemawiać miał jakiś znakomity, nieznanym mówca. Chociaż budynek był już po brzegi wypełniony ociekającą potem publicznością obojga płci, scena wciąż ziała pustką — znakomity mówca nie zjawiał się. Zniecierpliwiony tłum zaczął się burzyć i buntować. Tymczasem zrozpaczony organizator napotkał Deana siedzącego na krawężniku, opowiedział mu o swym kłopotcie, następnie wprowadził go tylnym wejściem do budynku i powiedział, żeby poszedł na scenę i ocalił kraj.

Wśród sarkającej publiczności zaległa nagła cisza. Wszystkie oczy skierowały się ku wielkiej, pustej scenie. Ukazała się tam postać, której wygląd znany był najwyżej kilku obecnym. Dean wyglądał jak strach na wróble. Miał na sobie podarte buty, dziurawe skarpetki, w dziwacznych kolorach, obszarpane spodnie będące zabytkiem starożytności, o cały kawał za krótkie i ukazujące kilka cali gołej nogi, rozpiętą kamizelkę także za krótką i wystawiającą na widok publiczny szeroki pas brudnej, wygniecionej bielizny, koszulę otwartą na piersiach, z długą, czarną chustką okreconą niczym bandaż parę razy wokół szyi, niebieską kusą kurtkę sięgającą do połowy pleców, z równie krótkimi rękawami, małą żołnierską czapkę ze sztywnym daszkiem, sterczącą na czubku guzowatej móżgownicy. Posuwistym i miarowym krokiem wkroczył poważnie na scenę, aż znalazł się na samym jej przodzie, przystanął i nie mówiąc słowa, sennie rozejrzał się po sali. Przez chwilę panowała pełna zaskoczenia cisza, wreszcie przerwał ją ledwie słyszalny chichot, który przeleciał po tłumie jak uderzenie fali. Dean tak samo jak przedtem w zamyśleniu przyglądał się sali. Podniosła się druga fala, tym razem śmiechu. Za nią następna — ale teraz już gwałtowna i huczna.

Nieznajomy cofnął się o krok, zdjął żołnierską czapkę, odrzucił ją i po chwili namysłu zaczął mówić. Nikt go nie słuchał, każdy śmiał się i szeptał. Mówca niezrażony mówił dalej i nagle oddał celny strzał, po czym zapanowała cisza. Pospieszył natychmiast z następnymi przekonywającymi argumentami, Zapalił się i zamiast cedzić słowa — zaczął wylewać całe ich potoki. Rozgrzewał się coraz bardziej, ciskał błyskawice i gromy, a cała sala wpadła w entuzjazm, na który mówca nie zwracał uwagi, ale waląc argumentami jak młotem podążał naprzód. Grzmiąc nieustannie, odwinął czarny bandaż i odrzucił go precz. Potem ściągnął kusą kurtkę i coraz bardziej się zapalając cisnął ją w bok. Wreszcie po kurtce zrzucił i kamizelkę i stał tak nie wiadomo jak długo niby Wezuwiusz wyrzucający dym i płomień, lawę i popiół, deszcz kamieni i żużlu, trzęsący moralną ziemię intelektualnym wstrząsem za wstrząsem, wybuchem za wybuchem, podczas gdy rozszalały tłum zerwał się z miejsc i stał zwartą masą, odpowiadając nieustannym huraganem okrzyków i oklasków wśród rozpetanej śnieżnej burzy powiewających chustek.

Kiedy Dean się zjawił — mówił Claggett — ludzie myśleli, że to wariat, który uciekł ze szpitala, ale kiedy odchodził, byli przekonani, że to archanioł zstąpił z nieba.

Burlington, ojczyzna błyskotliwego Burdette, jest również miastem położonym na wzgórzu i również miastem pięknym. Bezsprzecznie tak jest: ładne, rozkwitające miasto o dwudziestu pięciu tysiącach mieszkańców, pełne tętniących życiem fabryk wszelakiego rodzaju. Było to też bardzo trzeźwe miasto — przynajmniej w owej chwili — bo właśnie miała wejść w życie wysoce trzeźwiąca ustawa: ustawa, która zabraniała w stanie Iowa, wyrobu, eksportu, importu, zakupu, sprzedaży, pożyczania, odstępowania, kradzieży, picia, wachania i posiadania jakiegokolwiek zgubnego napitku znanego ludzkim istotom — z wyjątkiem wody. Projekt ten poparli wszyscy rozsądni ludzie w stanie, poza sędziami trybunału.

Burlington jest w pełni wyposażone we wszelkie środki, jakie powinno posiadać nowoczesne postępowe miasto, ażeby rządzić się dobrze i mądrze, łącznie z płatną strażą ogniową, której jest pozbawione takie wielkie miasto jak Nowy Orlean, dotąd zachowujące system niezależny, będący już zabytkiem starożytności.

W Burlingtonie i we wszystkich miastach położonych w górnym biegu rzeki oddycha się przyjemną atmosferą postępu. Wybudowano tam ostatnio operę, która jest ostrym kontrastem w porównaniu z nędznymi dziurami odgrywającymi zwykle rolę teatrów w miastach wielkości Burlingtonu.

W Muscatine nie mieliśmy czasu zejść na ląd, lecz patrzyliśmy na miasto w świetle dziennym ze statku. Mieszkałem tam krótko przed laty, ale obecnie miasto ma jakiś nieznajomy wygląd. Przypuszczam, że tak się rozrosło. Musi tak być istotnie, bo pamiętam je jako małą miścinę. Pamiętam je zresztą najlepiej z tego, że pewnej niedzieli złapał mnie tam na polu jakiś wariat, wyciągnął z buta nóż rzeźnicki i groził, że mnie poćwiartuje, jeżeli nie uznam go za jedyne go syna szatana. Starłem się znaleźć kompromis, mówiąc, iż niewątpliwie jest on jedynym członkiem jego rodziny, jakiego w życiu spotkałem. Ale to go nie zadowoliło, nie uznawał półśrodków: muszę powiedzieć, że jest jedynym jedynym synem szatana — i ostrzył nóż o podeszwę. Wydało mi się, że nie opłaca się robić sceny z powodu takiej drobnostki — a więc przychyliłem się do jego poglądu i ocalałem skórę. Wkrótce potem poszedł w odwiedzinę do swego ojca, a ponieważ jeszcze nie wrócił, mam nadzieję, że jest tam dotąd.

Pamiętam jeszcze Muscatine — trochę przyjemniej — z letnich zachodów słońca. Nigdzie nie widziałem równie pięknych zachodów słońca. Na szerokiej gładkiej rzece jak na płótnie promienie malowały najrozmaitsze barwy, jakie tylko można sobie wyobrazić, od mętnej, subtelnej delikatności opalu, przez całą gamę coraz to intensywniejszymi odcieni aż do oślepiającej purpury i szkarłatu pożaru, który urzekając oko nadwierał zarazem jego wytrzymałość. W całej okolicy położonej nad górnym biegiem Missisipi te nadzwyczajne zachody słońca są znanym widokiem. Jest to naprawdę kraj zachodzącego słońca. Jestem pewien, że żaden inny kraj nie może wykazać równie słusznych praw do tej nazwy. Podobno wschody słońca są równie niezwykle piękne. Nie wiem.

## Rozdział LVIII

### W GÓRNYM BIEGU RZEKI

Wielkie miasta pokazują się teraz szybko i gęsto, jedno po drugim i nie ma już między nimi samotnego pustkowia, lecz rozciągają się szeregi dobrze prosperujących farm. Godzina za godziną statek woruje się coraz głębiej i głębiej w wielki i ludny Północo-Zachód, a im dalej, tym bardziej rośnie zdumienie i szacunek. Tacy ludzie i takie osiągnięcia zmuszają do hołdu. Są niezależni i samodzielni w myśleniu i stać ich na to, bo są światli i wykształceni. Czytają, dotrzymują kroku najlepszej i najnowszej myśli: szkołą, college'em, biblioteką, czasopiśmem ulepszają wszystko, co ma braki, i żyją według prawa. Tacy ludzie nie potrzebują trapić się o przyszłość.

Okręg ten jest nowy — tak nowy, iż można powiedzieć, że znajduje się jeszcze w dziecięcym wieku. A jednak dokonał już cudów, i to podczas ząbkowania, czego zaś dokona, gdy dojdzie do wieku dojrzałego, trudno przewidzieć. Jest tak nowy, że zagraniczny turysta ani o nim nie słyszał, ani go jeszcze nie zwiedzał. Przez sześćdziesiąt lat zagraniczny turysta pływał na statku parowym w dół i w górę rzeki między St. Louis a Nowyną Orleanem, a potem wracał do kraju i pisał książkę w mniemaniu, że widział na rzece wszystko, co warto było zobaczyć, i wszystko, co rzeka ma do pokazania. Nawet w sześciu książkach spośród tych wszystkich nie ma wzmianki o miastach leżących w górnym biegu rzeki, a to z tej przyczyny, że owych pięciu czy sześciu turystów dotarło tam, zanim jeszcze owe miasta zaprojektowano. Ostatni

spośród tych wszystkich turystów (1878) zrobił ten sam stary, przepisowy rejs i nawet nie słyszał, że na północ od St. Louis jeszcze coś w ogóle istnieje.

A jednak istniało. Był tam ów zdumiewający okręg, najeżony wielkimi miastami zaprojektowanymi, jak to się mówi, przedwczoraj, a zbudowanymi wczoraj rano. Dwadzieścia z nich liczy od tysiąca pięciuset do pięciu tysięcy ludzi. Następnie mamy Muscatine, dziesięć tysięcy; Winonę, dziesięć tysięcy; Moline, dziesięć tysięcy; Rock Island, dwanaście tysięcy; La Crosse, dwanaście tysięcy; Burlington, dwadzieścia pięć tysięcy; Dubuque, dwadzieścia pięć tysięcy; Davenport, trzydzieści tysięcy; St. Paul, pięćdziesiąt osiem tysięcy; Minneapolis, ponad sześćdziesiąt tysięcy.

Zagraniczny turysta nigdy o nich nie słyszał, nie ma o nich wzmianki w jego książkach. Wystrzeliły w górę w nocy, kiedy spał. Okręg ten jest tak nowy, że ja, stosunkowo młody, przecież jestem od niego starszy. Gdy się urodziłem, w St. Paul mieszkały trzy osoby, w Minneapolis akurat trzecia część tego. Ówczesna ludność Minneapolis wymarła dwa lata temu. Ale człowiek ten po śmierci ujrzał, iż uległ procesowi przyrostu, który po czterdziestu latach da pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć osób. Miał plenność żaby.

Muszę wyjaśnić, że podane wyżej liczby, dotyczące ludności St. Paul i Minneapolis, pochodzą sprzed kilku miesięcy. Miasta te są obecnie znacznie większe. Właśnie świeżo widziałem w jednym z czasopism statystykę, według której pierwsze z nich posiada siedemdziesiąt jeden tysięcy, a drugi siedemdziesiąt osiem tysięcy. Książka ta znajdzie się w rękach czytelników nie wcześniej niż za sześć czy siedem miesięcy; żadna z tych liczb nie będzie już wtedy naprawdę miarodajna.

Widzieliśmy przelotnie Davenport, które jest następnym pięknym miastem koronującym wzgórze. Powiedzenie to dotyczy wszystkich tych miast — bo wszystkie są ładne, dobrze zbudowane, czyste, porządne, przyjemne dla oka i rozweselające ducha — i wszystkie leżą na wzgórzach. Dlatego też damy już pokój temu powiedzeniu. Wśród Indian utrzymuje się tradycja, że tam, gdzie obecnie stoi Davenport, w r. 1673 obozowali Marquette i Joliet. Następny biały człowiek obozował tam około sto siedemdziesiąt lat później, w roku 1834. Davenport zgromadziło swoje trzydzieści tysięcy ludzi w przeciągu ostatnich trzydziestu lat. Obecnie posyła do szkół więcej dzieci niżeli dwadzieścia trzy lata temu liczyło ludności. Posiada normalną dla górnego biegu rzeki ilość fabryk, czasopism i zakładów naukowych. Ma telefony, miejscowy telegraf, elektryczne urządzenia alarmowe i świetnie płatną straż pożarną, składającą się z sześciu oddziałów wyposażonych w haki i drabiny i z sześciu parowych sikawek, posiada też trzydzieści kościołów. Davenport jest oficjalną siedzibą dwóch biskupów — episkopalnego i katolickiego.

Naprzeciw Davenport znajduje się kwitnące miasto Rock Island, położone u stóp górnych Rapids. Wielki most kolejowy łączy oba miasta, jeden z trzynastu, które między St. Louis a St. Paul drażnią Missisipi i pilotów.

Czarująca wyspa Rock Island, mająca trzy mile długości, a jedną szerokości, należy do Stanów Zjednoczonych i rząd zamienił ją na cudowny park, sztuką podnosząc jeszcze naturalne jej uroki i przecinając piękne lasy wielu milami dróg jezdnych. Prawie w samym środku wyspy, zagładając spoza drzew, można ujrzeć dziesięć obszernych, czteropiętrowych budynków z kamienia, z których każdy zajmuje akr gruntu. Są to państwowe warsztaty, ponieważ Rock Island jest narodową fabryką broni i arsenałem.

Płyniemy w górę rzeki, ciągle wśród czarującego krajobrazu — nie ma innego nad Górną Missisipi — i mijamy Moline, centrum przemysłu frabrycznego, oraz Clinton i Lyons, wielkie ośrodki drzewne, i wkrótce przybywamy do Dubuque położonego w okolicy obfitującej w minerały. Są tu bogate kopalnie ołowiu i rozciągają się na wielkiej przestrzeni. Dubuque ma również wielką ilość zakładów przemysłowych, wśród nich fabrykę pługów, której klientem

jest cały chrześcijański świat. Tak mi przynajmniej mówił będący na statku przedstawiciel fabryki; Powiedział on:

— Niech mi pan pokaże jakikolwiek kraj pod słońcem, gdzie naprawdę umieją orać. Jeżeli nie pokażą panu naszego znaku fabrycznego na pługu, który używają, zjem ten pług i nawet nie poproszę o sos Woostershyre, dla smaku.

Cała ta część rzeki bogata jest w historie i tradycje indiańskie. Czarny Jastrząb było to niegdyś możne imię w tych okolicach, tak samo jak w dole rzeki Keokuk. Parę mil za Dubuque znajduje się Tête de Mórt, „Głowa śmierci”, skała lub urwisko, na którego szczyt w dawnych czasach Francuzi zapędzili gromadę Indian i stłoczyli ich tam na pewną śmierć. Pozostawili im tylko do wyboru śmierć głodową albo śmiertelny skok w dół.

Czarny Jastrząb pod koniec życia przejął obyczaje białych i gdy umarł, pochowano go w pobliżu Des Moines, na sposób chrześcijański, przystosowany jednak do zwyczajów indiańskich. A więc ubrano go w chrześcijański mundur wojskowy, z chrześcijańską laską w rękę, lecz pochowano w grobie w pozycji siedzącej! Dawniej wraz z wodzem chowano także i konia. Zastąpienie go laską dowodzi, że dumna natura Czarnego Jastrzębia naprawdę spokorniała i liczył się z tym, że, znalazłszy się na drugiej stronie, będzie musiał wędrować piechotą.

Zauważyliśmy, że woda Missisipi przed Dubuque jest mocnego, pięknego, oliwkowozielonego koloru, na pół przezroczysta i prześwietlona słońcem. Oczywiście nigdzie nie była tak przejrzysta i tak pięknej barwy, jak bywa w innych porach roku, ponieważ była wezbrana i dlatego mętna i skażona szlamem wymytych brzegów.

Majestatyczne urwiska, wznoszące się w tej okolicy nad samą rzeką, czarują wdziękiem i różnorodnością kształtów oraz dekoracyjnym, pełnym subtelności pięknem. Strone, prostopadłe zbocze spadające wprost do wody wieńczą strzeliste baszty poszarpanych skał, niezwykle bogatych i soczystych w kolorze, przeważnie ciemnobrązowe i ciemnozielone, ale zmieszane z innymi barwami. A potem łśniąca, wijąca się tu i tam rzeka, której roztocza przerywa czasami grupa zalesionych wysepek, między nimi zaś połyskują srebrne przesmyki. Coraz to oko dostrzega w oddali uśpione na przylądkach rzecznych wioski, ukryte w cieniu, sunące wzdłuż ścian, leśnych tratwy i białe parowce znikające za odległymi występami łądu. A wszystko jest tak ciche i spokojne jak kraina marzeń — i nie ma w sobie nic z tego świata — nic, o co trzeba się troszczyć czy niepokoić.

Dopóki nie wpadnie w to niegodziwy, z hukiem pędzący pociąg (co właśnie czyni), diabelskim okrzykiem wojennym, rykiem i grzmotem pędzących kół rozrywając na strzępy i rozszarpując błogosławioną samotność! W jednej chwili znów człowiek jest na świecie i już trapi go jedna z wielu trosk, gdyż od razu przypomina sobie, że jest to właśnie ta kolej, której akcje, jeżeli je kupić, zawsze spadają, a jak tylko się je sprzeda, idą do góry. Do dzisiejszego dnia dreszcz mnie przechodzi, gdy przypomnę sobie, jak pewnego razu doszło prawie do tego, że nie mogłem się w ogóle pozbyć moich akcji. To musi być okropne znaleźć się nagle z koleją żelazną na głowie.

Prawie przez całą drogę od St. Louis do St. Paul — osiemset mil — z pokładu parowca widać lokomotywę. Koleje zrobiły straszliwe spustoszenie w transporcie wodnym. Klark naszego statku był klarkiem na statku, zanim jeszcze zbudowano koleje. W owych czasach napływ pasażerów był tak wielki i transport towarowy tak okazały, że statki nie były w stanie sprostać wymaganiom stawianym ich zdolności przewozowej. Skutkiem tego kapitanowie byli bardzo niezależni i kapryśni, bardzo „wielcy”, jakby powiedział Wuj Remus. Klark ujął krótko kontrast pomiędzy dawniejszym a obecnym czasem w sposób następujący:

— Statek dobija do łądu — kapitan na pokładzie spacerowym — sztywny, wyprostowany — jakby kij połknął — skórkowe rękawiczki, wysoki kaszkiet, włosy z rozdzielikiem — człowiek na brzegu zdejmuje kapelusz i powiada:

„Mam dwadzieścia osiem ton pszenicy, panie kapitanie, zrobi mi pan wielką łaskę, jeżeli je pan weźmie”.

Kapitan bąka: „Wezmę dwie” — nie poniżając się nawet, aby spojrzeć na proszącego.

— Ale teraz kapitan ściąga stary kapciuch, uśmiecha się od ucha do ucha, kłania się głęboko, w czym mu żaden połknięty kij nie przeszkadza, i mówi:

„Cieszę się, że pana widzę, panie Smith, dobrze pan wygląda, od lat nie widziałem, żeby pan tak dobrze wyglądał. A co pan ma dla nas?”

„Nic” — odpowiada Smith nie zdejmując kapelusza, po prostu odwraca się plecami i zaczyna rozmowę z kim innym.

— O, tak — osiem lat temu kapitan był wielki, a teraz przyszła kolej na Smitha. Osem lat temu statek szedł w górę rzeki z przepelnionymi kabinami — na podłodze leżało po pięciu, sześciu ludzi jeden na drugim. Pokład dolny był też na dodatek solidnie naładowany osiedleńcami i żniwiarzami. A żeby dostać kabinę pierwszej klasy, trzeba było wykazać się szesnastoma szlacheckimi przodkami i czterowiekowym rodem, albo też znać osobiście Murzyna, który czyścił kapitanowi buty. Ale obecnie wszystko się zmieniło — mnóstwo kabin wolnych na górze, żadnych żniwiarzy na dole. Jest teraz patentowana wiązalka i żniwiarze nie są potrzebni. Poszli sobie na cztery wiatry — ale także nie parowcami — koleją.

W tych okolicach górnego biegu rzeki spotykaliśmy całe akry tratw z drzewem, sunące w dół rzeki, ale nie płynęły one swobodnie jak dawniej — z wesołą, beztróską załogą grających, rozśpiewanych, popijających whisky i roztańczonych urwipołciów. Nie, wszystkie tratwy według nowoczesnej mody ciągnął szybko potężny holownik, a małe załogi składały się z ludzi spokojnych, porządnych, o solidnym stosunku do pracy, nie mających w sobie śladu romantyzmu.

Gdzieś tutaj także, w ciemną noc, z pomocą światła elektrycznego przepłynęliśmy niezwykle wąskie i zaplątane wśród wysp przesmyki. Za nami zwarta ciemność, ściana bez żadnych szpar, przed nami wąskie kolano wodne wyginające się wśród gęstych murów listowia, które prawie dotykało dziobu naszego statku z obu burt. I tu każdy listek z osobna, każda wodna zmarszczka z osobna występowały w swych naturalnych kolorach i lśniły blaskiem jakby jarzącego- południa. Wrażenie było dziwne, piękne i uderzające.

Minęliśmy Prairie du Chien, drugie miejsce obozowania Ojca Marquette. Po kilku godzinach posuwania się naprzód wśród urozmaiconego i pięknego krajobrazu przybyliśmy do La Crosse. Miasto to posiada dwanaście czy trzynaście tysięcy ludności, ulice oświetlone elektrycznością i dość okazałe i piękne architektonicznie bloki budynków, które by mogły wzbudzić szacunek w każdym dużym mieście. Jest to niezwykle miasto i dobrze wykorzystaliśmy godzinę, którą mieliśmy do rozporządzenia, wałęsając się po nim, chociaż pogoda była bardziej deszczowa, niżli to było potrzebne.

## Rozdział LIX

### LEGENDY I KRAJOBRAZY

W La Crosse dodaliśmy kilku pasażerów do naszej listy, między innymi pewnego starego dżentelmena, który do tych północno-zachodnich okolic przybył razem z osadnikami i znał tu każdy kąt. Był też — co można mu wybaczyć — z tego dumny. Mówił:

— Stąd aż do St. Paul będzie pan miał krajobrazy, które mogą zakasować wzgórze Hudson. Będzie pan miał Skałę Królowej — siedemset stóp wysokości — jeden z najbardziej imponujących widoków, i wyspę Trempeleau, niepodobną do żadnej innej wyspy w Ameryce. Jest to olbrzymia góra ze stromymi zboczami, pełna indiańskich tradycji, a dawniej żyło na niej mnóstwo grzechotników. Jeżeli uda się panu złapać tam w odpowiednim momencie słońce, obraz ten zostanie na zawsze w pańskiej pamięci. Za Winoną będzie pan miał śliczne

prerie, a dalej Tysiąc Wysp, piękniejsze niż wszystko. Czy zielone? Ależ tak zielonego i tak gęsto zbitego listowia jeszcze pan nie widział — to jakby tysiąc pluszowych poduszek pływających po lustrzanej tafli, jeśli oczywiście woda jest spokojna. A potem te olbrzymie urwiska po obu stronach rzeki — ostro poszarpane, ciemne — jakże to odpowiednia dla nich oprawa. Wie pan, zawsze potrzebna jest mocna oprawa, aby piękne i subtelne szczegóły obrazu mogły się odpowiednio uwypuklić!

Stary dżentelmen opowiadał nam także jedną czy dwie wzruszające indiańskie legendy — ale nie były one specjalnie przejmujące.

Po tej wycieczce w historię powrócił do krajobrazu i zaczął go opisywać szczegółowo od Tysiąca Wysp do St. Paul. Wymieniał nazwy z taką łatwością, poruszał się w swym temacie z taką zręczną i pewną siebie swobodą, wtrącał tu i tam jakiś górnolotny wyraz z zadowoloną winą, jak gdyby mówił: „To głupstwo, mogę to zawsze zrobić z przyjemnością” — rozwijając tak zdumiewającą elokwencję, że wkrótce zacząłem podejrzewać...

Ale mniejsza o to, co zacząłem podejrzewać. Posłuchajmy go:

— Dziesięć mil za Winoną przybieramy do Fontaine City tulącego się wdzięcznie u stóp skał, które wznoszą swe straszliwe, godne Jowisza czoła ku błękitnej głębi nieba, kąpiąc je w niepokalanych przestworzach, które nie zaznały innego dotknięcia prócz skrzydeł anioła.

Następnie mkniemy przez srebrne wody wśród prześlicznych zdumiewających widoków przyrody, które nastrajają nasze serca do uwielbienia i podziwu. Po przebyciu około dwunastu mil dopływamy do mającej sześćset stóp wysokości góry Vernon z romantycznymi ruinami pierwszorzędnego kiedyś hotelu, zawieszonego wysoko wśród chmur, które oceniają jej zamglony wierzchołek. Jest to jedyna pozostałość z kwitnącego niegdyś miasteczka Mount Vepion, obecnie zniszczonego i opuszczonego całkowicie.

I tak posuwamy się dalej. Przelatujemy koło skały zwanej Kominem, wysokości sześciuset stóp, wygląda wspaniale. Następnie przed samym dobieciem do lądu w Minnieska przyciąga naszą uwagę najbardziej uderzające, wysokie ponad pięćset stóp, wysunięte wzniesienie, idealna górską piramida. Jej stożkowaty kształt, gęsto porośnięte lasem boki i wierzchołek zupełnie jakby stożka zmuszają widza do zdumiewania się nad dziełami przyrody. Z przymglonych wyżyn wierzchołka roztacza się wspaniały widok na lasy, rzeki, urwiska, wzgórza i doliny leżące u podnóża i hen, daleko, w promieniu wielu mil. Trudno sobie wyobrazić wspanialszy i bardziej czarujący krajobraz rzeczny, jaki rozciąga się przed naszymi oczami z najwyższego punktu tego urwiska! Pierwotna dzikość, straszliwa samotność panująca wśród tych wzniosłych tworów natury, i tworów jej Boga, budzą uczucie niezmiernego podziwu. Wspomnienie ich, bez względu na to, z jakiego miejsca widziane, nigdy nie zatrze się w naszej pamięci.

Dalej mamy Głowę Lwa i Głowę Lwicy, wyrzeźbione ręką natury, żeby zdobiły i górowały nad przepiękną rzeką. A potem rzeka znów się rozszerza i nagle otwiera się przed nami, zaskakuje jeden z najczarowniejszych i najwspanialszych widoków w dolinie; urwiste pagórki od stóp do głów otulone są zielonymi lasami, szerokie prerie otaczają piękne Wabasha, Miasto Wód Lecznicych, możnego wroga choroby Brighta — i najwspanialsza koncepcja dzieł natury, niezrównane jezioro Pepin — wszystko to tworzy obraz, w który turysta może się wpatrywać niezliczonymi godzinami z niewyczerpanym i nie dającym się wyczerpać zachwytem.

I tak posuwamy się naprzód; w niedługim czasie napotykamy majestatyczne kopuły potężnej Głowy Cukru i wyniosłą Skałę Dziewczęcia — przy czym tę ostatnią romantyczną legenda obdarzyła głosem. Często, gdy o zmroku przepływa obok niej brzoźowe canoe, zadumany wiosłarz wyobraża sobie, że słyszy cichy uroczy śpiew dawno zmarłej Winony, ulubionej bohaterki indiańskich pieśni i legend.



Następnie wynurza się przed naszymi oczyma Frontenac, doskonałe miejsce wypoczynku dla zmęczonych letnich turystów, dalej wyrasta wysoko Czerwone Skrzydło i samotny w swej wyniosłości, potężny i imponujący Diamentowy Szczyt — potem Prescott i St. Croix, i wreszcie strzelają przed naszymi oczyma wieżycy i kopuły St. Paul, młodego, ale wielkiego wodza Północy, krocącego siedmiomilowymi krokami w przedniej straży postępu, chorążego najwyższej i najnowszej cywilizacji, wyrębującego swą błogosławioną drogę tomahawkiem handlu i przedsiębiorczości, wydającego wojenny okrzyk chrześcijańskiej kultury, zdzierającego cuchnący skalp gnuśności i przesady, żeby na ich miejsce wprowadzić pług parowy i budynek szkolny — podczas gdy przed nim kroczy ciągle uparty brak praworządności, ignorancja, zbrodnia i rozpacz, a jego śladami więzienie, galery i kazalnica, podczas gdy...

— Czy pan kiedyś jeździł ze składaną panoramą?

— Pracowałem dawniej w tym charakterze.

Podjęcie moje sprawdziło się.

— Czy pan jeszcze z nią jeździ?

— Nie, odłożyłem ją teraz aż do sezonu jesiennego. Obecnie pomagam w opracowaniu materiału do Przewodnika Turystycznego, który latem ma wydać „Pachet Company” z St. Louis i St. Paul dla turystów tej linii.

— Gdy pan opowiadał o Skale Dziewczęcia, mówił pan o dawno zmarłej Winonie, ulubionej bohaterce indiańskich pieśni i legend. Czy to jest dziewczyna z tej skały? Czy to o niej jest ta legenda?

— Tak, i to bardzo tragiczna i bolesna. Może najsławniejsza i najbardziej wzruszająca ze wszystkich legend Missisipi.

Poprosiliśmy, żeby ją nam opowiedział. Bez trudu przerzucił się z tonu swobodnej rozmowy w ton wykładowcy i potoczyście wygłosił, co następuje:

— Nieco powyżej Lake City znajduje się sławne miejsce znane jako Skała Dziewczęcia, miejsce nie tylko malownicze, ale i pełne uroku dzięki zdarzeniu, któremu zawdzięcza swą nazwę. Nie tak dawno temu okolicę tę, która jest pięknym łowiskiem ryb i zwierza, upodobali sobie Indianie ze szczepu Siuksów. Wśród rodzin, zwykle tu obozujących, była jedna należąca do plemienia Wabasha. We-no-na (pierworodna) było to imię dziewczyny, która przysięgła wierność ukochanemu należącemu do tej samej gromady. Ale surowi rodzice obiecali jej rękę innemu, sławnemu wojownikowi, nalegali, żeby go poślubiła i ku wielkiemu jej smutkowi naznaczyli dzień zaślubin. Wydawało się, że zgodziła się na ich propozycję i towarzyszyła im do skały, ażeby nazbierać kwiatów na tę uroczystość. Gdy znalazła się przy skale, wbiegła na jej szczyt, stanęła na samej krawędzi i zaczęła czynić wyrzuty znajdującym się na dole rodzicom za ich okrucieństwo. Potem zanuciła pieśń pogrzebową i rzuciła się w przepaść. Roztrzaskała ich na kawałki u podnóża skały.

— Kogo roztrzaskała na kawałki? Rodziców?

— Tak.

— No, to istotnie tragiczna historia, jak pan powiada. A poza tym ma zdumiewające i dramatyczne zakończenie, jakiego zupełnie nie oczekiwałem. To wyraźne udoskonalenie wyświechtanej formy indiańskich legend. Nad Missisipi jest pięćdziesiąt „skał kochanków”, ze szczytów których skakały zawiedzione indiańskie dziewczyny, ale zakończenie tej historii jest niewątpliwie najbardziej słuszne i zadowalające. Co się stało z Winoną?

— Została porządnie poturbowana i doznała wstrząsu, lecz jakoś się pozbierała i zanim na miejscu nieszczęsnego wypadku zjawiał się koroner, zniknęła. Mówią, że znalazła i poślubiła ukochanego i powędrowała z nim do jakiejś odległej krainy, gdzie odtąd żyła szczęśliwie. Łagodna jej dusza dojrzała i wyszlachetniała dzięki owemu romantycznemu wypadkowi, który tak wcześnie pozbawił ją czułego przewodnictwa matczynej miłości i opiekuńczego

ramienia ojca i rzucił ją samotną bez przyjaciół na pastwę zimnego miłosierdzia złośliwego świata.

Byłem zadowolony słuchając, jak wykładowca opisywał ów krajobraz, gdyż pomagało mi to w ocenie rzeczy, które widziałem, i pozwalało wyobrazić sobie wszystko to, co skutkiem zapadnięcia nocy utraciliśmy.

Jak wykładowca zauważył, cała ta okolica jest wymoszczona indiańskimi opowiadaniem i tradycjami.

Przypomniałem mu jednak, że ludzie zwykle wspominają o tym frakcie — żeby tylko zaciekawic — i roztropnie zatrzymują się w tym miejscu. Dlaczego? Ponieważ wywołali wrażenie, że opowiadania te są pełne wydarzeń i fantazji — przyjemne wrażenie, które rozwiązałyby się szybko, gdyby owe legendy opowiedzieli. Pokazałem mu mnóstwo tego rodzaju literatury, którą zbierałem, a on przyznał, że istotnie jest to marnota, wyjątkowo bezwartościowe śmieci. Odważyłem się dodać, że i legendy, które on nam opowiadał, należy do tego samego gatunku, z wyjątkiem pięknej legendy o Winonie. Zgodził się z tym, ale powiedział, że jeśli bym natrafił na książkę pana Schoolcrafta, wydaną prawie pięćdziesiąt lat temu, a obecnie na pewno wyczerpaną, znalazłbym w niej kilka indiańskich utworów, które nie są wyczerpane z akcji i „wyobraźni”; że opowieści w Hiawacie są właśnie takie, że zostały zaczerpnięte z książki Schoolcrafta i że w tej książce są też i inne, które pan Longfellow mógł z dobrym skutkiem przerobić na wiersze. Na przykład jest tam legenda o Nieumierającej głowie. Nie mógłby jej opowiedzieć, gdyż wiele szczegółów zatarło mu się w pamięci, ale może mi poradzić, bym jej poszukał i pogłębił swój szacunek dla wyobraźni Indian. Mówił, że kiedy tu przybył, legenda ta i większość innych, znajdujących się w książce, krążyły jeszcze wśród Indian w tej części Missisipi i że ci, co przyczynili się do powstania książki Schoolcrafta, przejęli je bezpośrednio z ust Indian i zapisali ze skrupulatną dokładnością, bez żadnych własnych upiększeń.

Znalazłem tę książkę. Wykładowca miał rację. Jest tam kilka legend, które potwierdzają to, co powiedział. Przedstawię tu jedną: Peboan i Seegwun, alegoria pór roku, która została opracowana w Hiawacie. Ale warto przeczytać ją w oryginale, chociażby dlatego, aby zobaczyć, jakie wrażenie może robić prawdziwy poemat, bez pomocy czarów poetyckiej metryki i rytmu.

## PEBOAN I SEEGWUN

Pewien stary człowiek siedział sam w swojej chacie nad brzegiem zamrożonego strumienia. Był to koniec zimy i ogień prawie wygasł. Człowiek wydawał się bardzo stary i opuszczony. Wiek pobieleł mu kędzierzawe włosy, a drzenie wstrząsało, jego ciałem. Dzień za dniem przechodził w samotności, słyszał jedynie odgłosy burzy, która zmiatała przed sobą świeżo spadły śnieg.

Pewnego dnia, gdy ogień prawie dogasał, zjawił się w jego chacie piękny młodzieniec. Policzki miał czerwone od młodej krwi, oczy błyszcząły podnieceniem, a na ustach jego igrał uśmiech. Wszedł lekkim, szybkim krokiem. Czoło jego, zamiast opaski wojownika, otaczał wieniec słodkich traw, a w rękę trzymał pęk kwiatów.

— Ach, synu — rzekł starzec — jakże szczęśliwy jestem, że cię widzę. Wejdz, wejdz i opowiedz mi o swoich przygodach i nieznanym krajach, które oglądałeś. Spędźmy noc razem. Opowiem ci o moim męstwie i mych wyprawach, i o tym, czego mogę dokonać. Ty zrobisz to samo i tak będziemy się zabawiać.

Potem wyciągnął z wora przedziwnie rzeźbioną, starodawną fajkę i napelniwszy ją tytoniem zlągodzonym domieszką pewnych liści, wręczył gościowi. Dokonawszy tej ceremonii poczęli rozmawiać.

— Dmuchnę — rzekł stary człowiek — i strumień zatrzymuje się w biegu. Woda staje się sztywna i twarda jak przejrzysty kamień.

— Odetchnę — rzekł młodzieniec — i w dolinie wyskakują spod ziemi kwiaty.

— Potrząsnę kędziorami — odparł starzec — i śnieg okrywa ziemię. Na mój rozkaz liście spadają z drzew, a oddech mój przegania je precz. Ptaki zrywają się z wody i odlatują do dalekich krajów. Zwierzęta chowają się przed moim oddechem, nawet sama ziemia staje się twarda jak kamień.

— Potrząsnę lokami — odpowiedział młodzieniec — i ciepłe ulewy łagodnego deszczu spadają na ziemię. Rośliny podnoszą głowy z ziemi jak błyszczące radością oczy dzieci. Głos mój przywołuje ptaki. Ciepło mego oddechu uwalnia strumienie. Gdziekolwiek przejdę, muzyka napełnia gaje i cała przyroda się raduje.

W końcu słońce poczęło wschodzić. Łagodne ciepło rozlało się wokół. Stary człowiek umilkł. Gil i drozd zaczęły śpiewać na dachu chaty. Strumień u drzwi zaczął szemrać, a wiosenny wietrzyk przywiał zapach ziół i kwiatów.

Światło dzienne w pełni ukazało młodzieńcowi, kto był jego gospodarzem. Gdy spojrzął na niego, ujrzał lodowe oblicze Peboana (zima). Z oczu jego puściły się potoki. W miarę jak słońce wznosiło się wyżej, stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie roztopił się zupełnie. Na miejscu jego ogniska pozostał tylko mały biedny kwiatek z różowym brzeżkiem, należący do jednej z najwcześniejszych odmian północnych roślin.

— Nieumierającą głowa jest dość długim opowiadaniem, lecz budzące grozę pomysły, bajeczne cuda, różnorodność zdarzeń i żywość akcji wynagradzają brak zwięzłości.

## Rozdział LX

### ROZWAŻANIA I WNIOSKI

Przybyliśmy do St. Paul, wyjściowego punktu żeglugi na Missisipi, i tam zakończyła się nasza dwutysięcznomilowa podróż z Nowego Orleanu. Jeśli się płynie parowcem, jest to prawie dziesięciodniowa wycieczka. Koleją trwałaby prawdopodobnie krócej. Przypuszczam tak, ponieważ wiem, że z St. Louis do Hannibal, przestrzeń co najmniej stu dwudziestu mil, można przebyć koleją w siedem godzin. Lepiej to niż iść piechotą, chyba że komuś się spieszy.

Gdy odwiedziliśmy Nowy Orlean, wiosna była w pełni, a kwiaty róż i magnolii już opadały. Tu natomiast, w St. Paul, padał śnieg. W Nowym Orleanie owiewał nas od czasu do czasu palący oddech, chyba znad samego wulkanu — tu, w St. Paul, owiewał nas często mroźny oddech chyba znad samego lodowca.

Nie mam zamiaru zestawieniami tymi nikogo przerażać. Nie, to przecież naturalne, że pomiędzy strefami, leżącymi na odległych od siebie o tysiąc czy dwa tysiące mil równoleżnikach, muszą być wielkie różnice. Jest to mój punkt widzenia. Będę go zajmował i trzymał się go wbrew wszystkim dziennikom. Dziennik myśli, że nie jest to naturalne i raz w roku, w lutym, zauważa i ze źle ukrywanym zdumieniem podkreśla, że podczas gdy my tutaj, wysoko, walczymy ze śniegiem i lodem, na Południu ludzie zjadają świeże truskawki i młody groszek, kalie kwitną na otwartym powietrzu i ludzie skarżą się na gorąco. Dziennik nie wychodzi z podziwu nigdy. Wpada weń regularnie, co roku, w lutym. Musi się tak dziać z jakiejś przyczyny, a przyczyna ta musi tkwić w zmianie pracowników przy redaktorskim biurku. Nie można nikogo zadziwić tym samym cudem więcej niż dwa razy, nawet lutowymi cudami południowego klimatu. Lecz jeżeli co roku lub co dwa lata przy redaktorskim biurku sadza się nowych ludzi, zapominając zaszczepić ich przeciw corocznemu, klimatycznemu zdumieniu, ta sama stara rzecz powtarza się stale. Co roku nowy człowiek zapada na tę chorobę, a to zabezpiecza go przed jej nawrotem, nie zabezpiecza jednak dziennika. Nie, stan

dziennika jest jak dawniej groźny: co roku będzie miał nowego człowieka i wobec tego do końca życia co roku, w lutym, będzie zapadał na truskawkowe zdumienie. Nowy człowiek jest uleczalny, dziennik jest nieuleczalny. Ustawa Kongresu? Nie, Kongres nie mógłby powstrzymać truskawkowego zdumienia bez podejrzanego rozszerzenia swej władzy. Poprawka do Konstytucji mogłaby rzecz tę załatwić i to jest może najlepsza i najszybsza droga. Opierając się na takiej poprawce Kongres mógłby wydać ustawę, na mocy której za pierwsze przestępstwo groziłoby dożywotnie więzienie, a za następne jakiś rodzaj powolnej śmierci i to niewątpliwie przyniosłoby nam wreszcie spokój. Poprawkę i wynikającą z niej ustawę oraz kary można by z łatwością zastosować do różnych pokrewnych przestępstw, w rodzaju „Coroczny-Weteran”, który głosował-na-wszystkich-prezy-dentów-począwszy-od Waszyngtona-i wczoraj-szedł-do-urny-wy-borczej-z-równie-jasnym-spojrzeniem-i równie-pewnym-krokiem -jak-dawniej” i na dziesięć czy jedenaście innych męczących corocznych cudów, takich jak najstarszy wolnomularz - najstarszy drukarz - najstarszy kaznodzieja Baptystów - najstarszy absolwent - trojaczki w lecznicy, i tak dalej, i tak dalej. Potem przejęłaby to Anglia i wydała ustawę zabraniającą dalszego powtarzania dowcipów Sidney Smitha i wyznaczyła urzędnika, ażeby wymyślił nowe. Życie stałoby się wtedy słodkim snem spoczynku i pokoju i narody przestałyby tęsknić do nieba.

Ale odbiegam od tematu. St. Paul jest wspaniałym miastem. Składa się z solidnych bloków, zbudowanych z cegieł i kamieni, i robi wrażenie, jak gdyby miało zamiar stać długo. Urząd pocztowy powstał trzydzieści sześć lat temu i gdy poczmistrz po raz pierwszy otrzymał list, zawiózł go konno do Waszyngtonu, ażeby się zapytać, co należy robić z nim dalej. Tak mówi legenda. Owego roku wybudowano jeszcze dwa drewniane domy i ludność powiększyła się o kilka osób. Ostatni numer czołowego dziennika w St. Paul „Pionier Press” podaje trochę statystyki, która stanowi żywy kontrast z dawnym stanem rzeczy. Na przykład: ludność, jesień obecnego roku (1882) — 71 000; ilość listów wręczonych w pierwszej połowie roku — 1 209 387; liczba domów zbudowanych podczas trzech kwartałów tego roku — 989, koszt ich budowy — 3 186 000 dolarów. Ilość listów w stosunku do ostatniego półroczia wzrosła o pięćdziesiąt procent. W ubiegłym roku koszt nowych budynków wynosił ponad 4 500 000 dolarów. Siła St. Paul tkwi w handlu. Jest to, oczywiście — jak wszystkie miasta tej okolicy — miasto przemysłowe, ale szczególnie mocne jest w sprawach dotyczących handlu. W ubiegłym roku obrót handlowy wyniósł ponad 52 000 000 dolarów.

St. Paul ma urząd celny i buduje kosztowny Kapitol na miejscu niedawno spalonego, ponieważ jest stolicą stanu. Kościołów ma bez liku i to wcale nie biednych, ale takich, jakie stawia bogaty protestant i jakie z rozkoszą wznosiłaby biedna irlandzka służąca. Jakąż pasję budowania majestatycznych kościołów ma ta irlandzka służąca! To piękna rzecz dla naszej architektury, ale zbyt często radujemy się dostojnymi świątyniami zbudowanymi przez służącą, nie poświęciwszy jej samej nawet jednej dziękczynnej myśli. W istocie, zamiast uświadomić sobie, że „każda cegła, każdy kamień w tym pięknym budynku wyobraża ból, mękę, strumienie potu i godziny ciężkiego znoju krzyża, czoła i kości biedoty”, mamy zwyczaj zapominać o tym i podziwiać jedynie samą potężną świątynię nie poświęciwszy ani jednej pochwalnej myśli skromnej fundatorce. Świątynia ta jest symbolem jej szczodrego serca i pustej sakiewki.

Jest to kraj bibliotek i szkół. St. Paul ma trzy publiczne biblioteki, które posiadają razem około czterdziestu tysięcy książek. Ma sto szesnaście budynków szkolnych i na pensje nauczycieli wydaje ponad siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

Postawiono tu niezwykle wspaniałą stację kolejową; jest rzeczywiście tak wielka, że z początku wydawała się trochę przesadnych rozmiarów. Po paru miesiącach jednak spostrzeżono, że jest wręcz odwrotnie, za mała. Mają tę omyłkę poprawić.

Miasto stoi na wysokim wzniesieniu, około siedmiuset stóp nad poziomem morza. Jest tak wysoko położone, że z ulic widać szeroko rozciągającą się panoramę rzeki i całej niziny.

Jest to rzeczywiście wspaniałe miasto i stale jeszcze się rozbudowuje. Wszystkie ulice załadowane są materiałem budowlanym, który natychmiast zużytkowuje się do budowy domów, ażeby zrobić miejsce dla następnych materiałów, gdyż ludzie czekają tylko na to, by złożyć na ulicach cegłę i inne materiały i dalej budować.

Jakże wzniosła i piękna jest myśl, że pionierem cywilizacji nie był parowiec ani kolej żelazna, ani prasa, ani szkoła niedzielna, ani misjonarz, lecz whisky. Tak, otóż tak się sprawa przedstawia. Zajrzyjcie do historii, a przekonacie się, Misjonarz przychodzi po whisky, to znaczy przybywa później, niż przybyła whisky. Następnie przychodzi biedny osadnik z siekierą, motyką i fuzją, potem handlarz, potem różni awanturnicy, następnie gracz, desperat, rozbójnik i inni pokrewni grzesznicy obojga płci; potem elegant, który odkupił jakąś starą darowiznę obejmującą cały szmat ziemi. Ten sprowadza gromadę prawników; straż obywatelska sprowadza przedsiębiorcę pogrzebowego. Potem dopiero nastaje prasa, która zaczyna swą działalność od polityki i kolei żelaznej; wszyscy zabierają się do budowania kościoła i więzienia i, spójrzcie, cywilizacja ustaliła się już w kraju na zawsze. Lecz whisky, widzicie, była pionierem tej zbawiennej roboty. Zawsze nim jest. Nie zdawać sobie sprawy z tej wielkiej prawdy i zapędzać się aż do astronomii, aby pożyczyć od niej symbolu, mógłby tylko cudzoziemiec, któremu zresztą można by to wybaczyć. Gdyby jednak był obeznany z faktami, powiedziałby:

„Ku zachodowi zmierza dzban cesarstwa...”

Ten wielki pionier przybył na tereny, które obecnie zajmuje St. Paul, w czerwcu 1837 roku. Tak, wtedy Pierre Parrant, Kanadyjczyk, wybudował pierwszą chatę, odkorkował dzban i zaczął sprzedawać Indianom whisky. Skutki tego doskonale znamy.

Wszystko, co powiedziałem o nowości, sprężystości, szybkim postępie, bogactwie, inteligencji, pięknej i solidnej architekturze, ogólnym pędzie naprzód i energii St. Paul, dotyczy również jego sąsiada, Minneapolis, z tym, że z tych dwóch miast, drugie jest większe. Parę miesięcy temu te dwa szczególne miasta były oddalone od siebie o dziesięć mil. Rosły jednak tak szybko, że można by je teraz połączyć i dać im jednego burmistrza. W każdym razie za jakie pięć lat rozciągnie się między nimi i zespoli je mocno szereg budynków, tak że nieobeznany przybysz nie będzie w stanie powiedzieć, gdzie jeden syjamski brat się kończy, a gdzie zaczyna drugi. Razem wzięte — o ile w dalszym ciągu będą rosły tak jak obecnie — będą miały wówczas dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludności. I tak to skupisko ludności przy wejściowym punkcie żeglugi na Missisipi zacznie rywalizować ze skupiskiem w punkcie wyjściowym, Nowym Orleanem.

Minneapolis leży przy wodospadzie St. Anthony, który ciągnie się w poprzek rzeki na przestrzeni tysiąca pięciuset stóp i spadku osiemdziesięciu dwóch stóp. Jest to siła wodna, która dzięki sztuce nabrała nieocenionej gospodarczej wartości, choć nie bez uszczerbku dla wodospadu jako widoku albo jako tła, na którym dobrze się jest sfotografować.

Trzydzieści młynów wypuszcza rocznie dwa miliony beczek najpiękniejszej mąki; dwadzieścia tartaków daje rocznie dwieście milionów stóp drewna. Poza tym są tam przędzalnie wełny i bawełny, papiernie i fabryki oleju, fabryki futryn, gwoździ, mebli, beczek i wiele innych rzeczy. Wielkie młyny zarówno tutaj, jak i w St. Paul, stosują nową metodę i zamiast mleć pszenicę na kamieniach, miażdżą ją walcami.

W Minneapolis zbiega się szesnaście linii kolejowych i dziennie przyjeżdża i odjeżdża sześćdziesiąt pięć pociągów osobowych.

Zarówno tu, jak i w St. Paul, kwitnie dziennikarstwo. Wychodzą tu trzy wielkie dzienniki, dziesięć tygodników i trzy miesięczniki.

Znajduje się tu też uniwersytet posiadający czterystu studentów i co ważniejsze, nie ogranicza swych trudów do oświecania tylko jednej płci. Jest szesnaście szkół publicznych, których budowa kosztowała 500 000 dolarów, z sześciu tysiącami uczniów i stu dwudziestu ośmiu nauczycielami. Jest także siedemdziesiąt kościołów i mnóstwo nowych w projekcie. Banki

zgrupowały kapitał 3 000 000 dolarów, a obroty z handlu hurtowego w mieście wynoszą 50 000 000 dolarów rocznie.

Niedaleko St. Paul i Minneapolis jest kilka ciekawych miejsc: Fort Snelling, forteca zbudowana na nadrzecznym urwisku wysokości stu stóp, wodospad Minnehaha, Jezioro Białego Niedźwiedzia i wiele innych. Piękny wodospad Minnehaha jest dość sławny, nie potrzebuje, żebym ja jeszcze sławę tę windował. Jezioro Białego Niedźwiedzia jest mniej znane. Tutaj nad piękną taflą wody skupia się latem bogaty i elegancki świat. Wybudowano hotel wyposażony w nowoczesne urządzenia i wszelkie wygody, a także wiele pięknych letnich willi. Wokoło znajduje się mnóstwo terenów do łowienia ryb i polowań oraz do miłych przejażdżek. W pobliżu St. Paul i Minneapolis jest około tuzina pomniejszych miejscowości lotniskowych, lecz Jezioro Białego Niedźwiedzia to prawdziwe lotnisko. Związana jest z nim najgłupsza z indiańskich legend. Gdybym mógł, oparłbym się pokusie wydrukowania jej tutaj, ale to przechodzi moje siły. Przewodnik wymienia człowieka, który przechował tę legendę i chwali jego „lekkie pióro”. Bez dalszych komentarzy więc i zwłoki dajmy swobodę temu „lekkemu pióru” i napuśćmy je na czytelnika.

## LEGENDA JEZIORA BIAŁEGO NIEDŹWIEDZIA

Każdej wiosny, może przez całe wieki lub od początku istnienia czerwonych ludzi, wyspę na środku Jeziora Białego Niedźwiedzia odwiedzała gromada Indian, ażeby przygotować zapasy klonowego cukru.

Podanie mówi, że wiele wiosen temu na wyspie tej pewien młody wojownik pokochał z wzajemnością córkę wodza i starał się o jej rękę. Lecz rodzice ciągle mu jej wzbranieli, ponieważ stary wódz twierdził, że młody wojownik nie jest dość dzielny, a stara małżonka wodza nazwała go babą!

Słońce znów zaszło na krzak cukrowy i jasny księżyc wznosił się wysoko na roświetlonym, granatowym niebie, gdy młody wojownik zdjął flet i wyszedł z wigwamu, by raz jeszcze wyśpiewać historię swej miłości. Lekki wietrzyk poruszał łagodnie dwoma barwnymi piórami w jego opasce na głowie, a kiedy wspinał się na pień pochylego drzewa, wilgotny śnieg obsunął się ciężko spod jego stóp. Gdy podniósł do ust flet, z pięknych, kształtnych ramion zsunęła mu się derka i jedna strona opadła na śnieg. Zaczął śpiewać swoją tęskną, dziką pieśń miłosną, lecz wkrótce poczuł, że jest mu zimno, i gdy schylił się po derkę, jakaś nieznaną ręką okryła mu nią łagodnie ramiona. Była to ręką jego ukochanej, jego anioła stróża. Dziewczyna usiadła obok i w chwili tej byli bardzo szczęśliwi, bo Indianin ma serce do kochania i duma miłości jest w nim równie szlachetna, jak duma wolności, która go czyni dzieckiem lasu. A oto, jak mówi legenda, wielki, biały niedźwiedź, może w przekonaniu, że śniegi podbiegunowe i sroga zima panują wszędzie, wybrał się na południe. Dotarł wreszcie do północnego brzegu jeziora, które obecnie nosi jego nazwę, i idąc brzegiem skierował się bezszelestnie, przez głęboki, ciężki śnieg ku wyspie. Było to tej samej wiosny, gdy się spotkali zakochani. Opuścili już swoją pierwszą kryjówkę i obecnie siedzieli wśród gałęzi wielkiego, pochylonego nad jeziorem wiązu. (Drzewo to stoi dotąd budząc ogólną ciekawość i zainteresowanie.) W obawie, że mogą być odkryci, rozmawiali szeptem. Teraz zaś, ażeby na czas wrócić do obozu i uniknąć podejrzeń, właśnie podnosili się, by iść, gdy nagle dziewczyna wydała okrzyk, który usłyszano w obozie, i rzuciwszy się w kierunku młodego wojownika, uchwyciła za jego derkę, lecz zrobiła fałszywy krok i upadła wprost w olbrzymie ramiona dzikiej bestii. Natychmiast wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci z gromady przybiegli na brzeg, ale byli bez broni. Krzyki i jęki wydobywały się z ust wszystkich. Co tu robić? Tymczasem biała, dzika bestia trzymała w uścisku nie mogącą tchu złapać dziewczynę, hołubiąc cenną zdobycz, jakby to była dla niej rzecz zwyczajna. Ponad setki okrzyków całego plemienia wybił się jeden ogłuszający jęk zakochanego wojownika, który

wpadłszy do wigwamu chwycił swój wierny nóż i w mgnieniu oka popędził po pochylonym drzewie na miejsce, gdzie upadła jego ukochana. Skacząc z wściekłością oszalałej pantery rzucił się na swój łup. Zwierzę odwróciło się i jednym zamachnięciem olbrzymiej łapy ścisnęło zakochanych tak, że znaleźli się serce przy sercu. Lecz w następnej chwili wojownik jednym zatopieniem ostrza noża otworzył szkarłatne upusty śmierci i dogorywający niedźwiedź rozluźnił uścisk.

Nocy tej ani gromada, ani zakochani nie zmrużyli oka i podczas gdy młodzi i starzy tańczyli przy trupie zabitego potwora, dzielny wojownik otrzymał dalsze, kolejne pióro i zanim zaszedł następny księżyc, serce jego dostało swój żywy skarb. Dzieci ich przez wiele lat bawiły się na skórze białego niedźwiedzia, od którego jezioro wywodzi swą nazwę, a dziewczyna i wojownik długo pamiętali straszliwą scenę i ocalenie, które ich połączyło, bo Kis-se-me-pa i Ka-go-ka nie mogli nigdy zapomnieć okropnego spotkania z olbrzymim potworem, który o mało nie posłał ich na tereny szczęśliwych łowów.

Zagmatwana historia! Naprzód ona spadła z drzewa, ona i derka, i niedźwiedź złapał ją i hołubił, ją i derkę. Potem znów znalazła się na drzewie zostawiając derkę. Tymczasem zakochany biegnie z okrzykiem bojowym do domu i wraca „z ostrogą wojenną”, wspina się na drzewo, zeskakuje na niedźwiedzia, dziewczyna zeskakuje widocznie za nim, gdyż była na drzewie, wraca razem z derką na swoje miejsce w ramiona niedźwiedzia, zakochany topi nóż w niedźwiedziu i ocala — kogo? — derkę? Nie, nic podobnego. Tak jesteście tą derką zajęci, tak nią podnieceni, a tu nagle, właśnie gdy szczęśliwe rozwiązanie zdaje się wisieć w powietrzu, dostajecie obuchem w łeb. Uratowana zostaje tylko dziewczyna, nic więcej. A dziewczyną nie interesujecie się wcale, nie jest ona najważniejsza w legendzie. Pomimo to tak was zostawiają i tak też musicie pozostać, bo nawet żebyście żyli tysiąc lat, nie dowiecie się nigdy, kto właściwie dostał derkę. Nieboszczyk mógłby wymyślić lepszą legendę. Nie mam przy tym na myśli świeżo zmarłego nieboszczyka, mam na myśli takiego, który już od wielu, wielu tygodni jest nieboszczykiem.

Teraz weszliśmy wreszcie na drogę wiodącą do domu i po paru godzinach znaleźliśmy się w owym przerażającym Chicago, mieście, gdzie ciągle szukają dziury w całym i wzywając dobre duchy, wymyślają i dokonują nowych nieprawdopodobieństw. Dotrzymać kroku Chicago dla turysty odwiedzającego je tylko od czasu do czasu to beznadziejna historia. Spełnia ono jego proroctwa wcześniej, niż zdołał je wypowiedzieć. Jest zawsze czymś nowym, bo nigdy nie jest już tym samym Chicago, które się widziało będąc tam po raz ostatni.

Kolej pensylwańska zawiozła nas szybko do Nowego Jorku nie opóźniwszy się nigdzie, ani nawet dziesięciu minut, podczas całej drogi. Tam też skończyła się jedna z najrzyjemniejszych, pięcioletnich podróży, jakie kiedykolwiek miałem szczęście odbyć.